



Agnieszka Janiszewska

PAMIĘTAM

NOVAE RES

PAMIĘTAM



Agnieszka Janiszewska



ROZDZIAŁ 1

Rok 1946

Od lat czuję tę samą tęsknotę i wiem, że nie ma na nią lekarstwa. Nikt go nie wynalazł. Czy tak się kiedyś stanie? Czy pojawi się ktoś, kto wynajdzie cudowny środek na smutek i melancholię, które towarzyszą tęsknocie? I czy ludzie będą wtedy szczęśliwsi? Czy ja potrafiłabym być wtedy szczęśliwa? Przecież, idąc tym tokiem rozumowania, musiałabym wszystko zapomnieć. Wymazać całą moją przeszłość. A ja wolę wszystko pamiętać, nawet jeśli tym wspomnieniom towarzyszy poczucie nieodżałowanej straty. A także winy. Zresztą wbrew rozsądkowi nie pozbyłam się do końca nadziei, ona wciąż się we mnie tli. Może właśnie dlatego, że... pamiętam.

Maurice właśnie w ten sposób mnie pociesza. Nie wszystko stracone, mówi, póki życia, póty nadziei. Kochany, dobry Maurice. Doprawdy nie wiem, co zrobiłabym bez niego, bez jego ciepła, miłości i przyjaźni. On dobrze wie, dlaczego nie wrócę do kraju, w którym się urodziłam i wychowałam. Wie, dlaczego nie mogłabym tego zrobić. Zresztą to nie tęsknota za krajem jest najpoważniejszym powodem tego smutku, którego nie potrafię i nie chcę się pozbyć. Akurat z nostalgią za rodzinnymi stronami szybko sobie poradziłam. To nie znaczy, że czasem tam nie wracałam... myślami. Zimą wspominałam śnieg iskrzący się od mrozu, otulone białym tiulem pola i lasy. Wiosną, gdy wokół naszego letniego domu w Prowansji zaczynały kwitnąć pola lawendy, nie potrafiłam powstrzymać się przed przywoływaniem w pamięci kolorowych łąk w moich rodzinnych Bolesławicach, pełnych maków i stokrotek, a także zagajników, w których odnajdywałam ukryte fiołki, zawilce. Przywoływałam też wspomnienia bolesławickiego ogrodu, gdzie można było zrywać całe naręcza bżów i konwalii.

Tak, brakowało mi tego i widziałam w oczach nielicznych rodaków, jakich spotykałam we Francji, że również ich myśli pełne są wspomnień. Lecz i oni nie wracali. Woleli wspomnienia i nostalgię. Każdy z nas miał swoje powody. A ja?

– Naprawdę nie tęskni pani za rodziną? – spytała kiedyś z niedowierzaniem jedna z sąsiadek i popatrzyła na mnie jak na osobę niespełna rozumu, gdy z całym spokojem odpowiedziałam, że nie. Nie tęsknię.

A potem – by przestała wreszcie dociekać – wyjaśniłam krótko, że w Polsce nie mam już żadnej rodziny.

Ale to nie była prawda... przynajmniej z formalnego punktu widzenia. Ponieważ właśnie ta rodzina była powodem, dla którego nie chciałam i nie mogłam tam wrócić.

Już gdy umierał mój ojciec, wiedziałam, że nie zostanę w Bolesławicach dłużej, niż to będzie konieczne. Oczywiście nie musiałam opuszczać rodzinnego domu. Wtedy, wkrótce po śmierci ojca, nikt mnie stamtąd nie wypędzał, wręcz przeciwnie. Ale dla mnie było oczywiste, że nie potrafiłabym wytrzymać pod jednym dachem z moją matką. Nigdy nie mogłyśmy się zrozumieć. Zawsze mnie drażniła. Jej nieporadność, niedojrzałość wywoływały we mnie irytację, nad którą nie potrafiłam zapanować. I pewnie też nie chciałam.

Ojciec reagował na nią identycznie, wielokrotnie miałam okazję to zauważyć. To była jedna z przyczyn, dla których z kolei ja i on tak dobrze się rozumieliśmy. Był mądrym, prawdziwie wartościowym człowiekiem, nigdy nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Dlatego jego odejście okazało się dla mnie tak trudne do przyjęcia. Postanowiłam, że wyjadę tak szybko, jak to tylko możliwe. Ojciec wiedział o moich planach studiowania za granicą i popierał je w całej rozciągłości. Odbyliśmy na ten temat wiele rozmów. Zapewniał mnie, że zabezpieczył przeznaczone na ten cel fundusze i nie będę musiała martwić się o pieniądze na studia i utrzymanie. Zachorował, gdy jeszcze byłam uczennicą liceum. Od początku doktorzy nie dawali nadziei. Pan kapitan za długo zwlekał ze zgłoszeniem się do lekarza, mówili. Choroba poczyniła zbyt duże postępy. Wyniki prześwietleń nie pozostawiały wątpliwości. Ojciec przyjął diagnozę z niewzruszonym spokojem, jaki cechował go zawsze. Nigdy nie podnosił głosu, nawet w chwilach największego wzburzenia, nigdy też nie panikował i nie lamentował. Tak było i tym razem. Takie jest życie, powiedział tylko, zresztą lepiej skończyć je na własnych warunkach, niż przechodzić męczącą kurację, która, nawet gdyby została podjęta wcześniej, z pewnością nie przyniosłaby pożądanego wyniku.

Kilka miesięcy później zmarł, a ja pogrążyłam się w ciężkiej żałobie.

Nie uciekałam od wspomnień, także w pewnym sensie na przekór mojej matce i braciom. Wiedziałam bowiem, że oni nie dzielali mojego smutku. Moja żałoba nie była ich żałobą. Na Maćka, mojego starszego, przyrodniego brata, nie potrafiłam się jednak o to gniewać, czułam jedynie żal, że nigdy się z ojcem do siebie nie zbliżyli. Był synem mojego ojca z jego pierwszego małżeństwa i chociaż – jak wieść gminna niosła – ojciec uwielbiał matkę Maćka, nie potrafił okazać ciepła synowi. Ludzie powiadali, że poniekąd winił Maćka za śmierć Anieli, umarła bowiem zaraz po bardzo ciężkim, wielogodzinnym porodzie.

Ojciec – rzecz jasna – nigdy nie czynił przede mną wyznań na ten temat, nie tłumaczył też, dlaczego wobec syna zachowywał pełną chłodu rezerwę. Chyba miał tego świadomość, a mimo to nie potrafił się przemóc. Może zresztą by to w końcu zrobił – czas, jak to mówią, leczy rany – problem leżał jednak chyba w tym, że ojciec potrzebował dużej ilości tego czasu. Maciek w każdym razie zdążył już dorosnąć i w wieku kilkunastu lat ostatecznie przestał potrzebować ojcowskiej przyjaźni czy nawet akceptacji. Zapewne pomógł mu w tym fakt, że dość wcześnie

wyjechał do szkoły, potem na studia i od tej pory rzadko przyjeżdżał do domu, choć zawsze można było na niego liczyć przy okazji świąt i przynajmniej miesiąca wakacji. Nie przypominam sobie, by obaj z ojcem prowadzili ze sobą długie, przyjacielskie pogawędki. Ich rozmowy – jeśli już do nich dochodziło – miały na ogół dość burzliwy przebieg. I bynajmniej nie sprawy osobiste były tego przyczyną – jak już wspomniałam, w miarę upływu lat kwestia wzajemnie okazywanego chłodu i dystansu nie miała już dla mojego brata znaczenia. Prowadzili za to zajadle spory natury politycznej, obaj bowiem, na domiar złego, mieli diametralnie różne poglądy na te sprawy.

Lubiłam mojego starszego brata, czekałam na jego przyjazdy, miał zawsze coś ciekawego do powiedzenia i w głębi serca naprawdę cierpiałam, że nie potrafił porozumieć się z ukochanym przeze mnie ojcem, ale rozumiałam go. Wiedziałam, jaka jest istota problemu, i nie nalegałam, by spróbował otworzyć się przed ojcem, by wyciągnął do niego dłoń, by pierwszy wyszedł mu naprzeciw. Raz wprowadzie coś na ten temat napomknęłam, ale spojrzał na mnie z pozornym zdziwieniem.

– Przecież nie jesteśmy ze sobą skłóceni. Czasami tylko musimy podyskutować – odparł obojętnie, zamykając mi tym usta.

Nigdy więcej nie wróciłam do tematu, a z kolei z ojcem w ogóle go nie podjęłam.

Musiałam przyjąć do wiadomości nieodwołalność pewnych faktów, co w niczym nie zaważyło na mojej szczerej sympatii wobec Maćka.

Inaczej rzecz się miała z młodszym ode mnie o rok rodzonym bratem Łukaszem. Był oczkiem w głowie matki, jej beniaminkiem, słodkim syneczkiem i choćby z tego powodu nie potrafiłam i nie chciałam się do niego przekonać. Nie był to jednak powód jedyny ani najważniejszy. Mój młodszy brat nienawidził ojca, był przekonany, że matka była źle traktowana przez swojego męża, że to ojciec ponosił odpowiedzialność za niepowodzenie ich związku, podczas gdy ona była niewinną jego ofiarą. Nie wiem, bo nigdy nie zdołałam do tego dojść, czy to matka wmówiła Łukaszowi te brednie, czy sam doszedł do takiego wniosku, ale to jego niezłomne przekonanie stało się przeszkodą nie do sforsowania, by naprawić nasze wzajemne stosunki, a właściwie by nie dopuścić do tego, aby problemy małżeńskie naszych rodziców poróżniły nas oboje.

On z kolei zarzucał mi, że bezwarunkowo wierzyłam ojcu i przyjąłam jedynie jego wersję, że nigdy nie próbowałam wysłuchać matki. I nie uwierzył, gdy go zapewniałam, że ojciec nigdy nie zwierzał mi się z tych spraw, bo takie miał zasady, a matka... Cóż, może nie dałam jej na to szansy, a może ona za mało się starała i zabrakło jej odwagi. W każdym razie nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek potrzebowała towarzystwa tej płacziwej, niezaradnej życiowo kobiety, która przepadłaby z kretesem, gdyby małżeństwo z tak energicznym człowiekiem jak mój ojciec nie zapewniło jej utrzymania. Wcześniej zaś zadbał o nią mój dziadek. Nigdy

sama nie musiała się o nic starać. Nigdy nie musiała pracować. Nie miałyby pojęcia, jak się do tego zabrać.

Już jako trzynastoletnia dziewczynka postanowiłam, że będę inna. Samodzielna. Niezależna. Zwierzyłam się z tego ojcu, a on mnie poparł, choć przecież mógł nie wyrazić na to zgody. Był właścicielem dobrze prosperującego majątku, który odziedziczył po przodkach. Obawiałam się trochę, czy zgodnie z obyczajami nie zaplanował dla mnie bardziej tradycyjnej roli w życiu. Pamiętam, że roześmiał się, gdy mu o tym wspomniałam.

– Czasy się zmieniają – zauważył. – Nigdy już nie będzie tak jak kiedyś. Sztywne reguły, które do niedawna krępowały kobiety, zanikają na naszych oczach. Żyj tak, abyś była szczęśliwa.

Pamiętam, że naszej rozmowie przysłuchiwał się wtedy Maciek. Spojrzał na ojca z ironią w oczach i wyglądał, jakby chciał powiedzieć mu coś wyjątkowo kąśliwego, ale w ostatniej chwili zrezygnował i wyszedł.

– Nie wierzysz, że ojciec dotrzyma słowa? – zapytałam go zaczepnie, gdy tylko mieliśmy okazję wymienić parę zdań.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem, w którym kryła się jednak szczypta złośliwości, i wzruszył ramionami.

– Wierzę – mruknął niechętnie i ponownie zamierzał zagłębić się w czytaniu, ale mu nie pozwoliłam.

– No to o co ci chodzi?

Energiczniej, niż należało, zamknął książkę, a na jego wargach pojawił się drwiący uśmiešek.

– Śmiesz mnie, gdy ten akurat facet zaczyna prawić frazesy o prawie dzisiejszych kobiet do zerwania ze zwyczajami, jakie krępowały kobiety jeszcze na początku naszego wieku.

– A to niby dlaczego? – Od razu przybrałam postawę wojownika ruszającego do boju.

– Popatrz tylko, jak traktuje swoją żonę...

A zatem Maciek również uważał, że mojej matce działa się krzywda. Podzielał zdanie Łukasza. Kogo jeszcze? Nie chciałam tego słuchać. Pamiętam, że jego słowa potraktowałam jak zdradę. Oczywiście nie chowałam długo urazy, choćby dlatego, że mój starszy brat z niemal jednakowym dystansem odnosił się także do swojej macochy. Zresztą, w gruncie rzeczy rodzina niewiele go już wtedy obchodziła.

Potem, w obliczu choroby i śmierci ojca, takie rozważania straciły na znaczeniu. Wtedy liczyło się dla mnie tylko to, że jako jedyna w gronie tak zwanej najbliższej rodziny zmagalam się z żalobą. I rozpaczliwie tęskniłam za ojcem.

To zresztą sprawiło, że sąsiedzi i dalsza rodzina traktowali mnie życzliwie i starali się dodawać mi otuchy, pocieszać. Zachowanie wdowy po zmarłym i jego

synów wzbudzało powszechne oburzenie, z którego jednak tamci niewiele sobie robili.

Ale – jak się miało okazać – to nie było wszystko. Skoncentrowana na bólu i mglistych planach na przyszłość, przeoczyłam coś znacznie gorszego. Znacznie gorszą zdradę.

Pamiętam, że tak wówczas przyjąłam decyzję mojej matki – jako zdradę.

ROZDZIAŁ 2

Listopad 1963

– To ona.

Iza w pierwszej chwili nie zareagowała odpowiednio szybko na słowa Podhoreckiego. Błądziła wzrokiem po cmentarzu rozświetlonym płomieniami zniczy, udekorowanym kwiatami i pełnym ludzi. Czegoś takiego nie miała okazji do tej pory oglądać i dlatego pozwoliła się unieść nastrojowi miejsca i dnia. Starszy człowiek, który podjął się wobec niej roli przewodnika, w pierwszej chwili odniósł wrażenie, że nie dosłyszała lub może nie zrozumiała jego słów. Raczej jednak nie dosłyszała. Przekonał się bowiem, że jej znajomość języka polskiego była bez zarzutu, aczkolwiek mówiła z wyraźnym francuskim akcentem.

– Tam, na wprost... To Zawilska – dodał na wszelki wypadek.

Iza oderwała wzrok od nagrobnych pomników i spojrzała we wskazanym kierunku. Inaczej wyobrażała sobie tę chwilę. Oczekiwała wzruszenia, może nawet przyspieszonych uderzeń serca. Tymczasem... nie czuła nic. Miała kompletną pustkę w głowie. W jej kierunku zbliżała się starsza kobieta w towarzystwie znacznie młodszego od niej mężczyzny i jeszcze młodszej kobiety, a Iza obserwowała całą trójkę z całkowitą świadomością, że zaraz przejdą obok, przypuszczalnie nie zwrócą na nią uwagi, zaś ona nawet się do nich nie odezwie.

Podhorecki patrzył na nią wyczekująco, ale postanowił nie komentować ani słowem jej zachowania. Był jednak zdziwiony i wobec tego postanowiła wyjaśnić mu swoje zachowanie.

– Chciałam ją tylko zobaczyć... na razie. Ją i tych dwoje.

W odpowiedzi pokiwał głową.

Iza zdawała sobie sprawę, że nie musiała mu niczego tłumaczyć. Był przecież w gruncie rzeczy obok tego wszystkiego. Nie należał jednak do zupełnie przypadkowych ludzi, nie był obcy, w dodatku podjął się bezinteresownej pomocy, toteż dodała:

– Pani Zawilska byłaby bez wątpienia zdumiona, a może nawet zszokowana, gdybym zaczepiła ją na tej alejce... tak zupełnie niespodziewanie. Porozmawiam z nią później. W każdym razie spróbuję to zrobić.

W tym momencie wiedziała już jednak, że tego nie robi. Przynajmniej nie tym razem. Może wróci tu za rok, za dwa lata, może wtedy podejdzie do tych ludzi, przedstawi się, powie, dlaczego w ogóle do nich przyjechała. Może tak zrobi, a może nie. Jednego była jednak pewna – nie dziś, nie jutro, nie tym razem.

– Jak pani uważa.

Stali przez chwilę w milczeniu, przesunęli się tylko w bok od głównej alejki,

aby pozwolić na przejście niekończącemu się strumieniowi ludzi.

– Proszę mnie zaprowadzić na grób porucznika Zawilskiego – odezwała się wreszcie Iza, gdy jako tako pozbierała myśli.

Podhorecki spojrzał na nią zakłopotany.

– Może później – odparł cicho. – Przypuszczalnie tam właśnie teraz poszli. A skoro nie chce pani teraz porozmawiać z Zawilską...

– Tak, ma pan rację – przytaknęła mu pospiesznie. – W takim razie...

– Najpewniej wracali z miejsca spoczynku kapitana Boguszewskiego. W każdym razie stamtąd szli. Może zechciałby pani tam się najpierw udać? – zaproponował nieśmiało staruszek.

Gdy tylko usłyszała tę propozycję, natychmiast przyszło jej do głowy, że mogłaby z niej skorzystać. I to nie tylko dlatego, że w ten sposób zyskiwała trochę czasu potrzebnego, aż Zawilska odejdzie od grobu drugiego męża.

– Do pana kapitana trzeba pójść tędy. – Podhorecki jakby nagle nabrał animuszu, jakby na nowo wstąpiła weń odwaga.

W milczeniu dotarli do dużego grobowca, gdzie umieszczono kilka tabliczek nagrobkowych. W środku za kratą paliły się dwie świece. Pomnik wyglądał naprawdę godnie, był bez wątplenia zadbany, a mimo to, w porównaniu z tonącymi wokoło w kwiatach, pozornie znacznie skromniejszymi grobami, sprawiał wrażenie zapomnianego. Może to spowodowało, że Iza niemal od razu poczuła, że znalazła się tu, gdzie powinna była przyjść już dawno temu.

„Ty także na mnie czekałeś. Mój Boże, przecież to zupełnie naturalne. Ale już jestem... tak jak kiedyś... ona”.

Poczuła łzy zbierające się pod powiekami, a stojący tuż obok starszy człowiek chyba także spostrzegł jej wzruszenie, bo przemógłszy swój własny smutek, ponownie przerwał ciszę:

– Pan kapitan, jego rodzice i dziadkowie Boguszewscy... Bardzo szacowna rodzina, bardzo...

Iza przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć.

– Piękny grobowiec – rzekła wreszcie, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak banalnie zabrzmiały jej słowa. Zresztą te, które zaraz dodała, brzmiały niewiele lepiej, o ile nie gorzej. – Czy będzie służyć także następnym pokoleniom?

Oczywiście pytanie nie miało sensu. Tak naprawdę chciała zapytać o coś zupełnie innego, a to jedynie miało być wstępem mającym na celu wyciągnięcie z Podhoreckiego bardziej osobistych wyznań. Starszy człowiek miał prawo zwrócić jej uwagę na niestosowność tego, co powiedziała.

Nie zrobił tego jednak. Wręcz przeciwnie – zareagował tak, jakby sprawiło mu ulgę wypowiedzenie tego, co musiało bardzo mu ciążyć.

– Ich to wcale nie obchodzi – odezwał się ze słabo tajonym gniewem w głosie. – No, myślę o Zawilskiej i jej synu... bo przecież córka to już zupełnie

inna sprawa – sprostował, napotkawszy wzrok dziewczyny. – Niech no tylko sama pani spojrzy... Dwa marne znicze... żadnych kwiatów... A przecież wczoraj było Wszystkich Świętych, dziś Zaduszki. To u nas w kraju ważne święta. Pamięć o zmarłych. A oni, żeby nie wzgląd na tych wprawdzie nielicznych, co jeszcze pamiętają pana kapitana, pewnie nawet by tu nie zajrzeli. Przed ludźmi im wstyd, to wszystko. Przyjdą raz na rok, odklepią swoje i koniec.

– Oprócz nich nikt tu więcej nie zagląda? – Iza nie potrafiła powstrzymać się przed tym pytaniem.

Zrozumiał aluzję.

– Mało kto z żyjących pamięta jeszcze pana kapitana – odparł tonem usprawiedliwienia. – Stare dzieje. Ja przychodzę, a oprócz mnie dwie czy trzy stare osoby. Niedługo i nas zabraknie.

– A dalsza rodzina?

Przez chwilę nie odpowiadał, potem pokręcił głową.

– Rodzina – prychnął z niechęcią. – Tylko żona i syn... A oni mają za nic pamięć po panu kapitanie. Postawią jeden znicz i tyle...

– Pałą się dwa – sprostowała Iza i w tym momencie poczuła, że spokój zaczyna ją opuszczać. Przygnębienie starego człowieka udzieliło się także jej. Zaraz też zrozumiała, co mógł mieć na myśli.

– Ten drugi znicz to pewnie od pana – szepnęła.

Podhorecki zaczerwienił się, ale nie odpowiedział. Iza już nie naciskała i na pewien czas ponownie zapadła między nimi cisza.

– Lubił pan kapitana Boguszewskiego – odważyła się wreszcie, po paru minutach, odezwać.

– A pewnie. Cóż to był za człowiek! – Oczy starego zabłyśły, a na policzki ponownie wstąpił rumieniec.

Iza w jednej chwili wyobraziła sobie, jak Podhorecki wyglądał jako młody chłopak – wtedy, gdy służył jako ordynans przy Boguszewskim.

– Razem na wojnie byliśmy. Bohater, prawdziwy bohater. A jaka fantazja ułańska... A potem, gdy wrócił, uratował cały majątek. Wszystkim wokoło pomagał. Tylko ożenił się nie tak, jak trzeba... wtedy, za drugim razem.

Iza spostrzegła, że w ostatniej chwili Podhorecki powstrzymał się, by nie splunąć. Serce jej podeszło do gardła, gdy spojrzała na tablicę nagrobną.

„Kapitan Władysław Boguszewski, urodzony 14 kwietnia 1885 roku, zmarł 20 marca 1935 roku. Uczestnik wojny 1914-1918, a następnie wojny w 1920 r.”.

Nie wszystko się zgadzało.

– Podobno napis był trochę inny – rzekła niepewnie i zaraz napotkała baczne spojrzenie Podhoreckiego. – Czytałam, że były wymienione order, jakie otrzymał, a poza tym...

Starła się przypomnieć sobie szczegóły. Na pewno były jakieś słowa

o legionach czy też legii, a do tego wspomnienia o wojnie z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku coś jeszcze było dodane.

– Litery się zatarły, poza tym cały pomnik był już stary i zniszczony – odparł stary, nie patrząc jej już jednak w oczy. – Kilka lat po ostatniej wojnie rodzina uznała, że trzeba wszystko odnowić. To i napis przy okazji trochę zmienili – dodał, a widząc, że Iza chciała to jakoś skomentować, powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Tak trzeba było i tyle. Nie ma co nad tym deliberować. Nawet na takie słowa, co je pani teraz tu widzi, miejscowe władze kręciły nosem. Zresztą... – Machnął ręką, ucinając w ten sposób temat.

Wobec tego Iza postanowiła przejść do innej kwestii, takiej, która interesowała ją znacznie bardziej.

– Wdowa wyszła powtórnie za mąż pół roku po jego śmierci – zagadnęła.

– Sama pani widzi – warknął. – I na tym nie koniec zgorszenia... Tfu...

– Trwała jeszcze żałoba, przynajmniej formalnie. Musiał być skandal.

Wiedziała przecież o wszystkim, a mimo to świadomie prowokowała tego człowieka do zwierzeń. Chciała to usłyszeć od naocznego świadka tamtych wydarzeń.

– Jeszcze jaki – mówił z wyraźną satysfakcją. – Wszyscy państwo w okolicznych dworach, cała dalsza rodzina, wszyscy byli oburzeni. A ta nic... Dalej swoje. Inna sprawa, że w jej sytuacji nie było wyjścia.

Uśmiechnął się złośliwie.

Iza odgadła, co miał na myśli, ale najpierw spytała o co innego:

– Mówi pan, dalsza rodzina, sąsiedzi... A co z tymi najbliższymi? Jak zareagowały dzieci Boguszewskiej?

Twarz starego pociemniała. Oczy przygasły. Policzki zaczerwieniły się z gniewu.

– Syn ją poparł – mruknął. – W głowie się nie mieściło... A pasierbowi było wszystko jedno, częściej zresztą był za granicą jak w domu. Ale Łukasz?!... Szkoda gadać... – mówił, a Izie trudno było sobie wyobrazić większą pogardę w głosie.

Wreszcie zebrała się na odwagę.

– To był on? – spytała cicho. – Ten, który tu dzisiaj towarzyszył Zawilskiej?

– On... Jej syn, Łukasz. – Ton głosu Podhoreckiego przypominał teraz odległy grzmot zapowiadający nadchodzącą nawałnicę.

– A gdzie jest pochowany starszy syn kapitana... Maciek? – spytała szeptem. – Dlaczego nie tutaj, razem z ojcem i dziadkami?

Podhorecki rzucił na nią okiem. Wykrzywił wargi jakby w jakimś upiornym uśmiechu.

– Żona chciała pochować go gdzie indziej? – naciskała Iza. Poczula się jednak niepewnie.

Śmierć starszego z synów Boguszewskiego napelniała ją grozą od samego początku, jak tylko się o niej dowiedziała. Ta groza nie mijała. Patrząc na starego Podhoreckiego, Iza czuła, że to jeszcze nie koniec tej okropności. Że było coś więcej... coś gorszego. Lecz – na Boga – czy mogło być coś jeszcze?!

– Gdzie jest jego grób?

– A któż to może wiedzieć – wycodził staruszek. – Tacy jak on byli w tamtych latach pozbawiani poświęconych mogił. Rodzina dostała tylko zawiadomienie o śmierci. To wszystko. A gdzie go te psubraty pogrzebały... i jeszcze wielu innych... Tylko Pan Bóg wie... no i tamci, co go...

Nie dokończył. Głos mu się załamał i odszedł parę kroków, by się uspokoić.

Iza postanowiła nie dręczyć go tym dłużej. Sama była wystarczająco przerażona. Zastanawiała się teraz, jak w świetle tego, co usłyszała na temat powtórnego zamęścia Boguszewskiej-Zawilskiej, poprosić Podhoreckiego o to, by zaprowadził ją w miejsce wiecznego spoczynku drugiego męża tej kobiety. Wyobrażała sobie, że zdanie starego na temat tamtego człowieka musiało być tak samo niedobre jak na temat Zawilskiej i jej syna Łukasza. O ile nawet nie gorsze.

– Ale panienka Joasia nie darowała tego matce – usłyszała nagle i spojrzała zdziwiona na staruszkę. Jednak to nie jego słowa ją zaskoczyły. To, co powiedział, nie było dla niej niespodzianką, o tym wiedziała już wcześniej. Zszokował ją ton, jakim zostały wypowiedziane.

Na twarzy Podhoreckiego nie było w tym momencie przygnębienia. Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wygłaszał entuzjastyczną opinię o kapitanie. Oczy pałały mu radością i dumą.

– Córka pana Boguszewskiego zachowała się wtedy, jak należy – dodał z satysfakcją.

ROZDZIAŁ 3

Rok 1935

– Nie zrobisz tego – powiedziałam. – Nigdy ci na to nie pozwolę.

Nie miałam pojęcia, jak mogłabym zapobiec jej zamiarom, ale niemal dosłownie gotowałam się ze złości i oburzenia. I to było powodem, że rzucałam pogrożki bez możliwości ich spełnienia. Wiedziałam, że matka i tak to zrobi. Wyjdzie za tego swojego porucznika, choćby się paliło i waliło. Tak zdecydowanej nie widziałam jej jeszcze nigdy i chyba nie istniała siła, która mogłaby ją powstrzymać. Czułam to, ale postanowiłam, że zrobię wszystko, aby dokuczyć jej tak, że zapamięta to na długo. Tak, właśnie tak. Aby paliło się i waliło wszystko wokół. Szkoda, że tylko w przenośni, lecz nawet w takiej formie mogło sprawić jej ból. Niczego innego nie pragnęłam, jak właśnie tego, aby ją to wściekle bolało. Chyba zrozumiała, bo w jej oczach wreszcie dostrzegłam strach. Nie zwykłą obawę, lecz strach. Znowu wyglądała tak jak wówczas, gdy jej słabiutkie argumenty musiały ustąpić przed wolą mojego ojca.

Chyba jednak za bardzo dałam jej odczuć, co o niej myślę. Byłam zbyt młoda, by rozegrać całą sprawę chłodno i dyplomatycznie. Miałam szesnaście lat, a w tym wieku człowiek rzadko potrafi zapanować nad emocjami. Zapewne matka zdołała dostrzec w moich oczach coś, co paradoksalnie dodało jej sił. Może zobaczyła w nich pogardę wobec niej i zadowolenie, że zdołałam jej dopiec i wywołać w niej tę samą reakcję, jaką wywoływał mój ojciec. A może wystarczył sam fakt, że ojca już z nami nie było i wobec tego nie musiała już liczyć się ani z nim, ani ze mną. Nie wiem, mogę się tylko domyślać, jakie myśli kłębiły się w jej głowie, w każdym razie ze spojrzenia zniknął wyraz załęknięcia i niepewności. Popatrzyła na mnie lodowato.

– Nie możesz mi na nic ani nie pozwolić, ani pozwolić – odparła cierpko. – Uważaj na to, co mówisz. Jesteś mi winna posłuszeństwo. Pamiętaj o tym.

Na chwilę zaniemówiłam. Nigdy dotąd w ten sposób do mnie nie mówiła. Do tej pory to ja dyktowałam jej warunki naszego współistnienia. Ona zaś lękliwie i niepewnie zabiegała o moją życzliwość, na ogół bez powodzenia. Z perspektywy czasu mam świadomość, że nie przynosi mi to chwały, ale skoro postanowiłam po latach rozprawić się z moją, z naszą przeszłością, oczyścić się z tego wszystkiego, to powinnam również spojrzeć uczciwie i obiektywnie na samą siebie z tamtych lat. Nie oznacza to jednak sypania sobie pokutnego popiołu na głowę. Nie zmieniłam zdania w zasadniczej sprawie. Matka popełniała wobec mnie błędy wychowawcze, nie miała pojęcia, jak ze mną postępować, długo była wobec mnie bezradna i wreszcie dała sobie ze mną spokój. Po śmierci mojego ojca postanowiła jednak,

że spróbuje wziąć mnie w rzy – problem w tym, że nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Ale to był jej problem. Wtedy postanowiłam już nieodwołalnie, że tak szybko, jak to będzie możliwe, opuszczę dom. Na razie miałam jednak dopiero szesnaście lat. Nie mogłam jeszcze wyjechać za granicę.

– Chcę wrócić do szkoły – oświadczyłam stanowczo.

Zdziwiła się. Chyba liczyła na to, że zacznę drążyć sprawę jej powtórnego małżeństwa, wyciągać argumenty przeciwko tym planom i człowiekowi, z którym chciała się formalnie związać. Do głowy mi bowiem nie przyszło, że nieformalnie już była z nim związana. Mogłam ją podejrzewać o różne sprawy, mieć wobec niej różne żale i pretensje, ale – na miłość boską – nie to. Spodziewała się raczej tego, że zrobię awanturę o tak prędko termin ślubu – minęło raptem pięć miesięcy od śmierci ojca, a ona zaplanowała ślub za miesiąc – nie podjęłam jednak tego tematu. Postanowiłam, że skoro tak stanowczo trzymała się tej decyzji i jeszcze próbowała nieudolnie przywołać mnie do porządku, nie będę już z nią rozmawiać o jej sprawach. Będę ją ignorować, nie wymienię imienia i nazwiska jej wybranka, oboje staną się dla mnie obcymi ludźmi. Gdybym postąpiła inaczej, oznaczałoby to moje zainteresowanie ich ślubem i życiem. Nie zamierzałam dać im tej satysfakcji. Pomyślałam, że moja obojętność zabolii matkę najbardziej.

Niestety, na razie nawet w sprawie mojego powrotu do szkoły miała nade mną przewagę, wynikającą zresztą z przyczyn jak najbardziej prozaicznych. Zaraz też mi je wytknęła:

– Teraz są wakacje. Szkoła zaczyna się dopiero za miesiąc.

„Po moim ślubie” – tak zapewne chciała dodać i choć tego nie zrobiła, nie miałam wątpliwości, że to właśnie miała na myśli.

Ponownie zagotowałam się ze złości.

– Chcę pojechać do Warszawy teraz – oświadczyłam hardo.

Także ona musiała być wściekła, choć potrafiła to ukryć znacznie lepiej niż ja, a ściślej mówiąc, ja nie starałam się o to wcale.

– Co będziesz robiła w Warszawie latem? – spytała z nutką uszczypliwej ironii w głosie. – Pomijając fakt, że jesteś za młoda, abyś mogła przebywać tam całkiem sama. Internat jest zamknięty, podobnie jak cała szkoła.

To nie była prawda. Niektóre z moich koleżanek mieszkały latem w internacie. Nie miały dokąd wrócić na wakacje. Wiedziałam jednak, że w moim przypadku to żaden argument, toteż zaperzyłam się jeszcze bardziej.

– Mogę zamieszkać u ciotki Marty – rzekłam. – Na pewno chętnie by się mną zaopiekowała. Mogłabym się zapisać na letnie kursy teatralne.

Matka skrzywiła się, gdy to usłyszała. Marta Borzęcka, gwoli ścisłości nie była moją prawdziwą ciotką, lecz siostrą pierwszej żony mojego ojca. Ojciec zawsze okazywał jej przyjaźń, a ja chętnie nazywałam ją ciotką, widząc, że sprawiało mu to radość. Był jeszcze jeden powód mojej uwagi wobec Marty

Borzęckiej – matka jej nie cierpiała. Dlaczego? Nigdy tego nie dochodziłam, tym bardziej że matka nigdy nie okazywała swojej niechęci jawnie. Nigdy jej nie demonstrowała, być może z obawy przed reakcją ojca. Ja jednak byłam pewna, że nie cierpiała tamtej, i teraz miałam okazję, by jej dokuczyć także na tym polu.

Matka nie bawiła się zresztą w żadne wyjaśnienia. Najwyraźniej, prawdopodobnie za czyjąś radą – sama bowiem nie wykrzesalaby z siebie tyle stanowczości – postanowiła teraz konsekwentnie ujarzmić moje zapędy.

– Wrócisz do szkoły po wakacjach – oświadczyła lodowatym tonem. – A do tego czasu masz się zachowywać bez zarzutu... także wobec porucznika Zawilskiego.

Minęła mnie i wyszła z pokoju, ale znałam ją na tyle, by natychmiast się zorientować, jak bardzo się bała. Ile kosztowała ją ta stanowczość, tak obca jej prawdziwej naturze.

Nie miałam wyjścia, musiałam zostać w domu. Gdy odwiedzał nas Zawilski – matka musiała dbać o elementarne pozory przed sąsiadami i towarzystwem, toteż przed ślubem jej wybranek nie mieszkał w naszym majątku – witałam się z nim chłodno i cierpiałam prawdziwe katusze podczas tych wizyt. Odzywałam się tylko wtedy, gdy ktoś zadał mi pytanie. Gdy robił to on albo matka, odpowiadałam najbardziej lakonicznie, jak tylko było to możliwe. Poza tym uparcie milczałam, patrząc w okno.

Gdy którakolwiek z naszych sąsiadek zagadywała mnie o niego, odpowiadałam, że ten pan w ogóle mnie nie obchodzi. I w pewnym momencie dotarło do mnie, że nie byłam osamotniona. Moje oburzenie podzielało wielu ludzi wokół. Dalsza rodzina, przy wsparciu przyjaciół mojego ojca, przypuściła generalny atak na matkę i Zawilskiego. Nie zostawiano na nich suchej nitki, zwłaszcza na niej. Pomijając fakt, że owdowiała zaledwie kilka miesięcy wcześniej, była także starsza od nowego wybranka o – bagatela – osiem lat. Uczciwie mówiąc, wtedy jeszcze nie było widać tej różnicy wieku. Matka miała wówczas trzydzieści sześć lat, trudno zatem było ją uznać za starszą panią, tym bardziej że wyglądała młodo. A on... No cóż, oboje mieli, jak to się mówi, dobrą prezencję, z pewnością było im razem dobrze... wtedy. Jednak ich związek nie został zaakceptowany w towarzystwie. Gdy to spostrzegłam, natychmiast nabrałam ducha.

– Czy nie uważasz, że naszej matce należy się choć trochę szczęścia w życiu?! – zaatakował mnie któregoś dnia Łukasz.

Do tej pory nie odważył się na bezpośrednią zaczepkę, toteż jego słowa trochę mnie zaskoczyły. Mimo to nie zamierzałam wdawać się z nim w słowną szermierkę. Uważałam, że nie był tego wart, traktowałam go z pogardą. Popatrzyłam na jego przyszczatą wówczas twarz i wzruszyłam obojętnie ramionami, a następnie wyjrzałam przez okno.

Nie ustępował.

– *Traktujesz ją skandalicznie – zaperzył się, widząc moją znudzoną minę. – A do niego prawie się nie odzywasz. Jak śmiesz...*

Podniosłam się leniwie z kanapy. Moim zdaniem nie był wart mojej odpowiedzi.

– *Zachowujesz się wobec niej jak ojciec – zawołał, gdy skierowałam się do wyjścia. – Jesteś taka jak on, ale to nie powód do dumy. A mama i tak będzie szczęśliwa. Czy ci się to podoba, czy nie. Stary już nie może jej skrzywdzić.*

Wtedy – przyznam – nie wytrzymałam. Odwróciłam się i wykrzywiłam do niego twarz.

– *Skoro tak, to dlaczego się wściekasz? – prychnęłam i chciałam jeszcze dodać, że najwidoczniej on także nie do końca wierzy, że matce wszystko się powiedzie, ale dałam temu spokój. Łukasz tylko czekał, by sprowokować mnie do awantury. Bo tym samym musiałabym wreszcie zacząć otwarcie mówić o małżeństwie naszej rodzicielki. A ja zamierzałam dalej ten fakt ignorować, przynajmniej pozornie.*

Tak czy owak, nie pozostawało mi jednak nic innego, jak doczekać do tej ceremonii. Jedyne, co mogłam zrobić, to do samego końca zachować ostentacyjną obojętność, choć nie było to łatwe. Oprócz mnie, i oczywiście Łukasza, na uroczystości nie było nikogo z naszej rodziny. Maciek nie zamierzał przerywać pobytu za granicą, choć akademickie wakacje jeszcze trwały. Kuzyni konsekwentnie trzymali się taktyki wrogiej niechęci i potępienia wobec mojej matki. Przybyło jednak trochę znajomych. Domyślałam się, że przygnała ich zwykła ciekawość, i początkowo miałam im to za złe. Jednak tylko początkowo, bo dzięki tym ludziom atmosferę w kościele trudno było uznać za szczególnie uroczystą. Co chwilę rozlegał się czyjś z trudem tłumiony chichot tudzież wypowiedane scenicznym szeptem komentarze. Nie wszystkie zresztą wtedy zrozumiałam.

Dwa dni później matka pozwoliła mi wreszcie wyjechać do Warszawy, jako że za kilka dni zaczynał się rok szkolny. Postanowiłam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przyjeżdżać do domu najrzadziej, jak tylko będzie to możliwe. Do świąt Bożego Narodzenia chwytalam się każdego pretekstu, by się tam nie zjawiać. Szczęśliwie w Bolesławicach niespecjalnie na to nalegano, a ja nie zastanawiałam się nad przyczynami tej rezerwy. Na Boże Narodzenie musiałam tam jednak przyjechać, choć na samą myśl, kogo zastanę na miejscu mojego ojca, niemal odchodziłam od zmysłów. Do głowy mi jednak nie przyszło, że zastanę tam jeszcze kogoś. Poczciwy Podhorecki, który po mnie przyjechał, postanowił mnie o tym uprzedzić. I nie bawił się przy tym w ceregiele.

– *Ma panienska siostrę – oświadczył, a widząc, że na chwilę odjęło mi mowę, dodał ponuro: – Dwa dni temu matka panienki urodziła córkę.*

Kwiecień 1965

Anna skończyła zajęcia i pospiesznie pakowała rzeczy do torby, gdy do pokoju nauczycielskiego zajrzała woźna Michalska, ulubiona „ciocia” wszystkich licealistów.

– Jakaś pani czeka na panią profesor na dole – oświadczyła.

Anna westchnęła.

– To wykluczone. Spieszę się do przedszkola po dziecko. Zresztą zebranie z rodzicami odbędzie się w przyszłym tygodniu. Ludziom się wydaje, że my, nauczyciele, jesteśmy stale do ich dyspozycji.

– Ale to nie tak... To jakaś Francuzka. – Michalska ściszyła konspiracyjnie głos.

Anna pokręciła głową. Do Michalskiej w dalszym ciągu nie docierało, że czasy, gdy jakiegokolwiek podejrzenia o kontakty z zagranicą mogły oznaczać najcięższe represje, minęły. Trudno jednak było mieć pretensje do starej, doświadczonej przez życie kobiety. Anna przecież także miała powody, by ją rozumieć.

– Skąd pani wie, że to Francuzka? – spytała jednak na wszelki wypadek. Samo przypuszczenie, by jakakolwiek osoba z Francji, nie mówiąc już o rodowitej Francuzce, miała do niej interes, wydawała jej się absurdalna. – Mówiła po francusku?

– Eee... Co też pani profesor takie rzeczy... Mówiła po naszymu, ale tak jakoś... inaczej... I to nazwisko...

– Jakie nazwisko? – zainteresowała się Anna mimo woli.

Michalska z irytacją wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie powtórzę. Prosta kobieta jestem – odparła niemal gniewnie.

– Ale to było na pewno francuskie nazwisko. Słyszałam raz w kinie, jak aktorzy do siebie mówili. To brzmiało tak samo.

– Na pewno chciała widzieć właśnie mnie? – Schodziły już pospiesznie po schodach, choć Michalska z trudem nadążała za szczupłą i energiczną Anną, która zresztą miłosiernie zwolniła i zaraz pozwoliła sobie na smutną refleksję, że nie potrafi już chodzić powoli. Nie ma także czasu, by długo czekać na odpowiedź. Na wszystko brakuje jej czasu.

– Tak. Pytała o panią profesor. O, tam stoi, przy samych drzwiach.

„Podobna do mnie” – to była pierwsza refleksja, która Annie przyszła do głowy, a kiedy spojrzała tamtej w oczy, nie potrafiła oprzeć się przekonaniu, że obie pomyślały to samo.

Jednak... jak to możliwe?

– Podobno czeka pani na mnie – zagaiła i natychmiast poczuła, że się denerwuje. Nawet własny głos zabrzmiał nienaturalnie w jej uszach.

Dziewczyna wyciągnęła nieśmiało rękę i chociaż w przeciwieństwie do Anny miała czas, by dobrze przygotować się do tego spotkania, zadrżała.

– Pani Anna Brzeska? – spytała cicho, choć przecież znała odpowiedź. Nie mogła jednak zdradzić tej wiedzy, a należało jakoś zacząć rozmowę.

– Tak, słucham. W czym mogę pani pomóc?

Tamta jednak nie od razu odpowiedziała, ale Anna w tym samym momencie uzmysłowiła sobie, że ewentualna odpowiedź z pewnością nie dotarłaby do jej świadomości. Jej myśli bowiem oscyływały wokół zupełnie innych kwestii.

„Na czym polega podobieństwo między nami? Przecież to kompletna bzdura. Nie znam nikogo, kto mieszkałby we Francji...”

I natychmiast przypomniała sobie, że prawda wygląda inaczej. W każdym razie wyglądała. W przeszłości.

Poza tym porównując się z nieznaną pod względem ewentualnego podobieństwa, Anna musiała stanąć twarzą w twarz z niewesołą refleksją. Wyglądała zdecydowanie mniej korzystnie niż tamta – i to oględnie rzecz ujmując. Jej niegdyś popielato-blond włosy nie miały już żadnego połysku, a w dodatku źle ostrzyżone, nie dawały się ułożyć w żadną przyzwoitą fryzurę. Szczupła, niebrzydka przecież twarz odzwierciedlała wszystkie troski codziennego bytowania. Tymczasem stojąca przed nią młoda szatynka wyglądała bardzo szykownie w modnie skrojonym płaszczu i odpowiednio dobranym gustownym kapelusiku. Wokół niej unosiła się dyskretna, a zarazem przyjemna woń perfum. Wszystkie te atrybuty nie były dostępne dla przeważającej większości kobiet w PRL-u.

Anna westchnęła. Stojąca przed nią młoda kobieta zapewne nie była Francuzką, nie zmieniało to jednak faktu, że przybyła z kraju leżącego za żelazną kurtyną, a akcent bez wątpienia wskazywał na Francję.

„Czego ona może ode mnie chcieć? To musi być pomyłka”.

– Nazywam się Izabella Seigner – usłyszała i obie spojrzały sobie prosto w oczy.

Oczy... Brązowe, duże, łagodne... Na tym polegało podobieństwo między nimi.

– Nadal nie rozumiem. – Anna wypowiedziała te słowa niepewnie, wciąż nie odrywając spojrzenia od tamtej.

– Chciałabym z panią porozmawiać. To ważne.

Iza patrzyła jednak w dal, ponad głowę Anny, tak że ta, obejrzawszy się, natychmiast zrozumiała. Nieopodal wciąż stała Michalska i przypatrywała się całej scenie ze źle ukrywanym zainteresowaniem.

– Dobrze. Wyjdźmy na zewnątrz. – Mówiąc to, Anna skierowała się do wyjścia, a w ślad za nią ruszyła Iza.

Minęły dziedziniec szkoły w całkowitym milczeniu i dopiero gdy wyszły na

ulicę Wawelską i skierowały się w stronę placu Narutowicza, Anna zdecydowała się powtórzyć pytanie:

– W czym mogę pani pomóc? Nadal nie rozumiem...

– Może pani zwolnić?

– Słucham?

– Czy może pani iść wolniej? Prawie biegniemy...

Anna przystanęła i zmieszała się.

– Przepraszam panią – powiedziała zawstydzona. – Szybko chodzę. To dlatego, że stale się gdzieś spieszę...

– Rozumiem... – Iza uspokajała oddech i wreszcie się uśmiechnęła. – To ja przepraszam. Zaskoczyłam panią, a przecież ma pani swoje sprawy.

„Tak” – Anna nie starała się nawet zapanować nad goryczą. „Żebyś wiedziała...”

Popatrzyła na tamtą, a potem pomyślała, jak fatalnie musi wyglądać przy tej „Francuzce” w swoim schodzonym paletku i spłowiałym berecie nasadzonym na mysie włosy. Spostrzeżenie to nie wpłynęło kojąco na jej nastrój.

– Od kilku dni chciałam się z panią spotkać, ale nie byłam pewna, jak do tego doprowadzić. Nie chciałam zaskakiwać pani w domu.

W domu? Anna na moment stanęła jak zaczarowana.

– Zna pani mój adres? – wyjąkała zaskoczona.

– Tak. Potem... to pani wyjaśnię. To nie jest w tej chwili najważniejsze. Wołałam jednak nie zaskakiwać pani w mieszkaniu... tak bez żadnego wyjaśnienia, bez zapowiedzi.

„Dzięki Bogu” – Anna nie starała się nawet bronić przed tą myślą. Tylko tego brakowało, by ta elegancka kobieta zobaczyła zaniedbane mieszkanie Brzeskich. A dla Marcina byłaby to z pewnością okazja do kolejnej awantury. Marcin... A może ta elegantka właśnie z nim miała coś wspólnego? Może to ona? Nie, to absurd. Marcin nie miałby okazji poznać kogoś takiego. Zresztą, czy można być czegokolwiek pewnym?

– Proszę wyjaśnić, o co chodzi. Spieszę się. Muszę odebrać dziecko z przedszkola. – Nawet Annę zaskoczył oschły ton we własnym głosie.

– Jesteśmy rodziną – usłyszała w odpowiedzi i ponownie się zatrzymała.

– Co takiego? To pomyłka, proszę pani. Ja nie mam rodziny za granicą – odparła, ale w jej głosie zabrakło pewności.

„To z powodu zaskoczenia” – wytłumaczyła sobie ten fakt.

Iza uśmiechnęła się lekko.

– Słysząc, że przyjechałam z zagranicy?

– Jak najbardziej, proszę pani – odparła Anna bez cienia uśmiechu i znowu napotkała spojrzenie dużych brązowych oczu. Takich jak jej własne.

– To bez znaczenia. Jesteśmy rodziną.

– Powtarzam, że nie mam rodziny we Francji – powtórzyła dobitnie Anna, ale w tym momencie obudził się w niej strach.

Czyżby to jakaś prowokacja? Tylko – na miłość boską – z jakiego powodu? Od lat nikt się już nimi nie interesował. Zarówno ona, jak i jej bliscy przypuszczali, że wreszcie różne służby w tym państwie dały im już upragniony spokój.

– A pani siostra?

– Co takiego?

Anna patrzyła jak zakłęta. W głowie miała kompletną pustkę. Przestały do niej docierać jakiegokolwiek odgłosy rozpedzonej warszawskiej ulicy. Poruszyła ustami, ale w pierwszej chwili nie była w stanie wydobyć z nich żadnego dźwięku. Siostra... No tak, ale przecież... Ocknęła się z osłupienia, gdy potrącił ją jakiś biegnący przechodzień. Przywróciło jej to zmysły, a przynajmniej mogła już mówić.

– Ona nie żyje – szepnęła. – Przecież...

– Nie żyje – potwierdziła tamta i zaraz dodała: – Zgadza się. Jestem jej córką.

„No tak... Wszystko jasne. Jesteś jej córką. Nie, do cholery! Nic nie jest jasne”.

– Po co pani tu przyjechała? – spytała ostro Anna.

Uśmiech na twarzy Izabelli zamarł.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? Że wreszcie możemy się poznać?

Anna ruszyła z miejsca swoim zwykłym, szybkim krokiem i nie dbała już o to, czy tamta za nią nadaży, czy nie. Pewnie nie nadaży w tych swoich błyszczących pantofelkach na cieniutkim obcasie. I bardzo dobrze! Niech wraca, skąd przyjechała. Niech wraca do wygodnego życia w słodkiej Francji. Tutaj nikt jej nie potrzebuje. Tak właśnie trzeba to powiedzieć.

– Nikt tu na panią nie czekał. – Zabrzmiało to niczym warknięcie złego, ale zarazem też trochę przestraszonego psa.

– Na nią też tu nikt nie czekał? – usłyszała Anna i na moment ponownie się zatrzymała. W dużych brązowych oczach tamtej zobaczyła łzy. Jasna cholera! Że też obie musiały mieć tak podobne oczy!

– Siostry nikt stąd nie wypędzał. Uparła się, żeby wyjechać. I zerwała wszelkie kontakty z rodziną.

– Tak powiedzieli pani matka i brat?

Zabrzmiało to prowokacyjnie. Nieznajoma krewna z Francji przestała się miło uśmiechać i zachowywać potulnie. Nawet łzy z jej oczu gdzieś zniknęły. Anna miała wrażenie, jakby im obu wyrastały kolce.

– Tak właśnie było – odparła oschle. – Nie wiem, co powiedziała ci matka, ale...

– Napisała – przerwała Iza. – Nie zdążyła mi niczego powiedzieć. Nie

zdążyłam jej dobrze poznać.

Anna poczuła lekkie ukłucie, ale postanowiła nie pozwolić się wzruszyć. Nie da się sprowokować do pytań. Nie ma powrotu do tamtych spraw. I wtedy do niej dotarło, że wbrew sobie, zupełnie odruchowo, zwróciła się przed chwilą do tamtej w sposób zupełnie nieformalny. Czas naprawić ten błąd.

– To już bez znaczenia, proszę pani – rzekła wyniośle, ruszając z miejsca. – To mnie już zupełnie nie obchodzi.

– A może w takim razie zainteresuje pani matkę i brata?

Anna poczuła, jak wstępuje w nią furia. Gwałtownie przystąpiła do Izy, tak że ta mimowolnie się cofnęła.

– Zostaw w spokoju moją matkę. Już dość złego jej zrobiła ta twoja... Czego tu chcesz? Ona kazała ci przyjechać?

– Nie... Nie wprost.

– Miała dość czasu, aby osobiście nawiązać z nami kontakt – zaczęła Anna z oburzeniem i wtedy uzmysłowiła sobie, że Joanna tego czasu nie miała. Wyjechała z kraju w trzydziestym siódmym roku, a dwa lata później wybuchła wojna. Dwa lata to przecież za mało, by ochłonąć i spróbować wyjaśnić wszystko między skłóconymi ze sobą ludźmi. Potem kilka lat wojny, a po wojnie... No cóż, po wojnie nie wszyscy zdecydowali się wracać do kraju znajdującego się w zmienionej sytuacji politycznej, pogrążonego w nędzy. Ci zaś, którzy to uczynili, na ogół ciężko tę decyzję odpokutowali. Jak Maciek...

Pomiędzy dwiema kobietami zapadło na chwilę milczenie, które pierwsza przerwała Iza. Wykorzystując moment zawahania Anny, wyjęła z torebki wizytówkę i bez odrobiny onieśmienia, które cechowało ją na początku spotkania, wręczyła ją Brzeskiej.

– Gdybyś chciała jednak porozmawiać ze mną, to będziesz wiedziała, gdzie mnie szukać – powiedziała cicho i dodała: – Nie gniewaj się, ale musiałam spróbować...

Nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się na pięcie i odeszła w przeciwną stronę. Nawet nie spojrziała. Coś dławiło ją w gardle.

„Ma panienka siostrę. Dwa dni temu nasza pani urodziła córkę”.

Zatrzymała się. Przecież nie mogła bez końca iść przed siebie i zgubić drogi. Nie знаła tego miasta na tyle, by poruszać się po nim zupełnie swobodnie.

„Boże, ona ma rację. Po co tu przyjechałam? Co ja tu robię?” – pomyślała, wracając pamięcią do spotkania z Anną. „Przecież oni tu wcale na mnie nie czekali. Na moją matkę też nie, skoro ona sama nie ukrywała, co o nich myśli. Jej zapiski nie pozostawiają żadnych złudzeń...”

Dwa dni temu moja matka urodziła córkę. Tak powiedział Podhorecki i nie krył wzburzenia. Wiedziałam, w czym rzecz. Natychmiast to zrozumiałam. Matka

urodziła nowemu mężowi dziecko zaledwie cztery miesiące po ślubie. Nagle pojęłam znaczenie wszystkich komentarzy, jakie słyszałam za moimi plecami podczas uroczystości ślubnej. Wszystkie te tłumione, a niekiedy jawne chichoty. Wszystko stało się jasne. Matka ostatecznie skompromitowała się w moich, i nie tylko w moich, oczach. To, co zrobiła, oznaczało, że nie miałam ochoty jej widzieć ani mieć z nią jakkolwiek do czynienia.

Siostra? Wtedy była w moich oczach częścią tego wstydu, brudu i kompromitacji. Niczym więcej.

ROZDZIAŁ 4

Gdy zdyszana dotarła do przedszkola, zbliżało się już wpół do piątej. Niedobrze. Dyżurująca przedszkolanka z pewnością okaże swoje niezadowolenie. Teoretycznie placówka była otwarta do piątej, ale od godziny czwartej po południu na posterunku zostawały tylko dwie wychowawczynie, a bywało, że jedna, na ogół bardzo z tego faktu niezadowolona, pomimo że pod jej opieką pozostawała nieliczna już gromadka maluchów z różnych grup. Większość rodziców bowiem, świadoma tego niezadowolenia, robiła, co tylko mieściło się w granicach ich możliwości, aby dziecko odebrać przed zaczarowaną czwartą po południu. W razie konieczności posiłkowali się pomocą babć lub opiekunek. Anna nie mogła liczyć na nikogo. Na ogół plan lekcji w szkole pozwalał jej odebrać dziecko niedługo po przedszkolnym podwieczorku, czyli w granicach trzeciej trzydzieści. Wyjątek stanowiły wtorki. Kończyła wtedy zajęcia przed szesnastą i gnała co sił w nogach, aby nie nadużywać cierpliwości pań. A – jakby tego było mało – właśnie dziś cenny czas zabrała jej „krewna z Francji”, co dodatkowo nie usposobiło Anny przychylnie wobec tamtej. Nareszcie jednak, spocona i zziębnięta, oznajmiła woźnej swoje przybycie, a ta, mrużąc coś pod nosem, podążyła do sali, gdzie przebywały maluchy. Zwykle Krzyś wybiegał na jej spotkanie sam, radosny i w podskokach. Tym razem zamiast niego pojawiła się przedszkolanka, pani Krysia – Anna rozpoznała ją od razu i westchnęła w duchu. Pani Krysia należała bowiem do tych najmniej sympatycznych, wiecznie niezadowolonych pracownic przedszkola.

„Nie powinnam się jej czepiać. Za kilka lat będę wyglądała tak jak ona i kto wie, czy nie będę się identycznie zachowywać. W każdym razie jestem na dobrej drodze do tego” – przemknęło jej przez myśl, ale w tym momencie poczuła, że włosy stają jej dęba na głowie ze strachu.

Co z Krzysiem? Dlaczego nie towarzyszy swojej wychowawczyni?

Otrzymała odpowiedź, zanim zadała te pytania na głos. Odpowiedź zresztą spotęgowała jej przerażenie.

– Pani mąż odebrał dziecko, trzy godziny temu.

O Boże, chciała krzyknąć Anna. Boże, tylko nie to, błagam, ulituj się nade mną. A może to zły sen?

Patrzyła ze zgrozą w oczy tamtej i nie była w stanie wydusić następnego pytania. Co się stało?

Trzy godziny temu? Przecież Marcin nie odbierał Krzysia z przedszkola prawie nigdy. Uważał, że to jej psi obowiązek. Podobnie jak pozostałe obowiązki w ich cholernym domu. Tak właśnie mówił. A potrafił wyrażać się jeszcze dosadniej. W tym cholernym burdelu, mówił, gdzie nigdy nic nie stoi na miejscu, panuje wieczny bałagan, bo jego cholerna żona, urodzona jako panienka we dworze, ma dwie lewe ręce do roboty. W każdym razie, zdaniem Marcina, Anna,

jako nauczycielka, dysponowała nadmiarem czasu i powinna chociaż jedną rzecz zrobić dobrze – o odpowiedniej godzinie odebrać dziecko z przedszkola, potem zając się synkiem i starszą córką. On jako pracownik Instytutu Lotnictwa przebywał w swoim zakładzie zdecydowanie dłużej niż pracująca w szkole żona, a bądź co bądź jego zajęcia wymagały więcej wysiłku. Tego typu opinie wyrażał przy każdej okazji. Anna, żyjąc z tym człowiekiem przez kilka lat pod jednym dachem (jego dachem – jak mawiał), nauczyła się niejednego, a już na pewno tego, aby nawet nie próbować wchodzić z nim w dyskusje.

Jeśli tym razem to on odebrał Krzysia, nie mogło to oznaczać niczego dobrego. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko skupić swoje rozbiegane, pełne przerażenia myśli i wysłuchać wymówek pani Krysi.

– Przeprowadziła dziś pani do przedszkola chore dziecko – tak zaczęła się ta litania. – Krzys od rana skarżył się, że boli go główka i brzusek. To nieodpowiedzialne, proszę pani. W tej placówce przebywa dużo dzieci, a potem ich rodzice mają do nas pretensje, że ich pociechy zarażają się od chorych kolegów.

„Ciekawe... Jak do tej pory to wy macie pretensje do rodziców. O wszystko” – pomyślała zjadliwie Anna, ale nie powiedziała tego na głos. To byłoby wysoce... nieroztropne. Na nieliczne uwagi, na które faktycznie ten czy ów rodzic czasem się odważył, odpowiedź była jedna. Jeśli się komuś nie podoba przedszkole, można zabrać dzieciaka. Na każde miejsce czeka kolejka chętnych. Kolejka! Jak po wszystko w tym kraju. Takie słowa skutecznie zamykały usta „pieniaczom”. Niemal każde dziecko zapisane do tej placówki zawdzięczało ów przywilej znajomościom bądź różnym pokątnym układom całej rodziny. W przypadku Krzysia też tak było. W ruch zostały wprowadzone rozliczne koneksje teściowej, zdaje się, jakiś kuzyn jej krawcowej. Jednak mniejsza z tym. Teraz musiała skupić się na czym innym.

– Dlaczego nie zadzwoniły panie do sekretariatu szkoły, w której pracują? – spytała słabym głosem.

Nie było w tym pytaniu nawet nutki pretensji. Wychowawczynie odniosła jednak zgoła inne wrażenie. Pytanie w każdym razie zirytowało ją w najwyższym stopniu.

– Ależ dzwoniłyśmy, jakżeby inaczej! Niestety nie doczekałyśmy się pani!

No tak! Zapewne sekretarka w liceum albo zapomniała o tym telefonie, jak tylko odłożyła słuchawkę, albo uznała, że to nie jej problem. W przypadku Trzeciakowskiej oba rozwiązania były możliwe. Tym bardziej jeśli wiadomość z przedszkola nadeszła w czasie lekcji, a jedną z nadrzędnych zasad szkoły, w której pracowała Anna, było niewywoływanie nauczyciela z lekcji do prywatnej rozmowy telefonicznej.

Dalej już wszystko było jasne. Pani Krysia mogła sobie darować wyjaśnienia. Ponieważ jednak o tym nie wiedziała, kontynuowała swą wypowiedź,

obserwując przy tym z nieskrywaną ciekawością malujące się na twarzy Anny przerażenie.

– Wobec tego zadzwoniłyśmy do miejsca pracy ojca Krzysia. To przecież naturalne w tej sytuacji, prawda?

„Nie, do cholery, nie, nieprawda!” – krzyczała, choć tylko w myślach, coraz bardziej spanikowana Anna.

– Przyjechał i zabrał dziecko do domu – zakończyła przedszkolanka, a Anna była niemal pewna, że usłyszała w jej głosie złośliwą satysfakcję. Zaraz jednak przywołała się do porządku. Mogła nie lubić pani Krysi za jej humory, za wieczne niezadowolenie na jej twarzy i w sposobie mówienia, ale przecież nie powinna wpadać w paranoję i doszukiwać się zła tam, gdzie go nie było. Nie mogło być. Pani Krysia ani nikt inny w przedszkolu nie znał szczegółów małżeńskiego bytowania Anny. Mało kto zresztą wiedział cokolwiek na ten temat. Główni zainteresowani skutecznie o to zadbali. Krzyś także nie należał do wylewnych, jeśli chodzi o sprawy rodzinne, dzieci.

– W takim razie idę, do widzenia pani – rzekła cicho Anna, z trudem rozpoznając własny głos.

Dopiero wtedy wychowawczynie bacznie się jej przyjrzała.

– No, już dobrze... Na szczęście nie ma powodu do nerwów. Tata zajął się dzieckiem i nie musiało siedzieć chore tyle godzin w sali przedszkolnej i zarażać innych. Radzę jednak zaprowadzić je do lekarza. Wątpię, czy mąż to zrobił. Mężczyźni w tych sprawach są bardzo opieszali i sobie nie radzą. Wszystko na ogół jest na głowie matek. Taki jest świat i nic na to nie poradzimy. A pani mąż był taki zdenerwowany i raczej nieprzyjemny, że wołałyśmy już niczego mu nie doradzać.

„No jasne, jak wszyscy” – myślała ponuro Anna, zbliżając się do domu. Marcin miał pod tym względem niezaprzeczalny talent. Sprawił, że wszyscy wokół, obawiając się jego ciętego języka i upiornych niekiedy reakcji, starali się nie popadać z nim w konflikty i nie prowokować awantur.

Ona nie miała wyboru, była skazana na tego człowieka. Gadanie przyjaciółki i szwagierki, które namawiały ją, by postawiła się okoniem, a nawet odeszła od męża, jedynie ją drażniło. Dokąd miałyby odejść z dwojgiem dzieci? Do matki? Matka by tego nie przeżyła. Anna dokonywała niemal cudów, by rodzicielka nie poznała całej prawdy o jej małżeństwie. Odejść od męża?! Nie mając mieszkania ani pieniędzy, Anna mogła co najwyżej o tym pomarzyć. Nie mówiąc już o piekle, jakie rozpętałoby się w całej rodzinie. Nie, nie mogła sobie pozwolić na luksus odejścia, a na samą myśl o sprawie rozwodowej, kwestii alimentów i przyznania opieki nad dziećmi robiło jej się słabo. Znając męża, wiedziała, że byłby w swoim żywiole, mogąc przy tej okazji wszczynać wściekłe awantury. Prawdopodobnie ona by tego nie wytrzymała i cała sprawa zakończyłaby się nie tyle rozwodem, co jej

pogrzebem.

Pochłonięta ponurymi refleksjami, które przecież nie były jej obce, nawet nie spostrzegła, że stała już przed swoim blokiem. Dopiero wtedy poczuła, że drży, a nogi uginają się pod nią, jakby były z waty.

„Boże, co mnie tam, na górze, czeka...”

Weszła do klatki schodowej, a widok odłóżającej warstwami ze ścian brudnej farby, zniszczonej podłogi i pękniętej szyby na pierwszym piętrze dodatkowo ją przygnębił.

„Jak nisko upadłam, by trzymać się pazurami takiej egzystencji. By nie mieć żadnej alternatywy. A przecież wyrosłam wśród ludzi o zupełnie innym sposobie bycia”.

Nagle przypomniała sobie Izabellę Seigner, ale nie miała już czasu dłużej o tym myśleć, bo drzwi na drugim piętrze otworzyły się tak gwałtownie przed jej nosem, że aż podskoczyła ze strachu. Marcin zdecydowanym ruchem wciągnął ją za łokieć do mieszkania.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewała? – warknął.

– Skończyłam lekcje przed czwartą, pobiegłam do przedszkola i tam mi powiedzieli... – tłumaczyła się bezradnie, czując, że to na nic. Marcin i tak wiedział swoje. Miał własną wersję zdarzeń. I nie miało dla niego znaczenia, czy ta wersja jest prawdziwa, czy nie. Sam jej to kiedyś wyjaśnił. Że nie obchodzi go taka bzdura jak prawda obiektywna. Że liczy się dla niego jedynie ta prawda, w którą on wierzy. Słuchając go wówczas, czuła się bezsilna. Miała pustkę w głowie. Tak już było od lat, gdy tylko do niej mówił. Tak było i teraz.

– Co za bezdenna idiotka – cedził słowa, nie spuszczać z niej wzroku, w którym czytała bezgraniczną pogardę, nienawiść i obrzydzenie. – Co za krowa! I pomyśleć, że mam z takim gównem dożywocie.

Słyszała te słowa setki razy – nawet Marcin nie potrafił bez końca wymyślać nowych obelg – i reagowała tak jak zawsze. Kuliła się w sobie, z trudem hamowała łzy zbierające się pod powiekami. Daremny trud! Przecież i tak za chwilę popłyną.

– Tylko ryczeć potrafisz! – Słuchała bezradnie. – Tylko to ci dobrze wychodzi. W domu burdel, wszystko się lepi od brudu, niczego nie potrafisz dobrze zrobić.

„Nieprawda” – buntowała się w myślach.

Nieprawda. Nie mieli pieniędzy na nowe meble, w dalszym ciągu to były te same stoły, krzesła, szafy i łóżko, które Marcin wraz z tym małym, нефункциональным mieszkankiem odziedziczył po bezdzietnej ciotce. Łóżko dla dzieci kupili im w prezencie teściowie. Dywan do dużego pokoju sprezentowała im jej matka. Nawet cerata na stole w kuchni należała kiedyś do zmarłej ciotki. Łazienka i kuchnia nie były remontowane od lat. Anna mogła sobie urobić ręce po łokcie, a nie przywróciłyby starym meblom i sprzętom ich dawnego blasku. O ile

kiedykolwiek takowy posiadały. Znowu przypomniała sobie dwór w Bolesławicach, zanim razem z matką i bratem musiała się stamtąd wynieść przed laty – po tak zwanym wyzwoleniu. Na Bolesławicach położyła łapy władza ludowa... więc zapewne do tej pory tamtejsze meble wyglądały tak jak te, w jej obecnym miejscu zamieszkania. W mieszkaniu jej męża.

„Spójrz, z kim się zadajesz”.

Do końca życia słowa brata i matki będą jej dźwięczeć w uszach. Wtedy, przed dziewięcioma laty, nie chciała ich słuchać. Była śmiertelnie oburzona, że najbliżsi nie potrafią cieszyć się jej szczęściem. Że są tacy nieżyciowi. Nie potrafią przystosować się do nowej rzeczywistości. Uznać pewnych faktów za dokonane. Trzymają się dawnego, przedwojennego, przestarzałego, jej zdaniem, systemu wartości i wedle tamtych zamierzonych reguł oceniają innych ludzi. Ona, wpatrzona w Marcina, widziała jego uśmiech, wysportowaną sylwetkę, piękne oczy i gęste kruczoczarne włosy. Od pierwszego wejrzenia zakochała się w tych oczach i iskrzącym humorze, zachwycił ją jego nieokiełznany temperament i apetyt na życie, korzystanie z uroków tego życia pełnymi garściami. Tylko to się wtedy dla niej liczyło. Aha, i jeszcze to, że żadna z jej koleżanek nie miała tak przystojnego chłopaka. Który w dodatku świetnie tańczył. I uprawiał wspinaczkę wysokogórską. Ależ była nim zachwycona, zauroczona, szczęśliwa! Wtedy. Oprzytomniała dopiero tej nocy, gdy po raz pierwszy obrzucił ją stekiem wywisk, jakich nigdy dotąd nie słyszała z ust najbliższych jej ludzi, a także przyjaciół, kolegów i znajomych. Ale wtedy już było za późno, by coś z tym zrobić. Wtedy na świecie była już Kasia.

– Nie zauważyłaś rano, że dzieciak jest chory? – Cały majstersztyk podobnych wypowiedzi Marcina polegał na tym, że mąż raczej nie podnosił wtedy głosu. Mówił spokojnym, beznamiętnym tonem, a przy tym tak lodowatym, że Anna zawsze niemal fizycznie czuła, jakby sopel lodu wwierał się jej w mózg i do serca.

– Nie, rano wszystko było z nim w porządku – odparła cichym, a zarazem piskliwym tonem.

Nienawidziła takiego brzmienia swojego głosu, ale nie potrafiła nad tym zapanować. Właściwie nawet rozumiała, dlaczego, gdy Marcin słyszał taki pisk, wyzwalala się w nim agresja. Która nigdy nie przejawiała się w czynach, a jedynie w słowach. Nigdy jej nie uderzył. Nie musiał. Słowa, które do niej kierował, tembr jego głosu, spojrzenie raniły ją nie mniej boleśnie, niż mogły to zrobić uderzenia. Była tego pewna.

– Jesteś kompletną kretynką – skwitował. – Ale mniejsza z tym. Na to już nic nie poradzę. Gorzej, że z powodu twojej głupoty musiałem wyjść wcześniej z biura, wytłumaczyć się przed kierownikiem, a następnie stać jak palant przed jakąś grubą babą w przedszkolu i słuchać jej durnych uwag. Nie widzę powodu, dla

którego miałbym odpowiadać za twój debilizm.

Na tę uwagę Anna także nie udzieliła odpowiedzi. Za plecami Marcina zobaczyła natomiast Kasię stojącą w drzwiach dziecięcego pokoiku i z trudem się do niej uśmiechnęła. Wykonała taki ruch, jakby chciała wyminąć męża, ale w ciasnym przedpokoju okazało się to niemożliwe. Tym bardziej że Marcin, nie przejmując się obecnością córki, nie zamierzał zakończyć tyrady.

„Że też mu się to nie znudzi” – pomyślała ze zmęczeniem Anna. „Jest pod tym względem gorszy niż najbardziej gderliwa baba. Jest nienormalny”.

Ostatnie spostrzeżenie sprawiło, że niespodziewanie dla samej siebie nabrała trochę odwagi.

– Muszę zajrzeć do Krzysia – oznajmiła spokojnie, a wyraz zaszczutego zwierzęcia zniknął z jej twarzy.

W oczach Marcina pojawił się na moment ten znany jej już niebezpieczny błysk. Wiedziała jednak, że na tym się skończy. Już kilka razy spostrzegła, że gdy zdołała opanować strach, Marcin ustępował. Szkoda tylko, że tak rzadko potrafiła się na to zdobyć.

Usunął się nieco na bok, tak że mogła przejść dalej. Siedmioletnia Kasia natychmiast do niej przyłgnęła.

– Jak się czuje Krzys? – spytała, zwracając się do córeczki.

– Jej się pytasz, głupia krowo?! – Tym razem Marcin podniósł głos. Czasem mu się to zdarzało. Na przykład w takich sytuacjach jak ta – gdy mimowolnie okazał, że jej opanowanie budzi w nim obawę wymuszającą coś w rodzaju niechętnego respektu.

Anna drgnęła i natychmiast zauważyła identyczną reakcję u dziewczynki.

„Ty bydlaku, ażebyś wreszcie zdechl” – wymówiła, rzecz jasna znowu tylko w myślach, nawiedzając ją od czasu do czasu przagnienie.

– Mówię do ciebie! – Marcin dał się ponieść wściekłości. – Spieszę się na pociąg, a zamiast tego muszę czekać w domu jak jakiś głupek, bo ty nie potrafisz nawet wywiązać się z tej jednej jedynej roli, jakiej jeszcze od ciebie oczekuję, to znaczy siedzieć w domu i pilnować dzieciaków.

Nie wytrzymała.

– Nie wspominałeś mi wcześniej, że gdzieś wyjeżdżasz – powiedziała, rzuciwszy mu spojrzenie z ukosa.

– Bo co, do cholery? Mam cię prosić o pozwolenie, tłumaczyć ci się z tego, co robię?! – Najwyraźniej się rozkręcał. – Haruję jak wół, aby utrzymać ten burdel, i jeszcze mam się spowiadać?

„Zarabiasz niewiele więcej ode mnie” – pragnęła mu to przypomnieć, ale tym razem nie żałowała, że nie powiedziała tego na głos. Nie musiała mu bowiem przypominać o takich sprawach. Sam to wiedział, choć nieudolnie robił, co mógł, by zakłamać i tę rzeczywistość. Tego jednak nie potrafił. Dobrze wiedział, ile

zarabiał, i prawdopodobnie to potęgowało jego agresję. Dlatego Anna wołała mu tego nie wypominać. Teraz liczyło się dla niej jedno – żeby wreszcie wyszedł z domu, zanim ten cholerny pociąg ucieknie mu sprzed nosa.

– Dokąd jedziesz? – spytała, choć nawet i to pytanie mogło okazać się dla niej ryzykowne. Musiała jednak wiedzieć. Musiała wiedzieć, ile czasu będzie mogła cieszyć się spokojem spowodowanym jego nieobecnością. Poza tym żaden inny aspekt jego częstych wyjazdów jej nie interesował. Już nie.

– Bo co? – odparł zaczepnie, ale spodziewała się takiej reakcji.

Poczuła, że nie ma już siły na tę „rozmowę”. Ani na patrzenie na niego.

– Nieważne. – Wzruszyła z rezygnacją ramionami, modląc się, by wreszcie się wyniósł. Nie daj Boże, by zmienił zdanie i zdecydował się jednak zostać. Było to wprawdzie mało prawdopodobne, ale któż to mógł wiedzieć? Ona w każdym razie wiedziała, że mogła spodziewać się po nim wszystkiego.

Jej reakcja wzbudziła w nim nowe podejrzenie, więc Anna zaczęła się już nie na żarty obawiać, że mąż porzuci jednak plany wyjazdu i zostanie. Jednak tak się nie stało.

– Jadę do Wrocławia w delegację. Wracam w piątek – odezwał się nadspodziewanie spokojnie.

Anna poczuła się tak, jakby w jednej chwili skrzydła wyrosły jej u ramion. Z trudem opanowała się, by nie zacząć krzyczeć i tańczyć z radości. Boże drogi! W środę, czwartek i do tego jeszcze przez cały wtorkowy wieczór będzie miała spokój. Ona i jej dzieci. Razem, we trójkę, wspaniale spędzą czas. Jak zawsze, gdy Marcina nie było w domu. A zdarzało się to dość często. Średnio co dwa, trzy tygodnie. Anny nie obchodziły już szczegóły tych delegacji. Na początku domyślała się, przeżywała, płakała. Potem coś w niej pękło i zaczęła dostrzegać zalety tego stanu rzeczy. Do tych zalet należały kradzione godziny spokoju. Dlatego kiedy już ponad wszelką wątpliwość wiedziała, dlaczego tak często starał się wyjeżdżać właśnie do Wrocławia, nie miało to już dla niej znaczenia. Wręcz przeciwnie – marzyła, by zechciał tam w końcu zostać, by zamieszkał na stałe z tamtą kobietą, której nie poznała i nie zamierzała poznać. Niestety, Marcin wolał nie podejmować takiego ryzyka. Znacznie bardziej odpowiadały mu romantyczne i upojne spotkania – bez stałego zobowiązania. Podobnie jak żona cieszył się wykradanymi chwilami szczęścia. Podobnie, a zarazem inaczej. W każdym razie nie zamierzał zamieniać romantyzmu sporadycznych spotkań na kolejny stały związek, którego nieuchronną konsekwencją była codzienna rutyna, czyli, w jego przekonaniu, koszmarna, frustrująca nuda zabijająca każdą miłość.

Najważniejsze jednak, że wreszcie wyszedł. Razem z Kasią usłyszały jeszcze jego kroki na schodach a potem trzaśnięcie drzwi od klatki schodowej. I obie – jak na komendę – odetchnęły.

Nie, tak nie powinno być. Mniejsza o nią samą, ale jej dzieci powinny mieć

inne dzieciństwo. Anna z rozrzewnieniem wspominała własne. Czasów sprzed wojny nie mogła dobrze pamiętać. Miała niespełna cztery lata, gdy zakończył się szczęśliwy czas pokoju, mimo to zachowała trzy czy cztery urywki wspomnień. Zapamiętała dostatek i piękno majątku w Bolesławicach. Zapamiętała pełną miłości atmosferę tamtego miejsca. Pamiętała, jak była kochana przez swoich rodziców. Potem wybuchła wojna i ojciec, zawodowy oficer, zniknął z ich życia na siedem długich lat. Wrócił dopiero pod koniec czterdziestego siódmego roku. A kilka lat później został aresztowany. I znowu go nie było przez następnych kilka lat. Potem się pojawił, ale już nie było tak samo jak wcześniej. Z więzienia na Mokotowie wrócił zupełnie inny człowiek, chory, zmęczony i nieobecny duchem. Matka jednak w dalszym ciągu go kochała i opiekowała się nim wytrwale do samego końca. Zmarł niedługo po wyjściu na wolność, w pięćdziesiątym szóstym roku, gdy Anna miała dwadzieścia jeden lat. Nie przypominała sobie, by jej ojciec kiedykolwiek odezwał się do żony w przykry sposób, z niechęcią, ze złością. Gdyby wiedział, jak traktowana jest przez swojego męża jego jedyna, ukochana córka!

„Dobrze, że tego nie doczekałeś, tato. O niczym bym ci nie powiedziała, podobnie jak mamie, ale ty z pewnością domyśliłbyś się wszystkiego. Próbowałbyś z tym walczyć, miałbyś kolejną troskę w swoim ciężkim życiu. Ty także nie dałbyś rady Marcinowi, nie miałeś już sił do walki. Tak czy owak, skróciłoby to twoje życie. Wolę zapamiętać cię takim, jakim byłeś, gdy pomału odchodziłeś, gasłeś w naszych oczach, ale przynajmniej miałeś spokój”.

Wspomnienie o ojcu znowu przypomniało jej o spotkaniu z Izabellą Seigner. A pod wpływem zajścia w przedszkolu i potem awantury w domu niemal o tym zapomniała. Dopiero teraz, gdy zaczęła myśleć o rodzicach, o ojcu... od razu stanęła jej przed oczami ta dziewczyna z Francji.

„Uważasz, tato, że powinnam się z nią zobaczyć i jej wysłuchać?” – spytała w myślach. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej wizytówkę. Ładnie wydrukowany francuski bilecik.

– Mamo... – w tym samym momencie usłyszała z pokoju dzieci słaby głos synka.

Natychmiast wróciła do rzeczywistości. Pięcioletni Krzyś leżał pod kocem na tapczanie, ale wbrew jej obawom nie wyglądał źle. Dotknąwszy jego czoła, stwierdziła, że nie ma gorączki. Natomiast uśmiechał się do niej figlarnie.

– Jak się czujesz, kochanie? Pani Krysia powiedziała mi, że jesteś chory.

– Bolał mnie brzuch – potwierdził z powagą, a następnie ni z tego, ni z owego, jakby zadając kłam wcześniejszym słowom, podskoczył na łóżku. – Ale już mnie nie boli. Adasia z mojej grupy też bolał brzuch i pani zadzwoniła po jego mamę.

– I co? Przyjechała? – Anna w duchu złażała sama siebie za tę niewczesną

ciekawość i ulgę, że nie tylko ona (i Marcin – dodała w myślach gwoli sprawiedliwości) doświadczyła pouczenia ze strony wychowawczyni przedszkolnej.

– Przyjechała. I była bardzo zła. Pani Krysia nawet ją przeproszała, sam słyszałem.

„Coś podobnego! Więc jednak można i tak?!”

– Mama Adasia powiedziała... – Krzyś ściszył głos do konspiracyjnego szeptu, jakby w obawie, że ktoś jeszcze poza matką i siostrą mógł go usłyszeć. – Powiedziała, że to dlatego dzieci chorują, że zupa mleczna była niedobra. Powiedziała, że się komuś na to poskarży...

„Chyba że tak... Chyba że zna dobrze kogoś, komu można się skutecznie poskarżyć. Nie wszyscy mogą pozwolić sobie na taki luksus” – pomyślała markotnie Anna. Zaraz jednak odgoniła od siebie smutne refleksje. Najważniejsze, że miała przed sobą dwa pełne dni bez Marcina.

Postanowiła, że następnego dnia nie zaprowadzi Krzysia do przedszkola, tak na wszelki wypadek. Szczęśliwie w środy miała mało lekcji w szkole i wczesnie wracała do domu. Niemniej trzeba będzie poprosić kogoś, aby posiedział z dzieckiem. Sam przecież nie zostanie w domu przez kilka godzin. Mogła zadzwonić do Zosi, do szwagierki. Zawsze bardzo dobrze dogadywała się z siostrą Marcina. Może dlatego, że Zosia niespecjalnie ceniła brata, a nawet niejednokrotnie mówiła wprost, że Anna zrobiła wielką łaskę, zwracając uwagę na „takiego patałacha”.

– Przed wojną twoja rodzina nazwałaby to mezaliansem – powiedziała kiedyś Annie.

Anna roześmiała się w odpowiedzi.

– Moja rodzina nazwała to mezaliansem, choć od zakończenia wojny minęło parę lat, a w dodatku mamy przecież socjalizm, który wykreślił słowo „mezalians” ze słownika.

– No sama widzisz. Lubię twoją rodzinę.

Zosia nie wahała się mówić tego nawet przy własnych rodzicach, bez względu na to (a może właśnie dlatego), że jej matka była zakochana w Marcinie.

Poza tym nigdy nie odmawiała Annie pomocy, zwłaszcza w opiece nad dziećmi, choć miała dwadzieścia dwa lata, studiowała i nie w głowie były jej jeszcze domowe obowiązki. Uwielbiała jednak swoich małych bratanków. Od czasu do czasu nawet odbierała Kasię ze szkoły, choć dziewczynka na ogół radziła sobie sama z powrotami do domu. Anna pamiętała, że w środy szwagierka zaczyna zajęcia dopiero około trzynastej. W sam raz, by ona zdążyła wrócić do domu.

„Zadzwoń i zapytam. W razie czego poproszę moją matkę”.

Szkopuł jednak w tym, że zarówno jedna, jak i druga z tych kobiet zainteresują się nieobecnością Marcina. W dodatku Zosia nie zostawi tego bez

komentarza. Matka chyba także zacznie coś podejrzewać. A Anna nie zamierzała niczego im wyjaśniać. Była już zbyt zmęczona, by rozstrząsać sprawy, wobec których czuła się kompletnie bezradna, a słuchanie lamentów i tak zwanych dobrych rad, udzielanych zapewne z głębi serca, ale kompletnie jej nieprzydatnych, jedynie dodatkowo ją frustrowało.

„Pomyślę o tym później, gdy dzieci pójną spać. A potem otworzę wino i poczytam. Dziś zrobię sobie urlop od sprawdzania klasówek. Ostatecznie takie święto jak wieczór bez Marcina nie zdarza mi się aż tak często, jak bym tego chciała. Że też ten bydlak nie potrafił sobie znaleźć kogoś w Warszawie. Częściej miałabym go z głowy”.

Roześmiała się na głos w reakcji na to spostrzeżenie.

– Dlaczego się śmiejesz, mamusiu? – spytała Kasia, otwierając szeroko duże brązowe oczy. Takie jak oczy jej matki. I – być może – jak oczy jej ciotki. Ciotki, której Kasia nigdy nie poznała. Siostry, której Anna nie pamiętała. Za to miała dziś okazję poznać jej córkę.

– Dlaczego się śmiejesz, mamusiu? – powtórzyła Kasia i z uśmiechem dotknęła policzka matki.

A uśmiechała się dokładnie tak samo jak tamta... jak Izabella Seigner.

„Co w tym dziwnego, skoro tamta to moja... siostrzenica”.

– Przypomniałam sobie coś – odpowiedziała, wiedząc, że dziecko tak łatwo nie ustąpi w dociekaniach.

– Co to takiego?

– Najpierw coś zjemy. – Podniosła się.

Idąc do kuchni, cały czas ścisnęła w dłoni wizytówkę Izabelli Seigner.

ROZDZIAŁ 5

– Nie pogniewasz się więc, że nie zdążę wrócić przed dwunastą? – upewniła się jeszcze przed samym wyjściem, choć nie było takiej potrzeby. Cały plan dnia został omówiony i dopracowany w najdrobniejszych szczegółach już wczoraj, w późnych godzinach wieczornych, a nawet nocnych. – Moja matka przyjedzie tu o wpół do dwunastej, tak że spokojnie zdążysz...

– Idź już, bo skończy się na tym, że to ciebie wyleją z pracy. Jaka ta twoja robota jest, taka jest, ale lepsza niż żadna – odpowiedziała Zosia.

Tak jak należało się tego spodziewać, przyszła już o siódmej rano, choć podkrążone ładne, ciemne oczy świadczyły o tym, że poprzedniego wieczora trochę pobalowała. Anna przytuliła ją z wdzięcznością i zarazem żalem skierowanym do samej siebie, dlaczego przed laty, gdy sama miała prawie tyle lat, ile obecnie jej młoda szwagierka, nie posiadała tyle rozumu, co ona.

„Nawet dziesiątej części tego rozumu” – dodała w myślach, by dodatkowo się pograżać. „Zamiast tego zakochałam się jak idiotka w zwykłym psychopacie, i to tylko dlatego, że był przystojny i potrafił, jak to teraz mówi młodzież, dobrze bajerować”.

Zosia wysunęła się delikatnie z jej objęć i popatrzyła z powagą.

„O nie” – jęknęła w duchu Anna. Nie miała wątpliwości – zaraz się zacznie. Że też pozwoliła sobie na czułe gesty, wiedząc, że sprowokuje tym szwagierkę do pytań. I to niezależnie od faktu, że przed chwilą Zosia sama poganiała ją, by już wreszcie poszła do pracy. Nie, nie można dopuścić do tych pytań, zwierzeń i kolejnych bezsensownych dobrych rad.

– Nie mogłam odwołać tego spotkania – skłamała, by zyskać na czasie i wyjść, zanim Zosia zacznie mówić to, co zapewne już wczoraj zaplanowała jej oznajmić. – Naprawdę...

– Przestań gadać bzdury – przerwała jej kategorycznie szwagierka, tak jakby była jej matką, a nie osiem lat młodszą powinowatą. Zaraz jednak, już spokojnie, niemal tkliwie, dodała: – Cieszę się, że masz okazję gdzieś wyjść i wreszcie z kimś się spotkać. Od dawna uważam...

– Daj spokój. Mówisz tak, jakby chodziło o randkę – zachnęła się Anna i w tym momencie, jakby zadając kłam własnym słowom, zaczerwieniła się.

– Wcale tak nie myślałam – powiedziała z uśmiechem Zosia – choć nie miałabym nic przeciwko temu, aby tak było. Ten patałach, mój dumny braciszek, zasłużył sobie na to aż za bardzo.

– Ja... – zaczęła Anna i przerwała. Sama nie wiedziała, co mówić dalej.

Zosia jednak na to nie czekała.

– Gdzie on jest? – spytała i znowu, nie czekając na odpowiedź bratowej, sama stwierdziła: – Rozumiem. We Wrocławiu.

– Nagła delegacja... – Anna czuła, że zachowuje się i mówi jak kretyńka, i nienawidziła w tym momencie samej siebie.

„On ma rację. Jestem głupią krową. To przecież prawda. O co ja mam do niego pretensje? O Boże...”

– Aniu, wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale ja muszę... Ja nie mogę przestać o tym mówić. Powinnaś...

– Muszę biec do pracy. Jeśli się spóźnię, dyrektorka chyba urwie mi głowę. Śniadanie dla Krzysia stoi na stole w kuchni. Kasiu, biegniemy – Anna zwróciła się do stojącej już na klatce schodowej córeczki, po czym wyszła na korytarz, zamykając drzwi przed nosem Zosi.

Biegnąc do pracy, miała istotnie mało czasu na refleksje. Zostawiła córeczkę pod osiedlową podstawówką, a sama w te pędy udała się na przystanek autobusowy. Oczywiście, jak zwykle o tej porze, był niemal czarny od kłębiącego się tłumy oczekujących. I oczywiście autobus jak zwykle się spóźnił i wreszcie – oczywiście – niemal wszyscy mieli zamiar wepchnąć się do tego właśnie pojazdu.

„Skaranie boskie” – myślała Anna, rezygnując z dostania się do jego wnętrza. „Kolejny absurd w tym kraju. Dlaczego najczęściej oczekiwany na tej trasie autobus jeździ rzadziej niż inne, które opuszczają przystanek prawie puste?”

Wpadła do szkoły równo z dzwonkiem. Przed pójściem na lekcje musiała poprawić fryzurę, jako że gumka zsunęła się z jej prostych, cienkich włosów, które teraz smętnie wisiały wokół zmęczonej twarzy. Nie miała rzecz jasna czasu na uczesanie się przed lustrem w pokoju nauczycielskim. Jedyne, co mogła zrobić, to przegrabić dłonią włosy, gdy przemierzała korytarz szkolny. W drugiej ręce trzymała dziennik. Zdążyła jednak zerknąć w lustro przed opuszczeniem pokoju i serce w niej zapłakało.

„Pomyśleć, że mam dopiero trzydzieści lat. Wyglądam strasznie. Moja matka, starsza ode mnie o trzydzieści sześć lat, prezentuje się o niebo lepiej. A urodziłam się jako panienska we dworze. Miałam być damą”.

Usiadła przy biurku i bez cienia sympatii patrzyła na zajmującą miejsca młodzież.

Zmienić, ach, zmienić coś w tym życiu! Zacząć wreszcie odcinać te dobre kupony. Zanim będzie za późno.

O ile już nie było za późno.

Niechętnie otworzyła starą kosmetyczkę, w której trzymała przybory do pisania, i natychmiast rzuciła się jej w oczy mała karteczka. Ach tak! To przecież wizytówka Izabelli Seigner. Anna przypomniała sobie, że w roztargnieniu włożyła ją właśnie tutaj, gdy zadzwoniła do tej kobiety i umówiła się na spotkanie dzisiaj o dwunastej w południe. Tak, zadzwoniła wczoraj do Izabelli. Zrobiła to o dziewiątej wieczorem i tamta odebrała od razu po pierwszym sygnale – tak jakby cały czas czekała przy telefonie. Szczęśliwie Brzescy mieli aparat telefoniczny

w domu. Należeli do tej nielicznej, a nawet bardzo nielicznej grupy rodaków posiadających tak luksusowy sprzęt we własnym mieszkaniu. Przed laty wuj Marcina, jako stosunkowo ważny urzędnik w Radzie Narodowej, a zarazem członek partii rzecz jasna – zasłużył na rzadki w Polsce Ludowej przywilej posiadania telefonu. Wuj wprawdzie nie zdążył długo nacieszyć się aparatem, zmarł nagle wskutek zawału, ale jego żona, a następnie jej spadkobierca, czyli Marcin (a nawet Anna), mieli z telefonu wiele korzyści. Korzystali też z niego sąsiedzi z całej klatki schodowej.

W każdym razie Anna umówiła się z dziewczyną, która przedstawiła się jako jej siostrzenica. Teraz, patrząc na tę karteczkę, uśmiechnęła się, a napięcie całego poranka opadło z niej prawie natychmiast i jakby odfrunęło w nieznane. Poczula, że chce się z nią zobaczyć. Nie przyznała się Zosi, z kim ma to spotkanie, i oczywiście rozminęła się z prawdą, mówiąc, że nie można go odwołać. Mogła to zrobić, ale... nie chciała. Matce też o tym nie powiedziała. Przecież jej także to dotyczy. Dlatego na razie lepiej całą sprawę zachować w tajemnicy. Anna instynktownie czuła, że tak właśnie należy zrobić.

– Pani profesor ma dzisiaj dobry humor – zauważył Karol Chojecki, siedzący w drugiej ławce pod oknem, klasowy kawalarz. Ten, którego pozostali uczniowie zawsze delegowali z prośbą o przełożenie klasówki. Był bardzo przystojny, dlatego na większość nauczycielek działał jego niewątpliwy urok i prośba była przeważnie spełniana.

Anna należała jednak do tej mniejszości, dla której męski wdzięk albo nie miał znaczenia, albo wywoływał złe skojarzenia, względnie nie najlepsze wspomnienia. Na lekcjach Anny piękny Karol nawet nie próbował stosować swoich sztuczek. Tym razem jednak się ośmielił. Czyżby dostrzegł coś osobliwego w spojrzeniu, jakim obrzuciła najpierw tę wizytówkę, a potem rozjaśnione słońcem niebo za oknem? Czyżby w jej wzroku, w wyrazie twarzy pojawiło się coś, czego od lat nikt w tej szkole nie miał okazji dotąd widzieć?

– W rzeczy samej – odparła i znowu się uśmiechnęła, ale zaraz przywołała się do porządku. – No, dość już o tym. Zapiszcie temat.

Z biciem serca i narastającą niecierpliwością czekała na koniec zajęć.

*

Spotkały się pod kościołem Świętego Jakuba i Anna natychmiast zauważyła, że krewna z Francji wyglądała dziś inaczej niż wczoraj. Przede wszystkim – nie tak elegancko. Ubrana była w ładnie skrojony wiosenny płaszczyk, który jednak nie wywoływał bólu serca z zazdrości. Jej ciemne włosy opadały na ramiona w lekko falujących, ale naturalnych puklach. To nadal były piękne, gęste, lśniące włosy, ale po wczorajszej, kunsztownie ułożonej fryzurze nie został nawet ślad. Po eleganckim kapeluszu także. Tudzież po irytująco pięknie pachnących perfumach

i artystycznym makijażu. Izabella wyglądała naturalnie, dziewczęco i zdecydowanie młodziej niż wtorkowego popołudnia. Choć nadal prezentowała się szykownie, nie była to już jednak elegancja, która mogła boleśnie kłuć w oczy inne, znacznie skromniej prezentujące się kobiety w tym kraju. Niewykluczone, że sama doszła do takiego wniosku i postanowiła zmienić nieco swój styl, co zresztą wyszło jej na dobre.

W każdym razie Anna poczuła się w jej towarzystwie dużo lepiej niż wczoraj; kontrast między nimi nadal istniał, ale już nie raził. Właściwie musiała nawet przyznać sama przed sobą, że poczuła do tamtej coś w rodzaju sympatii. Choć wołała na wszelki wypadek zachować ostrożność.

– Cieszę się, że przyszedłaś – przywitała się Izabella.

Anna, mimo wszystko nadal trochę niepewna, wzruszyła w odpowiedzi ramionami i powiedziała:

– Skoro umówiłam się na spotkanie, to chyba oczywiste, że przyszedłam.

Nie zabrzmiało to jeszcze zbyt przyjaźnie, toteż zaraz zaczęła gorączkowo myśleć nad tym, co tu dodać, by złagodzić szorstkość swojego tonu, ale nie zdążyła tego zrobić.

– Źle to ujęłam – sprostowała Iza. – Chciałam powiedzieć, że cieszę się, że zdecydowałaś się zadzwonić.

– Powiedziałaś mi to już wczoraj.

„Cholera, znowu niedobrze” – pomyślała Anna z rozpaczą, ale tym razem zareagowała szybciej.

– Wybacz, ale to takie nauczycielskie przyzwyczajenie. Ta pokusa, by poprawiać czyjaś wypowiedź.

– Rozumiem – zaśmiała się wesoło Iza. – Mój ojciec też się tak zachowuje. – Na moment umilkła, a potem dodała: – Od dawna jesteś nauczycielką?

– Od początku. To znaczy – poprawiła zaraz Anna – odkąd zaczęłam pracować. Chciałam powiedzieć, że nigdy nie miałam okazji spróbować czegoś innego... innej pracy.

– A chciałaś? – W tonie głosu nieznanym do tej pory krewnej Anna usłyszała autentyczne zainteresowanie. To sprawiło, że zdecydowała się odpowiedzieć szczerze, choć do tej pory chciała zachować daleko idącą powściągliwość i ostrożność. W każdym razie nie dać się wciągnąć w żadne intymne zwierzenia. To raczej ona oczekiwała wyjaśnień od dziewczyny, która nagle zjawiała się w jej życiu, być może z zamiarem wywołania w nim burzy. I przy okazji, a może przede wszystkim, w życiu jej matki i brata. Mimo to na razie Anna odpowiadała na pytania tamtej, w dodatku z pełną świadomością, że czyni to bez większych oporów.

– Chciałam zrobić w życiu coś innego – rzekła i ruszyła przed siebie spokojnym, spacerowym krokiem, tak że jej nowo odkryta krewna bez

najmniejszego trudu podjęła ten marsz. – Chciałam pisać. Takie było moje marzenie. Ale skończyło się na pracy w szkole.

– Dlaczego? – usłyszała ostrożne, ale znowu pełne niekłamanego zainteresowania pytanie tamtej. – Skoro chciałaś pisać...

– Dlaczego? Proza życia. Choć najpierw była poezja. Zakochałam się, wyszłam za mąż i na trzecim roku studiów urodziłam pierwsze dziecko. Z największym trudem zdołałam te studia ukończyć. Wymagało to ode mnie nie lada samozaparca. Możesz mi wierzyć. Za ledwie obroniłam dyplom magisterski, a urodziłam drugie dziecko. Potem teściowie i wielu innych doradców krakali mi nad głową, że w takiej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak praca w szkole. Mniej godzin, ferie, wakacje, a zatem czas, który będę mogła poświęcić dzieciom, na gotowanie, pranie i sprzątanie.

Przeraziła ją gorycz we własnym głosie. Potem uzmysłowiła sobie, że opowiadała o tym wszystkim osobie, której w zasadzie wcale nie знаła. Co jej się stało, do licha? Przecież od lat była taka skryta. Tak się pilnowała, by przed nikim nie pokazać tego, co czuje. No, prawie przed nikim. Mogła być szczerą wobec dawnej przyjaciółki z liceum, Wandy. Co z tego, skoro w ostatnich latach tak rzadko się widywały! Żadna z nich nie miała czasu na częste spotkania, a w dodatku Marcin nigdy nie zaakceptował Wandy i zawsze dawał jej w niedwuznaczny sposób do zrozumienia, że nie jest ona mile widzianym gościem w jego domu. Wobec tego pozostawały im jedynie sporadyczne spotkania na mieście, ale dla Anny obarczonej obowiązkami, w tym dwójką małych dzieci, było to niemal niewykonalne zadanie. Mimo to Wanda za każdym razem otwarcie jej mówiła, co powinna zrobić z takim mężem jak Marcin. Dać mu tak popalić, żeby trzymał się od niej z daleka, albo puścić go w trąbę. Puścić go w trąbę – to było ulubione powiedzenie Wandy. I nigdy nie potrafiła przyjąć do wiadomości wyjaśnień Anny, że to niemożliwe. To także był powód, dla którego widywały się coraz rzadziej. A tymczasem, przy tej dopiero co poznanej dziewczynie z Francji, Anna odczuwała prawdziwą ulgę, gdy opowiadała o swoich niespełnionych marzeniach. Dlaczego? Czy dlatego, że tamta podała się za jej siostrzenicę? Za córkę jej jedynej siostry, której nie pamiętała, której nigdy w sposób świadomy nie poznała?

„Czy Joanna by mnie wysłuchała, gdyby nasze życie ułożyło się inaczej? Gdyby nie porzuciła rodziny? A przecież zrobiła to z powodu ślubu naszej matki z moim ojcem... i z mojego powodu”.

To ostatnie spostrzeżenie już jej jednak nie rozgniewało, tak jak działało się zazwyczaj, gdy wracała myślami do tych spraw. Choć zapewne nie bez znaczenia był też fakt, że ostatnimi laty wcale już tego nie rozpamiętywała. Miała inne problemy.

– Przecież pisać mogłabyś w domu – rzekła po chwili Iza. – To nawet lepsze

rozwiązanie niż chodzenie do szkoły, choćby na tych kilka lekcji dziennie. Mogłabyś pracować w domu i przy okazji uważałabyś na dzieci.

Słyszając te naiwne, choć podyktowane dobrymi intencjami słowa, Anna nie mogła powstrzymać się przed parsknięciem śmiechem.

– Od razu widać, że nie miałaś nigdy do czynienia z dziećmi – westchnęła. – Dwójka maluchów to niekończący się kierat, a moje dzieci jako niemowlęta nie spały ani w dzień, ani w nocy. Nie napisałabym przy nich nawet linijki, zapewniam cię. Zresztą, sama się kiedyś przekonasz. Oprócz tego miałam na głowie pranie, gotowanie i sprzątanie. A na gosposie i nianie mnie nie stać. Może tam u was, we Francji, pisarki mające rodzinę mogą sobie pozwolić na pomoc domową, ale u nas to prawdziwy rarytas.

– A twój mąż? – spytała nagle, zdecydowanie już śmielej, Iza. – Czy on nie mógł ci w tym pomóc?

„Stop. Czas zatrzymać ten temat. Zagalopowałam się. Co się ze mną dzieje?”

– Prawda była i jest taka, że nie miałam szans na realizację marzeń, bo nie miałam talentu – stwierdziła Anna, pozostawiając uwagę dziewczyny bez komentarza. – Gdybym go miała, gdybym miała pomysły, iskrę bożą, wenę twórczą, jak to mówią, potrafiłabym to robić w najtrudniejszych warunkach. A poza tym muszę brać pod uwagę reguły, które obecnie obowiązują w tym kraju, a dotyczą także twórczości pisarskiej i pracy wydawniczej. Prawdopodobnie nie zarobiłabym na mojej pisaninie nawet na chleb. Zresztą, nie warto o tym mówić. – Spojrzała na Izę. – Dobrze mówisz po polsku. Rozumiesz, o czym mówimy. Matka nauczyła cię tak dobrze naszego języka?

Iza zmieszała się, usłyszawszy te słowa, co nie uszło uwadze Anny. Była z tego zadowolona. Czas, by przerzucić ciężar zwierzeń na drugą stronę. Czas, by tamta wreszcie wyłożyła karty na stół. Co ją skłoniło do przyjazdu do rodzinnego kraju swojej matki? Przybyła, aby odnaleźć krewnych? Ale w jakim celu, skoro byli jej zupełnie obcy?

– W pewnym sensie – usłyszała odpowiedź na swoje pytanie. Odpowiedź, co tu dużo mówić, zagadkową. – Wszystko ci wyjaśnię – podjęła po chwili milczenia Iza. – Także to, w jakim celu tu przyjechałam. Tylko nie wszystko naraz. To nie takie łatwe. Najpierw chciałam was poznać. I od razu pomyślałam, że zacznę od ciebie.

„Tak, to niełatwe” – zgodziła się z nią Anna w myślach i gdy tak szły obok siebie, ponownie rzuciła na nią ukradkowe spojrzenie. Te oczy... Czy... czy Joanna również takie miała? Duże, wyraziste, brązowe, w ciemnej oprawie? Anna uzmysłowiła sobie, że nie widziała nigdy żadnego zdjęcia nieznannej jej starszej siostry. Nikt nigdy o niej nie opowiadał. Jeśli już, były to jakieś wzmianki, rzucane niechętnie, wyrwane z większego kontekstu. Nikt nigdy nie mówił, jak wyglądała. A może zapytać o to matkę? Choćby dziś, gdy po wyjściu Zosi miała przejąć

opiekę nad dziećmi. Nagle naszła ją niespodziewana, szalona myśl, by zaprosić Izabellę do domu i przedstawić ją matce. Przecież okazja była jedna na tysiąc, nawet na milion, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Marcina nie było w domu i wobec tego mogły odbyć spokojną rozmowę. Czy jednak byłaby taka w istocie?

I ochota na to spotkanie uleciała z niej równie nagle, jak się pojawiła. Zastąpiła ją gwałtowna obawa. Coś jej podświadomie podpowiadało, że lepiej zachować ostrożność. Reakcji matki nie mogła przecież przewidzieć.

– Przyjechałaś tu, by spełnić wolę Joanny? – spytała wobec tego.

Wprawdzie pamiętała, że wczoraj zadała takie lub podobne pytanie, ale wtedy zrobiła to z jawną niechęcią, prowokacją. Była zaskoczona, zdenerwowana. Do dzisiejszej rozmowy starała się przygotować, choć nie wszystko poszło zgodnie z przygotowanym przez nią scenariuszem.

– Tak myślę – odparła Iza, ale dopiero po dłuższej chwili, dlatego Anna zdążyła już zwątpić, czy otrzyma odpowiedź.

– Wczoraj wspomniałaś coś, że napisała... – podjęła z wahaniem.

Zatrzymały się przed przejściem dla pieszych, czekając na zapalenie się zielonego światła.

– Nie wiedziałam, że studiowałaś romanistykę – powiedziała nagle Iza, tak jakby nie usłyszała wcześniejszej uwagi krewnej.

– Skąd miałaś to wiedzieć? Dziwię się, że w ogóle odnalazłaś mnie wczoraj w szkole.

– Wiesz co? Mam propozycję. Miałaś wielkie ambicje i nie mogłaś ich zrealizować. A co byś powiedziała na to, abyśmy porozmawiały po francusku? Mnie byłoby łatwiej, a ty... Chyba że masz dość konwersacji, skoro poświęcasz im tyle czasu w szkole.

– Chyba żartujesz. – Anna ponownie się roześmiała. Przyszło jej przy okazji do głowy, że od wczoraj śmiała się bądź uśmiechała częściej niż w ciągu ostatnich kilku tygodni. A pomysł panny Seigner przypadł jej do gustu, choć początkowo ją zaskoczył. – Konwersacja w szkole to prawdziwe kpiny. Jak tak dalej pójdzie, sama zapomnę, czego nauczyłam się w rodzinnym domu, a potem na studiach.

ROZDZIAŁ 6

Spędziły razem dwie godziny, a ponieważ nareszcie wiosna zdecydowała się nadrobić swoje skandaliczne opóźnienie, głównie spacerowały. I rozmawiały. Było ciepło, a ponieważ przemieszczały się bocznymi, spokojnymi, zadrzewionymi uliczkami, towarzyszył im śpiew ptaków.

„Mój Boże, chyba po raz pierwszy od lat naprawdę cieszę się wiosną” – przemknęło Annie przez myśl. Właściwie z jakiego powodu czuła się taka lekka, szczęśliwa? Przecież w jej życiu nic od wczoraj nie zmieniło się na lepsze. Przyjechała nieznaną do tej pory krewna z Francji. Owszem, porozmawiają sobie, ale co to zmieni? Izabella przecież wyjedzie do kraju, w którym się wychowała, i kto wie, czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczą. A pojutrze wróci do domu Marcin i cały koszmar rozpocznie się na nowo. Jednak podobne refleksje nie zdołały ostudzić radości Anny ani przywołać jej do porządku. Cieszyła się wiosną, słońcem, śpiewem ptaków. Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy mieszkała jeszcze w Bolesławicach. Gdy zauroczona Marcinem biegła na pierwszą randkę. Wtedy też był początek kwietnia – teraz to sobie przypominała.

Ale co to wszystko mogło mieć wspólnego z Izabellą Seigner?

– Kiedy moja matka wstąpiła na uniwersytet, była już w ciąży – odezwała się nagle Iza i choć starała się mówić spokojnie, głos jej drżał. – Kiedy ciąża stała się widoczna, przerwała studia.

„No tak” – pomyślała Anna, gdy minęło pierwsze zaskoczenie spowodowane tym, co usłyszała. Przecież Joanna podjęła studia przed wojną, w latach trzydziestych. Ciężarna studentka prawdopodobnie wywoływała niemałą sensację. Ale zaraz... Kiedy to się stało? Gdy tylko zaczęła studiować? Nie, nawet wcześniej. Czyżby Joanna zaszła w ciążę zaraz po wyjeździe z Polski?

– Kiedy się urodziłaś? – spytała na głos, dziwiąc się w duchu, że nie zrobiła tego wcześniej. Ile lat miała jej siostrzenica?

– W trzydziestym ósmym – odparła po chwili tamta i choć mówiła cicho, nie sposób było nie usłyszeć, jak wiele kosztowało ją to wyznanie.

„Ma dwadzieścia siedem lat. Jest ode mnie młodsza o trzy lata, a wygląda tak, jakby dzieliła nas różnica dziesięciu. Czy to dlatego, że ona jest taka dziewczęca, czy to raczej ja przedwcześnie się postarzałam?” – to była pierwsza refleksja, jaka przyszła do głowy Annie Brzeskiej, w dodatku refleksja tak bolesna, że na moment przygasiła w niej radość z tego spotkania i z wiosennej aury. Spojrzała na Izabellę z pewną pretensją, tak jakby winiła ją za taki stan rzeczy, i w tym momencie serce w niej zamarło. Odniosła absurdalne wrażenie, że to nie Iza odwzajemniła jej spojrzenie. Że przez ułamek sekundy to był ktoś inny, choć ludzako do niej podobny. W spojrzeniu tamtej był bezbrzeżny smutek, tęsknota i coś jeszcze. Coś, czego Anna nie umiała zdefiniować, ale co zarazem sprawiło, że

przestała myśleć o sobie, swoim zaniedbanym wyglądzie i zmarnowanym życiu.

„Boże... Joanna...”

Zszokowana przystanęła na środku chodnika i jak zaczarowana wpatrywała się w dziewczynę, która tymczasem poszła parę kroków do przodu i dopiero po chwili zatrzymała się zdumiona, spostrzegłszy, że Anna nie idzie obok. Odwróciła się i spojrzała pytająco na ciotkę. Anna otrząsnęła się jak po przebudzeniu. Przed nią znowu stała Izabella Seigner. A jednak dałaby głowę, że przed chwilą...

– Czy potem twoja matka wróciła na studia? – spytała, a głos jej drżał tak samo jak głos dziewczyny, która była jej siostrzenicą. Napotkała jej wzrok i zaczerwieniła się. – Wybacz – dodała. – Nic nie wiem o losach twojej matki od momentu, gdy nas opuściła... To znaczy gdy wyjechała z kraju...

Czuła, że płacze się w słowach dokładnie jak jej uczniowie, gdy nie przygotowali się do lekcji, a zostali przez nią wyrwani do odpowiedzi. Miała bowiem wrażenie, że tym razem Izabella, niczym zagniewana nauczycielka, patrzy na nią z pretensją.

– Miałam dwa lata, gdy straciłam ją z oczu. W ogóle jej nie pamiętam, a nikt...

Zająknęła się. Nie była w stanie dodać, że nikt nie opowiadał jej o siostrze. To znaczyło, że siostra stała się osobą niemal przeklętą w ich rodzinie. I... tak w istocie było.

Anna poczuła się nagle bardzo winna, choć przecież nie miała wtedy, przed laty, wpływu na nic. A jednak poczuła brzemień winy, bo nawet potem, gdy dorosła, ani razu nie zapytała... Ani razu.

– Nie wróciła – odparła Iza. Ona także w dalszym ciągu mówiła cicho. – Ale dwa lata później Niemcy zaatakowały Francję, więc znowu wszystko się skomplikowało. W czasie okupacji poszła do pracy.

– Musiało być jej ciężko – zawyrokowała Anna, wspominając własną szarpaninę, gdy tylko dzięki własnemu uporowi, sile woli, wbrew mężowi i teściom, zdołała skończyć studia, mając pod opieką malutką Kasię. Jak to dobrze, że jeszcze wtedy miała w sobie niezłomność, tę chęć postawienia na swoim, której po latach już jej zabrakło. Którą skutecznie stępił w niej Marcin. W końcu mu się to udało. Choć może to ona za szybko się poddała, w pewnym momencie zaczęła mu we wszystkim ustępować. A jego to tylko rozzuchwaliło. Nie udobruchało, jak początkowo z nadzieją zakładała. Tak jej to kiedyś wyłożyła Wanda. A ona nie potrafiła wytłumaczyć przyjaciółce, że była zbyt zmęczona, by dalej walczyć. Urodziła przecież drugie dziecko i pragnęła wreszcie spokoju. Liczyła, że takowy nastąpi, gdy ona przestanie się stawiać mężowi i jego matce. Teść się nie wtrącał. Tylko nastoletnia wtedy Zosia jazgotała w jej imieniu. No tak, ale z drugiej strony to właśnie bez Zosi, Wandy i własnej matki, które pomagały jej w opiece nad Kasią, gdy ona, Anna, była na zajęciach, nie dałaby rady skończyć studiów. Nawet

silna wola, jaką miała jeszcze na początku małżeństwa, w niczym by jej nie pomogła, gdyby nie miała z kim zostawić niemowlęcia.

Czy Joanna miała takie wsparcie i pomoc, gdy przed wojną w obcym kraju, zdana na siebie, urodziła dziecko? Zaraz... zaraz... Ale przecież chyba nie była sama? Przecież to dziecko miało ojca. Na początku ich spotkania Izabella wspomniała o ojcu.

„Mój ojciec też tak się zachowuje...” – tak jakoś powiedziała, gdy Anna usprawiedliwiała się z tego, że niekiedy przybiera nauczycielski ton w rozmowie z innymi ludźmi.

Joanna zapewne miała męża. Lecz w takim razie musiała wyjść za mąż, gdy tylko wyjechała do Francji. Może to było powodem tej emigracji czy raczej ucieczki z kraju? Tylko dlaczego? Czyżby matka i reszta rodziny nie akceptowała jej wybranka? Kto to był? Kiedy Joanna go poznała? W każdym razie dość szybko doczekała się dziecka. Raczej wątpliwe, by była z tego zadowolona, skoro chciała studiować.

– Twoja matka wyszła za mąż zaraz po przybyciu do Francji? – zdecydowała się wyrazić na głos swoje przypuszczenie.

Tym razem to siostrzenica się zatrzymała i w jej oczach Anna wyraźnie dostrzegła wyrzut.

– Dlaczego mówisz o niej tak oficjalnie? – spytała z nieukrywaną goryczą. – Miała na imię Joanna.

Anna poczuła, jakby coś dźgnęło ją prosto w serce. Zwilżyła językiem wargi.

– Wiem – odparła krótko. – Tylko postaraj się zrozumieć, że...

– Rozumiem. Też tak miałam. Tyle że na odwrót. Mówiąc o niej, używałam jej imienia. Długo nie potrafiłam nazywać jej matką. Nadal sprawia mi to trudność.

Nie zabrzmiało to dobrze. Anna odniosła wrażenie, że wokół zrobiło się zupełnie cicho. Tak jakby obie znalazły się w zamkniętym pokoju... albo na cmentarzu. Choć nie, na cmentarzu słychać wiosną śpiewające na drzewach ptaki. Tu zaś, na małą wprawdzie uczęszczanej, ale mimo wszystko warszawskiej ulicy, panowała niepokojąca cisza. Zaraz jednak dotarło do niej, że tę ciszę miała tylko w swojej głowie. W dodatku na krótko, bo już po chwili słyszała wyraźnie słowa siostrzenicy:

– A wracając do twojego pytania... Nie, moja matka wyszła za mąż dopiero w czterdziestym drugim roku. Urodziła mnie jako panna, mając niespełna dziewiętnaście lat.

– Mieszkała z twoim ojcem... bez ślubu? – spytała z wahaniem Anna.

Nie chciała być wścibska, ale przecież jako siostra Joanny miała chyba prawo to wiedzieć. A Izabella przyjechała do niej tylko dlatego, że ona, Anna, była siostrą jej matki. I chyba chciała o wszystkim opowiedzieć. Taka była intencja jej podróży do nieznanых krewnych. Tak w każdym razie rozumiała to Anna. Być

może jednak dziewczyna potrzebowała pytań, które pomogłyby jej w zwierzeniach. Pytań, które świadczyłyby o zainteresowaniu ze strony tychże krewnych.

Tak zapewne było, bo Izabella odpowiedziała prawie od razu, w dodatku z widoczną ulgą:

– Poznali się w tym samym roku, w którym wzięli ślub.

Anna stanęła jak osłupiała.

– A zatem... – wyjąkała.

– A zatem Maurice Seigner nie był moim – jak by to ująć – biologicznym ojcem, choć ja od lat tak go nazywam i uważam za ojca.

– Wiesz, kim był twój... biologiczny ojciec? – spytała Anna z nagłą trwogą. Poczula, że zrobiło jej się chłodno, choć usiadły na nasłonecznionej ławce w parku. Nie wiedziała, czemu serce podeszło jej do gardła. Czuła się dokładnie tak jak przed każdym powrotem Marcina... z delegacji czy choćby po pracy do domu.

Iza milczała, co Annę trochę zbiło z pantafelów. Być może przeholowała z tym pytaniem. Ostatecznie obie dopiero się poznawały. To ich drugie spotkanie, a pierwsze trudno było przecież zaliczyć do udanych. Jednak... kto mógł zaręczyć, że dojdzie do następnych? W gruncie rzeczy nadal obie stanowiły dla siebie zagadkę. Nadal niemal nic o sobie nie wiedziały. I choć odkrywanie się przed sobą nawzajem przychodziło im zaskakująco łatwo – zważywszy na fakt, że jeszcze dwa dni temu się nie znały, a Anna nawet nie miała pojęcia o istnieniu tamtej – to być może nie należało tych wyznań przyspieszać, wymuszać.

– Przepraszam, cofam to pytanie – bąknęła wobec tego zmieszana Anna. – Zresztą, to przecież nie musi mieć dla ciebie znaczenia.

– Maurice był dla mnie zawsze bardzo dobry – odparła Iza, co Anna uznała za potwierdzenie swoich wcześniejszych słów.

I by dać do zrozumienia, że naprawdę nie zamierza dłużej naciskać na dalsze zwierzenia w sprawie ojca Izabelli, rozejrzała się, po czym wesoło zaproponowała kawę i coś słodkiego.

– Tu nieopodal jest miła kawiarenka – powiedziała. – Przechodziłyśmy obok niej. Kiedyś, dawno temu, wpadałam tam czasem z koleżankami ze szkoły na ciastka. Wtedy były pyszne. Sprawdźmy, jak jest teraz?

„Wtedy, w moim poprzednim życiu” – dodała w myślach, ale nie poczuła zwykłej goryczy. Raczej miała ochotę na wzruszenie ramion. Poza tym naprawdę cieszyła ją perspektywa napicia się kawy i zjedzenia czegoś słodkiego w towarzystwie córki Joanny.

– Bardzo chętnie – podchwyciła wesoło propozycję Iza. – Ale stawiam warunek. To ja zapraszam ciebie.

– Nie, nie zgadzam się – odparła Anna, pokrywając śmiechem lekką irytację. Przyszło jej do głowy, że zapewne tamta uznała, że dla krewniej z Polski, która, sądząc po przetartym tu i ówdzie płaszczu, nie jest majętna, wizyta w kawiarni

może być rujnującym wydatkiem. Dlatego bez żenady dodała: – Oczywiście, że my, Polacy, po wojnie zdiadzieliśmy. Przed laty, gdy nasze komunistyczne władze zamierzały wykonać napis pod pomnikiem Mickiewicza, dowcipkowano nawet, że powinien on brzmieć: „Twórcy *Dziadów* – twórcy dziadów”. Ale zapewniam cię, że nie zapomnieliśmy jeszcze sarmackiego ducha naszych przodków i w miarę możliwości korzystamy z okazji, by nie zapomnieć o rozrywkach.

– Nie wątpię – zaśmiała się Iza. – Pomyślałam jednak, że to ja należałam na to spotkanie.

– Lecz ja je w końcu zaaranżowałam.

– No dobrze, ustępuję. Do następnego razu...

„A więc będzie następny raz” – ucieszyła się Anna. Mniejsza z tym, że do tego czasu wróci pan i władca i będzie musiała srodze się nakombinować, by wyjść z domu. Mniejsza o Marcina. Jakoś to będzie. Już ona coś wymyśli.

Zachichotała w duchu, bo w tym samym momencie odkryła w sobie tego samego ducha oporu co kiedyś, przed laty, gdy miała jeszcze dość silnej woli, by kończyć studia i w tajemnicy przed Marcinem spotykać się z Wandą.

Zaraz też pomyślała o Joannie. Jej z pewnością było jeszcze ciężiej – samej, z nieślubnym dzieckiem, w tamtych czasach. Nawet w liberalnej pod względem obyczajowym Francji z pewnością nie było jej łatwo.

– Nad czym tak się zamyśliłaś? – spytała Iza.

Ponieważ w dalszym ciągu rozmawiały po francusku, usługująca im kelnerka zerkała ciekawie. Podobnie jak siedzący przy sąsiednim stoliku ludzie. Widok cudzoziemców i brzmienie obcego języka nie były normą nawet w stolicy.

– Myślałam o twojej... o Joannie, o tym, jak musiała się zmagać z problemami jako samotna, młodziutka matka. Bez rodziny, bez przyjaciół...

„Bez męża czy chociażby ojca dziecka” – dodała w myślach.

Nie była pewna, jak Izabella zareaguje na jej słowa. Jednocześnie jednak chciała jej dać do zrozumienia, że los nieznaney siostry zaczyna ją obchodzić. Że Joanna staje się dla niej kimś – może jeszcze nie bliskim – ale w każdym razie bardzo realnym.

Iza opuściła głowę, a kiedy ją ponownie podniosła, w jej oczach lśniły łzy. Nie popłynęły jednak po policzkach, nawet nie musiała ich wycierać.

– Miała przyjaciółki, które jej pomogły – powiedziała, a jej twarz nagle się skurczyła. – We Francji był także jej brat.

– Brat? – spytała kompletnie osłupiała w tym momencie Anna. – Brat? – powtórzyła bezmyślnie.

Joannie pomógł wtedy Łukasz? Łukasz, który, podobnie jak ich matka, nigdy nie wspominał starszej siostry?

Izabella zaraz jednak wszystko wyjaśniła.

– Przyrodni brat... Maciej. Przecież studiował we Francji. Dopiero po wojnie wrócił do Polski... niestety.

Niestety, chciała potwierdzić z krzykiem Anna, na własną zgubę! Milczała jednak. Nie była jeszcze gotowa, by rozmawiać o Maćku Boguszewskim, o pasierbie jej matki. Zresztą nie była pewna, czy kiedykolwiek będzie na to gotowa. O nim także już od lat nie rozmawiano w ich rodzinie, choć z innego powodu niż w przypadku Joanny. A teraz on również w pewnym sensie wracał z krainy zapomnienia, jak jego przyrodnia siostra, bo przecież z krainy śmierci wrócić już nie mogli. Czym innym jest jednak śmierć – ona przecież, taka czy inna, nie ominie nikogo – a czym innym zapomnienie kogoś. Skazanie na niebyt, na milczenie.

Maciek wsparł Joannę we Francji? Ale jak? Pomógł jej wychować dziecko?

– Namawiał ją, aby tego nie robiła – odezwała się znowu Iza, patrząc w okno – ale podobno także nie potrafił znaleźć innego wyjścia.

– O czym teraz mówisz? – spytała z przestrawieniem Anna.

Czy Joanna chciała pozbyć się ciąży, a brat ją ubłagał, by tego nie robiła? Tak należało zrozumieć te słowa? Coś tu jednak nie pasowało.

– Matka za późno się zorientowała, że jest w ciąży, by ulec namowom przyjaciółek, które uważały, że lepiej by dla niej było... no wiesz – kontynuowała Iza, jakby słyszała, wypowiedziane przecież tylko w myślach, pytania Anny. – Ale ona twierdziła, że niezależnie od wszystkiego i tak by tego nie zrobiła. Wierzę jej.

– Ja też. – Anna pod wpływem jakiegoś wewnętrznego impulsu ścisnęła dłoń siostrzenicy. Oczywiście nie była w stanie w jakikolwiek racjonalny sposób uzasadnić tych słów. Mogła tylko wierzyć, że tak właśnie było. A zresztą – nawet gdyby prawda wyglądała inaczej – Iza nie musiała o tym wiedzieć. Miała prawo żyć w przekonaniu, że matka nie chciała odbierać jej szansy na życie, na przyszłość.

Iza delikatnie wysunęła dłoń z jej uścisku i uśmiechnęła się gorzko.

– Poznałam ją dopiero wtedy, gdy skończyłam osiem lat – poinformowała. – Po urodzeniu zostałam oddana na wychowanie innym ludziom. To byli Polacy mieszkający we Francji. Dzięki nim mówię po polsku.

– Oddała cię? – Anna jak zaczarowana patrzyła w nieruchome oczy Izy.

– Tak. Jej dwie przyjaciółki uznały, że tak będzie lepiej i dla niej, i dla mnie. A ona później...

– Żałowała – dopowiedziała Anna. Nie wiedziała dlaczego, ale była tego absolutnie pewna. Tak pewna, że dałaby sobie za to rękę uciąć.

– Tak twierdziła. – Iza skinęła głową i wreszcie te dwie łzy, które od dawna powstrzymywała, popłynęły.

– Na pewno tak było. – I Anna ponownie ścisnęła dłoń siostrzenicy. Tym razem dłoń ta pozostała w jej uścisku. – W końcu cię przecież odebrała.

„Dlaczego jednak tak późno? Dlaczego dopiero w czterdziestym szóstym roku?”

Uznała jednak, że lepiej nie zadawać tego pytania na głos.

– Tak – rzekła cicho Iza. – W końcu tak. Nie było to łatwe. Nie miała żadnego kontaktu z moimi przybranymi rodzicami. Taka była umowa. Zabrali mnie i wyjechali w nieznanym jej kierunku. Wiedziała tylko, że pozostali we Francji.

– A zatem jak to możliwe, że w ogóle wróciłaś do matki?

– To zasługa jej brata.

– Maćka? – Anna nie potrafiła wyjść ze zdumienia. Także dlatego, że losy Joanny i jej przyrodniego brata w jakiś zadziwiający sposób się ze sobą zazębiały. Anna nigdy nie brała pod uwagę takiej możliwości. Z drugiej jednak strony do tej pory nie myślała o starszej siostrze, od wielu lat nie wspominała także Maćka Boguszewskiego. Teraz oboje wracali, przynajmniej to stawało się niezaprzeczalnym faktem.

– W końcu trafił na mój ślad, rok po zakończeniu wojny – odparła Iza. – Od roku przebywałam w sierocińcu, bo moi przybrani rodzice zginęli w wypadku. Dzięki raportom policyjnym o tym wypadku i informacjom opieki społecznej o sierocińcu, do którego trafiłam, wujowi udało się ustalić miejsce mojego pobytu. Sam fakt, że przybrani rodzice już nie żyli, ułatwiał procedurę przejścia opieki nade mną przez Joannę i Maurice’a. W przeciwnym wypadku nadal należałabym do tamtych ludzi.

– Więc Maciek... To dzięki niemu... – Annie nagle zabrakło powietrza. Odstawiła niedopitą kawę, inaczej rozlałaby ją na obrusie.

– Tak. To on mnie znalazł. Niestety niedługo potem zdecydował się wrócić do Polski razem z żoną i synem, choć Maurice ich przed tym ostrzegał. A potem...

– Wiem, co było potem! – przerwała jej z rozpaczą Anna.

Obie płakały i ścisnęły się za dłonie. Nikt w kawiarni nie rozumiał, o czym rozmawiały, ale w tym momencie wszyscy już na nie patrzyli.

ROZDZIAŁ 7

Rok 1938

Kiedy to się zaczęło, wpadłam w panikę. Wiedziałam, że poród musi boleć i nie ma na to rady, ale takiego fizycznego cierpienia nie potrafiłam sobie wcześniej nawet wyobrazić. Teraz wiem, że prawdopodobnie więcej w tym było mojego strachu przed nieznanym, mojej niechęci do tego dziecka niż faktycznego cierpienia, ale wtedy byłam zbyt przejęta niesprawiedliwością losu, który tak mnie doświadczył.

Przecież opuściłam Bolestawice, opuściłam mój kraj po to, by spróbować z tamtym skończyć. By już na nich wszystkich nie patrzeć. By spróbować zbudować sobie nowe życie. A tymczasem ono już było zbudowane we mnie. Nie tego pragnęłam.

Początkowo brałam pod uwagę zwykle zmęczenie spowodowane zmianą otoczenia, trybu życia, oderwaniem od rzeczywistości, w której wyrosłam – od korzeni. Wstąpiłam na uniwersytet i musiałam intensywnie się uczyć. Poznałam też nowych ludzi. Wydawało się, miałam taką nadzieję, że wszystko idzie ku dobremu, że wszystko zaczyna się układać. A tymczasem... Potem, gdy moje ciało wysyłało oczywiste sygnały, postanowiłam je zignorować. Rozpaczliwie, choć niemądrze, wierzyłam, że niepokojące mnie symptomy miną. Że muszę się tylko zasymilować z nowym otoczeniem, a pokonam każdą niedogodność. Każdą, nawet i tę, choć w dalszym ciągu unikałam nazwania moich dolegliwości po imieniu. Łudziłam się, że pewnego dnia znikną, ale stanie się to tylko wtedy, gdy nie spojrzę prawdzie w oczy. Wreszcie Solange i Nora, moje dwie sublokatorki z pensjonatu, zaciągnęły mnie niemal za głowę do znajomego lekarza, a ten – jakżeby inaczej – potwierdził najgorsze przypuszczenia.

– Czwarty miesiąc – powiedział. – Gratuluję. Zaskoczona? – spytał z łobuzerskim błyskiem w oku i uśmiechnął się pod wąsem.

Pamiętam, że nie mogłam wydobyć z siebie głosu, gardło miałam ściśnięte.

Boże, modliłam się, choć nie byłam pewna, czy mam prawo przyzywać pomocy Najwyższego, Boże, spraw, by to nie była prawda. Boże, nie karz mnie w taki sposób, nie tak okrutnie. Kara powinna być adekwatna do winy. Czy ja zawiniłam aż tak bardzo?

I zaraz musiałam przyznać w duchu sama przed sobą, że tak... Takie są konsekwencje tego, co zrobiłam, czemu uległam. Szkoda tylko, że ponoszą je tylko kobiety.

Buntowałam się przeciwko niesprawiedliwości takiego porządku rzeczy, zwłaszcza wtedy, gdy zaczęłam ściągać na siebie niedwuznaczne spojrzenia na

uczelni i słuchać za plecami niekiedy niewybrednych komentarzy na mój temat. Od razu też sobie przypomniałam takowe komentarze pod adresem matki, gdy stała po raz drugi na ślubnym kobiercu, i moją ówczesną reakcję, gdy wreszcie dotarł do mnie ich sens. Moja sytuacja jednak była bez porównania gorsza niż matki – wtedy, przed ponad dwoma laty.

Nienawidziłam też tego życia, które się we mnie rozwijało. Tak, przyznaję, obwiniałam tę niewinną istotę o zło, jakie mnie spotkało. Czy kiedykolwiek Bóg mi to wybaczy? Czy dlatego teraz, po latach, tak cierpię?

I noszę w sobie tę przeraźliwą tęsknotę jako pokutę za to, co wtedy zrobiłam? Całe szczęście, że przynajmniej przed tym najgorszym los mnie wtedy ocalił. Ale to głównie dlatego, że tak późno dowiedziałam się o ciąży. W innym wypadku... kto wie, czybym nie uległa Norze i Solange. One bowiem nie miały żadnych wątpliwości, co powinnam zrobić.

Lecz ta akuszerka, do której mnie zaprowadziły, powiedziała, że już za późno i że ona do tego ręki nie przyłoży.

– Są pewne granice – zaznaczyła. – Ja też mam swoje zasady (tak właśnie powiedziała – zasady). I do kryminału mi się nie spieszy. Trzeba było przyjść wcześniej, wtedy... no, może...coś by się wymyśliło. A tak? Za późno.

– Za późno? Na co? – spytałam, bo nadal nic z tego wszystkiego nie rozumiałam. Naprawdę nie miałam pojęcia, o co w tym chodzi. Nie wiedziałam, dlaczego obie moje koleżanki uparły się, by mnie zaprowadzić do tej kobiety.

Gdy tylko to powiedziałam, akuszerka dosłownie wybałuszyła na mnie oczy i kazała nam się wynosić.

– Jeszcze czego! – krzyknęła. – To ona nawet nie wie, po co tu przyszła? A potem będę miała kolejną histeryczkę na głowie.

Poszłyśmy więc i dopiero w drodze powrotnej obie moje postępowe koleżanki wyłuszczyły mi, w czym rzecz. Pamiętam, że nie byłam tym nawet przerażona, a jedynie bezbrzeżnie zdumiona, bo nigdy dotąd nie słyszałam o podobnym rozwiązaniu tego typu problemów.

– Chyba oszalałaś – wyszeptał Maciek, gdy wyznałam mu wszystko jak na spowiedzi. Kazał mi przysiąc, że już nigdy nie pójdę i nie pozwolę się zaprowadzić do żadnej baby, która „złatwia takie sprawy”. Powiedział, że coś wymyśli w mojej sprawie, ale nic nie wymyślił, za to ja musiałam w końcu odejść z uczelni.

Szczerze mówiąc, popadłam wtedy w stan rezygnacji i kompletnego zwątpienia. Nie chciałam rano wstawać z łóżka, bo i w jakim celu? Na samą myśl o tym, że podczas kąpieli będę oglądać moje coraz bardziej ociężałe ciało, robiło mi się niedobrze niemal tak jak w pierwszych trzech miesiącach ciąży. Nie miałam ochoty nikogo widzieć, wstydziłam się mojego stanu i wyglądu. Pamiętam tylko, że z tego marazmu wytrącił mnie na krótko Maciek, gdy wspomniał, że może należałoby o wszystkim napisać do matki. Wpadłam w panikę, w histerię. Zaczęłam

się drzeć, że skończę ze sobą, jeśli to zrobi, a on, przerażony moją reakcją, ustąpił i obiecał, że niczego podobnego bez mojej zgody nie uczyni. Wiem, że dotrzymał słowa.

Ktoś (jakaś znajoma Nory) znalazł wtedy pewne bezdzietne polskie małżeństwo, które chciało przyjąć dziecko. Adoptować je, ofiarować mu miłość i dom.

– Tak będzie dla ciebie lepiej – perswadowała mi Nora. – I dla tego biedactwa także. Przecież w twojej sytuacji nie ma innego wyjścia. Dziecko wyrośnie w szczęśliwej rodzinie, a ty w przyszłości założysz swoją własną. I urodzisz wtedy tyle dzieci, na ile ci przyjdzie ochota. Bo będzie przy tobie kochający cię człowiek. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Teraz nie masz innego wyjścia.

W zasadzie nie musiała tyle mówić. To i tak nie miało dla mnie znaczenia. Skinęłam tylko głową – bardziej po to, by wreszcie przestała gadać i zostawiła mnie w spokoju. Do żadnej decyzji nie byłam wtedy zdolna, ale z ręką na sercu muszę przyznać, że nie protestowałam. Wtedy. Nie nalegałam też, by powiedziano mi więcej o tych ludziach, którzy chcieli przyjąć dziecko. I nikt już więcej nie rozmawiał ze mną na ten temat.

Pamiętam, że kilka dni przed porodem po raz pierwszy naszło mnie coś w rodzaju wątpliwości. Byłam ociężała, rozdrażniona, a w dodatku dziecko we mnie zachowywało się bardzo niespokojnie. Tak jakby wyczuwało mój nastrój, moją niechęć. Nie wpłynęło to na mnie uspokajająco. Czy ten bachor musi mi tak dokuczać – od początku do samego końca? Tak właśnie pomyślałam i po raz kolejny zapragnęłam, by było już po wszystkim. Opadłam na fotel i bezwiednie dotknęłam brzucha i... Do dziś nie rozumiem swojej reakcji. Przecież nieraz dotykałam tego nieszczęsnego brzucha, choć nigdy w celu nawiązania kontaktu z istotą, która rosła i rozwijała się we mnie bez mojej zgody. Tym razem jednak po raz pierwszy wyraźnie poczułam ją pod moją dłoń, pod moją skórę. I ona mnie poczuła. Jestem tego pewna, bo prawie natychmiast się uspokoiła, tak jakby na mnie czekała. Na moją pieszczotę, na jakikolwiek czuły gest, na pełne miłości słowa. Chybaby je usłyszała, ale wtedy nie potrafiłam jeszcze przemóc się na tyle, by do niej mówić. Zaczęłam jednak delikatnie głaskać mój brzuch i już byłam pewna, że tego właśnie potrzebowało to maleństwo, moje dziecko.

A kilka dni później wreszcie je zobaczyłam. Najpierw jednak musiałam jakoś przetrwać te niekończące się godziny strachu i bólu, o których wspomniałam na początku. Rodziłam w domku na przedmieściach Paryża, tak jak to było ustalone za moimi plecami między Norą, akuszerką i tą osobą, która miała zabrać dziecko, by przekazać je tamtym ludziom. Wszystko odbywało się, jak przypuszczam, niekoniecznie zgodnie z literą prawa, ale – jak twierdziła Nora – wszystkim zainteresowanym chodziło przecież o dyskrekcję. Ja w każdym razie byłam

zwolniona z udziału w tych działaniach. Miałam jedynie urodzić to dziecko.

Jedynie. I aż tyle.

Pamiętam, że nie ułatwiałam pracy akuszerce. Pewnie przeklinała pod nosem, że podjęła się tak niewdzięcznego zadania, choć wzięła przecież za to sowitą zapłatę. Kto wie – może też bała się, czy nie umrę w jej domu, bo wtedy trzeba by zawiadomić policję i pewnie koroner wszedłby w te sprawy. Ale to tylko moje przypuszczenia, w każdym razie namęczyła się przy mnie niemało. Solange nieprzerwanie masowała mi dłonie i od czasu do czasu plecy. Nieopodal kręciła się też Nora.

I wreszcie dziecko pojawiło się na świecie, choć z całą pewnością mu w tym nie pomogłam. Nie słuchałam bowiem poleceń akuszerki, gdy wołała, że mam przeć.

Nie od razu do mnie dotarło, że już jest po wszystkim. Chyba nie od razu usłyszałam krzyk noworodka. Dopiero gdy odwróciłam głowę, zobaczyłam, że akuszerka kąpie jakieś piszczące stworzenie, a potem zawija je w pieluszki i podaje Norze.

– Noro – szepnęłam z wysiłkiem.

Nie usłyszała mnie w pierwszej chwili i wraz z zawiniątkiem skierowała się do wyjścia. Nie miałam siły krzyknąć głośniejsze, poczułam za to bezsilną rozpacz i z oczu popłynęły mi łzy.

Solange siedząca przy mnie zawołała wtedy na całe gardło do Nory, by się zatrzymała.

– Dziecko – szepnęłam. – Dajcie mi je...

Zauważyłam, że obie moje koleżanki wymieniły spojrzenia.

– To zupełnie niepotrzebne. – Nora starała się mówić spokojnie, dając tym samym do zrozumienia, że panuje nad sytuacją i nie poddaje się wzruszeniu. Tak jednak nie było, wszystkie to widziałyśmy.

– Na chwilę... proszę. – Niewiarygodne, ale byłam gotowa ją o to błagać, niczym żebrzący o chleb.

– Ona jest w szoku, nie wie, co mówi... To tylko niepotrzebna komplikacja.

– Noro, jestem tu... Słyszę, co mówisz – powiedziałam wyjątkowo silnym głosem. W każdym razie najsilniejszym, na jaki mogłam się wtedy zdobyć.

– Podaj jej to dziecko... na chwilę... – poparła ją Solange. – Ma przecież do tego prawo.

– Nie, już nie ma. Niepotrzebnie histeryzujesz, a ona...

– Dość tego – przemówiła nagle akuszerka i zanim Nora zdążyła zareagować, odebrała jej noworodka i podała mi go do rąk. – Tylko na chwilę – rzekła ostrzegawczo do Nory, gdy ta chciała podejść do łóżka. – Świat się od tego nie zawali.

Nie patrzyłam wtedy na Norę. Trzymałam w rękach moje dziecko, a za mną,

u wezglowia, siedziała Solange, podobnie jak ja wpatrzona w noworodka.

– To dziewczynka – odezwała się dobrotliwie akuszerka. Wprost nie mogłam uwierzyć, że ta sama kobieta w ciągu ostatnich godzin krzyczała na mnie nieustannie, bezskutecznie próbując mnie zmusić do wykonywania jej poleceń.

– Patrzy na mnie – szepnęłam, a w moim sercu i w głowie trwała prawdziwa eksplozja wszystkich emocji... tym razem samych dobrych uczuć. W tej jednej sekundzie pokochałam cały świat. Cały świat skupił się dla mnie w tej malej kruszynie.

– Nie widzi cię – odparła pobłaźliwie, ale nadal z wielką dobrocią, akuszerka. – Ale wie, że tu jesteś.

– Wystarczy – usłyszałam głos Nory, a kiedy Solange i akuszerka próbowały protestować, dodała: – Tylko utrudniacie sytuację. Wyrządźcie jej krzywdę.

– Jaką krzywdę? – spytałam lekko, ale Nora odebrała już dziecko i ponownie ruszyła z nim do drzwi.

– Jaką krzywdę? – powtórzyłam bezradnie i z nadzieją spojrzałam na akuszerkę i Solange.

Obie jednak unikały mojego wzroku.

– Nie! – Próbowałam wstać z łóżka, ale Solange mnie powstrzymała.

– Przecież się zgodziłaś – powiedziała spokojnie. – Podpisałaś.

– Co podpisałam? Na co się zgodziłam? – skamlałam jak mały psiak. Zadawałam pytania, na które nie chciałam słuchać odpowiedzi.

Solange jednak jej udzieliła:

– To dziecko będzie miało dom i kochających rodziców. Tak będzie dobrze.

„Nie” – płakałam. „Już nic nie będzie dobrze. Nigdy”.

Izabella odłożyła cienki, oprawiony w skórę zeszyt i podeszła do okna. Uchyliła je i zapaliła papierosa. Ten fragment dziennika Joanny знаła już na pamięć. Teraz jednak przeczytała go w innym celu, niż to robiła do tej pory. Tym razem nie zamierzała przywoływać pierwszych chwil jej życia, gdy była przy niej matka. Teraz szukała wskazówki, która pozwoliłaby jej ustalić, co działo się w życiu Joanny od momentu, gdy ta dowiedziała się o narodzinach przyrodniej siostry, do chwili, gdy w niedługim czasie po przyjeździe do Paryża sama została matką. Matką nieślubnego dziecka. W dzienniku brakowało wiadomości dotyczących dwóch lat, które zaważyły – Iza nie miała już wątpliwości – zarówno na życiu Joanny, jak i reszty jej rodziny. Czy możliwe, że ktoś wyrwał te kartki z zeszytu? Pozornie nic na to nie wskazywało. Liczba kartek zapisana na okładce zeszytu zgadzała się ze stanem faktycznym. A zatem Joanna świadomie pominęła te dwa lata. Dlaczego to zrobiła? Co miała do ukrycia poza napisaniem o... ojcu dziecka? Dlaczego nie chciała o nim nawet wspomnieć? Tak bardzo go nienawidziła? A może chroniła?

Nawet Maurice nic na ten temat nie wiedział, a w każdym razie tak powiedział. A może jednak wiedział, lecz spełniał życzenie Joanny, która zobowiązała go do tajemnicy?

Patrząc przez hotelowe okno na warszawską ulicę, Izabella wróciła myślami do pytania Anny. Do pytania o jej wiedzę na temat biologicznego ojca. Potem wprawdzie Anna, najwidoczniej zawstydzona milczeniem siostrzenicy, wycofała się z tego pytania, a nawet wspomniała, że dla Izy nie ma to znaczenia, skoro uważała Maurice'a za swojego prawdziwego ojca, ale to nie była cała prawda. Bo gdzieś w głębi umysłu Iza także zadawała sobie to pytanie. Kim był tamten mężczyzna? Kto był jej biologicznym ojcem? Kto dał jej życie? Co takiego się wydarzyło, że on i Joanna nie mogli zostać razem? Słowa matki z początku tego fragmentu wspomnień wskazywały, że opuszczając kraj, była już w ciąży. Jak to brzmiało? Wyjechała z kraju, by zbudować nowe życie.

Tymczasem ono już było we mnie zbudowane...

Iza nie miała wątpliwości, że odpowiedzi na wszystkie pytania, w tym także o jej ojca, należy szukać tu, w Polsce. Co więcej – miała wrażenie, że prawda jest na wyciągnięcie ręki. Tymczasem ona nadal nie wiedziała, gdzie i jak jej szukać. Była wciąż na początku drogi.

ROZDZIAŁ 8

– Piękna pogoda. Może przejdziemy się do Łazienek? Dzieciom to dobrze zrobi, a i ty na słońcu nabierzesz trochę rumieńców.

Anna, słysząc słowa matki, skrzywiła się lekko, choć zaraz zrugła się w myślach za tę reakcję. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego zatroskanie matki od dłuższego czasu ją irytowało. Czuła, że jest wobec niej niesprawiedliwa, ale niekiedy nie potrafiła zapanować nad rozdrażnieniem. Wiedziała też, a raczej domyślała się, o co matce chodzi. Hortensja Boguszevska, niegdyś, przed wojną pani na włościach, najprawdopodobniej bolała w duchu nad „upadkiem” córki, nad jej złą dolą, nad nieszczęśliwym losem. Anna wprawdzie z niczego się jej nie zwierzała, ale matka nie była przecież głupia. Swoje także przeżyła i znała się na ludziach. W dodatku instynktownie wyczuwała, że Anna nie jest szczęśliwa, i to nie z powodu jakiegoś wydumanego wyobrażenia o szczęściu i miłości, lecz dlatego, że jest źle traktowana przez męża. Zresztą, nietrudno było to odgadnąć. Marcin – w przeciwieństwie do żony – niekiedy słabo dbał o zachowanie niezbędnych pozorów i nawet w większym towarzystwie pozwalał sobie na niemile uwagi na jej temat. I nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że nie były to niewinne żarty. Jednak rzadko na to reagowano, bo Anna natychmiast dawała do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby ktokolwiek w jej obronie odcinał się jej mężowi. Upokorzyłoby ją to bardziej niż jego docinki, obnażyło jej bezradność, a nie chciała być w ten sposób postrzegana. Matka bardzo rzadko wypowiadała wprost swoje zdanie na temat Marcina, zrobiła to kilka razy przed ślubem córki, wywołując jedynie jej furię i gwałtowny opór, obserwowała ją jednak uważnie, a jej zatroskany wzrok bardziej Annę bolał niż ewentualne słowa w stylu: „A nie mówiłam? Lecz ty nie chciałaś mnie słuchać! Krzyczałaś i obrażałaś się na mnie, gdy cię ostrzegałam przed tym człowiekiem”.

Jednak nawet niewinna propozycja, jak choćby ta dotycząca wspólnego wyjścia na spacer do parku, zawierała, w odczuciu Anny, zboląły lament nad jej losem. Dlatego tak ją to drażniło. Tym razem jednak rozdrażnienie nie trwało długo. Zaraz bowiem przyszło jej do głowy, że to może być dobra okazja do nieskrępowanej rozmowy. Dzieci będą się bawić w alejkach parkowych i nie będą słuchały tego, co miała do powiedzenia ich babce. Może uda się z matki wyrwać jakieś wspomnienia, takie autentyczne zwierzenia, a nie jedynie te, które Anna znała już na pamięć – pełne nostalgii opowieści o dawnych, lepszych, bo przedwojennych, czasach, o ludziach honoru, z których większość już na zawsze odeszła, o dobrym wychowaniu, które obecnie zostało zagnane do lamusa i ośmieszona przez nowe porządki, nową „kulturę” i obecnych „panujących”. Nie miała bowiem wątpliwości, że matka nie mówiła jej wszystkiego. Nie musiała zresztą tego robić. Każdy przecież ma prawo do swoich sekretów. Annę zresztą od

lat ewentualne sekrety matki nie interesowały.

Spotkanie z Izabellą Seigner zmieniło jednak jej podejście do spraw rodzinnych. Czuła, że są wśród nich takie, które powinna poznać. Czuła także, że już czas, by matka poznała Izę – swoją nieznaną wnuczkę. Czy w ogóle wiedziała o jej istnieniu? Czas najwyższy, by obie wyłożyły wreszcie karty na stół. A właściwie by zrobiły to wszystkie trzy – także Iza. Tak czy owak, należało matkę przygotować do spotkania z nią. Nie mogła zostać zaskoczona w taki sposób jak ona, Anna, tydzień temu w szkole. Od tego czasu widziała się z siostrzenicą cztery razy, a był to czas wykradany przed Marcinem, który oczywiście nie miał zielonego pojęcia, co robi jego żona podczas rzekomych zakupów czy też wymyślonej rady pedagogicznej. A one obie za każdym razem dowiadywały się o sobie coraz więcej i nie ukrywały, że czekały na te spotkania i rozmowy jak spragniony na łyk wody.

„Zachowuję się tak jak kobieta udająca się na schadzki za plecami męża” – myślała Anna, śmiejąc się w duchu. Czasem czuła się jak więzień wychodzący na przepustki i także śmiała się z tych porównań. W ogóle dość często się ostatnio uśmiechała. I chyba lepiej wyglądała. Zauważyli to wszyscy: sąsiedzi, koledzy w pracy, nawet uczniowie patrzyli na nią z zaciekawieniem. Chyba była dla nich sympatyczniejsza niż zazwyczaj, w każdym razie bardziej tolerancyjna i ogólnie jakoś rozkojarzona. Kiedyś nawet usłyszała, że komentowali to za jej plecami. Nie oburzyła się, wzruszyła ramionami i poszła dalej. Zdawała też sobie sprawę, że mniej uważnie niż zazwyczaj pilnowała ich podczas sprawdzianów i zapewne to wykorzystywali, ale... Na to także machnęła ręką. Przyszło jej do głowy, że życie składa się nie tylko z klasówek, odpytywania, względnie prania, prasowania i sprzątania. Co najwyżej dziwiła się, że dopiero teraz zaczęła tak na nie patrzeć. Chociaż... Kiedyś, jako młoda dziewczyna, umiała korzystać z uroków zarówno świąt, jak i codzienności. Teraz odnosiła wrażenie, że ta zdolność do niej wraca.

Sprawiła to Iza, co do tego Anna nie miała wątpliwości. A także fakt, że zainteresowała się przeszłością rodziny.

Czy Marcin zauważył, jak się zmieniała?

Na to także machnęła ręką. Powoli przestawała się nim przejmować, choć nadal musiała na niego uważać. Nie mógł się dowiedzieć o Izie. Anna czuła, że nie byłoby dobrze, gdyby do tego doszło. Nie umiałyby zasadności tego przekonania dowieść w sądzie ani nawet sensownie nikomu uzasadnić, ale była pewna swojej racji.

Czemu jednak matka patrzyła na nią z taką troską? Czy dlatego, że weszło jej to w krew i inaczej już nie potrafiła reagować, czy też naprawdę w jej oczach Anna wyglądała w dalszym ciągu jak przedwcześnie postarzała, zaniedbana kobiecina?

– Dobrze. Chodźmy do tych Łazienek. Rzeczywiście szkoda słońca –

odpowiedziała żwawo, bo dotarło do niej, że matka od dłuższego czasu czeka zaniepokojona na jej odpowiedź.

Wyszły.

Była sobota, większość ludzi skończyła wcześniej pracę, a uczniowie i studenci – zajęcia w szkole i na uczelni, toteż Łazienki Królewskie pełne były zadowolonych spacerowiczów, którzy mieli w perspektywie wolną od obowiązków zawodowych niedzielę. Zgodnie z przewidywaniami Kasia i Krzys pobiegli w kierunku małego skwerku, a potem stawu. Anna nigdy się nie bała, że wpadną do wody bądź zabłądzą. Dzieci pilnowały się jej, nie traciły jej z oczu i nie zbliżały się zanadto do stawu. Skutecznie je tego nauczyła.

– Ostatnio lepiej wyglądasz – odezwała się w pewnym momencie, choć z wahaniem, Hortensja.

Anna spojrzała na nią lekko zaskoczona i uśmiechnęła się.

– Dwadzieścia minut temu litowałam się nad moją bladością – przypomniała pogodnie.

– Chciałam wywabić cię na powietrze.

Przez chwilę szły w milczeniu, każda zajęta swoimi myślami.

„Dlaczego nigdy nie potrafiłam być z nią tak do końca szczerą?” – zastanawiała się Anna, rzucając na matkę ukradkowe spojrzenie.

Nigdy dotąd nie zaprzętała sobie głowy podobnymi rozważaniami. Kochała ją, ale zawsze miała świadomość, że nie o wszystkim ma ochotę z nią rozmawiać. I raczej nie dlatego, że dzieliła je znaczna różnica wieku. Matka miała prawie trzydzieści siedem lat, gdy ją urodziła, choć zawsze, a przynajmniej odkąd Anna sięgała pamięcią, zachowywała dobrą prezencję. Hortensja miała w sobie ten nieuchwytny wdzięk, który nie mijał, niezależnie od upływu lat i zmieniających się warunków życia. Była wytworną kobietą jako pani w Bolesławicach, jeszcze przed wojną, gdy niczego jej nie brakowało, na każde jej skinienie była kiluosobowa służba domowa, a ona sama raczej nie garnęła się do jakiegokolwiek pracy w majątku. Nie zaniedbywała swojego wyglądu, dbała o schludność i odpowiednie zachowanie, także wtedy, gdy przyszła wojna, okupacja i niedostatek.

Anna zapamiętała, że nawet gdy pewnego razu majątek nawiedzili Niemcy, matka swoim powściągliwym, a zarazem pełnym chłodnej rezerwy zachowaniem damy wymusiła na nich respekt wobec swojej osoby, a zarazem całego domu. Zachowała się jak dama także wtedy, gdy władza ludowa, sprowadzona do kraju z nadania Moskwy, specjalnym dekretem odebrała majątki ziemskie wszystkim ich posiadaczom, także Zawilskim. Podziwiała matkę, gdy ta, obrzuciwszy pogardliwym spojrzeniem kilku komisarzy przybyłych z odpowiednimi papierami do Bolesławic, nieskazitelną polszczyzną, bez odrobiny prostackiego słownictwa, ale dobitnie powiedziała, co myśli o podobnej grabieży i jej wykonawcach, a potem zarządziła spakowanie osobistych rzeczy do kilku walizek i razem z dziećmi

ruszyła pieszo na stację kolejową. Wcześniej podziękowała służbie za lojalność i dotychczasową pracę.

Zamieszkali w zniszczonej Warszawie u kuzynki jej pierwszego męża, której pomogli odbudować dom. Potem matka znalazła pracę jako pomoc biurowa, a następnie bibliotekarka. Znała języki obce, miała solidną wiedzę literacką, dlatego w następnej kolejności znalazła pracę w jednym z wydawnictw. Stamtąd jednak musiała odejść, gdyż po kilku latach, gdy oficjalnie nastały czasy socrealizmu w kulturze, ludzi z jej przeszłością i pochodzeniem społecznym pozbywano się ze stanowisk redakcyjnych. I to niezależnie od ich edytorskiej wiedzy. A w pewnym sensie także ze względu na nią. Może zresztą matka zachowałaby stanowisko, ten i ów był gotów za nią poręczyć, gdyby nie sprawa jej pasierba, Maćka Boguszewskiego, a następnie aresztowanie męża. To sprawiło, że musiała pożegnać się z pracą, którą naprawdę lubiła i wykonywała dobrze.

Aby utrzymać siebie i dzieci, miała się różnych dorywczych zajęć, a stałą pracę – z powrotem w bibliotece – zdobyła dopiero w pięćdziesiątym szóstym roku, gdy nastały pierwsze symptomy politycznej odwilży, na fali której zaczęto zwalniać pierwszych więźniów politycznych, w tym jej męża. Była twarda, silna, nie rozczulała się nad sobą. Ci nieliczni, którzy pamiętali ją jako młodą kobietę w czasach, gdy była właścicielką majątku ziemskiego, nadziwić się nie mogli, że to ta sama osoba, tak niegdyś nieporadna i zajęta jedynie rozrywkami wielkiej pani. Nawet stary Podhorecki, dawny ordynans jej pierwszego męża, który z jakiegoś nieznanego Annie powodu nie cierpiał jej matki, przyznawał niechętnie, że wreszcie wzięła się w garść, gdy już nie było innego wyjścia.

I wszyscy zgadzali się, że pomimo przeciwności losu Hortensja nie przestała być damą, nie zarzuciła dobrych wielkopańskich manier, dbała o odpowiednie wychowanie i zachowanie swoich dzieci, o ich wykształcenie. Uczyła ich języków obcych, gdy wszyscy wokół pukali się w czoło, pytając, co im z tego przyjdzie. Na co znajomość języków w kraju za żelazną kurtyną, odciętego od reszty wolnego świata brakiem paszportów i możliwości wyjazdów zagranicznych, gdzie nawet otrzymywanie listów od krewnych żyjących za granicą było ryzykowne i mogło zainteresować bezpiekę. A fakt, że od końca pięćdziesiątego pierwszego do pięćdziesiątego szóstego roku Michał Zawilski siedział na Mokotowie i wciąż nad rodziną unosiło się fatum w postaci śmierci Maćka Boguszewskiego, wszystko dodatkowo utrudniał. O jakiegokolwiek podróży zagranicznej mowy być nie mogło, nawet gdyby Hortensja i jej rodzina miała na to pieniądze. Polityczna, krótkotrwała zresztą, popaździernikowa odwilż w kwestii podróży i pieniędzy także niczego nie zmieniła.

Zatem w jakim celu, pytano z przekąsem, uczyć się języków obcych? Co to może być warte bez możliwości zagranicznych kontaktów? Hortensja jednak wiedziała swoje. Niczego nikomu nie tłumaczyła, tylko kazała dzieciom wkuwać

angielskie słownictwo i francuską koniugację, a także osobiście uczyła ich gry na odziedziczonym po zmarłej kuzynce pianinie. Łukasz, starszy od Anny o piętnaście lat, był już wówczas na swoim, to znaczy wraz z żoną i synem mieszkał u teściów.

Anna wdzięczna była matce za wychowanie i wykształcenie, miała jednak świadomość, że te trudne lata w pewnym sensie oddaliły je od siebie. O wielu bowiem sprawach nie była informowana. Tłumaczono jej, że to dla jej dobra, a także ze względów bezpieczeństwa. Podczas wojny, a zwłaszcza tych pierwszych trudnych powojennych lat, gdy spadły na nich różne nieszczęścia, była dzieckiem, potem nastolatką i mogła niechętnie wyrwać się z jakimś nieopatrznie wyznaniem na tematy, których lepiej było nie poruszać w gronie obcych ludzi, ponieważ mogło to przynieść daleko idące konsekwencje dla reszty rodziny. W pewnym momencie zatem przestała pytać i interesować się czymkolwiek. Nawet gdy ojciec opuścił więzienie, o nic go nie pytała. Inna rzecz, że stale nieobecny myślami, schorowany, nie chciał o niczym mówić tym, którzy go odwiedzali i pragnęli dowiedzieć się, przez co przeszedł. A kilka miesięcy później zmarł.

To zdarzenie do reszty zdystansowało Annę wobec matki i brata, a znajomość z Marcinem, którego jej bliscy nie chcieli zaakceptować, przypieczętowała całość.

Pewnie także i te powody sprawiły, że teraz, po latach, tak trudno przychodziła im rozmowa o sprawach osobistych.

– Marcin nie miał ochoty przyjść do mnie razem z wami? – zagadnęła niezręcznie Hortensja.

Anna zdawała sobie sprawę, że matka próbuje przerwać coraz bardziej przeciągające się, i przez to niezręczne, milczenie, ale nieudolność jej pytania ponownie ją zirytowała. Mimo to powściągnęła zniecierpliwienie i odparła pogodnie:

– Wolał obejrzeć mecz w telewizji. Przecież wiesz, że jest zaangażowanym kibicem sportowym, choć tylko przed szklanym ekranem.

Hortensja wydeła usta, dając tym samym do zrozumienia, co myśli o plebejskich zamiłowaniach swojego zięcia. Tym razem Anna straciła cierpliwość.

– O co znowu chodzi? – spytała zaczepnie. – Nie lubisz go. Po co ci jego wizyty?

– Moja sympatia, czy też ewentualna antypatia, nie ma tu nic do rzeczy – odparła z godnością matka. – Pozostają tylko niepodważalne fakty. Marcin jest twoim mężem i powinien od czasu do czasu uczestniczyć w życiu naszej rodziny.

„Zaczyna się” – jęknęła w duchu Anna, ale, wbrew swojej dotychczasowej taktyce w kwestiach rozmawiania z kimkolwiek na temat swojego małżeństwa, tym razem podjęła rzuconą rękawicę.

– Przecież od czasu do czasu to robi – niemal warknęła. – Przychodzi do ciebie na śniadanie wielkanocne, w święta i na imieniny. Powinno ci to wystarczyć.

O Wigilii świadomie nie wspomniała, bowiem co drugi rok celebrowali ją u teściów.

– Wszystko u was w porządku?

„No, ładnie, mamó. Próba ofensywy? Nic z tego”.

– Tak, w porządku – odparła krótko i spojrzała w niebo, mając pełną świadomość, że matka nie spuszcza jej z oczu.

„Jasna cholera” – pomyślała ze złością. „Nie o tym chciałam z tobą mówić”.

I zaraz przyszło jej do głowy, że ona, w przeciwieństwie do matki, nie zachowała dystynkcji damy. A przecież miała, jak to ujął ktoś z ich znajomych, dobre geny. Została dobrze wychowana. Niestety odkrywała w sobie więcej cech prostackiej baby, takiej proletariuszki w negatywnym tego słowa rozumieniu, która z byle powodu przeklina, choćby w myślach. Jej matka z pewnością tego nie robiła i zawsze starannie się wysławiała. I nie można było usprawiedliwiać tego faktem, że jako młoda kobieta obracała się w wytwornym towarzystwie i nie musiała urabiać sobie rąk po łokcie, jak to obecnie czyniła jej córka. Przecież potem przez wiele lat harowała jak wół, próbując wraz z dziećmi utrzymać się na powierzchni i przeżyć.

– Ostatnio wyglądasz tak jakoś...

– O co ci chodzi, mamó?! – nie wytrzymała Anna i aż stanęła na środku parkowej alejki. – Zdecyduj się w końcu, czy twoim zdaniem wyglądam koszmarnie, czy trochę lepiej. Co jakiś czas zmieniasz zdanie.

Zwróciła na siebie uwagę przechodzących spacerowiczów, więc matka ujęła ją delikatnie pod ramię, zmuszając tym samym, by ruszyły z miejsca.

– W tym właśnie rzecz, że od paru dni wyglądasz jakoś inaczej niż zwykle. Wczoraj, zupełnie przez przypadek, spotkałam w sklepie twoją sąsiadkę z piętra, Zwierzyniecką, i ona mi napomknęła, tak niby od niechcienia...

„Napomknęła ci niby od niechcienia o awanturach w moim mieszkaniu. Zaiste Marcin, gdy się już na dobre rozkręci, nie dba o to, że słyhać go przez ściany”. Myśl ta sprawiła, że Anna ponownie, tym razem nie na żarty przestraszona, uderzyła w werble bojowe.

– Od kiedy to słuchasz plotek, w dodatku rozsiewanych przez osoby pokroju Zwierzynieckiej?

To była uwaga nie fair i Anna zaraz zawstydziła się swych słów. Zwierzyniecka była ciężko pracującą, prostą, lecz w gruncie rzeczy życzliwą kobietą, zmagającą się w dodatku z mężem pijakiem, a wytykanie jej braku towarzyskiego obycia i wykształcenia było nie na miejscu.

– To, o czym wspomniała, wywołało we mnie dość ambiwalentne uczucia – odparła spokojnie Boguszevska i uśmiechnęła się niewyraźnie. – Choć zapewne powinnam zmyć ci za to głowę. Z drugiej strony nie bardzo mogę w to uwierzyć i dlatego wołałam dowiedzieć się u źródła.

– O czym ty mówisz? – Anna ponownie zatrzymała się na środku alejki i wyrwała ramię z objęcia matki. Jednak w tym momencie była bardziej zdumiona niż zaniepokojona.

– Chodź, nie stójmy w tym miejscu – upomniała ją łagodnie Hortensja, a potem dodała: – Ponoć sąsiedzi zauważyli, że ostatnio jesteś jakaś... zadowolona, uśmiechnięta, a ponieważ nie kojarzą tej przemiany z twoim mężem, więc... Jak by to powiedzieć...

– Rozumiem. Sąsiadki doszły do wniosku, że mam kochanka. – Anna parsknęła śmiechem, wznosząc oczy do nieba. – Nie do wiary – dodała – że te kobiety mają czas i głowę do podobnych bzdur.

– Cóż chcesz? Zawsze to jakaś odmiana w ich na ogół niewesołej egzystencji.

– Ciebie to nie oburza?

– A mam powody do oburzenia? – Tym razem to Hortensja się zatrzymała, ale zaraz na nowo podjęła marsz.

– Czy naprawdę aż tak się zmieniłam w ciągu ostatnich dni?

– Zaczęłaś częściej wychodzić z domu.

– Sąsiadki zanotowały dni i godziny moich wyjść i powrotów?

– Przypominam, że sama ostatnio dwukrotnie pilnowałam twoich dzieci. Wychodziłaś na jakieś spotkania i wracałaś później, niż zapowiadałaś. Choć zawsze przed Marcinem.

„Tak, a poza tym dwa razy wmówiłam Marcinowi, że idę po zakupy i na zebranie rady pedagogicznej” – dopowiedziała sobie w myślach Anna. Jednak na głos spytała z irytacją:

– Trzeba było mi powiedzieć, że miałaś inne plany niż pilnowanie moich dzieci.

– Ależ sprawiło mi to prawdziwą radość. – Hortensja ponownie się uśmiechnęła i niespodziewanie pogłaskała córkę po policzku.

W pierwszej chwili Anna pomyślała, że matce sprawiło przyjemność przebywanie z wnukami. Dopiero gdy usłyszała jej następne słowa, pojęła, że Hortensja cieszyła się ze względu na nią, Annę.

– Naprawdę myślałaś, że mogłabym mieć do ciebie jakiegokolwiek pretensje o to, że znalazłaś wreszcie coś, co przyniosło ci szczęście? Czy nawet kogoś? Jestem ostatnią osobą, która miałaby prawo rzucić w ciebie kamieniem.

– Chyba oszalałaś, mamó! Ani mi to w głowie. – Anna niemal czuła, jak wyrastają jej kolce.

„Dość tych bzdur” – pomyślała gniewnie. „Skoro zanoszą się na zwierzenia, czas wreszcie odbić piłeczkę”.

Stały nad brzegiem stawu, a ponieważ Hortensja milczała, obruszona słowami córki, Anna uznała, że czas, aby to ona na nowo podjęła rozmowę.

Wiedziała zarazem, że od tego, co teraz powie, wiele będzie zależeć, dlatego modliła się w duchu o właściwe słowa.

– Lubiłam tu przychodzić przed laty, gdy wracałam ze szkoły – zaczęła. – Nie wiedziałas o tym, nic nie mówiłam, bo nie chciałam powodować u ciebie dodatkowego smutku.

To była tylko część prawdy, w dodatku niewielka. Nie opowiadała matce o swoich wycieczkach nad staw w Łazienkach, bo w tym czasie coraz mniej już miały sobie do powiedzenia. Ponieważ właściwie nigdy, nawet w dawnych dobrych czasach, nie rozmawiały ze sobą od serca. A fakt, że w tych dawnych dobrych czasach Anna była małym dzieckiem, niczego tu nie zmieniał. Zawsze coś lub ktoś stało między nimi. Ale o tym Anna nie chciała teraz myśleć. Jakie to mogło mieć teraz znaczenie? Jednak wspomnienie tamtych samotnych spacerów nad staw było jej w tej chwili potrzebne.

Hortensja w dalszym ciągu milczała, ale Anna odgadła, że matka jej słucha, mówiła więc dalej:

– To miejsce przypominało mi staw w Bolesławicach. Ja wiem, że pozornie prawie wszystko wyglądało tam inaczej, ale staw...

– Staw był znacznie większy – wtrąciła Hortensja i wreszcie blado i niewyraźnie, ale jednak uśmiechnęła się, choć patrzyła przed siebie, nie na córkę. Spojrzenie jej było nieobecne, pełne nostalgii i Anna nie wątpiła, że matka myślami jest teraz w przeszłości.

– Miałam wtedy rację, że o niczym ci nie mówiłam – rzekła Anna miękko. – Nawet teraz jest ci smutno. Zawsze wiedziałam, że tęsknisz za tym miejscem. Byłaś tam taka szczęśliwa.

Odpowiedź matki padła prawie natychmiast i zbiła córkę z tropu.

– Niezupełnie tak było. Szczęśliwa byłam tam tylko przez niespełna trzy lata. Od ślubu z twoim ojcem do...

– Jeśli masz na myśli wybuch wojny, to stało się to dopiero cztery lata po twoim ślubie. Nie trzy – sprostowała łagodnie Anna, przypisując pomyłkę matki jej wzruszeniu.

– Tak... – odparła Hortensja. Nie zabrzmiało to jednak przekonująco. Jakby coś nie zostało dopowiedziane.

– Słyszałam o tym, że twoje pierwsze małżeństwo... – podjęła z wahaniem Anna.

Przyszło jej do głowy, że może od tego należałoby zacząć, zanim zada pytanie o siostrę. Zanim powie o Izie.

Hortensja jednak potrząsnęła głową.

– Nie warto do tego wracać – oznajmiła dość stanowczo.

„A więc to tak? A o mnie chciałabyś wiedzieć wszystko” – zirytowała się po raz kolejny Anna. Powściągnęła jednak emocje i przeszła do meritum. Uznała, że

nie należy dłużej zwlekać.

– To może porozmawiamy o kimś, o kim, dla odmiany, warto choćby czasem wspomnieć? – A napotkawszy zdumiony wzrok Hortensji, dodała drżącym z emocji głosem: – Mam na myśli moją siostrę.

– Joannę? – wyszeptała Hortensja, zanim zagryzła wargi.

– Tak miała na imię. Tyle o niej wiem. A przydałoby się wiedzieć coś więcej, nie sądzisz?

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Hortensja z trudem wydobywała z siebie głos. Była najwyraźniej zszokowana, nie tylko zdumiona. – Po tylu latach... Przecież ty nigdy o nią...

– Nie pytałam – dokończyła Anna, widząc, że matce najwyraźniej zabrakło tchu. – Nie pytałam, bo jakimś – sama nie wiem – szóstym zmysłem wyczuwałam, że ani ty, ani Łukasz nie chcecie podejmować tego tematu.

To nie była cała prawda, przecież o tym wiedziała. Zresztą gdyby tylko zechciała dowiedzieć się czegoś więcej o siostrze, mogłaby pojechać do domu starego Podhoreckiego i z nim porozmawiać. Mogłaby spróbować odnaleźć dawnych znajomych rodziców. Siostra także zapewne miała jakieś koleżanki, zanim opuściła kraj. Przecież nie wszyscy ci ludzie zginęli w czasie wojny czy też znaleźli się poza Polską. Nie szukała ich, zajęła się swoim życiem. Matka jednak nie musiała wiedzieć, że zabrakło jej dobrej woli, by poznać losy siostry. Niemniej reakcja Zawilskiej była zrozumiała.

– Chodź, usiądźmy na tamtej ławce – zaproponowała, widząc, że matka pobladła. Hortensja nie opierała się. Usiadły, obserwując przez chwilę w milczeniu, jak Kasia i Krzyś w towarzystwie innych dzieci biegają za małym stadkiem gołębi.

– Przecież wiesz, że to nie takie proste – szepnęła wreszcie Hortensja.

– Zapewne. I nawet trochę cię rozumiem. Nie zaakceptowała twojego drugiego małżeństwa, nie cierpiała mojego ojca, prawdopodobnie nie cierpiała także mnie. I wyjechała stąd tak szybko, jak mogła, zrywając z wami wszelkie kontakty. Ani razu nie napisała.

– A zatem wiesz coś więcej niż tylko to, jak miała na imię – zauważyła z lekką ironią Hortensja.

Najwidoczniej odzyskiwała kontrolę nad sytuacją i nad rozmową, ale Anna nie zamierzała jej tego ułatwiać. Bo to oznaczało, że matka ponownie zamknie się w swojej twierdzy i niczego się z niej nie wydobędzie.

– Tyle akurat wiem, bo gdy byłam dzieckiem, coś tam obilo mi się o uszy. Żyliśmy przecież wśród ludzi, nie na pustyni.

– Wobec tego wiesz wszystko, co trzeba. Wystarczyło ci to przez całe lata i może tak pozostać.

– Nie, bo pewnych spraw nie rozumiem, a chciałabym je pojąć.

– Właśnie teraz nabrałaś na to ochoty?

„Znowu ta ironia” – pomyślała Anna.

– Tak, powiedzmy, że właśnie teraz.

– Nie do mnie powinnaś kierować te pytania i pretensje.

– A do kogo?

Odpowiedziało jej milczenie. Anna pokiwała głową i uśmiechnęła się niedobrym, pełnym goryczy grymasem.

– Jej nie mogę zapytać. Ona od lat już nie żyje. Ty mi wyjaśnij pewną kwestię, bo sama, będąc matką, czegoś tu nie rozumiem.

– Ta rozmowa nie ma sensu. Nie pojmuję, co w ciebie wstąpiło. – Hortensja wykonała taki ruch, jakby chciała się podnieść, ale Anna przytrzymała ją za rękę.

– Jak to się stało, że ona w ogóle stąd wyjechała? Jak to się stało, że jej pozwoliłaś? W istocie, skończyła już wtedy osiemnaście lat, ale ile to wtedy znaczyło? To były lata trzydzieste, młodość, a zwłaszcza dziewczęta, wychowywano surowiej niż dziś. Ja nawet dziś, gdyby moja Kasia miała niespełna dziewiętnaście lat, nie pozwoliłabym jej samej jechać za granicę, gdziekolwiek. Chyba że Joanna uciekła potajemnie z domu, w co jakoś nie mogę uwierzyć.

– Nie miałam wyjścia. Uparła się. – Hortensja podniosła głos.

– Czyżby? A skąd miała pieniądze na podróż?

– Ojciec ją zabezpieczył. Przeznaczył dla niej specjalny fundusz. Zresztą to było także jego marzenie, aby studiowała w Paryżu. Była jego pupilką.

– Tak. – Anna skinęła głową. – O tym także coś słyszałam. Dlatego nie potrafiła pogodzić się z faktem, że tak szybko po śmierci jej ojca wyszła po raz drugi za mąż. Zwłaszcza gdy się dowiedziała, że musiała się spieszyć. To pewnie był dla niej szok.

– Ale ja nie muszę tego słuchać. – Hortensji tym razem udało się podnieść z ławki i byłaby naprawdę odeszła, gdyby Anna gwałtownym ruchem jej nie powstrzymała.

– Siadaj – rozkazała takim tonem, jakim czasem, choć nie w ostatnich dniach, strofowała niektórych uczniów. Wiedziała, że w stosunku do matki niebezpiecznie przeciąga strunę, ale ostatecznie kości już zostały rzucone. Nie mogła pozwolić matce odejść tak bez żadnych wyjaśnień. Obrażona Hortensja nie będzie się do niej odzywać nie wiadomo przez ile dni, a przecież Iza także nie mogła bez końca tkwić w Warszawie. – Usiądź – powtórzyła już spokojnie, tak że ponownie zaskoczona i zdenerwowana Hortensja spełniła jej polecenie. – Rozmawiaj ze mną jak z dorosłą osobą, nie jak z dzieckiem. Przecież znam datę swoich urodzin i waszego ślubu. Dlatego nie wmawiaj mi, że nie wypada o tym mówić. To raczej tobie nie wypadało romansować z moim ojcem, gdy żył jeszcze twój mąż, ale to nie moja sprawa. Nie potępiam cię za to. Kochałam ojca i ciebie i byłam z wami szczęśliwa. Dla Joanny jednak musiało to mieć znaczenie. Była bardzo młoda, gdy dowiedziała się o tych sprawach. Miała wtedy szesnaście lat.

Wiem, jak reagują dziewczęta w jej wieku na podobne zawirowania w rodzinie. Mam uczennice w tym wieku. Nie mogłaś postarać się jej zrozumieć? Przecież byłaś jej matką!

– Nigdy się nie rozumiałyśmy. – Hortensja zakryła twarz dłońmi. – Nie kochała mnie. Nie pozwoliła, abym ją kochała. Tak było prawie od samego początku. Wiele by o tym mówić. Jej ojciec... – Nagle się rozplakała, a Anna pospiesznie podała jej chusteczkę.

– Co się stało babci? – spytał Krzyś, który w tym samym momencie wyrósł przy nich jak spod ziemi.

– Babcia jest trochę przeziębiona. Idź się bawić – zakomenderowała zdenerwowana Anna.

– Kupisz mi lody?

– Jeszcze czego! A potem w poniedziałek przedszkolanka znowu robi awanturę, że przyszedłeś chory. – Zaraz jednak odtajała na widok zasmuconej twarzyczki synka, bo dodała ugodowo: – Ale pójdziemy potem do cukierni na ciastka z kremem. Obiecuję. Teraz jednak muszę porozmawiać z babcią, więc wracaj do dzieci i nie odchodźcie z Kasią za daleko. Chcę was cały czas widzieć.

Gdy ukontentowany Krzyś spełnił jej życzenie, zwróciła się ponownie do matki. Postanowiła nie drążyć, przynajmniej na razie, wspomnień dotyczących kapitana Boguszewskiego i skomplikowanych relacji rodzinnych w pierwszym małżeństwie matki. Już dawno zauważyła, że nie tylko Hortensja, ale także Łukasz unikali tego jak ognia. Musiała jednak poznać okoliczności wyjazdu Joanny do Paryża. Czuli, że tu właśnie zawiera się kwintesencja dramatu siostry.

– Była bardzo odważna, skoro zdecydowała się jechać sama, w nieznaną – rzuciła pozornie lekko, a w każdym razie niezobowiązująco.

– Tak, była odważna, ale nie pojechała sama – odparła matka tonem opanowanym, a zarazem z jakąś rezygnacją w głosie. Jakby uznała, że nie ma wyjścia, córka nie ustąpi, dopóki nie usłyszy odpowiedzi na choćby niektóre ze swoich pytań. – Towarzyszył jej Maciek, brat przyrodni – dodała, choć Anna natychmiast się domyśliła, o jakiego Maćka chodzi.

Obok nich przeszła jakaś kobieta z płaczącym niemowlęciem w wózku. Mimochodem spojrzała na nie zmęczonym wzrokiem świadczącym o niewyspaniu.

„To chyba jakiś znak” – przemknęło Annie przez głowę i zaraz zrobiło jej się zimno, choć przecież podobna myśl była absurdalna. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Wyjechała na początku września. Maciek, po raz ostatni przed wojną, przyjechał wtedy do kraju. Spędził z nami ponad dwa tygodnie. Potem wrócił do Francji, a ona pojechała... razem z nim...

Hortensja wyglądała w tej chwili tak, jakby to wyznanie odebrało jej wszelkie siły.

– We wrześniu trzydziestego siódmego? – upewniła się Anna.

– Tak.

„A zatem nie miałam jeszcze ukończonych dwóch lat. Urodziłam się w grudniu trzydziestego piątego. Kiedy urodziła się Iza? Powiedziała, że w trzydziestym ósmym roku, ale kiedy dokładnie? Nie przyszło mi do głowy, aby o to zapytać. Muszę to zrobić tak szybko, jak to będzie możliwe”.

– Zaspokoiliam już twoją ciekawość? – W głosie matki ponownie pojawiła się gorzka ironia. Najwyraźniej jednak dochodziła już do siebie.

„Teraz”.

– Jaki kolor oczu miała Joanna? – spytała pozornie niewinnym tonem Anna, ale głos ją zawiódł.

I matka to spostrzegła.

– O co ci znowu chodzi? – spytała, a jej źrenice rozszerzyły się ze zdumienia.

– Tak tylko pytam – kontynuowała Anna, która, choć starała się nie patrzeć na Hortensję, drżała na całym ciele. Nie miała wątpliwości, że i to nie uszło uwadze rodzicielki. – Nie możesz mi odpowiedzieć? A może nie chcesz lub tego nie pamiętasz?

– Na miłość boską, czy wyjaśnisz mi wreszcie...

W tym momencie obie jak na komendę obrzuciły się czujnymi spojrzeniami.

– Ja mam brązowe, córka Joanny także. Pomyślałam więc, że również ona, to znaczy Joanna...

– Słucham?

Twarz matki jakby się skurczyła, a po chwili przebiegło po niej nerwowe drgnienie.

– Nie wiedziałaś nawet tego, że miała córkę? Że masz jeszcze jedną wnuczkę?

Nagle Annie przyszło do głowy, że matka jednak mogła coś wiedzieć na temat córki Joanny. Choćby od Maćka, który w czterdziestym szóstym roku zdecydował się wrócić do Polski.

– No cóż, mogłam się tego spodziewać – padła dość ostrożna odpowiedź Hortensji. – Przecież miała prawo założyć tam rodzinę. Skąd jednak ty o tym wiesz?

Ostatniemu zdaniu ponownie towarzyszył czujny wyraz twarzy.

„A więc nie wiedziałaś. Twój pasierb nic ci nie powiedział. Mimo wszystko... dlaczego to przemilczał?”

– Poznałam tę dziewczynę – odpowiedziała Anna. – Nazywa się Izabella Seigner, dziesięć dni temu przyjechała do Warszawy.

ROZDZIAŁ 9

„Jutro wyjeżdżam do Paryża. Maciek zdołał załatwić i kupić bilety. Nareszcie będziesz miała mnie z głowy”.

Hortensja, przywołując w myślach te słowa, wypowiedziane dwadzieścia osiem lat temu, zakryła dłońmi twarz. Tak jak wtedy. I tak jak wówczas każde słowo córki odczuwała jak dźganie nożem w świeżą ranę. Niebawem, ale od lat już nie wspominała tamtego dnia, gdy córka weszła do jej pokoju i oznajmiła swoją nieodwołalną decyzję. Hortensja nie wyrzuciła tamtej chwili z pamięci, właściwie nigdy nie próbowała tego zrobić. Jednak od dawna starała się o tym nie myśleć, nie rozpamiętywać, a koleje historii, w którą wplecione zostało jej życie, bardzo jej w tym pomogły. Musiała po prostu zająć się trudną codziennością – i tą okupacyjną, i tą z pierwszych powojennych lat. Ból tamtego rozstania ze starszą córką i okoliczności, jakie mu wówczas towarzyszyły, musiał ustąpić przed nowymi wyzwaniem, przed codzienną walką o byt i przetrwanie. Ale wystarczyła jedna rozmowa z Anną, by wszystko wróciło. By wrócił tamten pogodny wrzesień trzydziestego siódmego roku, by wrócił każdy szczegół. Zdawało jej się nawet, że słyszy głos starszej córki, każde jego drgnienie. I znowu ją zobaczyła, choć oczywiście była to wizja z przeszłości. Lecz tak realna jak niektóre sny, niedobre sny, zapowiadające nieszczęście.

Teraz, po latach, musiała stawić temu czoła. Wtedy nie była na to gotowa. Nie była gotowa postąpić w sposób, w jaki powinna była postąpić matka. Tak, Anna, powołując się na jej obowiązki jako matki, ponownie otworzyła z takim trudem zabliznioną przed laty ranę, choć nadal nie miała pojęcia, co się wtedy wydarzyło. Przynajmniej tego jeszcze nie wiedziała. Chyba że... tamta ma taką wiedzę i się nią podzieli. Tamta... wnuczka. Wnuczka... Boże drogi!

Hortensja chwyciła się za głowę.

Zaraz się jednak uspokoiła. Izabella Seigner (czy jak jej tam) prawdopodobnie także nie знаła prawdy. Przecież Joannie również zależało na tym, by nikt o niczym nie wiedział. Przecież dlatego wyjechała i definitywnie zerwała z rodziną. A od osiemnastu lat już nie żyje. Czy przed śmiercią zapragnęła wyznać cokolwiek swojej córce? Ludzie w obliczu śmierci tak czasem czynią. Jednak tylko czasem, nie zawsze.

A Joanna była uparta, zawzięta i konsekwentna. Gdy raz coś postanowiła, nie zmieniała decyzji – dokładnie jak jej ojciec.

Dlatego gdy wtedy, dwadzieścia osiem lat temu, oznajmiła matce, że odchodzi, znika z życia mieszkańców Bolesławic i postara się, aby już nigdy o niej nie usłyszeli, Hortensja nie miała cienia wątpliwości, że córka dotrzyma słowa.

– Nareszcie będziesz miała mnie z głowy – oświadczyła jej wtedy, a zaraz potem dodała: – Nie martw się, mam. Nie zobaczysz mnie już więcej.

Co ona, matka, jej wówczas odpowiedziała?

– Rób, jak uważasz.

Naprawdę tego wtedy chciała – aby Joanna zesła jej z oczu. Cierpliwość się wyczerpała, a wszystkie dobre intencje, jak również marzenia, by wreszcie pozyskać miłość i zrozumienie tej krnąbrnej dziewczyny, skończyły się definitywnie. Od lat córka irytowała ją niemal nieustannie, lecz to, co wydarzyło się poprzedniej nocy i poranka, ostatecznie przelało czarę goryczy. Pozostał gniew, żal i... strach.

„Przecież wreszcie po tylu latach mogłam być szczęśliwa, kochana, szanowana, spełniona jako kobieta. Musiała mi to odebrać moja własna córka? Aż taką nienawiścią do mnie zaraził ją jej ojciec?”

Nawet wtedy, gdy tak myślała, gdzieś w głębi serca zdawała sobie sprawę, że nie była sprawiedliwa w swej ocenie. Joanna zawiniła wobec niej, ale przecież to nie na nią spadała w tym wypadku główna odpowiedzialność. I nie na Władysława, który wówczas już od dwóch lat leżał w grobie. W tym konkretnym wypadku, który przelał czarę wzajemnej goryczy i ostatecznie przyczynił się do odejścia Joanny z ich życia rodzinnego, najbardziej zawinił kto inny – i Hortensja zawsze wiedziała, kto to był.

„Nie” – myślała z rozpaczą, szukając w domowej apteczce proszku na migrenę. „Nie będę o tym myśleć. To już i tak nie ma znaczenia. A zmarłych trzeba zostawić w spokoju”.

Problem polegał jednak na tym, że przed laty zostawiła w spokoju kogoś, kogo powinna była ukarać. Zamiotła sprawę pod dywan, wybaczyła, rozgrzeszyła, uparła się, by już do tego nie wracać. Niestety, brud ma to do siebie, że nawet zamieciony pod dywan powiększa się, wyłazi na wierzch. W tym konkretnym wypadku stało się to dopiero po dwudziestu ośmiu latach.

A przecież to, co wówczas uczyniła, nie było pierwszym poważnym błędem w jej życiu, lecz raczej konsekwencją wszystkich wcześniejszych.

Popiła proszek wodą i przeszła do pokoju. Miała wrażenie, że świat wirował jej przed oczami, a jej nogi były zbudowane z waty. Mimo to podeszła do starej meblościanki i wyjęła z półki oprawiony w skórę, wiekowy album.

„Kiedy ostatni raz zaglądałam do tych zdjęć?” – zastanowiła się, po czym wzruszyła ramionami. Jakie to miało teraz znaczenie? Nadszedł wreszcie czas, gdy musiała zmierzyć się z przeszłością. Zresztą, podświadomie zawsze przecież wiedziała, że taki dzień w końcu nadejdzie.

Na pierwszej stronie znajdowała się ślubna fotografia jej rodziców, z przełomu wieków. Nie była najlepszej jakości. Rysy twarzy nowo upieczonej pani Stankiewiczowej były bardzo niewyraźne, podobnie jak wspomnienia Hortensji o niej. Wiedziała, że to matce zawdzięcza swoje dość oryginalne imię, które nawet wtedy, kilkadziesiąt lat temu, wzbudzało powszechne zainteresowanie,

a niekiedy zdumienie. Rodzinna wieść głosiła, że jej rodzicielka wynalazła to imię w jakiejś, pośledniej skądinąd, powieści dla panien, a zakochany mąż nie miał serca jej tego wyperswadować. Matka umarła przy porodzie, gdy Hortensja miała trzy lata, a wraz z nią umarli bliźnięta, które usiłowała wydać na świat. Dwaj chłopcy. Jako siostra nigdy ich nie odżałowała. Zawsze bowiem uważała, że gdyby miała braci, czy bodaj jednego, albo przynajmniej siostrę, byłoby jej w życiu lżej. Miałaby świadomość, że po odejściu matki, a potem ojca zostałby jej jeszcze na świecie ktoś bliski, krew z krwi i kość z kości, komu mogłaby się wypłakać, gdy było jej naprawdę ciężko.

Po śmierci żony ojciec trwał w nieutulonej żałobie przez dziesięć lat, aż wreszcie poślubił, ku oburzeniu wszystkich okolicznych ziemian, guwernantkę własnej córki, dwanaście lat od siebie młodszą pannę Urszulę Jakobielską. Hortensja nie protestowała, przywiązała się do nauczycielki, a pan Stankiewicz u boku niepozornej z wyglądu, ale spokojnej i zaradnej młodej żony odzyskał radość życia, choć o pełnym namiętnej miłości związku nie mogło być mowy. Była jednak przyjaźń i wzajemna troska o siebie i to wystarczyło, by wszystkie zainteresowane strony – w tym także Hortensja – były zadowolone, a okoliczne towarzystwo w końcu zaakceptowało wybór szacownego pana Stankiewicza.

Hortensja w każdym razie patrzyła z wdzięcznością na fotografię macochy, choć niemal od razu przypomniało jej to jedyną nieprzyjemną rozmowę, jaka miała miejsce między nimi dwiema. Żałowała, że wciąż miała to tak żywo w pamięci. A może dopomógł w tym fakt, że patrzyła właśnie na zdjęcie Anieli Boguszewskiej z Korkowiczów – pierwszej żony Władysława.

– Czemu wciąż trzymasz tę fotografię? – zżymał się przed laty Łukasz. – Już dawno powinnaś ją wyrzucić.

– Była matką twojego przyrodniego brata – przypomniała mu łagodnie.

– On także już nie żyje. – Łukasz nigdy nie miał problemów ze znalezieniem odpowiedzi na czas. – A nawet gdyby żył, nie protestowałby, gdybyś wyrzuciła to zdjęcie. Sam, z tego co wiem, nie trzymał żadnej pamiątki po matce. To z jej powodu ojciec zawsze traktował go per noga.

„Tak jak i mnie” – pomyślała wtedy, zaraz jednak uznała bezsensowność argumentacji ukochanego syna.

– Przecież to nie jej wina – odparła, bo zawsze tak właśnie myślała.

Nigdy o nic nie winiła Anieli, choć zarazem był taki czas, że traktowała ją jak rywalkę do serca mężczyzny, którego bezskutecznie próbowała w sobie rozkochać. Przez kilka lat była zazdrosna o zmarłą... lecz potem jej przeszło. Podobnie jak miłość do Władysława. Przed ślubem jednak nie przewidywała takiego scenariusza zdarzeń. Właśnie wtedy poróżniła się z macochą.

– Władysław Boguszewski nie da ci szczęścia – ostrzegła ją pewnego razu Urszula, gdy Hortensja wyznała jej, że przyjęła oświadczyzny sąsiada.

W duszy młodziutkiej, zakochanej po uszy dziewczyny zapłonął gniew. Ten jeden jedyny raz poczuła gwałtowną niechęć do macochy.

– Właśnie się zaręczyliśmy – warknęła.

– To niedobrze. Od jakiegoś czasu chciałam cię przed nim ostrzec.

– Ostrzec? A niby dlaczego? – W tym momencie do Hortensji dotarło, że niepotrzebnie pytała, niepotrzebnie okazała zainteresowanie. Uwagi Urszuli należało zlekceważyć i już. Dlatego zaraz, oburzona, dodała: – Zresztą, nic mnie to nie obchodzi.

– Z nim jest coś nie w porządku. – Urszula wydawała się być niewzruszona wobec niechęci pasierbicy.

– Niby co? – spytała zaczepnie Hortensja, zanim znowu upomniała samą siebie, że zrobiła to niepotrzebnie. Macocha tylko czekała na tę uwagę.

– Chociażby to, że wciąż rozpacza po swojej zmarłej żonie. To już przecież cztery lata, jak ją pochował.

Hortensja poczerwieniała.

– To raczej dowodzi, że jest wrażliwym człowiekiem, zdolnym do wielkich uczuć.

– To cię nie przeraża? – Urszula była autentycznie zatroskana i zaniepokojona.

– A niby czego mam się bać? Przewidujesz, że Aniela zacznie mnie straszyć po nocach? – parsknęła śmiechem dziewczyna, choć tak naprawdę nie było jej wesoło.

– Nie będziesz szczęśliwa z człowiekiem, który wciąż kocha swoją pierwszą żonę. W jego sercu nie ma już miejsca dla nikogo innego, nawet dla własnego dziecka.

– Zmienię to! – krzyknęła Hortensja, tracąc do reszty zimną krew.

Macocha przyjęła jej deklarację ze sceptycyzmem.

– Nienormalne jest to, że ten człowiek nie kocha swojego jedyne dziecko. Że wini to biedactwo o śmierć matki.

– Nigdy tego nie powiedział! To tylko przypuszczenia głupich bab z okolicy, które nic innego nie mają do roboty! – zawołała, a widząc, że macocha zamierza ripostować, dodała z determinacją i złym błyskiem w oczach: – Nie masz prawa wygłaszać mi kazań. Nie jesteś moją matką, więc trzymaj się z daleka od moich planów.

Ledwo to powiedziała, poczuła się nieswojo, smagnęło ją sumienie. Nigdy do tej pory, ani razu, nie posunęła się wobec żony swojego ojca z taką argumentacją. Czowała, że powinna natychmiast przeprosić, ale nie potrafiła.

„Później” – pomyślała. „Zrobię to później, kiedy z nas obu opadną niedobre emocje. Teraz nie mogę, po prostu nie mogę”.

Urszula nie dała po sobie poznać, jak bardzo zabolęła ją słowa pasierbicy.

Jedynie popatrzyła na nią przeciągle i wzruszyła ramionami. Odwróciła się na pięcie i opuściła pokój. Przedtem jednak, już w progu, rzuciła:

– Twój ojciec podziela moje zdanie, ale nie miał serca ci o tym zakomunikować. Wspomnisz jeszcze moje słowa, ale już będzie za późno.

Wspomniała je nieraz w ciągu następnych lat. Dławiły ją jak słowa przeprosin, których wbrew wcześniejszym intencjom nigdy nie wypowiedziała. Bo tym samym dałaby macosze do zrozumienia, że wtedy, przed laty, to właśnie ona miała rację. A do tego Hortensja nie potrafiła się przyznać.

– Dlaczego za niego wyszłaś? – zapytał ją kiedyś jej ukochany, wówczas kilkunastoletni syn Łukasz, który, podobnie jak starszy przyrodni brat, nie potrafił, a w zasadzie nigdy nie chciał porozumieć się z ojcem. Od samego początku, zupełnie inaczej niż starsza o rok Joanna, przyłgął do matki, kochał ją i rozumiał, był jej pociechą, a w pewnym momencie jedyną radością. Dlatego powiedziała mu tyle, ile mogła, bez wchodzenia w krępujące szczegóły.

– Bo go kochałam od piętnastego roku życia. Nie byłam zresztą jedyna. Wszystkie dziewczęta w całej okolicy do niego wzdychały. Był bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną z grona wszystkich okolicznych kawalerów, wdowców i żonatych. A poza tym było w nim coś, czego nie mieli pozostali.

– Najlepiej prosperujący majątek. Bolesławice – mruknął chłopak, któremu najwyraźniej odpowiedź matki nie przypadła do gustu.

Roześmiała się i potargała mu lekko włosy. Jednak w gruncie rzeczy wcale nie było jej wesoło, gdy wracała do tych wspomnień.

– Bolesławice stały się najbogatszym majątkiem dopiero po Wielkiej Wojnie – odparła. – Przed tysiąc dziewięćset czterem rokiem nie wyróżniały się zanadto w gronie okolicznych posiadłości. Jednak dla nas, zakochanych po uszy panien, liczyło się wtedy co innego. Nie zajmowałyśmy się kwestiami pieniędzy, od tego byli nasi ojcowie, a w razie ich braku – wujowie i dziadkowie. – Zamyśliła się i dodała, bardziej do siebie niż do syna: – Każda z nas po prostu wiedziała, że Władysław był inny niż wszyscy pozostali. Nie bawiło go to, co innych. Stronił od towarzystwa. Miał wiedzę i wykształcenie, którymi nikt inny nie mógł się pochwalić. Był niezależny... silny... – Przerwała, zdając sobie sprawę, że jej ostatnie słowa brzmiały dość dziwacznie.

Powiedziała jednak prawdę. We Władysławie Boguszewskim urzekła ją najpierw jego siła, nie tylko ta fizyczna. Chodziło raczej o ten rodzaj siły, który pozwalał mu żyć niezależnie od niepisanych zasad obowiązujących w ich środowisku, nie przejmować się tym, co inni na jego temat mówią, a w razie potrzeby nagiąć wolę innych do swojej. Tak, to, co się stało w późniejszych latach jej przekleństwem, wtedy, gdy była młodą, naiwną i kompletnie niedoświadczoną dziewczyną, zachwycało ją.

– Ale on ożenił się z Korkowiczówną. – Łukasz uśmiechnął się złośliwie na

jej wypowiedź.

Wiedziała, że złośliwość tę – jak zwykle zresztą – kierował pod adresem ojca, i czuła z tego powodu zadowolenie. Miała wrażenie, że ta niechęć syna wobec Władysława jest w pewnym sensie próbą wyrównania rachunków za niechęć córki wobec niej.

– Ożenił się z jedyną dziewczyną, która długo nie zwracała na niego uwagi. A była taka jak on – silna, niezależna, uparta.

„Jak potem Joanna” – dodała w myślach to, co nieodmiennie sprawiało jej ból. Dlaczego córka zdecydowanie bardziej przypominała pierwszą żonę Władysława, a nie ją, rodzoną matkę? Stop. Rodzonej matki Joanna nie przypominała wcale. Tak jakby była dzieckiem tamtych dwojga. Pewnie dlatego została pupilką ojca.

„Na pewno dlatego” – dumiała ponuro Hortensja.

Władysław i Aniela pobrali się wiosną tysiąc dziewięćset dwunastego i nikt z sąsiadów, krewnych ani kogokolwiek, kto ich znał, nie miał cienia wątpliwości, że należeli do tych nielicznych par pasujących do siebie jak dwie połówki jabłka. Byli szczęśliwi, najlepiej się czuli we własnym towarzystwie i gdyby pozostali bezdziejni, nie stanowiłoby to dla nich problemu.

Żyli dla siebie, byli – jeśli to tak wypadało określić – samowystarczalni. Co więcej – to właśnie rodzicielstwo spowodowało dramat. Maciek urodził się w styczniu czternastego roku, a dwa tygodnie później Aniela pożegnała się z życiem, pozostawiając zrozpaczonego męża w stanie ogromnej i – jak miał pokazać czas – niekończącej się żałoby. Zdaniem wszystkich „zdziczał wtedy do reszty”. Osierocone przez matkę dziecko kompletnie go nie interesowało i nawet nie zareagował, gdy Korkowiczowie, rodzice Anieli, zabrali Maćka do swojego majątku. Jego owdowiała, starzejąca się i coraz bardziej niedomagająca matka nie byłaby w stanie podjąć wychowaniu wnuka.

Wybuch wojny w sierpniu tysiąc dziewięćset czternastego roku wyrwał go z apatii. Zaciągnął się do wojska jako jeden z pierwszych, lecz zdaniem wielu raczej po to, by wyjść na spotkanie śmierci. Na froncie było przecież o nią łatwiej niż w Bolesławicach. Niektórzy poszli razem z nim, inni nieco później, ale niemal wszystkim udzielał się wtedy entuzjazm. Wielu młodych pojmowało wojnę jako idealną wręcz możliwość przeżycia wielkiej przygody, zerwania z nudną rutyną codzienności.

Władysław należał do nielicznych, którzy podchodzili do sprawy inaczej, poważniej. Nikt z tych, którzy walczyli w jego oddziale, nie podejmował na froncie takiego ryzyka jak on. Zdaniem towarzyszy broni szedł zawsze w sam środek oka cyklonu, lecz kule go mijały. Nieliczne, niegroźne zresztą rany goiły się na nim szybko i natychmiast chciał wracać do walki. Najpierw patrzono na niego z podziwem, jak na bohatera, potem jednak do podziwu dołączyła podejrzliwość.

Coś z nim nie tak, szeptano tu i ówdzie, w dodatku po tym, co wyczyniał, już dawno powinien był przenieść się na tamten świat, a jednak wciąż żył.

Szeptali tak ci, którym pierwsze świstające koło ucha kule wybiły z głowy entuzjazm, z jakim szli do wojska. Ci marzyli tylko o tym, by koszmar wojny, okopów, natarć, ofensyw, defensyw, kontrofensyw się wreszcie skończył. Aby wrócić do domu, do tej codziennej, nudnej, ale bezpiecznej rutyny, którą niegdyś z radością i wzdargą porzucili. Aby żyć. I jakże często nie było im to dane.

A tymczasem Boguszewski chciał umrzeć, a... żył.

Gdy niemal doszczętnie wykrwawił się Legion Puławski, w którym służył, szukał dla siebie miejsca na wojnie gdzie indziej. Do legionów walczących u boku Austriaków i Niemców pójść nie mógł. Jako poddany rosyjski byłby przecież potraktowany jako zdrajca, co mogło się tragicznie skończyć także dla Bolesławic, mieszkającej tam jego matki, a nawet dla Korkowiczów czy też małego Maćka. Pomimo że życie mu obrzydło, nie zapominał jednak o bezpieczeństwie majątku i rodziny. Tak to przynajmniej tłumaczył po wojnie, gdy ten i ów zadawał mu pytania o tamte dni. Zbiegiem najróżniejszych okoliczności przedostał się wtedy do Francji, która była w sojuszu z Rosją, by po pewnym czasie wstąpić do Błękitnej Armii Hallera. Nawet jednak tam, na zachodnim froncie, nie pożegnał się z życiem, a w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku wrócił do kraju.

W samą porę. Świetność majątku należała już bowiem do przeszłości. Wojna zostawiła na nim widoczne ślady, a starsza pani Boguszewska była wobec tych spraw zupełnie bezradna, podobnie zresztą jak nieliczna już służba. Zatem Władysław, nie przestając pielęgnować w sercu pamięci zmarłej żony, musiał zacząć walczyć o byt żyjących, za których czuł się odpowiedzialny. Wziął się więc do ciężkiej pracy, by naprzód ratować to, co jeszcze zostało z Bolesławic, a następnie powoli, z mozolem odbudowywać jego dawny splendor. W dodatku w tym czasie jedno po drugim zmarli na szalejącą wówczas gripę jego teściowie, zatem czteroletni wówczas Maciek wrócił do Bolesławic, do ojca, którego nie znał i który ani nie potrafił, ani nie miał czasu zająć się dzieckiem. Nie umiała też tego zrobić coraz częściej tracąca kontakt z rzeczywistością matka Władysława.

To właśnie wtedy Boguszewski zbliżył się do Stankiewicza, ojca Hortensji, choć początkowo chodziło raczej o pomoc międzysąsiedzką w tych trudnych czasach, a potem o niektóre wspólne interesy. Nie było to wówczas niczym niezwykłym, choć w przypadku Władysława na pewno czymś nowym. Musiał zerwać ze swoim samotnictwem, z którego niegdyś słynął, ale nie miał teraz innego wyjścia. Bez kontaktów, współpracy, niekiedy wspólnie prowadzonych interesów prawdopodobnie nie dałby rady i nawet katorżnicza niemal dyscyplina, jaką sobie narzucił, niewiele by mu wtedy pomogła. Ludzie współdziałali ze sobą, zatem i on musiał zacząć do nich wychodzić. Kraj odbudowywał się po zniszczeniach, które pozostawiły po sobie trzy walczące armie: niemiecka, rosyjska, a na południu

i wschodzie dodatkowo jeszcze austriacka. Po ponad stu dwudziestu latach niewoli rodziło się niepodległe państwo, którego budowa w sensie prawnym, administracyjnym, gospodarczym, a nawet pod względem kształtowania granic napotykała na ogromne przeszkody.

Właśnie wtedy dziewiętnastoletnia Hortensja miała okazję przekonać się, że jej dawny afekt do Boguszewskiego wcale nie minął. Wręcz przeciwnie – nabral intensywności, dojrzał, a w dodatku miała nieporównanie więcej niż przed wojną okazji, by spotykać sąsiada, który był częstym gościem jej ojca. Nadal uważała go za najpiękniejszego, najbardziej niezwykłego mężczyznę, jakiego dane jej było spotkać, i nie zastanawiała się wówczas, że możliwości do porównań miała tak samo zawężone jak niegdyś. To nie miało dla niej znaczenia. Boguszewski był dodatkowo bohaterem wojennym, co poświadczali ci, którzy służyli z nim w wojsku, jak również informacje napływające na jego temat z innych źródeł, także z Francji. Był opromieniony sławą i – jakby tego było mało – okazał się najzaradniejszym właścicielem ziemskim w okolicy; najszybciej stawiał na nogi swój majątek. I jeszcze jedno – romantycznie usposobiona Hortensja nie mogła przecież o tym nie myśleć – miał za sobą dramat w postaci tragicznie zakończonej miłości. Potrafił zatem kochać wiernie i całą głębią serca. Tak jak to wykrzyczała w twarz swojej macosze.

„Zmienię to”.

Gdy tak mówiła, wcale nie miała na myśli wyrzucenia Anieli z pamięci Władysława. Chciała ją jednak zastąpić w jego sercu i wierzyła, że to się uda, jeśli będzie cierpliwa, okaże mu miłość i zrozumienie. Pragnęła go pocieszyć i przywrócić mu radość życia, wyrwać ze szponów żałoby. Zamierzała zastąpić jego dziecku matkę. Naprawdę wierzyła, że to wszystko będzie możliwe. Trudne, ale możliwe. Zresztą – czy wszystko w życiu ma przychodzić łatwo?

Władysław oświadczył się jej w styczniu, a już w lutym wzięli ślub. Zdawała sobie sprawę z tego, że ojciec miał w tej kwestii wątpliwości, choć nie oponował. Na krytykę zdobyła się tylko macocha, ale, jak wiadomo, Hortensja rozprawiła się z nią zdecydowanie. Wiedziała, czego dla siebie pragnie, uskrzydlała ją wiara w szczęśliwą przyszłość i była pełna dobrych chęci.

Dlaczego jednak na to małżeństwo zdecydował się Władysław?

Już kilka miesięcy po ślubie zaczęła stawiać sobie to pytanie. Tylko sobie – jemu bowiem wołała go nie zadawać. Instynktownie czuła, że odpowiedź byłaby dla niej trudna do zniesienia. Musiała też przyznać sama przed sobą, że nie zdołała pozyskać jego serca, mimo że tak się starała, choć już w dziewięć miesięcy po ślubie urodziła córkę, a rok później syna. Pomimo że otoczyła troską i czułością małego pasierba, który, w przeciwieństwie do swojego ojca, natychmiast odpowiedział na to gorącym przywiązaniem.

Gdy w listopadzie dwudziestego roku urodził się Łukasz, Władysław od pół

roku był już na froncie wojny z bolszewikami, i chociaż tym razem nie szukał tam śmierci, ironią losu właśnie wtedy został ciężko ranny. Wrócił do domu, gdy jego najmłodsze dziecko miało już kilka miesięcy, i od samego początku nie zwracał na małego szczególnej uwagi, choć wszyscy wokół uważali, że narodziny syna powinny były go uradować. Tak się jednak nie stało, przyłgnął za to do córeczki, która nic sobie nie robiła z marnego w tym czasie humoru ojca, i tylko ona jedna tudzież wierny ordynans Podhorecki nie obawiali się jego rozdrażnienia. Joanna śmiało maszerowała na swoich nie do końca jeszcze pewnych nóżkach i krzykiem domagała się, by wziął ją na ręce albo posadził na kolanach. I nie ustępowała, póki wreszcie się nie uśmiechnął i tego nie zrobił.

Hortensja w głębi zranionego serca nie miała cienia wątpliwości, że to córka wyrwała ojca z żałoby, to ona, a nie jej matka, sprawiła, że Władysław nie zapomniał wprawdzie o Anieli, ale pozwolił jej wreszcie odejść ze swego serca, bo zastąpiła ją tam Joanna. Oczywiście to była inna miłość, ale – Hortensja musiała wreszcie to przyznać – jedyna, jakiej jej mąż potrzebował. Żona bowiem, czy jakakolwiek inna kobieta, nie była mu już potrzebna, i to w każdym rozumieniu tego słowa. Władysław nigdy nie czuł potrzeby jakiegokolwiek więzi psychicznej, duchowej z drugą żoną. Teraz przestał się interesować także fizyczną stroną tego małżeństwa. Lekarze uratowali mu życie i przywrócili zdrowie, ale potrzeby erotyczne już dla niego nie istniały. Jedyna sfera, z której Hortensja czerpała do niedawna radość w tym związku, dzięki której także czuła bliskość z mężem, została jej odebrana. A wtedy nie miała wątpliwości, że właśnie to trzymało przy niej Władysława. Oczekiwała od niego czegoś więcej, lecz była gotowa zadowolnić się choćby namiastką małżeństwa, ale nawet to się skończyło.

W sensie formalnym małżeństwo rzecz jasna trwało dalej. Kto by tam wtedy brał pod uwagę inne rozwiązanie! Rodzina, dzieci, majątek, kontakty towarzyskie, konwenanse wyznaczały wówczas inny standard zachowań.

O intymnych szczegółach tamtego związku Hortensja nie powiedziała nikomu i postanowiła milczeć w tej sprawie jak grób do końca swoich dni. Rzecz jasna, jej dzieci także nie miały o tym zielonego pojęcia.

Patrzyła teraz na zdjęcie Boguszewskiego w wojskowym mundurze. Podpis na fotografii wskazywał na rok tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy, a była wykonana z okazji jednego ze świąt państwowych. Ze zdjęcia spoglądał w dalszym ciągu przystojny mężczyzna, za którym oglądały się kobiety. Żadna z nich przecież ani żaden z towarzyszących mu na zdjęciu kolegów oficerów nie zdawali sobie sprawy, jakie następstwa miała ta ostatnia, najcięższa rana odniesiona na wojnie. Patrząc na nieżyjącego już od wielu lat pierwszego męża, Hortensja raz jeszcze zadała sobie pytanie, które tak ją niegdyś dręczyło: Dlaczego ten człowiek zaproponował jej przed laty małżeństwo?

Prawdopodobnie w pewnym momencie po prostu uznał, że potrzebuje

bezpłatnej opiekunki dla Maćka, a zarazem gospodyni w Bolesławicach. Być może wtedy jeszcze potrzebował młodej kobiety do łóżka – której także nie trzeba za to płacić. A fakt, że w sercu pozostał wierny Anieli, najwidoczniej w niczym mu nie przeszkadzał. Potem jednak nawet to przestało go interesować.

„Jaki kolor oczu miała Joanna?”

Przypomnienie pytania córki zabiło ją jak uderzenie batem. Jeszcze raz, zanim przewróciła stronę w albumie, przyjrzała się twarzy pierwszego męża. Oczywiście, że na czarno-białej fotografii nie było tego widać, ale Hortensja pamiętała jego oczy – miały kolor fiołków, w każdym razie były ciemnoniebieskie. Joanna miała takie same, podobnie Łukasz. Zupełnie inne niż ich przyrodni brat Maciek i przyrodnia siostra Anna, i... ta dziewczyna, która przyjechała z Francji – Izabella Seigner.

Hortensja nie przewracała już dalej kartek w albumie. Zatrzasnęła go z hukiem i ukryła twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ 10

Zauważył ją od razu, faktycznie bowiem – tak jak uprzedziła go siostra – ta dziewczyna wyróżniała się wśród gromadki ludzi stojących u wejścia do katedry Świętego Jana. Ona zwróciła na niego uwagę dopiero wtedy, gdy podszedł zupełnie blisko. Zapewne, w przeciwieństwie do niej, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ot, zwykły szary człowiek, zmęczony absurdami, jakich zbyt często dostarczała ponura egzystencja życia w powojennej Polsce. Izabellę Seigner rozpoznał jednak bez trudu także dlatego, że Anna bardzo dokładnie mu ją opisała. Gdy siostra przedstawiła mu swój plan, by spotkał się z tą dziewczyną, początkowo gwałtownie zaoponował.

– Chyba oszalałaś – perswadował mentorskim tonem, którego na ogół starał się wobec niej nie używać. Zdarzało mu się to wobec innych ludzi i choć nienawidził u siebie tej cechy – jako żywo bowiem przypominała mu ojca, on zaś robił, co mógł, by go w niczym pod względem charakteru nie przypominać – nie zawsze zdołał nad sobą zapanować. W przypadku zaś siostry wiedział, że podobnym tonem, a nawet gorszym, przemawiał do niej mąż. Wprawdzie nigdy się nie skarżyła, ale Łukasz potrafił i bez jej zwierzeń dostrzec pewne ewidentne sygnały potwierdzające jego najgorsze podejrzenia. Zwłaszcza że szwagier zdecydowanie mniej niż Anna dbał o pozory.

Tym razem jednak gdy Anna zakomunikowała mu wiadomość o Izabelli Seigner, najpierw osłupiał, a potem wpadł w popłoch. Domyślał się najgorszego, gdy zaś usłyszał, że Anna spotkała się z tamtą już kilka razy, że bardzo ją polubiła i szczerze ze sobą porozmawiały, nie zapanował nad wybuchem.

Powiedział więc jej, że chyba oszalała, a ton jego głosu pozostawiał wiele do życzenia.

– To może być prowokacja! – krzyczał. – Skąd masz pewność, kim naprawdę jest ta dziewczyna?! Opowiadałaś jej o nas? Wiesz, czym to się może skończyć?

Wyrzucał z siebie całą lawinę słów, raz jeszcze przypominając, przez co przeszła ich rodzina. Zdawał sobie sprawę, że część jego obaw brzmiała absurdalnie. Od dziewięciu lat nikt ich już nie nękał. Czasy najgorszego terroru tamtych pierwszych powojennych lat minęły. Co z tego jednak, skoro on wciąż je pamiętał? Skoro wydarzyło się wówczas coś, co – był tego pewien – mentalnie towarzyszyć mu będzie do śmierci, a umierając, będzie miał przed oczyma twarz brata, gdy tamten...

Nie, Łukasz nie wierzył w żadne przemiany i odwilże w wykonaniu czerwonych. Nie wierzył im, bo wiedział, że komuniści nadal potrafią być niebezpieczni, w pewnym sensie nawet bardziej niż w tamtych, stalinowsko-bierutowskich czasach. A zmienione metody ich działania okazywały

się częstokroć bardziej skuteczne niż wtedy, dziesięć, piętnaście lat temu. Wówczas jedni się ich bali, więc starali się żyć potulnie, inni podejmowali walkę, płacąc za to wysoką cenę, mimo to większość uważała komunizm za coś wrogiego, obcego, obmierzłego, narzuconego siłą z zewnątrz. Dziś ta większość dała się czerwonym omamić, przekonać, ugłaskać. Wierzyła, że nie pozostaje nic innego, jak się przyzwyczaić, przystosować, a byli i tacy – na tyle liczni, że trudno ich było nie zauważyć – którzy w zamian za określone profity wchodzili komunistom w tyłek. I jeszcze twierdzili, że głupotą byłoby tego nie robić. Łukasz po śmierci brata kilka razy jeszcze był nagabywany, ale – pomimo że bardzo się bał – udało mu się, choć z trudem, uniknąć współpracy z bezpieką. Wreszcie zostawiono go w spokoju, w każdym razie od kilku lat nikt go już nie nękał. Czuł jednak, że w każdej chwili coś znowu może się wydarzyć, a pojawienie się kogoś, kto podawał się za córkę Joanny, pasowało do tego jak ulał.

Anna wysłuchiwała jego gniewnej argumentacji w milczeniu, co już było czymś u niej nowym, na ogół bowiem, gdy się z kimś nie zgadzała, natychmiast reagowała i nie dawała rozmówcy dokończyć. Chyba że chodziło o jej męża. Jemu od lat nie wchodziła w słowo.

– Rozumiem cię – powiedziała łagodnie i taki ton również był u niej czymś rzadko spotykanym, z wyjątkiem, rzecz jasna, rozmów z Marcinem. – Sama na początku miałam takie obawy, tym bardziej że zaskoczyła mnie podczas naszego pierwszego spotkania. Dałam jej wtedy jasno do zrozumienia, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Potem jednak, wieczorem, tego samego dnia...

– Dałaś się przekonać – dokończył z sarkazmem i nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: – Jesteś albo bardzo naiwna, albo łatwowierna.

– Jest do mnie podobna. Sam się przekonasz – odparła cicho, choć przecież przyznał w duchu ze skrucą, że miała prawo obrazić się na niego za ostatnie słowa.

Wreszcie spokój i opanowanie siostry sprawiły, że zdecydował się jej wysłuchać. Uznał zresztą, że skoro mleko już się rozlało, bo Anna spotykała się z tamtą i szczerze z nią rozmawiała, to nie pozostaje mu nic innego, jak poznać treść tych rozmów i tym samym zorientować się, na jakim gruncie stoi teraz cała rodzina. Słuchał zatem uważnie, starając się zapamiętać każde słowo siostry, a następnie z powyższych powodów zgodził się spotkać z tamtą.

„Odkładanie tego nic nie da” – analizował ponuro, z rezygnacją. „Lepiej mieć to za sobą. Jeśli jest tak, jak się obawiam, postaram się jakoś nas z tego wykręcić. Anna z pewnością tego nie zrobi. Jeśli jest inaczej, jeśli ta Seigner jest rzeczywiście córką Joanny, to wtedy...”

I tu pojawiał się problem, w pewnym sensie nawet poważniejszy niż w przypadku ewentualnej prowokacji Służby Bezpieczeństwa. Bo – co wtedy?

Anna umówiła datę, miejsce i godzinę spotkania, lecz potem w ostatniej

chwili musiała odwołać swój udział. W południe tego dnia zadzwoniła do niego do pracy – szczęśliwie nie miał żadnej zaplanowanej operacji ani zabiegu tudzież nic niespodziewanego się nie stało, więc mógł rozmawiać – i zakomunikowała mu, że musi sam stawić czoło kobiecie podającej się za jego siostrzenicę. Anna musiała zostać w domu. Ponoć awaryjna sytuacja.

„Zapewne ten bydlak znów coś nawywijał” – pomyślał z bezradną wściekłością o szwagrze. „Albo znowu zaskoczył ją wyjazdem «w delegację»”.

Anna jednak jak zwykle nie pozwoliła mu na żadne pytania ani komentarze.

– Poradzisz sobie – rzuciła, tak jakby sugerowała, żeby traktował spotkanie z Seigner niczym wyprawę na wojnę albo wspinaczkę na Giewont.

Po czym, nie dopuszczając go do głosu, dokładnie opisała tamtą, by na końcu po raz kolejny powtórzyć, że są do siebie podobne.

– Nie wiem tylko, czy jest podobna do Joanny – stwierdziła na koniec, ze słabo zaakcentowaną nutką żalu, a może pretensji. On jednak tę nutkę usłyszał. – Nikt nigdy nie powiedział mi, jak wyglądała moja siostra. Nawet nie widziałam jej zdjęcia. Ty ją jednak z pewnością pamiętasz.

Czy pamiętał Joannę? Jak mogło być inaczej. Miał siedemnaście lat, gdy zniknęła z jego życia. Przede wszystkim jednak pamiętał swój gniew, właściwie nienawiść do niej, gdy widzieli się po raz ostatni.

Czy dziewczyna czekająca na niego w umówionym przez Annę miejscu koło warszawskiej katedry była podobna do jego starszej siostry?

Dziwne, w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Od chwili, kiedy ją ujrzał, nie miał jednak wątpliwości, że była jej córką.

– Pani Izabella Seigner? – zapytał po francusku, choć wiedział od Anny, że dziewczyna mówiła po polsku, mimo że z wyraźnym akcentem. Czemu zatem miało służyć odezwanie się do niej po francusku? Nie zastanawiał się nad tym, zrobił to instynktownie, jakby dawał jej czytelny znak, że całe lata była dla jego rodziny kimś nieznanym, a teraz jest kimś obcym. Przybyła z innego świata, kultury, rzeczywistości i tak powinno już pozostać. Powinna tam wrócić. Tak, chyba o to mu chodziło.

Słyszając jego pytanie, dziewczyna drgnęła, najwyraźniej wybudzona z zamyślenia, i przyjrzała mu się uważnie. Rzeczywiście, stwierdził, jej oczy miały kolor oczu Anny, ale na tym kończyło się – jego zdaniem – wszelkie podobieństwo. Spojrzenie tych oczu było zupełnie inne – w przypadku Anny niegdyś zuchwałe, zaczepne, prowokujące, teraz często zagubione i płochliwe. Zresztą, ostatnimi laty siostra często nie patrzyła rozmówcy prosto w oczy, jak każdy, kto ma coś do ukrycia, jakiś bolesny sekret, którym nie chce się z nikim dzielić. Tymczasem Izabella patrzyła na niego śmiało, pogodnie, tak samo też zabrzmiał ton jej głosu, gdy podała mu rękę i odpowiedziała twierdząco na jego pytanie.

– Łukasz Boguszewski. – Ukłonił się dość sztywno.

– Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać – powiedziała wesoło, lecz spostrzegłszy wyraz lekkiego niezadowolenia na jego twarzy, dodała już mniej pewnie: – Przepraszam, nie spytałam, czy mogę zwracać się do ciebie, do pana – poprawiła się, najwyraźniej coraz bardziej stremowana – w sposób nieoficjalny.

W tym momencie poczuł do niej cień sympatii, może dlatego, że jej wcześniejszy swobodny ton wydał mu się trochę nienaturalny. Jakby próbowała sztuczną wesołością pokryć zrozumiałe przecież w tych okolicznościach zdenerwowanie. Poza tym dopiero teraz dostrzegł wyraźniejsze podobieństwo do Anny. Pewnie dlatego odpowiedział impulsywnie, zanim zastanowił się nad bardziej wyważonym doborem słów.

– Przyznam, że w tym kraju do brata matki ludzie zwracają się na ogół per wuju, nie per ty. – Zaraz ugryzł się w język, ale już było za późno. Do licha, co go napadło? Dał się omotać tej małej jak jego siostra? Nawet szybciej niż ona. Czy ta dziewczyna rzuciła na nich jakiś urok? Natychmiast przywołał swoją zwykłą czujność i nieufność. Nie miał wątpliwości, że była córką Joanny, ale to przecież nie zmieniało faktu, że wciąż pozostawała kimś obcym.

– Naprawdę mogę tak się zwracać do pana? – ucieszyła się. – Przyznam, że w wypadku Anny nie przyszło mi to nawet do głowy, ale ona jest zaledwie trzy lata starsza ode mnie.

– Przejdźmy w inne miejsce – zaproponował, tym samym zręcznie uchylając się od odpowiedzi. – W tym miejscu co chwilę pojawia się kolejna grupa zwiedzających.

Rzeczywiście, jak na zawołanie pod katedrę podeszła kolejna wycieczka.

– Niedaleko stąd znajduje się całkiem przyjemna kawiarenka. Przyznam, że od wyjścia ze szpitala marzę o porządnej kawie, a nie każda kafejka w tym mieście potrafi mnie zadowolić. To miejsce mogę jednak polecić z czystym sumieniem. Zapraszam.

– Dziękuję, bardzo chętnie...

Weszli do niepozornego z zewnątrz miejsca tuż przy zetknięciu ulicy Świętojańskiej ze Starym Miastem. W niedużym pomieszczeniu, urządzonego w stylu przypominającym secesję, odnosiło się wrażenie, że czas zatrzymał się w drugiej połowie poprzedniego stulecia. Zresztą, dopiero tutaj Łukasz poczuł się swobodniej, tak jakby był u siebie. Iza od razu to zauważyła.

– Nie dziwię się, że lubi pan to miejsce – zagaiła, gdy Łukasz złożył zamówienie. Słowo „wuj” jakoś nie mogło jej przejść przez gardło. Zgadywała też, że i on nie był jeszcze gotów, by tak się do niego zwracała, w każdym razie teraz jej nie poprawił.

– Podoba się tu pani?

– Owszem, ale bardziej chodziło mi o to, że pan... pasuje do takiego

wnętrza.

Zabrzmiało to trochę naiwnie, pensjonarsko – jak by to kiedyś określono – ale słysząc jej słowa, Boguszewski uśmiechnął się nieznacznie.

– Pewnie dlatego, że wychował się pan w domu, gdzie były podobnie umeblowane wnętrza – dodała śmieiej, ale zaraz zarumieniła się, dostrzegając niezręczność także tych słów. Na razie popełniała same gafy, ale to dlatego, że ten człowiek onieśmiał ją od samego początku. Z Anną nie miała tego problemu. Czy tylko dlatego, że dzieliła je niewielka różnica wieku?

– Bolesławice posiadały zdecydowanie jaśniejsze pokoje. W porównaniu z nimi tutaj panuje niemal piwniczny mrok.

– Chciałabym je zobaczyć... to znaczy myślę o Bolesławicach.

Wzruszył ramionami.

– To stosunkowo niedaleko stąd, około czterdziestu kilometrów na północny wschód od Warszawy. Zapewniam jednak, że nie warto już tam jeździć. – Starał się mówić obojętnie, ale głos go zawiódł.

Iza rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Pewnie kiedyś to było piękne miejsce – powiedziała ostrożnie.

Poczuł zadawniony ból, który pomimo upływu lat odzywał się jeszcze od czasu do czasu.

– Kiedyś tak było. Teraz – machnął ręką – szkoda gadać.

Zapadło niezręczne milczenie.

„Zdecydowanie łatwiej przeprowadzić trudną rozmowę podczas spaceru na powietrzu, wśród ludzi i zgiełku miasta. Wtedy nawet milczenie nie jest tak krępujące” – pomyślała Iza.

Po chwili Łukasz podniósł do góry filiżankę i pozornie od niechcienia zapytał:

– Matka opowiadała pani o Bolesławicach?

– Niewiele – odparła Iza i nagle, ni z tego, ni z owego, dodała: – Wspomniała jednak, że planował pan podjęcie studiów medycznych.

– Tak. – Wyznanie Izy go zaskoczyło. Po maturze, jesienią trzydziestego ósmego roku podjął studia medyczne, ale Joanny nie było już wtedy w kraju. Wyjechała rok wcześniej, lecz jak widać, nie zapomniała o planach młodszego brata. Powiedziała nawet o tym swojej córce. Nagle poczuł, że gardło na moment mu się ścisnęło. Dopiero po chwili był w stanie powiedzieć coś więcej: – Wojna wybuchła rok później. Na terenie okupowanej Polski Niemcy zamknęli wyższe uczelnie, a także szkoły średnie. Oczywiście byli tacy, którzy starali się kontynuować naukę w warunkach konspiracyjnych, ja jednak nie widziałem w tym większego sensu. W przeciwieństwie do wielu innych zdawałem sobie sprawę, że to nie były warunki do zdobycia naprawdę gruntownej wiedzy. Raczej forma oporu wobec barbarzyństwa okupantów. A lekarz powinien znać się dobrze na tym, co

robi. No i nie wierzyłem, że dyplomy zdobyte na tajnych kursach będą kiedykolwiek i przez kogokolwiek honorowane.

– Poza tym wiązało się z tym niemałe ryzyko, jak przypuszczam?

Skrzywił się z goryczą.

– Kary, jakie spadały na kursantów i wykładowców, były w razie wpadki straszne – obóz koncentracyjny, a nawet rozstrzelanie. Oczywiście wcześniej niejedni i niejedna przeszli przesłuchanie przez gestapo. Proszę mnie jednak zrozumieć, zawsze uważałem, że można podjąć ryzyko, pod warunkiem jednak, że ma to jakiś sens. W konspiracyjnym studiowaniu medycyny takiego sensu nie widziałem.

Chciał jeszcze coś dodać, ale nagłe wspomnienie niemal wcisnęło go w krzesło, na którym siedział. W jednej chwili odniósł wrażenie, że czas się cofnął. Że naprzeciwko niego siedzi nie Izabella Seigner, lecz jego brat, Maciek.

„Uważasz, że podjęcie ryzyka musi być zawsze starannie wykalkulowane? Wówczas nie wybuchłoby żadne powstanie wywoleńcze, i to nie tylko w naszym kraju, lecz w żadnym”.

Słowa Maćka piekły go do żywego, tak jak wtedy, gdy spotkali się już po wojnie, po jego powrocie z Francji. Czuł się tak samo parszywie jak wtedy, gdy odpowiadał bratu, że tak. Tak właśnie uważa. Co więcej – był przekonany, że wybuch powstania listopadowego, sprowokowany przez gromadę nadpobudliwej, niedoświadczonej młodzieży, powinien być już w zarodku zostać energicznie spacyfikowany przez, jak by na to nie patrzeć, złożoną z Polaków Radę Administracyjną, zanim wzięło się do tego wojsko rosyjskie. To powstanie zniszczyło rozwijającą się gospodarkę Królestwa Polskiego, a także jego rozkwit kulturalny. Wszystkie wcześniejsze wysiłki genialnego ministra skarbu Druckiego-Lubeckiego wzięły tym samym w łeb. Czy warto było narażać Królestwo Polskie na pewną klęskę? Bo przecież gadanie, że to akurat powstanie z racji posiadania własnych sił zbrojnych miało największe szanse na wygraną ze wszystkich pozostałych zrywów, on, Łukasz Boguszewski, zawsze uważał za szkodliwą fanfaronadę. A styczniowy zryw z tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku? Kilka tysięcy partyzantów uzbrojonych w kije i cepy przeciwko stutysięcznej armii wyposażonej w armaty. A zatem pewna klęska, a potem furia, z jaką carat przeprowadził czystki, konfiskaty i likwidację resztek jako takiej samodzielności Królestwa Kongresowego, włącznie z wymazaniem tej nazwy z map. Potem był to już tylko *Privislinskij Kraj*. I jaki to miało sens? W Londynie w tym samym czasie wybudowano już metro.

„Bez tych powstań nie byłoby potem wielkiego, entuzjastycznego zrywu w tysiąc dziewięćset osiemnastym” – zareplikował wtedy Maciek. Na co Łukasz znalazł szybką odpowiedź – że rok tysiąc dziewięćset osiemnasty był możliwy

jedynie dzięki rokowi tysiąc dziewięćset czternastemu, a na wybuch pierwszej wojny Polacy z pewnością nie mieli najmniejszego wpływu.

„Nie wiedziałem, że tyle w tobie zwątpienia i goryczy” – skomentował wtedy Maciek. „W swoich poglądach jesteś bardziej radykalny niż pozytywiści. Ocierasz się wręcz o krakowską szkołę historyczną. Gdzie się podział twój romantyzm?”

Co on mu wówczas odpowiedział? Doskonale pamiętał:

„Ty byłeś zawsze większym romantykiem ode mnie. Może nawet jedynym w naszej rodzinie”.

Nie zdobył się wówczas na to, aby dodać, że on, Łukasz Boguszewski, pożegnał się ze swoim romantyzmem definitywnie w czterdziestym czwartym roku, gdy większość jego kolegów ze studiów poległa w powstaniu warszawskim. W powstaniu, do którego on akurat się nie przyłączył. W tym czasie przebywał z matką i siostrą w Bolesławicach.

„Ty byłeś zawsze większym romantykiem ode mnie. Może jedynym w naszej rodzinie” – powtórzył w myślach, gdy teraz, kilkanaście lat po tamtej rozmowie, siedział naprzeciwko córki Joanny. Otrząsnął się, jakby pozbywał się resztek ciężkiego snu. Nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości, rozchwiania emocjonalnego. Siedząca naprzeciwko dziewczyna patrzyła na niego z niepokojem. Czy aż tak było po nim widać tę udrękę, którą przeżywał, gdy tylko nawiedzało go wspomnienie przyrodniego brata? Jak kochał te wspomnienia i jak się ich zarazem obawiał?

„Ty musisz żyć” – powiedział kiedyś do niego Maciek. „Tacy jak ty są teraz potrzebni w tym kraju. Pamiętaj...”

W tamtym czasie pamiętał. Nieprawda, zawsze pamiętał. Przede wszystkim jednak starał się unikać ryzyka, także wtedy, gdy należało je podjąć. Poza tym nie był przecież romantykiem. Ostatnim romantykiem w ich rodzinie był Maciek.

– Co ci jest, wuju? – usłyszał stłumiony głos i poczuł dotknięcie chłodnej dłoni.

Jasna cholera, pomyśleć, że rozkleił się przy tej dziewczynie. Przy córce Joanny. Dopiero potem do niego dotarło, że jednak odważyła się nazwać go wujem. Musiał naprawdę fatalnie wyglądać, jeśli się na to zdobyła. Kto wie, czy nie gadał przy tej okazji do siebie. Czasem mu się to zdarzało, choć jak do tej pory jedynie w obecności żony. Niedobrze by było, gdyby zaczął tracić panowanie nad sobą przy innych.

– Nic – odparł na pytanie siostrzenicy, nie komentując jej familiarnego zwrotu do siebie. – Zrobiło mi się duszno, a miałem ciężki dzień w szpitalu, to wszystko. Chyba też przesadziłem z ilością kawy; to była czwarta filiżanka. Może wyjdziemy na zewnątrz? Jest tak pięknie...

Uścił rachunek, a następnie opuścili lokal. W milczeniu przeszli rynek

Starego Miasta i udali się nad nadwiślańską skarpe. W milczeniu zapatrzili się na rzekę. Tym razem cisza, jaka między nimi zapadła, nie była męcząca. Nie mogła jednak trwać w nieskończoność.

– Naukę wznowiłem po wojnie – podjął Łukasz. – Dyplom obroniłem w czterdziestym dziewiątym. W samą porę, bo gdybym zdecydował się zacząć studia później, prawdopodobnie nie dane by mi było ich skończyć. Zwłaszcza że nasza rodzina stała się wtedy na dobre obiektem zainteresowania Urzędu Bezpieczeństwa.

– Anna mi o tym opowiadała – szepnęła w zamyśleniu Iza. – Wiem, przez co przeszliście. Wiem... wiem o tym, co spotkało twojego brata i ojczyma.

Łukasz zacisnął palce na ochronnej barierce, tak że zbieleły mu dłonie.

„Stop. Nie będę o tym mówił. Nadal nie wiem, dlaczego ta dziewczyna spadła na nas tak niespodziewanie. Czy przyjechała tu z własnej woli, czy może z woli Joanny, czy też może...”

Ostatnie przypuszczenie, że jakąś rolę mogły tu odegrać wiadome służby, zdolne do każdej prowokacji, w tym do posługiwania się rodziną bądź tajemnicą rodzinną, musiał także brać pod uwagę, jakkolwiek absurdalnie by to teraz nie wyglądało. Bo przecież, z drugiej strony, od dziewięciu lat nie mącono ich spokoju. Być może jednak była to cisza przed burzą.

– Wiem, że wasza, moja rodzina – poprawiła się – miała duże zasługi dla kraju.

„Teraz ostrożnie” – upomniał się. Odpowiedział to, co kiedyś przed laty tamtym, gdy go wezwali na rozmowę.

– Nie przesadzałbym z tym. W czasie wojny przede wszystkim staraliśmy się przeżyć, zresztą jak większość ludzi w tym, i nie tylko w tym, kraju.

– Jednak twój brat i ojczym...

„Cholera, ostrożnie”.

Świadomie lub nie dziewczyna mówiła tak jak tamci – wtedy. Pogrywała z nim w ten sam sposób? A może jednak naprawdę chciała dowiedzieć się jak najwięcej o rodzinie, którą dopiero poznawała. Może to on był nadmiernie podejrzliwy, przeczulony, skrzywiony przez życie? W każdym razie odpowiedział tak samo jak za każdym razem, gdy o rodzinną przeszłość pytał go ktoś, komu na sto procent nie ufał:

– Obaj przez cały okres wojny byli za granicą. Jak wielu innych. Czasami tak się ludziom składało.

– A wasz ojciec? – spytała, kompletnie go tym razem zaskakując.

Tego pytania zupełnie się nie spodziewał.

– Umarł jeszcze w trzydziestym piątym. Nie doczekał ostatniej wojny – wyjąkał. – Myślałem, że matka ci o nim opowiedziała. Była przecież – skrzywił się z bolesną ironią – jego ulubienicą.

Izabella skinęła głową.

– Chodziło mi o to, że też miał duże zasługi dla tego kraju. Kto wie, czy nie większe niż wielu innych... Brał udział w pierwszej wojnie, potem walczył z bolszewikami.

Łukasz uśmiechnął się z przymusem. Nagle, nie wiedzieć czemu, przestał się bać ewentualnej prowokacji Służby Bezpieczeństwa.

– No tak – skwitował. – Niełatwo było mu dorównać.

– Chciałam tylko powiedzieć...

– Domyślam się... ale ja tu nie mam nic do dodania. Matka z pewnością powiedziała ci na jego temat wszystko, co najlepsze.

Iza odwróciła się w jego stronę.

– Nie lubiłeś go – stwierdziła. To nie było pytanie.

Odwzajemnił jej spojrzenie.

– Niełatwo jest mieszkać pod jednym dachem z tak wybitnym i zasłużonym bohaterem – prychnął, a potem dodał, już spokojnie: – Nie potrafiłem sprostać jego wymaganiom. Nie chciałem robić kariery w wojsku. Ale to akurat nie ma już dla mnie znaczenia. Wtedy zresztą także niespecjalnie się przejmowałem jego zdaniem na mój temat, podobnie jak mój brat. Było jednak coś, czego nie mogłem mu wybaczyć – bardzo źle traktował moją matkę. W dodatku tego samego nauczył Joannę. – Jego ton stał się teraz wręcz lodowaty. – Może warto, abyś i o tym wiedziała. Joanna z pewnością nawet się nie zająknęła na ten temat.

Iza nie zaprzeczyła, doszedł zatem do wniosku, że miał rację. Zresztą, czego innego mógł się spodziewać?

– Wiem, że bez wahania poparłeś drugie małżeństwo twojej matki. – To znowu było stwierdzenie, nie pytanie.

„Kto jej o tym opowiedział?” – zastanowił się Łukasz. Jego starsza czy też młodsza siostra?

– Tak – odparł ze świadomą satysfakcją w głosie. Chciał, aby to usłyszała. Tak jak przed laty usłyszała to Joanna. – Matka zasłużyła bodaj na odrobinę szczęścia w życiu. A dzięki Michałowi Zawilskiemu naprawdę była szczęśliwa. I nawet ta nieszczęsna historia... – Zaklął w duchu na własną nieuwagę. Jak mógł popełnić taki błąd?! Chyba że i o tym już wiedziała.

– Jaka historia? – spytała Iza, potwierdzając jego przypuszczenia.

Na szczęście zdążył już przygotować odpowiedź.

– Joanna nienawidziła Michała. Od momentu, gdy dowiedziała się o planowanym ślubie matki, wprowadziła do naszego domu nieznośną atmosferę, a była w tym dobra. Pobierała zresztą wcześniej nauki od mistrza w tej dziedzinie, czyli od własnego ojca. O jej reakcji na narodziny naszej przyrodniej siostry nawet nie będę opowiadał. Daruję to sobie i przy okazji tobie. Nie miała prawa tak się zachowywać. To bardzo raniło naszą matkę.

– Ty na pewno lubiłeś swojego ojczyma.

Zauważyła, że wuj natychmiast się rozpogodził. Napięcie, które obserwowała na jego twarzy od samego początku spotkania, rozpięchło się jak chmury pod naporem wiatru. Wreszcie jego uśmiech był naprawdę promienny i ciepły niczym słońce na pogodnym niebie.

– Był młodszy od matki o osiem lat, ale to nie miało żadnego znaczenia. Wynagrodził jej całą gorycz pierwszego małżeństwa. Ja traktowałem go jak ojca, przy którym nareszcie mogłem być sobą. Dopiero wojna sprawiła, że matka i ojczym rozstali się na kilka lat. Potem wrócił, ale... – Znowu spochmurniał.

Iza położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiem – powiedziała łagodnie. – Anna mi opowiedziała, co stało się później.

Łukasz kiwnął głową, ale wzrok miał utkwiony ponad jej głową, na drugim brzegu Wisły.

„Teraz możesz zapytać mnie o matkę” – pomyślała Iza. Domyślała się, że sporo już wiedział od Anny, ale przecież nie zaszkodziłoby, gdyby zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej. Może opowiedziałyby mu coś, co umknęło jej w obecności ciotki. Może zapytałby o Maurice’a. Wtedy odważyłaby się zapytać go o sprawy, co do których mógłby mieć jakąś wiedzę czy chociażby przypuszczenia. Coś, co bodaj trochę zbliżyłoby ją do prawdy o jej ojcu, cokolwiek.

Nie potrafiła jednak zacząć, tak po prostu zainicjować z nim takiej rozmowy, pomimo że był rodzonym bratem Joanny. A może właśnie dlatego. Potrafiła zapytać go o innych ludzi z ich rodziny, o trudne relacje w tejże rodzinie, ale nie o matkę. Instynktownie bowiem wyczuwała niechęć wuja do poruszania tego tematu. Miała jednak nadzieję, że to może on w końcu się przełamać i zada choćby najmniej zobowiązujące pytanie o Joannę. Rozstali się w gniewie, ale przecież koniec końców była jego siostrą.

Jednak Łukasz Boguszewski milczał.

ROZDZIAŁ 11

– Dobrze.

Anna nie była pewna, czy może dowierzać własnym uszom. Przygotowała się na długie przekonywanie matki, na rozpaczliwe przełamywanie jej oporu, brała nawet pod uwagę konieczność przyjęcia do wiadomości jej sprzeciwu, a tymczasem Hortensja zgodziła się prawie natychmiast.

Pierwszą jej reakcją było wprawdzie milczenie. Gdy Anna zasugerowała, że matka mogłaby wreszcie zobaczyć się z nieznaną jej do tej pory najstarszą wnuczką, jako że Izabella już niedługo musi wracać do Francji, Zawilska zacisnęła dłonie na szklance z herbatą i na moment znieruchomiała niczym żona Lota. Anna nabrała wtedy powietrza, by rozpocząć istną szarżę przy pomocy przygotowanych argumentów, ale zanim przystąpiła do ataku, usłyszała to krótkie, wypowiedziane spokojnym, choć zarazem pełnym rezygnacji głosem: „Dobrze”.

– Zgadzasz się? – Nie potrafiła zapanować nad zaskoczeniem we własnym głosie.

– Nie brałaś tego pod uwagę, jak słyszę i widzę – odparła z sarkazmem Hortensja.

– Miałam co do tego pewne obawy, przyznaję.

Hortensja westchnęła i rozejrzała się z niesmakiem po maleńkim, zagraconym mieszkaniu córki. Starła się przy tym, aby Anna nie zauważyła jej dezaprobaty, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że zarówno te środki ostrożności, jak i sama dezaprobaty były nie na miejscu. Anna nie miała żadnego wpływu na urządzenie tego lokum. O wszystkim decydował jej mąż, choć Bogiem a prawdą także i on niewiele tu zdziałał. Jego nędzna pensyjka technika w Instytucie Lotnictwa nie dawała szerokiego pola do manewru w kwestii zakupu nowych mebli. Zresztą nawet gdyby miał niezbędne fundusze, trzeba by było zmobilizować pół rodziny do przeprowadzenia operacji takich jak na przykład wystanie owych mebli w kolejkach i sprawdzanie tak zwanych list kolejkowych. Marcin darował sobie podobne „przyjemności”, a staranie się o możliwość dorobienia do pensji także nie leżało w jego naturze. Zdecydowanie bardziej wolał zadowolić się sprzętami odziedziczonymi po ciotce wraz z jej mieszkaniem.

Hortensja westchnęła i w tym momencie napotkała lodowaty wzrok córki. Anna patrzyła na nią tak, jakby czytała w jej myślach, jakby przewiercała jej umysł na wylot. Tak samo patrzył na Hortensję przed laty jej pierwszy mąż. A potem doczekała się podobnego spojrzenia w oczach Michała – ojca Anny. Natychmiast potrząsnęła głową, pragnąc, by to ostatnie wspomnienie odeszło precz, i uśmiechnęła się z przymusem do córki.

– Chyba nie mam wyjścia, powinnam ją zaprosić, choć nie skaczę z radości z tego powodu.

– Rozumiem, ale...

– Ale to moja najstarsza wnuczka, wiem. Która w dodatku niedługo wraca do Francji. Wobec tego...

– Lepiej mieć to za sobą, tak? – Anna zdawała sobie sprawę, że jej słowa zabrzmiały złośliwie i mogły doprowadzić do tego, że matka zrezygnuje ze spotkania, ale nie mogła się powstrzymać.

– Dobrze zrozumiałaś – odpowiedziała Hortensja, zachowując kamienny wyraz twarzy. – Niech będzie pojutrze koło południa. W środy masz mało lekcji, jeśli miałabyś ochotę, mogłabyś nam towarzyszyć.

– Nie wolałabyś spotkać się z nią sama?

– Niekoniecznie. Obawiam się, że niewiele byśmy miały sobie do powiedzenia, a nie lubię, gdy zapada krępująca cisza. Ty z jakiegoś powodu znalazłaś z nią wspólny język, ale pewnie dlatego, że jesteś od niej niewiele starsza. – Przy tych słowach po jej twarzy przebiegło nerwowe drgnienie, co Anna natychmiast zauważyła.

– Łukasz bardzo dobrze sobie poradził podczas spotkania z nią, choć w jego przypadku trudno mówić o niewielkiej różnicy wieku. Może wystarczy fakt, że jesteśmy rodziną.

– Powiedziałam: możesz nam towarzyszyć, jeśli będziesz mogła i chciała. – Matka stanowczo ucięła dalsze spekulacje.

Anna nie zdążyła już odpowiedzieć, bo rozległ się odgłos otwieranych drzwi i do mieszkania wszedł wracający z pracy Marcin. Tym razem to uwadze Hortensji nie umknął fakt, że jej córka drgnęła nerwowo – cała, a nie tylko na twarzy. Zauważywszy reakcję Anny, Zawilska ponownie zacisnęła dłonie na szklance.

– Dlaczego, do cholery, drzwi nie były zamknięte na zasuwkę? – rozległ się z przedpokoju, jak zwykle poirytowany, głos Marcina. – Setki razy mówiłem, że ze względu na kradzieże na osiedlu... – przerwał na widok teściowej i wykrzywił twarz w nienaturalnym uśmiechu. – O, nie wiedziałem, że mama nas odwiedziła.

– Wpadłam tylko na chwilę, już wychodzę – odparła Hortensja, podnosząc się z krzesła. – Jak się masz?

Wymieniła z zięciem pocałunek w policzek... w powietrzu.

– Jak mam się mieć?! Cholera by to wzięła! Człowiek haruje jak wół i gów... i nic z tego nie ma. Ten cały instytut to cyrk na kółkach. Kolesiostwo, układy i kosmiczny bałagan.

Hortensja pokiwała głową, co miało oznaczać, że rozumie męczarnie zięcia i współczuje jego doli z całego serca. W głębi duszy nie miała jednak wątpliwości, że „harówka” Marcina niewiele miała wspólnego z rzeczywistością, a on sam za nic na świecie nie zdobyłby się na inicjatywę szukania pracy w innym miejscu, nawet wtedy, gdyby wiązało się to z szansą na wyższe zarobki.

Ileż to razy w przeszłości z trudem powstrzymywała się, by mu nie

wygarnąć, co o nim myśli! Powstrzymywał ją jednak wyraz twarzy córki, na tyle przejmujący i napełniający ją wewnętrzną trwogą, że wolała milczeć. Poza tym wolałaby najpierw szczerze porozmawiać na ten temat z Anną, cóż jednak, skoro córka wyraźnie, i w dodatku w nieprzyjemny sposób, dawała do zrozumienia, że sobie tego nie życzy, a jedyne, czego pragnie, to pozostawienie jej w spokoju.

„W ten sposób nigdy go nie zaznasz” – chciała jej powiedzieć Hortensja, ale nie widziała innego wyjścia, jak milczeć.

Wobec zięcia zachowała jednak pełen chłodu dystans wielkiej damy, dając mu tym samym do zrozumienia, że między wychowaniem, pochodzeniem i wykształceniem jej córki, a także rodziny, z której wyszła, a tym, co on sobą reprezentuje, istnieje przepaść nie do pokonania, której nawet władza ludowa nie da rady zasypać. Nigdy mu tego nie powiedziała, ale Marcin był na tyle inteligentny, by to zrozumieć i zarazem czuć się wobec tego faktu bezsilnym... tak jak ona czuła się bezsilna, gdy patrzyła na życie swojej córki i wnucząt. Nie cierpieli się nawzajem, ale z powodu tej bezsilności obchodzili siebie jak dwoje drapieżników, którzy wolą nie doprowadzać do bezpośredniego starcia z użyciem pazurów i kłów. I bez tego starcia zresztą Hortensja odniosła jeden niezaprzeczalny sukces – w jej obecności zięć na ogół powściągał swoje słownictwo, a na podstawie tego, co jej kiedyś w przyływie szczerości powiedziała mała Kasia, dysponował bogatym repertuarem.

Był przy tym bardzo przystojny – temu nigdy zaprzeczyć nie mogła. Jego silna, wysportowana sylwetka, smągła jak u Cygana karnacja, ciemne oczy i gęsta czupryna wciąż przyciągały uwagę kobiet i Hortensja nie miała cienia wątpliwości, że Marcin nie marnował tego zainteresowania. Tymczasem jej córka, która jeszcze, wydawałoby się, nie tak dawno również mogła się chlubić niebagatelną urodą, temperamentem i wdziękiem, w ciągu ośmiu lat pozostała niemal cieniem tego, kim była jako młoda dziewczyna.

– Szkoda, że mama już ucieka – skwitował obojętnie Marcin. – Nigdy nie mamy czasu pogadać, ale takie życie. Wszyscy gdzieś pędzą. Obiad gotowy? – ostatnie pytanie skierował do żony.

Anna zerwała się posłusznie na nogi, ale wzrok matki zatrzymał ją w miejscu.

– To do zobaczenia. Pamiętaj, o czym mówiłam. – Hortensja uściskała córkę, a potem milcząco i wyciszone, jak to zazwyczaj bywało w obecności ojca, wnuki. Na końcu podała dłoń zięciowi. – Ty również od czasu do czasu mógłbyś się u mnie pokazać.

Nie mówiła tego szczerze i Marcin zdawał sobie z tego sprawę. Niemniej uśmiechnął się promiennie i odparł, że z pewnością to uczyni, jak tylko upora się z robotą. No, prawdziwe urwanie głowy ostatnio w tym instytucie. Kontrola za kontrolą, narada za naradą. Fatalne zarządzanie, totalny bajzel, jak zresztą prawie

wszędzie.

Z ostatnim stwierdzeniem Hortensja nie mogła się nie zgodzić, nawet mruknęła coś à propos i wyszła. Już na klatce schodowej próbowała uspokoić rozdygotane nerwy.

„Gdyby Michał żył, z pewnością by tak tego nie zostawił. Ania była jego oczkiem w głowie”.

W pewnym momencie nawet ważniejszym niż jej matka. Hortensja nie potrafiła o tym zapomnieć. Jak również o tym, że ten Michał, który wyszedł z więzienia w połowie lat pięćdziesiątych, także nie był zdolny do podjęcia jakichkolwiek stanowczych kroków – w żadnej sprawie.

Wiedziała, że powinna zastanowić się nad wizytą dziewczyny, co do której ani Anna, ani Łukasz nie mieli wątpliwości, że była ich siostrzenicą, a zarazem wnuczką Hortensji. Nie mogła jednak przestać myśleć o młodszej córce, o jej życiu i codziennej udręce.

„Czy to nieuniknione, aby musiała powielać mój los i moje błędy? Dlaczego tak się broni, gdy inni chcą jej pomóc? Dlaczego milczy, skoro powinna krzyczeć na całe gardło? Przecież ja bym ją zrozumiała. Przecież już teraz rozumiem”. Tak bardzo chciała przytulić do siebie swoje najmłodsze dziecko i to właśnie wyznać. Że i ona niegdyś postępowała podobnie, ona także nie potrafiła przyznać się do błędu. Mało tego, próbując skorygować jeden nieudany krok i zmienić kierunek marszu, natychmiast popełniała następną pomyłkę. A przecież tak bardzo chciała być kochana, szczęśliwa. W pewnym momencie nie mogło jej już wystarczać, że kochała. Pragnęła wzajemności. Przecież na nią zasłużyła.

Wobec tego buntowała się, choć tylko w swoim sercu, w milczeniu.

Dlaczego tak się dzieje na tym świecie, że to krańcowi egoiści kochani są bez zastrzeżeń i bezwarunkowo? A ludzie bezinteresownie oddający swoje serce są pomiatani, pogardzani i w rezultacie niejednokrotnie zostają sami. Widziała to nieraz i nie potrafiła się z tym pogodzić. Jak choćby z tym, że ją i Anię spotkał właśnie taki los. Inaczej to wyglądało w przypadku Joanny.

Siedząc na ławce w parku, po raz drugi w ostatnich dniach pogrzyżała się we wspomnieniach, od których – nie miała co do tego wątpliwości – nie było już ucieczki. Nie miała przy sobie albumu, tak jak poprzednim razem. Nie potrzebowała go. Zapatrzona w parkową, budzącą się do życia wiosenną przyrodę, zasłuchana w śpiew wijących gniazda ptaków, pozwoliła swojej pamięci wrócić do tamtego dnia, gdy zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Skończyła wówczas trzydzieści cztery lata, on – dwadzieścia sześć. Miała za sobą kilkanaście lat nieudanego małżeństwa, które pozbawiło ją wszelkich złudzeń. Miała czternastoletnią córkę, co do której także straciła już wszelką nadzieję, że kiedykolwiek staną się sobie bliskie, która – co gorsza – nie tylko jej nie szanowała, ale wręcz nią pogardzała. Miała trzynastoletniego syna, który ją

uwielbiał i którego ona kochała i rozpieszczała, choć miała paskudne wrażenie, że wyrządza mu w ten sposób krzywdę, a jednak nie potrafiła się powstrzymać przed tym, by chronić go przed każdym trudnym doświadczeniem, tak jak on próbował bronić ją, a tak naprawdę oboje byli za słabi, by sobie nawzajem pomóc. Miała dziewiętnastoletniego pasierba, który będąc małym chłopcem, uwielbiał ją, podobnie jak jej rodzony syn, ale potem jako nastolatek zaczął się od niej oddalać i chodzić własnymi drogami, choć zawsze odnosił się do niej serdeczniej niż do rodzzonego ojca.

Wciąż była jeszcze młodą, atrakcyjną, ale już zrezygnowaną kobietą, przekonaną, że nic dobrego już jej nie spotka, że jedyne, co ją czeka, to dożywotnia wegetacja w związku bez miłości czy choćby tylko sympatii lub elementarnego szacunku. Michał Zawilski porwał ją swoim entuzjazmem, młodością i przekonaniem, że nigdy nie jest za późno, by cokolwiek zmienić w życiu. Że nigdy nie jest za późno, by zacząć być szczęśliwym. Że nie wolno przegapić żadnej okazji spełnienia swoich marzenia. Tamtego dnia ona również zaczęła się budzić do życia jak te pąki na drzewach, które tylko czekały na pierwszy ciepły deszcz, by się rozwinąć. Wtedy też był kwiecień.

ROZDZIAŁ 12

Właśnie wiosną trzydziestego trzeciego roku zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Zapatrzona w parkową budzącą się do życia przyrodę, zasłuchana w śpiew ptaków wijących swoje gniazda, nie dostrzegła zbliżających się żwirową alejką ludzi. Nie usłyszała ich kroków.

Dlatego niemal podskoczyła, gdy ni z tego, ni z owego usłyszała głos Władysława:

– A oto i moja żona. Hortensjo, pozwól na chwilę...

Rzadko się do niej odzywał, ale w obecności gości potrafił dbać o pozory. Hortensja nie przepadała za jego znajomymi. Byli to przeważnie ludzie znacznie od niej starsi, z którymi niewiele ją łączyło, a dzieliło sporo. Mieli inne spojrzenie na życie, inne zainteresowania, to, co dla nich było kwestią życia i śmierci, dla niej nie miało większego znaczenia. Ich doświadczenia, w tym także wspomnienia z frontu, nie były jej doświadczeniami i wspomnieniami. Nic zatem dziwnego, że gdy usłyszała słowa męża, westchnęła w duchu, z góry przewidując kolejne mało interesujące z jej punktu widzenia popołudnie i wieczór. Niechętnie odwróciła głowę od cieszących jej oczy pąków na drzewach i spojrzała na nowo przybyłego.

Człowiek, którego przyprowadził jej mąż, z całą pewnością nie mógł dzielić razem z nim wspomnień z frontu Wielkiej Wojny i wojny z bolszewikami. Był na to zdecydowanie za młody. Bardzo wysoki i do tego bardzo szczupły, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie studenta. Ubrany był po cywilnemu, ale natychmiast odgadła, że miał coś wspólnego z wojskiem. Świadczyła o tym chociażby wyprostowana jak struna postawa i sztywny, typowo wojskowy ukłon.

– Moja żona, Hortensja. Porucznik Michał Zawilski, chluba szkoły oficerskiej i nadzieja naszej armii – przedstawił ich sobie Władysław.

Hortensja skinęła głową i rzuciwszy szybkie spojrzenie na młodego człowieka, prawie natychmiast odwróciła wzrok. Patrzył na nią śmiało, z ciekawością, bez cienia zażenowania. Zmieszana się. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale, jak to często bywało, gdy czuła się zaskoczona, nic stosownego nie przychodziło jej do głowy. Zresztą wystarczył sam fakt, że jej mąż znajdował się tak blisko, spoglądał na nią wyczekująco i zapewne się zastanawiał, czy jego mało rozgarnięta żona wydobędzie z siebie bodaj jedno słowo. Od lat tak się czuła, gdy czasem, najczęściej w towarzystwie, zwracał się bezpośrednio do niej. Jak tępa uczennica wyrwana do odpowiedzi przez surowego wykładowcę, świadoma faktu, że spełnienie jego wymagań przekracza jej możliwości intelektualne. Jak zwykle pewna, że zostanie oceniona negatywnie.

– Mówiłem już panu kapitanowi, że Bolesławice zrobiły na mnie jak najlepsze wrażenie. To prawie raj.

„Raj? Niby dla kogo?” – pomyślała i serce jej się ścisnęło. Wypadało jednak

wydusić z siebie w końcu jakieś słowo.

– Tak – potwierdziła zdenerwowana, świadoma, że irytuje w tym momencie męża. – Zwłaszcza na wiosnę...

– Pan porucznik jest synem mojego towarzysza broni z walk na Wołyniu w dziewięćset piętnastym – wtrącił Władysław.

– Tak? – spytała już trochę śmielej, tak jakby kwestia frontowych znajomości męża szczególnie ją zainteresowała. – A jak się miewa pana ojciec?

Natychmiast się zorientowała, że jej pytanie było bardzo nie na miejscu. Twarz Władysława stężała, a spojrzenie, jakim ją obrzucił, nie zapowiadało niczego dobrego.

– Mam nadzieję, że miewa się nie najgorzej – odparł z powagą podporucznik, ale w jego oczach wyraźnie dostrzegła iskierki.

Teraz słowa młodego człowieka nie spodobały się Boguszewskiemu, co z kolei ośmieliło jego żonę.

– Wnioskuje, że od pewnego czasu nie widział pan ojca.

– Od trzech lat – padła odpowiedź wyrażona pełnym uszanowania tonem, choć iskierki widoczne w oczach porucznika wcale nie zniknęły. – Dokładnie od dnia jego pogrzebu.

Twarz Hortensji natychmiast pokryła się szkarłatem, ale nie zdążyła wydukać stosownych przeprosin, tudzież wyjaśnienia, że przecież o niczym nie miała pojęcia. Ubiegł ją mąż.

– No, no, poruczniku, może już dość o tym – wtrącił z niezadowoleniem. – To jednak trochę nie na miejscu...

– Tak jest, panie kapitanie – odparł wcale nie skonfundowany Zawilski. – Chcę jednak posłusznie zameldować, że czas leczy rany.

Hortensja w tym momencie nie miała cienia wątpliwości, że rany, o których wspominał pan Michał, nigdy nie istniały.

Ponownie poczuła na sobie jego uparte, trochę bezczelne, trochę sztubackie spojrzenie, ale tym razem nie umknęła przed nim wzrokiem, a jej wargi drgnęły w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

Wówczas już – nigdy w to później nie wątpiła – narodziła się między nimi nić porozumienia i sympatii, która miała stopniowo wybudzać ją do życia.

Ten kwietniowy dzień trzydziestego trzeciego roku stał się punktem zwrotnym w jej do tej pory smutnej, beznadziejnej egzystencji. Odtąd wszystko zaczęło nabierać sensu, choć początkowo jeszcze powoli i nieśmiało. Wykorzystywali każdą okazję, by się zobaczyć, zamienić bodaj parę słów. Tych okazji nie było jednak za wiele. Zawilski nie należał do grona oficerów regularnie zapraszanych przez Władysława do Bolesławic, zdarzało się to dość sporadycznie. Wyglądało na to, że ojciec Michała nie był jednak kimś na tyle bliskim Boguszewskiemu, by miał on ochotę zawierać bliższą znajomość z jego synem.

Choć z drugiej strony czuł się zobowiązany do tego, by od czasu do czasu podtrzymywać niezobowiązujące kontakty towarzyskie.

– Z moim starym nie można było się zaprzyjaźnić – powiedział jej kiedyś Michał. To było wtedy, gdy już wiedziała, że może mu bezgranicznie ufać i być z nim szczerą. – Moja matka próbowała tego dokonać i w końcu umarła, do końca nie mogąc zrozumieć, dlaczego jej się to nie udało. Była interesującą kobietą, przyciągała uwagę mężczyzn. Marzyłem, by w końcu zaczęła dostrzegać, że na moim starym świat się nie kończy. On wcale by się nie przejął, gdyby nawet odkrył, że przyprawiła mu rogi. Najpewniej jednak wcale by tego nie zauważył. Nie zwracał na nią uwagi, nawet gdy stała obok niego. Patrzył tak, jakby jej tam wcale nie było. Nie mogłem tego ścierpieć. I byłem tak cholernie bezradny. A ona...

„To moja historia” – myślała wtedy Hortensja. „A właściwie to mogłaby być moja historia”.

Ale zaraz postanowiła, że z nią będzie inaczej. Ona nie skończy tak jak matka porucznika.

Nie ominęła więc żadnej uroczystości czy choćby rautu, jeśli wiedziała, że przybędzie tam również młody Zawilski, pomimo że wcześniej chwytła się każdej wymówki, by wykręcić się od tego typu mało ciekawych z jej punktu widzenia imprez. Czy Władysław, dla którego zresztą nigdy nie miała znaczenia obecność czy też nieobecność żony na podobnych spotkaniach, nabrał jakichś podejrzeń, gdy zaczęła w nich gustować? Nawet jeśli, to nie potrafił powiązać tych podejrzeń z niczym i nikim konkretnym. Lecz bardziej prawdopodobnym było to, że niczego nie zauważył, choć z pewnością Hortensja nie mogłaby liczyć na jego pobłażliwość, gdyby jednak jakimś sposobem odkrył prawdę. Pod tym względem różnił się od swojego towarzysza broni, czyli ojca Michała. Nigdy nie był liberalny w sprawach obyczajowych, a ewentualne „wybryki” żony potraktowałby jak splamienie jego nazwiska, pochodzenia i oficerskiej sławy, a także honoru. Zatem na wszelki wypadek Hortensja musiała być ostrożna. Do Warszawy wyjeżdżała wprawdzie częściej niż zwykle, lecz nie przesadzała z częstotliwością tych wyjazdów, aby nie wydały się one podejrzane. Za każdym razem motywowała je chęcią odwiedzenia dzieci, jako że zarówno Joanna, jak i Łukasz uczęszczali do szkół z internatem. Joanna przyjmowała wizyty matki z ledwo skrywaną niechęcią; Łukasz – dla odmiany – promieniał.

I – jak jej wyznał kilka lat później – nie tylko dlatego, że wyczekiwał jej odwiedzin z niecierpliwością. Ostatecznie był już na tyle duży, by radzić sobie z tęsknotą, a zajęć i kolegów mu nie brakowało.

Cieszył się ze względu na nią. Cieszył się, bo podejrzewał, co w trawie piszczy. Cieszył się, choć odgadł prawdziwą przyczynę jej wypraw do Warszawy.

– Gdyby ojciec dostrzegał kogoś więcej niż tylko Joannę i marszałka

Piłsudskiego, to też by zauważył, jak bardzo się wtedy zmieniłaś. Byłaś wtedy taka piękna, taka radosna – powiedział jej potem.

– Cieszyłam się, że cię widzę. Brakowało mi ciebie na co dzień – droczyła się z nim wesoło.

– No jasne, mam. Ale ja wiedziałem, że to nie o mnie chodzi.

– O ciebie także.

– Przecież od czasu do czasu, od wielkiego dzwonu widywałem was... razem. Trzeba było być tak zadufanym bufonem jak ojciec, aby niczego nie spostrzec.

– W takim razie mam nadzieję, że wszyscy oprócz ciebie byli właśnie takimi bufonami.

Tego jednak żadne z nich nie mogło być pewne. W każdym razie nie dosięgły jej wówczas żadne plotki.

Czy cokolwiek zauważyła... Joanna?

Nigdy tego nie wyjawiała. Nigdy na ten temat nie rozmawiała.

W lipcu trzydziestego czwartego roku lekarze zdiagnozowali u Władysława nowotwór płuc. Od dwóch miesięcy jego żona i syn jego towarzysza broni z czasów Wielkiej Wojny byli już kochankami, ale na wiadomość o chorobie męża Hortensja przerwała romans. Wrócili do siebie niespełna miesiąc po śmierci Boguszewskiego. Gdy dziewięć miesięcy później urodziła się ich córka, od czterech miesięcy byli już małżeństwem. Tym razem docierały do nich nie tylko plotki i nie ulegało wątpliwości, że skandal długo nie ucichnie. Odwrócili się od nich dawni znajomi Władysława, jak również większość i tak już mocno przeredzanej rodziny. Ostatecznie straciła Joannę.

A jednak Boże Narodzenie trzydziestego piątego roku wcale nie okazało się taką katastrofą, na jaką się pierwotnie zanosilo. Wielka w tym była zasługa Michała, który zasugerował, by do niczego Joanny nie zmuszać. Nie chce się pochylać nad kołyską małej Ani – niech tego nie robi. Przecież nie musi. Kiedyś zrobi to z własnej woli. Pragnie jak najwięcej czasu spędzić samotnie podczas ferii świątecznych? Niech tak będzie. Dla dobra wszystkich może warto wyjść tej dziewczynie naprzeciw, i to nie po to, aby z nią walczyć.

– Daj jej spokój – tłumaczył rozgniewanej i rozgoryczonej żonie Michał. – To w gruncie rzeczy tylko bardzo młoda rozżalona dziewczyna. W dalszym ciągu tęskni za ojcem i dlatego rozumie twój życiowy wybór w kategorii zdrady, mnie zaś uważa za największego wroga. Nie zawsze jednak tak będzie. Kiedyś cię zrozumie. Kiedyś nam wybaczy.

Joanna wróciła do warszawskiego internatu zaraz po Nowym Roku. Po jej wyjeździe Hortensja natychmiast odczuła ulgę.

– Opuścimy Bolesławice, jak tylko Łukasz stanie się pełnoletni i samodzielny – oświadczyła mężowi. – Zamieszkamy gdziekolwiek, wszystko

jedno... Może to być mój rodzinny Jazgarzew, choć może lepiej gdzieś dalej.

– Chcesz opuścić taki raj? – roześmiał się w odpowiedzi, choć jej nie wydało się to zabawne.

Poza tym niemal instynktownie wyczuwała, że jemu z jakichś niezrozumiałych dla niej powodów odpowiadają Bolesławice. Raczej nie przeszkadzał mu fakt, że majątek w sensie formalnym należał do rodziny Boguszewskich, nie do niego. W myśl testamentu zmarłego męża nawet ona miała w nim jedynie pewne udziały. Głównymi spadkobiercami były dzieci, z których to najstarszy Maciek wyraźnie dał do zrozumienia, że nie ma zamiaru wiązać swojej przyszłości z tą posiadłością. Również Joanna przy każdej okazji powtarzała, że nie zamierza tu pozostać. Po śmierci ojca Bolesławice przestały być jej ukochanym domem – tak oświadczyła w dniu drugiego ślubu matki.

– To nigdy nie był raj – odparła szorstko Hortensja, gdy po raz kolejny usłyszała z ust Zawilskiego takie określenie pod adresem majątku.

– W takim razie czas najwyższy, by się nim stał – zareagował na jej słowa Michał i przełamując, słaby zresztą, opór żony, wziął ją w ramiona. – To miejsce jest do tego stworzone. My stworzymy tu raj, zobaczysz.

Ustąpiła mu wtedy. Uwierzyła. Jak mogła nie uwierzyć człowiekowi, który niemal wskrzesił ją z martwych? Który wyszedł naprzeciw jej pragnieniom, urzeczywistnił marzenia?

Tymczasem czekało na nią piekło, nie raj. Czekąco cierpliwie... jak na każdą ofiarę.

ROZDZIAŁ 13

Zanim weszli do środka kamienicy, Iza zatrzymała się i zapatrzyła na budynek. Anna i Łukasz opacznie to zrozumieli.

– Chodź, nie bój się. W końcu to twoja babka. Nie zje cię, choć na twoim miejscu nie liczyłabym na zbyt wylewne przyjęcie. Taka już jest, ale zapewniam, że chciała cię poznać. – Anna próbowała mówić swobodnie, niemal wesoło, jednak w głębi duszy miała pewne obawy.

Matka wyraziła zgodę na przyjęcie najstarszej, nieznannej jej do tej pory wnuczki, jednak inicjatywa tego spotkania nie wypłynęła od niej. A zdumiewający fakt, że zgodziła się tak szybko, teraz, z perspektywy kilku dni, niepokoił Annę coraz bardziej. Właściwie dlaczego tak naprawdę matka się na to zgodziła? Nigdy z własnej woli nie wspominała najstarszej córki, a gdy w przeszłości czasami – choć zdarzało się to bardzo rzadko – ktokolwiek próbował zagaić coś na ten temat, zbywała go krótko, zdecydowanie i bardzo chłodno.

Dlaczego zatem zdecydowała się przyjąć Izabellę Seigner? Czy chciała zdemaskować ją w obecności swoich dzieci jako oszustkę? Dać do zrozumienia zarówno Annie, jak i Łukaszowi, że dali się naciągnąć jak naiwne dzieci? Raczej wątpliwe, choć w przypadku Hortensji Zawilskiej trzeba było brać pod uwagę każdą ewentualność. Jednak bardziej prawdopodobne było inne wytłumaczenie – matka zaprosiła córkę Joanny, by dać jej do zrozumienia, że nie ma już powrotu do przeszłości. Za późno, by cokolwiek naprawiać, wydarzyło się zbyt wiele zła, minęło zbyt wiele czasu.

Czas wprawdzie z jednej strony potrafi leczyć rany, z drugiej jednak działa też na niekorzyść, na przykład wtedy, gdy skonfliktowani ze sobą ludzie pozwolili, by między nimi zapadło zbyt długie milczenie. W przypadku zaś Hortensji Zawilskiej Anna była pewna, że matka nie zamierzała tego milczenia przerywać. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy zainteresować się, czy Joanna w ogóle miała jakieś dzieci, gdyby wnuczka nie pojawiła się tak niespodziewanie, wywołując tym samym zamęt w swojej polskiej rodzinie. Zamęt? Prawdziwy tajfun!

– Dla naszej matki to bardzo trudne, zapewne z różnych powodów – odezwał się Łukasz, a zmarszczka na jego czole świadczyła dobitnie, że miał pewne zastrzeżenia zarówno do tego, co powiedziała siostra, jak i do tonu jej słów. – Matka jest szlachetną, nietuzinkową osobą i zapewniam, że z jej strony nie spotka cię żadna przykrość, niemniej wiele przeżyła i wycierpiała.

– Czy ja zasugerowałam, że matka może sprawić Izie przykrość? – spytała zaczepnie Anna.

Łukaszowi zaraz przyszło do głowy, jak zawsze, gdy dochodziło między nimi do utarczek słownych, że gdyby od czasu do czasu Anna przemówiła takim tonem do męża, z pewnością poprawiłaby swoją pozycję w domu. Niestety, jej

dawna czupurna, zuchwała natura, jeśli już dochodziła niekiedy do głosu, była zarezerwowana jedynie dla ludzi, w których towarzystwie siostra czuła się pewnie i bezpiecznie. Tylko wtedy pozwalała sobie na jakąś namiastkę odwagi i niezależności w wygłaszaniu swoich ocen.

– Dajmy temu spokój – przerwała im Iza. – Nie umieram ze strachu przed własną babką. Za bardzo jestem jej ciekawa. Zwróciłam tylko uwagę na dom, w którym zamieszkała dawna właścicielka najbogatszego w okolicy majątku.

– No tak – westchnął Łukasz, otwierając przed obiema kobietami obdrapane nieco drzwi. – Zapewniam cię jednak, że pod tym względem matka wyszła nie najgorzej, jeśli porównać tę kamienicę z warunkami mieszkaniowymi większości rodaków.

– Wcale nie miałam na myśli, że to złe miejsce – próbowała się bronić zarumieniona Iza. – Z pewnością jednak nie pałac, w którym niegdyś mieszkała wasza matka. No i nie to otoczenie.

– Miała czas, by przywyknąć – skwitował Boguszewski, nie dając po sobie poznać uczucia przykrości, jakie wywołały w nim słowa siostrzenicy. Nie miał jednak do niej żalu, nie ona ponosiła tu winę.

Dopiero na klatce schodowej Iza zdała sobie sprawę, że jednak czuje zdenerwowanie. Lada moment jedne z tych starych, ciężkich drzwi otworzą się i stanie w nich jej babka. Jedyna, którą dane jej było poznać. Już ją widziała, półtora roku temu, gdy po raz pierwszy przyjechała do Polski i stary Podhorecki zaprowadził ją na cmentarz Powązkowski, by zobaczyła krewnych swojej matki. Wtedy nie odważyła się do nich podejść. Nie czuła się jeszcze na to gotowa, uznała, że za mało wie, by zamienić z nimi choć parę słów. Zapewne nie uwierzyliby jej, gdyby im wyznała, kim jest. Wtedy zdecydowała, że wróci do Paryża i nakłoni Maurice'a, aby opowiedział jej więcej o tych ludziach.

Do tej pory nie wyznała ani Annie, ani tym bardziej Łukaszowi, że przyjechała do Polski w sześćdziesiątym trzecim roku. Że widziała ich na cmentarzu, a Podhorecki pokazał jej również grobowiec kapitana Boguszewskiego i jego rodziny. Kiedy zaś bez żenady podzielił się z nią swoją sceptyczną opinią na temat Zawilskiej i jej syna, nie ośmieliła się ponowić swej prośby, by zaprowadził ją także do miejsca wiecznego spoczynku Michała Zawilskiego. Od samego początku, gdy pojawiła się po raz drugi w tym kraju i nawiązała wreszcie kontakt z Anną Brzeską i Łukaszem Boguszewskim, zastanawiała się, kiedy im powiedzieć, że już była w Polsce i miała okazję ich zobaczyć. I czy w ogóle im o tym mówić.

Stojąca w progu mieszkania kobieta nie postarzała się od tamtego listopadowego dnia. Iza od razu ją rozpoznała, pomimo że wtedy, półtora roku temu, Zawilska miała na sobie gruby, ciemny płaszcz i kapelusz. Teraz ubrana była w prostą, wełnianą sukienkę, w której jednak wyglądała tak sztywnie, że mogłaby

w niej pójść na kolację do porządnej paryskiej restauracji. Prawdopodobnie zresztą równie dobrze wyglądałaby w każdym ubraniu, a to dzięki wyprostowanej sylwetce i pełnym gracji ruchom.

Joanna poruszała się podobnie, zresztą na niej także każda rzecz prezentowała się dobrze – Iza natychmiast to sobie przypominała. Nic w tym dziwnego, przecież i matka, i babka wychowały się w ziemiańskiej rodzinie. Przeznaczeniem zarówno jednej, jak i drugiej było zostać elegancką damą, która potrafi zachować odpowiednią prezencję w każdej garderobie i w każdych okolicznościach. Poza tym, przynajmniej na pierwszy rzut oka, Hortensja i Joanna zupełnie siebie nie przypominały. Zawilska, w przeciwieństwie do Joanny, była jasną blondynką, dzięki czemu na nieskazitelnym koku nie było widać ani jednego siwego pasma. Koloru jej oczu Iza nie potrafiła określić, zresztą nie chciała zdenerwować starszej pani zbyt nachalnym przyglądaniem się jej. Znacznie łatwiej było zauważyć, że twarz babki była okrąglejsza, policzki pełniejsze, a rysy subtelniejsze niż w przypadku jej starszej córki, która miała szczupłą twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, wyraziste rysy, a jej ciemnoniebieskie oczy patrzyły bystro i przenikliwie.

– Mamo, to właśnie jest... – zaczęła Anna, ale matka natychmiast jej przerwała.

– Wiem. Wejdźcie, proszę.

W zgodnym milczeniu weszli do pokoju, a Iza rozejrzała się ciekawie po wnętrzu.

Było gustownie urządzone, a meble, choć stare, były dobrze utrzymane, politura błyszczała czystością. Nagle Iza przypomniała sobie kawiarnię przy ulicy Świętojańskiej, w której rozmawiała z Łukaszem. Oba wnętrza były łudząco do siebie podobne pod względem stylu i atmosfery. Iza, która do tej pory nie zdążyła jeszcze odezwać się nawet jednym słowem, uznała, że najwyższy czas wreszcie to zrobić.

– Cieszę się, że mogę wreszcie panią poznać – powiedziała. Na wszelki wypadek wołała zastosować oficjalną formę.

Hortensja uśmiechnęła się zdawkowo, ale skinęła uprzejmie głową i gestem zaprosiła wszystkich, aby usiedli. Atmosfera była bardzo oficjalna, nienaturalna, sztywna, ale Iza potrafiła to zrozumieć. Zawilska z pewnością czuła się mało komfortowo. Wobec tego, że Anna i Łukasz także milczeli, prawdopodobnie szukając jakiegoś stosownego tematu do zagajenia rozmowy, Iza postanowiła wyjść wszystkim naprzeciw. Przede wszystkim należało na początek powiedzieć coś uprzejmego, ale niezobowiązującego.

– Ma pani pięknie urządzone mieszkanie – zagaiła; może mało oryginalnie, ale za to szczerze.

Naprawdę tak pomyślała, pierwsze, nie najlepsze wrażenie nieco zaniedbanej

fasady kamienicy wyraźnie zbladło. Mieszkanie babki od razu przypadło jej do gustu, a odkrycie, że mają podobny gust, poprawiło jej humor i przywróciło odwagę.

– Dzięki Bogu udało się uratować trochę mebli z Jazgarzewa, w tym kilka obrazów i pościel – odparła Zawilska.

– Podhorecki zdołał potem wyciągnąć z Bolesławic kredensy z zastawą stołową – dodała przebiegle Anna.

– Z częścią zastawy stołowej – sprostowała bez drgnienia powieki Hortensja. – Hołota nie wszystko zagrabiła, choć początkowo pozwolili nam zabrać tyle, ile się zmieściło w kilku torbach. Rozgoście się, zaraz podam ciasto i kawę – uzupełniła, dając tym samym do zrozumienia, że wątek wspomnień dotyczący jej przedwojennej własności ziemskiej uważa za zakończony.

„Dlaczego Joanna uważała swoją matkę za osobę nieporadną?” – zastanowiła się Iza.

Przecież kobieta, która zdołała ocalić choćby niewielką część wyposażenia rodowej posiadłości, a potem jak lwica walczyła o przetrwanie rodziny, z pewnością musiała odznaczać się nie byle jaką przebiegłością. Nie ulegało też wątpliwości, że babka miała starannie przygotowany scenariusz tego spotkania i realizowała go teraz konsekwentnie, punkt po punkcie.

Porcelanowa zastawa, która chwilę potem pojawiła się na stole, sprawiła, że Iza na moment zapomniała o wszystkim innym. Z zachwytem podniosła do góry starą filiżankę, prawdziwe cacko, i głośno wyraziła swoje uznanie.

– Tak, to część mojego posagu – oświadczyła Zawilska i choć starała się zachować dość oficjalny, zdystansowany ton, widać było, że słowa wnuczki sprawiły jej przyjemność. Zaraz też przypomniała sobie, że dla Anny uratowane pamiątki rodzinne nie miały większego znaczenia. Nie miała wyrobionego zmysłu artystycznego, często zadawała ją byle co.

„Jak na przykład byle jaki mężczyzna” – pomyślała z goryczą.

Oczywiście możliwości finansowe młodszej córki były mocno ograniczone, ale zdaniem Zawilskiej nie przeszkadzało to w posiadaniu dobrego gustu, w zachowaniu dobrego smaku. Przecież można wyglądać dobrze, mając do dyspozycji naprawdę ograniczone środki.

„Dlaczego nie zdołałam jej tego nauczyć? Przecież...”

Przecież Joanna była inna. Po obojgu rodzicach przejęła pewną wytworność w sposobie bycia. Najwyraźniej zaś jej córka, Iza, przejęła to po matce.

Patrząc na siedzące obok siebie Annę i Izabellę, Hortensja doszła do smutnego wniosku, że jej córka wygląda przy tej drugiej jak jej pomoc kuchenna, a nawet gorzej.

„Gdzie popełniłam błąd w jej wychowaniu? Tak, owszem, dorastała w trudnych czasach wojennych i powojennych. Nie miałam dla niej dość czasu,

musiałam walczyć o nasze przetrwanie, a nie o to, by wychować dziecko na damę, ale przecież...”

Lecz przecież Joannie poświęciła znacznie mniej czasu. Starsza córka nie potrzebowała jej starań i rad, w wieku osiemnastu lat na zawsze zniknęła jej z oczu, a jednak prezentowała się o niebo lepiej od Anny. Choć wcale nie była od niej ładniejsza. Ania, jako dziecko, a potem młoda dziewczyna, zachwycała swoją urodą wszystkich wokół. I co z tego?

Milczenie przedłużało się, co Zawilska skonstatowała z dużym niezadowoleniem. Krytycznie oceniała młodszą córkę za brak poloru i wdzięku damy, a tymczasem ona sama zapomniała o obowiązkach pani domu. Niepotrzebnie dała się ponieść wspomnieniom i niewesołym refleksjom.

– Myślałam o tym, by zaprosić z tej okazji resztę rodziny – zwróciła się bezpośrednio do wnuczki, choć unikała patrzenia jej w oczy. – Oczywiście pierwotnie miałam na myśli najbliższą niedzielę, nie dzień powszedni, ale cóż... Okoliczności sprzysięgły się przeciwko nam. Okazało się, że Jarek, syn Łukasza, wyjeżdża teraz na kilkudniową wycieczkę szkolną, a moja synowa musiała pojechać do chorej matki na drugi koniec Polski. Szkoda, miałybyś okazję poznać resztę rodziny.

Nawet słowem nie zająknęła się na temat zięcia, a widząc, że jej córka poczerwieniała, dodała:

– Kasia jest teraz w szkole, a Krzyś...

– Mamo, Iza poznała już moje dzieci – przerwała sucho Anna.

Tym razem rumieniec zabarwił policzki Zawilskiej.

– Skąd miałam wiedzieć. Nie mówiłaś mi o tym – mruknęła.

– Trudno, bym składała ci codzienne raporty.

– Dwa dni temu po południu wybraliśmy się wspólnie na spacer i lody – pospieszyła z wyjaśnieniem Iza.

– To miłe, zwłaszcza że, jak sama widzisz, niełatwo zebrać rodzinę pod jednym dachem. Nawet gdy chodzi o naprawdę ważną okoliczność.

„Czyżby miała na myśli mnie i mój przyjazd?” – Iza poczuła, że jej serce mocniej zabiło.

– Będzie jeszcze okazja, bym poznała pozostałych – rzekła impulsywnie.

– Ja słyszałam, że wkrótce wyjeżdżasz. – Słowa Zawilskiej trochę ją ostudziły.

„Jasne, przecież w gruncie rzeczy tego właśnie pragniesz. Wywróciłam twój, wasz świat do góry nogami. A ty, babciu, wolałybyś jednak, aby było jak dawniej... zanim się tutaj pojawiłam”.

Babcia... Iza zdała sobie sprawę, że nie potrafi tak myśleć o tej eleganckiej, chłodnej, skromnie, lecz zarazem nieskazitelnie ubranej kobiecie, która nalewała im kawy do starych, porcelanowych filiżanek i częstowała ciastem kupionym

w cukierni. Iza nie miała innej babki, lecz zawsze wyobrażała je sobie inaczej – jako pełne ciepła starsze panie, które przytulają, pocieszają, choć niekiedy łajają swoje wnuki, jednocześnie podsuwając im pod nos własnoręcznie upichcone przysmaki. Oczywiście nie mogła tego oczekiwać od Hortensji Zawilskiej, przecież łącząca je więź była czysto formalna, nie emocjonalna. W dodatku babka i matka poróżniły się przed laty na śmierć i życie i więcej się już nie zobaczyły.

Jednak przychodząc tu, Iza miała nadzieję, że tak naprawdę zobaczy kogoś innego. Nie chłodną, dystygowaną damę, ale zwyczajną kobietę, trochę zagubioną, niepewną, na pewno zdenerwowaną spotkaniem. Niepewna, słaba, niezaradna, niepotrafiąca poradzić sobie w życiu bez energicznego mężczyzny – tak ją przedstawiała Joanna, a opinię tę potwierdzał stary Podhorecki. Czy zatem siedząca teraz przy stole, opanowana i zimna jak sople lodu dama była tą samą kobietą, która niegdyś, przed laty, uległa na tyle silnej namiętności, by doprowadzić do skandalu na całą rodzinę i okolicę, a w efekcie do ostatecznego zerwania z córką?

„Nie potrafię sobie wyobrazić, bym miała nazywać ją babcią, nawet gdybym znalazła w sobie odwagę, by jej to zasugerować. Właściwie wcale nie mam na to ochoty. Chyba że okazałaby się taka, jak ją przedstawiali matka i Podhorecki. Taka przynajmniej byłaby bardziej autentyczna”.

A jednak... Jednak Zawilska zwracała się do niej nieformalnie. Od samego początku nie tytułowała jej „panią”. Od samego początku dawała jasne sygnały, że rozpoznaje w niej swoją wnuczkę.

„Czyli... właściwie jaka ona jest? Co przede mną ukrywa? Co ukrywa przed swoimi dziećmi?”

– Wyjeżdżam w najbliższą sobotę – odparła, odnosząc się do słów babki. – W poniedziałek muszę się pokazać w wydawnictwie.

– A tak, rzeczywiście. Anna wspominała, że pracujesz w branży wydawniczej. Jesteś redaktorką, korektorką czy może pisarką?

– Nic z tych rzeczy – roześmiała się trochę nienaturalnie Iza. Sama poczuła, że jej śmiech zabrzmiał nieco afektownie. To dlatego, że czuła się coraz bardziej nieswojo. Na dobrą sprawę miała już ochotę wyjść, ale nie wypadało tak szybko kończyć wizyty. – Jestem tłumaczką – wyjaśniła. – Studiowałam slawistykę, ze wskazaniem na polski i czeski.

– Tak? – W oczach Zawilskiej wreszcie pojawiło się jakieś światło, mimo to Iza w dalszym ciągu nie potrafiła określić ich koloru. – Studiowanie tego kierunku było twoim pomysłem?

– Raczej mojego ojca – wpadła jej natychmiast w słowo Iza i w tym momencie spostrzegła, że babka drgnęła na całym ciele, jakby ktoś smagnął ją biczem.

„Miałam na myśli Maurice’a, ale ty pomyślałaś o kimś zupełnie innym...”

Boże, ona wie, kto to jest”.

Nie chciała jednak wywoływać teraz burzy. Nie chciała w to wciągać Anny i Łukasza. Zresztą, nie miała wątpliwości, że Zawilska nie odpowie na żadne z tego typu pytań. Dopiero się przecież poznały.

„Nie mogę jej teraz spłoszyć, sprawić, że nie będzie mnie chciała już nigdy więcej widzieć. Ona się mnie boi. Wszystko jasne”.

Zawilska w istocie czuła się niepewnie i dlatego chowała się za fasadą zimnej, trzymającej się konwenansów damy. Wobec tego Iza postanowiła nie ujawniać swoich kart.

– Ojciec wykląda literaturę słowiańską w Lyonie. Jest także znawcą historii narodów i państw słowiańskich oraz bałkańskich – paplała niewinnie. – Zgodził się jednak, abym studiowała w Paryżu. W ten sposób, mówił, nie będziemy sobie nawzajem wchodzić w drogę.

– Nie widujecie się wobec tego zbyt często? – spytała trochę zmienionym głosem Hortensja.

– To prawda. Ja po studiach pozostałam już w Paryżu – kontynuowała Iza. – Na szczęście nie mamy czasu za sobą płakać. Oboje nie narzekamy na brak zajęć – prawda z dezynwolturą. – Pilnujemy jednak naszych wspólnych, latami przestrzeganych zwyczajów. Na przykład z okazji urodzin taty zawsze odwiedzam go w Lyonie. Idziemy razem do teatru i na kolację. On zaś przyjeżdża do mnie na moje urodziny. Ze względu na to muszę wrócić do Paryża przed dwudziestym kwietnia.

– Urodziłaś się dwudziestego kwietnia? – podchwyciła natychmiast Anna.

Wszystkie trzy wymieniły się spojrzeniami. Jedyne Łukasz, zajęty nalewaniem kolejnej porcji kawy, nie zareagował.

– Tak – odpowiedziała krótko Iza i na chwilę zapadło milczenie, zanim dodała, coraz bardziej desperacko próbując zachować swobodny, niezobowiązujący ton: – Chętnie bym was zaprosiła na ten dzień do siebie, ale w tym roku to już raczej niemożliwe. Jednak innym razem...

– To nigdy nie będzie możliwe – przerwał jej Łukasz i choć starał się mówić pogodnie, to jednak szybko dał sobie spokój z udawaniem. Pozorny spokój zastąpiła zwykła irytacja i gorycz. – Nadal nie rozumiesz, do jakiego kraju przyjechałaś? Czy twój ojciec ci tego nie wytłumaczył, skoro jest takim, jak utrzymujesz, znawcą historii krajów słowiańskich?

– Z ojcem rozmawiamy głównie o dziewiętnastym wieku – wyjąkała stropiona.

– No jasne, to wiele tłumaczy. Pozwól zatem, że ja ci wytłumaczę, jeśli, zajęta odkrywaniem swoich polskich korzeni, nie zdołałaś się zorientować, w jakim kraju jesteś. Tu nie chodzi tylko o brud, zaniedbanie i kolejki pod sklepami, które zapewne miałaś okazję zauważyć. Takie rzeczy zdarzały się nie raz, w czasie

różnych zawirowań i w różnych krajach. U nas jednak, a przy okazji i u innych narodów słowiańskich – warto, byś to wiedziała jako absolwentka slawistyki – jest to wpisane w uwarunkowanie systemowe zwane komunizmem.

– To smutne, ale co to ma wspólnego z moim zaproszeniem?

– Właśnie to próbuję ci wyjaśnić. I zastanawiam się, jak skruszyć ten mur ignorancji ludzi żyjących po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Jak by to ująć... Przyjechałaś, droga siostrzenico, do kraju, gdzie jeszcze dziewięć lat temu z polecenia władz strzelano na ulicach do ludzi domagających się poprawy warunków bytowych, do ludzi, którzy mieli dość wyjaśnień, że wszelkie trudności życia codziennego są przejściowe, bo kraj w dalszym ciągu ponosi skutki wojny. A manifestanci w Poznaniu nie mówili o pluralizmie politycznym i wystąpieniu z Układu Warszawskiego, jak nieopatrznie zrobili to Węgrzy, którym z tego powodu bratnia Armia Czerwona urządziła rzeź w ich własnym kraju.

– Ale przecież tamte lata należą już do przeszłości.

– Łukasz, daj jej spokój – wtrącała z irytacją Anna, bo jej uwagę zdecydowanie bardziej zaprzętała kwestia daty urodzin Izy.

– Tak? Należą do przeszłości? A, chyba rozumiem. Masz na myśli fakt, że towarzysz Stalin przeniósł się do krainy cieni w pięćdziesiątym trzecim roku, a trzy lata potem poszedł w jego ślady towarzysz Bierut. Że podobno po śmierci tak pierwszego, jak drugiego bydlaka skończyły się najgorsze lata terroru. Tak, wiem, wy tam, na Zachodzie, tak myślicie. Zresztą tutaj także niejeden podziela takie poglądy. Dobrze, wobec tego ujmę to inaczej. Przyjechałaś, moja droga, do kraju, gdzie rok temu przypuszczono formalny atak na grupę wykładowców i intelektualistów, odsądzając ich od czci i wiary, i za co? Otóż w grzeczным i kulturalnym liście do premiera uprzejmie prosili o zwiększenie nakładów książek, o przydział większej ilości papieru na owe książki, wreszcie, niesłychanie delikatnie, sugerowali ograniczenie, bynajmniej nie aż zniesienie, cenzury, co sprzyjałoby rozwojowi nauki. Nagonka prasowa, a także odgórne naciski stosowane wobec każdego z tych ludzi z osobna sprawiły, że niemal wszyscy wycofali się z owych niemieszczących się w zwyczajach komunistycznego kraju żądań.

– Dlaczego mi to mówisz? Co to ma wspólnego z moim zaproszeniem?

– No tak, ale jestem durniem. Należało zacząć od podstaw. Kochana kuzyneczko, aby podróżować, potrzeba paszportów i pieniędzy. O ile to drugie wspólnym wysiłkiem można by jakoś zdobyć, choć nie jest to łatwe, o tyle na to pierwsze trzeba sobie u naszych władz zasłużyć. Otóż niniejszym informuję cię, że nasza rodzina nie zaskarbiła sobie szczególnej sympatii w oczach miłościwie nam panującej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wręcz przeciwnie – mamy na koncie kilka poważnych z ich punktu widzenia wpadek. Od dziewięciu lat nikt nas nie niepokoi, ale pod warunkiem, że nie będziemy specjalnie kozaczyć. Gdybyś

nieopatrznie powtórzyła w niewłaściwym towarzystwie moje słowa, nasz spokój pękłby jak bańka mydlana.

– Zatem sporo ryzykowałeś, wygłaszając tę tyradę – rzekła Iza z sarkazmem.

– Powiem więcej. Początkowo ci nie ufałem, one obie zresztą także. Podobnie moja żona i syn. Podejrzewaliśmy, że za twoim niespodziewanym pojawieniem się w naszym życiu może stać prowokacja Służby Bezpieczeństwa. Czy chociaż wiesz, jaki to rodzaj służby?

– Na miłość boską, zamknij się wreszcie! – krzyknęła Anna. – Albo lepiej: zacznij się leczyć!

– Chyba oszalałeś – wyjąkała zszokowana Iza.

Spojrzał na nią, machnął ręką, ale wreszcie usiadł.

– Chciałem tylko, abyś poznała prawdę o realiach, w jakich żyje rodzina twojej matki. Dzielilibyś je z nami, gdyby Joanna nie opuściła nas przed wielu laty.

Słowa „zanim się urodziłaś” wisiały w powietrzu, jednak nie padły.

– Dość tego – odezwała się stanowczo Hortensja. – Ani słowa o tym.

– Muszę wracać do domu. – Łukasz ponownie podniósł się z miejsca i skierował do przedpokoju. – Najwyższy czas na mnie. Mam dzisiaj nocny dyżur, muszę przedtem trochę odpocząć.

– Nie przypuszczałam, że on tak mnie nie znosi – szepnęła Iza, gdy za Łukaszem zamknęły się drzwi.

– Zapewniam cię, że to nie tak – odparła gniewnie Anna. – On sam nie wie, o co mu chodzi. Mam z nim scysję średnio co trzy spotkania. Mentalnie zatrzymał się w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych i ani rusz do przodu.

– Jesteś niesprawiedliwa, Aniu – wtrąciła się bez cienia jakiegokolwiek emocji w głosie Hortensja. Patrzyła w okno ponad głowami dwóch pozostałych kobiet.

– A ty go zawsze broniłaś – zaperzyła się Anna.

– Dość o tym – ucięła Hortensja, tak samo stanowczo jak przed paroma minutami wyraziła takie żądanie względem syna. – Wobec gościa nie wypada w taki sposób...

– Iza nie jest gościem. Należy do naszej rodziny! Dlaczego ma nie wiedzieć, jakie panują między nami zwyczaje?!

Hortensja tego nie skomentowała, ale Iza nie miała cienia wątpliwości, jaki jest pogląd babki zarówno na jej przynależność do rodziny, jak i na zachowanie Anny tudzież wspomniane przez córkę „rodzinne zwyczaje”.

Przedłużanie wizyty w tych okolicznościach nie miało już większego sensu, niemniej babka zdążyła przed chwilą po raz trzeci napęłnić ich filiżanki, a zatem należało podjąć rozmowę na jakikolwiek, w miarę neutralny temat. Tyle że Iza nie miała na takowy pomysł. Zresztą nie odbyła tej podróży po to, aby prowadzić rozmowy o wszystkim i o niczym. Kto wie, czy jeszcze w ogóle się spotkają. Parę

minut temu zakładała, że tak będzie. Teraz nie była już tego pewna. Należało zatem wykorzystać sposobność, że wciąż jeszcze przebywała w mieszkaniu babki.

„Ale przecież nie mogę ni z tego, ni z owego spytać, czy ona wie, kto jest moim prawdziwym ojcem. Z pewnością by mi nie odpowiedziała. Za to tym razem ja usłyszałabym, że dość o tym. Raczej jednak nie pokazałaby mi drzwi”.

– Naprawdę uważaliście mnie na początku za pracownika służb specjalnych?
– spytała, uzmysławiając sobie, że w jej ustach zabrzmiało to absurdalnie, niemal groteskowo. Prawie się roześmiała.

– Gdybyś wiedziała... – zaczęła Anna, ale przerwała, zatrzymana ostrzegawczym spojrzeniem matki.

Iza zauważyła jednak tę wymianę spojrzeń i krew w niej zawrzała.

– Jak to gdybym wiedziała? Przecież wiem, przez co przeszliście. Powiedziałaś mi o tym zarówno ty, jak i twój brat. Na razie jednak nie znalazłam w tych opowieściach niczego, co pozwalałoby wam podejrzewać mnie o próbę zaskodzenia wam.

– Nie w tym rzecz. Nie musiałaś tego robić świadomie. Powinnaś zrozumieć, że oni potrafią, zawsze potrafili, po mistrzowsku posługiwać się rodziną czy też przyjaciółmi, by komuś zaszkodzić, znaleźć obciążające dowody.

– Ale dlaczego w dalszym ciągu miałiby wam szkodzić?

– Teraz i ja to wykluczam, ale mój brat nie potrafi zapomnieć, że kilkanaście lat temu...

– To już bez znaczenia. – Głos Hortensji Zawilskiej był teraz ostry jak brzytwa. – Czy nie możemy wreszcie porzucić tego tematu?! Jeśli nie mamy o czym mówić, to może lepiej byłoby zakończyć to spotkanie.

„Oj, coś cię zabolalo, babciu. Chyba straciłaś zimną krew. Wreszcie zacznasz być sobą. Zacznasz być kobietą ze wspomnień mojej matki”. Iza czuła, że robi jej się gorąco, ale podjęła już decyzję.

– Wobec tego porozmawiajmy o Joannie – odezwała się głośno.

– No, nareszcie – odparła lodowato babka. – Bo już zaczynałam podejrzewać, że ta kwestia nie wystąpi na forum.

– Innymi słowy, że ten trup nie wyjdzie z szafy. – Mówiąc to, Anna zwróciła się do Izy, jakby udzielała jej objaśnienia bądź tłumaczyła z obcego języka.

– Najpierw jednak ja o coś zapytam – kontynuowała Hortensja, starając się ignorować uwagę córki. – To teraz taka moda, że do rodziców młodzież zwraca się po imieniu? – pytanie było skierowane do wnuczki.

– Łatwiej mi tak o niej mówić – odparła sztywno Iza.

– Do niej też tak mówiłaś?

– Czy to takie ważne? – odcięła się w imieniu siostrzenicy Anna.

– Niewiele miałam okazji, aby do niej mówić – wtrąciła jednak Iza. – Poznałam ją, gdy miałam osiem lat. Umarła rok później. Teraz częściej niż wtedy

nazywam ją matką, choć nadal łatwiej mi używać jej imienia.

Spodziewała się, miała przynajmniej taką nadzieję, że jej wyznanie w jakiś sposób wstrząśnie babką, w każdym razie skłoni ją do pytań. Tak się jednak nie stało. Zawilska wyniośle milczała.

– Nie zapyta mnie pani o nic więcej?

– Nie przychodzą mi do głowy żadne pytania – odparła oschle Zawilska.

– A może Anna powiedziała już pani, dlaczego poznałam Joannę dopiero wtedy, gdy skończyłam osiem lat?

W odpowiedzi Hortensja wzruszyła nieznacznie ramionami, wobec tego Iza przeniosła wzrok na Annę. Tamta jednak zaprzeczyła ruchem głowy.

– Rozumiem, nie obchodzi to panią.

– Takie było życzenie twojej matki. Zrywając z nami wszelkie kontakty, dała mi jasno do zrozumienia, abym już nigdy nie starała się interesować jej życiem.

Iza nabrała powietrza.

– Wyjechała z powodu mojego ojca, tak?

Rzuciwszy wreszcie tę bombę, wbiła wzrok w pobladłą twarz babki.

– Przecież związała się z nim dopiero we Francji, o ile dobrze zrozumiałam – odparła tamta sztywno. – Zresztą do tej pory sama go mogłaś o to zapytać.

– Zrobię to, jak tylko się z nim spotkam. – Iza podniosła się z miejsca.

Z satysfakcją zauważyła coraz większy niepokój w oczach Zawilskiej, a zarazem coraz większe zainteresowanie w spojrzeniu Anny.

– Rzeczywiście. Szkoda, że nie poznałam reszty rodziny...

– Tak jak mówiłam, synowa i wnuk nie mogli być dzisiaj obecni.

– Szkoda, że po raz kolejny zapomniałaś wspomnieć o zięciu – dorzuciła złośliwie Anna.

– Ja miałam na myśli pani drugą synową i wnuka – dorzuciła Iza i od razu zorientowała się, że sztylet wbity w gardło mniej by ugodził babkę niż te słowa.

Jej twarz nie mogła zbieleć jeszcze bardziej.

– Z tego, co słyszałam, traktowała pani zmarłego tragicznie pasierba jak rodzzonego syna – dodała Iza niewinnie, jakby udzielała koniecznego wyjaśnienia. – Dlatego pozwoliłam sobie nazwać jego żonę pani synową, a jego syna – wnukiem. Tak czy owak, żałuję, że ich także nie miałam okazji poznać.

– Od wielu lat nie utrzymujemy ze sobą kontaktów.

Iza przeraziła się, usłyszawszy tym razem bardzo zmieniony głos babki. Tak jakby zamiast niej odpowiedział kto inny. Tak jakby ten głos... odezwał się zza grobu.

– Nie mieszkają w Warszawie? – spytała tknięta jakimś przecuciem.

– Nie.

Iza już tego nie skomentowała. Pożegnała się z Anną i po chwili wahania wyciągnęła rękę do babki.

– Nie warto ich szukać. W niczym ci nie pomogą – poinformowała Hortensja, ale wyglądało na to, że słowa te nie przeszły jej łatwo przez gardło. Nie była do końca pewna, czy je wypowiedzieć.

– Nie zamierzałam tego robić – odparła Iza, czując, że w tym momencie w jej głowie zapaliło się zielone światełko.

Jeszcze przed chwilą tak właśnie myślała. Nie zamierzała szukać rodziny zamordowanego Maćka Boguszewskiego. Jeszcze kilka minut temu ci ludzie nie odgrywali w jej poszukiwaniach żadnej roli. Wystarczyła jednak krótka wymiana zdań na ich temat i wreszcie to zagadkowe ostrzeżenie Zawilskiej, by zmieniła zamiar. Tylko... gdzie ich szukać? Ze słów Hortensji wynikało, że ona sama tego nie wie. Nie, właściwie nie wynikało to tak jednoznacznie, niemniej pytanie jej o miejsce zamieszkania żony i syna Maćka miało się z celem. Zawilska z niezrozumiałych dla Izy powodów nie chciała o tym mówić. Podobnie jak nie chciała wspominać zmarłej córki.

– Przykro mi, że nasze pierwsze spotkanie wypadło... nie najlepiej – rzekła jeszcze na pożegnanie Zawilska, tonem już znacznie łagodniejszym. – Chciałam cię zobaczyć, ale... to jednak nadal takie trudne... Nie zabierzesz zbyt wielu dobrych wspomnień z pierwszej wizyty w naszym kraju.

„Teraz jest dokładnie taka jak we wspomnieniach Joanny. Nie zmienia to jednak faktu, że z pewnością odczuwa ulgę, że ma już za sobą moją wizytę. Pewnie przed laty, gdy odeszła Joanna, było tak samo”.

Iza stała już przy drzwiach, ale słysząc słowa babki, a przy okazji swoje własne myśli, odwróciła się jeszcze po raz ostatni w jej kierunku.

– Nigdy nie mówiłam, że to moja pierwsza wizyta w Polsce – odparła. – Byłam tu półtora roku temu, w ramach krótkiego stażu po studiach. Wtedy widziałam was po raz pierwszy w życiu. To było na cmentarzu Powązkowskim. Zaprowadził mnie tam pan Podhorecki i on mi was pokazał. Zdecydowałam wtedy, że dam wam spokój, że nie podejść – wyjaśniła i unikając zdumionego, ale i rozżalonego wzroku Anny, dodała: – Może i tym razem należało postąpić tak samo.

ROZDZIAŁ 14

Wyszła, a Hortensja i Anna stały nadal osłupiałe w przedpokoju.

– Mamo... – zaczęła wreszcie Anna niepewnie.

– Nie, nie będę tego komentować. – Hortensja podniosła na moment ręce, jakby chciała odepchnąć od siebie niewidzialnego przeciwnika. – Ta dziewczyna wróci tam, gdzie jej miejsce, a my będziemy pilnować własnego.

– Mamo... – Anna zdecydowanym ruchem położyła jej dłoń na ramieniu. – Czy wiedziałaś, że Joanna nawiązała z kimś bliskie relacje, zanim wyjechała na stałe za granicę?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła oschle matka, odsuwając się gwałtownie, zbyt gwałtownie, by nie potwierdzić przypuszczeń córki.

– Wiesz, kto to był? – Anna, niezrażona, ruszyła w ślad za nią do kuchni.

– Niby skąd? – Gniewnie brzmiący głos matki zagłuszał odgłosy wyjmowania z szafki garnków. – Twoja siostra nie zwierzała mi się z niczego, a dopóki żył jej ojciec, na ogół traktowała mnie jak powietrze. Potem, gdy związałam się na stałe z twoim ojcem, uznała mnie za śmiertelnego wroga.

– I nadal nie ma to dla ciebie znaczenia, że skoro urodziła dziecko w kwietniu trzydziestego ósmego roku, to musiała być już w ciąży, gdy stąd wyjeżdżała?

– Jakie to teraz może mieć znaczenie?! A wtedy o niczym nie wiedziałam! – krzyknęła wreszcie desperacko Hortensja. – Tłumaczę ci przecież, że z niczego mi się nie zwierzała, a wrózką przecież nie byłam i nie jestem.

– Nie, ale byłaś przecież jej matką.

Hortensja znieruchomiała, trzymając w dłoni garnek. Przez chwilę mierzyły się spojrzeniami.

– Ja także muszę już iść. – Ciężkie milczenie przerwała w końcu Anna. – Za godzinę Kasia wróci ze szkoły, pora odebrać Krzysia z przedszkola. Do widzenia... mamo.

*

Gdy odgłos zamykanych drzwi upewnił ją, że została sama w domu, odstawiła garnek na kuchnię i opadła ciężko na taboret. Garnki, obiady – uśmiechnęła się gorzko. W wieku Anny przypaliłaby nawet wodę. Prowadzenia gospodarstwa zaczęła się uczyć dopiero w czasie wojny, by potem doprowadzić swoją wiedzę w tym zakresie do perfekcji.

Teraz jednak, kiedy z twarzą ukrytą w dłoniach zanosila się płaczem, nie robiła tego z tęsknoty za tamtymi dniami, gdy została wreszcie żoną Michała Zawilskiego, ani z żalu, że potem to szczęście rozsypało się jak domek z kart. Na politykę i historię nie mieli przecież wpływu, podobnie jak miliony ludzi, którym

zawalił się wtedy świat. Płakała za tym, co zniszczyła własnymi rękami, za decyzjami, które należały tylko do niej... albo na które mogła mieć wpływ.

*

– Dzięki Bogu znowu się widzimy. – Podhorecki podszedł do Izy i z uszanowaniem ucałował wyciągniętą na powitanie dłoń.

Iza natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Podhorecki był starym człowiekiem, który bodaj jako jedyny w tym kraju od samego początku powitał ją nie tylko bez najmniejszych zastrzeżeń, ale wręcz ze szczerą radością. Gdy ponad półtora roku temu napisała do niego, nie będąc pewną, czy odnaleziony w notatkach matki adres dawnego ordynansa dziadka jest nadal aktualny, przepełniały ją wątpliwości, czy w ogóle warto nawiązywać ten kontakt. Namówił ją do tego Maurice, twierdząc, że jeśli już chodzi jej po głowie podróż do Polski i chęć poznania rodziny Joanny – co nie bardzo mu się podobało, ale na ogół niczego jej nie zabraniał – to powinna zacząć od człowieka o nazwisku Podhorecki.

Joanna zawsze dobrze go wspominała, prawie tak dobrze jak własnego ojca. I rzeczywiście – słowa matki, poparte przypuszczeniami przybranego ojca, okazały się prawdą. Przez kilka listopadowych dni sześćdziesiątego trzeciego roku Podhorecki był jej niestrudzonym przewodnikiem, który dodatkowo jeszcze uzupełniał jej wiedzę na temat rodziny. A potem wróciła do Francji i tylko raz napisała do niego list z podziękowaniami. Po półtora roku ponownie przyjechała do Polski, ale nawet do głowy jej nie przyszło, by skontaktować się ze starym. Dopiero podczas wizyty u babki pomyślała o tym w kontekście dziwnej, niepokojącej wymiany zdań na temat Maćka Boguszewskiego i jego rodziny. Dopiero wtedy stwierdziła, że właśnie ten człowiek mógłby mieć jakąś wiedzę o żonie i synu zamordowanego młodego Boguszewskiego.

– Niestety, już jutro wyjeżdżam – odpowiedziała zmieszana na jego serdeczne powitanie.

Jednak stary nie wydawał się obrażony faktem, że „panienka” przypomniawszy sobie o nim niemal w ostatniej chwili przed powrotem do domu. Najwidoczniej uznał, że wnuczka kapitana, w dodatku ze strony jego ukochanej córki, miała powody, by postąpić tak, a nie inaczej, poza tym to przecież jej sprawa.

– Czy tym razem widziała się pani z babką? – spytał.

Skinęła głową.

– Tak. Z jej dziećmi również.

Widziała, że stary był ciekaw jej wrażeń, ale – widać wierny swoim zasadom – nie zadawał żadnych pytań.

Postanowiła wyjść mu naprzeciw. Także czuła potrzebę, by podzielić się swoimi refleksjami z kimś życzliwym, kto w dodatku był kopalnią wiedzy o Bolesławicach i ich właścicielach.

– Anna jest bardzo miła, naprawdę – dodała, widząc, że Podhorecki lekko się skrzywił.

– Trudno mi to ocenić. Była jeszcze dzieckiem, gdy musieli opuścić majątek – odpowiedział w sposób możliwie wyważony.

– Wiem, że nie lubił pan jej ojca...

– Nic do niego nie miałem – padła zaskakująca odpowiedź. – W przeciwieństwie do Boguszewskiej nie miał żadnych zobowiązań wobec pamięci zmarłego. Trafiła mu się chętna kobieta, to ją sobie wziął. Potem za wszystko odpokutował.

– A więc lubił go pan? – Zainteresowanie Izy wzrosło.

Wzruszył ramionami i spojrzał zamyślony w niebo.

– Nie od razu... Ale potem... Tak jak mówiłem: nic do niego nie miałem. Był miły i grzeczny dla służby. I w przeciwieństwie do żony kochał Bolesławice.

– Anna także dobrze go wspomina. – Iza uśmiechnęła się, bo słowa starego zrobiły na niej dobre wrażenie.

– Nic dziwnego. Była jego królową. Sam słyszałem, jak tak do niej mówił. Kochał to dziecko jak, nie przymierzając, pan kapitan swoją córkę. Matka była zazdrosna o obie dziewczynki, każdy to widział.

Hortensja była zazdrosna o obie córki? To było coś nowego. Iza znowu poczuła, że serce zaczyna bić jej coraz szybciej, jak za każdym razem, gdy miała wrażenie, że natrafiła na coś, co zbliża ją do odkrycia jakiegoś sekretu.

– Dlaczego miałaby być zazdrosna? – spytała.

– Może nie powinienem... – Podhorecki wyraźnie się zmieszał. – Jak by nie patrzeć, to panienki babka. To panienki bliscy.

– Poza Anną nie czuję tej bliskości. Wuj Łukasz dziwnie się zachowuje, a babka... Ona nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Wcale nie miała zamiaru się skarżyć, niemniej odniosła wrażenie, że zabrzmiało to dość żałośnie.

W każdym razie jej słowa najwyraźniej poruszyły dawnego ordynansa jej dziadka, i to na tyle mocno, że porzucił wszelkie skrupuły co do dyskrecji.

– Tak, to do niej podobne. Mówiłem już kiedyś panience: to kobieta, która przeważnie myślała tylko o sobie. Za młodu niewiele było z niej pożytku. Nie potrafiła się niczym pożytecznym zająć. Pan kapitan też kiedyś powiedział, że popełnił wielki błąd, żeniąc się po raz drugi, i tylko córka jest jego pociechą. Nie mnie to mówił – dodał pospiesznie, jakby się tłumaczył z jakiejś winy – tylko w mojej obecności. Mówił tak do przyjaciela, do pana pułkownika Jaworskiego, świeć, Panie, nad jego duszą, zginął we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Boguszevska znieść nie mogła, że pan kapitan dużo lepiej dogadywał się z własną córką niż z nią. Mądra była dziewczynka z pani mamusi.

– A dlaczego babka była zazdrosna o Anię? – spytała niecierpliwie Iza.

Relacje panujące między jej dziadkami a matką były jej z grubsza znane, choć tu i ówdzie istniały pewne luki i wciąż nie wszystko było dla niej jasne. Bardziej jednak intrygowała ją sprawa rzekomej zazdrości babki o drugiego męża. Coś tu się nie zgadzało. – Przecież małżeństwo z Zawilskim było dla babki szczęśliwe – dodała.

– Tak się wydawało na początku. – Podhorecki mówił z nieskrywaną satysfakcją. – Ale potem, jakoś tak po wyjeździe panienci Joanny, wszystko, jak to mówią, zaczęło się sypać. Nie od razu, co to to nie. A jednak nie było już widać tych iskier między nimi jak pierwej. Niby nie powinno to dziwić, bo przecież wiadomo, że już po paru latach człowiek nie ćwierka do żony jak na początku, ale coś było nie tak. A pan Zawilski częściej jak z żoną wołał przebywać z córeczką. Zawilska się tym gryzła, było to widać, a czasem i... słysząc.

Podhoreckiego nagle jakby opuściły siły i usiadł na najbliższej ławce. Iza zaproponowała, by usiedli w jakimś lokalu i napili się czegoś dobrego i mocnego, ale machnął z pogardą ręką.

– Sam bym panienkę zaprosił, żeby było gdzie i na co, ale te dzisiejsze lokale to obraza boska. Wstyd przyzwoitą kobietę tam zapraszać. Pełno lumpów, ludzie teraz niewychowani, prostactwo takie. Przeklinają, bluźnią, pełno dymu, porozmawiać nie ma jak. Poszedł raz szwagier do knajpy, to mu płaszcz ukradli z szatni. A potem jeszcze usłyszał, że sam sobie jest winien! Nikt inny! Szatniarz to się jeszcze stawiał do szwagra. Nie takie porządki były przed wojną, o nie! Nawet za okupacji porządek w lokalach był większy, bo wiadomo, jak coś ma prywatnego właściciela, to od razu taki dba o klienta. A teraz? – Znowu machnął ręką w geście najwyższej pogardy.

Iza usiadła obok niego, cierpliwie czekając, aż staruszek wyrzuci z siebie żale i wróci do tego, o czym mówił wcześniej. Nie chciała go ponaglać. Przyszło jej do głowy, że w podobny sposób wyrażał swoją dezaprobatę wobec nowych porządków Łukasz Boguszewski. Wkrótce zresztą stary potrząsnął głową, jakby w poczuciu, że jego skargi i tak już niczego nie zmieniają, westchnął i podjął przerwany wątek.

– Potem, jak wybuchła wojna i pan Zawilski poszedł na front, Zawilska najpierw wpadła w rozpacz, ale później otrząsnęła się i wzięła w karby siebie i wszystkich, co zostali w Bolesławicach. To było u niej coś nowego. Takiej jej nie znaliśmy. Może też miała nadzieję, że wojna jakimś cudem zniszczy chłód, jaki zapanował w jej drugim małżeństwie. Moja Jadźka tak mi kiedyś powiedziała. Najpierw prychnąłem, że tylko kobiety mogą wymyślać podobne brednie, ale potem przyszło mi do głowy, że kto wie... Może to i prawda. Wojna niszczy wiele, ale potrafi też to i owo czasem naprawić. No, ale nie tym razem. Pan Zawilski wrócił, jeśli dobrze pamiętam, w czterdziestym siódmym, może ósmym... nie, raczej w siódmym. Już wtedy nie mieli majątku, pan ich w Warszawie znalazł. I od

razu widziałem, że on do tej małej bardziej wrócił jak do żony. Do żony to chyba jakiś żal miał, ale nie jestem tego pewien, bo niby o co? Potem go zamknęli, jak wielu innych, co wrócili z zagranicy, a jak wyszedł po kilku latach, to ja od razu do mojej powiedziałem: on już długo nie pociągnie. Nic nie chciał mówić o tym, co mu w śledztwie zrobili. Prawie się nie odzywał, a jak go kto odwiedzał, to siedział i tylko patrzył przed siebie. Tylko ze mną czasem parę słów zamienił, ale trudno go było zrozumieć. Coś mu na sercu leżało, ale o tym mówić nie chciał. Tylko na widok panny Anny oczy mu się po dawnemu śmiały. Żony wcale nie zauważał.

– I pan to widział na własne oczy?

– Ano tak... Jak nas z Bolesławic komuchy przepędzili, to poszedłem z moimi do Pułtuska. Siostrę tam miałem i pół starego domu, po rodzicach. Ale kiedyś pani babka do mnie przyjechała i poprosiła, abym czasem odwiedził jej męża. „On was zawsze lubił. Może rozweselicie go rozmową” – to jej słowa. Od lat ich już wtedy nie widziałem, ale nie wahałem się ani chwili. I tak kilka miesięcy później się stąd zabrał.

Obok przeszła grupa roześmianej młodzieży. Iza i Podhorecki odprowadzili ją wzrokiem.

– Nie wszystkim jest źle w tym kraju – zażartowała Iza.

Podhorecki skwitował jej słowa wzruszeniem ramion.

– Jedni się przyzwyczaili, innym już wszystko jedno. Ci młodzi nawet nie pamiętają, jak było przedtem, a w szkole nie uczą ich prawdy. Nie znają innego życia.

Iza zebrała się na odwagę i dotknąwszy jego dłoni, zaryzykowała, by powtórzyć mu słowa, które kiedyś usłyszała od kogoś w domu Maurice'a. To było niedługo potem, jak tam zamieszkała.

– A może wielu ludziom poprawił się byt, uzyskali możliwość awansu społecznego... Może ta przedwojenna Polska nie dla wszystkich była taka łaskawa?

Podhorecki drgnął i spojrzał na nią tak, jakby zobaczył ducha.

– W imię Ojca i Syna... Powiedziała pani to samo, co pan Maciek, gdy wrócił po wojnie do kraju. Dokładnie, słowo w słowo tak właśnie powiedział...

Maciek... Iza zadrżała pod wpływem nagłego uczucia chłodu. Tak jest, ona także usłyszała te słowa od Maćka Boguszewskiego. To on był tamtym człowiekiem, który rozmawiał przed laty z Maurice'em.

A teraz jakby przypomniał o sobie... Jakby kazał jej mówić w swoim imieniu.

– Tak, on właśnie wierzył w tę nową Polskę – wybuchnął stary z goryczą. – Zawsze był taki... postępowy. Jeszcze jak żył jego ojciec, to się nieraz ścięli o te sprawy. Jednego razu to aż pan kapitan krzyczał, że lewicowych poglądów w tym domu nie zniesie. A młody pan mu odpowiedział, że to bez znaczenia. „Nie musisz

niczego znosić, bo ja się stąd wynoszę. Nie chcę tego majątku. Nie jestem panem feudalnym”. Tak mówił. Sam to słyszałem, bo wtenczas, jak się pokłócili, to byłem z nimi w stajni. Nie rozumieli się obaj i nic się nie dało na to poradzić. Może gdyby pan kapitan tak go nie zaniedbał po stracie nieboszczki, pierwszej żony, no ale... A przecież byli tacy podobni do siebie. I obaj kochali ten kraj. Młody pan historię studiował i zawsze tak ładnie dzieciakom we dworze i we wsi o powstaniach opowiadał. Taki ideowy był...

– Więc dlaczego go zabili, gdy wrócił z Francji?

– Bo, po pierwsze, wrócił z Francji i od razu był podejrzany. Po drugie, był ideowy i, można powiedzieć, postępowy, ale inaczej niż ta czerwona hołota, co się tu do władzy wtenczas dobrała. A bo to pani myśli, że tylko prawicę wtedy zamykali? Lewicowcy też siedzieli, a nawet co niektórzy komuniści. A pan Maciek taki był, że jak się z czymś nie zgadzał, to od razu prosto z mostu mówił. Nie dotarło na czas do niego, że wrócił do Polski wtedy, gdy mądrzej było milczeć. Myślał, że co najwyżej się z tym czy owym zetnie, jak kiedyś, gdy skakał ojcu do oczu. Tyle że ze strony pana kapitana żadna krzywda go za to nie spotkała. Tak, wrócił do kraju w najgorszą porę. Wtedy, jak się kto nie zgadzał z władzą i nie chciał siedzieć cicho, to szedł do lasu walczyć, a nie po zebraniach i lokalach dyskutować. Ale pan Maciek wcale nie chciał obalać władzy i ustroju, chciał tylko rozmawiać o tym, co mu się nie podobało. No to go zamknęli.

– I za to został skatowany na śmierć w trakcie śledztwa? – spytała podejrzliwie Iza. Gdy Maurice opowiedział jej o śmierci wuja, który odnalazł ją w sierocińcu, zawsze wierzyła, że musiał być jakimś wielkim bohaterem, który walczył z bronią w ręku, ale został ujęty przez wroga, a ponieważ milczał podczas śledztwa, przypłacił to życiem.

Wersja przedstawiona przez Podhoreckiego wydała jej się mało prawdopodobna. Wynikało z niej, że wuj był raczej nieszkodliwym ideowcem, romantykiem, który nie potrafił i nie chciał przystosować się do schematów i praw dyktowanych przez innych. Mogła się zgodzić z tym, że niekiedy tacy ludzie bywają uciążliwi dla władzy politycznej, dla takiego czy innego reżimu – Maurice jej to kiedyś wyjaśnił – ale przecież nie kończy się to śmiercią, w każdym razie nie tak okrutną śmiercią, a co najwyżej kilkuletnim uwięzieniem.

– Może by się tak nie stało – wyszeptał Podhorecki – gdyby jego brat zachował się, jak należy...

– Wuj Łukasz? – Znowu poczuła znajome kołatanie serca, choć tym razem towarzyszył mu ból.

– Zresztą, co ja tam mogę wiedzieć. – Podhorecki nagle stracił ochotę do wspomnień. – Lepiej niech panienka nie słucha gadania starego dziada. Głowa już nie ta... No, dość już o tym – zakończył, nieświadomie używając identycznego powiedzenia Zawilskiej. – Czas już na mnie. Za pół godziny mam autobus do

Pułuska.

– Jeszcze tylko jedno! – Iza poderwała się z ławki w ślad za nim. – Naprawdę, to już ostatnie pytanie...

Na twarzy Podhoreckiego pojawiło się wyraźne niezadowolenie, bodaj pierwszy raz, odkąd go poznała. Bez wątpienia żałował wcześniejszej szczeroci. Izie natychmiast przypomniały się słowa Łukasza, że gdyby nawet nieświadomie, ale za to w nieodpowiednim towarzystwie powtórzyła jego krytyczne pod adresem władz słowa, skończyłoby się to dla niego i reszty rodziny poważnymi konsekwencjami.

– Niech się pan nie obawia – rzekła wobec tego do Podhoreckiego. – Nikomu nic nie powiem.

– Ja miałbym się bać? – Twarz starego człowieka wyrażała szczere oburzenie. – W trzech wojnach brałem udział, byle co mnie nie przestraszy. Za stary na to jestem, żebym się bał mówić. Co mi teraz zrobią?! O co chce pani jeszcze zapytać? – dodał, już bardziej ugodowo.

– Czy pan wie, co się stało z żoną Maćka i z jego synem? Podobno zerwali kontakty z moją babką, a może nigdy ich nie mieli.

– Nic dziwnego – mruknął.

– Gdzie oni mieszkają?

– Niech ich panienska zostawi w spokoju – zabrzmiało to jak prośba.

– Dobrze – westchnęła, czując, że tym razem opuściły ją wszystkie siły. – W każdym razie dziękuję panu za wszystko, poświęcił mi pan tyle cennego czasu.

– Tego mam akurat dużo, zwłaszcza dla córki panienska Joanny.

Skinęła mu głową, patrząc, jak się odwraca i odchodzi. Ruszyła w przeciwną stronę, ale ledwie uszła parę kroków, usłyszała głos starego:

– W pięćdziesiątym piątym, jak tylko było to możliwe, wróciła z dzieckiem do Francji.

– Do Francji? – Iza stanęła jak wryta.

Tego się nie spodziewała.

– No tak. Przecież żona pana Maćka była Francuzką.

ROZDZIAŁ 15

Rok 1942

Nie od razu zwróciłam na niego uwagę. Powiedział mi później, że pamiętał mnie jeszcze z uczelni, zanim wybuchła wojna, że od razu mu się spodobałam, ale zabrakło mu odwagi, by do mnie podejść i zagadać.

– Byłaś taka zamknięta w sobie – wyznał. – Zatopiona we własnym świecie, do którego nikt oprócz ciebie nie miał dostępu. Nie odwzajemniałaś niczych spojrzeń, zawsze patrzyłaś tylko prosto przed siebie albo pod nogi. Żaden z nas dla ciebie nie istniał, choć ty pojawiałaś się często w tematach rozmów moich kolegów. Cała ta sytuacja była dla mnie nieznośna – zarówno te, wierz mi, naprawdę pikantne komentarze na twój temat, jak i twoja całkowita wobec tego faktu obojętność. Czuję się zupełnie bezradny. Nie mogłem nakazać moim kumplom, aby się zamknęli, bo tym samym odstłoniłbym przed nimi własne zainteresowanie tobą, a wówczas nie mieliby dla mnie litości. W ich przekonaniu byłem całkowitą ofermą w tych sprawach, co zresztą niezupełnie mijало się z prawdą. Ich niewątpliwe kpiny i docinki odebrałyby mi tę resztkę pewności siebie, jaką jeszcze zachowałem. A ich komentarze pod adresem twojej osoby stałyby się jeszcze śmielsze, może nawet wulgarne – i to nie dlatego, że stwarzałaś ku temu jakiegokolwiek powody. Wręcz przeciwnie – doprowadzała ich do białej gorączki twoja obojętność wobec każdego z nich. A niektórzy cieszyli się sporym powodzeniem wśród kobiet i dziewcząt, tyle że ciebie w tym gronie brakowało.

Wyznał mi to po latach, gdy wreszcie mieliśmy okazję bliżej się poznać. Przedtem jednak wybuchła wojna. Kiedy w maju czterdziestego roku Niemcy uderzyli na Francję, a genialny manewr Guderiana przeciął ten kraj bez mała na pół i spowodował nieopisany wręcz chaos w armii i panikę wśród cywilów, wszystkie sprawy dnia codziennego, wszelkie międzyludzkie mniejsze lub większe nieporozumienia, intrygi, flirty i zawiści spadły do rangi błahostki. Liczyło się tylko to, aby przetrwać. Rozpaczano nad rozpadem świata, który miał swoje wady i czasami, w przeszłości, nieraz obrzydł temu czy owemu, ale teraz stawał się czymś niesłychanie cennym, bliskim, znanym niczym raj utracony.

Obserwując to wszystko, odnosiłam wrażenie, że w gronie ludzi, których poznałam podczas mojego kilkuletniego pobytu w Paryżu, tylko ja zachowałam spokój... i Bouvierowie – gospodarze domu, w którym wynajmowałam pokój. Ani oni, ani ja nigdy nie braliśmy pod uwagę ewakuacji z Paryża, bo i dokąd?

– Przecież Niemcy odetną wkrótce wszystkie drogi ucieczki – powiedział Pierre Bouvier. – Zbombardują drogi, tak jak zrobili to z drogami w Polsce kilka miesięcy temu. Żelastwo, które zostanie po stłoczonych na jezdniach francuskich

osobówkach, dodatkowo utrudni przemieszczanie francuskiej armii. Jakby i bez tego nasi żołnierze nie mieli dość kłopotów. Ludzie, którzy wierzą, że zdołają uciec na południe, a może i do Hiszpanii, skazują siebie na piekło ogniste, zanim jeszcze zginą. Zostajemy w Paryżu, jeśli mamy umrzeć, to przynajmniej we własnym domu. Tobie, Jeanne, radzę zrobić to samo.

W odpowiedzi tylko wzruszyłam ramionami. Nie bałam się o siebie. Nie o siebie wtedy myślałam. Chyba musiałam to powiedzieć na głos, bo Pierre położył dłoń na moim ramieniu.

– Wiem – odparł tonem, w którym brzmiało zarówno współczucie, jak i próba pociechy. – Oboje z Antoinette martwimy się o Philipa. Ty także masz kogoś na froncie?

Philip był ich jedynym synem. Oboje bardzo przeżywali fakt, że został zmobilizowany.

– Wiem, czym jest wojna – kontynuował Pierre. – Podczas tej poprzedniej przez dwa i pół roku gnilem w okopach we Flandrii. Zaliczyłem też walki pod Amiens. Myślałem, że w końcu tam zdechnę. Nawet zaczynałem o tym marzyć. Do dziś uważam za cud, że wróciłem z tamtej wojny w osiemnastym roku. Myślałem, że to już się nie powtórzy. Ale, jak to mówią, natura nie lubi próżni. I teraz mój syn...

Rozumiałam go. Ja także bałam się o dziecko, choć ani Pierre, ani jego żona nie mieli o tym pojęcia. Od czterech lat niemal nie było dnia, żebym o niej nie myślała, o mojej małej dziewczynce, którą przez krótką chwilę pozwolono mi trzymać w ramionach. Która podobno wtedy jeszcze nie mogła mnie zobaczyć, ale doskonale wiedziała, że przy niej byłam – przez te dwie, może trzy minuty. Pamiętałam jej oczęta utkwione w mojej twarzy. I byłam pewna, że zobaczę je w chwili śmierci. Na razie mogłam się tylko modlić, by ludzie, którzy wzięli ją do siebie, kochali ją jak własne dziecko i strzegli przed niebezpieczeństwem. By obronili ją przed wojną. Innych marzeń wówczas nie miałam. O nic innego nie śmiałam prosić Boga.

Na pytanie Pierre'a o to, czy mam kogoś na froncie, odpowiedziałam obojętnie, że tak. Na froncie walczył mój brat.

– Brat? – zdziwił się poczciwy Bouvier. – Nigdy o nim nie wspominałaś. Byliśmy pewni, że jesteś sama na świecie.

– Nie widziałam go od czterech lat – odparłam. – To mój przyrodni brat.

– Wojna wszystko zmienia – rzekł po chwili Pierre. – To, co było wcześniej, już nie ma znaczenia. Jeśli twój brat przeżyje i przyjedzie do ciebie, to... pogódź się z nim.

Zostawiłam jego słowa bez komentarza. Nie miałam ochoty ani siły niczego mu wyjaśniać. Nie byłam poróżniona z Maćkiem. Po prostu cztery lata wcześniej zerwałam z nim kontakty, podobnie jak z Norą i Solange. Wiedziałałam, że wtedy chcieli mi pomóc, ale ja nie mogłam już patrzeć na żadne z nich. Nie potrafiłam im

wybaczyć, przede wszystkim jednak pragnęłam zostać sama. Nie słuchać ich tłumaczeń ani tego, że rozwiązanie, jakie znalazła Nora, było najlepsze dla mnie i dla dziecka. Że powinnam zacząć nowe życie... bez oglądania się wstecz. Posłuchałam ich tylko częściowo. Zaczęłam nowe życie, ale dla całej ich trójki nie było już w nim miejsca. Zapomnieć jednak ani nie chciałam, ani nie potrafiłam. Oni tylko by mi w tym przeszkadzali.

Nora i Solange po kilku rozpaczliwych próbach podtrzymania ze mną kontaktu wreszcie zrezygnowały. Maciek jednak czasem do mnie pisał z różnych stron Francji, choć ani razu mu nie odpisałam. Dlatego wiedziałam, że zaciągnął się do polskiej armii we Francji... tak jak kiedyś nasz ojciec, choć tym razem realia były inne. Od miesięcy w Angers miał swoją siedzibę polski rząd emigracyjny i zdążono powołać polskie wojsko. Jednak nawet to niewiele mnie wtedy obchodziło.

Zgodnie z przewidywaniami francuska armia nie zdołała naprawić błędu zaskoczenia z początku kampanii, Niemcy nie dali jej na to najmniejszych szans. W połowie czerwca skapitulował Paryż, zapanowało też przekonanie, że dalszy opór pozbawiony jest sensu, strat terytorialnych nie da się już nadrobić i najrozsądniejsze, co można jeszcze zrobić, to zakończyć ten koszmar. Nikt nie chciał powtórki z czasów poprzedniej wojny, gdy Francja poniosła bodaj największe straty ze wszystkich zaangażowanych stron. Podobno między innymi takie powody kierowały starym Pétainem, kiedy w drugiej połowie czerwca czterdziestego roku pertraktował warunki kapitulacji. Niezależnie od tego, jakie psy wieszają się teraz na starym generale, notabene zasłużonym bohaterze pierwszej wojny, wtedy, w czterdziestym roku, widziałam na własne oczy, że większość Francuzów odczuła autentyczną ulgę na wiadomość o kapitulacji i koniec końców o całkiem znośnych jej warunkach. Przede wszystkim liczyło się to, że skończył się koszmar bombardowań, panicznych ucieczek, przynębiających wieści z frontu. Życie zdawało się wracać do jako takiej normalności, pomimo okupacji. Wystarczyło nie utrudniać Niemcom życia, a miało się zagwarantowany spokój, choć byli i tacy Francuzi, którzy nie chcieli się z tym pogodzić.

Podczas okupacji pracowałam w jednym ze szpitali jako pomoc biurowa w sekretariacie. Właśnie w szpitalu poznałam Maurice'a, kiedy pewnego dnia, w zastępstwie chorej Emilie, zajmowałam się rejestrowaniem chorych.

– Jeanne? – usłyszałam w pewnym momencie.

Skupiona na tym, aby się nie pomylić – pisanie na maszynie wciąż było dla mnie wyzwaniem – nie od razu skojarzyłam, że pytanie było skierowane do mnie. W gabinecie znajdowały się także inne osoby.

– Jeanne, to naprawdę ty?

Tym razem podniosłam głowę. Naprzeciw mnie, po drugiej stronie biurka, siedział młody, chudy chłopak z burzą rudych, rozwichrzonych włosów na głowie.

Od razu coś mnie w nim ujęło, ale nadal nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Pan mówi do mnie? – spytałam.

– Nie poznajesz mnie. – Jego głos brzmiał tak, jakby dopiero teraz to do niego dotarło.

– Przykro mi...

Nie potrafiłam go z nikim skojarzyć, nie mogłam sobie przypomnieć ani jednej sytuacji związanej z tym człowiekiem.

– Studiowaliśmy przed wojną na jednym wydziale. Przepraszam, wyglądałem się. Masz prawo mnie nie pamiętać. Na miejscu każdego człowieka także nie zapamiętałbym kogoś takiego jak ja.

Od razu poprawił mi się humor.

– Chyba przesadzasz – odezwałam się tonem, który miał mu dodać otuchy. – Co teraz robisz? – spytałam.

– Godzinę temu złamałem rękę – odparł, a ja dopiero wtedy zobaczyłam gips na jego ramieniu, sięgający niemal do nadgarstka.

– O Matko Boska... – wyjąkałam, a potem parsknęłam śmiechem.

Wszyscy obecni w gabinecie spojrzeli na mnie ze zdumieniem. Ja sama nie potrafiłam, i do dziś nie potrafię, wytłumaczyć, dlaczego tak się zachowałam. Cała sytuacja wydawała mi się absurdalna, choć przecież osadzona w jak najbardziej realnej codzienności. Nagle uświadomiłam sobie, że się roześmiałam – po raz pierwszy od kilku lat. Równocześnie jednak zdałam sobie sprawę, że zachowałam się jak idiotka, w sposób urągający wszelkim zasadom.

– Przepraszam, przepraszam cię – powtarzałam, z trudem próbując się uspokoić. – Sama nie wiem, co mnie napadło. To niewybaczalne.

Początkowo patrzył na mnie kompletnie zbity z tropu, ale w pewnym momencie kąciki jego ust drgnęły, a w oczach pojawiło się rozbawienie.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział.

– Jak to się stało? – spytałam, jako tako się uspokoiwszy. Czułam na sobie zarówno karcące spojrzenia pozostałych osób, jak i jego ciepły, życzliwy wzrok.

„Ale jestem głupia” – pomyślałam.

– Wracalem z pracy, zamyśliłem się. Cholera, naprawdę nie zobaczyłem tej ciężarówki. Wyjechała zza zakrętu.

– Nie narzekaj! Mogła cię rozjechać na miazgę.

– Jasne. Nie wiadomo, czy zeskrobaliby mnie z jezdni. W sumie i tak miałem szczęście.

To wcale nie było śmieszne, doskonale o tym wiedziałam, a jednak ponownie parsknęłam śmiechem, choć już tylko raz, i zaraz się uspokoiłam. Być może dlatego, że przy biurku jak spod ziemi wyrósł doktor Jauron.

– Widzę, że dobrze się pani bawi, mademoiselle – zagadnął surowo. Nigdy nie był w stanie wymówić mojego nazwiska. Jednak chyba on także był zdumiony,

widząc mnie w tak dobrym humorze. Przedtem nie miał ku temu żadnej okazji. Jego widok wystraszył mnie nie na żarty. Jeszcze tego brakowało, aby wyrzucili mnie z pracy. Pamiętam, że zaczęłam się nieporadnie tłumaczyć, co, rzecz jasna, nie zabrzmiało przekonująco.

– Panie doktorze, to wszystko dlatego, że ja i mademoiselle już się kiedyś poznaliśmy. Przed wojną studiowaliśmy na jednym wydziale. A tu takie niespodziewane spotkanie. – Siedzący po drugiej stronie biurka rudowłosy chłopak ruszył mi z odsieczką.

Doktor patrzył przez chwilę to na niego, to na mnie, wydmął usta i położył mi przed nosem jakieś dokumenty.

– Później sobie powspominacie dawne czasy – mruknął. – A teraz niech pani będzie łaskawa zarejestrować tego pana. Inni pacjenci czekają, za drzwiami kolejka coraz dłuższa.

– Oczywiście, panie doktorze – wyjąkałam, a ponieważ Jauron w dalszym ciągu nie spuszczał ze mnie oka, postanowiłam pokazać mu, że już się pozbierałam i jestem gotowa do pracy. No i popełniłam kolejną gafę.

– Nazwisko pana – zwróciłam się urzędowym tonem do chłopaka.

– Właśnie położyłem dokumenty przed pani nosem – odpowiedział zamiast tamtego doktor Jauron pełnym politowania tonem. I, jakby tego było mało, dodał: – A poza tym podobno już się znacie.

Zaczerwieniłam się jak piwonia, moje policzki dosłownie pałały. Szczęśliwie doktor zaprzestał dalszych tortur, a nawet na jego ustach pojawił się pobłażliwy uśmiešek. W każdym razie zostawił nas w spokoju i odszedł do innych pacjentów.

– Jak się nazywasz? – spytałam ponuro wpatzonego we mnie młodzieńca. Dobry humor zdążył mnie już opuścić, ale on zdawał się tego nie zauważać. Uśmiechnął się, a potrafił to robić tak uroczo jak nikt inny na świecie. Przynajmniej nikt z tych, których znałam.

– Maurice Seigner – odpowiedział.

*

– Nareszcie jesteś, zaczynałam się już niepokoić – powiedziała Iza, otwierając drzwi.

Ojciec nigdy się nie spóźniał, zawsze był na czas, zresztą przeważnie to on na nią czekał.

– Duży ruch na autostradzie – wyjaśnił, witając się z nią. – Tak jakby się wszyscy umówili, że właśnie dziś mają jechać w podróż. Tu, w Paryżu, niewiele lepiej, a właściwie nawet gorzej. Na Place d'Étoile korek nie do opisania. Następnym razem przyjadę pociągiem, a z dworca wezmę taksówkę. Taksówkarze przynajmniej znają różne objazdy, o których ja, prowincjusz, nie mam pojęcia.

Iza szóstym zmysłem wyczuwała, że korki uliczne niewiele mają wspólnego

ze spóźnieniem ojca, ale dała temu spokój. Na razie. Wiedziała, że dziś nakłoni go do tych wspomnień, do których chyba nie chciał wracać. Może nie mógł. A może wolał ich nie przywoływać w rozmowie z dziewczyną, którą od lat uważał za córkę, kochał i właściwie samotnie wychował. Prawie, bo był taki czas, że po śmierci żony pomagała mu siostra, Beatrice.

– Jak możesz mówić, że nie znasz Paryża – zagadnęła Iza, prowadząc go do małego pokoju dziennego. – Spędziłeś tu prawie dziesięć lat życia.

– Jedenaście – poprawił ją. – Ale to było w zamierzchłych czasach.

– Nieprawda. Mieszkałeś tu jako młody chłopak.

– Czyli to musiało być wieki temu. Jestem już stary.

– Zawsze będziesz młody.

Powiedziała to szczerze. Maurice w jej oczach prawie wcale się nie zmienił od tamtego dnia, gdy zobaczyła go po raz pierwszy w sierocińcu w Bordeaux. Owszem, przybyło mu trochę zmarszczek, nie był taki szczupły jak przed laty, ale jego ruchy, gestykulacja, spojrzenie szarych oczu, uśmiech pozostały tak samo młodzieńcze jak wtedy. Nawet bujne, rudawo-kasztanowe włosy pozostały tak samo gęste jak dawniej, bez jednego pasma siwizny. Tak czy owak, daleko mu było do starości, o której od czasu do czasu wspominał, choć zawsze z nutą humoru. Nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat. Zaraz też pomyślała, że wyglądał znacznie młodziej od Łukasza Boguszewskiego, choć w rzeczywistości był od niego tylko dwa lata starszy. Nie widziała w nim takiej goryczy i zniechęcenia jak w tamtym. Zachował pogodę ducha, która pozwoliła mu wreszcie, po latach, uporać się z żalobą po Joannie, choć tęsknota pozostała. W przeciwieństwie do Łukasza Boguszewskiego – był pogodzony z życiem i otwarty na ludzi.

Jaki byłby Maciek Boguszewski, gdyby jeszcze żył? Jakim człowiekiem był w czasach młodości? Jedyne stary Podhorecki uchylił przed nią rąbka tajemnicy, ale nadal bardzo niewiele wiedziała o przyrodnim bracie matki. Sama zachowała o nim zaledwie skrawki wspomnień – jak za mgłą. A Maurice go przecież poznał. Czy zechce jej o nim powiedzieć coś więcej, coś ponad to, o czym już wiedziała?

– Właściwie dlaczego nie lubisz Paryża? – zagadnęła go, poprawiając makijaż. Była już elegancko ubrana do wyjścia. Ojciec nie lubił bowiem widoku niestarannie ubranych kobiet, zwłaszcza w miejscach publicznych. Zauważyła jednak, że nos znowu jej się zaczerwienił. To była stara przypadłość z dzieciństwa, gdy podczas pobytu w sierocińcu odmroziła go sobie podczas zabawy na śniegu.

– To zbyt daleko posunięty wniosek – odparł, przeglądając jedno z czasopism leżących na stoliku przy kanapie. – Po prostu teraz się w nim gubię, to wszystko. To już nie jest miasto mojej młodości, straciło tamten urok i klimat.

– Wtedy poznałeś tu Joannę – stwierdziła z pozornym spokojem. Nie podnosiła oczu znad puderniczki.

– Znowu to robisz – zauważył i skrzywił się lekko.

– Co takiego?

– Nie była twoją koleżanką, lecz matką. Nie nazywaj jej po imieniu.

Skomentował to niemal identycznie jak Hortensja Zawilska, gdy zamieniły kilka słów o Joannie, i pewnie wspomnienie tamtej rozmowy powstrzymało Izę przed powiedzeniem ojcu tego samego, co babce. Że nadal jest jej trudno nazywać matką kobietę, którą знаła raptem przez rok. Poza tym nie chciała mu sprawiać przykrości. W przypadku Zawilskiej sprawa wyglądała inaczej.

– Przepraszam – powiedziała wobec tego.

– Co to za gazeta? Nie ma tu nic godnego uwagi. – Krytycznie wskazał na przeglądany tygodnik. – Same bzdury: moda, miłostki gwiazd filmowych, a zaraz potem ich rozwody, skandale... Po co kupujesz coś takiego? Jesteś mądrą dziewczyną. Nie wierzę, aby przestano wydawać porządne gazety, tygodniki czy miesięczniki.

– Ja także nie przywiązuję do tego wagi, ale współpracuję z niektórymi redakcjami prasowymi, czasami coś dla nich tłumaczę, więc potem dostaję od nich darmowe egzemplarze.

– Przede wszystkim pracujesz dla poważnego wydawnictwa książkowego i tego się trzymaj.

– Gazety dobrze płacą za tłumaczenia.

– A więc miałem rację, że uciekłem stąd przed laty na prowincję. Tam jednak uchowali się mądrzejsi ludzie, a przynajmniej nie gonią tak za zyskiem. Nie ma takiej gonitwy jak tutaj. Jest za to czas, by pełniej delektować się życiem.

– Jestem już gotowa. Jak ci się podobam? – Okręciła się przed nim w kółko.

Popatrzył z uznaniem i miłością. Pamiętała, że w identyczny sposób patrzył na jej matkę, i to wspomnienie sprawiło, że zarzuciła mu ręce na szyję.

– Zrządź jak zwykle? – spytał dobrotliwie.

– Trochę. Chodźmy już, umieram z głodu.

– Poczekaj. Pewnie myślisz, że stary ramol zapomniał o najważniejszym. – Sięgnął do torby podróżnej i wyjął z niej starannie zapakowaną paczuszkę. – Wszystkiego najlepszego, skarbie.

Wiedziała, że ojciec miał dobry gust i zanim cokolwiek kupił dla niej lub dla swojej siostry, a niegdyś dla żony, każdą rzecz wybierał bardzo starannie, doprowadzając tym niektórych sprzedawców do białej gorączki. Złote kolczyki i delikatna bransoletka, które teraz jej podarował, były także bez wątpienia efektem długotrwałych poszukiwań.

– Dziękuję, jesteś prawdziwym artystą! – zawołała.

– Nie przesadzaj. Ja tego nie wykonałem.

– Dokąd mnie zaprowadzisz? – spytała, wpinając w uszy kolczyki.

Wiedziała, że sprawi mu to przyjemność, a poza tym były naprawdę piękne. Wsunęła także bransoletkę na nadgarstek.

Pytanie, jakie zadała ojcu, było także retoryczne. Doskonale wiedziała, dokąd zamierza ją zaprosić w dniu urodzin. Zauważyła jednak, że się stropił.

– Mam przez to rozumieć, że jak zwykle na Montmartre? – westchnęła, udając niezadowolenie.

– Wiem, że masz tego dość, ale odkąd wyprowadziłem się z Paryża, straciłem orientację w tutejszych lokalach. Montmartre to jedyne miejsce, gdzie umiem trafić i dobrze się odnaleźć. Ale nie chcę cię zamęczać. To twoje urodziny. Jeśli wolisz inny lokal, to postąpię wedle życzenia mojej księżniczki.

– Nie przejmuj się, tylko żartowałam – odpowiedziała, zamykając drzwi na klucz i ujmując go pod ramię. – Lubię Montmartre tak samo jak ty i chętnie tam z tobą pójdę.

Wiedziała, że właśnie na Montmartre Joanna powiedziała mu o swoim dziecku, a on zaraz potem zaproponował jej małżeństwo.

ROZDZIAŁ 16

Rok 1946

Wyznałam mu to kilka miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu, kiedy nie miałam już wątpliwości, że to dla mnie istotna znajomość. Że Maurice traktuje ją bardzo poważnie, a ja lubiłam go i szanowałam na tyle, by wyjawić mu swój sekret, przyczynę tego, że nie potrafiłam być już do końca szczęśliwa. Jak zatem mogłabym obdarować szczęściem inną osobę? Jak mogłabym oczekiwać, by ktokolwiek dzielił mój ból, tęsknotę i poczucie winy? By tym samym skazywał się na obcowanie ze smutkiem, który był nieodłącznym towarzyszem moich dni.

Nie mogłam i nie chciałam skazywać na takie życie ani Maurice'a, ani kogokolwiek innego. Nikogo jednak nie dopuściłam do siebie tak blisko jak jego. Od dnia naszej pierwszej rozmowy w szpitalu Maurice nie dał się już zepchnąć poza nawias mojego życia, a że nie był przy tym nachalny ani prostacki, jak inni mężczyźni, którzy próbowali zawrzeć ze mną znajomość, nie potrafiłam w porę schować się za mury twierdzy, którą wybudowałam przed kilkoma laty, by odgrodzić się od przyjaźni i bliższych znajomości. Maurice był wesoły, inteligentny i umiał zainteresować mnie rozmową. Zawsze miał do powiedzenia coś, czego warto było wysłuchać. I – co było dla mnie niesłychanie ważne – nie zmuszał mnie, bym opowiadała o sobie. To on opowiadał o domu w okolicach Aix-en-Provence. Miejsce, w którym się wychował, nadal uważał za najbardziej czarujące na świecie, choć – jak podkreślił – nie znał zbyt wielu innych. Opowiedział o matce, która zmarła, gdy był jeszcze uczniem liceum, a także o ojcu, który nie potrafił bez niej żyć i odszedł trzy lata później. W domu w Aix-en-Provence została jego siostra bliźniaczka, Beatrice, z którą był bardzo zżyty i która była na tyle energiczną oraz zaradną dziewczyną, że bez niczyjej pomocy zajmowała się dalej domem po rodzicach, choć niektórzy krewni byli gotowi przejąć opiekę zarówno nad nią, jak i nad spadkiem. Beatrice wymogła wtedy na bracie, by nie przerywał studiów w Paryżu, a jeśli będzie planował swoją przyszłość w stolicy, niech to robi bez obawy. Ona, Beatrice, z pewnością sobie poradzi, a połowa domu i tak będzie należała do niego.

– Rok temu wyszła za mąż za miejscowego lekarza, który przeprowadził się do niej, bo tego właśnie chciała – powiedział i zaraz dodał, że szwagier jest dobrym człowiekiem, kocha Beatrice bez pamięci, przeprowadził konieczne prace remontowe w domu i zawsze jest gotów pomagać finansowo jej bratu.

– Ale oczywiście nie korzystam z tego, przecież pracuję – zastrzegł od razu Maurice, a zrobił to takim tonem, jakbym mogła podejrzewać go o wykorzystywanie dobroci siostry i szwagra.

Na wszelki wypadek nie napisał im o swoim wypadku, aby nie prowokować ich przyjazdu i ewentualności, że mogliby go zabrać do domu, choćby siłą.

– Do Beatrice wszystko jest podobne, jeszcze jej nie znasz – podkreślił, gdy wyraziłam wątpliwość w siłowe rozwiązanie sprawy, po czym zorientowawszy się, że mogłabym tym samym nabrać niechęci do jego siostry, zaraz dodał, abym się jej nie obawiała, bo to w gruncie rzeczy bardzo dobra dziewczyna i nie przekracza barier, które stawiają przed nią inni ludzie.

– Ciebie jednak byłaby gotowa siłą sprowadzić do domu – zażartowałam, bo przecież wcale nie spodziewałam się, bym kiedykolwiek miała sposobność poznać tę dziewczynę.

Zareagował komicznym gestem zwieszenia ramion, co miało oznaczać bezradność.

– Ja to co innego. Pozwoliłem, by mi weszła na głowę już wtedy, gdy oboje byliśmy małymi dziećmi. Zawsze musiałem się zgadzać na wszystkie jej pomysły, ale w zamian za to broniła mnie przed innymi dziećmi w szkole.

– Ona – ciebie broniła?

– Tak, co za wstyd, ale i tak byś się tego dowiedziała. – Nie wiedzieć czemu zawsze zakładał, że poznam jego siostrę i dowiem się od niej całej prawdy na jego temat. – Była ode mnie silniejsza, lepiej zbudowana. Ze mnie był zawsze straszliwy cherlak.

Pamiętam, że roześmiałam się, gdy mi to powiedział, i znowu przyszło mi do głowy, że dopiero jego pojawienie się w moim życiu przypomniało mi, czym jest śmiech. Od kilku lat już tego nie robiłam. Jednak z drugiej strony, śmiejąc się z niektórych jego uwag i wspomnień, nie mogłam zapanować nad uczuciem żalu i goryczy, gdy pomyślałam o mojej rodzinie, o relacjach między moimi rodzicami, o tym, że moja matka bynajmniej nie umarła z tęsknoty po śmierci męża, ale ułożyła sobie życie z kim innym, i to w sposób, który urągał wszelkim zasadom przyzwoitości. Ledwo mój ojciec został pochowany, a ona już była w ciąży z Zawilskim. Na zawsze ośmieszyła nie tylko siebie, ale i własne dzieci.

Jakże inaczej wyglądało wzajemne przywiązanie rodziców Maurice'a, skoro jedno nie potrafiło żyć po stracie drugiego! Jego relacje z siostrą z jednej strony mnie wzruszały, ale z drugiej nie mogłam pozbyć się uczucia żalu, gdy pomyślałam o moim rodzeństwie, o tym, ile niechęci, wzajemnych oskarżeń i chłodu nagromadziło się między mną a Łukaszem. I o tym, co sprawiło, że zerwałam kontakty z Maćkiem. Słuchając Maurice'a, przynajmniej rozumiałam, dlaczego był takim ciepłym, wrażliwym, dobrym człowiekiem. Po prostu wychował się w takiej rodzinie, gdzie jedno dbało o drugiego, gdzie wszyscy byli sobie bliscy. I zarazem rozumiałam, dlaczego ja zawsze byłam inna. Dlaczego było we mnie tyle chłodu i dystansu.

Nie pytał mnie o nic, ja zaś tylko raz napomknęłam, że mam brata we

Francji, ale nie utrzymujemy ze sobą kontaktu, co akurat wtedy, podczas okupacji, było już prawdą. Po kapitulacji Francji Maciek przestał pisać, tak że nieraz zastanawiałam się, czy on w ogóle jeszcze żyje. Przemogłam się nawet na tyle, że ten jeden jedyny raz napisałam pod ostatni adres, jaki mi przysłał jeszcze przed wybuchem wojny, ale doczekałam się jedynie zwrotnej wiadomości, że adresat jest nieznany.

Maurice nie nalegał, bym powiedziała mu coś więcej na temat brata, który przepadł jak kamień w wodę. Wiedział, że przyjechałam do Francji z Polski kilka lat temu, ale także nie domagał się, bym mu cokolwiek więcej w tej sprawie wyjaśniła. Dopiero potem mi wyznał, że na nic nie nalegał, bo wiedział, że z pewnością opowiem mu o wszystkim, gdy będę na to gotowa. Nie miał też żadnych wątpliwości, że będziemy w końcu razem, że jesteśmy dla siebie stworzeni, choć ja przez całe miesiące naszych spotkań nie zakładałam takiego scenariusza zdarzeń.

Nie byłam ślepa, zdawałam sobie sprawę, że jestem dla niego kimś ważnym, sądziłam jednak, że zabraknie mu odwagi, by mi to wyznać. Był w gruncie rzeczy bardzo nieśmiały, a ja nie zamierzałam mu w tych sprawach pomagać. Wiedziałam, że z mojej strony nie było to do końca uczciwe, w pewnym sensie zabierałam mu przecież czas, nie mając wobec niego poważnych zamiarów, ale z drugiej strony nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mógłby odejść, że nie czekałby na mnie w umówionym miejscu, gdy oboje kończyliśmy pracę, że już bym go więcej nie zobaczyła i nie usłyszała jego głosu.

Pewnego dnia jednak zebrał się na odwagę. Powiedział tak po prostu, że mnie kocha.

Nie wykonał przy tym żadnego czulego gestu, nie dotknął nawet mojej ręki. Podobnie jak przez wszystkie miesiące naszej znajomości, zachował dystans, tak jakby wyczuwał, że nie życzę sobie żadnej intymnej bliskości. Nie chodziło mi jednak o niego, tak samo odbierałabym fizyczny kontakt z każdym innym mężczyzną. Przecież wciąż pamiętałam...

Gdy mi zatem wyznał, co do mnie czuje, poczułam żal, że będę musiała pozbawić go co do siebie złudzeń i tym samym zakończy się nasza piękna znajomość.

– Nic z tego nie będzie – powiedziałam. Zrobiłam to najłagodniej, jak potrafiłam.

Nie dawał za wygraną, nawet się uśmiechnął. A był to uśmiech, pod którego wpływem topniałam jak wosk, choć starałam się, by on tego nie spostrzegł.

– Z czego nic nie będzie? – zapytał z niewinną miną.

Poczułam się niezręcznie. Faktycznie – miał rację. Przecież w ślad za jego wyznaniem nie poszła żadna konkretna propozycja. Powiedział tylko, że mnie kocha, a ja domyślałam się tego już wcześniej. W dalszym ciągu nawet nie próbował mnie dotknąć. Zatem mogłabym założyć, że nic się między nami nie

zmieni.

Jednak wiedziałam, że zmieni się wszystko. Wyznanie wypowiedziane na głos sprawi, że nie będę potrafiła traktować go w dalszym ciągu jak dobrego kolegi czy nawet jak przyjaciela.

– Przepraszam. – Moje milczenie wreszcie i jego zaniepokoiło. – Powinienem się domyślić, że ci się to nie spodoba.

– Nie o to chodzi. – Nie chciałam go ranić, ale nie mogłam pozostawiać mu złudzeń. – Bardzo cię lubię, naprawdę, ale...

„Ale cię nie kocham” – już miałam dodać, jednak słowa nie przeszły mi przez gardło. Chciałam mu tego zaoszczędzić. Jak się okazało, nie było takiej potrzeby.

– Wiem – powiedział. – Jednak to się może przecież zmienić. Wszystko w życiu jest możliwe. A gdyby nawet tak się nie stało, to... trudno. Mnie wystarczy, że będziesz obok.

A zatem miał konkretne plany na życie i w tych planach zajmowałam ważne miejsce. Zrozumiałam, że muszę pozbawić go tych złudzeń, wyłożyć karty na stół, choć w dalszym ciągu miałam jeszcze nadzieję, że oszczędzę sobie i jemu wyznania całej prawdy.

– Nie mam zamiaru się z nikim wiązać. – Chyba nie zabrzmiało to wystarczająco stanowczo, musiałam przecież brać pod uwagę, że Maurice zakończy znajomość, która nie miała już dla niego żadnych perspektyw.

– Żelazna dziewica? – spytał wesoło i zaraz zarumienił się jeszcze bardziej niż ja.

Jego żart w żaden sposób mnie nie dotknął – raczej zaskoczył – jak do tej pory mój przyjaciel w rozmowie ze mną nie stosował tak swobodnych sformułowań.

Poza tym – w przeciwieństwie do Maurice’a – znałam prawdę o sobie, a prawda ta z pewnością odbiegała od jego wyobrażeń na mój temat. Przypuszczam, że wszystkie te kłębiące się we mnie uczucia miałam wypisane na twarzy, co nie uszło jego uwadze.

Stracił rezon, znowu do głosu doszła jego nieśmiała natura.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie napadło – wyjąkał, nie mając odwagi spojrzeć mi w oczy. – Zachowałem się jak kretyn, ale nie chciałem...

Wyglądał tak, jakby istotnie chciał się zapaść pod ziemię.

– Nie jestem taka, jak myślisz.

– Nie myślę o tobie źle. To ja jestem durniem.

– Mam dziecko.

Wydusiłam to jednak z siebie, ale nie czekałam na jego odpowiedź. Poderwałam się z ławki, na której siedzieliśmy. Tuż za nami wznosiła się bazylika Sacré-Coeur, a dalej urokliwe uliczki Montmartre’u – nasze ulubione miejsce spotkań. Tam nawet wojna i okupacja wydawały się odległą

rzeczywistością. Jakby świat zatrzymał się w epoce, gdy ton życiu towarzyskiemu Paryża nadawali artyści.

Odchodząc, byłam pewna, że minie jeszcze dużo czasu, zanim znowu zdobędę się na to, aby tam przyjść... już bez niego.

Nie pozwolił mi jednak odejść. Dogonił mnie po kilkudziesięciu krokach i chwycił za łokieć. Tak, właśnie wtedy dotknął mnie po raz pierwszy.

– Masz dziecko? Gdzie? – spytał zdyszany.

– Nie wiem – odparłam, czując, że zbiera mi się na płacz.

– Nie wiesz?

– Nie.

– Jak ma na imię?

– Nie wiem – powtórzyłam, czując, że dłużej tego nie wytrzymam, po czym krzyknęłam z rozpaczą: – Nie wiem, jak ma imię i jakie nadali jej nazwisko! Nie wiem, gdzie mieszka i z kim! Ale wiem, że istnieje. Widziałam ją tak, jak teraz widzę ciebie, choć tylko przez chwilę. I wiem, że żyje... Na pewno żyje, przecież bym coś poczuła, gdyby umarła!

– Dziewczynka? – szepnął i wtedy przestałam już walczyć ze wzbierającymi łzami, tak jakby puściła we mnie jakaś tama.

Usiadłam na najbliższych kamiennych schodkach i płacząc, wyrzucałam z siebie całą moją przeszłość, cały nagromadzony przez lata ból. Maurice siedział obok mnie, trzymał mnie za ręce i nie przerywał, póki nie skończyłam. A potem przygarnął mnie do siebie i od razu poczułam, jakby ciężar, który przytłaczał mnie od dawna, stał się lżejszy, bo właśnie ten chudy chłopak z niesforną rudą czupryną postanowił dzielić go ze mną. Dotyk jego ramion nie sprawiał mi przykrości, wręcz przeciwnie – budził z uśpienia doznania, o których od dawna starałam się zapomnieć. Choć może działo się tak, ponieważ to były ramiona Maurice'a... Ponieważ w nich było moje miejsce. Dlaczego nie poznałam go wcześniej?

– Nie martw się. Znajdziemy ją – powiedział, gdy skończyłam swoją opowieść. W przyszłości miał to powtarzać jeszcze wielokrotnie – cierpliwie, z przekonaniem, że tak się stanie.

Wtedy potraktowałam to jak słowa, które miały mnie jedynie podnieść na duchu.

– To niemożliwe – odpowiedziałam, płacząc. – Ona już nie należy do mnie. Wyrzekłam się jej.

– To nie zmienia faktu, że tak naprawdę jest twoja.

– Formalnie jednak...

– Niech лихо porwie wszystkie formalności! – wykrzyknął zapalczywie i podając mi chusteczkę do nosa, dodał: – Mówię ci, znajdziemy ją.

– Nic o niej nie wiem. Ani jak się nazywa, ani jak nazywają się ci ludzie, którzy ją wzięli, ani gdzie mieszkają.

– Nie będzie łatwo – przyznał po chwili – ale sobie poradzimy.

– My?

– Tak. Od tego właśnie zaczniemy. – Ujął moją zalaną łzami twarz, zmuszając mnie tym samym, bym nie odwracała od niego wzroku. – Pobierzemy się. Tak będzie łatwiej. Małżeństwu łatwiej załatwić podobne sprawy niż... samotnej, niezamężnej matce.

– Skąd to wiesz? – spytałam, czując przyspieszone bicie serca.

– To żadne odkrycie. Zawsze tak było i będzie.

– I dlatego mam za ciebie wyjść? – spytałam, zanim uzmysłowiłam sobie głupotę tego pytania.

W jego spojrzeniu pojawił się tak osobliwy wyraz, że zarumieniłam się ze wstydu, gdyby to było jeszcze możliwe na mojej zaczerwienionej i zapuchłej od płaczu twarzy.

– To już zależy tylko od ciebie – odpowiedział.

Bóg mi świadkiem, nie miałam wtedy ochoty na żarty, uznałam jednak, że to jedyny sposób, by zatrzeć niezręczność mojego pytania i przykrość, jaką ono mogło sprawić Maurice'owi.

– Przecież sam przed chwilą zawołałeś, aby licho porwało wszelkie formalności.

Znowu powiedziałam głupstwo.

– Wtedy chodziło mi o inne formalności. – Musiał pewnie dołożyć wielu starań, aby się uśmiechnąć.

Ja także spoważniałam i uspokoiłam się w jednej chwili.

– Wiem, Maurice... wiem – szepnęłam, dotykając nieśmiało jego policzka.

Zrobiłam to... odwzajemniłam jego pełen czułości gest. Choć jeszcze parę minut wcześniej nie uwierzyłabym, że kiedykolwiek będzie to jeszcze możliwe.

A potem... Pamiętam, jak mnie całował, najpierw na tamtych kamiennych schodkach i później, kiedy wreszcie dobiegliśmy do mojego pokoju. Bynajmniej nie zachowywałam się biernie, lecz z zapamiętaniem odpowiadałam na jego pieszczoty. Wszystko we mnie odżyło, uwierzyłam, że nie tylko mogę być jeszcze szczęśliwa, ale także obdarować szczęściem drugiego człowieka. Miesiąc później wzięliśmy ślub, na który przybyli Bouvierowie oraz siostra i szwagier Maurice'a.

Dziś nasza czwarta rocznica, a między nami jest tak samo jak wtedy. Nigdy nie pożałowałam decyzji, aby się z nim związać. A mimo to... wciąż czuję w sercu tęsknotę za małą dziewczynką, która nawet nie wie o moim istnieniu. Właściwie straciłam już nadzieję, jestem realistką, a minęło już tyle lat. Nawet gdybym jakimś cudem trafiła na jej ślad, to czy mam prawo wchodzić w jej życie i w życie ludzi, którzy dali jej dom? Nie, nie mam prawa burzyć ich uporządkowanego świata, skazywać ich na cierpienie, na które nie zasłużyli. Ale Maurice cały czas wierzy, że wszystko będzie dobrze. Wszystko się jeszcze ułoży, i to tak, że nikt nie będzie

cierpiał. Bo on, Maurice, ma takie przeczucie. A jego przeczucia zawsze się sprawdzają.

ROZDZIAŁ 17

...wyrzucalam z siebie całą moją przeszłość, cały nagromadzony przez lata ból.

Iza, zerkając na ojca, słuchała jednym uchem nowin z Aix-en-Provence. Przez całą drogę na Montmartre zastanawiała się, jak zagaić rozmowę na interesujące ją tematy. Uwierzyć wprost nie mogła, że sprawy, którymi teraz żyła, które pochłaniały jej myśli, przez całe lata prawie dla niej nie istniały. Że nigdy nie zamierzała o nie pytać. Właściwie kiedyś interesowało ją jedno: dlaczego nie miała rodzeństwa? Potem, dzięki ciotce Beatrice, dowiedziała się prawdy, a zasmuciła ją ona na tyle, by nie zawracać ojcu głowy innymi kwestiami związanymi z przeszłością. Wprawdzie ciotka nie wymagała tego od niej – poprosiła ją jedynie, by nie rozmawiała z Maurice'em o tym, czego się od niej dowiedziała – niemniej Izie to wówczas wystarczało. Aż do niedawna.

Urokliwy, nieduży lokal, do którego zaprosił ją Maurice, był już pełen ludzi, więc w pierwszej chwili myśleli, że trzeba będzie szukać innego miejsca. Szczęśliwie udało im się wypatrzeć wolny stolik, w głębi pomieszczenia, w odległym kącie.

– Mam nadzieję, że dojrzy nas tu jakiś kelner. – Maurice rozejrzał się krytycznie po wypełnionej po brzegi sali. – Nie mam pojęcia, co się dzisiaj stało. Nigdy nie było tu takich tłumów.

– Przeważnie przychodziliśmy tu znacznie wcześniej – odparła obojętnie Iza. Myślała o czym innym, ale dodała: – Poza tym większość tych ludzi to jakaś zorganizowana zagraniczna wycieczka. Pewnie przyprowadzono ich tutaj w ramach realizacji programu.

Maurice właśnie zamierzał zapytać, dlaczego przyszło jej do głowy, że to zorganizowana wycieczka, zwłaszcza zagraniczna, gdy jeden z gości głośno zagadnął swojego sąsiada po niemiecku.

– Tego jeszcze brakowało – skrzywił się Maurice.

– Co znowu?

– Nie cierpię Niemców.

– Przecież mamy z nimi podpisane traktaty wspólnotowe o węglu, stali i energii atomowej – roześmiała się. – Chyba czas, abyś i ty zakopał topór wojenny.

– Nic z tego. Za dobrze ich pamiętam.

Postanowiła się z nim podroczyć, a przy okazji stopniowo nawiązać do tego, o czym chciała pomówić.

– Tu, w Paryżu, nie było najgorzej. Niemcy nie napsuli wam tyle krwi jak, nie przymierzając, mieszkańcom Europy Wschodniej. Miałam okazję nasłuchać się i naczać, jak wyglądała okupacja w Warszawie, w ogóle w Polsce.

– Co nie znaczy, że tutaj przez cały ten czas był raj – odparł, trochę już rozdrażniony. – Dwóch moich kolegów ze szkoły zginęło na froncie w maju czterdziestego roku, a potem, gdy Niemcy zaczęli wywozić Żydów, zginęło między innymi dwoje innych znajomych wraz z całymi rodzinami.

Iza przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć, ale tok jej myśli przerwał głośny śmiech dwojga Niemców siedzących nieopodal, co w tym momencie także i ją rozdrażniło.

„Rzeczywiście zbyt swobodnie się tu zachowują. Na ich miejscu starałabym się nie rzucać zanadto w oczy ludziom, którzy wciąż... pamiętają”.

Przypomniała sobie tablicę, którą w Warszawie pokazała jej Anna. Widniała na niej informacja, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku w tamtym miejscu Niemcy rozstrzelali ponad pięćdziesiąt niewinnych osób.

– Jeśli chcesz, możemy pójść gdzie indziej – powiedziała głośno, choć prawdopodobieństwo, że ktokolwiek z najbliższych siedzących Niemców ją zrozumie, było niewielkie. Jednak nawet znikoma możliwość nie oznaczała, że nie było jej wcale.

– Nie. Ostatecznie jestem u siebie w kraju i nie będę już więcej na widok Niemców wychodził z francuskiego lokalu.

Popatrzył jednak na nią z zaskoczeniem, ale i podziwem, tak że pogłaskała go po dłoni.

– Cieszę się, że jesteśmy tu razem. Nawet nie wiesz, jak zawsze czekam na twój przyjazd.

– A ja na twój. Nie zmienia to jednak faktu, że powinnaś częściej cieszyć się innym towarzystwem.

– Nie narzekam na brak znajomych. Mam się z kim spotykać po pracy.

– Nie kręć. – Popatrzył na nią bystro. – Wiesz, o co, a raczej o kogo mi chodzi.

Stłumiła westchnienie. Ojciec pod wieloma względami był jednak niereformowalny i uparty jak osioł, choć przy tym wszystkim taki kochany. Zaraz zresztą zreflektował się, mimo to wiadomo było, że przy najbliższej okazji powróci do sprawy.

– No, nie gniewaj się. – Teraz westchnął i on. – Nic na to nie poradzę, że polubiłem Michela od dnia, kiedy mi go przedstawiłaś. Absolutnie ginący gatunek: inteligentny, czytany, nietuzinkowy. Zawsze miałem z nim o czym pogadać. Dobrze się czułem w jego towarzystwie.

– Liczy się także to, abym i ja czuła się dobrze – mruknęła, choć nie było takiej potrzeby. Ojciec znał jej argumenty, ale najwyraźniej nie robiły na nim wrażenia.

– Był bardzo za tobą, odpowiedzialny, otoczyłby cię opieką...

– Potrafię sama o siebie zadbać.

Maurice także znał te argumenty, toteż słysząc je po raz kolejny, machnął ręką w akcie najwyższej dezaprobaty.

– Współczesne kobiety same nie wiedzą, czego chcą.

„Joanna także początkowo chciała być sama” – Iza zamierzała nie tyle odbić piłeczkę, ile prawdziwy pocisk, ale w porę się powstrzymała. Jej słowa sprawiłyby ojcu niepotrzebny ból. Poza tym przecież wiedziała, dlaczego matka nie chciała na początku z nikim się wiązać. Choć ona z pewnością nie znała wszystkich jej powodów.

Wreszcie doczekali się kelnera, który dość szybko przyniósł zamówione dania. Jedzenie jak zwykle było znakomite, mimo to nie przedłużali swojego pobytu w tym miejscu.

Gdy Maurice zaproponował, aby kawę wypili się gdzie indziej, nie oponowała.

– Jest tak ciepło, wiosennie. Może przejdziemy się w okolice Sacré-Coeur? – zaproponowała.

Nie odpowiedział, więc zaraz dodała:

– Ale jeśli nie chcesz, nie upieram się.

– Dlaczego mam tego nie chcieć? Przecież wiesz, że lubię tam chodzić.

Wiesz również, z jakiego powodu.

Przez chwilę szli w zgodnym milczeniu, aż wreszcie Maurice zagaił:

– Powiedz lepiej, jak tam było w Polsce.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Wymianę paru zdań przez telefon nazywasz rozmową?

– A masz ochotę pomówić o tym... dokładniej?

Rzucił na nią krótkie spojrzenie z ukosa, po czym zapatrzył się w kopułę bazyliki.

– Polubiłam Annę...

– To dobrze.

– Nie jest podobna do Joa... do mamy.

– No cóż, miały różnych ojców.

– I żadna z nich nie przypomina matki.

Maurice nie skomentował tego; usiadł na ławce.

– Anna i ja jesteśmy trochę do siebie podobne... – stwierdziła w zamyśleniu

Iza.

Spojrzała na ojca. Odpowiedział jej ciepłym uśmiechem.

– Szkoda, że Joa... że mama nigdy nie chciała jej poznać. – Podniosła mały kamyk i rzuciła go przed siebie, w trawę. – Czy myślisz, że gdyby to wszystko inaczej się potoczyło, matka zechciałaby pogodzić się z rodziną i poznać swoją siostrę?

– Co miałyby się inaczej potoczyć?

– No wiesz... Gdyby nie wybuchła wojna i... gdyby ona nie umarła dwa lata po jej zakończeniu... Myślisz, że pogodziłaby się z rodziną w Polsce? W końcu to byli bliscy jej ludzie.

– Nie – odparł Maurice i sięgnął do kieszeni po papierosa.

Rzadko palił; Iza odgadła, że musiał być bardzo wzburzony.

– Co nie?

– Nie pogodziłaby się z nimi. Nie uważała ich za bliskich. A w ogóle mówienie o tym, co by było gdyby, nie ma sensu. Historyk nie prowadzi takich dywagacji.

Uśmiechnęła się lekko i potrząsnęła głową.

– Ja nie jestem historykiem. To jednak bardzo dziwne, że między nią a jej bliskimi z Polski narosła aż taka nienawiść. I o co? O to, że Hortensja Zawilska w nieprzepisowym terminie wyszła drugi raz za mąż i zaraz potem urodziła dziecko? Mogę zrozumieć, że mogła się o to wściekać młodzianka dziewczyna pogrążona w żalu po śmierci ojca, ale przecież potem dojrzała kobieta mogłaby postarać się zrozumieć własną matkę! Czy Hortensja Zawilska miała żywcem wstąpić na stos pogrzebowy po śmierci pierwszego męża, zwłaszcza że wiele wskazuje na to, że nie była z nim szczęśliwa? Jak można było dopuścić, by całymi latami między bliską rodziną narosło tyle nienawiści? Chyba że nie wiem wszystkiego, a powody tego, dlaczego Joanna kompletnie zerwała z matką i rodzeństwem, były bardziej złożone.

Maurice wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Znowu patrzył na kopułę bazyliki.

– Przecież byłaś tam, rozmawiałaś z nimi. Nie powiedzieli ci niczego nowego?

– Nie. Babka ledwo ścierpiała moją wizytę, zdaje się, że miała ochotę ją tylko odfajkować. No cóż, trochę zazgrzytało między nami. Łukasz, czyli mój wuj, udzielił mi pouczającego wykładu, wyznając, że podejrzewał mnie o współpracę z jakimiś służbami specjalnymi czy czymś tam, nie pamiętam tej idiotycznej nazwy. Anna wie o tamtym rodzinnym konflikcie mniej więcej tyle, co ja, a może i mniej. Stary Podhorecki, owszem, bardzo się starał, ale także nie jest obiektywny.

– Nie trzeba było tam jechać, ostrzegalem cię. – Maurice pogłaskał ją po głowie tak jak wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się. – Dobrze, że ich poznałam. To już coś.

– Skoro tak uważasz... Chodźmy na tę kawę.

Podnieśli się z ławki.

– Opowiedz mi o Maćku Boguszewskim. Wokół niego panuje tam większa zмова milczenia niż wobec Joanny.

– Co w tym dziwnego? Przecież mówiłem ci, co go spotkało po powrocie do kraju. Dla nich to bardzo trudne, bolesne. Nikt nie chce rozdrapywać pewnie nie do

końca zaleczonej rany.

Iza zebrała się na odwagę.

– Tam chodzi o coś więcej. Żona Maćka Boguszeńskiego nie utrzymuje kontaktów z resztą rodziny... tak jak kiedyś Joanna. To znaczy matka – poprawiła się, napotkawszy karcące spojrzenie ojca.

– No cóż, nic nie wiem na ten temat. Proponuję, abyśmy weszli tutaj. – Wskazał na małą kawiarenkę schowaną w głębi uliczki. – Wygląda sympatycznie, a ja dłużej nie wytrzymam bez filiżanki kawy.

– Nie wiedziałeś, że żona Maćka Boguszeńskiego wróciła do Francji? Z tobą także nie utrzymuje kontaktów?

Maurice zatrzymał się, ale w jego spojrzeniu Iza nie wyczytała ani zdumienia, ani smutku, ani radości. Tylko zmęczenie.

– Wejźmy wreszcie do środka na tę kawę – poprosił.

ROZDZIAŁ 18

Pod koniec maja zdecydowała się pojechać do Aix-en-Provence na weekend. Ciotka Beatrice od prawie miesiąca namawiała ją, by odwiedziła rodzinne strony. Nawet kilka razy dzwoniła w tej sprawie do Paryża, co dla zazwyczaj bardzo oszczędnej w wydatkach pani Motin było nie lada poświęceniem.

– Zupełnie już o nas zapomniałaś. Ostatni raz widzieliśmy cię w Boże Narodzenie. U Fourrierów furka prawie się nie zamyka, co trochę wpadają do nich dzieci albo któreś z wnuków, albo wszystkie naraz, a my z Frederickiem oglądamy tylko swoje stare gęby – skarżyła się.

– Przecież ojciec przyjeżdża co tydzień – przypomniała Iza.

– Tak, więc ewentualnie oglądamy trzecią starą gębę. Lepiej nie zmieniaj tematu. Mów, kiedy wreszcie cię zobaczymy.

– Czy były jakieś nowiny od Rogera? – spytała Iza niewinnym tonem.

Roger był synem wujostwa Motin. Dwa lata temu wyjechał do Stanów Zjednoczonych i od tamtej pory tylko raz odwiedził rodziców, „wpadając jak po ogień” – jak to zgryźliwie określił wuj Frederick. Ciotka broniła jednak jedynaka i zawsze starała się jakoś usprawiedliwić fakt, że syn rzadko kiedy się do nich odzywa. Tak było i tym razem.

– Roger jest bardzo zajęty. Kiedy ostatni raz do nas dzwonił, powiedział, że każą mu pracować w tej klinice od rana do wieczora albo, dla odmiany, od zmierzchu do świtu. Jako młody lekarz, w dodatku cudzoziemiec, musi w sposób szczególny zasłużyć sobie na uznanie Amerykanów, czyli harować ciężiej niż oni. Nie ma potem siły na nic.

„No jasne. Ciekawe, kiedy odbyła się ta ostatnia rozmowa telefoniczna, o której ciocia Beatrice mówi. Mam nieodparte wrażenie, że chodzi o to samo połączenie, o którym wspominała trzy miesiące temu. W każdym razie wyjaśnienie ciotki jest identyczne jak wówczas”.

Po prawdzie niczego innego się nie spodziewała. Swoim pytaniem o przyszywanego kuzyna chciała jedynie dać do zrozumienia Beatrice, że skoro zawsze umiała wytłumaczyć obojętność syna, to powinna także zrozumieć przybraną córkę swojego brata. Iza wprawdzie pracowała i mieszkała znacznie bliżej od Aix-en-Provence niż Roger, a Paryża nie sposób było porównać z Nowym Jorkiem, niemniej także była bardzo zajęta, miała już swoje własne życie, a mimo to starała się odwiedzać rodzinę w Prowansji tak często, jak tylko było to możliwe. Fakt, ostatnim razem rzeczywiście była tam w grudniu – dostała w tym czasie kilka ważnych zleceń, a nie mogła zlekceważyć możliwości zarobienia dodatkowych pieniędzy – niemniej pisała albo starała się dzwonić. Słuchając jednak wyświechtanego tłumaczenia ciotki, darowała sobie złośliwe komentarze.

Nie ulegało wątpliwości, że Beatrice lubiła wściubiać nos w nie swoje

sprawy, że z prawdziwą pasją organizowała życie wszystkim dookoła, co zapewne było najważniejszym powodem emigracji Rogera, z drugiej jednak strony – potrafiła jak lwica walczyć w obronie tej rodziny, a gdyby trzeba było, oddałaby ostatni grosz, by wesprzeć bliską osobę. Iza pamiętała, że ciotka okazywała wiele troski o Joannę w ostatnich miesiącach jej życia i zawsze wspominała ją z wielkim wzruszeniem i sympatią. Zawsze podkreślała, że łączyła ją z bratową wielką przyjaźń. Niezależnie od tego, co Beatrice Motin rozumiała pod pojęciem przyjaźni, Iza nie mogła zapomnieć, że po śmierci Joanny ciotka zajęła się pogrążonym w ciężkiej żałobie bratem. Z pełnym oddaniem matkowała także dziewczynce, którą Maurice uznał za swoją córkę, ona zaś za bratanicę. I nigdy, nawet wtedy, gdy – jak to czasem bywa z dziećmi i dorastającą młodzieżą – Iza wystawiała jej cierpliwość na próbę, nie dała jej odczuć, że w gruncie rzeczy nie łączą ich żadne więzy krwi, że dziewczynka jest efektem jakiegoś mało chlubnego wydarzenia z życia bratowej.

Życie Beatrice Motin także nie było usłane samymi różami, a jeśli nawet, na upartego, chciałoby się użyć takiego określenia, to jednocześnie należałoby dodać, że niejedna z tych róż miała bardzo ostre ciernie. Jej pierwszy syn zmarł niedługo po urodzeniu, dlatego gdy na świecie pojawił się Roger, jego matka uznała, że to prawdziwy dar z nieba. Kiedy chorował, niemal odchodziła od zmysłów. Gdy go odratowali, poprzysięgła sobie, że uczyni wszystko, by chronić go przed każdym złem tego świata. Nie odmawiała mu niczego, chuchała nań i dmuchała, a po jego pójściu do szkoły dowiadywała się – tak często, jak to było możliwe – czy aby nie dzieje mu się tam krzywda, zarówno ze strony kolegów, jak i nauczycieli.

– Krzywdzisz go, wychowasz na niedojdę – ostrzegał ją Maurice, ale odpowiadała mu niezmiennie, by lepiej pilnował własnego nosa.

Podczas okupacji niewiele brakowało, a straciłaby męża, bowiem doktor Motin niedługo przed aliancką inwazją na Normandię został aresztowany przez gestapo podejrzewające go o współpracę z Résistance. Czy uratowała go inwencja, pomysłowość i przedsiębiorczość żony, która, jak podejrzewali niektórzy, za pomocą mamony przekonała Niemców, że aresztowanie jej męża było pomyłką, a zarzutów w żaden sposób nie da się udowodnić, czy też decydującą rolę odegrało tu jednak wyzwolenie Francji przez wojska alianckie, jak utrzymywali oboje małżonkowie Motin – tego nikt ze znajomych nigdy do końca nie ustalił. Nie dociekano też w nieskończoność, pamiętając, że Beatrice nigdy nikomu nie odmawiała pomocy, w tym także w postaci wsparcia materialnego, i zawsze znalazła czas, by pocieszać strapionych i udzielić rady. Zwłaszcza to ostatnie zawsze było jej ulubionym zajęciem.

Dzięki niej także Iza dowiedziała się, dlaczego nie ma rodzeństwa. Zaczęło ją to interesować dopiero wtedy, gdy przygotowywała się do matury. Z młodszym od siebie o kilka lat Rogerem nie umiała jakoś znaleźć wspólnego języka,

obserwowała natomiast, jak bliskie relacje łączą jej koleżanki z ich braćmi albo siostrami. Joanna nie żyła już od kilku lat. Ojcu nie potrafiła zadać tego pytania. Wciąż pamiętała, z jakim trudem dochodził do siebie po śmierci żony. Zapytała więc ciotkę, choć podświadomie czuła jakąś bliżej nieokreśloną obawę.

Beatrice, zajęta wówczas rozwieszaniem mokrego prania na sznurze w ogrodzie, początkowo wcale nie była skora do rozmowy.

– Tak czasem bywa – burknęła. – Jedni mają w nadmiarze to, czego innym brakuje. Także dzieci. Powinnaś to wiedzieć. Jesteś już dorosłą panną.

– Co z tego, skoro nadal traktujecie mnie jak dziecko i trzymacie pod kloszem – odgryzła się dziewczyna.

– No, no, tylko mi tu bez takich. Wy, dzisiejsze dziewczęta, wiecie i tak za dużo o sprawach, które powinnyście poznać dopiero po ślubie. Za moich czasów było z tym inaczej.

– Przecież sama się przed chwilą dziwiłaś, że o niektórych sprawach nic nie wiem, choć jestem już dorosła.

– Nie odwracaj kota ogonem. Co innego miałam wtedy na myśli. Czasem jest tak, że ludzie nie mają zdrowia, aby doczekać się dziecka. To akurat powinnaś wiedzieć.

– Moi rodzice nie mieli zdrowia?

Wciąż jeszcze, nawet w wieku siedemnastu lat, mówiąc „moi rodzice”, przypominała sobie tamtych dwoje, u których spędziła pierwszych siedem lat życia. Pamiętała, że czasami pytała tamtą kobietę, którą wtedy uważała za swoją matkę, dlaczego nie urodziła więcej dzieci. „Nie miałam na to zdrowia” – odpowiadała, aż w końcu zabroniła Izie pytać o takie sprawy. Teraz już jednak wiedziała, kim była jej prawdziwa matka. Joanna miała zdrowie, aby urodzić dziecko. Nie mała go jednak z Maurice’em. A zatem...

Beatrice cisnęła mokre prześcieradło do kosza na bieliznę i usiadła ciężko na schodkach od werandy. Gestem wskazała, aby dziewczyna zajęła miejsce obok niej.

– Powiem ci, abyś przypadkiem nie zaczęła wiercić o to dziury w brzuchu Maurice’owi. Jemu i bez tego nie brakuje problemów. Ale pamiętaj – nikomu ani mru-mru o tym, co usłyszysz. Nie rozumiem wprawdzie, po co ci ta wiedza, skoro tyle lat obywatłaś się bez rodzeństwa i nic cię ono nie obchodziło, ale dobrze... niech ci będzie. Obiecuj mi tylko, że nigdy już do tego nie wrócisz – ani w rozmowie ze mną, ani z nikim innym.

– Obiecuję.

– Z nikim, co oznacza, że także i z Maurice’em. Zrozumiano?

– Tak.

– Nie żadne „tak”, tylko obiecuj.

– Powiedziałam już, że obiecuję.

Beatrice westchnęła.

– Kiedy Maurice miał piętnaście lat, zaraził się świnką. Słyszałaś o takiej chorobie?

– Tak. Podobno może się skończyć zapaleniem opon mózgowych, ale...

– U chłopców może się skończyć znacznie gorzej, bo... niepłodnością. Tylko mi nie wmawiaj, że nie znasz tego słowa. Wy, dzisiejsze dziewczęta...

– Znam to słowo, ciociu – odpowiedziała cicho Iza i chciała położyć swoją dłoń na spracowanej dłoni ciotki, ale tamta szybko otarła oczy i poderwała się z miejsca.

– Mam mnóstwo roboty. – Odwróciła się na chwilę w stronę dziewczyny. – Pamiętaj, że obiecałaś.

Iza zapamiętała. I dotrzymała słowa. Z ciotką także nie rozmawiały już na ten temat.

Słuchając teraz jej wymówek, że tak rzadko przyjeżdżała do Aix-en-Provence, a zarazem mając w pamięci wszystko, co Beatrice zrobiła dla niej, jej matki i Maurice'a, powściągnęła irytację i zniecierpliwienie, starając się przywołać same dobre wspomnienia i wdzięczność.

– Postaram się was odwiedzić, ciociu, ale to nie będzie takie łatwe. I nie nastąpi szybko. Niecały miesiąc temu wróciłam z Polski. Teraz tak szybko nie dostanę urlopu.

– W weekendy nie pracujesz.

– Różnie bywa. Zresztą to trochę za daleka podróż jak na dwa dni pobytu.

W słuchawce na dłuższą chwilę zapadła cisza, tak że Iza zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem połączenie nie zostało zerwane.

– Halo, ciociu, jesteś tam jeszcze?

– Niepotrzebnie tam jechałaś – usłyszała w odpowiedzi. – Od początku byłam temu przeciwna.

– Przecież tam mieszka moja rodzina.

– Jaka rodzina?! – Głos Beatrice wyrażał w tym momencie nieskrywaną irytację. – Twoja matka nie chciała ich znać. Dla ciebie to zupełnie obcy ludzie.

– Chciałam ich poznać.

– Po prostu nie mogłaś usiedzieć na miejscu, tak jak tamten... jej brat. I jak skończył? Bałam się, że i ty... – Teraz ciotka znacząco przycichła, tak jakby dawała Izie do zrozumienia, że nawet we Francji mówienie o pewnych sprawach nie jest bezpieczne. A może naprawdę tak myślała?

Może naprawdę coś wiedziała?

Nagle Iza podjęła decyzję. Pojedzie. Wiedziała, że w tym celu będzie musiała zrobić to, czego starała się unikać od roku – pójść do Michela i poprosić go o chociaż dwa wolne dni. Razem z sobotą i niedzielą uzbiera w sumie cztery. To powinno wystarczyć, by spokojnie pomówić z Beatrice. W dodatku właśnie teraz

pola Prowansji pełne są kwitnącej lawendy, a Joanna, patrząc na nie, zazwyczaj przypominała sobie łąki w Bolesławicach i tamten dom, w którym się urodziła i wychowała.

Z którego potem odeszła.

– Przyjadę do was, ciociu, tak szybko, jak to będzie możliwe – powiedziała na tyle cicho, że nie była pewna, czy Beatrice ją w ogóle usłyszała. Nie mogła jednak mówić głośniej, nie pozwalało jej na to ściśnięte gardło.

Do Beatrice dotarło jednak każde jej słowo.

– Czekamy na ciebie – usłyszała w odpowiedzi Iza, a potem dobiegł ją jeszcze odgłos odkładanej słuchawki.

Dopiero tydzień później zdobyła się na to, by zapukać do gabinetu Michela Soisona. Był szefem działu, w którym pracowała, to on przyjął ją do firmy i wprowadzał w arkana zawodu. On również dbał, by nie zabrakło dla niej pracy, co czasami graniczyło z cudem, bo przecież zapotrzebowanie na tłumaczenia autorów polskich i czeskich nie było nieograniczone. Maurice mógł rozplątywać się nad wielką szansą, jaką dawała Izie praca w dobrym wydawnictwie literackim, mógł ją przy tej okazji pouczać, że uwłaczającym jej godności były chałtury dla komercyjnych tygodników i kobiecych czasopism, ale to tam były pieniądze, dzięki którym mogła pozwolić sobie na samodzielność. Tam zresztą także literacka znajomość języków słowiańskich nie na wiele się przydawała, na ogół wystarczał angielski, choć nie na „literackim” poziomie.

Dziesięć lat starszy od niej Michel był bezdzietnym wdowcem, bez reszty oddanym swojej pracy, a przynajmniej było tak, dopóki ich znajomość nie zaczęła nabierać coraz bardziej osobistego charakteru. Iza nie planowała takiego obrotu sprawy, więc oddanie i opiekuńczość Michela zaczęły ją w pewnym momencie przytłaczać. Za bardzo jej przy tym przypominał Maurice’a, co oczywiście samo w sobie nie było złe, ale ona nie potrzebowała drugiego dojrzałego opiekuna, który czuwałby nad nią jak nad małą dziewczynką i starał się oszczędzić jej rozczarowań w życiu, strzec przed prawdziwymi lub wyimaginowanymi niebezpieczeństwami i czasem wygłaszać kazania. Który od czasu do czasu dawałby jej do zrozumienia, że samodzielność nie zawsze służy kobiecie, że jednak dobrze, jeśli ma ona przy sobie kogoś, kto ją wspiera.

O ile w przypadku Maurice’a nie przeszkadzało jej to za bardzo – ostatecznie uważała go od wielu lat za swego ojca, kochała go i rozumiała – o tyle troskliwość i oczywiste przywiązanie Michela zaczęły ją w końcu przytłaczać. W dodatku, w przeciwieństwie do Maurice’a, Michel mieszkał w Paryżu, niedaleko od jej domu i w pewnym momencie miała wrażenie, że jest stale obecny w jej życiu zarówno zawodowym, jak i codziennym. Po kilku miesiącach dała mu do zrozumienia, że jednak wolałaby ograniczyć ich znajomość wyłącznie do spraw związanych z wydawnictwem. Widziała, że sprawiła mu tym zawód, a właściwie

nawet więcej niż zawód. Przyjął to jednak z godnością, z klasą, i od tego czasu widywali się jedynie wtedy, gdy wymagały tego względy dotyczące ich pracy, w zasadzie tylko o tym rozmawiali. Maurice decyzję Izy w sprawie Michela przyjął z nie mniejszym rozczarowaniem niż tamten, jednakże, w odróżnieniu od niego, nie omieszczał tego od czasu do czasu okazywać.

– Wiem, że nie powinnam prosić o te dwa dni, ale robię to tylko ze względu na problemy rodzinne – zakończyła niepewnie swoją prośbę, starając się nie patrzeć szefowi w oczy. Sytuacja nie była, oględnie rzecz ujmując, komfortowa.

Michel uśmiechnął się niewyraźnie, zdjął okulary i przetarł je małą czystą szmatką. Zawsze tak robił, gdy próbował zapanować nad emocjami.

– Jeśli jednak uważasz, że nadużywam twojej uprzejmości...

– Nie, wszystko w porządku. – Założył ręce za głowę i patrzył na nią już śmieiej. – Te dwa dni nie robią żadnej różnicy. Z ostatniego zlecenia wywiązałaś się w terminie. Jedź i pomachaj ode mnie polom lawendy za Avignonem.

Iza zarumieniła się lekko. Przypomniała sobie, że rok temu pojechali do Prowansji razem, a wujostwo Motin, nie mówiąc już o jej ojcu, widzieli w tym wydarzeniu wstęp do przedślubnych przygotowań. Pokazała wtedy Michelowi Avignon i jego okolice. Nigdy wcześniej tam nie był, a miejsce to szczególnie go zachwyciło. Potem jeszcze przez dwa miesiące wspominał wycieczkę. A trzy miesiące później ich związek się skończył, niemniej, jak się okazało, on nadal wspominał tamten maj sprzed roku i tamtą wycieczkę.

Wujostwo Motin mieszkali nie tyle w samym miasteczku, co na jego urokliwych przedmieściach. Ciotka zawsze podkreślała, że połowa domu należy do brata, choć Maurice na stałe mieszkał i pracował w Lyonie. Zachował jednak sentyment do Aix-en-Provence, zachowała ten sentyment także Iza.

– Joanna także czuła się tu dobrze – lubiła wspominać Beatrice. – Dlatego chciała tu właśnie... pozostać.

Zgodnie ze swoją wolą Joanna została pochowana na cmentarzu w Aix-en-Provence, a Beatrice – jak sama twierdziła – odwiedzała ją tak często, jak to tylko było możliwe. Maurice był jej za to wdzięczny, choć rzadko o tym wspominał. Podobnie rzecz się miała z Izą, która już nawet przywykła do rytuału, że za każdym razem, gdy przyjeżdżała do Prowansji, maszerowała z ciotką na cmentarz. Szczerze mówiąc, nie zawsze miała na to ochotę, nie czuła też takiej potrzeby, tym razem jednak, gdy tylko pani Motin oświadczyła, że czas odwiedzić biedną Joannę, natychmiast była gotowa do wymarszu.

Doktor Motin jak zwykle próbował słabo protestować.

– Daj dziewczynie spokój – tłumaczył łagodnie żonie. – Jechała taki kawał z Paryża...

– Młodych trzeba uczyć pamięci o zmarłych – odpowiedziała zdecydowanie Beatrice. – A kiedy w końcu nas zabraknie, Iza nie zapomni i o naszym miejscu

ostatniego spoczynku. Przynajmniej będzie wiadomo, że ktoś tam do nas przyjdzie – dodała z goryczą, co już było zastanawiające, bo jej słowa mogły zostać zrozumiane jako zawołany przytyk pod adresem syna.

Zatem poszły.

Droga prowadziła przez łąkę, tonącą w różnych odcieniach niebieskiego, pachnącą lawendą.

„Dobrze, że przyjechałam właśnie teraz” – pomyślała Iza. „Gdybym to zrobiła dwa tygodnie później, już bym nie oglądała tego piękna w takiej krasie”.

Cmentarz znajdował się blisko kościoła. W dzień powszedni rzadko odwiedzało go więcej niż kilka osób. Iza właściwie lubiła to miejsce, niektóre nagrobki pochodziły z początków poprzedniego stulecia, wszędzie rosły stare drzewa; szczęśliwie nikt nie zamierzał dokonać na nie zamachu i ich ścinać, jak to było modne ostatnimi laty. Mieszkańcom przedmieść Aix-en-Provence nie przeszkadzały ptaki wijące gniazda w ich konarach i nie obawiali się, że pomniki zostaną zabrudzone przez przyrodę. A jeśli nawet, to przecież można je umyć i posprzątać – mawiali. Umarłym zaś znacznie lepiej odpoczywać w miejscu, w którym słychać życie. Choćby śpiew ptaków.

Iza podzielała to zdanie, zwłaszcza teraz, gdy wciąż jeszcze miała świeże wspomnienia z podróży do Polski.

„Z twojego kraju” – myślała, stojąc nad grobem Joanny. Pewnie dlatego tym razem odwiedziła w miejscu, gdzie zakończyła się ziemską wędrówkę jej matki, miały dla niej bardzo szczególne znaczenie. Tym razem odbierała je inaczej. Joannę również, tak jakby zaczynała ją dopiero teraz poznawać i rozumieć. Nie przez ten rok, który razem przeżyły – wtedy właściwie dopiero przyjmowała do wiadomości fakt, że ludzie, którzy zginęli w wypadku pod Bordeaux, nie byli jej biologicznymi rodzicami. Teraz jednak, gdy poznała ojczysty kraj Joanny i jej rodzinę, grób na cmentarzu w Aix-en-Provence stał jej się bliższy niż kiedykolwiek wcześniej. W każdym razie wiedziała już, dlaczego jej matka życzyła sobie, by pochować ją właśnie tu, wśród pól lawendy, które każdej wiosny – jak sama napisała – przypominały jej łąki pełne polnych kwiatów... tam.

Beatrice przez chwilę milczała, stojąc, a później, także w milczeniu, zaczęła omiatać pomnik z malutkich liści. Tym razem nie wzdychała i nie powiedziała tego co zawsze. Że bardzo brakuje jej bratowej, ponieważ od dnia, gdy ją poznała, była pewna, że wreszcie znalazła nie tyle bratnią, co siostrzaną duszę. „Bardzo chciałam mieć siostrę – mawiała – a dzięki Maurice’owi się jej doczekałam”.

Nie, tym razem ciotka nic nie mówiła i Iza odniosła wrażenie, że Beatrice czeka na jej słowa.

– Dlaczego bałaś się, że jeśli pojedę do Polski, spotka mnie tam coś złego? – zagadnęła.

– Niczego takiego nie mówiłam – odparła ciotka, nie podnosząc głowy znad

płyty nagrobkowej.

Iza nabrała powietrza i rozejrzała się po alejce. Były zupełnie same.

– Owszem, mówiłaś – odparła. – Wtedy, gdy do mnie zadzwoniłaś...

– A, tamto... – mruknęła Beatrice, jakby dopiero co sobie przypomniała. – Pewnie, że się martwiłam. Taka młoda dziewczyna i sama podróżuje taki kawał drogi! Mało to niebezpieczeństw czyha na kobiety? Czytałam we wczorajszej gazecie o strasznym morderstwie i od razu przyszło mi do głowy...

– Na litość boską, ciociu, nie jestem nastolatką. Mam dwadzieścia siedem lat. Ty byłaś młodsza, gdy narażałaś się na prawdziwe, a nie wymaginowane niebezpieczeństwa.

– To było co innego. Ja czasem musiałam zaryzykować. Nie szukałam jednak przegód za wszelką cenę.

– Ja też ich nie szukam. Trudno jednak przesiedzieć życie pod kloszem. – Dotknęła ramienia ciotki. – Czulałam, że muszę tam jechać. Tak jakby ona – wskazała na mogiłę – poleciła mi to zrobić w swoim imieniu.

– No nie, w to nie uwierzę nigdy! – Beatrice wyprostowała się energicznie i wreszcie spojrzała Izie w oczy. – Joanna nigdy nie wpadłaby na taki pomysł.

– A ja nie uwierzę w to, by przez tyle lat nie mogła wybaczyć matce jej powtórnego małżeństwa – odparła nie mniej zapalczywie dziewczyna.

– Nie w tym rzecz! – Beatrice nie było trudno sprowokować. – Tamto pewnie po latach rzeczywiście nie miało już takiego znaczenia. Ale było coś jeszcze! – Nagle umilkła i odwróciła wzrok.

– Co to takiego? – spytała Iza, tym razem gotowa nie dać za wygraną. Nie, nie odpuści, tak jak podczas rozmowy z ojcem czy choćby z tamtymi... w Polsce.

– Wracajmy. Pora przygotować kolację. Frederick miał rację. Na pewno jesteś bardzo zmęczona.

– Nie ruszę się stąd, zanim mi nie powiesz! Jaka była najważniejsza przyczyna, że mama nawet po latach nie chciała nawiązać kontaktu z matką i rodzeństwem?

„Mama”. Niewiarygodne, że tak po prostu, bez żadnego przymusu, impulsywnie użyła tego określenia wobec Joanny! W tym miejscu! Przejęta tym spostrzeżeniem, przez moment nie zwracała uwagi na reakcję Beatrice. Jednak – tylko przez moment.

– Aleś ty uparta! Nie mam pojęcia, co w ciebie wstąpiło! – Ciotka nie kryła irytacji, ale przy okazji odsłoniła też swoją bezradność. Chyba naprawdę uwierzyła, że Iza gotowa jest nie ruszyć się z cmentarza, jeśli nie uzyska odpowiedzi. Jakiegokolwiek odpowiedzi.

Z westchnieniem przysiadła na kamiennej ławeczce.

– Nie wiem, dlaczego nie pojednała się z rodziną – rzekła ponuro. – Nie chciała o tym opowiadać, choć uważałam ją za siostrę. Ja mówiłam jej wszystko.

Być może ona jednak nie mogła dopuścić mnie do siebie zbyt blisko. Była dość zamkniętą w sobie osobą, ale mniejsza z tym. Mnie to nie przeszkadzało. Maurice był z nią taki szczęśliwy. Ale pewnie masz rację, że coś jeszcze musiało siedzieć w jej sercu. Jakaś zadra, sama nie wiem. Bo to rzeczywiście dziwne, że dorosła kobieta do tego stopnia dąsałaby się na matkę z powodu kolejnego małżeństwa. Przecież tyle się przez ten czas wydarzyło! Wybuchła wojna, a każdy, kto ją przeżył, może mówić, że stało się to cudem.

Iza usiadła obok ciotki i także popadła w zadumę. Powoli zapadał zmierzch, a żadna z nich nie wspominała o powrocie do domu. Nawet ciotka jakby zapomniała o kolacji i o czekającym na nie z zaniepokojeniem doktorze Motin.

– Wiesz, oni tam... w Polsce także mają w sercach tę, jak to nazwałaś, zadrę – podjęła po dłuższej chwili ciszy Iza. – I ta kobieta, która jest moją babką, i jej syn. Jest w nich coś, o czym nie chcą lub nie potrafią mówić. Tak jak Joanna. – Znowu, mówiąc o zmarłej, użyła jej imienia. Zrobiła to jednak z rozmysłem, a nie dlatego, że tak chciała. Przeciwnie – wołałaby znowu użyć słowa „mama”, ale uznała, że tym razem bardziej pasuje zastosowanie jej imienia. Nie umiała powiedzieć dlaczego. Niemniej tak właśnie było. – Tylko z Anną jest inaczej. Ona nie pamięta siostry i tak jak ja nie wie, co się wtedy naprawdę stało. Choć i ona nosi w sercu zadrę... ale dotyczy to jej nieudanego małżeństwa. O tym zresztą także nie chce za dużo mówić, ale łatwo odgadnąć prawdę nawet z tych półsłówki.

– Czasami trudno dzielić się z innymi swoim cierpieniem, nawet z tymi najbliższymi. A właściwie to łatwiej mówić o swoim cierpieniu tym, co są obok, ale nie należą do najbliższych – odparła, w dalszym ciągu ponurym tonem, Beatrice. – Bo ci najbliżsi za bardzo siedzą w naszym życiu. Nasz ból to często także ich ból. Wtedy mówienie o nim jest jak rozdrapywanie rany. Człowiek, który jest trochę obok tego cierpienia, potrafi wysłuchać bez niepotrzebnych emocji. Patrzy na wszystko z boku i często łatwiej znajduje lekarstwo.

„Powinam zatem szukać kogoś, kto był wprawdzie blisko mojej matki, ale nie w centrum jej życia” – przyszło do głowy Izie. Ale nie miała pojęcia, czy ktoś taki kiedykolwiek istniał, czy jeszcze żył, a jeśli nawet, to gdzie go szukać.

– Gdy umarł mój mały Denis, nie umiałam o tym mówić z Frederickiem – kontynuowała Beatrice, a w jej głosie odezwały się łzy, których kiedyś, przed laty, nie zdołała wypłakać. – Frederick próbował mnie pocieszać, ale potem nieraz słyszałam, jak szlochał w drugim pokoju, myśląc, że już zasnęłam. Wtedy uznałam, że to na nic. Nie możemy spędzić reszty życia, siedząc i płacząc. Jeśli nie wezmę się w garść, unieszczęśliwię męża, a dzieciaka, tak czy owak, nie wskrzeszę. Dla niego znowu zaczęłam się śmiać, pracować i zajmować gospodarstwem. Wtedy i on wrócił do pracy i pacjentów. A kiedy miałam ochotę popłakać, szłam do mojej przyjaciółki Jasminy. Nie znasz jej, po wojnie wyszła za amerykańskiego żołnierza i wyjechała. Wreszcie Bóg nam pobłogosławił i dał następne dziecko. Widać

Najwyższy najlepiej wiedział, kiedy będę na to gotowa.

„Do kogo chodzisz, ciociu, wypłakać się na obojętność twojego ukochanego Rogera? Komu mówisz, jak bardzo leży ci to na sercu, skoro zabrakło ci nawet twojej przyjaciółki Jasminy?”

– Ludzi wokół nie brakuje – mówiła dalej ciotka, tak jakby odpowiadała na niezadane przecież pytanie. – Wystarczy się tylko rozejrzeć. Wracajmy. – Podniosła się z ławki. Wyglądało na to, że ponownie bierze się w garść. – Chodźmy do domu, bo inaczej Frederick gotów jeszcze zawiadomić żandarmerię.

„Ludzi wokół nie brakuje. Wystarczy się tylko rozejrzeć” – przypomniała sobie Iza, gdy po kolacji (jak zwykle pożywnej i obfitej; Beatrice nie uznawała nowej mody na tak zwane zdrowe odżywianie się) została w małym saloniku sam na sam z wujem Frederickiem. Ciotka, zgodnie ze swym zwyczajem, poszła przeczytać przewidziane na dany dzień czytania z Pisma Świętego i odmówić dziesiątkę różańca.

Iza lubiła doktora Motina. Był miłym, inteligentnym i odczytanym człowiekiem. Spokojny, wyciszony, starszy od żony o osiem lat, pod każdym względem stanowił jej całkowite przeciwieństwo. Mimo to od lat tworzyli wzorowe małżeństwo, aczkolwiek niektórzy złośliwie tłumaczyli ten fakt zgodną i spolegliwą naturą Fredericka. Potrafił interesująco konwersować, jednak Iza nigdy nie prowadziła z nim rozmowy na żadne osobiste tematy. Tym razem, korzystając z nieobecności Beatrice, postanowiła zadać mu takie właśnie, to jest bardziej osobiste pytanie. Przy czym nie chodziło tu o tajemnicę Joanny. Prawdopodobieństwo, by matka zwierzała się z podobnych spraw Frederickowi, było równe zeru – Iza mogła to założyć w ciemno. Brała też pod uwagę, że i na inne pytanie doktor Motin nie znajdzie odpowiedzi, niemniej zamierzała spróbować. Właściwie niczym przecież nie ryzykowała. Dyskrecji wuja mogła być pewna.

– Nie jesteś zmęczona? – Frederick, czując na sobie jej wzrok, podniósł głowę znad gazety i uśmiechnął się przepraszająco. – Nie musisz mi dotrzymywać towarzystwa, idź odpocząć. Wystarczy, że po raz kolejny uległaś namowom Beatrice i straciłaś weekend. Mało, że weekend! Dodatkowo musiałaś zmienić swój grafik zajęć. Na pewno nie naraziłaś się szefostwu?

– Nie, wuju, bez obaw – odparła wesoło. – Przeważnie pracuję w domu.

– Wiem, ale obowiązują cię jakieś terminy. Beatrice w ogóle nie chce tego zrozumieć. A raczej rozumie, jednak tylko w odniesieniu do Rogera.

W głosie wuja zabrzmiała lekka ironia i niemała gorycz, co nie uszło uwadze dziewczyny. Chętnie pogłaskałaby go po dłoni, ale ponieważ nigdy dotąd tego nie robiła, postanowiła przynajmniej powiedzieć coś, co by go pocieszyło.

– Jestem pewna, że ciocia rozumie więcej, niż pozwala nam przypuszczać. Stara się usprawiedliwić Rogera, bo go kocha i rozpaczliwie za nim tęskni. Zresztą

on nie robi w gruncie rzeczy nic niewłaściwego. Pracuje tysiące kilometrów stąd, ale przecież miał prawo tak wybrać.

– Ja to wiem. Mnie nie musisz tego tłumaczyć. Młodzi muszą iść swoją drogą, a nam nie dzieje się żadna krzywda. Ty także naucz się jej odmawiać. Bo Beatrice, jak prawdziwa kwoka, chciałaby nas wszystkich trzymać pod swoimi skrzydłami. Maurice’ a także. Czy nie opowiadał ci, jak desperowała, gdy postanowił razem z Joanną zamieszkać na stałe w Paryżu, a potem w Lyonie? Uważała, że ich miejsce jest tutaj, i z trudem przyjęła do wiadomości, że skoro Maurice został zatrudniony w Lyonie, to logika nakazuje, aby właśnie tam zamieszkał z rodziną.

– Przecież nie miała nic przeciwko temu, gdy wcześniej wyjechał na studia do Paryża. Nawet zachęcała go, by nie rezygnował ze względu na nią. – Iza ponownie poczuła znajome, przyspieszone bicie serca. Nie spodziewała się, że tak szybko, bez żadnej zachęty z jej strony, wuj Frederick podejmie tematy, które od początku kolacji zamierzała z nim poruszyć.

– Tak, ale to było, zanim Maurice ożenił się z Joanną. Twoja matka natychmiast skradła jej serce, a Beatrice nie uznaje w takich wypadkach żadnych granic. Obiektowi swoich uczuć potrafi wejść na głowę i pozbawić go tchu.

– Ciebie do także dotyczy, wuju? – zażartowała Iza, z emocji zaciskając pod stołem dłoń. Miała wrażenie, że krew płynie w jej żyłach coraz szybciej.

– Ja to co innego – odpowiedział wesoło Motin. – Maurice także nauczył się sobie z tym radzić. Roger po latach prysnął za ocean. Ale Joanna była w innej sytuacji. Myślę, że czasami musiała się czuć osaczona. Beatrice chciała, aby bratowa odwiedzała ją tak często, jak to tylko możliwe. A potem, gdy wreszcie odzyskali ciebie, moja żona przypuściła prawdziwy atak, argumentując, że dziecko powinno jak najczęściej przebywać na powietrzu. Gdzie zaś jest zdrowsze powietrze niż w Prowansji? Od tej pory szkolne ferie i wakacje biedna Joanna miała już zaplanowane i zorganizowane przez szwagierkę. – Nagle umilkł, gdy do niego dotarło, że znakomitą większość wspomnianych przez niego ferii i wakacji Iza spędziła już bez matki. Joanny przecież szybko zabrakło.

Iza natomiast ponownie poczuła wzruszenie na samo wspomnienie tamtych dni, gdy ciotka Beatrice od razu, bez najmniejszych zastrzeżeń zaakceptowała ją i pokochała jak bratanicę.

– Maurice dobrze zrobił, że po śmierci Joanny nie uległ prośbom siostry i nie zostawił cię u nas – podjął po chwili Frederick. – Nigdy byś się nie wyrwała spod jej skrzydeł. Musiałabyś zapomnieć o studiach i samodzielnym życiu w Paryżu.

– Przyznaj się, wuju, że musieliście się z ciotką ściać przed moim przyjazdem. Nigdy dotąd nie słyszałam, byś tak narzekał – zawołała ze śmiechem Iza, choć w duchu przyznawała mu rację.

– O! My się nigdy nie ścinamy, skoro już użyłaś tego określenia. Notabene

dzięki tobie mam okazję poszerzać swoje słownictwo; pod tym względem jestem bardzo staroświecki. Ale cóż, tu u nas niemal wszystko mentalnie zatrzymało się przed pierwszą wojną. Dlatego dobrze, że Maurice cię stąd zabrał. Kocham Beatrice, to najzaciejsza z kobiet i nie zamieniłbym życia z nią na żadne inne, ale nie pozwól, by ci weszła na głowę. Maurice zabrał ciebie, ale zostawił jej Joannę.

– Matka i ciotka Beatrice spędzały ze sobą dużo czasu. Musiały dużo rozmawiać – podjęła ostrożnie Iza, widząc, że wuj zamierza wrócić do gazety.

– Pod tym względem prawie nic się nie zmieniło – padła zaskakująca odpowiedź.

Iza na moment osłupiała, a doktor Motin wyraźnie się zmieszał.

– Wybacz, tym razem się zagalopowałem – mruknął. – Chodzi mi o to, że Beatrice w dalszym ciągu, jak by to ująć... rozmawia z Joanną. To znaczy mówi do niej tam, na cmentarzu. Nie mam wątpliwości, że opowiada jej o wszystkim, o Rogerze także. Ma się przed kim wygadać.

– Ale nikt jej nie odpowiada – odparła drżącym głosem Iza.

– Czyli jest tak jak wtedy. Na ogół mówiła Beatrice. Joanna słuchała... chyba. To wszystko.

– Lubieś ją? – spytała nagle Iza.

Doktor rzucił jej krótkie spojrzenie i ponownie skierował wzrok na gazetę.

– Tak. Bardzo. Była niezwykle inteligentna. Szczerze się cieszyłem, gdy cię odnalazła. I szczerze bolałem, że tak krótko mogła się tobą cieszyć. Choć dobre i to, przecież niewiele brakowało, a nawet tyle nie byłoby jej dane.

– Dobrze, że nawiązała przedtem kontakt z przyrodnim bratem – rzekła cicho Iza. – Przecież to on trafił na mój ślad.

– No tak... – mruknął Frederick, wyraźnie zakłopotany.

Jego reakcja zastanowiła Izę.

– Poznałeś go? – spytała, czując niczym nieuzasadniony, ale wyraźny niepokój.

– Kogo?

Odniosła wrażenie, że wuj jakby na moment znieruchomiał. Nie patrzył na nią.

– Jak to kogo? Przyrodniego brata Joanny – uściśliła. – Tego, który mnie znalazł. Maćka Boguszewskiego. – Nie spuszczała oczu z doktora i choć czuła się odpowiedzialna za jego widoczne zdenerwowanie, a może właśnie dlatego, czekała na odpowiedź z zapartym tchem.

Motin jednak wyraźnie zaczął się uspokajać.

– Tak – przyznał – raz czy dwa razy go spotkałem. To było w czterdziestym piątym roku, wkrótce po tym, gdy Joanna i Maurice natknęli się na nich w Paryżu. Jakiś czas potem zaprosili ich do Aix-en-Provence. Wtedy właśnie mieliśmy okazję ich poznać.

– Ich?

– No tak. – Frederick na nowo się zmieszał. – Brat Joanny przyjechał z żoną i dzieckiem.

– Zatem poznaliście też jego rodzinę?

Znowu to bicie serca. Oznaczało, że małymi kroczkami zbliżała się do celu, choć nie miała wątpliwości, że czekała ją jeszcze daleka droga.

– Tak. Przecież mówię.

– A potem?

– Co potem? – Wuj zaczął się irytować. Wszystko wskazywało na to, że chciałby już zakończyć rozmowę. Iza o tym wiedziała, ale nie mogła teraz przerwać. Nareszcie tu, we Francji, trafiła na kogoś, kto mógł powiedzieć jej o czymś, czego jeszcze nie wiedziała. W dodatku był to ktoś, kogo wcześniej wcale nie brała pod uwagę jako źródła informacji. Gdyby ciotka Beatrice wiedziała, jaki skutek przyniosą jej słowa o „ludziach obok”! A może wiedziała? Może udzieliła jej wtedy, na cmentarzu, wskazówki?

– Potem już ich nie spotkałeś? Boguszewskiego i jego żony? – wróciła do pytania, choć coraz bardziej zaczynało to przypominać przesłuchanie.

– Może jeszcze z raz... Nie pamiętam. Oni niedługo potem wyjechali... no i wiesz, co się z nim stało. – Podniósł się i zabrał gazetę, której nie dane mu było przeczytać. – Dobranoc. Muszę odpocząć i tobie radzę zrobić to samo.

– Wiesz, że ona wróciła? – spytała nagle Iza.

Wuj zatrzymał się tuż przy drzwiach.

– Kto wrócił? – spytał zmęczonym głosem, najwyraźniej z trudem panując nad tym, by nie stracić resztek cierpliwości.

– Żona Maćka.

– Solange... wróciła?

To nie było udawane zdumienie. Zaraz zresztą ustąpiło miejsca... smutkowi. Tak, to był ten sam smutek, który Iza kilka tygodni temu dostrzegła w oczach Maurice’a, gdy wspomniała mu o powrocie tamtej kobiety. Ale nie to najbardziej ją wzburzyło.

– Solange? – szepnęła. – Ona tak ma na imię?

ROZDZIAŁ 19

Kochana Izo,

tak, żona Maćka ma na imię Solange. Nie wspominałam Ci o tym? Choć teraz uświadamiam sobie, że w czasie Twojego pobytu w Warszawie rozmawialiśmy o tylu różnych sprawach, a ta akurat kwestia nie pojawiła się ani razu. O Maćku chyba rzeczywiście nie rozmawialiśmy. I Ty, i ja wiemy przecież, co go spotkało, a to zbyt bolesny temat, by go na nowo roztrząsać i rozgrzebywać, zwłaszcza gdy nic już nie można zrobić. Pewnie dlatego ja, Łukasz i matka także już o tym nie mówimy. Nie zmienimy przeszłości, nie przywrócimy życia zmarłym. Tak naprawdę wobec śmierci Maćka czujemy się podobnie bezradni jak wtedy.

Odniosłam wrażenie, że podzielałaś nasze zdanie w tej sprawie. Przypominam sobie wprawdzie, że podczas tamtej nieszczęsnej wizyty u mojej matki zapytałaś o niego. Zapytałaś także o jego żonę i tym samym, świadomie lub nie, naruszyłaś niepisaną umowę obowiązującą od lat w naszej rodzinie, by nie mówić za wiele ani o nim, ani – tym bardziej – o niej. Twoje pytanie zaskoczyło moją matkę; widziałam, jak zmieniła się na twarzy. A do mnie w tym momencie dotarło, że w zasadzie nie wiem, dlaczego żona Boguszeńskiego to temat tabu. Tak jakby w ogóle nie istniała.

Trochę ją pamiętam. Miałam przecież jedenaście lat, gdy Maciek przyjechał z nią do Polski. Wtedy ją poznałam. Nie byli częstymi gośćmi w naszym domu. Matka wcale ich do tego nie zachęcała. Potem, już po jego aresztowaniu, Solange przyszła do nas dwa razy. Najpierw wtedy, gdy przybiegła i powiedziała, że go zabrali, była rewizja i od ponad dwudziestu godzin nie ma go w domu. I po raz drugi, gdy przyniosła wiadomość o jego śmierci. Pamiętam, że nawet nie weszła do środka. Pamiętam, bo to ja wtedy otworzyłam drzwi. Stała w progu i wydawała mi się wtedy taka nieduża, skurczona, zapadnięta w sobie. – Powiedz matce, że Maciek nie żyje – wymamrotała. – Przyszło zawiadomienie o jego śmierci.

I zaraz dodała, żebym koniecznie powtórzyła to bratu. Bo matka może spróbować to przed nim zataić, tak długo, jak tylko się da.

Pamiętam, że słyszałam każde jej słowo, ale niewiele do mnie docierało. Może dlatego, że nie poznawałam jej głosu. To był głos staruszki. Chciałam ją zaprosić do środka, ale nie mogłam się odezwać. Tak jakby coś trzymało mnie za gardło. Matka jednak wyjrzała z kuchni i zaraz podeszła do drzwi. Spojrzała na Solange i powiedziała tylko:

– Boże...

– Tak – odparła Solange, a ja w pierwszej chwili byłam niemal pewna, że ona zaraz się przewróci i także umrze.

Matka na to:

– Wejść do środka, nie stójmy tak.

– Nie bój się – odpowiedziała Solange. – Już sobie idę.

Ale matka dalej nalegała, aby tamta weszła do domu. Solange patrzyła na nią tak, jakby dosłownie przewiercała ją wzrokiem na wylot.

– Nie – odpowiedziała. – Muszę wracać do mojego syna. A ty powiedz swojemu, że jego brat nie żyje. Chyba że wolisz, aby usłyszał o tym ode mnie.

Matka się rozplakała i próbowała coś tłumaczyć, ale tamta nie słuchała. Cofnęła się, odepchnęła od siebie dłonie mojej matki.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała. – Pamiętaj... jeśli dzisiaj nie powiesz Łukaszowi, ja to zrobię.

I nie oglądając się, zbiegła w dół po schodach. Nie przyszła już więcej, ja w każdym razie widziałam ją wtedy po raz ostatni. Matka nie chciała ze mną rozmawiać ani o niej, ani o tej scenie przy drzwiach. A kiedy jakiś czas później spytałam, czy powtórzyła wszystko Łukaszowi, to rozgniewała się na mnie i zabroniła wracać do tej sprawy. Miałam się zająć nauką. Nie dziwiłam się jej. Na pewno bała się o ojca, ja zresztą także. Żeby nie skończył tak jak Maciek. Od tej pory rzadko już myślałam o tamtym. A jego żona po prostu zniknęła z naszego życia.

Dopiero od niedawna, od chwili, gdy o nią zapytałaś – najpierw moją matkę, a teraz mnie – zaczęłam ponownie zastanawiać się nad jej losem, tak jak w przypadku mojej siostry. Dlaczego Solange miała tyle żalu do mojej matki? I czy matka miała jakieś pretensje do niej? Chyba nie, bo i o co. Przecież spotkało je wspólne nieszczęście, powinny były płakać wtedy razem. Pocieszać się. A potem wspólnie wspominać. A one robiły to osobno. To znaczy wiem, jak było w przypadku matki. Tamtego dnia, gdy Solange przyniosła nam wiadomość o śmierci swojego męża, matka płakała nad albumem ze zdjęciami. Nadal go ma, jest już bardzo stary, ale dobrze zachowany. Dzieci nie mogą brać go z półki i przeglądać bez jej zgody. Boi się, że mogłyby go zniszczyć. Że album mógłby im wypaść z rąk i powypadałyby kartki. Szkoda, że nie miałam okazji, by Ci go pokazać. Są tam zdjęcia wszystkich – całej rodziny, nawet pierwszej żony Władysława Boguszeńskiego. Jest i zdjęcie Maćka, naprawdę zabawne. Mały szkrab ubrany w sukienkę, całkiem jak dziewczynka. Właśnie nad tym zdjęciem matka płakała tamtej nocy po wizycie Solange. Nie wiedziała, że na nią patrzyłam. Myślała, że już spałam. Było mi jej żal, ale z całą pewnością nie życzyłaby sobie, abym wtedy do niej podeszła.

Izo, niestety nie mogę Ci pomóc. Nie miałam pojęcia, że Solange wróciła do Francji. Wątpię, czy matka i Łukasz cokolwiek o tym wiedzieli, i dziwię się, że taką informację posiadał stary Podhorecki. No, ale ten człowiek zawsze mnie zadziwiał. I przerażał. Te jego oczy, gdy mnie obserwował. Zawsze odwracał wzrok, gdy na niego spojrzałam. Nie odpowiadał uśmiechem na mój uśmiech. Być może, podobnie jak Joanna, nie potrafił pogodzić się z tym, że przyszłam na świat. Być może nie

akceptował mnie tak samo jak ona. Nigdy nie miał ochoty ze mną rozmawiać. W dawnych czasach, jeszcze w Bolesławicach, zaledwie półgębkiem odpowiadał na moje pytania, choć jednocześnie często czułam na sobie jego spojrzenie.

Nie sądzę, by znał francuski adres Solange Boguszewskiej, w każdym razie nie mieści mi się to w głowie. Jednak nawet gdyby znał, z pewnością mi by go nie ujawnił, skoro nawet Tobie powiedział, byś dała temu spokój. Byś dała spokój żonie Maćka i jego synowi. I – droga Izo – szczerze mówiąc, podzielam ten pogląd. Tej kobiecie należy się teraz przynajmniej spokój, chociaż tyle. Poza tym nie bardzo rozumiem, do czego jest Ci ona potrzebna. Historia Joanny nie ma z nią nic wspólnego. Solange zbyt krótko była częścią naszej rodziny, a z Twojego listu wynika, że także z Twoimi rodzicami nie utrzymywała kontaktu. Nadal Ci radzę, abyś o swojej matce rozmawiała przede wszystkim z ojcem. Sądzę, że jeśli będziesz wystarczająco cierpliwa, odpowie na wszystkie Twoje pytania, a przynajmniej na większość z nich. Jeśli tego nie robi – to znaczy, że tak jest lepiej dla Ciebie.

„Nic nie rozumiesz” – myślała Iza, odkładając list, nie doczytawszy go do końca. „A ja czuję, że kluczem do poznania zagadki Joanny może być jej przyrodni brat i jego wyjazd z Francji. W tym wszystkim jakąś rolę odegrała także jego żona. A poza tym...”

Iza zacisnęła dłonie, bo tylko dzięki temu mogła powstrzymać ich drżenie. Nie mogła być tego na sto procent pewna, ale nie mogła też nie brać pod uwagę bardzo znamiennego zbiegu okoliczności – imię żony Boguszewskiego nosiła jedna z przyjaciółek Joanny obecna przy narodzinach jej córki. Jedna z tych, które próbowały Joannie pomóc, a ona nie mogła im wybaczyć i zapomnieć utraty dziecka. Jedna z tych, które namawiały ją wcześniej do aborcji. Oczywiście mógł to być zupełny przypadek, imię jak wiele innych we Francji. Mogła to być jednak ta sama osoba. I Iza czuła, że tak właśnie było.

*

– Dokąd się wybierasz na lato? – spytał Łukasz, a pytanie, ze względu na okoliczności, było dość niezwykle. Porządkowali właśnie mogiłę Michała Zawilskiego. Hortensja zostawiła ich samych na dłuższą chwilę i udała się w kierunku bramy cmentarnej, by dokupić kwiatów i zniczy. Co rok o tej porze przychodzili tu razem. W czerwcu wspominali rocznicę śmierci porucznika.

– Dokąd się wybieram na lato? – powtórzyła zdumiona, bo jej myśli były w tym momencie zajęte innymi kwestiami.

– No tak... Przecież niedługo zaczynasz wakacje w szkole. Myślałem, że masz już jakieś plany.

– Jakże ja mogę mieć plany! – odcięła się trochę gniewnie. – Zresztą mam teraz inne sprawy na głowie.

– Jakie? – zainteresował się, a w głowie Anny natychmiast zapaliło się ostrzegawcze światełko.

Łukasz chciał po raz kolejny sprowokować ją do wyznań. Dlatego zapytał ją o plany wakacyjne. Przecież na pewno wiedział, że Anna jak zwykle pojedzie do Dębek. Nie dlatego, że chciała, że tak lubiła rok w rok spędzać cały miesiąc w odziedziczonym po rodzicach domku teściów nad morzem. Co roku powtarzał się ten sam koszmarne rytuał, a ona nie potrafiła się temu sprzeciwić, powiedzieć mężowi i jego rodzicom, że ma po dziurki w nosie tych wspólnych wyjazdów, tego siedzenia sobie na karku przez kilka tygodni na małej powierzchni, a także tego, że przez ten miesiąc nie mogła o niczym decydować. Musiała się zgadzać na każdy pomysł teściowej w kwestii wspólnego, o zgrozo, gotowania dwudaniowych obiadów – „Mężczyźni, moja kochana, potrzebują porządnie zjeść, powinnaś o tym wiedzieć. Przez żołądek do serca, o tym już nasze prababki wiedziały”.

Tak, nieraz musiała wysłuchiwać podobnych nauk teściowej, gdy obie, objając się o siebie w prymitywnej kuchni domku letniskowego, wyczarowywały kolejny obfity posiłek. Walcząc ze starą kuchnią węglową, Anna zastanawiała się, czy teściowa naprawdę wierzy w te swoje bajdy o żołądku i sercu i tym podobne bzdury, czy też próbuje zaklinać w ten sposób rzeczywistość. Jak jednak mogła nie dostrzegać oczywistych faktów, że w przypadku Anny i Marcina podobne zabiegi nie odnoszą żadnych pożądanych rezultatów!

Teoretycznie wyjazd do Dębek miał charakter rodzinny. Praktycznie Marcin nigdy nie był w stanie wytrzymać tam dłużej niż tydzień. Nie znosił bowiem tego rytuału, podobnie jak jego żona. Miał jednak dobry pretekst, by wyjechać stamtąd wcześniej niż reszta rodziny. Musiał przecież wracać do pracy i oszczędnie dysponować swoim urlopem. Tak mówił. A jego matka głaskała go ze współczuciem po rękę, tak jakby naprawdę wierzyła, że rok w rok już po kilku dniach ukochany syn jest wzywany do instytutu z powodu jakiejś awarii i i że instytut naprawdę nie może sobie poradzić bez takiego wspaniałego fachowca jak jej Marcin.

Anna, słysząc każdego roku podobne tłumaczenia męża – nie przed nią rzecz jasna składane, lecz przed matką – a następnie obserwując reakcję tej ostatniej, niejednokrotnie chętnie „poczęstowała” tak jedno, jak i drugie pięścią między oczy. Bo sama z racji dwumiesięcznych wakacji nie miała możliwości, by uciec z Dębek jak mąż. Jeździła tam z dziećmi, bo w przeciwnym wypadku Marcin urządziłby kolejną karczemną awanturę, zarzucając jej, że ogranicza jego rodzicom kontakty z wnukami. Teściowa zaś utonęłaby we łzach, a lamentom nie byłoby końca.

O tym zaś, by dzieci spędziły kilka tygodni jedynie w towarzystwie dziadków, nie było mowy. Teściowa nie poradziłaby sobie z wnukami, pomimo że były spokojne, grzeczne i dobrze wychowane. Anna zresztą nie powierzyłaby jej

dzieci. Szczerze mówiąc, nie powierzyłaby jej nawet psa, i to nie dlatego, że teściowa miała zły charakter. Wręcz przeciwnie – nie była ani wredna, ani okrutna. Była za to żałośnie nieporadna życiowo. Teść zaś dla odmiany chętnie poświęcał wnukom godzinę dziennie, a potem wyruszał z wędką na ryby, na jakiś samotny spacer albo po prostu siadał z piwem i gazetą i nic go już wtedy nie obchodziło.

Anna, nie mając więc innego wyjścia – w każdym razie tak właśnie uważała – zaciskała zęby i wsiadała z walizkami, tłumokami, mężem, dziećmi i teściami do pociągu niczym zesłaniec. Tak przynajmniej się czuła. Dębki nie wywoływały w niej żadnych dobrych uczuć. Dom, do którego jechali, był pozbawiony wielu podstawowych wygód, jak chociażby łazienka, o bieżącej wodzie nie wspominając. Sławojka stała na tyłach podwórza, w drugim zaś jego końcu – studnia. Jeżeli lato nie było ani słoneczne, ani gorące, w domu panowała przejmująca wilgoć. A gdy do tego dodać bezustanny brak najpotrzebniejszych towarów w sklepach i konieczność wystawiania w kolejkach po niemal każdy artykuł żywnościowy, otrzymywało się prawdziwy obraz wakacyjnego „raju”.

Siostra Marcina, Zosia, zbuntowała się przeciwko tym „rozkoszom”, gdy tylko zdała maturę. Namawiała też do buntu Annę, ale oczywiście bezskutecznie.

– Ani ty, ani dzieci nie lubicie tam jeździć – judziła. – Tylko mi nie wmawiaj, że jest inaczej. Moi rodzice są niereformowalni. Wmówili sobie dawno temu, że jest im tam dobrze, bo innych wakacji sobie nie wyobrażają, chociaż potem, po powrocie, przez pół roku jedno i drugie narzeka na reumatyzm. Ale za jakie grzechy ty masz tak pokutować? Tak naprawdę zadowoleni są jedynie starzy, bo mają przy sobie wnuki, a przy okazji ciebie na oku, i ten kretyn, mój braciszek, bo przez trzy tygodnie cieszy się, że ma mieszkanie w Warszawie tylko dla siebie. Poza tym dobrze wiesz, że część tego czasu twój mąż spędza we Wrocławiu. Wszyscy wiedzą, nawet matka, tyle że w Dębkach, z dala od warszawskich problemów, łatwiej jej wmawiać sobie, że kochany Marcinek naprawdę, niczym przykładowy mąż i ojciec, ciężko pracuje na utrzymanie przebywającej na wakacjach rodziny. Matka nie potrafi przyznać się do klęski, ale ty nie marnuj sobie życia. Nie marnuj urlopu na kolejny durny wyjazd.

– Dobrze wiesz, co się będzie wtedy działo – mruknęła w odpowiedzi Anna, co już było w jej przypadku niezwykle, do tej pory bowiem nie podejmowała dyskusji z Zosią.

Szwagierka zresztą zaraz to podchwyciła.

– Tak? I co z tego? Ten kretyn powrzeszczy, ale cię przecież nie zabije. To w gruncie rzeczy tchórz, kiedy w końcu przejrzysz na oczy i mi uwierzysz? A lamenty matki? – Machnęła lekceważąco ręką. – Słyszę je od urodzenia. Tak, czasem autentycznie jestem pewna, że pamiętam, jak biadoliła nad moim łóżeczkiem, gdy byłam niemowlęciem. Jej siostra mi mówiła, że matka nie umiała wziąć się do żadnej roboty. Gdy Marcin był mały i nie dawała sobie z nim rady, bo

bez przerwy darł gębę, to biegła z płaczem do swojej mamusi i babka zabierała wnusia do siebie na kilka godzin, dodatkowo go rozbestwiając. Efekty widać jak na dłoni. Gdy ja się urodziłam, babka nie miała już tyle sił co dawniej, a pewnie i ochota też jej przeszła, by pomagać córce przy następnym dzieciaku. No i matka musiała zająć się mną sama. Zawsze była niezaradna i płaczliwa, nie przejmuj się nią. Pomyśl lepiej o sobie, a jeśli nadal chcesz się bawić w męczennicę i uczynić z siebie ofiarę całopalną, to przynajmniej zlituj się nad swoimi dziećmi. W imię czego one mają tak cierpieć, zarówno w dniu powszednim, jak i od święta, a nawet w wakacje. Już się prawie nie uśmiechają, są zbyt spokojne, zbyt... wycofane. Każdy to widzi, tylko nikt nie ma sumienia ci o tym powiedzieć.

*

Słowa Zosi poruszyły Annę tak jak jeszcze nigdy, zwłaszcza te ostatnie, dotyczące dzieci. Obiecała sobie nawet, że weźmie sobie do serca to, co usłyszała, i chyba obiecała to także szwagierce, choć tego akurat nie była taka pewna.

Potem jednak, gdy pożegnała Zosię i wróciła do swojej codzienności, machnęła ręką i na ostrzeżenie dziewczyny, i na swoją ewentualną w tej sprawie obietnicę. Nie było sensu analizować czegoś, czego nie mogła zmienić, na co – jak wciąż uważała – nie miała żadnego wpływu. Każdego dnia oczekiwała komunikatu od męża o tym, że bilety na pociąg są już kupione i czas pomału zacząć się pakować. Czekwała na to z rezygnacją, niczym skazaniec na wykonanie wyroku.

Pytanie brata, zadane kilka dni po rozmowie z Zosią, nagle wywołało w niej żywsze reakcje. Po raz pierwszy od lat obudził się w niej gniew, pragnienie odmiany losu i... odwetu. Gdy tylko odwarknęła Łukaszowi, że ma inne sprawy na głowie, natychmiast poczuła, jak napinają się jej mięśnie.

– No tak... Pewnie jak zwykle pojedziecie do Dębek – odparł Łukasz. I Anna wyraźnie usłyszała w jego głosie pojednawczy, łagodny ton, współczucie.

Uznał, że nie będzie dalej drażył i zadawał pytań dotyczących planów na wakacje. Nie chciał jej dłużej stresować i denerwować. Przecież i tak był pewien, że siostra jak zwykle posłusznie uzna zdanie męża.

Na samą myśl o tym krew w niej zawrzała.

– Skąd ta pewność, że wybieram się do Dębek? – spytała ostro i z satysfakcją dostrzegła zdumienie w oczach brata.

– Nie wiem. Zakładałem, że...

– Przecież ci powiedziałam, że mam teraz inne sprawy na głowie.

– Jakie sprawy?

I w tym momencie do Łukasza dotarło, że lepiej było nie zadawać tego ostatniego pytania. Nie powstrzymał się tylko dlatego, że do głowy przyszło mu absurdalne przypuszczenie, że siostra postanowiła zostawić wreszcie tego tępego idiotę. Anna jednak zagadnęła go w zupełnie innej kwestii – czym go kompletnie

zaskoczyła.

– Gdzie zamieszkał twój brat Maciek, gdy razem z rodziną wrócił w czterdziestym szóstym roku do Polski?

– Co takiego? – Łukasz miał wrażenie, że otaczający go świat nagle zatańczył mu przed oczami. Zaraz jednak otrząsnął się i od razu napotkał wpatrzone w niego brązowe oczy siostry. W ułamku sekundy nawiedziło go kolejne niesamowite wrażenie – że stoi przed nim Izabella Seigner. Cholera, obie miały niemal identyczne oczy. I patrzyły tak samo. Czemu wcześniej tak go to nie uderzyło?

– Przecież go odwiedzałeś. Ja nigdy, ale to był w końcu twój brat i... twoja bratowa. Chodziłeś do nich.

– Na co ci to? – Po raz kolejny postanowił wziąć się w garść. Obejrzał się niecierpliwie w nadziei, że może matka kupiła już wszystko, co trzeba, i zbliża się w ich kierunku. Jednak, jak na złość, wciąż jej nie widział.

– Nie możemy choć raz porozmawiać jak dwoje dorosłych ludzi? Nie zauważyłeś, że już dawno przestałam być dzieckiem?

– Trudno to zauważyć, skoro tak często zachowujesz się jak dziecko. – Tym razem zdecydował się na otwarty kontratak. Widział, że ta metoda wytrąca Annie broń z ręki. Zaraz jednak przypomniał sobie, że tak było jedynie wtedy, gdy atakował ją Marcin. Tylko w jego obecności chowała pazury i stawiała się pokorna. W obecności innych potrafiła, jeśli chciała, okazać swoją dawną, wojowniczą, upartą naturę.

– Ty i matka nigdy mi o niczym nie mówiliście. Dlaczego nie mielibyśmy porozmawiać o naszej rodzinie?

– Dlaczego nie chcesz porozmawiać o swojej, w której żyjesz teraz?

– Bo to nic nie da, jeśli nie dowiem się o sprawach, które mogły mnie ukształtować już dawno temu. Najpierw muszę spróbować zrozumieć tamto... zrozumieć przeszłość.

Zdumiały ją własne słowa. Tak jakby ktoś je włożył w jej usta. Dotąd nigdy w taki sposób nie rozumowała. A może i rozumowała, ale nigdy w pełni sobie nie uświadamiała, tak jak teraz.

– To bez sensu – odparł po chwili Łukasz. – Po co ci ich adres? Jest już nieaktualny.

– Chcę wiedzieć.

– Ciebie to nie dotyczy.

Przeraził ją jego ton. Nie krzyknął, ale też nie powiedział tego spokojnie. Tak jakby miał ochotę krzyczeć na całe gardło, lecz w ostatniej chwili z trudem nad sobą zapanował.

– Co mnie nie dotyczy? – spytała przestraszona i zaintrygowana.

Łukasz cofnął się o kilka kroków i ponownie obejrzał na alejkę. Czuł się

dokładnie tak jak wtedy, gdy był jeszcze dzieckiem, a potem gimnazjalistą, i czekał na przyjazd matki. Hortensji jednak w dalszym ciągu nigdzie nie widział. Do licha, ile czasu trzeba, by kupić kwiaty i znicze? Handlarka stała przecież przy samej bramie.

– Nawet ich dobrze nie znałaś. Przyznaj się, do czego jest ci potrzebny ich stary adres?

– Skąd wiesz, że jest nieaktualny? – odpowiedziała pytaniem, bo to właśnie przyszło jej nagle do głowy.

– Jak to? – Jego zdumienie było jak najbardziej prawdziwe.

– No tak. Skoro nie utrzymujecie kontaktu z Solange, to skąd pewność, że ona już tam nie mieszka?

– Bo tam byłem... kiedyś. I dowiedziałem się, że wyjechała.

Postanowiła go sprawdzić.

– Kiedy to było?

– Kiedy stąd wyjechała?

– Kiedy tam poszedłeś?

– Jakieś dziesięć lat temu.

– Dokąd wyjechała?

– Co cię to obchodzi?

– A więc nawet tego nie wiesz. Matka pewnie też nie wie.

– Może wiem. Domyślam się. Ta stara nie puściła pary z gęby.

– Stara? Nasza matka?

– Nie! Mówię o tamtej babie, u której mieszkali.

– Solange wróciła do Francji?

– Możliwe. Nie wiem.

– Matka też nie wie?

– Nie rozmawiamy o tym. Zresztą kogo to obchodzi? Co cię naszło?!

– Nie mnie. Izę. – Anna postanowiła zagrać w otwarte karty. – Ona chce znaleźć Solange i z nią porozmawiać.

– No tak. Mogłem się tego domyślić. A teraz posłuchaj. Nie mam najmniejszego zamiaru...

– Nie obchodzi cię, dlaczego Izie na tym zależy?

– Ani trochę. Nie wiem, co ona kombinuje, ale...

– Iza podejrzewa, że może chodzić o przyjaciółkę Joanny z czasów, gdy jeszcze obie studiowały. Solange mogła być przy narodzinach Izy.

– I co z tego? Czy adres na Tamce może jej w czymś pomóc?

– Na Tamce?

Łukasz przeklął w duchu własną nieuwagę, ale zaraz potem przyszło mu do głowy, że w sumie niepotrzebnie robi z tego adresu kolejną rodzinną sensację, jakąś zagadkę, która bez wątpienia podziałała na wyobraźnię siostry... i tamtej we

Francji. Przecież to tylko głupi adres, nic więcej. Nawet jeśli Izabella Seigner ubzdurała sobie, że musi koniecznie znaleźć Solange Boguszewską, to znajomość jej dawnego adresu w Polsce z pewnością na niewiele jej się przyda. Lecz tłumacz to babom! Kątem oka zauważył wreszcie nadchodzącą matkę i towarzyszące jej wnuki. Wolał, by nie dowiedziała się, o czym rozmawiał z siostrą, więc szybko potwierdził:

– Tak. Tamka jedenaście, na pierwszym piętrze. Numeru mieszkania nie pamiętam, ale tam tylko są dwa lokale na klatce schodowej. Zapytaj o Szeptyckich, oczywiście o ile jeszcze oni się stamtąd nie wynieśli, choćby na tamten świat.

Mówił to niechętnie, niemal zaczepnie, ale Anna natychmiast poczuła mrowienie na całym ciele. Coś jej jednak podpowiadało, by nie okazać przed bratem entuzjazmu. Niech lepiej myśli, że ona sama nie przywiązuje do tej wiadomości większej wagi, a jedynie spełnia prośbę krewniaczki z Francji.

Skinęła niezobowiązująco głową.

– Dziękuję. Napiszę o tym Izie, skoro tak jej na tym zależało.

– To wszystko? – Łukasz nie krył zaskoczenia. Spodziewał się bardziej żywiołowej reakcji po tej lawinie pytań, którą go zarzuciła.

– Tak. Co więcej mogę zrobić?

Zabrzmiało to logicznie, ale jej nie uwierzył. Podświadomie czuł, że nie powiedziała mu prawdy.

ROZDZIAŁ 20

Tamka 11. Trafiła tam bez większych problemów. Zanedbana, stara kamienica, jakich wciąż pełno w Warszawie. Skrzypiąca przeraźliwie brama, brudne podwórko i trzepak jako jedyne miejsce do zabawy dla hałasującej tu dzieciarni. Tak, przynajmniej dzieci nie brakowało.

Poczyniwszy te mało odkrywcze spostrzeżenia, Anna zatrzymała się niepewnie i rozejrzała wokół. Na bocznej ścianie zauważyła ślady po kulach, pewnie z powstania.

– Szuka pani kogoś?

Niemal podskoczyła ze strachu, gdy usłyszała te słowa i ten głos – głuchy, jakby dochodził spod ziemi. Jakby odezwał się do niej ktoś zmarły. Tymczasem obok stał starszy człowiek w roboczym ubraniu, z miotłą w ręku, zapewne dozorca. Przyglądał jej się nieufnie, jak zapewne każdej osobie, która pojawiała się w jego rewirze. Może od dziecka nie ufał obcym, a może nauczył się tej cechy w czasach okupacji i potem. Anna z doświadczenia wiedziała, że wielu ludzi, zwłaszcza starszych, a nawet tych w średnim wieku, tak właśnie reagowało na nieznanym.

– Czy państwo Szeptyccy jeszcze tu mieszkają? – spytała, a jej głos zadrżał, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

Być może to drżenie spowodowało, że nieufność dozorca wzrosła.

– A po co ich pani szuka?

– Jest pan ich krewnym? – spytała już pewniejszym tonem. Stary zaczynał ją irytować.

– Nie, ale...

– Wobec tego nie powinno pana interesować, dlaczego ich szukam.

Jej zdecydowany ton sprawił, że stary człowiek stracił rezon.

– Pierwsze piętro, proszę dzwonić pod czwórkę. Zdaje się, że chłopak teraz u nich jest.

„Chłopak? Jaki chłopak?” Anna jednak wolała nie pytać, tym bardziej że dozorca wprawdzie udzielił jej koniecznej informacji, ale patrzył na nią z wyraźną już wrogością.

„Tak jakbym była z milicji” – pomyślała. „Albo coś w tym rodzaju”.

Tak. To akurat było możliwe, że tak właśnie pomyślał, ale oczywiście nie miała zamiaru niczego mu wyjaśniać, usprawiedliwiać się ani go uspokajać. Zwłaszcza że ledwo uszła dwa kroki, obcas jej utknął w szczelinie między krzywymi płytami chodnika. Z irytacją wydobyła pantofel, napotkawszy pełne ponurej satysfakcji spojrzenie staruszka.

Na klatce schodowej uderzyła ją zatechła woń zaniedbania i starości, a także gotowanych potraw. Nie było dzwonka przy drzwiach, więc głośno i energicznie zastukała. Wiedziała, że przynajmniej niektórym z sąsiadów taki sposób pukania

źle się kojarzy, zaraz też usłyszała, że za jej plecami uchylły się inne drzwi, ale kiedy tam spojrzała, ktoś pospiesznie je zamknął.

„Co za obłąd. Kiedy wreszcie nauczymy się normalnie żyć i nie lękać się siebie nawzajem?”

Chciała zastukać jeszcze raz, ale usłyszała odgłos otwieranej zasuwki i w progu mieszkania numer cztery zobaczyła młodego, najwyżej dwudziestoletniego chłopaka. Przynajmniej on uśmiechnął się na jej widok, pierwsza osoba w tej kamienicy. Zaraz zresztą zagadka tego przyjaznego gestu się wyjaśniła.

– O! Pani profesor! – niemal zawołał.

Był trochę zdumiony, Anna nie mniej, dlatego w pierwszej chwili nie wiedziała, jak ma zareagować. Młody człowiek nie stracił jednak rezonu.

– Jurek Zawiślak jestem. Chodzę do Słowackiego, to znaczy do liceum, ale pani profesor mnie nie uczy. Jestem w klasie profesora Szumberta.

– Aha... – Nadal nie wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć. Co za dziwna sytuacja. Zupełnie się takowej nie spodziewała.

– Przyszła pani do państwa Szeptyckich? – spytał z zainteresowaniem.

– Tak. – Uczucie tremy wciąż jej nie opuszczało. Tłumaczyła się przed uczniem, choć szczęśliwie nie był to jej uczeń. – Nie byłam umówiona, ale...

– Umówiona? – zdziwił się chłopak, wybałuszając na nią oczy.

„No tak” – pomyślała Anna. Kiedy się wreszcie nauczy, że czasy się zmieniły, a zwłaszcza młodzi ludzie nie znają już zwyczaju pokazywania wizytówek i umawiania się na wizyty. Ten chłopak, Jurek jakiś tam – zapomniała jego nazwisko – pewnie doszedł do wniosku, że pomyliła Szeptyckich z nie wiadomo jakim urzędem.

– Nieważne. – Nadludzkiem wysiłkiem wykrzywiła twarz w uśmiechu. – Czy zastałam w domu państwa Szeptyckich?

– Jasne. Dokąd by mieli pójść? To znaczy pan Kazimierz pewnie zaraz wyjdzie na spacer albo spotka się z jakimś znajomym, ale jego żona... Zresztą sama pani pewnie wie.

„Co takiego mam wiedzieć?”

Postanowiła choćby częściowo udzielić mu pewnych wyjaśnień. W przeciwnym wypadku chłopak może poczuć się zaskoczony i kto wie, jak zareaguje, gdy zorientuje się, że Szeptyccy jej nie znają.

Być może potraktuje ją tak samo nieufnie jak stróż na dole.

– Nigdy dotąd nie byłam u państwa Szeptyckich.

– Tak? – Jednak nie zrobiło to na nim większego znaczenia. – Niech pani wejdzie dalej.

– Dziękuję. – Naprawdę była mu wdzięczna, że nie zażyczył sobie dokładniejszych wyjaśnień. Dzięki Bogu, że młodzi ludzie nie są tak podejrzliwi

jak starsi. Dzięki Bogu, że nie dzielą ich doświadczeń. Ich ignorancja i niewiedza może czasem i drażni, ale tak naprawdę to przecież nie ich wina. W szkole poznają tylko część prawdy o przeszłości, tę oficjalnie dopuszczoną do głosu. Rodzice i dziadkowie rzadko kiedy mówią im więcej, może nie chcą bez końca tkwić w przeszłości, a może boją się ryzyka, które zawsze towarzyszy ujawnianiu niewygodnych faktów. Zresztą, mniejsza z tym. Teraz Anna cieszyła się, że Jurek bez problemów prowadził ją w głąb mieszkania.

– Jesteś wnukiem państwa Szeptyckich? – zdążyła go jeszcze zapytać.

Uśmiech znikł mu z twarzy.

– Nie – odpowiedział, zatrzymując się na chwilę w korytarzu. – Ale pani Teresa czasem tak myśli, więc niech się pani nie dziwi.

– Jurek! Kto przyszedł? Listonosz? – Z pokoju rozległ się głos, ale zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, stanął przed nimi starszy człowiek. Na widok Anny zatrzymał się i obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

– Nie – odparł szybko Jurek. – To pani Anna Brzeska, uczy francuskiego w mojej szkole i właśnie...

– Czyżby podejrzewała, że wagarujesz, i wysłedziła, gdzie się ukrywasz podczas zajęć szkolnych? – zażartował starszy pan.

– Przyszłam do państwa w innej sprawie – odparła Anna, czując, że jej twarz zalewa fala gorąca. – Fakt, że zastałam tutaj Jurka, to czysty przypadek, który mnie samą zaskoczył.

– Tak bywa. Proszę wejść do pokoju.

– Dziękuję, ja... – nie zdążyła dokończyć, bo zza drzwi pokoju rozległ się kolejny głos:

– Czy to komornik? A może znowu milicja? Jezus Maria, cały czas się bałam.

Pan Szeptycki ujął Annę pod łokieć i wprowadził do niedużego, zastawionego starymi meblami pokoju, gdzie w fotelu siedziała zalekniona starsza kobieta. Szybko do niej podszedł i położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu.

– Nie denerwuj się, Tereniu. Pani przyszła nas odwiedzić i porozmawiać. Wszystko jest w porządku.

Stremowana Anna podeszła do Szeptyckiej i nieśmiało wyciągnęła do niej rękę, nie będąc pewna, jak staruszka zareaguje na ten gest. I faktycznie, jak zresztą należało się tego spodziewać, pani Teresa nie odwzajemniła gestu, a nawet wraz z fotelem nieznacznie się cofnęła.

– Nazywam się Anna Brzeska – przedstawiła się ponownie zarumieniona Anna. – Proszę mi wybaczyć, nie chciałam państwa niepokoić, ale mam pewną, może trochę nietypową sprawę.

– Basia się odnalazła? – spytała starsza kobieta z nagłym zainteresowaniem.
– Wiedziałam, że tak się stanie. Ale to chyba jeszcze gorzej. – Naraz głos się jej

załamiał. – Jak ja jej powiem, że Boluś nie żyje?

– Nie, ja... – Anna rozpaczliwie obejrzała się na pana Kazimierza, który ponownie pogłaskał żonę po ramieniu.

– Nie, Tereniu. Pani w innej sprawie... – W tym momencie przerwał. Przecież sam jeszcze nie wiedział, co było powodem wizyty nauczycielki Jurka.

Anna natychmiast zrozumiała jego zakłopotanie i zbliżyła się do staruszki. Nie zdążyła jednak niczego wyjaśnić, bo tamta niespodziewanie chwyciła ją za obie dłonie, tym samym niemal zmuszając, by Anna przyklękła obok niej, a następnie dotknęła jej włosów.

– Ja przecież wiem, że ty nie jesteś Basią – powiedziała, a pod jej spojrzeniem, i pod dotykiem drżących dłoni na włosach, Annę przebiegły dreszcze po całym ciele. – Chociaż Basia też miała takie jasne, długie włosy – kontynuowała staruszka, jakby coś jej tłumacząc. – Tylko ładniejsze – dodała w przyływie szczerości. – Takie piękne, kręcone pukle. Pamiętasz, Kaziu, zawsze mówiłam, że Boluś najpierw zakochał się w jej włosach.

– Tereniu, kochanie – próbował zareagować pan Kazimierz, ale odsunęła go od siebie. Ponownie skoncentrowała uwagę na Annie.

– Wiesz, myślę, że Basia też już nie żyje. Nie wiem tylko, dlaczego wszyscy to przede mną ukrywają. Przecież każdy potem opowiadał, że Niemcy zabijali na Woli wszystkich, wyciągali ludzi z domów i piwnic, a czasem palili w tych piwnicach. Tylko mam nadzieję, że wcześniej nic jej nie zrobili, no wiesz... Tylko mam taką nadzieję, ale tego nie wiem... Tego nie wiem... Może jednak umarła szybko, tak jak Boluś? – dodała z nagłą otuchą w głosie. – Może od dawna są już razem... tam?

– Nie myśl już o tym, Tereniu, to na nic. – W głosie pana Kazimierza pobrzmiwały łzy i Annie nagle przyszło do głowy, że z pewnością nie jest zadowolony z jej wizyty. Pewnie oskarża ją, że swoim najściem wywołała upiory przeszłości. Może zaraz poprosi ją, by wyszła? Nie mogła dłużej zwlekać.

Ujęła głaszczące ją po głowie dłonie staruszki i z łagodnym uśmiechem zajrzała jej w oczy.

– Podobno przed laty wynajmowaliście państwo pokój młodej rodzinie? To byli Boguszewscy? – spytała.

W pokoju zaległa prawie martwa cisza. Anna, pan Kazimierz, nawet Jurek mierzyli się spojrzeniami. Tylko pani Teresa nie spuszczała gościa z oczu.

– Skąd pani... Kim pani jest? – spytał ostro gospodarz. Z dawnego przyjaznego tonu nie został nawet ślad.

– Mówiłam już... Nazywam się Anna Brzeska i...

– Po co pani tu tak naprawdę przyszła? Czego jeszcze od nas chcecie? Czy nie widzicie...

Anna pospiesznie przełknęła ślinę. W nagłym przebłysku świadomości

zrozumiała, jak czuła się Iza, gdy i ją z początku krewni w Polsce podejrzewali o Bóg wie co. Gdy Łukasz jasno sformułował te podejrzenia. Łukasz... Przecież on także przyszedł do tego mieszkania przed laty, by dowiedzieć się czegoś o Solange. Jego także potraktowano tu nieufnie, niezyczliwie, tak przynajmniej wynikało z jego słów. Anna ponownie skrzyżowała spojrzenie z Jurkiem i nabrała powietrza w płuca.

– Maciek był pasierbem mojej matki – rzuciła pospiesznie. W pierwszej chwili chciała wyznać, że był jej, Anny, bratem, ale to nie była prawda i być może Szeptyccy wiedzieli, że jedyna siostra Maćka została we Francji. Być może im to powiedział. – Państwo mnie nie znacie, nigdy tu nie przychodziłam. Byłam wtedy dzieckiem. Młodych Boguszewskich odwiedzał tylko od czasu do czasu mój brat, Łukasz.

Odpowiedziało jej początkowo milczenie, ale napięcie wyraźnie opadło. Pan Kazimierz wyraźnie się uspokoił i gestem zaprosił ją, aby usiadła. Zrobiła to, choć zajęła krzesło blisko jego żony. Pani Teresa w dalszym ciągu trzymała jej dłonie i patrzyła... wciąż tak przenikliwie patrzyła.

– Napije się pani herbaty? – spytał Szeptycki i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do chłopca: – Jurek, byłbyś tak dobry i przygotował dla nas herbaty? Przy okazji mógłbyś pokroić to ciasto, które przysłała twoja mama.

– Jasne. Oczywiście – odpowiedział ochotczo chłopak i uśmiechnął się krzepiąco do Anny. Widać i on przyjął z ulgą poprawę nastroju pana Kazimierza.

Gdy zniknął w końcu korytarza, w kuchni, Szeptycki, patrząc w ślad za nim, rzekł:

– Ten chłopak to prawdziwy skarb. Wiele bym dał, aby naprawdę był naszym wnukiem, choć nieraz się zdarza, że rodzony wnuk nie przynosi dziadkom tyle radości, ile ten dzieciak nam.

– A państwo mają własne wnuki? – zaryzykowała nieśmiało pytanie Anna. W tonie starszego pana było coś, co momentalnie chwyciło ją za serce.

– Obaj nasi synowie nie żyją – odparł po dłuższej chwili Szeptycki. – Bolek zginął w powstaniu... Basia była jego żoną. – Zerknął na staruszkę. Anna podążyła za jego wzrokiem, ale pani Teresa nie zareagowała na słowa męża, tak jakby jej myśli kręciły się teraz wokół zupełnie innych spraw. W dalszym ciągu jednak patrzyła uważnie na młodą kobietę. Pan Kazimierz wobec tego odchrząknął i powrócił do przerwanej wątku: – Terenia ogromnie lubiła Basię, jak córkę. Ja zresztą też, to była dobra dziewczyna. Prawdopodobnie Niemcy zabili ją podczas pacyfikacji Woli. Słyszała pani pewnie, jakie tam piekło urządzili. Prawdziwe ludobójstwo, zawsze to będę powtarzał. – Poczerwienił na samo wspomnienie. – Nie znaleziono jej ciała, ale podobno cały dom zrównali z ziemią, a wszystkich, co tam się znajdowali... Basia podobno też tam była, opiekowała się chorą matką.

– A pana drugi syn? Też zginął w powstaniu?

– Nie – padła stanowcza odpowiedź. – On... już po wojnie.

„Po wojnie. Jak Maciek” – Anna miała wrażenie, że włosy na głowie stanęły jej dęba. Momentalnie zrobiło jej się zimno. Bała się tego, co teraz usłyszy, mając nadzieję, że starszy pan nie będzie opowiadał o śmierci syna.

Na szczęście nie kontynuował wątku, a jedynie westchnął.

– Jurek jest synem Jacka, przyjaciela naszego syna Bolka. Obaj zawsze trzymali się razem. Jacek, jak tylko wrócił do Warszawy w czterdziestym piątym, od razu do nas przyszedł i pomógł nam jak rodzony syn. Dalej tak jest. Przychodzą do nas całą rodziną w każde święta, zapraszają do siebie. Dzięki nim nie jesteśmy sami. Straszny jest los samotnych starych ludzi, którym zostały tylko wspomnienia.

– Wynajęli państwo pokój Maćkowi, jego żonie i dziecku. To bardzo szlachetne z państwa strony. Przyjąć pod swój dach nieznanym ludzi, w dodatku z małym dzieckiem, to naprawdę niezwykle. – Anna zaczęła delikatnie naprowadzać Szeptyckiego na właściwy cel swojej wizyty. Mimo wszystko jednak nie mogła wyjść z podziwu, że pogrążeni w żałobie ludzie chcieli mieć u siebie w mieszkaniu młode, zakochane małżeństwo. A może potrzebowali obecności właśnie młodych ludzi? Zagadka zresztą zaraz się wyjaśniła.

– Maciek nie był nam obcy. Był kolegą naszego drugiego syna, Romka. Razem chodzili do gimnazjum. Potem wyjechał do Francji na studia, ale gdy przyjeżdżał na wakacje, zaraz odwiedzał Romka. Razem jeździli w góry. Chyba nie czuł się za dobrze w majątku ojca, w Bolesławicach. Potem, gdy jego ojciec zmarł, a macocha wyszła drugi raz za mąż, już tam prawie nie bywał. – Przerwał zakłopotany, nie będąc pewnym reakcji gościa. Anna jednak zachęciła go uśmiechem, by mówił dalej. – Do nas lubił przychodzić i nawet namawiał Romka, by ten go odwiedził w Paryżu, ale... wybuchła wojna i nic z tego nie wyszło. A potem nagle zapukał do naszych drzwi w czterdziestym szóstym. Mówię pani, końca świata bym się bardziej spodziewał jak jego. Powiedział, że wrócił do kraju. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. „Wracaj natychmiast do Francji” – powiedziałem. „Na litość boską, wracaj, bo jeszcze trochę, a czerwoni cię stąd nie wypuszczą”. A on, pamiętam to jak dziś, spojrzał tylko na mnie, tam w progu, na korytarzu, i zapytał o Romka. „Czy Roman jest w domu?” Jezus Maria!

Dalszą opowieść przerwało nadejście Jurka. Szedł trochę nieporadnie, trzymając ostrożnie w rękach tacę z filiżankami i sporym dzbankiem herbaty.

– Trzeba było przynieść wszystko z osobna, a nie zawracać sobie głowę tacą – zagderał, ale dość życzliwie, Szeptycki. – Tylko patrzeć, aż cała zastawa wylądzuje na podłodze.

– Spokojna głowa, panie Szeptycki! – skomentował ze śmiechem chłopak. – Moja mama zawsze mówi, że trzeba zachowywać dobre obyczaje w każdej sytuacji. Jej zdaniem herbatę i kawę podaje się zaparzone w dzbanku i przynosi na tacy razem z filiżankami. Tak ma być – niezależnie od tego, jaki ustrój polityczny

panuje w kraju.

– A co z ciastem? Dobre obyczaje zabroniły ci przynieść je do stołu, mądralo?

– Ciasto się nie zmieściło na tacy. – Jurek mrugnął do Szeptyckiego. – Ale bez obawy, zaraz przyniosę, tyle że osobno. Nie zjadłem całego po drodze, daję słowo.

– Szelma jeden! – Pan Kazimierz uśmiechnął się z zadowoleniem, nalewając herbaty do filiżanek, a kiedy Jurek postawił wreszcie na stole drożdżowe ciasto, zaprosił go, by usiadł razem z nimi.

– Nie, nie trzeba. Pójdę już, nie będę przeszkadzał w rozmowie – odparł Jurek, ale Szeptycki był stanowczy.

– Siadaj, mówię. Nie bój się, twoja pani profesor na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, że usłyszysz, o czym tu opowiadam. – Spojrzał przy tym znacząco na Annę, dając jej do zrozumienia, że nie będzie brał pod uwagę jej ewentualnych protestów w kwestii obecności chłopca.

– Mam jutro klasówkę z matmy. Muszę wracać do domu i się pouczyć – zmieszwał się nagle Jurek.

– Siadaj, mówię. – Pan Kazimierz był nieugięty. – Tego, co tu usłyszysz, w szkole ci nie powiedzą. A matematyka ci nie ucieknie.

– Oczywiście, będzie nam miło, gdy z nami zostaniesz – odparła nie mniej od Jurka zmieszana Anna.

Nie brała pod uwagę obecności ucznia ze swojej szkoły przy tej rozmowie, ale nie miała cienia wątpliwości, że takie było życzenie Szeptyckiego.

Zasiedli więc razem, a pan Kazimierz kontynuował przerwana opowieść.

– Na czym to ja skończyłem... zaraz...

– Że kazał pan tamtemu panu, aby wracał do Francji, a on zapytał o Romka – podpowiedział Jurek i zaraz poczerwieniał.

– A więc podsłuchałeś z kuchni to i owo? – zażartował starszy pan.

– To raczej pan za głośno mówił. A gdzie ostrożność? – odparł wesoło chłopak.

– Co za szelma! Szelma prawdziwa, powtórzę to jeszcze sto razy! A czego to ja się mogę jeszcze bać? Jestem stary, co mi mogą zrobić? Teraz, gdy... – zawiesił głos. – Wszystko, co najgorsze, i tak już się stało. A w moim domu zawsze będę mówił, co chcę i jak chcę.

– Powiem Mani, żeby wstawiała obiad. Chłopcy zaraz wrócą ze szkoły – odezwała się nagle pani Teresa i wykonała taki ruch, jakby chciała się podnieść z fotela.

Pan Kazimierz delikatnie, ale i stanowczo ją powstrzymał.

– Nie martw się, Tereniu. Mania już o wszystkim pomyślała – powiedział smutnym, zmęczonym głosem.

– Pójdę do kuchni i przypilnuję jej.

– Nie trzeba. – Uśmiechnął się do niej łagodnie. – Sama wiesz, że Mania tego nie lubi. Gotowa się jeszcze obrazić, że jej nie ufasz.

– Tak, masz rację – odparła pani Teresa, choć bez przekonania. Ponownie przeniosła spojrzenie na Annę.

– Maciek zapytał o Romana – zaczął po chwili mówić Szeptycki. – O niczym nie wiedział. Powiedziałem mu więc, że Romek... no, że Romek nie żyje. Dzięki Bogu, że jak już mu śmierć była pisana, to z bronią w ręku w lesie, a nie w jakiej katowni... – przerwał, jakby zabrakło mu tchu. W jego oczach pojawiła się obawa, że Anna zapyta go o szczegóły śmierci syna, o okoliczności i tak dalej, a kiedy tego nie zrobiła, ledwo dostrzegalnie odetchnął z ulgą. – Terenia już wtedy nie była taka jak wcześniej. – Rzucił krótkie spojrzenie na żonę. – Bardzo to przeżyła. Najpierw jeden syn, potem drugi... i Basia, ale jej stan był i tak dużo lepszy niż teraz. Poznała Maćka, ucieszyła się, że go widzi, a jak nam powiedział, że wrócił do kraju z żoną i synem, tylko musi poszukać lepszego lokum, bo w jakiejś ruderze mieszkali, to zaraz zaproponowała, aby wprowadzili się do nas. Tak, proszę pani, to Terenia pierwsza wpadła na taki pomysł. Mamy trzy pokoje i zawsze był strach, że nam kogoś dokwaterują, jakiegoś obcego. Ratowaliśmy się przed tym, jak mogliśmy. Najpierw kuzynka żony z mężem u nas mieszkała, potem sąsiedzi z drugiej ulicy, gdy im się dom spalił. Ale wszyscy się w końcu wyprowadzili, a kiedy zostaliśmy sami, baliśmy się, że urzędnicy długo nas w spokoju nie zostawią. Dokwaterują jakichś obcych, nie wiadomo skąd, i potem tylko nerwy i strach, co dalej. Maciek i jego żona spadli nam jak z nieba.

– Ona była Francuzką – odezwała się Anna. – Nie mieliście państwo problemów, aby się z nią porozumieć?

– Żadnych. Żona za młodu uczyła francuskiego w szkole, tak jak pani. Ja byłem z dobrego domu, rodzice dbali o moje wykształcenie.

– Ach tak. – Anna od razu poczuła się swobodnie. Rzadko miała okazję rozmawiać z ludźmi reprezentującymi przedwojenną inteligencję. Z ludźmi, z którymi łączyło ją pewnego rodzaju duchowe i kulturowe pokrewieństwo. Od razu pomyślała o swoich teściach i ich krewnych, o Marcinie już nawet nie wspominając, i uśmiechnęła się z politowaniem. Oczywiście nie powinna była szydzić z ich poziomu intelektualnego i prostackich niekiedy obyczajów. Nie ich wina, że odebrali takie, a nie inne wychowanie. Jednak nic nie mogła poradzić na to, że tylko w ten sposób miała możliwość się na nich odegrać. Choćby za przymusowe wyjazdy do Dębek.

– Jak wam się razem mieszkało? – spytała, zdając sobie sprawę, że pan Kazimierz czeka na jej reakcję wobec tego, co już powiedział.

– Bardzo dobrze – odparł, a w jego oczach dostrzegła autentyczne wzruszenie. – Tak jakbyśmy mieszkali z którymś z naszych chłopców...

z synową... z wnuczkiem.

– A ona? Jaka była? – Anna nie potrafiła już dłużej powstrzymać tego pytania, a ponieważ pan Kazimierz spojrział na nią zaskoczony, zaraz usprawiedliwiającym tonem dodała: – Ja zaledwie ją poznałam. Nasze rodzinne relacje... – Zawahała się. – Zawsze mnie dziwiło, że ona w ogóle zgodziła się tu przyjechać. Przecież mogli zostać we Francji, mogła go do tego nakłonić, nawet zmusić. Pomijając niebezpieczeństwo, na które się narażali, wracając do Polski z Zachodu w tamtych czasach, przecież Maciek musiał wiedzieć, co spotykało tych, którzy postanowili wtedy wrócić do Polski, to we Francji mieli zapewnione lepsze warunki do życia. Nie wierzę, by rodowita Francuzka zrobiła to z przekonaniem. Powinna była protestować, błagać go... Przecież podobno bardzo ją kochał.

Mówiąc to, Anna z trudem tłumiała wewnętrzną irytację. Na miejscu Solange nie zgodziłaby się na przyjazd do Polski. Zostałaby tam, w Paryżu czy w innym miejscu Francji... tak jak Joanna. Gdyby Solange postawiła się okoniem, Maciek prawdopodobnie żyłby do dziś dnia. Z drugiej jednak strony...

„Jakie mam prawo osądzać tamtą kobietę, skoro właściwie nie wiem, co sprawiło, że tu przyjechali? Może on się uparł, a ona tak go kochała, że zgodziła się na wszystko, nawet na niepewny los dla niej i ich dziecka. Ona przynajmniej zrobiła to z miłości. A ja? Ja wyjeżdżam do Dębek ze strachu. I śmiem osądzać innych”.

– Solange była niezwykłą kobietą – usłyszała i zaraz spuściła wzrok pod przenikliwym spojrzeniem pana Kazimierza. Miała paskudne wrażenie, że czytał w jej myślach. – Bardzo dzielną – dokończył tonem pełnym wzruszenia, podziwu i szacunku.

Anna poczuła łzy pod powiekami i chciała natychmiast zadać następne pytanie, a potem następne i następne, ale nie zdążyła. Poczowała na policzku pełne czułości dotknięcie pani Teresy. Usłyszała jej słowa:

– Solange? Jednak do nas wróciłaś. Zawsze wiedziałam, że tak będzie.

ROZDZIAŁ 21

Wracała do domu jak odurzona. Po drodze zajrzała do dwóch sklepów, ale z mięsnego natychmiast wyszła. Widok kłębiącego się tłumu sprawił, że natychmiast zmieniła plany dotyczące menu obiadowego. Przygotuje jakieś jarskie danie, może naleśniki. Tak, naleśniki, dzieci za nimi przepadały.

Odebrała Krzysia z przedszkola. Wychowawczyni znowu miała do niej o coś pretensje i choć wysłuchała jej z uprzejmym wyrazem twarzy, jednak nawet nie starała się dobrze zrozumieć ani tym bardziej zapamiętać jej uwag.

– Mamusiu, co będziemy dziś jeszcze robili? – spytał Krzyś, gdy wreszcie opuścili budynek przedszkolny.

Dopiero pytanie synka obudziło ją z roztargnienia. Rozejrzała się wokół i roześmiała.

– Odbierzemy Kasię z lekcji muzyki, wrócimy do domu, zjemy coś pysznego, a potem pójdziemy na długi spacer – odpowiedziała radośnie i przytuliła go do siebie. – Jak ci się to podoba?

Po minie synka natychmiast rozpoznała, że jest wniebowzięty. Przytulił się do niej, obejmując ją w pasie rączkami, tak że oboje zatrzymali się na środku chodnika. Zdumieni, a niekiedy zagniewani ludzie mijali ich, czasem potrącali, ale oni nic sobie z tego nie robili.

– Mamusiu, znowu jesteś taka jak wtedy – wyszeptał chłopczyk.

– To znaczy kiedy? – spytała Anna, śmiejąc się, choć równocześnie poczuła łzy pod powiekami. Łzy, głupie łzy, nigdy nie wiedzą, kiedy jest na nie pora. A właśnie teraz czuła się lekko, dobrze, czuła się szczęśliwa. Chyba już wiedziała, co robić, a przynajmniej od czego zacząć.

– Wtedy, gdy przyjechała tamta ciocia z Francji – odpowiedziało radośnie dziecko.

„Tak” – pomyślała Anna. „Jest tak jak wtedy, gdy była tutaj Iza. Gdy spotykałam się z nią i rozmawialiśmy. A ja czułam, że dzieje się coś niezwykłego. Że coś musi się zmienić w moim życiu. Odkrywając przeszłość, zaczęłam przypominać sobie siebie samą sprzed lat. I miałam wrażenie, że jestem tak silna, zuchwała i uparta jak kiedyś. Ale tak było tylko dzięki obecności Izy. Bo potem...”

Potem, gdy Iza wyjechała, wszystko wróciło na stare tory. Wróciło codzienne, ciężkie życie zahukanej, zaniedbanej kobiety, która bała się odezwać we własnym, choć jednak nie do końca, domu; która bała się powiedzieć, że nie ma ochoty na to czy na tamto, jak chociażby kolejny koszmarny wyjazd nad morze. Dla której jedyną ulgą były „służbowe” wyjazdy męża. Wiedziała, że w dużej mierze sama ponosiła za to winę. Nie protestowała, nie walczyła. Lecz – na litość boską – nie miała na to siły. Nie miała też wiary. Prawdziwa wiara podobno przenosi góry. No cóż, ona takiej wiary nie umiała w sobie wskrzesić. Bez Izy, bez

jej kojącej obecności była nikim. Tak właśnie myślała. Do dzisiaj.

„Solange? Jednak do nas wróciłaś...”

„Była niezwykle kobietą. Bardzo dzielną...”

Schorowana, oderwana od rzeczywistości i zamknięta w świecie wspomnień i urojeń stara pani Szeptycka zobaczyła w niej silną, nieustraszoną Solange Boguszewską. Do końca wizyty tak się do niej, Anny, zwracała. To musiał być znak. To musiał być cud, bo Anna teraz czuła się tak, jakby ktoś zaaplikował jej zastrzyk dawnej siły i odwagi. W każdym razie już wiedziała, co dalej robić, a przynajmniej od czego zacząć.

– Czy tata wróci dzisiaj z Wrocławia?

Pytanie dziecka sprowadziło ją na ziemię. Krzyś, odkąd sięgał pamięcią, obserwował, że w obecności jego ojca matka chodziła po domu skurczona i struchlała, jakby o głowę niższa niż w rzeczywistości.

On też się wtedy bał. I Kasia. A jednak wołał się wówczas przytulać do siostry niż do matki. Nawet niewiele od niego starsza Kasia wydawała mu się wtedy silniejszą opoką niż skulona w sobie Anna.

Zawsze o tym wiedziała, ale wołała spychać to w głąb swojej świadomości. Ale już więcej tego nie robi. Jeśli nie dla siebie, musi się zmienić dla swoich dzieci. Musi być dzielna, silna, zdecydowana – dla nich. Taka, jaka była Solange, gdy została sama z dzieckiem.

Przyklękła przy Krzysiu i zajrzała mu z powagą w oczy.

– Nie wiem, czy tata dzisiaj wróci, czy nie – powiedziała spokojnie. – Nikt tego nie wie: ani babcia, ani dziadek, ani ciocia Zosia. Ale to bez znaczenia, bo spędzimy dzisiaj piękny dzień.

Nie była pewna, czy Krzyś jej uwierzył. Sama nie była pewna, czy da radę sprostać swojemu postanowieniu. Jedno było jednak pewne – do późnego wieczora mieli udany dzień. Przedostatni tydzień czerwca przyniósł piękną, słoneczną pogodę, a ponieważ zmrok zapadał późno, można było do woli korzystać ze sprzyjającej aury. Wyhasane dzieci zasnęły zaraz po kolacji, o wpół do dziesiątej wieczorem. Anna usiadła przy szeroko otwartym oknie i zapatrzyła się na rosnący nieopodal kasztanowiec. Wreszcie miała czas, by powrócić myślami do Szeptyckich, do rozmowy przy herbacie w ich domu. Do tego, co powiedziała pani Teresa.

*

– Solange? Jednak do nas wróciłaś. Wiedziałam, że tak będzie.

Anna przypomniała sobie, że pod wpływem tych słów, a także dotyku dłoni starszej pani na swoim policzku wstrzymała na moment oddech. W głosie Szeptyckiej było coś takiego, że nie śmiała zaprzeczyć. Zrobił to za nią pan Kazimierz.

– Nie, Tereniu, to nie Solange. Solange pożegnała się z nami dawno temu i wyjechała. Tak było dla niej najlepiej. Dla niej i dla Piotrusia.

– Mały Pierre? – podchwyciła nagle pani Teresa i nie zwracając już uwagi na męża, odezwała się ponownie do Anny, przechodząc bezbłędnie na język francuski: – Przywiozłaś go ze sobą? Gdzie on jest? To na pewno już duży chłopiec.

Anna spojrzała bezradnie na pana Kazimierza, a potem na Jurka. Obaj byli nie mniej wstrząśnięci od niej i podobnie jak ona zastanawiali się, jak zareagować. Szeptycka wysnuła z ich spojrzeń jak najgorszy wniosek.

– Mały Pierre nie żyje? – spytała ponownie po francusku i rozplakała się. – Coś mu się stało, tylko nie chcesz mi powiedzieć.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała Anna, także po francusku. – Musiał zostać w domu, bo się uczy.

– A ty przyjechałaś nas tylko odwiedzić? Zobaczyć, co się z nami dzieje? A potem wracasz?

Anna przygryzła wargi. Zerknęła na Szeptyckiego, ale on milczał ponuro.

– Tak, madame – potwierdziła. – Muszę wracać.

– Ale znowu przyjedziesz nas odwiedzić? I przywieziesz wtedy małego Pierre’a? – W głosie i w oczach Szeptyckiej było tyle nadziei, że Anna nie widziała innego wyjścia, jak tylko skinąć głową.

– Tak. Przyjedziemy tu razem.

– To dobrze. – Pani Teresa odetchnęła z ulgą. – Zawsze wiedziałam, że przyjedziesz. W pierwszej chwili cię nie poznałam. Wzięłam cię za Basię. Ale ona miała jaśniejsze włosy. Jakże mi jej brak. Tak jak chłopców. A potem nawet was straciłam. Bałam się, że już was nie zobaczę. Dawno nie pisałaś.

Anna, słysząc to, drgnęła. Szeptyccy i Solange pisywali do siebie? W takim razie mają jej adres.

– Na pewno znowu napiszę – odparła, podchwyciwszy czujne spojrzenie pana Kazimierza.

– Jesteś taka dzielna – mówiła dalej pani Teresa, jakby słowa Anny w ogóle do niej nie dotarły. Jakby nie przywiązywała do nich znaczenia. – Nie zgodziłaś się na rozwód, choć obiecywali, że od razu wypuszczą was do Francji. A potem ci grozili. Nie ustąpiłaś. Dobrze to pamiętam. Byłam z ciebie taka dumna. Ale chyba już ci to mówiłam?

– Tak. Mówiła pani – szepnęła Anna, czując, jak pałają jej policzki. Woląta nie patrzeć na pana Szeptyckiego. Kątem oka jedynie spostrzegła, że Jurek wstał i chyłkiem wynosił naczynia do kuchni.

Dzięki Bogu! Jego obecność zaczynała ją teraz krępować.

– Byłaś dla mnie jak córka. Ale wiesz co? – Gestem dłoni skłoniła Annę, by się do niej nachyliła. – Dobrze, że potem wyjechałaś. Po śmierci Maćka nie było tu

dla ciebie przyszłości. Ani dla małego Pierre'a. Zobaczą jeszcze twojego syna?

– Tak. Na pewno. – Anna przełknęła łzy.

– Obiecujesz?

– Tereniu, Solange nie może niczego takiego obiecać – wtrącił nagle pan Kazimierz. – Nie zmuszaj jej do tego. Piotruś jest tam bezpieczniejszy niż tu.

– Tak. Chyba tak – zgodziła się po chwili pani Teresa, jakby coś sobie przypomniała. Znowu mówiła po polsku. – Wtedy chodził do szkoły. Teraz pewnie już studiuje?

– Tak – potwierdziła Anna.

– To wracaj do niego i pilnuj, aby nie zrobił jakiegoś głupstwa. Aby nic złego mu się nie stało. Ja moich chłopców... nie dopilnowałam. – Ścisnęła ramię Anny tak mocno, że aż zabolęło. – A tu już nie wracaj. Kazimierz ma rację. Nie przyjeżdżaj.

Puściła rękę Anny i oparła się o fotel. Przymknęła powieki, ale nagle się uśmiechnęła.

– Mały Pierre już studiuje. Grzeczny chłopiec. Dzielny mały Pierre. Dzielny jak jego rodzice. Nie mogło być przecież inaczej.

– Kto namawiał Solange do rozwodu? – Anna zwróciła się teraz do pana Kazimierza.

– Jak to kto? – Wzruszył ramionami. – To była częsta praktyka ubecji. Nakłaniali małżonków aresztowanych osób do rozwodu. W zamian obiecywali różne rzeczy, w razie oporu grozili. Nie każdy miał odwagę się im sprzeciwić. Nie mówiąc już o tym, że niektórzy ludzie naprawdę dochodzili do wniosku, że w ten sposób poprawią swoje położenie i przy okazji położenie dzieci, a może – choć brzmi to teraz absurdalnie – nawet los aresztowanego małżonka. Czasem nawet ci aresztowani nakłaniali swoje żony i mężów do rozwodu, bo nie chcieli im wiązać i komplikować życia. Ale Solange była twarda, a cudzoziemki często bywały w takich sytuacjach nieodporne. Chciały za wszelką cenę wracać do swoich krajów i bezpieczeństwa im to ułatwiała, jeśli oczywiście zgodziły się na rozwód. W przeciwnym wypadku musiały się liczyć z tym, że nigdy się stąd nie wydostaną. Solange brała to pod uwagę, nawet po śmierci męża. Dopiero jak się zaczęła odwilż i komuchy spuściły z tonu, dostała zgodę na powrót do Francji. Podobno jej rodzice we Francji od dawna o to zabiegali, ale wcześniej nawet oni byli bezradni.

– Gdzie ona teraz mieszka? Ma pan jej adres? – zapytała Anna i od razu zauważyła niezadowolenie na twarzy staruszka.

– Ona nie chciała, aby ktoś z tutejszej rodziny do niej pisał – odparł. – Nawet jej bratu niczego nie powiedzieliśmy. Zwłaszcza jemu. Żona prawie wyrzuciła go za drzwi.

– Nie rozumiem tylko... dlaczego.

– Solange miała żal do rodziny męża o to, że nikt nie pomógł ani jemu, ani

jej, gdy próbowała go ratować. Biegła od drzwi do drzwi, a reszta rodziny pospuszczała tylko głowy i podkuliła ogony ze strachu. Ona nigdy się nie bała. Myślałem, że pani o tym wie. Przecież to także pani rodzina.

– Byłam wtedy dzieckiem, mówiłam już panu. Poza tym to trochę niesprawiedliwe, co pan teraz powiedział. Moja rodzina naprawdę nic nie mogła zrobić, tym bardziej że mój ojciec także został aresztowany.

Pan Kazimierz zacisnął usta i milczał. Z wyrazu jego twarzy Anna wywnioskowała, że życzył sobie, aby wreszcie wyszła. Nie mogła jednak tak po prostu odejść. Nie po tym, co tu usłyszała.

– Obiecuję, że nie zrobię z tego żadnego użytku. Nie zamierzam niepokoić Solange, zresztą skoro wtedy nie miałyśmy okazji lepiej się poznać, teraz jest na to z pewnością za późno. Mój brat i matka także nie są tym zainteresowani, już nie.

– Więc po co to pani? – spytał niechętnie.

Anna spodziewała się tego pytania, ale nie bardzo wiedziała, jakiej udzielić odpowiedzi, by zabrzmiała ona sensownie. Wreszcie postanowiła powiedzieć prawdę, choć i ona brzmiała dość zagadkowo, a nawet niepoważnie.

– Moja mieszkająca we Francji kuzynka chciałaby się skontaktować z Solange. Wiele wskazuje na to, że jej matka była w młodości przyjaciółką Solange.

Jak należało się tego spodziewać, pan Kazimierz uśmiechnął się drwiąco, nieprzyjaźnie.

– Pani wybaczy, ale takie brednie to można... – przerwał znacząco.

Anna podniosła się z krzesła. Już nic więcej nie mogła zrobić.

– Przepraszam, że zabrałam panu tyle czasu – powiedziała zmęczonym głosem. – Chciał pan iść na spacer i spotkać znajomego, a moja wizyta przeszkodziła w tym panu. Przepraszam raz jeszcze. Więcej nie będę już państwa niepokoić.

W milczeniu skierowała się do drzwi, minęła również milczącego chłopaka. Dopiero w progu się obejrzała, nie potrafiła się powstrzymać.

– Szkoda, że nie chciał mi pan pomóc z tym adresem. Rozumiem, że taka była jej wola, ale mimo to... szkoda.

Nacisnęła klamkę.

– Niech pani poczeka – usłyszała i nadludzkiem wysiłkiem powstrzymała się, by nie zacząć tańczyć z radości. Nawet wtedy, gdy Szeptycki wręczył jej zapisany kawałek papieru, z trudem zachowała spokój. Pragnęła jednak zachować powagę, choć jej oczy się śmiały.

– Dziękuję.

– Tylko niech pani zrobi z tego dobry użytek. Może to i najwyższa pora, by rodzina się pogodziła. Zbyt często ludzie zaczynają doceniać takie więzi dopiero wtedy, gdy już jest za późno. Dopiero gdy zostają sami na świecie. Jak my oboje. –

Wskazał na drzemiącą żonę i poklepał po ramieniu Jurka. – Dobrze, jeśli trafią się wtedy dobrzy ludzie, co pomogą, bo jeśli nie... – Głos mu się załamał.

– To dla mojej kuzynki – przypomniała Anna, ale pan Kazimierz machnął tylko ręką i cofnął się w głąb mieszkania.

*

Anna ocknęła się z zamyślenia, gdy usłyszała chrobot klucza w zamku. Marcin wrócił! Ona także natychmiast wróciła do rzeczywistości. Dzisiejsza rozmowa w mieszkaniu Szeptyckich w jednej chwili wyfrunęła jej z głowy, a wraz z nią cały nastrój, jaki jej towarzyszył. Atmosfera tamtego domu, klimat tamtego małżeństwa. To, z jaką miłością i dobrocią tamten stary człowiek zwracał się do swojej pogrążonej w mroku żony. „Terenu, nie martw się...”, „Terenu...”.

Poczuła, jak zaczynają ją boleć mięśnie, jak cała się spina, odezwało się także znajome klucie w klatce piersiowej. Czyli wszystko jak zawsze, gdy jej pan i władca wracał do domu.

W napięciu słuchała, jak wchodzi do mieszkania, zdejmuje buty, otwiera skrzypiącą szafę w przedpokoju i wkłada tam marynarkę. Potem kopnął krzesło, postawione przez któreś z dzieci za blisko wejścia do pokoju, zerknął przelotnie na żonę i zajrzał do kuchni. Anna, która właśnie robiła sobie w duchu wyrzuty, że zapomniała wcześniej przestawić to przekłete krzesło, zamarła. Przypomniała sobie o niepozmywanych po kolacji talerzach. Jak mogła o tym zapomnieć! Schowała głowę w ramiona, czekając z zapartym tchem na awanturę, którą niechybnie mąż zaraz rozpęta. Zawsze szukał do tego pretekstu, gdy wracał z Wrocławia, a ona, jak dotąd, zawsze robiła, co w jej mocy, by mu tego pretekstu nie dostarczać. Przede wszystkim dokładnie sprzątała wcześniej mieszkanie.

Do dzisiaj.

– Cholera, co za burdel! – usłyszała.

Zapulsowały jej skronie, serce omal nie wyskoczyło z piersi. Marcin wypadł z kuchni i stanął przed nią blady ze złości.

– Możesz mi powiedzieć, głupia, leniwa krowo, co robiłaś przez cały dzień? Takie gównno to sobie mogłaś zostawiać w chlewie w tych waszych Bolesławcach, a nie w moim domu. Gdy żyła moja ciotka, to mieszkanie zawsze lśniło czystością, ale taka wieśniara jak ty...

Anna poczuła, że robi jej się słabo, tak jakby uwalniała się z własnego ciała i zaczynała szybować w powietrzu. Czasem tak reagowała na jego obelgi. Nie krzyczał, mówił tym swoim spokojnym, dobitnym tonem, ale każde słowo było jak gwóźdź, wbijał się w nią raz za razem. Nagle usłyszała szmery z pokoju dzieci i to natychmiast sprowadziło ją na ziemię. Obudziły się. Krzyś pewnie znowu pobiegł do łóżka siostry i wtulił się w jej objęcia, jak zawsze w takich przypadkach. Lecz przecież – dokładnie to sobie przypomniała – kilka godzin temu sama obiecała

synkowi, że będzie dobrze. Inaczej to ujęła, ale taki był sens jej słów. Krzyś chyba jej wtedy nie uwierzył, pewnie wcześniej nie raz wzbudzała w nim taką nadzieję, a potem było jak zawsze. Czyli tak jak teraz. Obelgi Marcina, jej bezsilność i strach.

„Jesteś taka dzielna...”

Pani Teresa mówiła to wprawdzie pod adresem Solange, ale... te słowa naprawdę słyszała ona, Anna. „Jesteś taka dzielna”.

– W Bolesławicach, nie Bolesławcach! – zawołała do oddalających się pleców męża, a kiedy odwrócił się zdziwiony, dodała, jakby udzielała mu praktycznej informacji: – Tak się nazywał majątek ziemski moich rodziców. Pomyliłeś nazwę.

– Co ty bredzisz, kretynko? – spytał przez zęby.

W tym momencie wyglądał jak zwykły prostak. Jak mogła kiedykolwiek uważać go za przystojnego, interesującego człowieka?

„Co ja w nim kiedyś widziałam?” – zdumiała się zupełnie szczerze Anna, choć zaraz się upomniała, że powinna na niego uważać. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że w tym momencie nie czuła strachu. Tylko gniew.

– Co ty bredzisz, kretynko – powtórzył. Ale tym razem to już nie brzmiało jak pytanie. Najwyraźniej otrząsnął się z zaskoczenia.

„Muszę na niego uważać” – upomniała się po raz kolejny, ale nie zamierzała rejterować. Wiedziała, że jeśli teraz się wycofa, podkuli pod siebie ogon, okaże strach, będzie to oznaczało, że pokornie się godzi na jego chamstwo i na swoje upokorzenie. Nie byłoby to nic nowego, tak przecież od lat wyglądało jej życie. W tej jednej chwili przyszło jej jednak do głowy, że może warto podjąć ryzyko i spróbować walczyć... choćby o szacunek dla samej siebie. I o spokój dzieci.

„Jeśli nie zdobędę się na to teraz, nie zrobię tego już nigdy. W dalszym ciągu będę w tym domu pomiatana. Może przyjdzie mi tak funkcjonować do późnej starości. Nie, nie zniosę tego. Dość już. Boże, dopomóż”. W duchu modliła się o właściwe słowa. Nadal przecież miała świadomość, że stoi na bardzo niepewnym gruncie.

– I jeszcze jedno – wycedziła, nie spuszczać wzroku pod jego lodowatym spojrzeniem. – Chlew i każdy inny budynek gospodarczy w majątku moich rodziców był większy i lepiej zbudowany niż to, co nazywasz mieszkaniem twoim i twojej ciotki. O salonach i innych pokojach we dworze nawet nie wspomnę. Nie masz pojęcia, jak wyglądają wysprzątane na błysk pomieszczenia w pałacu.

– No proszę, panienka „ze dwora” się odezwała – zakpił, choć widziała, że szczęki niemal latały mu ze złości. – No, to powiedz, gdzie teraz jest ten rajski pałacyk? Jesteś zwykłym gołodupcem bez pieniędzy. Podobnie jak twoja matka.

Anna poczerwieniała.

– Jak każdy, komu zgrabiono jego własność – odparła.

– Radziłbym uważać na takie słowa – rzucił drwiąco.

– A co? Doniesiesz na mnie Służbie Bezpieczeństwa?

Był nadal wściekły, ale i zaintrygowany zmianą, jaką w niej dostrzegł.

„Mam to gdzieś” – pomyślała. „Zresztą, on też jest gołodupcem”. Na głos tego jednak nie powiedziała. Aż tak nie zamierzała szarżować.

– Zamknij mordę i słuchaj, co mam ci do powiedzenia – oświadczył, próbując przywołać swój poprzedni ton. Ton, który obezwładniał ją całymi latami.

„Postaw mu się okoniem. To w gruncie rzeczy zwykły tchórz” – kto tak o nim powiedział? Za skarby świata nie mogła sobie tego przypomnieć, może dlatego, że ponownie zatrzęsała się z gniewu.

– Uderzysz mnie? – spytała zaczepnie.

Nie starała się mówić cicho. Dzieci i tak już nie spały. A sąsiedzi? Z pewnością niejedno już usłyszeli z ich domu i niejednego się domyślali. Może zresztą lepiej, gdyby usłyszeli. Anna nie mogła z całą pewnością wykluczyć, że Marcin jej nie uderzy, choć do tej pory tego nie zrobił. Zawsze jednak jest ten pierwszy raz. A teraz był naprawdę wściekły.

– Spróbuj tylko to zrobić, a zobaczysz. Narobię wrzasku na cały blok i zacznę wołać na pomoc sąsiadów i milicję. Choćby cała kamienica miała się tu zbiec, zrobię to. – Z trudem do niej docierało, że wypowiada takie słowa, w dodatku tak głośno i zdecydowanie.

„To się nie dzieje naprawdę. To tylko sen” – przyszło jej nawet do głowy, a potem znowu usłyszała kpiący, pogardliwy ton Marcina.

– Nie zrobisz tego. Za głupia na to jesteś.

Nie był jednak tego taki pewny, to także usłyszała.

„To w gruncie rzeczy zwykły tchórz” – przypomniała sobie znowu, ale teraz wraz z tymi słowami stanęła jej przed oczami osoba, która je wypowiedziała. Zosia. Szkoda, że jej tu w tym momencie nie było.

– Chcesz się przekonać? – odpowiedziała zapalczywie.

Stali naprzeciw siebie, testując się nawzajem pełnymi niechęci spojrzeniami. Wreszcie Marcin wzruszył pogardliwie ramionami i odwróciwszy się na pięcie, rzucił:

– Lepiej posprzątaj ten syf w kuchni.

Gdy zamknął się w łazience, wyjęła z łóżka swoją koszulę nocną, zabrała bieliznę z szafki, zeszyt i pióro, a następnie poszła do pokoiku dzieci.

Siedziały, obejmując się w łóżeczku Kasi, i patrzyły na nią bez słowa.

– Śpijcie – powiedziała, otulając je kołdrą. – Już wszystko w porządku.

– Zostaniesz z nami, mamusiu? – spytała cicho Kasia.

– Oczywiście, skarbie.

– Możesz spać w moim łóżku – poradził jej szeptem Krzyś, oglądając się trwożliwie na drzwi.

– Poradzę sobie. Nie martw się.

Gdy zasnęły, usiadła nad zeszytem tuż przy oknie. W świetle ulicznej latarni, wyteżając wzrok, pisała do Izy. W międzyczasie słyszała, że Marcin dwa razy podchodził pod drzwi pokoiku dzieci, ale nie nacisnął klamki. Nie zajrzał do środka. Przez jakiś czas krążył jeszcze w drugim, tak zwanym dużym pokoju. Wreszcie zgasił światło i w całym domu zapadła cisza. Upragniona cisza, taka jak przed jego powrotem z Wrocławia.

„Muszę coś z tym zrobić, chcę zatrzymać tę ciszę”.

Spojrzała na śpiące dzieci.

„Chcę zatrzymać tę ciszę dla nich, dla siebie”.

Ale jak to zrobić? Czy da radę kłócić się z Marcinem dzień w dzień? Czy starczy jej siły, odwagi i konsekwencji, by – jeśli będzie trzeba – walczyć z nim do upadłego i w ten sposób wymusić na nim jakąkolwiek zmianę na lepsze? Albo zakończyć te gehennę rozstaniem na warunkach, które pozwolą jej potem w miarę godnie egzystować razem z dziećmi?

„Nie mam pojęcia. Później się zastanowię. Dziś nic już nie wymyślę. Może w ogóle nigdy mi się to nie uda”.

Wiedziała też, że nie uda jej się zasnąć. Musiała zatem zrobić coś, co przynajmniej na razie było dla niej wykonalne. Kończyła pisać list do Izy.

Wysyłam Ci adres, pod którym może jeszcze mieszkać Solange Boguszevska, choć nie jestem tego na sto procent pewna. Nie wiem, kiedy ostatnio wymieniła korespondencję z Szeptyckimi. Czulaam, że nie mam prawa dręczyć starego człowieka takimi pytaniami. I bez tego jestem mu głęboko wdzięczna za ten adres i za to, że tak szczerze ze mną rozmawiał. Przecież nie musiał tego robić, przyznasz to sama. A jednak to zrobił.

Przerwała na chwilę i zerknęła przestraszona na zamknięte drzwi. Zdawało jej się, że usłyszała w przedpokoju jakiś odgłos przypominający niezbyt ostrożne stąpienie skradającego się człowieka. Przez chwilę wyprężyła się cała jak kot szykujący się do skoku. Nic się jednak nie stało i po chwili się uspokoiła, doszedłszy do wniosku, że to pewnie sąsiad z góry, Nowak, wraca po nocnej zmianie z pracy i stara się nieporadnie zrobić, co w jego mocy, by nie obudzić żony i ich niemowlęcia. Pewnie po ciemku nastąpił na jakiś porzucony w przedpokoju przedmiot. Jego żona nie zawsze miała siły i czas, by wszystko posprzątać. A on ani razu nie nazwał jej z tego powodu brudasem albo krową. Akustyka w kamienicy z pewnością by ujawniła takowy fakt. Odgłosy z sąsiednich mieszkań były w miarę dobrze słyszalne.

I wtedy znowu Anna przypomniwała sobie zmęczonego, zbolalego pana Szeptyckiego, który czule przemawiał do żony, dotykał uspokajająco jej ramienia.

Szybko wróciła do listu.

Tobie też jestem wdzięczna, bo dzięki Twoim pytaniom i dociekliwości wreszcie i ja postanowiłam przypomnieć sobie Maćka oraz jego żonę, a także dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Choćby tego, gdzie mieszkali, jak wyglądały ostatnie miesiące, które spędzili razem. Jestem Ci wdzięczna, bo to wszystko zaprowadziło mnie do Szeptyckich i tam zrozumiałam, że wreszcie i ja muszę...

Cholera jasna! Niepotrzebnie napisała to ostatnie zdanie, zupełnie bez sensu. Na tego typu zwierzenia nie była jeszcze gotowa, może nigdy nie będzie. W dodatku kompletnie zamazało jej się pole widzenia i nie zdążyła powstrzymać kilku łez, które spadły na kartkę. Iza od razu domyśli się, że płakała. Nie, tego Anna nie chciała. I nagle przypomniała sobie, jak jej matka płakała nad listami do ojca, gdy siedział w więzieniu. Nie chciała ich potem wysłać, nie chciała dodatkowo denerwować swojego męża. Pisała je od początku, bywało, że zaczynała po kilka razy. W przypadku Solange też tak pewnie było.

Anna z westchnieniem wyrwała następną kartkę z zeszytu i wzięła się do przepisywania listu do Izy. Bez ostatniego zdania.

ROZDZIAŁ 22

Szanowna Pani,

nazywam się Izabella Seigner i jestem córką Joanny Seigner, przyrodniej siostry Pani zmarłego męża. Nie jestem pewna, czy łączyła Panią z moją matką znajomość, zanim się urodziłam. Moja matka miała wtedy bliską koleżankę, może nawet przyjaciółkę, która była obecna przy moich narodzinach i nosiła Pani imię. Czy to była Pani?

Zdaję sobie sprawę, że mój list może być dla Pani sporym zaskoczeniem, w dodatku niekoniecznie miłym. Niemniej chciałabym poznać pewne fakty z życia mojej nieżyjącej już matki. Fakty, które mają dla mnie ogromne znaczenie. Dwa miesiące temu odwiedziłam Polskę. Pragnęłam poznać krewnych, których matka opuściła, gdy jako młoda dziewczyna wyjechała na stałe do Francji. Zakładam, że zna Pani tę historię. Ja – z grubsza – także, choć widzę w niej poważne luki, dla mnie istotne.

Dotarłam do mojej babki, Hortensji Zawilskiej, do wuja Łukasza, wreszcie do przyrodniej siostry matki. Nie będę owijać w bawełnę – trafiłam na mur niechęci, choć starali się zachować pozory uprzejmości. Wyjątek stanowiła jedynie Anna – zakładam, że pamięta Pani, kto to taki. Niemniej ta jedyna szczerze życzliwa osoba z rodziny mojej matki niewiele umiała mi wyjaśnić ze spraw dotyczących przeszłości. Gdy doszło do dramatu, który sprawił, że matka zerwała kontakty z rodziną, Anna była jeszcze bardzo małym dzieckiem, a później bliscy nie wprowadzali jej w te sprawy. Do pewnego stopnia potrafię to zresztą zrozumieć. Wybuchła wojna, życie całej rodziny diametralnie się zmieniło. Późniejsze, trudne powojenne czasy w Polsce zadały im wszystkim dodatkowe cierpienia.

Pani także tego doświadczyła, ale nie wspominam o tym po to, by na nowo otwierać rany, by przypominać Pani o cierpieniu. Wiem natomiast, że Pani – podobnie jak wcześniej moja matka – także zerwała kontakty z krewnymi i powinowatymi męża. Nie znam przyczyn tego stanu rzeczy. Ludzie, którzy o tym zaledwie wspomnieli, zachowali godną podziwu dyskrecję. Odniosłam wrażenie, że prosiła ich Pani o tę dyskrecję, i może być Pani pewna, że zachowali się zgodnie z Pani życzeniem. Mam na myśli pana Podhoreckiego i państwa Szeptyckich, do których na moją prośbę dotarła Anna i dzięki którym mam adres, pod który teraz piszę. Proszę nie mieć o to pretensji do starego pana Szeptyckiego. Anna przekonała go, że rodzina w Polsce nie zrobi z tego żadnego użytku, a przecież Pani zastrzeżenie dotyczyło tylko Boguszeuskich i Hortensji Zawilskiej. Anna nie przekaze im Pani adresu, skoro Pani nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Wierzę jej, jest osobą godną zaufania, może być Pani co do tego spokojna. Anna zapewniła pana Szeptyckiego, że adres potrzebny jest tylko mnie.

Proszę się nie obawiać. Nie zamierzam Pani dręczyć pytaniami o powody,

dla których nie chce Pani znać rodziny męża. Nie będę także pytać o niego ani o Wasze wspólne sprawy. Zależy mi tylko na ważnych dla mnie informacjach dotyczących mojej matki. Czuję – choć wiem, jak to głupio i afektownie brzmi – że wie Pani o sprawach, które pozwoliłyby mi powiązać ze sobą różne fakty, znaleźć brakujące ogniwa, wypełnić luki.

Bardzo mi zależy na spotkaniu z Panią. Przyznam, że początkowo, zakładając z góry Pani odmowę, miałam zamiar Panią zaskoczyć i odwiedzić pod wskazanym mi adresem w Dijon. Uznałam jednak, że byłoby to poważnym, karygodnym naruszeniem Pani prywatności i elementarnych zasad dobrego wychowania. Miałaby Pani prawo wyrzucić mnie za drzwi jak zwykłego intruza.

Czy jednak nie zechciałaby Pani spotkać się ze mną? Czy mogłabym przyjechać do Dijon? A może to Pani wolałaby odwiedzić mnie w Paryżu? Z radością Panią ugoszczę. Czekam niecierpliwie na odpowiedź, ale zdaję sobie sprawę, że potrzebuje Pani czasu, by oswoić się z wiadomością ode mnie.

Z wyrazami szacunku

Izabella Seigner

Panno Seigner,

nosi Pani nazwisko ojca, więc zakładam, że jest Pani panną – stąd mój zwrot na początku.

Zdaję sobie sprawę, że musiała Pani długo czekać na odpowiedź, ale – jak Pani sama zaznaczyła – potrzebowałam czasu, by wszystko poukładać w głowie i uporać się z emocjami, które po tylu latach znowu się we mnie obudziły. Pani je obudziła, panno Seigner, i dlatego przez kilka dni dosłownie kipiałam z gniewu. Niczego tak nie pragnęłam jak spokoju. Udało mi się go osiągnąć przed laty, i to niemałym – zapewniam Panią – wysiłkiem. Pani to wszystko zniszczyła – tym jednym listem.

Nie tylko zresztą Pani. Poczulałam żal do Szeptyckich, że przekazali ten adres Pani ciotce. Poczulałam żal nawet do starego poczciwego Podhoreckiego, że w ogóle cokolwiek wspominał na mój temat. Potem jednak dotarło do mnie, że obwinianie starszych, zawsze mi życzliwych i pomocnych ludzi to niegodziwość z mojej strony. To raczej ta Pani kuzynka, która ich nachodziła i w końcu wydobyła od nich mój adres, postąpiła niewłaściwie, ale już trudno. Stało się, choć niewiele brakowało, a spaliłabym list od Pani.

Piszę o tym wszystkim tylko po to, aby Pani wiedziała, jak bolesne obudziła we mnie uczucia, wspomnienia i emocje. Z mojego spokoju nic już nie zostało. Jednak nie zniszczyłam tego listu. Taka właśnie jestem, panno Seigner. Nigdy nie niszczę listów, przechowuję każdy, choć niektórych wolałabym nigdy nie otrzymać. One jednak istnieją – wszystkie, co do jednego. Nie będę Pani teraz tłumaczyć, dlaczego tak jest. Dwa tygodnie po otrzymaniu wiadomości od Pani zrozumiałam,

że spokój, który osiągnęłam, był oparty na bardzo kruchych podstawach, skoro zwykły list wywołał we mnie tak skrajne emocje.

Wszystko sobie przemyślałam i podjęłam decyzję. Spotkam się z Panią, przyjadę do Paryża. Nie skorzystam jednak z Pani gościnności. Dziękuję, wiem, że starała się Pani być miła, ale wolę zamieszkać przez kilka dni w hotelu. Zawsze tak robię, gdy odwiedzam Paryż. Zatrzymuję się w małym, niedrogim hoteliku. Dobrze się tam czuję, właściciele znają mnie i moje zwyczaje.

Przyjadę na początku przyszłego miesiąca, to już za dziesięć dni. Zawiadomię Panią, gdy tylko będę gotowa na nasze spotkanie.

Solange Boguszevska

„Dlaczego się denerwuję? Niemal tak jak wtedy, gdy szłam na egzamin do starego profesora Bertranda. A nawet bardziej niż wtedy, gdy zaproszono mnie na rozmowę w sprawie pracy” – myślała Iza, idąc Avenue Foch w kierunku Place d’Étoile. Tam, w okolicy Łuku Triumfalnego umówiła się z Solange Boguszevską. Miała jeszcze sporo czasu, całe czterdzieści minut, ale wołała przyjść wcześniej i poczekać. Za bardzo się denerwowała, z pewnością wszystkie emocje miała wypisane na twarzy, a to niedobrze. Powinna być spokojna, pogodna, opanowana. Przecież, jak by na to nie patrzeć, miała porozmawiać z... ciotką, to znaczy z żoną swojego wuja. Solange zgodziła się na to. Wszystko więc odbywało się tak, jak trzeba. Dlaczego zatem... skąd te nerwy? Ten ucisk w krtani, klucie w klatce piersiowej? Czyżby się bała? Czy to strach? Ale z jakiego powodu? Z powodu tego, co miała usłyszeć?

„Co za bzdury! Wpadam w paranoję. Przecież sama dążyłam do tego spotkania”.

Była już na miejscu i rozglądała się wokół. Na ogół kręciło się tu sporo ludzi, ale to Boguszevska zaproponowała Place d’Étoile. Właściwie nie wiadomo dlaczego, ale Iza nie chciała o tym dyskutować. Patrzyła na ludzi i zastanawiała się, czy rozpozna tamtą. Oczywiście ustaliły, jak będą ubrane i tak dalej, ale przecież to nie gwarantowało, że bez trudu odnajdą się w tłumie.

„Czy ja ją kiedykolwiek widziałam? Zakładam, że tak, ale w ogóle tego nie pamiętam. Wuja tak, jego widziałam. Wtedy, gdy pojawił się z Joanną i Maurice’em w sierocińcu. I później, gdy przyjechał do naszego domu. Ale to wszystko. Potem wyjechał do Polski. Jego żony sobie nie przypominam.

– Panna Seigner?

Iza drgnęła i odwróciła się gwałtownie, może zbyt gwałtownie. Za nią stała kobieta w średnim wieku, ubrana – jak to sama wcześniej zapowiadała – w niebieską garsonkę. Kasztanowe włosy miała zaczesane z tyłu głowy i zebrane na karku w gruby węzeł. Te włosy były zresztą największym atutem jej urody, bo poza tym wyglądała raczej przeciętnie. Dwadzieścia czy trzydzieści lat temu

zapewne także nie wyróżniała się urodą. Uwagę mogły za to przykuć jej oczy, duże i wyraziste, a także czujne spojrzenie, niemal przewiercające rozmówcę na wylot. Iza była pewna, że nawet jeśli nigdy więcej jej nie zobaczy, to i tak z pewnością nie zapomni.

– Izabella Seigner? – powtórzyła kobieta, mrużąc oczy jak krótkowidz. Miała ładny makijaż, który podkreślał zielone tęczęwki.

– Tak – wyjąkała wreszcie zmieszana Iza. – Proszę mi wybaczyć moje roztargnienie. Spodziewałam się, że przyjdę pierwsza. Mamy jeszcze sporo czasu do siedemnastej.

– Nic nie szkodzi. – Boguszevska lekko się uśmiechnęła. W tym uśmiechu nie było ciepła; pewnie z powodu uważnego spojrzenia, jakim taksowała dziewczynę. – Spacerowałam, korzystałam z ciepłej aury. Lubię to miejsce. Zawsze kochałam Paryż.

– Ale zamieszkała pani w Dijon? – zasugerowała nieśmiało Iza. Nie wiedziała jeszcze, na ile może sobie pozwolić podczas tej rozmowy. Na ile pozwoli jej Solange.

Tamta wzruszyła ramionami.

– Stamtąd pochodzę – odparła niezobowiązującym tonem. – Urodziłam się w Dijon, tam mieszkali moi rodzice. Po powrocie z Polski ponownie u nich zamieszkałam. Nie mogłam sobie wtedy pozwolić na niezależność, panno Seigner. Byłam bez grosza i miałam kilkunastoletnie dziecko.

– Rozumiem.

– Ma pani dzieci?

– Nie mam.

– W takim razie niewiele pani rozumie.

Iza w tym momencie straciła resztki pewności siebie i nie miała pojęcia, co mogłaby odpowiedzieć. Boguszevska jednak nie czekała na żadną odpowiedź. Wyglądało na to, że była zdecydowana przejąć inicjatywę w tej rozmowie. Była do tego dobrze przygotowana. Gestem dłoni wskazała Izie, by ruszyły z miejsca w kierunku Pól Elizejskich.

– Lubiłyśmy przechadzać się tędy razem z Joanną – podjęła po chwili. – Obie nie szastałyśmy pieniędzmi, będąc studentkami, podobnie jak Nora, nasza sublokatorka. Dlatego lubiłyśmy Pola Elizejskie, bo patrząc na wystawy tych bogatych sklepów, wyobrażałyśmy sobie, że pewnego dnia nasz los się odmieni i te wszystkie wspaniałości będą mogły należeć do nas. Albo, dla odmiany, zadzieraliśmy nosa, wmawiając sobie, że gardzimy tymi błyskotkami, bo jedynym bogactwem, na którym nam zależy, jest bogactwo ducha, to zaś już posiadamy. – Zerknęła z ukosa na Izę. – Tak, panno Seigner. Odpowiadam na jedno z pani pytań. Znałam Joannę z czasów, gdy przed wojną dane nam było razem studiować. Byłam przy niej, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, wspierałam, gdy okazało się, że jest

już za późno, by coś z tym fantem zrobić. A potem razem z Norą towarzyszyłyśmy jej podczas porodu. Nora załatwiła wszystkie sprawy związane z przekazaniem dziecka tamtemu małżeństwu, ale ja z całym przekonaniem to popierałam. Nadal uważam, że było to najlepsze rozwiązanie – zarówno dla Joanny, jak i dla jej córeczki. Dla pani, panno Seigner.

Iza poczerwieniała.

– A jednak pozwoliła pani, aby Joanna wzięła na ręce dziecko. W tym momencie nie była pani już tak zdecydowana w tej sprawie. Zawahała się pani.

– Kto to pani powiedział? Joanna? – spytała obojętnie Solange. Nie patrzyła na Izę. Jej wzrok błędził po ulicy, po twarzach przechodniów, zatrzymywał się na oknach wystawowych. Zapewne tak jak wtedy, gdy przemierzała te ulice z dwiema przyjaciółkami, w młodości. Choć tak wiele się od tego czasu wydarzyło i zmieniło.

Iza nie odpowiedziała na pytanie, ale Solange nie naciskała. Wyglądało na to, że milczenie potraktowała jako potwierdzenie swojego przypuszczenia.

– Nie, nie przeżywałam wtedy żadnego zawahania. Przybrani rodzice czekali już na dziecko. Nora włożyła wiele wysiłku w to, by znaleźć odpowiednich ludzi i całą sprawę załatwić szybko i dyskretnie. Chyba nie zgłasza pani zażalenia w kwestii tego wyboru? Spędziła pani u nich kilka lat życia. Podobno byli dobrymi rodzicami.

– Dlaczego tyle w pani... jadu? – nie wytrzymała Iza. Przystanęła, zmuszając tym samym ciotkę, by zrobiła to samo.

– Jadu?

Znowu to zmrużenie powiek. Izie przyszło do głowy, że może Solange wcale nie była krótkowidzem. Może miała taką manierę, by przymykać oczy?

– Dlaczego jadu? Czy ze strony tamtych ludzi spotkało panią coś złego?

Starła się mówić ironicznie, ale Iza wyraźnie usłyszała niezbyt skutecznie tłumiony niepokój. To sprawiło, że trochę odtajała.

– Byli dla mnie dobrzy – rzekła cicho.

Na twarzy Solange, na krótką chwilę, właściwie na ułamek sekundy, pojawiła się ulga.

– Sama pani widzi.

– Ale... – Iza odruchowo zatrzymała tamtą, chwyciwszy ją za łokieć.

– Nie ma żadnego „ale”, panno Seigner. – W tonie głosu Boguszeńskiej pojawiły się wreszcie bardzo wyraźne emocje. – Takie są fakty. Joanna nie mogła zająć się noworodkiem, a tamto małżeństwo mogło i, co najważniejsze, bardzo tego chciało. Nie mieli dziecka, a bardzo pragnęli je mieć. Joanna przeżyła moment słabości, ale tak się często dzieje zaraz po porodzie. Powtarzam: nie ma pani dzieci, więc nie potrafi pani tego zrozumieć. Jednak jestem pewna, że gdybyśmy wówczas zerwały umowę z tamtymi ludźmi, pozwalając Joannie na zatrzymanie dziecka,

przeszedłby jej ten entuzjazm. Nie była wtedy w stanie zająć się niemowlęciem. Kto by jej w tym pomógł? Ani ja, ani Nora nie miałyśmy wtedy pojęcia o pielęgnacji niemowląt.

– Joanna miała brata! – Iza weszła tamtej w słowo, zanim zdążyła ugryźć się w język. Za późno było już na to, by złagodzić znaczenie tych słów.

Twarz Solange pociemniała.

– Czy wie pani, dlaczego zgodziłam się z panią spotkać? – Mówiła teraz jak ktoś, kto chce jak najszybciej coś oznajmić, zanim zabraknie mu tchu... lub odwagi. Nie czekając zresztą na odpowiedź, dodała: – Obawiałam się, że jeśli pani odmówię, znajdzie pani drogę do mojego syna... a tego sobie nie życzę. Kategorycznie pani tego zabraniam.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy – wyjąkała oszołomiona Iza. Powiedziała jednak prawdę – rozmowy z Pierre'em w ogóle nie brała pod uwagę. Przynajmniej do tej pory, bo zaraz stwierdziła, że przecież powinna była o tym pomyśleć. Tymczasem Pierre jakby wcale dla niej nie istniał. Aż do teraz.

Boguszevska jej nie uwierzyła, wyraz jej twarzy, zagniewany ton nie pozostawiały w tej kwestii cienia wątpliwości.

– Pierre kończy studia w Paryżu. Odwiedzam go od czasu do czasu. Jutro także go odwiedzę, ale mam nadzieję, że nie będzie mnie pani śledziła.

– Nie mam takiego zamiaru – odparła z oburzeniem Iza, choć zaraz pomyślała, że nie byłby to taki zły pomysł. Tyle tylko, że Pierre nie mógł udzielić jej żadnych informacji na temat Joanny. A zatem zawieranie znajomości z kuzynem nie miało sensu.

– Proszę mi to obiecać. – Słowa Solange nie brzmiały jak prośba, ale jak żądanie.

– Dobrze. Obiecuję. Chciałam panią zapytać o sprawy, o których pani syn nie ma pojęcia.

– Mam zatem rozumieć, że zostawi go pani w spokoju? – spytała Boguszevska, tym razem z nadzieją w głosie.

– Oczywiście. Chętnie bym go poznała, jak by nie patrzeć, jesteśmy kuzynami, ale to nie jest konieczne.

Boguszevska skinęła głową i zatrzymała się przy jednym z salonów. Przyglądała się eleganckiej sukni w oknie wystawowym.

– Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć na pani pytania. – Mówiła już spokojnie, choć Iza nie miała wątpliwości, że ten spokój był tylko pozorny.

– Czy Joanna powiedziała pani, kto... kto był moim... – Była na siebie wściekła; jąkała się jak dziewiętnastowieczna pensjonarka.

Solange milczała, choć z całą pewnością odgadła, czego dotyczy pytanie. Po jej twarzy przebiegło nerwowe drżenie. Wiedziała.

– Może mi pani odpowiedzieć? – spytała cicho Iza.

– A po co to pani? Maurice był dla pani złym ojcem? – Znowu ta uszczypliwość.

– Był wspaniały, nadal jest. Jednak...

– Nie wiem. – Solange wreszcie przestała patrzeć na wystawę. – Nie pytałam jej o to. Ani Nora. Joanna z pewnością nie chciała o tym mówić.

– Bratu także nie powiedziała? – spytała nagle Iza, bo w tym momencie to właśnie przyszło jej do głowy. I ponownie spostrzegła, że twarz Boguszeńskiej jakby się skurczyła, pociemniała.

– Nie rozmawiał o tym z panią? – indagowała Iza, doskonale wiedząc, że przekracza granicę wyznaczoną przez tę kobietę, która teoretycznie była jej ciotką, choć praktycznie nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Ryzykowała, że tamta po prostu odejdzie. Nie mogła się jednak powstrzymać.

– Nie – odparła zduszonym głosem Solange. – Nigdy nie było o tym mowy.

– To dziwne.

– Tak? Niby dlaczego? – rozgniewała się Boguszeńska. – Takich historii jak ta, która przytrafiła się Joannie, jest całe mnóstwo na tym świecie. Jaki jest sens drażnić to po tylu latach? Nigdy nie przyszło mi do głowy, by wypytywać Joannę. Wystarczy już tego, przez co przeszła. Życzyłam jej, aby ułożyła sobie życie, i udało jej się to. A nawet więcej – odzyskała swoje dziecko. Cieszyłam się z tego, naprawdę.

– Dlaczego w ogóle pani nie pamiętam? – spytała nagle zupełnie innym, bo zamyślonym tonem Iza. – Wtedy, gdy przyjechali po mnie do Bordeaux – ojciec, matka, wuj – pani z nimi nie było.

Solange lekko drgnęła, ale na tyle dostrzegalnie, by Iza zdołała to zauważyć.

– Wejźmy do jakiegoś bistro – zaproponowała nieoczekiwanie. – Muszę się czegoś napić.

„Czyżby szykowała się jakaś dłuższa opowieść?” – zastanowiła się Iza. W ciągu ostatnich dwóch, trzech minut była w zasadzie pewna, że lada moment Boguszeńska się z nią pożegna.

Weszły do najbliższego lokalu i usiadły w kącie, pomimo że pomieszczenie było zadymione. Inna sprawa, że kilka wystawionych na zewnątrz stolików okupowała cała gromada ludzi.

Solange zamówiła aperitif dla siebie i Izy, po czym, nie pytając o zgodę, zapaliła papierosa.

– Nie wiem, czy jeszcze się zobaczymy – podjęła po chwili, przypatrując się dziewczynie zza obłoczków dymu. – Nie uważam tego za konieczne ani potrzebne, ale różnie w życiu bywa. Dlatego, na wszelki wypadek, wyjaśnię to i owo, abyś dłużej nie drażyła tego tematu.

Iza bez drgnienia powieki przyjęła nową retorykę Boguszeńskiej, w tym fakt, że tamta zwróciła się do niej wreszcie bardziej bezpośrednio. Brzmiało to

zresztą zdecydowanie lepiej niż narzucony wcześniej sztywny, formalny styl.

– Nie pamiętasz mnie, bo nigdy dotąd mnie nie widziałaś. Byłam wprawdzie przy twoich narodzinach, ale to wszystko. Taka była wola Joanny. Nie chciała już nas znać, ani mnie, ani Nory. Miała do nas żal... Nie powiedziała tego na głos, ale my odgadłyśmy, w czym rzecz. Oskarżała nas o odebranie jej dziecka, chociaż sama wcześniej wyraziła na to zgodę. Nie docierało do niej, że nie dałaby rady zająć się noworodkiem bez żadnej pomocy i dużych pieniędzy.

– Już to pani mówiła – wtrąciła cicho Iza, ale tamta dała ręką znak, by jej nie przerywać.

– Zerwała też kontakty z... bratem. Tak to przynajmniej wyglądało, choć nigdy do końca nie byłam tego pewna.

– Jak to? – spytała zaskoczona Iza.

– Pisał do niej, przez pierwsze miesiące prawie nie przestawał. Nie odpowiadała mu, tak twierdził. Gdyby jednak naprawdę tak było, gdyby faktycznie mu nie odpowiadała, nie pisałby jak...

– Jak zakochany? – wyrwało się Izie, zanim przemyślała własne słowa. Niewiarygodne, że mogła coś takiego powiedzieć. Zaczerwieniła się po uszy i po raz pierwszy poczuła zadowolenie, że dzieli je obie obłoczek papierosowego dymu. Nie zniosłaby spojrzenia Solange.

Boguszevska zakasłała, tak jakby coś zadrapało ją w gardło, ale nie przestała się zaciągać.

– Tak to wyglądało – potwierdziła spokojnie. – Oczywiście starałam się sobie tłumaczyć, że to bzdura, ale... Byłam młoda, zauroczona, a te dwie cechy sprawiają, że człowiekiem kierują emocje, nie rozsądek.

– Nie miałam pojęcia, że pani i wuj Maciek byliście wtedy razem – odezwała się nieśmiało Iza, odniosła bowiem wrażenie, że Boguszevska czeka na jej słowa. Ale czy to miały być takie słowa?

– Powiedzmy, że tak było. Poznałam go, zanim jeszcze przywiózł z Polski siostrę. Wcześniej spotykaliśmy się, potem znowu nie widywaliśmy się całymi tygodniami. Wyjechał na wakacje do swojego kraju, ale nie było w tym nic niezwykłego. Robił tak już wcześniej, choć wiedziałam, że niewiele łączyło go z rodziną. Zarówno przed śmiercią ojca, jak i potem. Wtedy jednak wrócił razem z nią. Powiedział, że jego siostra przyjechała do Paryża na studia. Szukał dla niej mieszkania, a ponieważ ja i Nora wynajmowałyśmy spore lokum, więc chętnie ją przyjęłyśmy. Przydały się dodatkowe pieniądze na czynsz. Joanna je miała. Podobno ojciec zostawił jej odpowiednią sumę na studia i utrzymanie.

– Wspominała pani wcześniej, że wszystkie trzy starałyście się raczej oszczędzać.

– Joanna zdeponowała te pieniądze w banku i na co dzień żyła tak skromnie jak ja i Nora. Twierdziła, że musi oszczędzać, bo nie wróci po studiach do rodziny.

Nie mówiła, co było powodem jej decyzji. Naprawdę nie mówiła. Była raczej zamknięta w sobie.

– Myślałam, że byłyście bliskimi przyjaciółkami.

– Kto tak powiedział? – Solange zgmiotła niedopałek w popielniczce. – Nie, nie byłyśmy przyjaciółkami. Raczej dobrymi koleżankami, starałyśmy się nie wchodzić sobie wzajemnie w drogę, czasem jednak gdzieś się razem wybierałyśmy. Joanna nic nam o sobie nie mówiła. To my w pewnym momencie zauważyłyśmy, że dzieje się z nią coś złego. Najpierw schudła, bałyśmy się, że zachorowała, tym bardziej że kilka razy skarżyła się na problemy z żołądkiem. Wtedy niczego nie podejrzewałyśmy. Dopiero gdy zaczęła przybierać na wadze, wzbudziła nasz niepokój. Do głowy nam jednak nie przyszło, że... ona tak długo nie zdawała sobie z tego sprawy. Z tego, co oznaczają te wszystkie symptomy. Tak jakby spadła z księżycy. Tak jakby nikt jej wcześniej nie mówił o tego typu... sprawach. Gdy zaciągnęłyśmy ją do lekarza, a potem do tej akuszerki i tamta zaczęła ją dotykać, niewiele brakowało, a Joanna uciekłaby z leżanki. A potem wpadła w histerię. Ledwo ją uspokoiłyśmy. To znaczy musiałyśmy dać jej taki środek, po którym wreszcie zasnęła. Potem przez wiele dni histeryzowała, wreszcie popadła w apatię. Ja i Nora myślałyśmy nawet, żeby spróbować... – Solange nagle niepewnie zerknęła na Izę, ale najwyraźniej uznała, że nie powinna zostawiać żadnych niedopowiedzeń. – Musisz zrozumieć, naprawdę było nam jej żal. Ale było... za późno... aby pozbyć się dziecka.

– Rozumiem. – Gdyby Iza nie skinęła głową, tamta prawdopodobnie nie domyśliłaby się, co powiedziała. Gardło miała ściśnięte, nie była w stanie mówić głośniej.

Zapadła niezręczna cisza. Solange skinęła na kelnera, aby przyniósł po jeszcze jednym kieliszku bourgueil. Iza nie protestowała, niewiele brakowało, a wypiłaby duszkiem swoją porcję. Wino zresztą jej pomogło, przynajmniej przywróciło głos.

– I przez cały ten czas matka nie powiedziała z kim... to znaczy kto jest ojcem? – Znowu się zaczerwieniła i ponownie była z tego faktu niezadowolona. Mało tego – była wściekła. Tym bardziej że w zielonych oczach Solange dostrzegła lekkie rozbawienie.

– Przypominasz mi ją, gdy tak z trudem artykułujesz podobne pytania. To samo onieśmienie, zawstydzienie, chciałoby się powiedzieć – pensjonarska pruderia.

„Na litość boską, matka nie miała jeszcze wtedy dziewiętnastu lat. Ja mam dwadzieścia siedem i żyję w innych czasach. Co się ze mną dzieje?” – zrywała się w myślach Iza. Czym prędzej zadała następne pytanie:

– A więc nic nie powiedziała?

– Nic. Przecież już to wyjaśniałam – padła cierpka odpowiedź.

– A jej brat? Jak się zachował, gdy się dowiedział? Bo przecież się dowiedział. Był na miejscu.

– A jak się miał zachować? – Solange nerwowym ruchem wyciągnęła z torebki kolejnego papierosa. – Przecież czuł się za nią odpowiedzialny.

– No i co? Nie zadawał pytań?

– Nie. Już mówiłam. Dlaczego w kółko pytasz o to samo?

„Niczym oficerowie безпеki” – chciała odciąć się Iza. Nie mogła jednak powiedzieć tego na głos, nawet w formie żartu. Dla Solange Boguszewskiej nie istniały bowiem podobne żarty.

– A z Joanną nigdy o tym nie rozmawiał? – spytała wobec tego.

– Nie podsłuchiwałam ich rozmów – odparła z wściekłością Solange.

Kilka osób obejrzało się w ich kierunku. Iza postanowiła odpuścić. Nie mogła teraz doprowadzić do tego, by Boguszewska zerwała się od stolika, chwyciła torebkę i wybiegła z lokalu. A po dwóch kieliszkach wina coraz gorzej panowała nad wzburzeniem.

– Czy już wtedy była pani związana na stałe z moim wujem? – spytała cicho, łagodnie, pojednawczo.

Solange patrzyła na nią nieufnie, sztywno wyprostowana, ale przynajmniej spokojniejsza.

– Jeszcze nie, Maciek był zbyt zajęty siostrą. Okoliczności nam nie sprzyjały.

– Podobno nie był zwolennikiem tego, aby oddawała dziecko obcym ludziom – spróbowała ostrożnie Iza. – Wtedy, gdy pani i Nora przygotowywałyście takie rozwiązanie, on namawiał siostrę, aby je zatrzymała.

– Kto ci to powiedział? – warknęła Solange, ponownie zwracając na siebie uwagę najbliższych sąsiadów.

„Joanna tak napisała” – chciała natychmiast odpowiedzieć Iza, ale przezornie milczała. Wołała nie wspominać o zapiskach matki. Solange zresztą mogłaby odpowiedzieć, że to bzdura, a Joanna napisała tak tylko dlatego, że po fakcie cały czas marzyła o odzyskaniu dziecka, a przy okazji to samo pragnienie przypisywała innym. I może rzeczywiście tak było? Może stwierdzenie, jakoby przyrodni brat namawiał ją, by nie podejmowała pochopnej decyzji, było tylko wytworem jej wyobraźni? Pobożnym życzeniem niemającym zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością?

Wobec tego milczała.

Solange zresztą sama znalazła odpowiedź.

– Pewnie Joanna coś ci wspomniała. Albo Maurice. To nawet bardziej prawdopodobne. Mniejsza z tym, zresztą jakie to ma znaczenie? Tak czy owak, Maciek miał w głowie tylko swoją siostrę. Inne kobiety dla niego nie istniały. Gdyby zatrzymała to dziecko, jestem pewna, że rzuciłby pracę, aby zostać w domu

i prac pieluchy. Jaka inna kobieta wytrzymałaby z nim w tym warunkach? To znaczy jaka oprócz jego siostry? Jakie miał szanse na ułożenie sobie normalnego życia? Jak wyglądałoby moje życie przy nim?

„Dlatego chciałaś, aby Joanna pozbyła się dziecka” – pomyślała Iza. Przynajmniej to było jasne. Solange wcale tego nie ukrywała. Kelner, już trochę zaniepokojony, przyniósł jej trzeci kieliszek wina. Spojrzeniem zapytał Izę, czy przynieść także dla niej, ale pokręciła przecząco głową. Nie protestowała, gdy ciotka zdawała się powoli przekraczać miarę. Po pierwsze – Solange natychmiast dałaby jej do zrozumienia, żeby lepiej pilnowała własnego nosa, a po drugie... Cóż, po drugie, była teraz bardziej skłonna do zwierzeń. Może zresztą dlatego zaproponowała bistro? Może jedynie w ten sposób była w stanie mówić o tamtych sprawach? Tyle tylko, że niemal w tym samym momencie, gdy Iza uzmysłowiła sobie, że wino rozwiązuje ciotce język, wcale już nie była pewna, czy naprawdę chce usłyszeć dalszy ciąg jej wyznania. Znowu usłyszała znajome, szybkie bicie serca. To oczywiście oznaczało, że kolejne drzwi do poznania przeszłości właśnie się przed nią uchylały. Lecz tym razem poczuła strach. Naprawdę się bała. Tej prawdy bała się jak żadnej innej do tej pory.

– Tylko Joanna i Joanna – mruknęła Solange. – Joanna to, Joanna tamto. Miałam tego dość. „Daj sobie z nim spokój” – mówiła mi Nora. „Nie widzisz, że coś tu jest nie tak? Że to nienormalne, co ten facet wyprawia?” Wiedziałam, że miała rację, ale co z tego? Cholera, co z tego, skoro ja nie mogłam, nie potrafiłam wybić go sobie z głowy? Nie pamiętasz go z czasów, gdy był młody. – Rozmarzyła się. – Widziałas go tylko raz czy dwa razy, gdy cię odnaleźli, ale i tak go nie pamiętasz. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znałam. Wszystkie kobiety się za nim oglądały. Mógł mieć każdą, gdyby tylko skinął palcem. A do tego był taki mądry. Na uczelni pracował, doktorat robił. Dopiero wojna to przerwała. No, ale dopóki się nie urodziłaś, skakał tylko przy Joannie. A potem... – Machnęła dłonią tak, że niewiele brakowało, a przewróciłaby kieliszek.

Iza chwyciła naczynie w ostatniej chwili.

– Wreszcie urodziła – kontynuowała Solange. – Myślałam: Chwała Bogu, teraz wszystko się wyprostuje. Wszystko się naprawi. Ale ona wpadła w histerię. Trzymała dziecko w ramionach, jakby wcale nie pamiętała, że się go przecież zrzekła... Dobrze, że jej brata wtedy przy niej nie było, bo pewnie by jej uległ. Niewiele brakowało, a nawet ja bym uległa, choć na szczęście szybko wrócił mi rozum. Maciek musiał pracować, na uczelni dali mu do zrozumienia, że ostatnimi czasy poważnie zaniedbał swoje obowiązki. Dlatego w tych ostatnich dniach przed rozwiązaniem i potem, podczas porodu, byliśmy przy niej tylko ja, Nora i ta akuszerka. Dziecko urodziło się trochę wcześniej, niż myśleliśmy. Kiedy Maciek przyjechał do siostry, było już po wszystkim. Tamci ludzie zabrali noworodka. Ona histeryzowała. On prawie też. Wreszcie pomyślałam, że mam tego dość,

i postanowiłam z nim ostatecznie skończyć. Nora po studiach wróciła do Stanów, w samą porę, bo w czterdziestym roku, kilka dni przed atakiem Niemców na Francję. Wtedy nie miałam już także kontaktu z twoją matką. Miesiąc po tym, jak urodziła, przyszedł do mnie Maciek. Był załamany, powiedział, że Joanna nie chce go znać, tak jak mnie i Nory. Podobnie jak rodziny w Polsce, w ogóle nikogo. Gdy rok później postanowiłam wrócić do Dijon, do rodziców, uparł się, że pojedzie tam ze mną. Rzucił uczelnię, twierdził, że chce zacząć normalne życie, a Paryż i kostyczne uniwersyteckie stosunki zasłaniają mu tylko horyzont. Tak się wyraził. Przez ten rok, gdy Joanna nie chciała go widzieć, pisał do niej, zanim się zorientował, że zmieniła adres. Nie wróciła na uczelnię, nie mógł więc jej znaleźć. W Paryżu, jeśli się szuka kogoś, kto uczynił wszystko, by zatrzeć za sobą ślady, to trzeba liczyć na szczęście. Maciek go nie miał, ale ja tak, bo nie chciałam, aby ona się odnalazła. Aby on ją odnalazł. Nie wyobrażałam sobie tego. Maciek by przy niej ugrzązł na amen. Jednak nie mogłam być pewna, czy tak się nie stanie. Czy jej nie znajdzie. Dlatego wołałam nie ryzykować i powiedziałam mu o tym. „To obłąd” – mówiłam. „Albo ja, albo ona. Nie zniosę życia we troje, a właściwie jako koło zapasowe przy was”. Kazałam mu wybierać i wyjechałam do Dijon. Nie wierzyłam, że zdecyduje się przyjechać za mną. Nie wierzyłam, że znaczył dla niego na tyle dużo, by faktycznie rzucił Paryż i, co najważniejsze, by przestał jej szukać. Tęskniłam za nim, ale stopniowo nabierałam coraz większego dystansu. I wtedy przyjechał. Dokładnie pół roku później. Znalazł pracę w pobliskiej bibliotece. Zaczęliśmy się na nowo spotykać. Spodobał się moim rodzicom. Siostry i kuzynki zieleniały z zazdrości. Zaproponował mi małżeństwo, ale się nie zgodziłam. „Nadal do niej piszesz. Przecież wiem” – powiedziałam. „Tak – odpowiedział – ale wciąż na tamten stary adres. Miałem nadzieję, że ona tam czasem zagłąda i może któryś z sąsiadów powie jej o listach. Dowiadywałem się, chodziłem tam, ale to bez sensu. Może kiedyś... gdzieś... wpadniemy na siebie przypadkiem. W przeciwnym razie nic z tego nie będzie”. „Skończysz z tymi listami i łażeniem do tamtego mieszkania?” – spytałam. Dałam mu do zrozumienia, że nie jestem taką idiotką, która pakowałaby się w podobnie obłądny układ. „Tak, przecież mówię ci, że to bez sensu” – odpowiedział. „Chcę żyć jak normalny człowiek. Chcę mieć rodzinę”. Nadal do końca mu nie ufałam, więc spytałam, czy na pewno chce się ze mną związać. Czy po pewnym czasie nie znudzi mu się Dijon i życie na prowincji. „Przecież mieszkałem kiedyś na prowincji” – roześmiał się, gdy mu powiedziałam o moich wątpliwościach. „Na polskiej prowincji. Wiesz, czym było życie w Bolesławicach?” Nie dałam mu się zwieść. Nie pozwoliłam się poprowadzić w żadne poboczne wątki. „Na pewno chcesz mieć tę rodzinę ze mną?” – spytałam podejrzliwie. „Może jestem ci potrzebna, bo nie wiesz, jak dalej żyć”. „No co ty? Przecież cię kocham. Nie wiedziałaś o tym?” – tak mi powiedział. Rozumiesz?!

Solange roześmiała się, choć dwie wielkie łzy popłynęły jej po policzkach.

– Możemy wezwać taksówkę, jeśli się pani źle czuje – usłyszały nad głowami pełen pozornego zatroskania głos kelnera.

Iza zmieszała się, ale Solange nie straciła rezonu.

– Ja źle się czuję? – spytała rozbrajającym tonem, choć jej spojrzenie było tak samo chłodne jak spojrzenie kelnera. – Nie, synku. Ja miałam w życiu znacznie poważniejsze powody, aby czuć się źle, niż ten żaloszny sikacz, który serwujecie tutaj gościom pod mianem Bourgueil.

– Proszę pani...

– Chodźmy z tej rudery. – Solange nie zwracała już uwagi na kelnera i zainteresowanych całą sprawą gości. Mówiła do zaczerwienionej Izy, przy okazji podnosząc się leniwie z krzesła. – To doprawdy skandal. Nie upiłam się trzema kieliszkami tego czegoś, co wy nazywacie Bourgueil. To coś mogłoby co najwyżej wywołać odruch wymiotny, to wszystko. I jeszcze jedno. Przed wojną tu był lokal jak się patrzy. Piliśmy niekiedy strumieniami. I nikt nas nie wyrzucił, nigdy, ani razu.

Rzeczywiście stała pewnie na nogach i energicznie zbierała swoje przybory do torebki. Kelner wyglądał na speszzonego, ale ona minęła go z dumnie podniesioną głową, a obejrzała się jedynie po to, by sprawdzić, czy Iza za nią podąża.

A potem, gdy wyszły, nabrała nowej werwy.

– Powiem ci, ile zdołam. Ale obiecaj, że nie będziesz mnie już więcej o nic pytać. I nie będziesz niepokoić mojego Pierre'a. Bo on jest mój, rozumiesz? Jest wszystkim, co mi potem zostało.

ROZDZIAŁ 23

„No co ty? Przecież cię kocham. Nie wiedziałaś o tym?”

Była ciepła letnia noc. Paryż jak zwykle nie spał, a odgłosy wielkiego, rozbawionego miasta bez trudu docierały na balkon, gdzie siedziała Iza. Mieszkała w samym centrum, wobec tego nie miała możliwości delektowania się ciszą – i wcale jej to nie przeszkadzało. Lubiła słyszeć ludzi i muzykę dobiegającą z pobliskich lokali.

– Na litość boską, jak ty możesz żyć w takim hałasie?! – wykrzyknęła kiedyś ciotka Beatrice, gdy przyjechała do niej z wizytą. Wtedy także było lato i także – podobnie jak teraz – okna i balkon były szeroko otwarte. A Maurice zaraz skwapliwie potwierdził słowa siostry. Iza jednak wiedziała swoje. Lubiła słyszeć ludzi, tak jak nie zawsze miała ochotę przebywać w ich bezpośrednim towarzystwie i zmuszać się do podtrzymywania konwersacji. Jeżeli pragnęła ciszy, jeżeli zatęskniła za spokojem letnich dni i nocy, mogła pojechać do rodziny, do Prowansji. Paryż jako wielkie miasto miał prawo do tego, by tętnić pełnią życia. By być głośnym i nieokiełznanym.

Nieokiełznanym – takiego właśnie słowa użyła dziś Solange, gdy przyszły do mieszkania Izy. Iza zdołała ją do tego namówić, może dlatego, że Boguszevska, po awanturze w bistro, poczuła się potem, już na ulicy, zmęczona i zaczęła narzekać na zawroty głowy. Iza wspomniała jej wtedy, że mieszka niedaleko, raptem piętnaście minut drogi spacerkiem, i byłoby jej miło, gdyby ciotka zechciała przyjąć zaproszenie.

– Wiem, że wcześniej nie miałaś na to ochoty i wynajęłaś pokój w hotelu, ale może powinnaś odpocząć u mnie, zanim się tam udasz – zaproponowała bez specjalnej nadziei, że tamta się zgodzi. I dopiero gdy wypowiedziała te słowa, dotarło do niej, że zupełnie odruchowo zwróciła się do tej kobiety tak bezpośrednio. Poczowała się niezręcznie. Przecież Solange była od niej znacznie starsza i, jak by nie patrzeć, nie tylko do tej pory nie zaproponowała, ale nawet w żaden inny sposób nie dała do zrozumienia, że życzy sobie takiej poufałości. – Przepraszam – wyjąkała wobec tego Iza. – To tak odruchowo wyszło. Chciałam tylko powiedzieć, że byłoby mi miło, gdyby jednak zechciała pani przyjąć moje zaproszenie.

– Daj już spokój z tą panią. – Solange machnęła lekceważąco ręką. – Ostatecznie razem piłyśmy alkohol, a poza tym... byłam żoną twojego wuja. Byłam – przestała się uśmiechać – przy twoim urodzeniu.

– Tak – odparła cicho Iza, bo odniosła wrażenie, że Solange czekała na jej odpowiedź. Może należało powiedzieć coś więcej, ale mogłoby to zabrzmieć zbyt sentymentalnie, a tego by chyba żadna z nich nie zniosła. Solange na pewno nie.

– A wiesz co? Może to nie jest taki głupi pomysł, aby u ciebie odpocząć.

Tylko nie traktuj mnie jak starszą panią, która przeholowała z alkoholem. Nie jestem wstawiona.

– Oczywiście, że nie – odparła skwapliwie, może nawet trochę zbyt skwapliwie, Iza.

Solange rzuciła na nią podejrzliwe spojrzenie, widocznie jednak nie zauważyła na twarzy dziewczyny ani odrobiny ironii czy też przesadnej troski, bo uspokoiła się i nawet lekko uśmiechnęła.

– Oczywiście, to nie to co kiedyś – rozmarzyła się albo tylko tak dobrze udawała rozmarzenie. – Kiedyś, za młodu, to były zabawy... Piliśmy tu czasem do białego rana. I żaden kelner nie odgrywał świętoszka jak ten tam. – Odwróciła się na chwilę z pogardą w stronę lokalu. – Myślałby kto... A i tak ludzie byli wtedy przyzwoitsi niż dzisiaj. – Na chwilę zamilkła i rozejrzała się po ulicy. – To miasto zawsze tak na mnie działało. I działa. Jest nieokiełznane. I dlatego nikt nigdy nie potrafił go podbić. Ani Rosjanie i Prusacy, gdy wtargnęli tu, chcąc ukarać cesarza Napoleona, ani – jak ostatnio – Niemcy. W gruncie rzeczy to oni ulegali temu miastu. Zuchwałe, świadome swojej siły. Dobrze się tu kiedyś bawiłam. Twoja matka nie brała w tym udziału. Pewnie dlatego, że ty od samego początku dawałaś jej się we znaki. Boże... i po co to było?

– Po co jej to było? – uściśliła pytanie Iza, choć jednocześnie zmroziło ją ono od wewnątrz.

– Jej... im – mruknęła niewyraźnie Solange. Może dotarło do niej, że wyraziła się przed chwilą zbyt dosadnie.

– Została pani żoną jej brata. – Iza postanowiła wziąć się w garść i nawiązać do przerwane wcześniej wątku.

– Tak. Uwierzyłam w jego zapewnienia. Powiedział, że mnie kocha. Wcześniej nawet o tym nie marzyłam. Bo musisz wiedzieć, że nigdy nie byłam ani specjalnie ładna, ani interesująca. A przeciętne dziewczyny powinny strzec się przystojnych, mądrych, inteligentnych mężczyzn. Bo jeśli taki zwróci na którąś z nich uwagę, to znaczy, że coś jest nie tak. To znaczy, że taki pan ma jakieś problemy ze sobą albo nie udało mu się z jakąś ślicznotką. I wtedy potrzebuje przeciętnej, zapatrzonej w niego dziewczyny albo kobiety. Niczym tonący koła ratunkowego. Albo lepiej szalupy, to może być zresztą zwykła stara łajba. Bez znaczenia, bo liczy się tylko to, by jakoś dopłynąć do brzegu. A potem... potem bywa różnie.

Głośny śmiech, dochodzący z trotuaru pod balkonem, wybudził Izę z zamyślenia. Jednak na krótko, bo zaraz znowu wróciła do wspomnień, których wysłuchiwała kilka godzin temu na tym samym balkonie. Z ust kobiety, która nosiła w sobie ból, żal, tęsknotę i niewypowiedzianą przez lata obawę, podejrzenie.

– Tak, to na ogół nie może się udać – mówiła Solange, odwracając wzrok od Izy. Patrzyła przed siebie, na miasto, w którym niegdyś tak dobrze się czuła. Iza

odniosła wrażenie, że Boguszevska na dobrą sprawę nawet nie mówiła do niej. Tak jakby prowadziła swój własny wewnętrzny monolog. – Nieładna dziewczyna i przystojny mężczyzna nie mają przed sobą przyszłości – kontynuowała. – Chyba że brak urody kobieta może zrekompensować inaczej: jest utalentowana, ma temperament w tych sprawach, posiada taki wewnętrzny błysk. Ja jednak nie posiadałam żadnej z tych cech i dlatego bałam się zostać jego żoną. Moje siostry kpiły ze mnie, mówiąc, bym łapała okazję, dopóki mi się trafia, żebym nie robiła z siebie głupszej, niż jestem. Ale one mnie nie rozumiały. Całe życie spędziły na prowincji, więc uważały, że „złapany” mąż to pewna przyszłość. Ja znałam życie lepiej od nich, więc się bałam. Że pewnego dnia Maciej znudzi się mną i odejdzie. Że któregoś dnia... ona się odnajdzie. Tak, nie bałam się innych kobiet. Nawet te najpiękniejsze, najbardziej szykowne i interesujące nie mogły mi zaszkodzić. Nie zwracał na nie uwagi. Groźna była tylko ta jedna. Tylko Joanna.

„Na miłość boską, co ty opowiadasz!” – chciała krzyknąć Iza, ale milczała. Chyba mogła to jeszcze przerwać. Mogła powiedzieć Boguszevskiej, że już wystarczy, już dość powiedziała, ale z drugiej strony coś ją przed tym powstrzymywało. Nie była pewna, czy chce dalej tego słuchać, ale uznała, że to na nic. Przecież musiała poznać prawdę. Powinna była wziąć pod uwagę, że może przy tej okazji obudzić śpiące upiory. Teraz więc należało stawić im czoła.

– Jednak nic złego się nie wydarzyło – mówiła dalej Solange. – Prowadziliśmy spokojne życie i wyglądało na to, że mąż jest ze mnie zadowolony. Że jest mu ze mną dobrze. Mnie też było dobrze z nim, ale ja przecież od dawna miałam w głowie i w sercu tylko jego. A kiedy urodził się Pierre, byłam pewna, że teraz nic mi nie zagrozi. Wtedy i we mnie obudziło się przekonanie kobiety z prowincji, która wie, że gdy da mężowi syna, to ma już gwarancję nierozzerwalności związku. Na dobre i na złe. Niestety, stało się inaczej. Pierre miał pół roku, gdy wybuchła wojna. Mąż wstąpił do polskiej armii, choć byłam temu przeciwna. Ale mój ojciec go poparł. „Co ty byś chciała – mówił – aby twój mąż był ostatnią ofermą i chował się za piecem, gdy trzeba walczyć za kraj?” Nie wytrzymałam. „Za jaki kraj?” – krzyknęłam. „Przecież to nie jego kraj. On ma rodzinę, ma dziecko!” A wtedy ojciec na mnie huknął: „Za swój kraj, głupia!”. Też chciał iść, choć jeszcze kilka lat wcześniej twierdził, że po Wielkiej Wojnie na żadną kolejną go nawet na łańcuchu nie zawloką. Podobno Verdun wciąż śniło mu się po nocach. I co? Poszedł, jak tylko usłyszał, że ludzie do wojska potrzebni, ale go nie wzięli. Kulał po poprzedniej wojnie, choć próbował to ukrywać. Maćka za to przyjęli. Po kapitulacji Francji nie wrócił do domu, wstąpił do Résistance. Ze względów bezpieczeństwa nawet nas nie odwiedzał, ale przynajmniej wiedziałam, że żyje. Dostałam o tym poufną wiadomość. Wcześniej brałam pod uwagę każdą ewentualność, nawet tę, że wraz z innymi z jego armii został ewakuowany przez Dunkierkę do Anglii, a może nawet znalazł się na froncie w Afryce. A on przez

cały czas okupacji przebywał na drugim końcu Francji i brał udział w działaniach ruchu oporu. Zrozumiałam to, w każdym razie liczyło się, że do nas wrócił. Wprawdzie wolałabym, aby tak nie ryzykował, aby dziecko wyrastało przy ojcu, ale cóż... Taki był los wielu dzieci, a niektórych nawet gorszy. Mój ojciec stale powtarzał, że powinnam być dumna z męża, no to byłam. „Powinnaś na niego chuchać i dmuchać, powinnaś go wspierać, a nie się boczyć” – dodawała matka. Boczyć się? Czy sprawiałam takie wrażenie? Przecież starałam się okazać zrozumienie. Kochałam go, zaczęłam myśleć o następnym dziecku. To byłoby dziecko na nowy początek, na lepsze czasy. Pewnego dnia zaczęłam wierzyć, że wreszcie nadeszły, ale wtedy... Ona wróciła do naszego życia. Tak zupełnie niespodziewanie.

Solange zamyśliła się, a potem drżącą dłonią zapaliła kolejnego papierosa.

„Za dużo pali” – pomyślała wtedy Iza i w tym samym momencie poczuła bolesne ukłucie w sercu. Bo jak to możliwe, że ta kobieta niemal odpalała jednego papierosa za drugim i przynajmniej pozornie nic nie wskazywało na to, że coś jej dolegało, podczas gdy Joanna, która nie paliła nigdy, zachorowała na raka płuc i umarła? Zaledwie rok po odnalezieniu swojego dziecka, za którym latami tęskniła. Oto kolejny dowód na niesprawiedliwość losu. Iza nie rozpaczła po śmierci Joanny. Straciła ją, zanim zdążyła w pełni pojąć i zaakceptować fakt, że ta kobieta była jej biologiczną matką. Teraz jednak, słuchając Solange, patrząc, jak ta folgowala sobie z tytoniem i alkoholem, Iza poczuła po raz pierwszy szczerzy żal, że tak się to wszystko ułożyło. Że nie zdążyła poznać Joanny i odpowiedzieć na miłość, którą matka darzyła ją od lat. Nawet nieliczne zapiski Joanny, które kilka lat temu dał jej Maurice i które wciąż od nowa czytała, nie zdołały wywołać w niej tego uczucia. Także wspomnienia Maurice’a okazały się wobec tego faktu kompletnie bezradne. Dopiero dziś, dopiero ta rozmowa, dopiero wyznanie Solange okazały się przełomem. Czy dlatego, że jej słowa nawiązywały także do Macieja Boguszewskiego? Że w jakiś sposób splatały ze sobą losy Joanny i jej brata? Joanna i... jej brat? Czyżby... Czy Solange robiła tu określoną aluzję? Czyżby próbowała sugerować, że...?

„Nie, to niemożliwe”. Iza zacisnęła dłonie tak mocno, że podskórne żyłki stały się bardziej widoczne niż zwykle. „Nie sugerowałaby czegoś takiego, nawet gdyby to była... prawda”.

A jednak ciotka mówiła o sprawach dziwnych, niepokojących. Była wyraźnie rozstrojona, potrzebowała alkoholu, aby się rozluźnić, aby opowiadać. W dodatku dwukrotnie zobowiązała Izę do obietnicy, aby ta nie próbowała spotkać się z Pierre’em. A była tak otwarta, tak szczerza w wyznaniach, bo prawdopodobnie nie życzyła sobie, aby Iza kiedykolwiek ją jeszcze niepokoiła. Nie chciała kolejnych spotkań. To było pierwsze. I zapewne miało być ostatnim.

– To było latem czterdziestego piątego, jakieś dwa miesiące po podpisaniu

kapitulacji przez Niemców – kontynuowała Solange, zaciągając się papierosem, jakby w ten sposób próbowała zapanować nad własnym zdenerwowaniem, nad lekkim wprawdzie, niemniej widocznym drżeniem dłoni. – Pojechaliśmy we trójkę do Paryża: ja, Maciek i Pierre. Nastroje były wtedy dość ambiwalentne. Z jednej strony radość, bo wojna się skończyła i Niemcy przegrali. Z drugiej zaś – strach i niepewność tych, co mieli to i owo za uszami, czyli na przykład kolaborację. A takich nie brakowało, sama zresztą coś o tym słyszałaś. Nasza trójka nie musiała się bać. Mój mąż walczył w ruchu oporu, choć nie był nawet rodowitym Francuzem. Szliśmy bulwarem, od ulicznego sprzedawcy mąż kupił synkowi balonik. Mieliśmy właśnie wstąpić do kawiarni na bulwarze Saint-Michel i dosłownie w drzwiach zderzyliśmy się z wychodzącą stamtąd parą. To była Joanna w towarzystwie nieznanego nam mężczyzny. Stanęliśmy naprzeciw siebie jak wryci. Widziałam, że zbladła, jej twarz kolorem przypominała ścianę w szpitalu. Ja musiałam wyglądać tak samo. „Joanna... Boże drogi” – wyszeptał Maciek, a ja już wiedziałam, że to koniec. Koniec mojego spokoju, koniec marzeń o szczęściu. Wystarczyło tylko na niego spojrzeć. Ona opanowała się pierwsza. Umiała taka być. Tylko dwa razy widziałam ją naprawdę roztrzęsioną i w kompletnej rozsypce: gdy dowiedziała się o ciąży i gdy zaraz po porodzie zabrano jej dziecko. Od tamtego czasu jej nie spotkałam i oto nagle wyrosła przede mną w pełnej krasie. Wyglądała rewelacyjnie: smukła, ubrana z niewyszukaną elegancją, poruszająca się z gracją jak kobieta wychowana na salonach wyższych sfer. Posiadała ten urok, ten niemożliwy do naśladowania czar, który zawsze wzbudzał skrywaną zazdrość tak nijakiej dziewczyny jak ja. Nigdy nie mogłam się z nią równać, i to nie tylko dlatego, że nie miałam jej urody, jej ciemnych, gęstych włosów, wyrazistych oczu, delikatnego owalu twarzy i ciemnej karnacji. Nawet gdyby była brzydsza ode mnie, to i tak za nią odwracałby się każdy mężczyzna, bo ona miała w sobie to coś. Miała pewnie od zawsze, a ja – nigdy. Gdy jeszcze studiowałyśmy, to na nią zwracali uwagę wszyscy chłopcy na uczelni i niemal każdy wykładowca. A ona nic sobie z tego nie robiła. Większość dziewcząt mogła wychodzić ze skóry, a i tak nie miała przy niej szans. Nawet wtedy, gdy ciąża dawała jej się we znaki i robiła się coraz grubsza, nadal miała w sobie ten urok, wciąż była taka ładna, interesująca. Pamiętam, że wtedy, gdy po latach stanęłam naprzeciwko niej na schodach kawiarni, dotarło do mnie z pełną wyrazistością, że jej nie znoszę. Że nigdy jej tak naprawdę nie lubiłam. Nie zrobiła mi nic złego, w każdym razie na pewno nie uczyniła tego świadomie, ale ja nic nie mogłam poradzić na to, że byłam chora z zazdrości. Musiałam to w końcu przyznać sama przed sobą. „Jak się macie?” – odparła zdawkowo na słowa Maćka. On zaś patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Ponieważ ja także nie byłam w stanie odpowiedzieć, Joanna wzięła sprawy we własne ręce. „Mój mąż, Maurice” – przedstawiła nam swojego towarzysza. Mąż! Na moment poczułam niewyobrażalną wprost ulgę.

Jednak tylko na moment, wystarczyło bowiem, bym spojrzała na Maćka, a mój niepokój od razu powrócił. Maciek był blady jak nieboszczyk, spojrzenie miał jednak takie... żywe, takie... Matko Boża, dopomóż, pomyślałam wtedy, choć od lat już się nie modliłam. I nie namyślając się dłużej, wskazałam na małego Pierre'a, który do tej pory ukrywał się za nami. „A to nasz Pierre” – powiedziałam i zaraz zobaczyłam, jak zmieniła się na twarzy. „Wasz Pierre?” – powtórzyła, patrząc to na mnie, to na Maćka. Na dziecko starała się już nie zwracać uwagi. „Jesteśmy małżeństwem od kilku lat” – oświadczyłam, śmiejąc się z niej w duchu. „No tak, no tak” – ona na to. Widziałam, że próbowała wziąć się w garść, i w końcu jej się to udało. Zawsze była w tym mistrzynią. Nawet się uśmiechnęła. „Pamiętam, że już przed laty mieliście się ku sobie” – dodała. Naprawdę tak powiedziała, a ja znowu podziwiałam ją z zazdrością. Staliśmy tak i wymienialiśmy te puste uwagi, a powietrze wokół nas aż wibrowało od emocji. Nie miałam wątpliwości, że każde z nas miało na myśli inne słowa, które cisnęły nam się na usta, a których nie byliśmy w stanie wypowiedzieć. Wyjątkiem był jej mąż. Wyglądało na to, że Maurice albo nie wie, jaka gra toczyła się między naszą trójką – co byłoby dość dziwne, chyba że Joanna nie opowiedziała mu o swojej przeszłości – albo wie o wszystkim, lecz pragnie sprostac sytuacji. „Chodźmy coś zjeść” – zaproponował pogodnie i pokazując na lokal, z którego wychodzili, wyjaśnił: „To miejsce sobie darujcie, tak jak i my. Właściciel tej knajpy przez całą wojnę wysługiwał się Niemcom i ich tutejszym dziwkom, dlatego przyzwoici ludzie teraz tu nie wchodzi. Zapewne wkrótce i tak go czeka sąd”.

Solange umilkła i rozgniotła w popielniczce do połowy wypalonego papierosa. Najwyraźniej jej organizm zaprotestował wobec takiej dawki nikotyny. A może odezwał się rozsądek.

– To jedno przypadkowe spotkanie rozpoczęło cały ciąg następnych. Nie mogłam tego znieść. Oni odwiedzili nas w Dijon, my ich po raz kolejny w Paryżu. A potem w Prowansji, w ich letnim domu. Moi rodzice byli zachwyceni. „To Bóg sprawił, że odnalazłeś siostrę” – tak moja matka zapewniała Maćka, a ojciec jej wtórował. Ja zagryzałam wargi, ale nic nie mogłam zrobić, byłam zupełnie bezradna. Nie pozwalałam mu jeździć samemu do Paryża, nawet w interesach, nie zgadzałam się, by podjął pracę w stolicy, choć mu to zaproponował jego dawny kolega z Résistance. Na samą myśl o takiej ewentualności dostawałam szału. Ojciec powtarzał, że jestem głupia i tyle zwojuję, że mąż ode mnie ucieknie. Matka mówiła to samo. „Żaden mężczyzna nie ścierpi, gdy kobieta trzyma go na zbyt krótkim łańcuchu” – jazgotała mi nad głową. „Zrazisz go tylko do siebie i tyle ci z tego przyjdzie. Daj mu trochę odetchnąć”. Wtedy nie wytrzymałam. „Odetchnąć?!” – zawołałam. „Odetchnąć ode mnie?” A matka na to: „Ostatnio go tylko męczysz i irytujesz”. Wtedy straciłam resztki cierpliwości i wrzasnęłam: „Czy ty wiesz, dlaczego on chce przenieść się do Paryża? Dlaczego chce tam

mieszkać i pracować? Aby być bliżej niej!” I zobaczyłam, że matka zaniepokoiła się nie na żarty. „Kogo?” – spytała matka. „On kogoś ma? No widzisz, do czego doprowadziłaś?” Taka właśnie była moja matka. Zresztą ojciec myślał tak samo, podobnie i moje siostry. Ich zdaniem to ja byłabym winna, gdyby mój mąż porzucił mnie dla innej kobiety. A ja próbowałam dać im do zrozumienia, że zbyt wiele czasu straciliśmy, żyjąc osobno, całe cztery lata podczas wojny. Nie rozumieli mnie. Perswadowali, że przecież Maciek nie zamierzał przeprowadzać się do Paryża sam. Ja i Pierre mieliśmy mu towarzyszyć. Tak, to była prawda, ale niewiele mnie ona pocieszała. W Dijon, z dala od Joanny, czułam się bezpieczniej. Oczywiście pod warunkiem, że mój mąż zostałby ze mną. Wreszcie ustąpił i zrezygnował z paryskiej posady. Zrobił to dla mnie, dziś nie mam co do tego wątpliwości, ale wtedy nadal się bałam. Stał się zamknięty w sobie. Coraz częściej był nieobecny myślami. Zaczęłam wtedy żałować, że sprzeciwiłam się jego planom przeprowadzki do stolicy. Dusił się w Dijon. Kiedyś obawiałam się takiej ewentualności, a teraz ona nadeszła i, co gorsza, sama się do niej walnie przyczyniłam. W duchu przyznawałam rację moim krewnym, ale było już za późno, by coś zmienić. Coraz częściej patrzyłam na siebie krytycznie. „Co ty z sobą zrobiłaś?” – myślałam, patrząc w lustro. „Przed laty studiowałaś, dużo czytałaś, bawiłaś się w paryskich lokalach, chodziłaś do teatru. Taką cię pokochał. To wszystko mogło wrócić, miałaś na to szansę i ją zmarnowałaś. Mentalnie zrobiłaś się bardziej zaściankowa niż twoja matka i krewne. A on i tak jeździ do Paryża, nie możesz mu zabronić odwiedzania jej”. Matka surowo mnie upomniała: „To jego siostra, pamiętaj o tym. Pod pewnymi względami zawsze mu będzie bliższa niż ty. Tak już jest”. A jeśli ona jest dla niego kimś więcej niż siostrą? Musiałam to pytanie zadać na głos, bo zaraz zobaczyłam, jak matka uczyniła znak krzyża i ze zgrozą zawyrokowała, że musiałam już do reszty stracić rozum. „Czy ty Boga się nie boisz, by mówić takie straszne rzeczy?!” – zawołała. Pewnej nocy powiedział mi, że Joanna w dalszym ciągu szuka córki, wobec tego on robi, co w jego mocy, aby jej w tym pomóc. „Przecież ona ma męża, to ich sprawa, nie twoja” – rozpłakałam się. „Ty masz własną rodzinę, to nam powinieneś poświęcić swój czas”. A on na to: „Nie rozumiesz, że ją zawiodłem, i to od razu na początku? Powinienem był jej wtedy pomóc, doradzić, a zostawiłem ją samą, kompletnie samą. Powinienem być wówczas przy niej”. Przeraziłam się potwornie tego, co chyba zamierzał mi wtedy wyznać. Zaczęłam krzyczeć, że nie chcę tego słyszeć. Niech robi, co uważa za słuszne, ale ja nie chcę o niczym wiedzieć. I równocześnie bałam się, że to koniec.

– Ale przecież w końcu to on mnie odnalazł? – Do Izy dotarło, że także nie chciałyby wiedzieć, co Maciek Boguszewski był gotów wyznać swojej żonie. Nie chciałyby, bo i tak podejrzewała. Prawie wiedziała. I w tym momencie fakt, że to właśnie ten człowiek ją odnalazł i oddał Joannie, nabierał niemal symbolicznego

znaczenia.

Zrobiło jej się słabo, jednak opanowała się i zerknęła kątem oka na Solange. Natychmiast zastanowiło ją zagadkowe, przenikliwe spojrzenie tamtej.

– Przecież odnalazł mnie, oddał rodzicom, a potem wycofał się z ich życia – dodała rozpaczliwie. – I w końcu postanowił wyjechać do Polski. Zapraagnął wrócić do kraju.

Twarz Solange skurczyła się i poszarzała. Iza wiedziała, że dotknęła teraz rany prawdopodobnie nigdy do końca nie zabliznionej, wciąż bolesnej. Mimo to nie potrafiła się powstrzymać, by nie zadać ciotce pytania, które od dawna nie dawało jej spokoju:

– Właściwie dlaczego zgodziłaś się z nim pojechać do Polski? Dlaczego go od tego nie odwiodłaś, skoro wcześniej nie pozwoliłaś nawet na przeprowadzkę do Paryża? Domyślam się, że on zatęsknił za krajem, choć wszyscy go ostrzegali przed powrotem. Przecież mogłaś wtedy zaprotestować i miałabyś rację. Z pewnością by cię posłuchał. Podejrzewałaś go o różne rzeczy, a on i tak w ostateczności robił to, czego ty chciałaś.

– Tak – rzekła głuchym głosem Solange i Iza aż się wzdrygnęła na brzmienie tego głosu. W ten sposób mógłby przemówić umarły zza grobu.

– Ale teraz chyba rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Chciałaś być jak najdalej od Joanny i... ode mnie. Prawda?

– Było znacznie gorzej. – Zielone oczy Boguszeńskiej nabrały osobliwego, a zarazem przerażającego wyrazu. – On wcale nie chciał wracać do Polski, w każdym razie wcześniej nie brał tego pod uwagę. To nie było jego pragnienie, lecz moje. Tak, masz rację, chciałam, abyśmy znaleźli się jak najdalej od was, od ciebie i twojej matki. Tylko o tym byłam w stanie myśleć, a on – tu też masz rację – w ostateczności zawsze robił to, co chciałam. Wiesz, co to znaczy? – I wtedy krzyknęła na całe gardło, prosto w ciepłą, pogodną, paryską noc: – To znaczy, że to ja go zabiłam! Wpakowałam go w ręce oprawców! Ja!

Cisnęła popielniczką o podłogę, oparła głowę o balustradę balkonu i zanosła się głośnym płaczem.

ROZDZIAŁ 24

Rok 1946

Zadzwonil i powiedzial, ze czeka na mnie przy pont Neuf. Zdziwilam sie i zaniepokoilam. Nie zjawial sie tak niespodziewanie, zawsze wzczesniej uprzedzal. Dlatego od razu pomyslalalam, ze stalo sie cos zlego. Cos z Solange albo z Pierre'em. Maciek niczego mi nie sugerowal, ale wyczuwalam, ze cos jest nie tak. Nie wiedzialam tylko co. Moze Solange byla przeciwna jego czestym wyjazdom do Paryza? Ona na ogol mu towarzyszyła, jednak ze wzgledu na malego czasami musiala zostawac w domu. Gdy przyjezdziala, byla przewaznie spieta, czujna, niespokojna. Domyslalam sie, ze tesknila za domem, za dzieckiem. Pewnie marzyla tylko o tym, by wreszcie zakonczyc wizyte i wracac razem z nim do Dijon. Chciala miec ich obu razem przy sobie – Macka i malego Piotrusia.

Nie ocenialam tego. Gdybym miala przy sobie moja mala dziewczynke, zapewne myslalabym podobnie. A moze nie? Wlasciwie skad mialabym to wiedziec? Skad moglam wiedziec, jaka bym byla, gdybym przed laty nie wyrzekla sie mojej coczeczki, gdybym nie pozwolila, aby zabrali ja obcy ludzie. Przeciez powinnam byla wtedy walczyć, przeciez mialam po swojej stronie prawo. Co z tego, ze cos tam wzczesniej podpisalam?! Moglam to zmienic, nawet wtedy, gdy daly mi maleństwo do rak, aby za chwile je zabrac. Gdybym wtedy zrobila awanture, gdybym sie sprzeciwilam, tak jak nalezalo, to fakt, ze podobno wszystkie formalnosci byly juz dopiete, nie mialby zadnego znaczenia. Zadnego. Jednak... nie zrobilam wtedy nic. Dopiero potem obrazilam sie na caly swiat. Na Macka, na Nore, na Solange. Solange z pewnoscia to pamietala i pewnie dlatego, gdy los ponownie po latach skrzyzowal nasze drogi, nie potrafilysmy juz wskrzesic dawnych kolezenskich relacji. Pewnie miala poczucie winy wobec mnie.

Teraz, po latach chetnie bym jej wyjasnila, ze nie mam juz do niej zadnych pretensji. Ani do Nory. Chetnie bym ja zapewnila, ze opuscily mnie wszystkie watpliwosci, czy wtedy, przed laty, naprawde chialy mi pomoc. Maczkowi takze wybaczylam tamto niezdecydowanie. Nie wiedzial, jak mi pomoc, i w rezultacie w tym najwazniejszym momencie zabraklo go przy mnie. Ale to przeciez byla glownie moja wina, nie ich. Tak, chetnie bym to wyznala Solange, ale powstrzymywal mnie wyraźny dystans w jej spojrzeniu i sposobie, w jaki sie do mnie odnosila. Grzeczny, ale sztywny, wymuszony. Wlasciwie ledwo maskowala wrogosc. Czasami zreszta nie zdazyla w porę jej ukryc. Zdradzal ja jakis zastanawiajacy mnie wyraz jej oczu, jakies niby nieopatrznie rzucone slowo.

Bylo dla mnie oczywiste, ze Solange nie zyczyla sobie zadnej bliskości między nami. Od razu to odgadlam, jak tylko kilka miesiecy temu niespodziewanie

natknęliśmy się na nią i Maćka na bulwarze Saint-Michel. Prędzej mogłam się wtedy spodziewać trzęsienia ziemi niż tego, że po siedmiu latach, tak zupełnie znienacka, stanę oko w oko z Solange i moim bratem na stopniach niedużej kawiarenki. Właśnie opuszczaliśmy razem z Maurice'em ten lokal. Zaledwie zajrzeliśmy do środka i wyszedł nam na spotkanie mały przysadzisty mężczyzna w okularach, gdy mój mąż chwycił mnie za łokieć i kategorycznym tonem oświadczył, że wychodzimy.

– Dlaczego? – wyjąkałam zaskoczona.

– Nie podoba mi się tutaj – oświadczył dość ostrym tonem Maurice, co zupełnie zbiło mnie z tropu, bo nigdy jeszcze nie słyszałam u niego takiego tonu.

– Na pewno nie jest tak źle, proszę pana. – Uśmiechał się tamten człowiek i wskazał z uśmiechem rzeczywiście miłe i przytulne wnętrze. – Znajdzie się stolik specjalne dla państwa, a takiej kawy i bagietek w całej dzielnicy państwo nie znajdą.

Zrobiło mi się nieswojo, bo ten człowiek był naprawdę miły i zapewne w trudnych powojennych czasach zależało mu na klientach i zarobku, a lokal był prawie pusty. Było mi go żal.

– Zostańmy – poprosiłam Maurice'a, ale on w odpowiedzi ujął mnie zdecydowanie pod ramię, tym samym zmuszając, abym się wraz z nim cofnęła.

Na twarzy właściciela – domyśliłam się już, że lokal należał do niego – dostrzegłam wtedy oprócz rozczarowania jeszcze coś – jakby... obawę. Tak, bez wątpienia się czegoś bał.

– Zejdź nam pan z drogi – warknął na niego Maurice – bo jeszcze chwila, a wyrzygam się tu na podłogę albo przywalę ci w mordę.

Ostupiałam, bo jeszcze nigdy dotąd, ani razu, nie słyszałam takich słów w jego ustach. I takiego tonu.

– Co się z tobą dzieje? – wyszeptalam, widząc kątem oka, jak tamten człowiek chyłkiem wycofuje się na zaplecze.

– Wiesz, kto tu bywał podczas wojny?

Od razu zrozumiałam, co miał na myśli, i wzruszyłam ramionami.

– Niemcy bywali niemal we wszystkich lokalach Paryża – odparłam prowokacyjnie, bo jego nieprzejednana zawziętość zaczynała mnie już irytować. – Odwiedzali też teatry i sale koncertowe, podobnie robili Francuzi. Przecież życie jakoś się toczyło, nasze również. Ludzie musieli i chcieli jakoś egzystować, a wobec tego potrzebowali zarabiać na utrzymanie. Także prowadząc lokale, w których bywali Niemcy.

– I ty to mówisz? – Był najwyraźniej szczerze oburzony.

– A ty czasem nie zaglądałeś do knajpek? – przypomniałam mu, choć nieco naciągnęłam fakty.

Maurice bowiem rzadko podczas wojny odwiedzał jakiegokolwiek lokale. Przed

naszym ślubem szkoda mu było na to pieniędzy. Potem, gdy mnie poznał, gdy zaczęliśmy się spotykać i wreszcie staliśmy się małżeństwem, czasem, od wielkiego dzwonu zabierał mnie w różne miejsca. Zawsze jednak, gdy do kawiarni bądź bistra wchodził Niemcy, natychmiast dawał mi znak, abysmy wstali i wyszli. Z pewnością musiało to wyglądać podejrzanie; dwa albo i trzy razy dziwiłam się nawet, że nas nie aresztowano.

– Jak tak dalej pójdzie, pozostanie nam wyłącznie kawa przygotowana w domu – zażartowałam, bo nie potrafiłam, i wciąż nie potrafię, się na niego gniewać. W dodatku gdzieś w głębi duszy przyznawałam mu rację i byłam dumna z jego postawy, choć równocześnie odzywała się we mnie jakaś przekora, aby czasem się z nim przekomarzać, także w podobnych kwestiach. – Nie wiem, czy znajdziesz choć jeden lokal w Paryżu, do którego w czasie okupacji nie przychodzili Niemcy – dodałam.

– Ten facet ma coś znacznie gorszego na sumieniu – mruknął Maurice, już przy drzwiach. – Początkowo nie skojarzyłem tego miejsca, dopiero jak zobaczyłem tego kurdupla, od razu sobie przypomniałem. Podobno wydał Niemcom chłopaka, który u niego pracował. Nie znam szczegółów, ale ta sprawa śmierdziała wtedy i śmierdzi nadal. W każdym razie Niemcy zapewniali mu potem bardzo dyskretną, ale skuteczną ochronę. Dziś już nie mogą mu tego dać.

Miałam go właśnie zapytać, skąd wziął podobne rewelacje, czasem bowiem ta atmosfera masowego i dość pospiesznego karania prawdziwych lub domniemanych kolaborantów przywodziła mi na myśl czasy polowania na czarownice. W przeciwieństwie do Maurice'a nie byłam przekonana co do rzetelności przynajmniej niektórych oskarżeń i procesów sądowych. Mając pełną świadomość, że mogę tym samym rozpętać burzę, zamierzałam właśnie mu to oznajmić, ale nie zdążyłam. Zajęci wymianą zdań, omal nie zderzyliśmy się z wchodzącą właśnie do lokalu parą. Chciałam przeprosić i przepuścić ich – nawet się ucieszyłam, że wchodzi do środka, bo nadal w głębi duszy żał mi było tego biedaka w pustym lokalu – gdy nagle poczułam, jakby cała krew odpłynęła mi z twarzy.

– Joanna... o Boże – usłyszałam.

Mężczyznę stojącym naprzeciwko mnie był Maciek.

Szczerze mówiąc, od dawna już o nim nie myślałam. Nie traktowałam go wprawdzie tak samo jak... tamtych w Polsce, niemniej w ogóle już nie zawracałam sobie nim głowy. A on stał przede mną. Straciłam go z oczu siedem lat temu i przez ten czas trochę się zmienił. Spoważniał, zmężniał, nie był już tym chudym jak tyczka chłopakiem, który nie do końca potrafił znaleźć sobie miejsce w życiu, a przed laty przy każdej okazji toczył polityczne dysputy z ojcem, nie unikając przy tej okazji kłótni o niemal wszystko, czym doprowadzał tatę do białej gorączki. Wybaczalam mu to jednak, choć niekiedy przemówiłam mu ostro do słuchu za to, że tak

denerwuje naszego ojca. Lecz wybaczałam mu, między innymi dlatego, że był pod wieloma względami taki do niego podobny. Teraz, gdy przybyło mu lat, to podobieństwo było jeszcze większe niż wtedy. Miał sylwetkę ojca, jego wyraz oczu, zarys szczęki, czoło, nos.

Z trudem się opanowałam, by nie rzucić mu się na szyję. W jednej chwili powody, dla których siedem lat temu postanowiłam już nigdy na niego nie patrzeć, przestały istnieć. Została tylko (i aż) miłość. To odkrycie spowodowało, że postanowiłam czym prędzej wziąć się w garść.

– Jak się macie? – zadałam to durne pytanie, na które przeważnie nie wiadomo, co odpowiedzieć, a mimo to wszyscy je zadają.

Obok mojego brata stała Solange. Oczywiście od razu ją zauważyłam i poznałam, choć początkowo patrzyłam niemal wyłącznie na niego. To, że towarzyszyła mu Solange, wcale mnie nie zaskoczyło.

Jeszcze przed laty od czasu do czasu spotykali się ze sobą i już wówczas nie miałam wątpliwości, że Solange była w nim nieprzytomnie zakochana. Na swoje nieszczęście była jednak zbyt nieśmiała, by wziąć sprawy we własne ręce. Chyba też miała nie najlepsze mniemanie o sobie, o swojej urodzie, takie przynajmniej odnosiłam wrażenie. Maciek jednak nie traktował tej znajomości poważnie, przynajmniej wtedy. Jeśli więc teraz zobaczyłam ich razem, mogło to oznaczać, że kontynuowali znajomość sprzed lat. Tyle że w pierwszej chwili nie zorientowałam się, na ile poważna była ta znajomość. Tym bardziej że Solange stała z tyłu, za jego plecami, a w jej wzroku nie zobaczyłam radości na mój widok. Potrafiłam to zrozumieć, zważywszy na okoliczności naszego ostatniego spotkania. Ale w jej wzroku dostrzegłam strach i – tak, nie mam co do tego wątpliwości – widoczną wrogość. Oboje stali jak zakłęci, Maurice zaś przenosił zdumiony wzrok to na Maćka, to na Solange, a wreszcie na mnie. To mnie otrzeźwiło, uznałam, że w tej sytuacji ja powinnam przejąć inicjatywę.

– Mój mąż, Maurice – przedstawiłam go tamtym.

Ulga na twarzy Solange aż biła po oczach. Czyżby tak się cieszyła, że zdołałam ułożyć sobie życie? Czyli miała wobec mnie poczucie winy, a informacja, że mam męża, oznaczała, że się pozbierałam i uporałam z przeszłością. Nie zamierzałam wyprowadzać jej z błędu, przecież już dawno przestałam mieć do niej pretensje o cokolwiek, także – przede wszystkim – o tamto.

I wtedy – nie mam pojęcia, z jakiego powodu – w jednej chwili odprężenie na jej twarzy ustąpiło miejsca wyraźnemu napięciu.

– A to nasz Pierre – powiedziała.

W pierwszej chwili nie rozumiałam, o kim mówiła, lecz wszystko się wyjaśniło, gdy postawiła przed sobą małego, na oko pięcio-, sześcioletniego chłopczyka. Do tej pory stał z tyłu, dlatego go wcześniej nie dostrzegłam.

– Wasz Pierre? – powtórzyłam bezwiednie, choć przecież od razu wszystko

stało się dla mnie jasne.

Odpowiedziała mi, że ona i Maciek są małżeństwem od kilku lat. Pamiętam, że nogi się pode mną ugięły. Nie z powodu tego, że Maciek ożenił się z Solange. To akurat, szczerze mówiąc, niewiele mnie obeszło. Widocznie się myliłam, uważając ją za nieśmiałą, niepozorną myszkę, która nigdy nie odważy się na realizację swojego wielkiego, życiowego marzenia. Lecz mniejsza z tym, to nie była moja sprawa. To było ich życie.

Ale dziecko?!

Maurice powiedział mi potem, że kilka razy powtórzyłam słowa: „No tak, no tak...”. Potem nawet wspomniałam coś o tym, że przed laty Maciek i Solange mieli się ku sobie.

„Co za bzdura” – pomyślałam wtedy. „Przed laty jedynie Solange szalała za moim bratem. On od czasu do czasu jedynie gdzieś ją zaprosił. Nie potrafił się zdecydować, robił dwa kroki do przodu, a potem trzy do tyłu, jak zawsze”.

Zapewne musiałam w tym momencie wyglądać jak człowiek, który za chwilę straci przytomność. Maurice oczywiście wiedział, co się wtedy ze mną działo. Oni oboje też musieli się tego domyślać, niemożliwe, aby było inaczej. Patrzyłam na to dziecko, na tego małego chłopczyka, tak podobnego do Maćka, i myślami byłam daleko od nich wszystkich, daleko od Paryża. Myślami byłam znowu przy mojej małej dziewczynce, widziałam w tym momencie tylko ją, a niesłychanie przenikliwe spojrzenie małego Piotrusia kazało mi się znowu zastanowić, co się dzieje z moim własnym dzieckiem. Czy jest mu dobrze z tamtymi ludźmi. Czy jest zdrowe. Czy – mój Boże – jeszcze żyje. Przecież dopiero co skończyła się wojna.

Miałam wrażenie, że upłynęły wieki – w istocie była to jedna chwila – zanim wreszcie oderwałam wzrok od twarzyczki mojego małego bratanka. Spojrzałam na Solange i – nie do wiary – w jej oczach zobaczyłam triumf. Poczulałam się tak, jakbym dostała po twarzy. O co jej chodziło? Chciała się nade mną pastwić, coś mi udowodnić? Że jestem od niej gorsza? Bo ona ma dziecko, a ja nie? „Absurd” – pomyślałam. „Wpadam w paranoję. Chyba oszalałam. Dlaczego Solange miałaby tak myśleć?”

I rzeczywiście, gdy znowu zajrzałam w jej oczy, nie zobaczyłam już w nich niczego, co przypominałoby triumf. Ponownie ukazał się w nich strach. Tego zresztą także nie rozumiałam. Bała się, że zabiorę jej to dziecko? W odwecie za tamto?

„Zwariowałam, naprawdę zwariowałam” – myślałam w panice. A jednak już wtedy postanowiłam sobie, że tego chłopczyka, mojego bratanka, nie będę nazywała Pierre'em. Będę go nazywać Piotrusiem. Przecież to syn mojego brata, wnuk mojego ojca. Przecież jesteśmy Polakami. Zawsze o tym pamiętałam, ale wtedy, nie wiedzieć czemu, usłyszałam w mojej głowie i poczułam w sercu werble bojowe. Może sprawiło to spojrzenie Solange, nieprzyjazne, a zarazem pełne

obawy, niemal paniki. Te jej zielone, wyraziste, kocie – jak to przed laty powiedział Maciek – oczy.

Całe szczęście, że napięcie, jakie między nami wtedy zapanowało, rozładował Maurice. zaproponował, abyśmy poszli razem na obiad, on zaprasza, jednak nie tu, nie do tego lokalu, z którego właśnie z nim wychodziłam.

– Tu w czasie wojny gościli się Niemcy z miejscowymi dziwkami – wyraził się jakoś tak, albo podobnie.

Później, gdy już znaleźliśmy się sami w domu, wyznał mi, że miał wtedy wrażenie, jakby za chwilę miało dojść do eksplozji. Dlatego zaproponował wspólny obiad, choć nie miał żadnej pewności, czy atmosfera podczas posiłku będzie sprzyjać apetytom.

Tak naprawdę poszło całkiem nieźle. Rozmawialiśmy, a konwersację poprowadził Maurice. Dzięki temu nam było łatwiej uporać się z całą sytuacją, ze wspomnieniami. Zresztą Maurice i Maciek dość szybko nawiązali porozumienie. Gładko przeszli do tematu dotyczącego wojny, powojennych rozliczeń i polityki. Ja i Solange raczej milczałyśmy, ona od czasu do czasu zagadywała do synka. Wtedy nie potrafiłam oderwać od nich obojga oczu.

Wszyscy omijaliśmy szerokim łukiem tematy osobiste, tak jakbyśmy się w tej kwestii umówili. Nikt nikomu nie stawiał żadnych pytań.

To się zmieniło dopiero dwa dni później, gdy mój brat i bratowa odwiedzili nas w naszym paryskim mieszkaniu. Właśnie wtedy mały Piotruś, który zdążył się już trochę ośmielić, a przy okazji trochę znudzić rozmowami dorosłych, nagle zapytał Maurice'a, czy nie mamy jakichś zabawek.

Poczułam, jak załomotało mi serce, a Maurice, zerknąwszy na mnie, mrugnął do chłopca i odparł wesoło:

– Przykro mi. Nie zdążyliśmy należycie przygotować się do twojej wizyty, ale obiecuję, że następnym razem nie będziesz miał powodu do narzekań.

– Kupisz zabawki? – zainteresował się mały.

Nie mogłam się nie roześmiać, choć cały czas czułam ucisk w gardle.

– Tak. Kupię – obiecał z powagą mój mąż.

– Tylko tak mówisz – nadąsał się Piotruś. – Po co będziesz kupował zabawki? Tylko dla mnie? Przecież tu nie mieszkają żadne dzieci.

– Pierre, jesteś niegrzeczny! – krzyknęła zduszonym głosem Solange, a jej twarz była cała rozplamiona.

– Przecież tu nie ma żadnych dzieci – powtórzył uparcie coraz bardziej nadąsany chłopczyk i zacisnął usta w identyczny sposób, jak robił to mój ojciec. Dlatego nie czułam gniewu ani bólu. Miałam ochotę ucałować to dziecko, choć powstrzymywała mnie obawa, że ono wcale sobie tego nie życzyło. Podobnie jak jego matka.

– Pierre... – odezwał się ostrzegawczo Maciek. W przeciwieństwie do żony

był niemal trupio blady na twarzy.

Dopiero ostrzeżenie ojca sprawiło, że mały się uspokoił. Ja natomiast poczułam się rozczarowana, słysząc, jak mój brat, zwracając się do syna, używa francuskiego odpowiednika jego imienia.

„Powiem mu, aby tego nie robił” – zdecydowałam. Domyśliłam się, że bratowa nie będzie z tego powodu zadowolona, ale postanowiłam się tym nie przejmować. Wręcz przeciwnie – zapragnęłam zagrać jej trochę na nerwach, bowiem jej dziwne, kompletnie niezrozumiałe zachowanie wobec mnie zaczynało mnie już drażnić. Od dzieciństwa nie znosiłam takich niedomówień. Nie mogłaby powiedzieć, o co jej chodzi? O co ma do mnie pretensje? Od razu przypomniała mi się moja matka. Czasami zachowywała się identycznie jak teraz Solange.

– Nie ma tu na razie żadnego dziecka – przyznał pogodnie Maurice, zwracając się bezpośrednio do chłopca – ale będzie. – I mrugnął do niego okiem.

Przy stole zapadła cisza jak makiem zasiał. Poczułam na sobie przenikliwe spojrzenia obojga dorosłych Boguszczyńskich. Ten mały bowiem skoczył jak piłka do góry.

– Kiedy? – zawołał przejęty. – Będę mógł się z nim bawić?

– Nie wiem dokładnie kiedy – odparł pogodnie Maurice – ale możesz być pewien, że to nastąpi. Tyle tylko, że to będzie dziewczynka, nie chłopiec, ale to ci nie przeszkadza, prawda? – Mówiąc to, położył dłoń na moim ramieniu, co natychmiast mnie uspokoiło. W przeciwnym wypadku nie zapanowałabym nad wzruszeniem.

Przez chwilę wszyscy z wyjątkiem Piotrusia mierzyliśmy się uważnymi spojrzeniami. Mały był zbyt podekscytowany, aby zastanowić się nad dziwną reakcją dorosłych. I oczywiście był za młody, by nas zrozumieć.

– Czy to oznacza, że... – zaczął Maciek, ale przerwał, najwyraźniej niepewny naszej, mojej reakcji.

To mi przypomniało tamtą sytuację sprzed lat, gdy chciał wiedzieć, chciał pomóc, ale nie wiedział jak. Gdy niby przestrzegał przed oddaniem dziecka, ale robił to w sposób niezdecydowany, jakby sam nie był do końca przekonany, jaką podjąć decyzję. Teraz, po latach, nie miałam już do niego pretensji, ale odezwał się dawny ból. I to wystarczyło.

– To oznacza, że chcę odzyskać moje dziecko – odparłam ostro, ostrzej, niż zamierzałam.

– Ale przecież... podpisałaś... To dziecko ma inną rodzinę.

– Mam to gdzieś. Jest moje, zawsze tak było i nic tego nie zmieni.

Mówiłam twardo, wyzywająco patrząc to na niego, to na jego żonę. Solange mieniła się na twarzy, ale milczała. Maciek chciał jeszcze coś powiedzieć, ale uprzedził go jego syn.

– Ciociu, czy ty zgubiłaś swoją córeczkę? – spytał z powagą.

Przytuliłam go do siebie z całej siły, zanim Solange zdążyła temu zapobiec.

– Tak, zgubiłam ją – rzekłam przez łzy. – Była wtedy bardzo malutka, dlatego bardzo trudno będzie mi ją odnaleźć. Zmieniła się przez te lata, jest trochę starsza od ciebie, ale uda mi się. Znajdę ją, zobaczysz.

– A jak ona ma na imię? – Mały był coraz bardziej zainteresowany.

Wtuliłam twarz w jego kędzierzawe włosy, w przeciwnym wypadku chyba zaczęłabym wyc na całe gardło.

– Nie wiem – odpowiedziałam z trudem.

– To jak ją znajdziesz? – Dziecko odchyliło się i z powagą zajrzało mi w oczy. A ja natychmiast przypomniałam sobie tamte utkwione we mnie oczęta. Nigdy ich nie zapomniałam. Nigdy nie próbowałam zapomnieć – wręcz przeciwnie. „Nie widzi cię, ale wie, że tu jesteś”.

– Będę wiedziała, że to ona – szepnęłam i dodałam prawie bezgłośnie: – A ona będzie wiedziała, że to ja.

Maurice powiedział im wtedy o naszych staraniach, by odnaleźć dziewczynkę. Maciek słuchał i już nie przerywał, podobnie Solange. Milczeli, jednak doskonale wiedziałam, o czym myśleli. Że mój i Maurice’a wysiłek jest nie tylko daremny, ale i pozbawiony sensu. W dodatku nie ma gwarancji prawnej. Nie mówiąc już o tym, że jeśli jakimś cudem odnajdziemy dziewczynkę, to tym samym zrujnujemy życie ludziom, którzy uznali ją przed laty za swoje dziecko. Że przy tej okazji zrujnujemy także jej życie. Wiedziałam to wszystko, wielokrotnie przerabiał to moje sumienie, zdrowy rozsądek, rozum, ale co z tego? Rozsądek przegrywał z sercem, sumienie z tęsknotą, która nie mijала. I wciąż – mimo wszystko – tliła się we mnie nadzieja. Nic nie mogłam na to poradzić. To znaczy pewnie bym mogła – człowiek potrafi sobie narzucić najbardziej nieludzkie rygory – ale nie chciałam. A Maurice mnie w tym wspierał, od lat, z niesłabnącym przekonaniem, że się uda.

– Pomogę ci – powiedział nagle Maciek i zaraz się poprawił, wyraźnie zmieszany: – To znaczy pomogę wam.

Twarz jego żony w sekundzie zrobiła się popielata.

– Musimy już iść – rzekła lodowatym tonem.

Ja w każdym razie poczułam ciarki na plecach.

– To miłe z twojej strony, ale poradzimy sobie – odparł Maurice.

– Nie poradzicie sobie sami. – Maciek pokręcił głową. – Potrzebujecie pomocy.

– Jutro wracamy do domu – odezwała się ponownie Solange i głos jej drgnął, gdy zwróciła się do męża: – Przecież sam mówiłeś, że w czwartek musisz być w Dijon, w pracy. Przecież kończy ci się urlop.

Naprawdę była przerażona. Maciek pogłaskał ją po dłoni, a potem znowu popatrzył na mnie.

– W Dijon także mogę wam pomóc.

Pozornie mówił do Maurice'a i do mnie, ale nie miałam wątpliwości, do kogo tak naprawdę skierowane były te słowa. Wtedy zresztą nie miało to dla mnie znaczenia. Liczył się tylko fakt, że jest jeszcze ktoś, kto uwierzył, że moje pragnienie może się ziścić. Był to mój brat. Choć miał co do tego poważne wątpliwości, postanowił pomóc.

Dopiero potem dotarło do mnie, że jego zaangażowanie nie podobało się Solange. Może rzeczywiście powinnam była stopować mojego brata w jego staraniach, może powinnam mu była dać do zrozumienia, że przyjeżdża zbyt często, że Solange miała prawo czuć się zaniedbywana. Ona i jej dziecko. Maurice nawet o tym raz napomknął.

– On ma żonę i dziecko – powiedział. – Ma też pracę, z której go wyrzucą, bo poświęca jej coraz mniej czasu. Poradzimy sobie bez jego pomocy.

– Nie poradzimy sobie – odparłam, z trudem wydobywając słowa. – Przez tyle czasu nie posunęliśmy się nawet o krok naprzód.

– Bo najpierw była okupacja, a potem, w czterdziestym czwartym przyszedł front. Trwała wojna. Jak w tych warunkach można było znaleźć dziecko? Ale teraz jest inaczej. Teraz będzie dobrze.

Mówiąc to, tulił mnie w ramionach, ale ja wiedziałam swoje, choć wołałam nie mówić tego na głos. Ja wiedziałam, że nie będzie dobrze, chyba że... Maciek nam pomoże. Tak jak nie wątpiłam, że pomógłby nam mój ojciec, gdyby jeszcze żył. On zawsze działał skutecznie, a Maciek był do niego taki podobny.

Tak minął rok od naszego niespodziewanego spotkania na bulwarze Saint-Michel, gdy zadzwonił i powiedział, że musimy się spotkać. Że ma mi coś ważnego do powiedzenia.

Zaniepokojona pobiegłam w okolice Pont Neuf i tam go zobaczyłam. Był taki podekscytowany. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że musiało wydarzyć się coś niesłychanego... choć z drugiej strony niekoniecznie złego.

– Nie uprzedzałeś mnie, że przyjedziesz – powiedziałam, ale wpatrywał się we mnie tak roziskrzonym wzrokiem, że nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu. – Mów, co zmalowałeś.

Czasem tak do siebie mówiliśmy, jeszcze tam, w Bolesławicach.

– Przeszkodziłem ci w czymś? – zapytał przekornie. Czulałam, że wystawia moją cierpliwość na ciężką próbę, ale postanowiłam tego nie okazywać.

– Nie przeszkodziłeś mi. Przeglądałam właśnie oferty, szukamy kupca na nasze mieszkanie, ale ty w niczym mi nie przeszkadzasz.

– A zatem Maurice zdecydował się na tę posesję w Lyonie? – zagadnął, choć wiedziałam, że sam niemal się gotuje, aby zakomunikować mi coś zupełnie innego.

– Tak. Zawsze tęsknił za południem. Z Lyonu zdecydowanie bliżej do Prowansji.

– A ty? – Przyjrzał mi się bacznie.

– Co ja?

– Nie będziesz tęsknić za Paryżem? Spędziłaś tu tyle lat. Lyon jest ci zupełnie obcy.

Zniecierpliwiałam się. Nie pojmowałam, o co mu chodzi. Od kilku tygodni wiedział o planach Maurice'a, to nie była żadna tajemnica. Maurice przez pewien czas jeszcze się wahał, i to jedynie ze względu na mnie. Miał dokładnie te same obiekcje, które teraz wymienił mój brat, a mianowicie że nie odnajdę się w nowym miejscu. Że będę tęsknić za Paryżem. Odpowiedziałam mu wtedy to samo, co teraz Maćkowi.

– Dobrze wiesz, że moja tęsknota nie dotyczy Paryża.

Poza tym Maurice miał w Lyonie przyjaciół jeszcze z czasów liceum, zapewnione dobre warunki zatrudnienia na tamtejszej uczelni, a w niedalekim Aix-en-Provence mieszkała jego rodzina.

Maciek wysłuchał tego w milczeniu, tylko tajemniczy uśmiech igrał mu na ustach.

– W takim razie może to i lepiej, że tam zamieszkacie – zawyrokował w końcu. – Powiedz tylko mężowi, aby znalazł odpowiednie mieszkanie, najlepiej niedaleko szkoły.

Poczułam, że robi mi się gorąco, że nogi mam jak z waty. Zaczęłam dygotać, dokładnie jak wtedy, gdy przed laty tamten lekarz na przedmieściach powiedział mi, że spodziewam się dziecka. Tak, to było to samo, dokładnie to samo uczucie.

– Usiądź, bo zaraz zemdlejesz – zarządził mój brat i dosłownie w ostatniej chwili chwycił mnie mocno w objęcia i zaprowadził do najbliższej ławki.

– Czy... – próbowałam zapytać, ale nie byłam w stanie. Zęby mi szczykały i cała drżałam, choć jednocześnie zalewała mnie fala gorąca.

Objął mnie i przygarnął do siebie z całej siły.

– Mamy ją... znaleźliśmy ją.

– Nic nie rozumiem. Co ty do mnie mówisz? – Płakałam i kompletnie mnie nie obchodziło, że zwracaliśmy na siebie uwagę przechodzących obok ludzi.

– Znaleźliśmy ją. Od kilku miesięcy jest w sierocińcu w Bordeaux. Jej rodzice, jej opiekunowie – poprawił się – zginęli w wypadku kilka miesięcy temu. Nie będzie żadnych trudności, żadnych.

Śmierć tamtych dwojga rozwiązywała wszystkie trudności – jakkolwiek by to nie zabrzmiało. Dziecko czekało w sierocińcu na nowych opiekunów. Mogliśmy nimi zostać ja i Maurice. Na litość boską, to musieliśmy być my, nikt inny. Nie pozwolę, by ktokolwiek mnie w tym uprzedził. Wiedziałam, że powinnam się zerwać z ławki i biec na dworzec, aby kupić bilet do Bordeaux. Albo zadzwonić do Maurice'a. Powinnam była zrobić cokolwiek, a zamiast tego siedziałam na ławce i mazałam się jak mała dziewczynka.

– Nie wierzę. To tylko sen. Zaraz się obudzę i będzie jak przedtem.

I wtedy dotarło do mnie, że znowu jest tak jak wtedy, dziewięć lat temu, gdy dowiedziałam się o ciąży. Mówiłam te same słowa, zanosłam się płaczem, a on próbował mnie pocieszać. Tyle że wtedy sam był bezradny i nie wiedział, jak mi pomóc, a teraz było zupełnie inaczej. Teraz mi pomógł.

Dotknęłam jego policzka.

– Dziękuję – szepnęłam. – Komu jeszcze mam podziękować?

Przez jego twarz przemknęło lekkie drżenie.

– Powiedziałeś „znaleźliśmy” – przypomniałam mu łagodnie. Nie poznawałam własnego głosu. – Ktoś był z tobą?

– Musiałem uruchomić pewne znajomości. – Uśmiechnął się. – Wiesz, jak to jest.

– Na pewno poniosłeś duże koszty.

Nie wiedziałam, co mówić, więc wspomniałam o kosztach, licząc na to, że wreszcie się uspokoję, uwierzę w to wszystko, zacznę normalnie myśleć, działać. Nic z tego, rozkleiłam się na dobre. Tak jak wtedy, przed laty, gdy nienawidziłam samej myśli o tym dziecku. Teraz chciałam o nim wiedzieć jak najwięcej, a nie byłam w stanie pytać. Maciek odpowiadał na niezadane na głos pytania. Jak je odgadywał? Chyba miałam je wypisane w oczach. Pewnie potrafił z nich czytać.

– Ma na imię Iza. Ładnie, prawda? A nazwisko jej zmienicie na Seigner. I pamiętaj, powiedz Maurice’owi, aby znalazł w Lyonie porządne mieszkanie, blisko dobrej szkoły.

ROZDZIAŁ 25

Dwa tygodnie później Iza zakończyła wreszcie pracę nad tłumaczeniem, nad którym biedziła się zdecydowanie dłużej, niż należało. Było jej niezręcznie tłumaczyć się przed Michele, bo doskonale wiedziała, że jak zwykle może liczyć na jego zrozumienie i tolerancję. Zawsze tak było, choć szczerze mówiąc, czasem wolałaby, aby potraktował ją bardziej surowo. Tak byłoby łatwiej, potrafiłaby wreszcie zdobyć się na jakikolwiek dystans wobec niego. Może wreszcie zniknęłoby poczucie winy, które pojawiała się, gdy tylko napotykała to jego pełne dobroci i tkiwości spojrzenie.

– Co się z tobą dzieje, Isabelle? – spytał, gdy tylko wymamrotała niewyraźne przeprosiny za przekroczenie terminu wykonania zlecenia. – Masz jakieś kłopoty?

Zaczerwieniła się po nasadę włosów, z pełną świadomością, że w tym momencie zachowywała się i wyglądała jak uczennica przyłapana z papierosem w ręku.

– Nie, to nic poważnego – odpowiedziała, modląc się w duchu, aby Michel pozwolił jej w końcu opuścić gabinet albo dał jej porządną burę. Aby zrobił bądź powiedział cokolwiek, byle tylko nie patrzył na nią w taki sposób, jakby wciąż chciał jej dać do zrozumienia, że tylko on potrafi pomóc takiej zagubionej dziewczynie jak ona. Bo w jego oczach była niczym nastolatka – młodziutka, niedojrzała, nieporadna – która nie poradzi sobie w życiu bez takiego silnego, opiekuńczego faceta jak on.

– Na pewno? – spytał, tym samym utwierdzając Izę w przypuszczeniach co do roli, jaką zawsze chciał odgrywać w jej życiu.

– Na pewno – odparła trochę ostrzej, niż pierwotnie zamierzała, toteż zaraz poczuła wyrzuty sumienia. To także nie było nic nowego. Zawsze, a zwłaszcza wtedy, gdy byli jeszcze razem, właśnie tak reagowała, gdy tylko pozwoliła sobie na zademonstrowanie mu swojego niezadowolenia z nadmiernej, osaczającej ją troskliwości. Najpierw były zdecydowane słowa lub gesty świadczące o sprzeciwie, a zaraz potem poczucie winy i wyrzuty sumienia. I chociaż początkowo nie zamierzała niczego mu wyjaśniać, to teraz uznała, że aby złagodzić nieco napięcie, jakie wywołał jej ton, wyjawi mu co nieco. Poza tym sama była sobie winna. Gdyby wywiązała się z terminu, jak należy, Michel nie miałby powodu, aby zatrzymać ją teraz dłużej w swoim gabinecie.

– To tylko sprawy rodzinne – wyjaśniła pojednawczo.

– Coś z Maurice'em? Zachorował? – zaniepokoił się Michel.

– Nie, nic z tych rzeczy – pospieszyła z odpowiedzią. – Chodzi o rodzinę mojej matki. Podczas ostatniego pobytu w Polsce nawiązałam z nimi kontakt i próbuję podtrzymać relacje, ale nie jest to łatwe.

Oczywiście naciągnęła nieco fakty, ale w takiej wersji brzmiało to bardziej

wiarygodnie. Tyle że, zgodnie z jej przewidywaniami, Michel zainteresował się kwestią jej polskiej rodziny.

– Nie mówiłaś o tym wcześniej.

Zabrzmiało to jak łagodna wymówka, tak jakby Iza w dalszym ciągu była zobowiązana tłumaczyć mu się z każdego posunięcia. Gdy byli jeszcze razem, nie zgadzał się na tajemnice w ich związku. Lecz – na litość boską – to już należało do przeszłości.

– Nie było okazji – odparła zgodnie z prawdą. Nie szukała okazji do rozmów i spotkań z Michelelem.

Chyba właściwie zrozumiał jej odpowiedź, bo w jego oczach zamigotał na chwilę jakiś osobliwy błysk, ale zaraz wziął się w garść.

– Wyjeżdżasz gdzieś na urlop? – spytał.

Natychmiast zrobiła się czujna. Wołała, by nie nawiązywał w czasie ich rozmów do spraw związanych z urlopami i wyjazdami.

– Nic szczególnego – odparła. – Jak zwykle pojedziemy z ojcem na kilka dni do jego domu w Prowansji, a przy okazji planujemy małą wycieczkę do Langwedocji.

– Czyżbyś miała zamiar odkrywać niewyjaśnione jeszcze karty z historii albigenów? – zażartował. Z ulgą podchwyciła zmianę jego tonu i natychmiast się do niego dostosowała.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie sędzę, aby cokolwiek jeszcze było tu do odkrywania, ale niewykluczone, że ojciec jest innego zdania.

Michel zamierzał coś odpowiedzieć, ale w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi i zaraz ukazała się w nich głowa Claire – sekretarki szefa.

– Przepraszam, ale przyszedł ktoś do panny Seigner – oznajmiła. Claire zawsze dbała o zachowanie oficjalnych form zwracania się do wszystkich osób zatrudnionych przez wydawnictwo.

– Kto taki? Nikogo się nie spodziewałam – odparła w pierwszej chwili zaskoczona Iza, a zaraz potem przyszło jej do głowy, że to dobry powód, aby wreszcie uwolnić się od Michela. – Mniejsza z tym, już idę – dodała, podnosząc się z miejsca.

– Czeka już od pewnego czasu. Byłam pewna, że pani jeszcze nie przyszła do biura, dopiero Guy, ten młody pracownik biurowy, powiedział mi, że pani już od godziny jest w wydawnictwie, a niedawno poszła do szefa. Nie wiem, jak mogłam tego nie zauważyć – zaznaczyła z żalem, a zarazem z pewną pretensją w głosie.

– Niech więc dłużej nie czeka, kimkolwiek jest – powiedziała Iza i skinąwszy głową na pożegnanie, zarówno Michelowi, jak i jego sekretarce, z ulgą opuściła gabinet.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że nawet nie spytała Claire, kto na nią czeka,

gdzie i jak ma tego kogoś rozpoznać. Na korytarzu rozglądała się przez chwilę bezradnie i już miała z niezadowoleniem wrócić do sekretariatu po niezbędne informacje, gdy jak spod ziemi wyrósł przy niej Guy, ich nowy i pełen zapału pracownik.

– Czeka na panią w holu, na dole – oznajmił wesoło. – Ma facet niebiańską cierpliwość, tyle czasu... Choć przed chwilą miał taką minę, jakby zamierzał dać już sobie spokój i odejść.

Zaintrygowana coraz bardziej Iza nie czekała już nawet na windę, tylko czym prędzej zbiegła po schodach na dół. Istotnie, przy samych drzwiach stał młody człowiek, wysoki, szczupły, ciemnowłosy, który od razu wydał jej się znajomy. Tak jakby go już kiedyś widziała. Ale gdzie i kiedy? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Zdaje się, że pan na mnie czeka – zagadnęła, zbliżając się do niego. – Proszę mi wybaczyć, dopiero przed chwilą się o tym dowiedziałam. Stracił pan podobno dużo czasu. Jestem... – Zamierzała się przedstawić, ale nie zdążyła tego zrobić.

– Nie zmarnowałem czasu. – Młodzieniec niemal wszedł jej w słowo. – Poza tym wiem, kim jesteś. – A ponieważ osłupiała, usłyszawszy to oświadczenie, zaraz dodał: – Ale ty mnie nie znasz. Nazywam się Pierre Boguszewski.

Milczała i nie odrywała od niego wzroku.

– Założę się, że nie potrafisz powtórzyć mojego nazwiska – zażartował, analizując wyraz jej twarzy, ale nie trzeba było być byстрыm obserwatorem, by zauważyć, że także był zdenerwowany.

– Ty je wymawiasz bez trudu – odparła wreszcie i uśmiechnęła się, choć miała poczucie nierealności tej sytuacji. Nadal nie była pewna, czy to dzieje się naprawdę. Czy to nie sen. Przecież Solange wymogła na niej obietnicę...

– Własnego nazwiska miałbym nie wymawiać? – odparł, ale w przeciwieństwie do wesołego tonu jego głosu, patrzył na nią poważnie i przenikliwie. Iza ponownie poczuła się niepewnie.

– Twoja matka nie życzyła sobie, abym się z tobą spotykała – powiedziała. – Obiecałam jej, że tego nie zrobię.

– Jasne. Wierzę ci – mówił śmiało, z brawurą, wesoło. – Tyle że to ja przyszedłem do ciebie, a nie ty do mnie. To chyba zmienia postać rzeczy... – Mrugnął do niej. – Jesteśmy przecież bliskimi krewnymi.

„Tak, bez wątpienia jesteście” – przemknęło jej przez myśl i choć nadal jeszcze nie mogła otrząsnąć się z zaskoczenia, to poczuła autentyczne zadowolenie, że go widzi. Jeszcze pięć minut temu w ogóle nie brała tego pod uwagę.

– Jak mnie znalazłeś? Jak w ogóle dowiedziałeś się o moim istnieniu? – spytała jednym tchem.

Czyżby jednak Solange mu o tym wspomniała? Iza nie potrafiła się

powstrzymać, by nie zadać tego pytania na głos.

– Masz trochę czasu? Najlepiej teraz, od razu? – usłyszała w odpowiedzi.

Tak, oczywiście, że miała trochę czasu. Do biura przyszła tylko po to, aby przynieść Michelowi ten nieszczęsny manuskrypt. Drugi przekład czekał na nią na biurku w domu, ale termin jego ukończenia jeszcze nie nagiął. Gdyby nawet tak było, nie potrafiłaby teraz zrezygnować z rozmowy z tym człowiekiem.

Poszli do Ogrodu Luksemburskiego i usiedli na jednej z ławek. Nieopodal bawiła się gromadka dzieci pod czujnym okiem matek lub opiekunek.

– Tak powinno być z nami – odezwał się w pewnym momencie Pierre, wskazując na dzieci. – Powinniśmy od dziecka wiedzieć o swoim istnieniu i spędzać ze sobą jak najwięcej czasu.

Zakręciło jej się w głowie. Oddałaby teraz majątek za szklankę wody.

– Skąd wiedziałeś o moim istnieniu? Matka ci powiedziała? – spytała cicho, a ponieważ przez chwilę najwyraźniej namyślał się nad odpowiedzią, dodała szybko: – Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Wiedziałem o tobie od lat – odparł wreszcie, wprawiając ją tym samym ponownie w osłupienie. – Wiedziałem, gdzie mieszkasz i gdzie pracujesz. Mogłem w każdej chwili do ciebie przyjść, ale...

– Ale tego nie zrobiłeś. Dlaczego?

– Bo ty mnie nie szukałaś. Doszedłem więc do wniosku, że pewnie nic o mnie nie wiesz, a w takim razie mogłabyś źle przyjąć moje odwiedziny. Nie uwierzyłybyś mi.

– W takim razie dlaczego się w końcu zdecydowałeś? – Przełknęła ślinę. – Dlaczego teraz?

– Bo teraz ty także wiesz...o mnie, o nich...

Nie odrywali od siebie wzroku. Wreszcie Iza pokręciła głową.

– Nie wiem wszystkiego. Nadal są to głównie domysły, podejrzenia.

– Domysły? – Znowu to uważne spojrzenie. – Podejrzenia?

Iza wciąż jeszcze nie była pewna, na ile szczeroci może sobie pozwolić. Jakie były intencje człowieka, którego widziała pierwszy raz w życiu?

– Matka powiedziała ci, że z nią rozmawiałam? – spytała ostrożnie, choć wydało jej się to dziwne. Solange kilka razy dała do zrozumienia, że chce zachować ich rozmowę w tajemnicy. Dwa razy zażądała zapewnienia, że Iza nie będzie próbowała nawiązać kontaktu z jej synem. Zmieniła zdanie? A może przeholowała z alkoholem i po prostu wyjawiała mu wszystko? Iza miała okazję, aby się przekonać, że niewielka ilość wina w cudowny sposób rozwiązywała Boguszeńskiej język.

Pierre jednak potrząsnął przecząco głową.

– Nie, w każdym razie nie bezpośrednio. Ale moja matka nigdy nie wyrzuca otrzymanych listów. W dodatku nigdy nie zadbała, aby je dobrze schować. Tak

jakby zapraszała mnie do ich przeczytania, choć oczywiście z drugiej strony nie bardzo w to wierzę. Ale ona od lat już jest taka... nieuważna. A te listy to prawdziwa kopalnia wiedzy. Kilka tygodni temu miałem okazję przeczytać także list od ciebie. Przyjechałem do Dijon z wizytą, a twój list leżał w niedomkniętej szufladzie. I tym sposobem dowiedziałem się, że jednak coś wiesz. Albo coś cię zaniepokoiło.

Iza zacisnęła dłonie, a Pierre natychmiast to zauważył. Żachnęła się, bo nie chciała zdradzać przed nim aż takiego zdenerwowania.

– Nie słyszałeś o czymś takim jak niezbywalne prawo człowieka do tajemnicy korespondencji? – Próbowała wobec tego zażartować, ale nie podchwycił już tego tonu.

– Muszę na nią uważać, muszę nad nią czuwać. Widziałaś ją, rozmawialiście. Wiesz, jaki ma problem. – Odczekał chwilę, aż Iza potwierdzi skinieniem głowy, po czym kontynuował: – Gdy wróciliśmy z Polski, zajął się nią dziadek. Babcia już nie żyła, dziadek zmarł dwa lata po naszym powrocie. Miałem wtedy kilkanaście lat, ale już widziałem, że role się odwróciły. To ja miałem się nią opiekować, a nie na odwrót. Czasami z trudem ją poznawałem, bo gdy mieszkaliśmy jeszcze w Polsce, była zupełnie inna: silna, energiczna, dobrze zorganizowana. Naprawdę dobrze sobie radziła, choć warunki były trudne, a po aresztowaniu ojca było z nami bardzo krucho. Wtedy jednak matka nie załamała się, walczyła o byt, o uwolnienie taty, potem przynajmniej o możliwość odwiedzenia go w więzieniu. Była twarda. Nie płakała, a przynajmniej ja ani razu jej takiej nie widziałem. Powiedziała mi kiedyś, że płacz odbiera siły i zdolność do walki, że łatwo wtedy coś ważnego przeoczyć. Nawet gdy dowiedziała się o śmierci męża i gdy nie wydano jej ciała, była taka... nieugięta. Powiedzieli, że nigdy nie wyjedziemy do Francji, a ona na to, że trudno. Człowiek potrafi żyć wszędzie. Nie szła na żadne układy. Dopiero gdy nas w końcu stamtąd wypuścili, gdy przyjechaliliśmy do Dijon, do wygodnego domu dziadka, to jakby uszło z niej powietrze. Zaczęła pić, a raz usłyszałem, jak mówiła ciotce, że gdyby nie ja, nie miałyby już po co żyć. Pomyślałem wtedy, że wróciła do Francji tylko ze względu na mnie. Chciała mi zapewnić lepsze życie. – Teraz i on zacisnął dłonie na brzegu ławki. – Nie dziw się zatem, że muszę na nią uważać.

– Nie bałeś się zostawiać jej samej i jechać na studia do Paryża?

Pierre popatrzył w niebo i wzruszył ramionami.

– Chciała, abym wyjechał. Sama mnie namawiała. Twierdziła, że sobie poradzi, a niedaleko mieszkały jej siostry, kuzyni.

– Dlaczego postanowiłeś przyjść do mnie właśnie dzisiaj?

– Kiedy przeczytałem twój list do mojej matki, wiedziałem, że prędzej czy później się spotkacie. Wiedziałem, że matka wykorzysta do tego swoją najbliższą wizytę u mnie. Że najpierw będzie bardzo oficjalna i raczej nieprzystępna, ale

potem zaproponuje ci drinka i wtedy stanie się bardziej bezpośrednia.

– Skąd to wiesz? – przerwała mu.

– Bo ją znam, czytam w niej jak w otwartej księdze.

– Do tego stopnia, że wiesz, co mi powiedziała?

Milczał przez moment i wyjął papierosa. Na chwilę się zawahał i spojrzał na nią, ale skinęła przyzwalająco głową.

– Tego mogę się tylko domyślać – przyznał.

Iza postanowiła odkryć przynajmniej niektóre ze swoich kart.

– Pytałam ją o matkę, moją matkę.

– I odpowiedziała na każde z tych pytań?

– Nie. Ale może rzeczywiście nie знаła wszystkich odpowiedzi. Myślę, że była ze mną szczerą.

Nie odpowiedział, znowu patrzył na biegające wzdłuż alejki dzieci.

– Chcesz mi powiedzieć coś więcej na temat tych jej listów? – spytała cicho.

– Coś, czego nie chciała mi powiedzieć? – A ponieważ nadal milczał, podniosła trochę głos. – Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego w ogóle chciałeś się ze mną widzieć? Chciałeś, a teraz milczysz?! Powiedz mi tylko jedno: czy były tam listy od mojej matki? Coś, co mogłoby sugerować...

Jednak nie dała rady dokończyć. Nagle szczerze pożałowała, że Pierre do niej w ogóle przyszedł. Od rozmowy z Solange starała się żyć i pracować w miarę normalnie, zamierzała właśnie porzucić to rozgrzebywanie starych spraw. Nie tracić więcej czasu. Prawie jej się udało. Była już na dobrej drodze, gdy zjawił się ten chłopak i zakomunikował, że obserwował ją od lat. Na samą myśl o tym, że latami – nie mając o tym zielonego pojęcia – była obserwowana przez syna Maćka Boguszeńskiego – zadrzała. Podniosła się szybko z ławki z zamiarem odejścia, ale w tym momencie Pierre chwycił ją za łokieć.

– Nie znalazłem listu od twojej matki. Chyba żadna z nich nie czuła potrzeby takiego kontaktu. Zresztą kiedy miałyby to robić? Całymi latami trzymały się z daleka od siebie, a po latach spotkały się na krótko. Zaraz potem moi rodzice razem ze mną wyjechali do Polski, a Joanna wkrótce zmarła. Tak naprawdę szukałem innych listów. Od innego nadawcy.

– Od kogo? – Ponownie ściszyła głos.

– Od ojca. Chciałem go sobie przypomnieć. Lepiej poznać. Wtedy... nie zdążyłem. Miałem niespełna jedenaście lat, gdy został aresztowany, i więcej go nie zobaczyłem. Kiedyś, przed laty, marzyłem, że jeśli dane mi będzie z tobą porozmawiać, opowiem ci o nim.

– Dlaczego?

Nachylił się ku niej blisko, bardzo blisko. Z pewnością niektórzy brali ich w tym momencie za parę zakochanych.

– Bo być może był także twoim ojcem. Nie mów, że nie przyszło ci to do

głowy.

*

Było już zupełnie ciemno, ale dla nich nie miało to żadnego znaczenia. Już dawno opuścili Ogród Luksemburski, stali teraz nieopodal katedry Notre Dame, zapatrzeni w iglicę Sainte-Chapelle. Wcześniej wypili po lampce wina, kawę, milczeli bądź rozmawiali. Opowiedzieli sobie całe życie. Nie potrafili zakończyć tego spotkania, choć na każde z nich czekały jutro od rana zwykłe zajęcia dnia powszedniego.

– Chciałam mieć rodzeństwo, ale moi przybrani rodzice właśnie dlatego zaopiekowali się mną, że nie mogli mieć własnych dzieci. Joanna i Maurice także nie mieli szans na wspólne potomstwo.

– Ja nie mogłem narzekać na brak kuzynów, ale chciałem mieć brata, takiego prawdziwego brata. Jakoś z tym nie wyszło...

Iza oderwała wzrok od kaplicy i przyjrzała mu się.

– Dlaczego twoja matka zerwała kontakty z Zawilską i Boguszczewskimi? – spytała.

– A dlaczego o to pytasz? Czy to teraz najważniejsze?

Postanowiła być szczerą.

– Może i nie, ale chciałabym wiedzieć. Może to pozwoliłoby mi wyjaśnić całą resztę rodzinnych zagadek.

– Nie wierzysz, że możemy być rodzeństwem.

– Możemy, ale nie musimy. Nie jestem co do tego przekonana.

– Dlaczego?

Byli rodzeństwem. Wzdrygnęła się na samą myśl, co oczywiście nie uszło uwagi Piotra.

– Rodzeństwem przyrodnim – uściślił. – Tak czy owak, wiele przemawia za tym, że...

– Wiem – przerwała z drzeniem. – Mówiliśmy już o tym. Lecz owo „wiele” nie oznacza wszystkiego.

– To, co już wiem, w zasadzie mnie przekonuje.

– W zasadzie? – podchwyciła. – To żaden dowód.

– Wiem – przyznał po chwili. – Ale moja matka zachowuje się tak, jakby w to wierzyła. Choć nigdy słowem o tym nie wspomniała.

– Spytam Maurice’a – weszła mu w słowo Iza. – Nie wierzę, aby nic na ten temat nie wiedział.

„Wyobrażam sobie, jak go to zrani, ale chyba nie mam innego wyjścia” – pomyślała. A zaraz potem przyszło jej do głowy, że ma inne wyjście. Może nikogo o nic nie pytać. Może zakomunikować Pierre’owi, że ich pierwsze spotkanie będzie zarazem ostatnim. Może dać spokój całej tej sprawie. Po raz kolejny w ciągu

ostatnich miesięcy stwierdziła, że w ogóle niepotrzebnie się do tego brała. Zniszczyła spokój tym wszystkim ludziom, którzy z takim trudem go odbudowali – zarówno Maurice’owi, jak i Solange, a także poniekąd wujostwu Motin. I oczywiście polskiej rodzinie Joanny. Tak jest, wtargnęła w jako tako poukładane życie Hortensji Zawilskiej i jej syna Łukasza, a nawet Anny. Iza w tym momencie nie miała co do tego wątpliwości, że swoją wizytą wprowadziła jedynie zamęt w życiu tych ludzi. Jakby nie dość przeszli.

Mogła zatem dać temu spokój i pewnie wszyscy pozostali by się z tego ucieszyli. Wróciliby do swojego poukładanego życia. Z początku nie byłoby to łatwe, ale w końcu by się udało. Jednak... nie potrafiła już zawrócić, nie potrafiła się też zatrzymać. Mogła tylko iść naprzód.

– Maurice Seigner nie zechce o tym mówić – odparł Pierre. – Podobnie jak moja matka.

– Zobaczymy.

Ponownie skierowała wzrok na Pierre’a. „Powinniśmy od dziecka wiedzieć o sobie i spędzać ze sobą jak najwięcej czasu” – tak właśnie powiedział kilka godzin temu.

„Przecież to było zupełnie nierealne” – odpowiadała mu teraz w myślach Iza. „A zresztą – czy byłoby nam wtedy łatwiej?” Prawie złapała się za głowę. „Czy Joanna, moja matka, była zdolna do czegoś takiego? Do romansu z własnym bratem? A właściwie dlaczego nie? Był jedynym człowiekiem, którego po śmierci ojca kochała, gdy jeszcze mieszkała w Bolesławicach. A Maciek spędzał tam wakacje. I potem, już Paryżu, gdy prawda o jej stanie wyszła na jaw, był tak samo zagubiony jak ona”.

Chciała choć jedno wiedzieć na pewno.

– Więc nie powiesz mi, dlaczego Solange zerwała kontakty z polską rodziną męża? Nawet tego nie mogę być pewna?

Pierre rozgniół papierosa o brzeg najbliższego kosza na śmieci. W świetle latarni widziała, jak bardzo był teraz blady.

– Nie pomogli jej, kiedy szukała ratunku dla ojca, po prostu podwinęli ogony pod siebie. Ani twoja babka, ani brat ojca. Zwłaszcza on... A ojciec przedtem uratował mu skórę.

– Jak to? – Iza wstrzymała oddech.

Co powiedział stary Podhorecki? Wtedy, podczas ich ostatniego spotkania?

„Gdyby jego brat zachował się, jak należy”. Jakoś tak to brzmiało. Że można było uratować Maćka, gdyby jego brat zachował się, jak należy.

– Nie wiem dokładnie, o co chodziło, matka nie wdawała się w szczegóły, gdy mi o tym opowiadała. Może też nie wiedziała? Może ojciec nie chciał jej w to wtajemniczać? Wtedy, tam im mniej się wiedziało, tym lepiej. Choć czasem nawet to nie pomogło. Ojciec nigdy nie powinien był tam wracać, od początku musiał

wydawać się podejrzany, jak każdy, kto przyjeżdżał z Zachodu. Ale to już wiesz. A co do jego przyrodniego brata... – Machnął ręką z lekceważeniem. – Chyba wdał się w jakąś nielegalną awanturę o charakterze politycznym. Nic poważnego, jak przypuszczam, inaczej żadne znajomości by mu nie pomogły. Przyjaźnił się z takim jednym, który angażował się w działania przeciwko władzy ludowej. Była jakaś wpadka i po nitce do kłębka ubecy dotarli do Łukasza Boguszewskiego. Często zaczynali od płotek, to podobno była metoda, by dotrzeć do wieloryba, choć bywały takie płotki, które nie dawały się złamać w śledztwie. Łukasz Boguszewski nie należał do bohaterów, szczęśliwie jednak naprawdę niewiele wiedział o działalności swojego kolegi, więc i zaszkodzić za bardzo nikomu nie mógł. Takich jak on jednak, niewiele znaczących, którzy świadomie lub pechowo zaplątali się w politykę nie po tej stronie, co trzeba, także można było zmusić do udziału w grze, czyli na przykład do zobowiązania do współpracy. Uczciwie powiem, że nie wiem, czy tak się stało w przypadku naszego stryjka, niemniej wyszedł na wolność. Wskutek interwencji wyższego szczebla. Z całą pewnością jego matka i ojczym nie mogli mu w tym pomóc. Ojczym dopiero co wrócił z zagranicy, a jako jeden z żołnierzy generała Maczka, w dodatku przedwojenny oficer, także musiał uważać na wszystko, co mówił i robił. Miał problemy ze znalezieniem pracy, do wojska w ludowej ojczyźnie go nie przyjęli, a sprawa Łukasza z pewnością mu się nie przysłużyła. Moja matka twierdziła, i nadal twierdzi, że dopiero jej mąż wyciągnął braciszka z ubeckiego śledztwa.

– Jakim cudem, skoro także i on był dla komunistów podejrzany?

– Powoli, skarbie, powoli. – Pierre uśmiechnął się z przymusem. – Początkowo nie było tak źle. Wprawdzie zamieszkaliśmy u ludzi, których syn, notabene też przedwojenny kumpel ojca, jeszcze z gimnazjum, został zabity po wojnie w trakcie jakiejś leśnej utarczki z czerwonymi albo nawet z NKWD, a oni sami początkowo mieli z tego powodu przejścia z ubowcami, jednak ojciec miał także innych przyjaciół. Otóż dwaj koledzy sprzed wojny byli wtedy dość znaczącymi działaczami w partii, powiedzmy, plasowali się na średnich szczeblach hierarchii. Ojciec był kontaktowym facetem, lubił czasem z nimi pogadać. Jeszcze przed wojną miał lewicowe poglądy, podobno z tego powodu nieraz ścierał się ze swoim staruszkiem, a naszym dziadkiem. Komunistą jednak nie był i nie wstąpił do partii, choć ci dwaj koledzy mu to sugerowali. Nie skorzystał z propozycji, pomimo że mogło to poprawić byt naszej rodzinie, na przykład warunki mieszkaniowe. Matka twierdzi, że zawsze był romantykiem, ideowcem, ale ona go rozumiała i na nic nie nalegała, choć na pewno marzyła o własnym mieszkaniu i lepszych perspektywach. Jednak, jak już wspomniałem, ona go rozumiała. Ci dwaj także i nie robili żadnego problemu, gdy odmówił. Podobno powiedzieli tylko, że jest głupi i nigdy do niczego nie dojdzie, ale kontynuowali znajomość. Co się przydało w sprawie Łukasza Boguszewskiego. Wyciągnęli go z puszki. Chłopak był tak

przestraszony, że więcej nie miał ochoty na żadne przygody i podejrzone przyjaźnie. O tym, aby z kolei on cokolwiek zrobił dla swojego brata, gdy ten po latach znalazł się w tarapatkach, nie było mowy.

– Właściwie dlaczego został aresztowany, skoro miał takich wpływowych przyjaciół? – spytała Iza, zostawiając na chwilę bez komentarza opinię, jaką Pierre wygłosił pod adresem Łukasza i jego matki. Sama widziała to trochę inaczej, najpierw jednak woląla zapytać o to, co od dawna ją zastanawiało. Dlaczego Maciek w ogóle został aresztowany? Nie był komunistą, ale miał lewicowe poglądy, a z tego, co słyszała – w niektórych kwestiach – nawet bardzo lewicowe. Zasadniczo zgadzał się ze zmianami społeczno-gospodarczymi w powojennej Polsce. Wprawdzie wrócił z Zachodu, ale nie był nigdy zawodowym żołnierzem. W armii polskiej walczył tylko podczas kampanii francuskiej, raptem kilka tygodni. Potem związał się z francuskim Résistance. Czy to również mogło się nie podobać powojennym polskim władzom? Dlaczego więc aresztowali go dopiero w pięćdziesiątym pierwszym roku? I skąd taka zawziętość wobec człowieka, który mimo różnych wątpliwości nie był jednak ich zajadłym wrogiem? A poza tym miał tych dwóch przyjaciół zajmujących liczące się stanowiska w partii. Czemu mu nie pomogli, skoro byli tak skuteczni w sprawie Łukasza?

Pierre w milczeniu wysłuchał jej pytań. Przestał się uśmiechać. Pochylił się do przodu i wyraźnie skulił na ławce, tak jakby zaczął odczuwać chłód albo ból.

– Źle się czujesz? – spytała zaniepokojona Iza.

Potrzaskał głową i wyprostował się. Jednak po niedawnej pełnej swobody postawie nie było już śladu.

– Wybacz, ale zawsze tak reaguję, gdy zaczynam myśleć o tym, co przeszedł w śledztwie. On i inni – odparł cicho. – Gdy ktoś o to pyta, zawsze czuję zimno. Wtedy mam wrażenie, że on jest gdzieś blisko mnie. Że pozwala mi choć w małej części doświadczyć tego, czego sam zaznał. Po latach, gdy wreszcie zaczęto o tym mówić – komuniści nie mieli innego wyjścia po numerze, jaki im wyciął Józef Światło – dowiedzieliśmy się, że ojciec całymi tygodniami siedział w lodowatym karczerze. Oczywiście fundowali mu przerwy, nie chcieli przecież, aby zbyt wcześnie się wykończył. Mieli dla niego w zanadrzu także inne przyjemności. Potem już wiedzieliśmy jakie. Przed śmiercią wyglądał jak starzec. Miał powyrywane wszystkie paznokcie, wybite zęby, połamane zębra.

– Ale dlaczego? – szepnęła z wysiłkiem Iza. – Przecież nie walczył z nimi w oddziałach leśnych, nie należał do żadnej opozycyjnej, nielegalnej formacji. Nawet nie chodził do kościoła – dodała, wiedząc, że ostatnie zdanie tylko pozornie zabrzmiało niemądrze. Anna powiedziała jej kiedyś o walce komunistycznych władz z Kościołem katolickim. – No i ci przyjaciele, którzy należeli do partii... Dlaczego mu wtedy nie pomogli? – powtórzyła swoje wcześniejsze pytanie.

– Właśnie w tych dwóch kolegach tkwił cały szkopał. W partii doszło wtedy

do wewnętrznych tarć, choć równie dobrze można by je nazwać walkami frakcyjnymi. Ci dwaj byli powiązani z Gomułką, którego prezydent Bierut chciał zniszczyć jako potencjalnego lub faktycznego rywala. W tym celu rozpętano potężne śledztwo, aresztowano całe mnóstwo ludzi, wszystko po to, aby wymusić na nich zeznania obciążające Gomułkę.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała zdumiona. – Skąd wiesz o tych wewnętrznych tarcach wśród polskich komunistów?

Ona zaledwie wiedziała, kim był Bierut i jaką obecnie rolę pełni w Polsce Gomułka. Niezbędnych informacji na ten temat udzielił jej ojciec, gdy przygotowywała się do podróży do Polski. Potem, już na miejscu, uzupełniła swoją wiedzę. Nadal jednak nie знаła wielu detali, na przykład tych dotyczących wewnętrznych tarć wewnątrz obozu rządzącego w Polsce. Ani Łukasz, ani Anna, ani Podhorecki nie mówili jej o tym. Z pewnością nie były to informacje ogólnodostępne, a chwalenie się ich znajomością było bardzo ryzykowne. Być może także ludzie, których poznała w kraju, nie wierzyli, by urodzona i wychowana we Francji osoba mogła je zrozumieć. Iza potrafiła przyjąć do wiadomości ich punkt widzenia, tym bardziej jednak nadziwić się nie mogła, skąd takie szczegóły znał Pierre. On jednak tylko wzruszył ramionami, dając jej tym samym do zrozumienia, że nie ma w tym niczego niezwykłego.

– Ja się tam wychowałem – wyjaśnił. – Miałem piętnaście lat, gdy wróciłem z matką do Francji. A po powrocie starałem się dowiedzieć jak najwięcej o tych sprawach. Czytałem, szukałem wszelkich dostępnych informacji. Dotarłem do polskich emigrantów, także tych, którzy – podobnie jak my – wyrwali się stamtąd w czasie tak zwanej odwilży politycznej. Tu, w Paryżu, jest na przykład taki ośrodek, Maisons-Laffitte, może słyszałaś. Wydają własne pismo, książki. Najwięcej jednak dowiedziałem się, mieszkając jeszcze w Polsce. Słyszałem kiedyś, jak pan Szeptycki, u którego mieszkaliśmy w Warszawie, rozmawiał o tych sprawach z jakimś swoim znajomym. Nie mieli pojęcia, że ich słuchałem, a ja wtedy dosłownie chłonałem takie informacje jak gąbka. Zawsze miałem dobrą pamięć.

– Co takiego twój ojciec miał wspólnego z Gomułką? – spytała niepewnie. Wprawdzie Pierre sugerował, że Maciek najprawdopodobniej był ich wspólnym ojcem, ona jednak w dalszym ciągu miała wątpliwości. A nawet gdyby ich nie miała, nie potrafiłaby tak o nim powiedzieć. Nie była jeszcze na to gotowa. Wątpiła, czy kiedykolwiek będzie.

Pierre szczęśliwie podszedł do tego ze zrozumieniem. W każdym razie niczego nie skomentował, a skoncentrował się na udzieleniu odpowiedzi na jej pytanie.

– Co on miał wspólnego z Gomułką? Osobiście ani służbowo – nic. Wystarczyło jednak, że kolegował się z takimi, którzy byli związani ze

środowiskiem Gomułki. Tłumaczyłem ci już: aresztowano także płotki. Znajomych znajomego i tak dalej. Po nitce do kłębka próbowano wymusić na ludziach zeznania obciążające ich nawzajem, aby wreszcie ugodzić śmiertelnie najważniejszego w śledztwie człowieka. A ojciec do tego wszystkiego nie był takim zupełnie anonimowym szarakiem. Lubił gadać, czasami za dużo i czasami w niewłaściwym towarzystwie. Generalnie bowiem, jak już mówiłem, akceptował nowy ustrój, ale nie podobały mu się metody wymuszania posłuchu na społeczeństwie. Nie podobał mu się terror, twierdził, że nie tak pozyskuje się poparcie ludzi. Że to wręcz może zaszkodzić sprawie socjalizmu. Wreszcie pewnego razu powiedział to chyba za głośno. Zabrano go kilka dni po tym, jak aresztowani zostali tamci dwaj jego przyjaciele. Nawiasem mówiąc, słowo „przyjaciele” jest trochę na wyrost. Byli raczej dobrymi kolegami, którym dobrze się razem gadało i czasami wspólnie wypilo wódkę. W śledztwie zresztą wyciągnięto mu także innych kolegów, w tym tamtego z gimnazjum, który po wojnie zginął w lesie. Ojciec był twardy, niczego nie podpisał, nie wymuszono na nim żadnych zeznań obciążających kolegów. Matka też była potem twarda. Nie zgodziła się, gdy jacyś ważniacy zasugerowali jej rozwód z mężem w zamian za możliwość powrotu do Francji. Szkoda, że reszta rodziny nie potrafiła wtedy stanąć na wysokości zadania.

– I co w tym dziwnego? – zaoponowała łagodnie Iza. – Nic nie mogli zrobić. Nie mieli żadnych możliwości, aby wyciągnąć go z więzienia, tak jak on przed laty mógł to zrobić w przypadku brata.

– Rozumiem to. – Pierre skinął głową. – Nawet matka w końcu zrozumiała. Ale to nie było wszystko. Hortensja Zawilska i jej syn tak się bali narazić władzy, że praktycznie odcięli się także od mojej matki i ode mnie. To oni zerwali te kontakty, nie ona. Ona jedynie odmówiła, gdy po latach uważali, że można to jeszcze naprawić. Ale wtedy było już za późno. Bo w tych najgorszych dniach, gdy zabrakło ojca, musiała sobie radzić sama. Jedynymi ludźmi, którzy czasem próbowali udzielać jej wsparcia, byli gospodarze mieszkania, w którym w dalszym ciągu mogliśmy jeszcze przebywać.

Iza, mając żywo w pamięci swoją wizytę w Polsce, wszystkie odbyte wtedy rozmowy, nie podzielała tego oburzenia, a jedynie czuła bezbrzeżny smutek.

– To były straszne czasy – powiedziała spokojnie. – Nie wszyscy potrafili przejść tę próbę bez szwanku.

– No cóż... – Uśmiechnął się gorzko. – Twoja babka i wuj najwyraźniej tego nie potrafili. W przeciwieństwie do moich rodziców.

ROZDZIAŁ 26

– Co ty powiedziałaś? – Maurice patrzył na córkę w kompletnym osłupieniu. Iza poczuła, że robi jej się na zmianę zimno i gorąco. Z trudem wytrzymała spojrzenie ojca, niemniej udało jej się to.

– Przyznasz, że ma to pewien sens – odezwała się niepewnie.

Maurice poczerwieniał na twarzy.

– Bzdura! – krzyknął. – Sens?! Podobną bzdurę nazywasz sensem?!

– Spróbuj jednak spojrzeć na to obiektywnie. – Śmiało odbiła piłeczkę, bo jego reakcja zaczęła ją w końcu drażnić. Z jednej strony go rozumiała – ujawnienie podobnej prawdy o Joannie na pewno było dla niego trudne. Nawet jeśli znał tę prawdę, to z pewnością nie chciał, aby stała się tajemnicą poliszynela. Z drugiej jednak strony zaprzeczanie jej krzykiem i nic nieznaczącym słowem „bzdura” potwierdzało tylko wszelkie przypuszczenia.

– Czyli nie zgadzasz się porozmawiać ze mną sensownie na ten temat? – odezwała się zimno.

Lodowaty ton przybranej córki nie ostudził jednak Maurice’a.

– Oczywiście, że nie zgadzam się na oskarżanie mojej zmarłej żony o kazirodcze stosunki z bratem – warknął.

– Z przyrodnim bratem – uściśliła zirytowana do reszty Iza, choć pierwotnie nie zamierzała tak tego ujmować.

– Nie będę tego słuchał. – Maurice z pociemniałą od gniewu twarzą poderwał się z miejsca.

Iza nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała go w takim stanie. Zawsze uważała go za jednego z najłagodniejszych ludzi na ziemi, przyjaznego, ciepłego, tolerancyjnego. Za ojca, z którym mogła porozmawiać o czymkolwiek tylko chciała, który zawsze jej wysłuchał. Kochała go i podziwiała od lat. Była mu wdzięczna za wszystko. Wychował ją praktycznie sam i nigdy, ani razu, nie dał jej odczuć, że nie była jego biologiczną córką. Nigdy się nie unosił, cierpliwie i z uśmiechem znosił jej humory, gdy była jeszcze podlotkiem. Jeśli więc teraz zachowywał się w taki sposób, że z trudem go poznawała, mogło to oznaczać tylko jedno. Że przypuszczenia Pierre’a i jego matki były jednak prawdą.

– Dobrze. Nie słuchaj. Nie musisz też już nic więcej mówić. To, co powiedziałaś, całkowicie mi wystarcza – oświadczyła tym samym co poprzednio, lodowatym tonem.

Nie do wiary, że w taki sposób ze sobą rozmawiali. Maurice już miał wyjść z pokoju, gdy w ostatniej chwili zmienił zdanie, cofnął dłoń od klamki i odwrócił się w stronę Izy.

– Nie zgadzam się, abys w ten sposób mówiła czy nawet myślała o własnej matce.

– A jeśli to prawda? Co wtedy? – zapytała, choć ton jej głosu był już znacznie łagodniejszy.

Patrzył na nią bez słowa, ale przynajmniej wyraz wściekłości zniknął z jego oczu. Iza postanowiła wprowadzić nutkę odprężenia do ich rozmowy.

– George Byron także darzył swoją przyrodnią siostrę nie do końca braterskim uczuciem i nie była to miłość platoniczna. – Próbowła się uśmiechnąć, choć tak naprawdę nie miała ochoty na żarty. Nie odpowiedział, więc spoważniała. – Mówię ci to wszystko, bo nie potrafię lekceważyć pewnych faktów. Jeśli nie chciałeś, abym zainteresowała się życiem matki, to czemu dałeś mi do przeczytania jej zapiski?

Maurice w odpowiedzi westchnął bezradnie i ponownie usiadł w fotelu.

– Denerwowało mnie i martwiło to, że po jej śmierci nie odczuwałam żadnej potrzeby wspominania jej, rozmawiania o niej. Wiem, że czasem dzieci reagują w ten sposób na śmierć rodzica, ale dzieje się tak dlatego, że cierpią, nie mogą przeboleć straty. Próbują wobec tego wyprzeć ból. Z tobą było inaczej. Ty nie cierpiałas.

– A ty chciałeś, aby tak było.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło. Jednak twoja obojętność wobec jej śmierci była dla mnie nie do zniesienia.

– Jak mogłam cierpieć z powodu odejścia kogoś, kogo nie zdążyłam dobrze poznać?

– Dlatego po kilku latach od jej śmierci dałem ci zapiski. Chciałem, abyś ją poznała, aby ten rok, który dane wam było przeżyć razem, nie zatarł się w twojej pamięci. Abyś wiedziała, że ona zawsze za tobą tęskniła, a jej największym marzeniem było odzyskanie ciebie. Nie potrafiła sobie z tym poradzić, czasami wpadała w depresję, dlatego jeden z lekarzy poradził jej, aby próbowała uporać się z tą tęsknotą i smutkiem bez uciekania od nich. Aby stanęła z nimi twarzą w twarz i pisała o tym. Pamiętam, że byłem temu przeciwny, nie wierzyłem w taką terapię. Nadal uważam, że było to wielkie ryzyko, a jednak to jej pomogło. Oswoiła tęsknotę i smutek. Powiedziała mi kiedyś, że gdy pisze o tym wszystkim, jest jej łatwiej. I chyba tak było. W każdym razie wyraźnie się uspokoiła.

– Wiem, kiedyś mi o tym wspomniałeś. I oczywiście dziękuję ci, że dałeś mi to do przeczytania. Nie przyszło ci jednak do głowy, że jej zapiski rozbudzą moją ciekawość, której wcześniej nie odczuwałam? Że zechcę dowiedzieć się czegoś więcej o jej życiu?

– Brałem to pod uwagę, ale...

– Ale...?

– Ale... nic. Pomyślałem, że to i tak byłoby lepsze niż twoja niefrasobliwa obojętność wobec jej osoby.

– No i sam widzisz.

– Tyle że to poszło za daleko. Mogłem jeszcze zrozumieć twój zamiar poznania rodziny Joanny w Polsce, choć bałem się o ciebie. Beatrice była przerażona. Urządziła mi awanturę, twierdząc, że z pewnością stamtąd nie wrócisz. Że cię nie wypuszczą, a może nawet i zamordują, takie tam...

– Czemu miałyby się tak stać?

– Spytaj ciotki, to były jej obawy.

– A ty – dlaczego się o mnie bałeś?

– Bałem się, jak oni cię przyjmą, potraktują. Matka Joanny, rodzeństwo... i cała reszta. Bałem się, że zbyt wiele od nich oczekujesz i spotka cię gorczy rozczarowania.

– Bałeś się, że się dowiem, kto... kto był moim biologicznym ojcem – dokończyła Iza.

Nie była pewna, czy Maurice, słysząc to, ponownie nie zerwie się z miejsca i czy tym razem nie wyjdzie. Nie mogła się jednak powstrzymać, musiała to powiedzieć. Maurice istotnie podniósł się, ale nie skierował do drzwi, tylko do okna. Przez chwilę wyglądało na to, że kontemplował pola lawendy, na które rozciągał się widok z ich prowansalskiego domu. Przyjechali tu na zaplanowany urlop zaledwie dwie godziny temu.

„Ta rozmowa zepsuje nam cały pobyt” – pomyślała ze smutkiem. A jednak, bez względu na konsekwencje, zdecydowana była poprosić ojca o wyjaśnienia.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne? – spytał Maurice, lecz Iza nie usłyszała już w jego głosie pretensji czy gniewu, jedynie smutek.

Serce jej wezbrało współczuciem, ale i miłością wobec tego człowieka, dla którego była ważna od pierwszej chwili, gdy dowiedział się o jej istnieniu.

– Wierz mi, że chciałam ci tego zaoszczędzić. Uważam cię za mojego ojca i kocham cię, ale...

– Ale chcesz się dowiedzieć, kim był tamten. Dlaczego?

– Nie wiem – odparła z rozpaczą. Dlaczego tak to utrudniał? Czemu nie chciał jej zrozumieć? A może po prostu nie potrafił? – A ty... gdybyś się znalazł na moim miejscu, nie chciałbyś tego wiedzieć?

Maurice odwrócił się od okna, podszedł do niej i kciukiem dotknął jej policzka.

– I uwierzyłaś sugestiom, że to mógł być Maciek?

Znowu był taki jak zawsze. Łagodny, spokojny, pełen zrozumienia. Gotów na to, aby wysłuchać drugiego człowieka. Aby wysłuchać jej – dziewczyny, którą wychował.

– Bo tu prawie wszystko pasuje do siebie jak ulał – odpowiedziała gorączkowo. – Wyprowadź mnie z błędu, jeśli coś się nie zgadza, ale sam zauważ, jak to wygląda. Joanna... Wybacz, że jeszcze czasem używam jej imienia, zamiast nazywać mamą, ale wciąż tak mi łatwiej, choć bardzo się staram. – Ponieważ

Maurice skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości, choć na twarzy miał wypisany grymas niezadowolenia, kontynuowała: – Zatem Joanna dość nagle opuściła Bolesławice i towarzyszyła temu atmosfera skandalu, a potem zmowa milczenia. Jej matka do tej pory nie chce o tym mówić. Jak już ci kiedyś wspomniałam, nie wierzę, by powodem tej niechęci był w dalszym ciągu fakt, że Joanna nie uznawała jej drugiego małżeństwa. Tak mogło być na początku, ewentualnie przez kilka kolejnych lat, ale potem obie powinny były przejść nad tym do porządku dziennego. Tym bardziej że wkrótce wybuchła wojna i rodzinne niesnaski i nieporozumienia powinny były stać się niczym. Przecież tak było w przypadku większości ludzi na świecie.

– Większości... lecz nie wszystkich – zauważył sprytnie Maurice, ale Iza nie dała się wciągnąć w podobne dywagacje. Spieszyła się, chciała powiedzieć wszystko, co leżało jej na sercu, zanim ktokolwiek przeszkodzi im w rozmowie. Przecież Beatrice mogła nadejść w każdej chwili.

– Rodzina Joanny została bardzo doświadczona przez los. Pewnie nie byli pod tym względem wyjątkiem, a widocznie w ich przypadku nieszczęścia jedynie pogłębiły dawne konflikty. Mało tego! Generowały następne nieporozumienia. Nawet śmierć mojej matki niczego tu nie zmieniła. Nie zauważyłam, aby babka była w jakikolwiek sposób wzruszona, gdy wspominałam o jej zmarłej córce. Nie zauważyłam, aby rozrzewniła się na mój widok. Nie uważasz, że mimo wszystko to bardzo dziwne?

– To jednak nie dowodzi, że...

– To dowodzi, że babka Zawilska wciąż chowa wielką urazę do Joanny. Że czegoś nie może jej wybaczyć. Albo kogoś. Nie sprawiała wrażenia osoby ograniczonej ani małostkowej, pomimo że Joanna wystawiła jej nie najlepsze świadectwo w swoim pamiętniku. Jeśli więc nie jest w stanie wspominać Joanny dobrze, to znaczy, że ma ku temu ważne powody.

– A nie przyszło ci do głowy, że mogło być na odwrót? Że to ona ma coś na sumieniu wobec zmarłej córki i nie potrafi się z tym uporać? – spytał nagle Maurice, ale Iza odniosła wrażenie, że niemal zaraz pożałował, że to powiedział. To ją zastanowiło.

– Wiesz coś na ten temat?

W odpowiedzi wzruszył ramionami, najwyraźniej starając się zbagatelizować swoją wcześniejszą uwagę.

– Tak tylko myślę – odparł niechętnie. – Wszystko jest możliwe.

– No właśnie. – Iza postanowiła, przynajmniej na razie, nie analizować tego, co od niego usłyszała. Na to przyjdzie czas później. – A zatem zastanawiająca zawziętość Zawilskiej to jedno. Druga kwestia dotyczy Solange Boguszewskiej. Dlaczego nigdy mi o niej wspomniałeś?

– Nie wiem. – Ponownie wzruszył ramionami. – Solange już dawno zniknęła

z mojego pola widzenia. Ty nigdy nie pytałaś ani o nią, ani o jej syna. Dopiero przed twoim wyjazdem do Polski zainteresowałaś się rodziną matki, w tym losem jej starszego brata. Ale nie jego żoną i dzieckiem. Sam nie myślałem o Solange od lat. Przedtem także krótko ją znałem. Niedługo potem, jak cię odzyskaliśmy, Boguszewscy wyjechali do Polski. Nawet mi do głowy nie przyszło, że ona wraz z chłopcem wróciła do Francji.

– No właśnie. Dlaczego nie skontaktowała się z tobą po powrocie?

– Już ci to wyjaśniałem. Ja i Solange nie poznaliśmy się na tyle dobrze, aby odnawiać kontakty. Tym bardziej po śmierci jej męża i mojej żony.

– A ja myślę, że to ona nie chciała odnowienia tych kontaktów. Gdy powiedziałam ci o jej powrocie, sprawiałeś wrażenie zaskoczonego. Podobnie ciotka Beatrice i wuj Frederick. Bo oni także zdążyli ją poznać, wuj mi to sam nieopatrznie wyznał. Jednak mniejsza z tym. To już wasze sprawy, a wszyscy nabraliście wody w usta. Ja uważam, że Solange Boguszewska nie chciała odnawiać znajomości z tobą, twoją siostrą i szwagrem ze względu na mnie. Nie chciała mnie widzieć. Nie chciała, aby poznał mnie jej syn. Wiesz dlaczego?

– Już wiem. – Maurice podniósł komicznie dwa palce do góry jak zgłaszający się do odpowiedzi uczeń. – Solange nie chciała, aby jej słodki Pierre poznał swoją przyrodnią siostrę. Bez wątplenia od razu by się domyślił prawdy. Bystry chłopak!

– Nie kpij – zgromiła go Iza. – To bardzo prawdopodobne. W dodatku Pierre w momencie powrotu do Francji miał już skończone piętnaście lat. Nie był małym dzieckiem. Sporo przeżył i rozumiał. Miał dużą wiedzę o rodzinie w Polsce, a także o Polsce jako takiej. Solange nie chciała ryzykować, aby domyślił się, kim jestem. Aby domyślił się, co przed laty zrobił jego ojciec, którego czcił jak bohatera. Co zrobił z własną siostrą.

– Przyrodnią – dodał złośliwie Maurice, a napotkawszy spojrzenie Izy, zrobił niewinną minę. – O co chodzi? Powtarzam tylko twoje własne słowa.

Najwyraźniej zmienił taktykę, skoro starał się teraz ironizować i kpić. Iza jednak nie miała cienia wątpliwości, że w istocie gotował się ze złości, choć starał się nad tym panować. W dodatku w oczach miał wyraźną obawę.

„Czego się boisz, tato? Czy tego, że mogę mieć rację? Ja, Pierre i Solange? Może kobieta, którą tak bardzo i tak bezinteresownie kochałeś, nie powiedziała ci prawdy o sobie i dopiero teraz ją odkrywasz. To znaczy ja ją przed tobą odkrywam. Może się boisz nagle dowiedzieć, że przez kilka lat żyłeś z osobą, której tak naprawdę wcale nie znałeś”.

Przepraszam, chciała krzyknąć, wiem, że cię dręcę, ale skoro dałeś mi przed laty jej zapiski, abym zaczęła ją lepiej poznawać, to teraz czuję, że muszę odkryć na jej temat wszystko, co tylko zdołam. Także to, czego ona nie zapisała. I ty jesteś mi do tego potrzebny.

– Czy przez te kilkanaście miesięcy od waszego niespodziewanego spotkania na bulwarze Saint-Michele w czterdziestym piątym roku do wyjazdu Boguszewskich z Francji nie zauważyłeś, że Solange nie cierpiała twojej żony? – spytała.

Maurice zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Być może – odparł po chwili z ociąganiem. – Czasami zachowywała się dziwnie, ale rzadko zwracałem na nią uwagę. Nie była specjalnie interesująca. Nawet się dziwiłem, że studia w Paryżu nie zrobiły z niej bardziej wyrobionej towarzysko kobiety. Była taka... prowincjonalna. Oczywiście nie chodzi mi tu o fakt, że mieszkała na prowincji, bo tam również żyją świetli i inteligentni ludzie. Chodzi o pejoratywne znaczenie tego słowa. Ona sprawiała wrażenie dość ograniczonej. Nie miała nic do powiedzenia, nic, czego warto by było posłuchać.

– To nie do końca sprawiedliwa opinia, ale mniejsza z tym. Nie o to mi teraz chodzi. Była piekielnie zazdrosna o moją matkę. Sama mi to powiedziała, gdy spotkałyśmy się w Paryżu. Była do tego stopnia zazdrosna, że wymogła na mężu, aby wyjechali do Polski. Tak, to był jej pomysł. Byle tylko jej mąż stracił z oczu Joannę. Byle przestał przyjeżdżać do niej, do Paryża, a potem do Lyonu. Rozumiesz?

Maurice patrzył jej w oczy, a pobłażliwy uśmiech wreszcie zniknął z jego twarzy. Tak jak jeszcze wcześniej zniknął z niej gniew. Teraz była to twarz pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Iza wiedziała, że zaraz powie mu coś, co go zaboli. Nie chciała sprawiać mu tego bólu, nie cierpiała samej siebie za to, co zamierzała zrobić, ale musiała... Musiała, jeśli zamierzała skłonić go, by wreszcie i on odsłonił swoje karty.

– A ty nigdy nie byłeś zaniepokojony o częste odwiedziny twojego szwagra? Nie zastanowiło cię to, dlaczego zanieczyścił własną żonę i dziecko, aby miesiącami szukać dziecka swojej siostry? Niewiele brakowało, a wyrzuciliby go z pracy, tak często bywał nieobecny w Dijon. A on być może chciał wynagrodzić Joannie swoje dawne niezdecydowanie, być może nawet tchórzostwo, gdy przed laty nie zdobył się na to, aby być przy niej, gdy rodziła. Nie okazał jej wtedy dostatecznego wsparcia, choć podobno był przeciwny oddawaniu mnie obcym ludziom. Na gadaniu się jednak skończyło. Matka wspomniała o tym między wierszami. Może więc dlatego po latach chciał naprawić tamten błąd i zaniedbał wszystko inne, aby mnie odnaleźć. Trudno się dziwić, że Solange była pełna najgorszych podejrzeń. Prowincjonalność nie ma tu nic do rzeczy. A ty? Ty nie byłeś zazdrosny? Nie miałeś żadnych podejrzeń?

– Przestań – usłyszała w odpowiedzi. Zabrzmiało to spokojnie, głos Maurice'a nie zdradzał żadnych emocji, a mimo to wymuszał posłuch. Iza w każdym razie zamilkła. – Między twoją matką a jej bratem nie było nic niestosownego. Nic, o co mógłbym być zazdrosny. Nic, czego musiałabyś się

wstydzić. Nie mieli romansu. Nie jesteś jego dzieckiem. Ubolewam, że Solange i jej syn zdołali ci to wmówić.

– A jednak gdy Joanna, po urodzeniu mnie, zniknęła z jego życia, robił, co mógł, aby ją odnaleźć. Dopiero w czasie wojny dał temu spokój. Zachowywał się jak zakochany, który ma poczucie winy – odważyła się odpowiedzieć Iza.

– Zachowywał się jak brat udęczony strachem o życie i zdrowie jedynej siostry. Czuł się za nią odpowiedzialny i miał poczucie, że zawiódł, choć nie w takim znaczeniu, jak myślicie ty, Solange i Pierre. Ja zachowywałbym się tak samo jak on, gdyby chodziło o Beatrice.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwała Iza.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała.

Maurice ujął ją za rękę i posadził na łóżku. Sam usiadł obok i przygarnął ją do siebie, dokładnie tak jak wtedy, przed laty, gdy lekarz potwierdził śmierć Joanny. To miało miejsce właśnie w tym domu, w którym przebywali teraz. Iza, patrząc kątem oka na ojca, była pewna, że myślał dokładnie o tym samym – o tamtym letnim wieczorze, gdy oboje stanęli wobec faktu, że teraz będą dla siebie nawzajem najbliższymi ludźmi na świecie. Wszyscy inni, w tym Beatrice, Frederick i ich syn, Roger, pozostaną wprawdzie blisko, ale jednak z boku.

– Czytałaś zapiski Joanny. Powiedz mi, czy jakakolwiek wzmianka na temat Maćka i jego żony wzbudziła twoje podejrzenia? – spytał Maurice.

– Nie wiem – odparła z wahaniem Iza. – Opisywała to wszystko inaczej niż Solange, ale może dlatego, że przewidywała, że będę czytać jej zapiski. Może dlatego na wszelki wypadek nie wyznała wszystkiego.

– Co mam zrobić, abyś mi uwierzyła? – W uśmiechu, jaki jej przesłał, były bezradność i zrezygnowanie.

– Jeśli to nie Maciek, to kto? Kto był moim ojcem? Tobie na pewno powiedziała.

Nie patrząc na niego, czekała na odpowiedź. Była jednak przygotowana na to, że takowa nie padnie.

– Nie chcesz mi powiedzieć czy to ona wymogła na tobie milczenie? Jeśli ona, to...

– Naprawdę nie ma znaczenia, kto to był – odparł.

Przytuleni do siebie, nadal nie patrzyli sobie w oczy.

– Ale znasz odpowiedź, prawda? – spytała spokojnie.

– Ten człowiek już od dawna nie żyje.

„Zgadza się. Maciek Boguszewski od dawna nie żyje” – niewiele brakowało, a powiedziałyby to na głos. Na szczęście w porę się powstrzymała.

– Czyli nie warto zwracać sobie tym głowy? – Iza we własnym głosie usłyszała gorycz, choć przecież nie chciała, aby to tak wyglądało. Tak jakby przyznawała się do porażki. Jakby składała broń.

– Lepiej dać sobie z tym spokój – potwierdził Maurice.

Wiedziała, że było mu w tym momencie ciężko na sercu. Przypomniała sobie, jak przed laty, gdy już zostali sami, bez Joanny, zapewniała go, że poradzą sobie we dwoje, bo on jest najlepszym tatą na świecie i nie chce innego. Wracając wspomnieniami do tamtych dni, Iza pomyślała, że może warto by było powtórzyć teraz na głos swoje dawne, dziecięce przyrzeczenie, i pewnie byłaby to teraz zrobiła, gdyby nie rozległo się pukanie do drzwi i nie ukazała się w nich Beatrice.

– Chodźcie na kolację – oznajmiła. – Już od kwadransa na was czekamy. Jeszcze trochę, a wszystko będzie zimne i do niczego.

ROZDZIAŁ 27

Tego lata Anna postawiła sprawę zdecydowanie. Pojedzie do Dębek, owszem, ale na tydzień, góra – dziesięć dni. I ani godziny dłużej.

Marcin, jak to było do przewidzenia, wściekł się nie na żarty.

– A kto cię tu pyta o zdanie? – wycedził przez zęby.

Zagotowała się niemal ze złości, ale postanowiła, że nie pozwoli się sprowokować do krzyku, a w konsekwencji do płaczu i skarg. Gdyby tak zrobiła, przegrałaby z kretesem. Kiedyś przed laty tak właśnie się stało i potem przez długi czas nawet nie próbowała podejmować z nim żadnej dyskusji. Uznała, że nie miałyby to sensu. Kolce zaczęły jej odrastać dopiero niedawno. Po raz pierwszy Marcin miał okazję przekonać się o tym owej pamiętnej nocy, gdy wrócił z Wrocławia, z „delegacji”, i urządził jej awanturę o niepozmywane talerze w kuchni. O burdel w kuchni – jak się wyraził. I jak zwykle obrzucił ją przy tej okazji stekiem wyzwisk. Wtedy coś w niej pękło i odcięła mu się.

Z perspektywy kilku tygodni od tamtego zdarzenia, gdy emocje już opadły, przyznawała, że właściwie nie zrobiła wówczas niczego nadzwyczajnego. Nie odplaciła mu pięknym za nadobne, jak na to zasługiwał. Nie odniosła spektakularnego zwycięstwa. Nie doprowadziła do szczególnego przełomu w ich małżeństwie. A jednak coś się zmieniło – przede wszystkim w niej samej, choć miało to przełożenie na atmosferę w domu. Nie wyrzuciła męża z mieszkania, to przekraczało jej możliwości. Sprawiała jednak, że w pewnym sensie dał jej spokój. Do niedawna jedynie o czymś takim skrycie myślała, choć bez większej wiary w spełnienie tego marzenia. Początkowo próbował ją jeszcze zaczepiać, ale natychmiast się odgryzała, choć Bóg jeden wiedział ile ją to kosztowało – nerwów, stresu, wysiłku. Potem jakby odpuścił. Przestał się do niej odzywać, przestał jeść przygotowywane przez nią posiłki i zaczął ją traktować jak powietrze.

„A pies cię... ty bydlaku” – pomyślała wtedy, choć zaraz przywołała się do porządku. Nie ze względu na Marcina – co to to nie. Jednak przypomniała sobie o wychowaniu, jakie odebrała. A wychowanie to wykluczało używanie wulgarnych epitetów, choćby znalazła się w najgorszych opałach. I bez z tego chamstwo otaczało ją z każdej niemal strony. Jednak panna Zawilska z Bolesławic miała w każdej sytuacji zachowywać się jak dama. Skoro ten prostak, za którego na własne nieszczęście wyszła za mąż, tyle razy wypominał jej, że jest „panienką ze dwora”, to postanowiła wyjść temu naprzeciw. Poza tym fakt, że Marcin jej teraz nie zauważał, miał także swoje zalety i potrafiła je dostrzec. W domu panował większy spokój niż do niedawna, przestała się też zamartwiać, że przygotowany przez nią obiad nie zyska jego uznania. Przestała dla niego gotować, skoro nie raczył siadać do posiłku. I natychmiast poczuła ulgę; odczuły ją też dzieci. Marcin, widząc to, postanowił zrobić wyjątek w swej polityce ignorowania żony.

– Przygotowałabys choć raz coś, co nadaje się do żarcia. Tego czegoś, co jest w garnku, nie ruszyłyby nawet świnie.

„Nawet świnie w majątku twojej matki” – Anna była niemal pewna, że miał to na końcu języka, bo zazwyczaj nie odmawiał sobie stosowania tego porównania. Tym razem jednak powstrzymał się od przytyków pod adresem domu, w którym się urodziła i wychowała jego żona. To już było coś, niemniej Anna postanowiła nie pozostawiać bez komentarza tego, co przed chwilą usłyszała. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że musi reagować natychmiast. Kiedyś, przed laty, odpuściła sobie jego złośliwe uwagi. Myślała wtedy, że jeśli będzie je ignorować, Marcin wreszcie da temu spokój. Tak się nie stało. Początkowo niewielkie, wydawać by się mogło, złośliwości nie wiadomo kiedy przeistoczyły się w coraz bardziej ordynarne wyzwiska, które na całe lata stały się jej chlebem powszednim. Czymś, co usiłowała ukrywać przed resztą rodziny. Czymś, czego musiały przy okazji wysłuchiwać jej dzieci.

Nie mogła dopuścić, aby to się powtórzyło.

– Mnie i dzieciom odpowiadają te potrawy – odparła z pozornym spokojem, choć w środku wszystko się w niej gotowało. – Skoro ty wolisz jeść u swojej matki, to już twoja sprawa.

Mówiąc to, na wszelki wypadek odłożyła na bok łyżkę stołową i ujęła nóż.

Zauważył to i choć w pierwszej reakcji na jej słowa zacisnął niebezpiecznie pięści, to jednak dość szybko odzyskał panowanie nad sobą. Nie znaczyło to wszakże, że uznał sprawę za zamkniętą.

– Dzieci także nie będą tego jadły – oświadczył przez zaciśnięte zęby, po czym zwrócił się bezpośrednio do Kasi i Krzysia, którzy dawnym zwyczajem skulili się na swoich krzesłach: – Ubierajcie się. Idziemy do dziadków.

– One nigdzie z tobą nie pójda – odezwała się natychmiast Anna, modląc się w duchu, by Marcin nie zauważył, jak drżała. Znowu się go bała. Instynktownie szykowała się na kolejną awanturę, która po kilku tygodniach lodowatej ciszy między nimi mogła wybuchnąć z siłą erupcji wulkanu.

„Boże, daj mi siły... jak wtedy, gdy ośmieliłam się mu postawić”.

– Na co czekacie, ubierajcie się, do jasnej cholery! – Tym razem Marcin podniósł głos, ale dzieci nadal siedziały nieporuszone. Jakby je ktoś zaczarował.

– Nie bójcie się. Kończcie zupę, zaraz podam drugie danie – oświadczyła spokojnie Anna. Patrzyła na dzieci i uśmiechała się do nich, ale kątem oka obserwowała męża. Gdy się na nią zamierzył – nie wątpiła, że w końcu jednak do tego dojdzie – rzuciła się w jego stronę jak rozjuszona lwica.

– Tylko mnie dotknij, a wezwę milicję – warknęła. – Już raz cię ostrzegałam.

– Tak, pamiętam – roześmiał się nienaturalnie. – Wprost nie mogę się doczekać, kiedy to wreszcie nastąpi.

– Ja także – odparła z wściekłością. Przestała się silić na lodowaty spokój,

gdy spostrzegła, że Krzyś zsunął się z krzesła i wtulił się w ramiona Kasi. – Tylko czekam, aż uderzysz któreś z nas. Wtedy, możesz mi wierzyć lub nie, wezwę milicję i zrobię wszystko, aby cię zniszczyć.

– Idiotka – odpowiedział, ale się cofnął.

– Jak mnie nazwałeś?

– Zamknij się wreszcie. – Podsunął palec wskazujący niemal pod jej nos, ale go nie dotknął. – Uważaj. To mój dom.

„Tę norę nazywasz domem?” – chciała zawołać z ironią, ale wiedziała, że musi nad sobą panować. Dopiero zaczęła o siebie walczyć i jak na razie nie mogła ryzykować wielkiej bitwy.

„Uważaj” – na samą myśl, że upomniała samą siebie jego słowem, omal się nie roześmiała.

Choć nadal czuła strach.

Marcin odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami. Wrócił dopiero o trzeciej w nocy. Usłyszała go, ale nie wyszła z łóżka, które od tygodni dzieliła z Kasią. Nie starał się zachowywać ciszy, na szczęście jednak dzieci się nie obudziły.

Od tego czasu znowu nastąpiło lodowate milczenie i wzajemne udawanie, że ignoruje się istnienie drugiej strony, tyle że tym razem trwało to zaledwie kilka dni.

Pod koniec lipca Marcin zapowiedział, że za dwa dni (tak, za dwa dni!) wyruszają w towarzystwie jego rodziców do Dębek.

Anna od razu poczuła, że się poci, i to pomimo faktu, że spodziewała się takiego scenariusza zdarzeń i miała już przygotowaną odpowiedź.

„I znowu czeka mnie awantura” – pomyślała ze znużeniem. „Boże, jaka już jestem zmęczona”.

Jednak wiedziała, że musi stawić temu czoła.

– Za dwa dni? A ja dowiaduję się o tym dopiero teraz? – spytała chłodno.

Marcin rzucił się jak ugodzone zwierzę.

– Bo co? Jaka to dla ciebie różnica, skoro w wakacje i tak nie pracujesz?! – Tym razem nawet nie silił się na spokój.

– Bo mam własne plany – odparła, napinając instynktownie mięśnie.

– Co proszę? – Był tak zaskoczony, że nie zadbał o zamieszczenie w tym swoim ulubionym powiedzonku odpowiedniej dawki ironii i jadowitej drwiny.

– Za dwa tygodnie wyjeżdżam z dziećmi i z moją matką do Zakopanego.

– I nie raczyłeś mi o tym wcześniej powiedzieć?

– Sądziłam, że mam na to czas, skoro wyjeżdżamy dopiero za dwa tygodnie.

– I nie dając mu dojść do słowa, dodała: – Ty także nie informujesz mnie o swoich planach. Twoja sprawa, mnie to już nie obchodzi. Uważałam jednak za oczywiste, że funkcjonujemy na równych prawach. W każdym razie tak zrozumiałam słowa urzędnika stanu cywilnego, w obecności którego braliśmy ślub.

Marcin otworzył usta, ale początkowo nie wydobył z nich żadnego głosu. Wiedziała jednak, że jego zaskoczenie nie będzie trwało długo. Zaraz pojawi się wściekłość. Poza tym nie znosił, gdy w rozmowie z nim albo z jego rodzicami posługiwała się starannie ułożonymi zdaniami. Według niego robiła to celowo, by dać jemu i jego rodzinie do zrozumienia, że w przeciwieństwie do nich odebrała staranne wychowanie i wykształcenie. Nie zaprzeczała, bo jego podejrzenia były słuszne.

– Gównu mnie obchodzą twoje plany – oświadczył. – Rób, co chcesz. Krzyż na drogę. Ale dzieciaki pojedą nad morze z moimi rodzicami. Wystarczy, że przez cały rok robisz, co w twojej mocy, by ograniczać ich wzajemne kontakty.

Oczywiście to, co powiedział, zawierało w sobie ziarenko prawdy. Lecz tylko ziarenko, które nie miało większego znaczenia. Nie ono przecież przyczyniło się w ostatecznym rachunku do klęski ich małżeństwa.

– Pojadę z dziećmi do Dębek – rzekła spokojnie, choć miała wrażenie, jakby jej żołądek zawiązywał się na supeł. – Ale na tydzień, góra dziesięć dni. Potem wyruszymy z moją matką w góry. I zapewniam cię, że to nie będzie trwało dłużej niż wakacje z twoimi rodzicami. – A widząc, że zamierzał protestować, dodała szybko: – Masz coś przeciwko mojej matce?

– Tobie naprawdę ostatnio odbiło. – Zbliżył się do niej niebezpiecznie blisko i zatoczył palcem małe kółko nad jej czołem. – Wbij sobie wreszcie do tego ptasiego mózdzku...

– Świetny pomysł z tymi górami. Zabierzecie mnie ze sobą? – W tym samym momencie usłyszeli głos Zosi i oboje niemal podskoczyli. Przynajmniej to jedno zrobili zgodnie.

Na progu stała siostra Marcina i choć wyraźnie kierowała swoje słowa do Anny, ze zmarszczonym czołem obserwowała ich oboje. Anna w jednej chwili poczuła ulgę, miała ochotę rzucić się dziewczynie na szyję. Marcin nie ukrywał irytacji.

– Co ty tu robisz? – wycedził w stronę siostry. – Podobno miałaś zabrać dzieciaki do kina. Już wracacie?

– Nie dostaliśmy biletów – odparła śmiało. – Ostatnio na okrągło leje, wobec czego kino cieszy się sporą frekwencją. Wyjątkowo paskudny lipiec, jeśli chodzi o pogodę. Ja za żadne skarby nie wybrałabym się teraz do Dębek. Poza tym nie zniósłabym wyjazdów rok w rok w to samo miejsce, w tym samym, raczej irytującym towarzystwie, w dodatku do tej starej rudery po dziadkach. Na twoim miejscu także wybrałabym Zakopane. – Ostatnie zdanie było znowu skierowane do Anny.

– Skoro wróciłaś wcześniej, niż zapowiadałaś, jako że nawet kupienie biletów do kina przerosło twoje możliwości, to przynajmniej się zamknij i nie wtrącaj w nie swoje sprawy – warknął Marcin.

Zosia uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją. Prowokowanie brata, by w konsekwencji doprowadzić go niemal do białej gorączki, od lat było jednym z jej ulubionych zajęć.

– Przecież nie mówię do ciebie, tylko do Ani – odparła, wzruszając ramionami. – Tobie tylko powtórzę, że twoja żona dokonała dobrego wyboru. Ja na jej miejscu już dawno bym tak zrobiła. A właściwie nawet więcej. Wcale nie pojechałabym do tej chałupy w Dębках – ani na tydzień, ani na jeden dzień. Wiesz dlaczego?

– Powtarzam: zamknij się i wracaj do domu.

– Cóż, jednak najpierw ci odpowiem. Co z ciebie za facet, że nie masz nic lepszego do zaproponowania swojej żonie niż wyjazdy z twoją mamusią i tatusiem do rudery, gdzie nie ma wody, światła, a sławojka na podwórzu w każdej chwili grozi zawaleniem. Ja na miejscu Ani kopnęłabym takiego faceta w tyłek. Ona jest święta, mówiłam ci to już. No, ale nawet święci czasem łapali za różgi i wyganiali kupców ze świątyni.

– Mam rozumieć, że się nie wyniesiesz?!

– Nie mam zamiaru. Chcę pogadać z bratową. Szkoda, że nie zostawisz nas w spokoju i nie jedziesz do Wrocławia. A propos, zauważyłam, że ostatnio rzadziej tam jeździsz. Coś nie tak z tymi delegacjami?

Marcin zaklął, chwycił kurtkę z wieszaka i odpychając stojącą w drzwiach siostrę, wybiegł z mieszkania.

– Ej, uważaj, jak chodzisz! – krzyknęła za nim w dół schodów, a potem z figlarnym uśmiechem spojrzała na Annę i dzieci. – No co? Dostanę filiżankę herbaty? Zmarzłam jak pies na tym deszczu.

Anna z westchnieniem cofnęła się do kuchni, dzieci pobiegły do swojego pokoju, a Zosia rozsiadła się w fotelu, wyjmując z półki ostatni numer „Filmu”. Przerzucała niedbale strony, nawet nie próbując się skoncentrować na żadnym artykule. Uśmiechnęła się ponownie dopiero wtedy, gdy Anna weszła do pokoju i postawiła na stole dwie filiżanki z herbatą.

– To właśnie lubię w tym domu. Zawsze podajesz herbatę w eleganckich filiżankach. Dzięki temu choć przez kwadrans czuję się, jakbym się przeniosła w czasie do belle époque – zauważyła wesoło.

Anna westchnęła i podsunęła szwagierce cukiernicę. Przez chwilę milczała.

– To bez sensu – mruknęła wreszcie.

– Nieprawda.

– Muszę jechać do tych Dębek.

– Niczego nie musisz.

– Twoi rodzice nie zrobili mi nic złego. Będzie im przykro.

– Nie myśl o nich, tylko o tym, co jest dobre dla ciebie i dzieci. A one także nie chcą tam jechać.

Anna nawet nie pytała, skąd Zosia ma taką wiedzę w tej kwestii. Z pewnością Kasia, a może i Krzyś niejedno jej opowiadali, z niejednego się zwierzali. Zosia, choć ku strapieniu swojej matki wszem i wobec deklarowała, że nie zamierza mieć własnych dzieci, dogadywała się z nimi bardzo dobrze.

– Pojadę do Dębek na tydzień.

– Jak chcesz. – Upiła łyk herbaty. – Ale nie na dłużej niż tydzień. I posłuchaj mojej rady: nie lituj się nad moją matką. Ojciec nie będzie ci stawał okoniem, ale ona zawsze lubiła histeryzować. Nie daj się nabrać na jej lamenty i łzy. Jest ślepo wpatrzona w Marcinka i zawsze będzie starała się go rozgrzeszać. Nie zmienisz tego pewnie, ale jej nie ustępuj i myśl więcej o sobie.

– Dobrze.

Zosia drgnęła i spojrzała na bratową, zaskoczona. To nie była jej pierwsza rada tego rodzaju, ale na pewno pierwsza, na którą Anna odpowiedziała w taki sposób. Dobrze. I w ogóle... od pewnego czasu była jakaś inna. Wreszcie zaczęła się stawiać mężusiowi, choć z pewnością nie było to dla niej łatwe.

– O co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzysz? – Anna wykrzywiła twarz, co od biedy mogło przypominać uśmiech.

– O nic. Czekam, aż mi obiecasz...

– Przecież już powiedziałam.

Zosia podniosła rękę w uspokajającym geście.

– Czekam, aż mi obiecasz, że ty i twoja matka zabierzecie mnie ze sobą w góry.

*

Zgodnie z podjętym postanowieniem Anna spędziła nad morzem tylko tydzień zamiast, jak bywało do tej pory, cały miesiąc. Twardo obstawała przy swoim, posuwając się nawet do groźby, że jeśli ktokolwiek z rodziny męża będzie próbował zmuszać ją do zmiany planów, ona, nie bacząc na nikogo i na nic, w ogóle nie ruszy się do Dębek i nie pozwoli tam zabrać dzieci, które notabene – jak z satysfakcją podkreślała – w ogóle nie mają ochoty tam wyjeżdżać. Być może jednak Marcin nie przejąłby się jej groźbami, tym bardziej że teściowa uderzyła w głośny lament, gdyby po stronie Anny zdecydowanie nie stanął teść.

– Ania ma prawo spędzać czas, z kim zechce – odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu, przed którym kapitulował nawet jego syn, nie wspominając już o żonie.

– A dzieci powinny być przy matce. Bez Ani nikt z nas nie byłby w stanie się nimi zająć, zwłaszcza tutaj, w Dębkach.

Ojca zaś natychmiast poparła Zosia, dodając od siebie, że wszyscy powinni podziękować Annie, że w ogóle zgodziła się poświęcić tydzień na wyjazd, na który ani ona, ani dzieci nie mają najmniejszej ochoty.

– A robi to między innymi ze względu na ciebie – oznajmiła zdruzgotanej

matce.

*

Nawet ten tydzień okazał się trudny do wytrzymania, bowiem niemal bez przerwy lało, o spacerach i wyjściach na plażę nie mogło więc być mowy, tak że cała rodzina Brzeskich kisiła się w swoim towarzystwie w dwupokojowym, prymitywnie wyposażonym domku letniskowym. Atmosfera nie była, delikatnie rzecz ujmując, najlepsza. Teściowa popłakiwała i spoglądała na synową wzrokiem, od którego Annie robiło się niedobrze. Tak jakby matkę Marcina spotkało nie wiadomo jakie nieszczęście. W dodatku oprócz żalu była w jej wzroku nagana.

„To ja powinnam mieć żal do ciebie” – myślała wtedy z irytacją Anna. „Całymi latami udawałaś, że nie widzisz, jak traktuje mnie twój syn. W twojej obecności nawet nie starał się udawać dobrego męża. Chyba nie miałaś złudzeń, jak wyglądało moje życie, choć ja ani razu nie poskarżyłam się na niego przed tobą. Nie musiałam, widziałaś wszystko czarno na białym. Jedyne udawałaś, że niczego nie zauważasz. Chyba że naprawdę byłaś tak zaślepiona miłością do niego, że nie potrafiłaś dostrzec jego wad. Prędzej jednak było tak, że nie chciałaś ich zobaczyć. Tyle że już mnie to nie obchodzi. Już nie”.

Mimo to nie mogła nie wściekać się w duchu, gdy patrzyła, jak Marcin czule głaskał matkę po dłoni, co zapewne miało wyrażać jego współczucie wobec faktu, że starsza pani Brzeska czuła się głęboko nieszczęśliwa z powodu tak krótkiego pobytu nad morzem nie tylko jej ukochanego syna, ale także synowej i wnucząt. Biedactwo!

Natomiast teść, zgodnie z przewidywaniami, zachował niewzruszony spokój wobec planów synowej i nawet parę razy przyjaźnie do niej zagadał.

– Nie przejmuj się nimi – powiedział, wskazując na żonę i syna. – Ja już dawno sobie to odpuściłem.

Zosia początkowo zaproponowała Annie, że gotowa jest, w drodze wyjątku, wziąć udział w tegorocznej rodzinnej eskapadzie nad Bałtyk, ale ta odmówiła.

– Nie wymagam od ciebie takiego heroizmu – oświadczyła. – Daj spokój. Poradzę sobie. Przecież na siłę nikt mnie tam nie zatrzyma.

Wróciła więc razem z mężem, choć przez całą drogę nie zamienili ze sobą nawet jednego słowa, co musiało zwracać uwagę współpasażerów w przedziale pociągu. A następnego dnia wyjechał nie wiadomo z kim i dokąd. Przed wyjściem z domu spytał tylko ironicznie, za co Anna zamierza pojechać w góry.

– Pracuję i regularnie otrzymuję wynagrodzenie – odparła wyniośle.

– I wydasz połowę tego wynagrodzenia na kilkudniowy pobyt w Zakopanem? – Nie byłby sobą, gdyby nie zaakcentował kpiąco, a zarazem zjadliwie słowa „wynagrodzenie”.

– Czy ja pytam, skąd ty bierzesz pieniądze na swoje wyjazdy? – odbiła

piłeczkę, choć sporo ryzykowała, niemniej nie potrafiła sobie tego odmówić.

Doskoczył do niej, zamierzył się, a Anna nie cofnęła się ani o pół kroku. Przymknęła tylko oczy, przygotowana na cios, który jednak nie padł.

– Posłuchaj, idiotko – odezwał się po chwili. – Nie wyobrażaj sobie, że mnie sprowokujesz i ściągniesz mi na kark milicję. Ale jeśli nie przestaniesz świrować, ja się za ciebie wezmę tak, że twoje wielkopańskie maniery niewiele ci pomogą. Pozwę cię o rozwód i wtedy z pewnością zmięknie.

– Spróbuj – odparła cicho. Zakręciło jej się w głowie. – Zobaczymy.

Poczerwieniał, zacisnął pięści, ale zapanował nad sobą.

– Nie wyobrażaj sobie, krowo, że dostaniesz to mieszkanie. Że dostaniesz ode mnie cokolwiek. Wszystko, co tu jest, należy do mnie, poza tymi kilkoma gratami i fatalaszkami, które dostałaś od swojej hrabiowskiej matki.

– Nie jest hrabiną – odparła w duchu prosząc Boga o siły, aby nie dała się sprowokować.

Gdy zaczynał obrażać jej rodzinę – choć jak dotąd nigdy tego nie robił w obecności jej brata i matki – czuła, że potrafiłaby rozwalić mu głowę.

– No nie, teraz nie jest – odparł, uśmiechając się złośliwie. – Teraz jest tylko żalną damą z Koziej Wólki, która...

– Ja nie obrażam twojej rodziny – przerwała mu głośno i zdecydowanie.

Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Wytoczę ci sprawę o rozwód i obiecuję, że zostaniesz z niczym – wycodził.

– Dzieci także nie dostaniesz, bądź tego pewna.

Skuliła się i zadrżała, choć od kilku tygodni pilnowała, by nie widział, że wciąż, mimo wszystko, się go obawiała.

– Zobaczymy – szepnęła chrapliwie.

„On w gruncie rzeczy jest zwykłym tchórzem” – powtarzała jak mantrę. „Przecież w gruncie rzeczy on jest zwykłym...”

Dwie godziny po tej awanturze spakował się i wyjechał, a Anna, zaaplikowawszy sobie dwie tabletki od bólu głowy, wyruszyła odebrać sierpniowe pobory z sekretariatu szkoły, w której pracowała. Dzieci zabrała ze sobą. Wprawdzie mogły zostać same w domu – planowała, że nie będzie się wdawać w ploteczki w razie spotkania koleżanek – niemniej w dalszym ciągu czuła strach przed Marcinem. Co będzie, jeśli podczas jej nieobecności wróci do domu i zabierze dzieci? Rozum podpowiadał jej, że to bezzasadne obawy. Marcin nigdy nie był troskliwym ojcem, dzieci na ogół go drażniły, z pewnością więc nie zabierałby ich ze sobą na jakąś eskapadę, w której prawdopodobnie towarzyszyć mu miała jakaś kobieta. Ta z Wrocławia, a może inna, to akurat bez różnicy.

Do swoich rodziców także by ich nie zawiózł. Przebywali przecież w Dębkach, a jego ojciec nie pozostawił złudzeń co do swoich poglądów w rodzinnym konflikcie. Zatem rozum podpowiadał Annie, że nie powinna,

przynajmniej na razie, obawiać się pomysłów Marcina, niemniej nauczona gorzkim doświadczeniem wiedziała, że nie zawsze postępował on racjonalnie. Zwłaszcza wtedy, gdy był wściekły. A teraz był, a ponieważ nienawidził jej z całego serca, mógł chcieć wykorzystać każdą okazję, by wbić jej szpilę.

Zabrała więc dzieci ze sobą do szkoły i nie żałowała tego, bo pogoda wreszcie zaczęła się poprawiać. Przestało padać, a słońce podjęło udaną próbę przedarcia się przez zasnuwane chmurami niebo. To sprawiło, że zrobiło się cieplej, plac Narutowicza zapełnił się spacerowiczami, podobnie ulica Wawelska i okoliczne skwery. W każdym razie Anna poczuła się tak, jakby opadło z jej ramion stukilowe jarzmo. Zaczęła nawet w duchu śmiać się z siebie.

„Z czego się cieszysz, wariatko? Co zrobisz, jeśli on naprawdę rozpocznie kroki rozwodowe i wyrzuci cię na ulicę? Nie masz szans na własne mieszkanie. Nie utrzymasz siebie i dzieci z nędznej nauczycielskiej pensji. Będziesz musiała toczyć z nim ciężki bój o egzekwowanie alimentów. Nie dasz sobie z tym wszystkim rady. Przecież dobrze o tym wiesz”.

Wiedziała. Przecież od lat to sobie powtarzała. A mimo to... mimo to... Po raz pierwszy zaczęła wierzyć, że może jej się udać, choć była to jeszcze bardzo nieśmiała wiara i nadzieja.

W sekretariacie szkoły, gdzie wypłacono jej pensję, nie spotkała żadnej koleżanki, więc wymieniła jedynie grzecznościowe uwagi z sekretarką i wyszła. Na dziedzińcu natknęła się na dwie uczennice i Jurka Zawiaślaka, z którym zaznajomiła się dopiero u państwa Szeptyckich.

Cała trójka przywitała ją grzecznie, tak że Anna chwilę zatrzymała się przy młodych. Okazało się, że zobowiązali się wobec profesora od biologii, że przez dwa tygodnie na przełomie lipca i sierpnia będą karmić rybki w akwariach w pracowni biologicznej, a przy okazji posprzątają w klatce kanarka.

– To godne pochwały – zauważyła Anna. – Rzadko który uczeń miałby ochotę w wakacje zaglądać do szkoły.

– E... to nic takiego. – Jurek wesoło machnął ręką. – Pan Szumert wyjechał z rodziną na Mazury, ale za tydzień wraca i sam się tym zajmie. Pytał, czy ktoś mógłby pomóc przy zwierzakach, to się zgodziliśmy. Nie przychodzimy codziennie, wymieniamy się z Krzyśkiem i Frankiem z trzeciej B. To robota raptem na dwadzieścia minut. W połowie sierpnia zajmie się tym pan Olek, wie pani, ten starszy woźny. My wtedy wyjeżdżamy z Warszawy na obóz żeglarski, ale pewnie pani profesor o tym słyszała.

Trudno było nie usłyszeć, jako że obozy żeglarskie, podobnie jak wszystkie inicjatywy Jarka Szumerta, cieszyły się niesłabnącą popularnością wśród kolejnych roczników młodzieży. On sam był ulubieńcem uczniów, toteż jakakolwiek prośba o wsparcie jego działań nigdy nie pozostawała bez odzewu z ich strony.

– W takim razie życzę wam miłych wakacji – powiedziała Anna, po czym,

skinąwszy na Krzysia i Kasię, skierowała się do furtki.

– Aha, byłbym zapomniał – odezwał się nagle Jurek. – Na początku wakacji pan Szeptycki pytał mnie, czy nie mam jakiejś możliwości kontaktu z panią, bo on coś tam znalazł i chciałby to pani przekazać. Mówił, że to wprawdzie nic pilnego i nie wiadomo, czy pani się to do czegoś przyda, ale wołał o tym wspomnieć.

– Tak? – Anna zatrzymała się. To było kompletnie irracjonalne, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to, co ma jej do przekazania pan Kazimierz Szeptycki, może odegrać bardzo ważną rolę w życiu jej, Izy, a także całej ich rodziny.

– Ja odpowiedziałem, że podczas wakacji nie będę miał możliwości pani profesor spotkać, chyba że przez przypadek. No i wydarzył się ten przypadek. – Uśmiechnął się zawadiacko. Niewiele brakowało, a mrugnąłby do niej okiem. Anna była niemal pewna, że powstrzymał się w ostatniej chwili. – Ja na pani miejscu poszedłbym do państwa Szeptyckich. Może to jakiś... znak?

„Tak. Dokładnie tak”. Anna czuła przyspieszone bicie serca i rumieniec na policzkach.

– I mogę do nich pójść, kiedy tylko zechcę? – spytała.

– Chyba tak. Państwo Szeptyccy nie mają telefonu, więc nie ma jak się z nimi umówić. Najlepiej pójść tam wtedy, gdy wiadomo, że pan Kazimierz jest na pewno w domu. Bo jeśli chodzi o panią Terenię, to... – Zmieszał się na chwilę. – Sama pani profesor wie, jak jest. Ale pana Kazimierza można zawsze zastać przed dwunastą i po czwartej. Wtedy już nigdzie nie wychodzi i niczego nie załatwia na mieście.

– Dziękuję ci. Zrobię tak, jak mówisz – odparła zduszonym głosem Anna.

Trójka młodych ludzi patrzyła na nią z nieskrywanym zainteresowaniem, toteż nie przedłużała już rozmowy i skinęła im głową na pożegnanie.

„Pójdę do Szeptyckich natychmiast” – postanowiła, patrząc na zegarek. Wedle słów Jurka pan Kazimierz powinien być teraz w domu. „Za trzy dni wyjeżdżamy do Zakopanego, nie ma sensu odwlekać tej wizyty”. Zaraz jednak przywołała rozsądek. Nie powinna iść do Szeptyckich w towarzystwie dwojga małych dzieci. Wprawdzie Kasia i Krzyś byli grzeczni i niekłopotliwi, niemniej reakcja starszych ludzi, którzy stracili dwóch synów, była trudna do przewidzenia. Choć z drugiej strony przez kilka lat mieszkał u nich Piotr Boguszewski, syn Maćka, a oni wspominali ten fakt wyjątkowo ciepło. No właśnie... Piotr, mały Pierre. Niewykluczone, że pani Teresa na widok dwójki dzieci Anny skojarzyłyby je z tamtym chłopcem. Skoro kilka tygodni temu skojarzyła Annę z Solange.

– Mamo, kupisz nam lody? – spytał Krzyś.

To wybudziło Annę z zamyślenia. Podjęła decyzję. Pójdzie tam dzisiaj, z dziećmi. Wy tłumaczy panu Szeptyckiemu, że nie miała ich z kim zostawić, co w pewnym sensie było prawdą. Nie chciała prosić matki ani Zosi, aby znowu

poświęcały swój czas i przyjeżdżały przypilnować jej dzieci. Matka pewnie zaraz by się zainteresowała, co to za pilna sprawa każe Annie wyruszać z domu bez dzieci, skoro powinna prać ubrania i pakować torby podróżne. A dzięki temu, że zabierze potomstwo ze sobą, nie będzie musiała przedłużać wizyty u Szeptyckich.

– Kupisz nam lody? – powtórzył Krzyś. – Mamo, dlaczego nic nie mówisz?

– Tak, kupię, ale później – odpowiedziała i mocniej ścisnęła rączki syna i córki. – Najpierw gdzieś pójdziemy, ale na krótko.

– Gdzie?

– Muszę coś ważnego załatwić. Jeśli będziecie grzeczni, nie zajmie nam to dużo czasu.

*

– Ależ wszystko w porządku, proszę pani. Dlaczego dzieci miałyby mi w czymkolwiek przeszkadzać? – Pan Kazimierz nie chciał nawet słyszeć o tym, aby wizyta Anny miała się ograniczyć do krótkiej wymiany zdań w drzwiach lub w przedpokoju.

– Nie jestem pewna, czy pani Teresy to... nie zdenerwuje – próbowała nieporadnie oponować Anna.

– Żona położyła się i śpi. Zawsze tak reaguje na zmianę pogody. Proszę wejść do pokoju. Nie przyjmuję sprzeciwu.

Anna wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z dziećmi, ale nie miała serca odmówić Szeptyckiemu. Widać było, że był spragniony towarzystwa, że czyjakolwiek wizyta i perspektywa rozmowy sprawiała mu ogromną radość. Przygotował kawę dla siebie i Anny, dzieciom przyniósł szklanki z sokiem porzeczkowym.

– Jurek wpada do nas po dawnemu, ale nie mam serca ściągać go tu codziennie w wakacje – powiedział. – To miłe, gdy taki młody chłopak pamięta o starych, zwłaszcza jeśli nie należą do jego rodziny, ale powinien więcej czasu przebywać z rówieśnikami. Dobrze, że postanowił pojechać na ten obóz żeglarski. Obaj moi chłopcy... też żeglowali. – Zdjął okulary. Pozornie po to, by je przetrzeć chusteczką, przy okazji jednak otarł również oczy. Po chwili spojrzał na Annę. – Nie pokazywałem pani ich zdjęć. Może zechciałaby pani rzucić na nie okiem? To nic nadzwyczajnego, zwykłe fotografie, ale...

– Bardzo chętnie je zobaczymy – odparła Anna, uśmiechając się przepraszająco do Krzysia.

Mały jednak wydawał się być zainteresowany, zarówno panem Kazimierzem, jak i całą sytuacją.

– Nasza babcia też ma taki stary album – zauważył, gdy Szeptycki położył na stole oprawiony w skórę tom.

– To przedwojenna robota, kawalerze – odparł pogodnie pan Kazimierz. –

Nie takie byle co, jak teraz produkują. Ledwo człowiek się czegoś dotknie i wszystko się sypie. Wtedy wszystko bardziej trzymało się kupy. Było lepsze jedzenie, porządne towary w sklepach. I ludzie byli inni, porządni. Mieli kręgosłupy.

– Nasza babcia też tak mówi – podchwyciła Kasia i zaraz uściśliła: – To znaczy babcia Hortensja.

Szeptycki pokiwał z aprobatą głową i wskazał na dwie fotografie.

– To moje chłopaki, Romek i Bolek – powiedział z dumą i wzruszeniem.

Zadrzały mu dłonie, ale Anna nie odważyła się ich uściśnąć, choć w pierwszej chwili miała taki zamiar.

– A czy wiecie, kto to jest? – Wskazał na zdjęcie na następnej stronie. Mówił do dzieci, tak jakby był przekonany, że ich matka zna odpowiedź.

Zarówno Krzyś, jak i Kasia pokręcili przecząco głowami i wtedy Anna, wiedzona ciekawością, pochyliła się nad albumem. Zdjęcie przedstawiało czworo młodych ludzi. W tle widniało jakieś jezioro i łódka. Dwóch chłopaków rozpoznała bez większego trudu. Był to jeden z synów pana Kazimierza, Bolek, w towarzystwie Maćka Boguszewskiego. Dwóch dziewczyn zupełnie nie знаła.

– To zdjęcie zrobił mój syn Romek podczas wycieczki do Zegrza. Widzicie datę? Lipiec trzydziestego siódmego roku. Byli jeszcze tacy młodzi. Myśleli, że mają przed sobą całe życie. Mój Boże...

– A ten drugi chłopak to kto? – zainteresowała się Kasia.

– To brat wuja Łukasza, Maciek. Już nie żyje, dlatego go nie znacie – odpowiedziała pospiesznie Anna, unikając spojrzenia Szeptyckiego. Z pewnością musiał być zdumiony i zgorszony, że jej dzieci nie rozpoznały na zdjęciu człowieka, z którym wprowadzie nie łączyły ich więzy krwi, ale przecież był kiedyś częścią ich rodziny.

Jakby tego było mało, Kasia spojrzała na matkę z pretensją i spytała:

– Dlaczego nam o nim nie mówiłaś?

Anna zmieszała się i zarumieniła po uszy.

– Byliście jeszcze na to za mali. To długa i trudna historia – tłumaczyła nieporadnie.

Słyszac to, pan Kazimierz jedynie westchnął i pokręcił nieznacznie głową, ale powstrzymał się od komentarza.

– Czy oni wszyscy już nie żyją? – spytał Krzyś, pokazując na zdjęcie. – Te dziewczyny też?

– Tak – odpowiedział gospodarz i wskazując na jedną z nich, niższą i pulchniejszą, dodał: – To moja synowa, Basia. Oczywiście wtedy nie byli jeszcze małżeństwem, Bolek zaczynał się dopiero koło niej kręcić, ale po latach wzięli ślub.

– A ta druga?

Pan Szeptycki z pewnym trudem zamaskował zdumienie, tym bardziej że najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi od Anny. Ta jednak nie tylko milczała, ale także patrzyła na niego pytająco.

– To przyrodnia siostra Maćka, panna Joanna Boguszevska. – Nie powtrzymał się jednak i dodał: – Wasza ciotka.

– Joanna? – wyjąkała Anna, nie bacząc na to, jak jej reakcja musiała wyglądać w oczach Szeptyckiego.

– Nigdy jej pani nie widziała? – spytał po chwili.

– Zapewne widziałam, ale zupełnie tego nie pamiętam. Opuściła kraj i rodzinę, gdy byłam małym dzieckiem. Potem wybuchła wojna i już nie było możliwości... – Anna czuła, że robi się coraz bardziej czerwona na twarzy, a jej odpowiedź coraz bardziej mętna i zdumiewająca dla słuchaczy. Mimo to dokończyła: – Niedługo po wojnie siostra zmarła.

– I nie widziała pani ani jednej jej fotografii?

– Nie.

Dławił ją wstyd i gniew. Ten ostatni kierowała teraz pod adresem matki, brata, ale sama także czuła się winna. Że kiedyś nie pytała o siostrę. A po latach, kiedy z powodu przyjazdu Izy zaczęła wreszcie pytać, nie otrzymała żadnej odpowiedzi, która by ją zadowoliła. W rezultacie przestała dociekać i ponownie ugrzęzła w swojej nieciekawej codzienności. Joanna jednak nie pozwoliła jej już o sobie zapomnieć. Dzisiejsze spotkanie z Jurkiem i w konsekwencji ponowna wizyta u Szeptyckich nie były dziełem przypadku. Sama myśl o tym wywołała u niej dreszcze na całym ciele.

Pan Kazimierz przez chwilę zadumał się nad jej krótką odpowiedzią, a następnie wzruszył ramionami.

– To nie moja sprawa – powiedział wreszcie. – Nie powinienem się wtrącać.

– Czy pan ją dobrze znał? – spytała, przełamując wewnętrzny opór.

– W ogóle nie znałem pani siostry – odparł, nie odrywając wzroku od fotografii. – Mam tylko to zdjęcie. Pamiętam, że latem młodzi urządzili sobie tę wycieczkę do Zegrza, ale z tego, co wiem, panna Joanna nie należała do ścisłego towarzystwa. W wakacje rzadko opuszczała Bolesławice. Może wasza matka niechętnie patrzyła na to, aby młoda panna jeździła zbyt często na wycieczki w towarzystwie młodych chłopaków? Choć brzmi to nielogicznie, skoro jednym z nich był jej brat. No, ale to także nie moja sprawa. Na starość robię się wyjątkowo wścibski i chętny do ferowania ocen i wyroków. Zechce mi to pani wybaczyć. To zapewne dlatego, że niewiele mi już z tego życia zostało.

Anna nie odrywała wzroku od fotografii. Ze zdjęcia patrzyła prosto w obiektyw wysoka, smukła, ciemnowłosa dziewczyna. „Bardzo ładna, fotogeniczna” – oceniła Anna. Na pewno interesująca, zapewne niejeden mężczyzna się za nią oglądał.

„Inna niż ja, ale to pewnie dlatego, że każda z nas jest podobna do swojego ojca”.

Iza wydawała jej się trochę do Joanny podobna, choć oczywiście nie mogła się na ten temat wypowiadać tylko na podstawie fotografii.

„Co chcesz mi powiedzieć?” – przemknęło Annie przez myśl, bo utkwione prosto w obiektyw oczy siostry robiły na niej coraz silniejsze wrażenie. Tak jakby Joanna nie odrywała od niej wzroku.

„Nie, to już na nic. To jakaś paranoja”. Brzeska odsunęła od siebie album i zerknęła na gospodarza.

– Jurek wspominał mi, że ma pan coś dla mnie – zagadnęła.

– A tak, tak. – Szeptycki dźwignął się z krzesła. – Znalazłem to zupełnie przypadkowo, gdy w czerwcu porządkowałem papiery. Sama pani wie, ile to się czasami nazbiera różnych szpargałów w domu. Aż dziw bierze, że to się uchowało przez te lata. Przecież jak tamci przyszli po Maćka, to wywrócili cały dom do góry nogami, a to im nie wpadło w ręce. Nawet Solange na to nie natrafiła, choć zawsze pilnowała wszystkich listów i zapisków. I nie wyrzucała. Sama mi mówiła, że nigdy nie wyrzuca listów. Wtedy, podczas tamtej rewizji, nie znaleźli żadnej prywatnej korespondencji. Solange musiała ją wcześniej dobrze schować. Nie wiem, może ukryła je na sobie, pod ubraniem? Pozabierali wszystkie zapiski i papiery, ale bez tych prywatnych. – Wyszedł z pokoju, by za chwilę wrócić z niewielką szarą kopertą. – Ale tego tu to nawet ona nie znalazła. Ja sam nic o tym nie wiedziałem. Było wsadzone w starą książkę należącą do mojej żony. Tylko Maciek mógł to zrobić, ale dlaczego? Jeden Bóg raczy wiedzieć. Proszę to zabrać. To należy do pani rodziny. Nie wyślę tego Solange. Już dawno nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości, pewnie już jej nie zależy na kontaktach z nami. Ale nawet nie o to chodzi. Myślę, że jej mąż chyba nie chciał, aby ona zobaczyła to pismo. Inaczej trzymaliby je z innymi papierami. Teraz to należy do pani.

– Dziękuję – wyszeptała Anna i sięgnęła po kopertę.

*

Siedziała w parku i gładziła dłońmi kartkę papieru. Dzieci już dawno zjadły czekoladowe lody i biegały teraz po placu zabaw razem z dopiero co poznanymi rówieśnikami. Zerknęła na nie od czasu do czasu, by po chwili wracać do treści listu. I spróbować zrozumieć jego sens.

Kochany!

Nie będę Cię już więcej niepokoić. Chyba już wszystko rozumiem, tak mi się wydaje. Mimo wszystko dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś. Za Twoje wszystkie starania. Muszę Ci coś wyznać. Spotkałam się z nim. Tak, jednak to zrobiłam, i nie było to takie straszne. Właściwie wcale nie było straszne. Powiedziałam

Maurice'owi i zrozumiał. Ale Maurice zawsze wszystko rozumiał. Ty także spróbuj. Spotkałam się z nim i podziękowałam za to, co zrobił. Chyba to mu się ode mnie należało. Spytałam, czy chciałby zobaczyć Izę, ale oznajmił, że nie trzeba. Już ją przecież widział, zapamiętał i będzie miał przed oczami i w sercu – zawsze. Jednak nie chce jej dodatkowo niepokoić.

– Ona i tak już dużo w życiu przeszła – powiedział. – Nie chcę siać dodatkowego zamętu w jej głowie. Tak będzie dla niej lepiej. Również dla ciebie, a także dla Maurice'a.

Nie zaprzeczałam i nie nalegałam, bo chyba miał rację. Na koniec jeszcze raz powiedział, że przeprasza mnie za to, przez co przeszłam przed laty. Że byłam sama, choć powinien być wtedy przy mnie. Że nigdy sobie tego nie wybaczy i będzie dźwigał tę winę do końca życia. Nie mogłam tego słuchać i wreszcie mu wyznałam, że nie mam do niego żalu. A wtedy, przed laty, zawiniliśmy oboje. Teraz jednak to już bez znaczenia, bo niczego mi nie brakuje do pełni szczęścia. Mam przecież przy sobie moje dziecko. A stało się to dzięki niemu.

Dlatego proszę, abyś i Ty już nigdy nie wracał do tej sprawy, abyś nie robił mu żadnych wyrzutów. Pewnie i tak byś tego nie zrobił, ale wołałam Cię jeszcze dodatkowo o to prosić.

Kochany mój! Piszę Ci o tym wszystkim, bo nie powinniśmy się już spotykać. Nie chcę denerwować Twojej żony, dlatego wolę Cię pożegnać w taki sposób. I chyba lepiej, aby nie dowiedziała się nawet o tym liście. Zaczęłyby zadawać pytania, a chyba czas to wszystko zamknąć. Zakończyć i żyć dalej. Żałuję oczywiście, że wyjeżdżasz, a nasze dzieci będą się wychowywać z daleka od siebie, ale musimy wybrać mniejsze zło. Lub większe dobro – zależy, jak na to spojrzemy.

Bądź szczęśliwy. Na swój sposób będę zawsze blisko Ciebie. Tak Twoja matka powiedziała kiedyś do naszego ojca. Opowiedział mi o tym, a ja przecież zapamiętałam każde jego słowo.

A zatem, mój kochany – na tym czy na tamtym świecie – do zobaczenia.

Joanna

Anna złożyła kartkę na pół i zapatrzyła się na skąpane w sierpniowym słońcu liście drzew. Jeszcze kilka tygodni i zaczną opadać. Zakończą swój żywot; tak dzieje się ze wszystkim w przyrodzie.

Kim był człowiek, o którym Joanna napisała bratu w ostatnim, pożegnalnym liście? Za co mu dziękowała? Co takiego dla niej zrobił?

Czy był ojcem jej dziecka?

Kim on był?

ROZDZIAŁ 28

Właśnie ściągała z pawlacza największą torbę, gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. W pierwszej chwili tak się przełękła, że o mały włos nie spadła z krzesła, na którym stała.

– Mamo, możemy otworzyć?! – zawołał Krzyś.

Anna nie miała innego wyjścia, jak tylko na to pozwolić. Torba leżała na samym dnie pawlacza i gdyby zechciała wyjąć ją stamtąd gwałtownym ruchem, z pewnością wszystkie inne rzeczy z hukiem wypadłyby na podłogę.

– Co ty za akrobacje cyrkowe wyprawiasz? – usłyszała głos Łukasza.

Przyjęła z ulgą fakt, że to on był niespodziewanym gościem.

– Dzięki Bogu, że przyszedłeś – zawołała. – Anieli cię chyba tu sprowadzili. Pomóż mi z tą torbą, bo zaraz chyba zdemoluję pół przedpokoju.

– Przydałaby się tu jakaś porządna szafa – zauważył, upychając z powrotem cały bałagan. – Nie chciałbym być złym prorokiem, ale pewnego pięknego dnia wszystko spadnie wam na głowy. Ten, za przeproszeniem, pawlacz ledwo trzyma się w całości.

Podał jej torbę i rozejrzał się po maleńkim mieszkaniu, z którego Marcin był dumny niczym z pałacu.

– Chyba żartujesz. Do tej dziupli nie zmieści się nawet dodatkowe krzesło lub taboret, a co dopiero szafa. – Anna odgarnęła włosy z zarumienionego od wysiłku policzka i uśmiechnęła się do brata. – Napijesz się herbaty? A może wolałbyś coś zimnego, skoro wreszcie mamy upał?

– Nie przeszkadzaj sobie. Wpadłem tylko na chwilę, chciałem sprawdzić, czy nie trzeba ci w czymś pomóc w związku z pakowaniem.

– I pomogłeś. Miałeś nosa, braciszku, aby mnie dzisiaj odwiedzić. Siadaj, zjesz z nami obiad.

– Nie, daj spokój. Nie rób sobie kłopotu, przecież mówiłem, że ja tylko...

– Jaki kłopot? My także będziemy jedli. No już, siadaj... W domu pewnie masz pustą lodówkę, skoro Mirki nie ma już od tygodnia. Powiedz, co tam u niej słychać.

Łukasz nie opierał się już dłużej, co mogło sugerować, że podejrzenia Anny w sprawie zaopatrzenia jego lodówki nie odbiegają od prawdy. Mirka, jego żona, wyjechała tydzień temu wraz z Jarkiem, ich synem, do sanatorium w Kołobrzegu. Boguszewski zaś prowadził w tym czasie iście kawalerskie gospodarstwo.

– Mirka? Wygląda na to, że jest zadowolona. Wreszcie wczoraj udało mi się do niej dodzwonić z poczty, choć połączenie było równie dziadowskie jak poziom wszystkich usług w tym kraju. Już nie mówiąc o kolejce, która wiała się do automatu niczym anakonda. Nad Bałtykiem pogoda także się poprawiła, chociaż sama wiesz, że dla Mirki nie ma to większego znaczenia. Jeśli ma ze sobą książki,

potrafi znakomicie wypoczywać także wtedy, gdy leje bez ustanku. Ale Jarkowi książki do szczęścia nie wystarczają, więc się cieszy z możliwości pływania. Nawet nie miał czasu ze mną pogadać, bo razem z nowo poznanym kolegą poszedł nad wodę.

– Nasz tata też do nas nie dzwonił – wtrącił z powagą Krzyś, zanurzając łyżkę w zupie pomidorowej.

Przy stole na chwilę zapadło niezręczne milczenie, które przerwała dopiero Kasia, pytając wuja, czy nie odwiedziłby ich w Zakopanem.

– Raczej nie – roześmiał się Łukasz. – Trochę za daleko na zwykłe odwiedziny, a i wy nie wyjeżdżacie na długo. Dobrze, że postawiłaś na swoim i zdecydowałaś się na to Zakopane. – Ostatnie zdanie skierował do siostry. Nie mógł się powstrzymać, aby tego nie powiedzieć, choć nauczony doświadczeniem wiedział, że Anna najprawdopodobniej wymiga się od kontynuowania tego wątku.

Tym razem jednak jej odpowiedź go zastanowiła.

– Muszę się liczyć z konsekwencjami tego kroku.

– O jakich konsekwencjach mówisz? – spytał, odkładając na bok łyżkę.

Zamiast odpowiedzieć, wskazała mu wzrokiem siedzące przy stole dzieci. Natychmiast zrozumiał, ale jednocześnie poczuł niepokój.

– Jeśli zjedlicie, idźcie do pokoju i wybierzcie kilka drobiazgów, które chcielibyście ze sobą zabrać do Zakopanego. Ale nie przesadzajcie z ilością. Musimy się jakoś zmieścić ze wszystkim do pociągu, a nie będziemy tam jedynymi pasażerami – zwróciła się po chwili do syna i córki, a oni, choć z oporami – rozsadzała ich bowiem ciekawość, o czym dorośli będą rozmawiać – bez słowa wypełnili jej polecenie.

Łukasz zawsze podziwiał skuteczność metod wychowawczych siostry. Siostrzeńcy byli najlepiej wychowanymi dziećmi, jakie widział. Szkoda, że równie dobrze nie potrafiła postępować z mężem, ale nie dostrzegał w tym jej winy. Jego zdaniem szwagier był wręcz pokazowym przykładem socjopaty, a zarazem prymitywa nieuznającego żadnych zasad współżycia społecznego. Boguszewski z całego serca żałował siostry, a własna bezradność wobec jej losu przez lata doprowadzała go do szału. To, co powiedziała przed chwilą o konsekwencjach, jakie będzie musiała ponieść, ponieważ – jak zrozumiał – postanowiła część wakacji spędzić z własną matką, a nie zmarnować je z Brzeskimi w Dębkach, zaalarmowało go.

– Czymś ci groził? – spytał cicho, gdy tylko upewnił się, że drzwi pokoju dzieci były zamknięte.

Przez chwilę milczała, raz jeszcze analizując, ile może mu wyznać.

– Był wściekły – oznajmiła po namyśle.

– Jasne, ale on zawsze jest wściekły. To nic nowego. – Ujął delikatnie jej podbródek, tym samym zmuszając, by spojrzała mu prosto w oczy. – Czy pojawiło

się coś nowego?

Anna mogła jeszcze zaprzeczyć. Mogła jak zwykle wymigać się od odpowiedzi lub dać bratu do zrozumienia, że sam fakt znoszenia kolejnego napadu złości u męża był wystarczającą konsekwencją tego, że przeforsowała własną decyzję. To właśnie mogła powiedzieć i wiedziała, że brat, wprawdzie z żalem, niemniej zrezygnowałby z dalszych pytań – jednak tym razem tego nie zrobiła. Dobrze wiedziała, że miarka się przebrała. Po powrocie z Zakopanego będzie musiała stawić czoła Marcinowi. Podjąć znacznie trudniejszą decyzję niż wybór między Dębkami i Zakopanem.

– Groził ci? – zapytał z największym trudem, siląc się na spokój.

– Powiedział, że się ze mną rozwiedzie, wyrzuci mnie z domu bez niczego i zabierze dzieci – odparła niechętnie, rumieniąc się przy tym ze wstydu. Naprawdę wstydziła się, że jej własny mąż traktował ją jak zwykłą szmatę. A jeszcze bardziej wstydziła się, że mówiła o tym bratu. W obecności Zosi nie było to takie trudne, inna rzecz, że Zosia o nic nie pytała. I tak wszystko wiedziała lub odgadrywała.

Łukasz, słysząc wyznanie siostry, jedną ręką pogładził jej zaczerwieniony policzek, drugą – zacisnął w pięść. Wciąż jednak zachował spokój i opanowanie.

– To wszystko? – spytał.

Anna spodziewała się raczej wybuchu wściekłości z jego strony. Spokój brata podziałał na nią kojąco.

– Oczywiście dał mi jeszcze szansę – odrzekła drwiąco.

– Rozumiem. Masz być posłuszna.

– Tak jest.

Podniósł się i przeszedł wzdłuż pokoju, naturalnie na tyle, na ile pozwoliły mu tandetne sprzęty zagracające to pomieszczenie. I pomyśleć, że nieudacznik życiowy, który „zapewnił” Annie takie warunki bytowe, śmiał jej jeszcze grozić! Jakby nie dość było tej gehenny, której przy nim doświadczała!

Łukasz przystanął za krzesłem siostry i położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie ustępuj mu – powiedział powoli. – Nie bój się go.

– Tak, ale...

– Ale...?

– A jeśli on to zrobi? – Przełknęła głośno ślinę.

– Nie robi. Nie jest wszechmocny. Tak naprawdę jest tchórzem.

– Wiem. – Przypomniała jej się identyczna ocena, jaką wystawiła Marcinowi Zosia. Wolą jednak wyzbyć się resztek wątpliwości, a rozmowa z bratem niespodziewanie przyniosła jej ulgę. Jednak dobrze jest podzielić się z kimś swoim ciężarem. – Wiem – powtórzyła. – Ale on ma różne znajomości...

Łukasz wykrzywił wargi i pochylił się nad siostrą.

– My też nie gapy – powiedział niemal wesoło. – Pamiętaj, że nie jesteś sama na świecie. Bez trudu znajdziesz ludzi, którzy staną przy tobie.

– Naprawdę? – Łzy zakręciły jej się w oczach, choć nie chciała okazywać słabości. Pytanie było jednak retoryczne, znała odpowiedź. Dlaczego dopiero teraz do niej dotarło, że jej brat miał rację?

Dlaczego nie porozmawiała z nim wcześniej o swoich sprawach? Zamiast tego wybierała strach i... wstyd. I tłumaczyła to własną bezradnością.

– Jedź teraz w góry i odpocznij. Gdy wrócisz, zajmiemy się wszystkim.

– A matka? – spytała niepewnie. – Jak ona to przyjmie?

– Porozmawiaj z nią. Zrozumie. Sama wiele w życiu przeszła, może sama to i owo ci opowie.

Przytuliła policzek do jego dłoni położonej na jej ramieniu. Łzy jednak popłynęły, nie zdołała ich powstrzymać, ale Łukasz tego nie skomentował. Gładził ją po włosach i znowu stanęły mu przed oczami czasy, gdy była małą dziewczynką, która tak lubiła spędzać z nim czas. To było jeszcze w Bolesławicach, zanim wojna nie wywróciła ich życia do góry nogami. Choć przecież już wcześniej zdarzyło się coś, co zatrzęsło w posadach ich spokojną, szczęśliwą egzystencją.

I właśnie wtedy, gdy wspominał tamte czasy, Anna powiedziała coś, co nim dodatkowo wstrząsnęło. W pierwszej chwili nawet przyszło mu do głowy, że się przesłyszał. Bo czy to możliwe, by oboje, tak bez żadnego powodu, pomyśleli jednocześnie o tym samym? Zwłaszcza że jeszcze parę sekund temu roztrząsali zupełnie inny, bardzo poważny problem.

– Widziałam zdjęcie Joanny – powtórzyła Anna.

Drgnął i natychmiast zabrał dłoń z jej ramienia.

– Nie martw się, nie będę cię teraz zmuszać do rozmowy o niej – wyjaśniła.

– Ani teraz, ani nigdy, jeśli tego nie chcesz. Tylko mi nie mów, że również ja mam o niej nie myśleć.

– Joanna odwróciła się od nas wszystkich, a ciebie nigdy nie zaakceptowała.

– Tego nie wiemy – odparła cicho, bo znowu przypomniała sobie spojrzenie siostry z fotografii u Szeptyckich. – Nie wiemy, czy to się później nie zmieniło.

„Bzdura” – chciał zaprotestować Łukasz, jednak tego nie uczynił. Postanowił nie przywoływać wspomnienia Joanny, Anna trafnie go rozszyfrowała. Tak naprawdę przyszedł do niej w zupełnie innej sprawie, która nie dawała mu od pewnego czasu spokoju.

– Byłaś u Szeptyckich? – spytał.

Pytanie zaskoczyło Annę, myślami wciąż była przy fotografii, na której zobaczyła swoją siostrę. Ale już po chwili dotarło do niej, że Łukasz zagadnął ją o Szeptyckich tylko w jednym celu – chciał się dowiedzieć czegoś o Solange, a pewnie też o Maćku. A Anna już od pewnego czasu miała wrażenie, że mówienie o tych dwojgu to w pewnym sensie także nawiązywanie do Joanny. Tak właśnie uważała Iza i Anna zaczęła myśleć podobnie.

– Tak, byłam u Szeptyckich – potwierdziła, a ponieważ nie chciała tu

pozostawiać żadnych niepotrzebnych niedomówień i pogłębiać rozterek brata, dodała: – To dwoje starszych, bardzo nieszczęśliwych ludzi.

– Wiem – odparł głucho.

– Mówili o swoich zmarłych synach. Każde na swój sposób czuło taką potrzebę. Dobrze wspominali też Maćka i jego rodzinę.

– Nie mam co do tego cienia wątpliwości. – Uśmiechnął się gorzko i opadł ciężko na krzesło.

– Wreszcie, choć z oporami, Szeptycki dał mi adres Solange. Nie był pewien, czy jest nadal aktualny, bo od lat się z nią nie kontaktowali, ale Iza wszystko sprawdziła i okazało się, że Solange nadal mieszka w Dijon.

– Pisała do niej? – spytał niewyraźnie Łukasz.

– Tak, i nawet się spotkały.

– Rozmawiały ze sobą?

– Skoro się spotkały, to rozmawiały.

– Daruj sobie tę ironię. Solange z nikim z nas nie chciała rozmawiać. Sam przed laty prosiłem, by mnie wysłuchała. Wiedziałem, gdzie pracowała. Była salową w szpitalu na Woli. Poszedłem tam, pielęgniarki wywołały ją na dół, ale jak mnie zobaczyła, od razu się wycofała i pobiegła z powrotem schodami na górę. A ja chciałem jej tylko wytłumaczyć... – Głos mu się załamał i zakrył dłońmi twarz.

– Co jej chciałeś wytłumaczyć? – spytała łagodnie Anna, choć równocześnie poczuła znajomy ucisk w klatce piersiowej. Nie była już taka pewna, czy chce poznać odpowiedź.

– Masz coś do picia?

Przeraził ją jego głos, cichy, chrapliwy, pełen udręki i cierpienia.

– Przyniosę ci zimnej wody. – Skierowała się do kuchni. – Chyba że wolisz coś innego.

– Coś innego. Byle było mocne.

Zawahała się przez chwilę, bowiem zawartość małego borku we wnęce tandetnej meblościanki należała do Marcina. Zaraz jednak porzuciła wszystkie skrupuły. Jej mąż nie zasłużył na nie. A bać już się go nie musiała.

– Powiesz mi, co się wtedy stało? – poprosiła, gdy brat wychylił, jeden za drugim, dwa kieliszki żubrówki.

Milczał i ukrył twarz w dłoniach. Role się odwróciły, bo teraz Anna w geście zrozumienia i wsparcia położyła mu dłoń na ramieniu – tak jak on to wcześniej zrobił wobec niej.

– Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz – szepnęła – ale możesz. Ja powiedziałam ci przed chwilą o mnie i o Marcinie. To przynosi ulgę.

– Nie mnie – odparł tym samym udręczonym głosem. – To już tyle lat we mnie siedzi... Żadna spowiedź tego nie odpuści.

– Co ty opowiadasz? – Objęła go ramieniem i przytuliła policzek do jego czoła.

– Moja mała siostrzyczka. Taka inna od tamtej... Taka prawdziwa siostra... Pamiętasz, jak nie dawałaś mi się na krok od siebie ruszyć, gdy wracałem na wakacje do domu?

– Coś tam pamiętam. Potem wszystko się poplątało.

– Potem wszystko się zepsuło – przyznał ponuro i nalał sobie trzeci kieliszek. – Zrobiło się do dupy.

– Jak ty mówisz? – roześmiała się. – Gdyby to nasza matka słyszała...

– Ona też nie zawsze wyrażała się jak dama, możesz mi wierzyć. – Na moment podchwycił jej uśmiech, ale zaraz wykrzywił twarz w gorzkim grymasie i ponownie sięgnął po butelkę. Tym razem Anna zaprotestowała:

– Już ci wystarczy – rzekła. – Chcesz się tu upić?

– Inaczej ci tego nie opowiem. Na trzeźwo nie dam rady. I na trzeźwo nie zniosę twojej pogardy. Bo będziesz mną gardzić, gdy to usłyszysz, bądź pewna.

– Chyba oszalałaś...

– Posłuchaj...

ROZDZIAŁ 29

Słuchała. Tak jak wtedy, gdy przed laty opowiadał jej baśnie lub inne fantastyczne historie. Miał dar opowiadania, tworzenia, konstruowania najbardziej wymyślnej fabuły. Tym razem jednak wiedziała, że historia, którą jej przedstawiał, nie była tworem jego wyobraźni. Była tragiczną prawdą, a przyniosło ją życie. Ona, Anna, nie mogła, tak jak przed wielu laty, domagać się od brata, by wymyślił inne zakończenie. Tym razem mogła go tylko wysłuchać.

*

Powiedział mi, że mam się uczyć. „Ty musisz żyć. Masz się uczyć. Ten kraj potrzebuje takich jak ty”. Rozumiesz, takich jak ja? Teraz jest tu takich pełno i jak wygląda ten kraj? Gdyby on na to teraz popatrzył! Boże, chyba sam by sobie odebrał życie. Był romantykiem, takim prawdziwym, z krwi i kości. A w przypadku romantyków nie ma znaczenia, czy są z lewicy, czy z prawicy. W gruncie rzeczy przecież i tak zawsze wygrywa w ich duszach romantyzm, czyli nieliczenie się z realiami zwykłej codzienności, a więc z koniecznością zawierania kompromisów. Bo bezkompromisowość ideowców na ogół zawsze wzbudzała zawiść i irytację u tych, co wiedzieli, że to się nie opłaca, że trzeba twardo stąpać po ziemi. A oni, ci zwykli zjadacze chleba, nie mając w sobie odwagi romantyków, wściekali się na nich z powodu własnej nicości. Bo trzeba być cholernym romantykiem, by nie patrzeć na konsekwencje tego, że wybrało się życie w zgodzie ze swoim sumieniem, ale wbrew narzuconym regułom. Mój brat był z krwi i kości człowiekiem lewicy, ale doskonale się dogadywał z tymi z prawicy. Nie podzielał ich poglądów, ale rozumiał ich sposób pojmowania świata. Nie odbierał im prawa do marzeń, choć jego marzenia były inne. Zamieszkał z rodziną u ludzi, których syn, notabene jego dawny kolega ze szkoły, zginął w lesie podczas jakiejś utarczki jego oddziału z czerwonymi. Już w gimnazjum Maciek i ten jego kumpel mieli całkiem odmienne poglądy na wiele fundamentalnych spraw: na Boga, na prawa społeczne i prawa jednostki. Ale honor pojmowali podobnie. I lubili te same książki, podobały im się te same dziewczyny i pasjonowali się żeglarstwem. To im wystarczyło, by się zaprzyjaźnić.

Podziwiałem go i byłem dumny, że poświęcał mi swój czas, choć był ode mnie starszy dobrych kilka lat. W pewnym momencie był już dojrzałym facetem, gdy ja wciąż zachowywałem się jak gówniarz. Byłem gówniarzem. I tak już miało pozostać. Nigdy nie dorosłem do jego poziomu.

Opowiadałem ci, jak to się stało, że wpadłem w łapy bezpieki? Chryste Panie, do tamtej pory nawet sobie nie wyobrażałem, czym może być piekło. Podczas studiów na medycynie zakolegowałem się z jednym chłopakiem. Był trochę młodszy ode mnie, bo wojna zabrała mi parę cennych lat, ale pomimo

różnicy wieku dobrze się dogadywaliśmy. W tamtych powojennych czasach ludzie z różnych roczników siedzieli obok siebie w ławce szkolnej i w sali wykładowej. Janusz nie był nawet moim przyjacielem, ale lubiłem z nim pogadać. I to wystarczyło, żebym, gdy w czterdziestym ósmym bezpieczeństwa zrobiła kocioł w jego domu, przy okazji wpadł i ja. Bo akurat tak się głupio złożyło, że poszedłem tam wtedy w odwiedziny. Właściwie trochę podejrzewałem, że Janusz ma kontakty z tymi, którzy czynnie stawiali się władzy ludowej. Nie przypuszczałem jednak, że tak to się skończy. Dla niego tragicznie, dla mnie – w pewnym sensie także.

Kiedy w czterdziestym siódmym czerwoni sfałszowali wybory i wykolegowali z gry jedyną do tej pory liczącą się partię opozycyjną, czyli ludowców Mikołajczyka, a potem uchwalili tę tak zwaną małą konstytucję [1], już bez żadnych oporów pokazali, co potrafią. To już nie były tylko polowania na oddziały z lasu, na Narodowe Siły Zbrojne, na tych, co utrzymywali, że Armia Czerwona to taki sam najeźdźca jak Niemcy i tak ją należy traktować – jak agresora. W czterdziestym siódmym roku i później komuniści rozprawiali się z każdym, kto wydał im się podejrzany, bo albo miał nie taki życiorys, jak trzeba, albo nie takie poglądy, albo podczas wojny walczył na innym froncie niż wschodni i był w innej konspiracji niż Armia Ludowa. Nastąpiły czasy jedynie słusznych poglądów na politykę, reguły społeczne i na kulturę.

Dzień przed tym, jak mnie zamknęli, spotkałem się z Maćkiem. Od kilkunastu miesięcy był już w kraju. Lubił taką małą knajpkę, u wylotu Świętojańskiej, choć wtedy ta ulica wyglądała inaczej niż dzisiaj. Wszystko wokół nosiło jeszcze świeże powstańcze rany. Zresztą rozmawialiśmy wtedy o powstaniu. O tym ostatnim i o wcześniejszych. Był historykiem, dlatego umiał dobrze argumentować swoje poglądy, choć mnie nie przekonał. Nie mogłem przyznać mu racji. Przecież gdybym tak zrobił, przyznałbym się do tchórzostwa. A na to nie byłem gotowy. Bo to nie takie proste. Posłuchaj...

– Uważasz, że podjęcie ryzyka musi być zawsze starannie wykalkulowane? – spytał wtedy Maciek. – Gdyby tak było, nie wybuchłoby ani jedno powstanie wyzwolenie, i to nie tylko w naszym kraju, lecz w żadnym innym.

Patrzyłem na niego i nie mogłem nie myśleć o tym, jak bardzo przypominał mi ojca. Te jego oczy, które zdawały się prześwieślać mnie na wylot. Na szczęście brat nigdy nie dał mi odczuć, że widzi moją przeciętność i przywiązanie do spraw, które dla niego nie miały znaczenia. A w oczach ojca zawsze, jak w lustrzanym odbiciu, widziałem taki właśnie obraz siebie samego.

Kapitan Władysław Boguszewski, legionista, a potem uczestnik starć z bolszewikami, udekorowany orderami, zawsze uważał mnie za tchórze. Nie powiedział tego na głos, wystarczyło jednak, że na mnie popatrzył. Był mną głęboko rozczarowany. Z Maćkiem zażarcie dyskutował na każdy temat, ale słuchał go uważnie. Zarzucał mu niebezpieczne zbliżanie się do marksizmu

i czasem z tego powodu wybuchała awantura, ale go szanował. Każdy to widział, jak i to, że z kolei ja w oczach ojca niewiele byłem wart, o ile w ogóle cokolwiek znałem.

Dawniej myślałem, że to dlatego, że Maciek był synem kobiety, którą nasz stary uwielbiał. Natomiast o mojej matce miał takie samo zdanie jak o mnie, więc siłą rzeczy skoro nią pogardzał, to tak samo odnosił się do mnie. Ale wreszcie musiałem sam przed sobą przyznać, że nie tu tkwiła przyczyna jego niechęci do mnie, bo przecież bardzo kochał Joannę, a ona miała tę samą matkę, co ja. Ojciec po prostu nie miał co do mnie złudzeń. Wiedział, że – jak to mówią – prochu nie wymyślę. Że nie powiem nic, czego warto by było wysłuchać. I dawał mi to odczuć na każdym kroku. Maciek zaś – nigdy. On zawsze z uwagą słuchał mojego zdania i choć niejednokrotnie mówił mi wprost, że na ten czy inny temat myśli inaczej, nigdy nie patrzył na mnie jak na głupca, z którym nie ma sensu dyskutować. Tak było i wtedy, gdy ni z tego, ni z owego zaczęliśmy analizować kwestię naszych polskich wyborów.

– Tak właśnie uważam – odpowiedziałem, odnosząc się do jego pytania co do oceny naszych narodowych zrywów. – Ja zawsze byłem w tych kwestiach sceptykiem. Zarówno powstanie listopadowe, jak i styczniowe były według mnie inicjatywą zupełnie nieprzemyślaną, która przyniosła nam w konsekwencji nowe klęski, krew, łzy i zniszczenia. Same straty, żadnego zysku. W rezultacie straciliśmy nawet to niesamodzielne Królestwo Polskie, a staliśmy się Priwislinskim Krajem. Tyle nam przyszło z bezmyślnego potrząsania szabelką. W tym czasie w Londynie otwarto już metro.

– A jednak miało to wszystko jakiś sens – zaproponował Maciek. – Tylko pomyśl. Czy bez tych powstań byłby możliwy zryw w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemnastego? Dzięki ofierze tych powstań całe pokolenia kultywowały pamięć o państwie polskim i nadzieję na jego odzyskanie. Czy bez nich ktokolwiek by jeszcze o tym myślał?

– Zryw z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku był możliwy tylko dzięki temu, co się stało w tysiąc dziewięćset czternastym. Bez pierwszej wojny cud niepodległości nie byłby możliwy. A wpływ naszych przodków na wybuch tego konfliktu był żaden.

Wiedziałem, że przesadzam. Jednak za każdym razem, gdy czytałem bądź rozmawiałem na temat pierwszej wojny, od razu przychodził mi na myśl ojciec i jego bohaterskie wyczyny, a budziło to we mnie być może małostkową, ale jednak bardzo wyraźnie odczuwaną niechęć. Przez cały okres dzieciństwa i dorastania byłem zmuszony słuchać wspomnień na ten temat, choć chciałbym zarazem oddać sprawiedliwość ojcu, że akurat on starał się mówić o tym wszystkim możliwie najoszczędniej. Co z tego jednak, gdy wszyscy naokoło – oprócz matki – przy każdej okazji do tego wracali!

– Nie wiedziałem, że tyle w tobie zwątpienia i goryczy – usłyszałem w odpowiedzi od brata. Maciek chyba najwyraźniej nie miał już ochoty kontynuować dyskusji. Moja opinia dotycząca polskich zrywów niepodległościowych musiała nim wstrząsnąć, a może i go przygnębić, choć z natury był tolerancyjnym i otwartym na innych człowiekiem. Powiedział jednak coś, co także i mnie poruszyło:

– W swoich poglądach jesteś bardziej radykalny niż pozytywiści. Gdzie podział się twój romantyzm?

Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, jakby naprzeciwko mnie zamiast Maćka siedział nasz ojciec. W głosie brata usłyszałem bowiem niemal to samo rozczarowanie, z którym przez lata odnosił się do mnie ojciec. Tyle że rozczarowaniu temu nie towarzyszyła, jak w przypadku ojca, pogarda, lecz poruszający smutek.

– Ty byłeś zawsze większym romantykiem ode mnie – odparłem pozornie nonszalanckim tonem, choć w gruncie rzeczy poczułem dotkliwy ból w sercu. – Być może nawet jedynym romantykiem w naszej rodzinie.

A następnego dnia zostałem zatrzymany w mieszkaniu rodziców Janusza.

Jak już ci wspomniałem, bałem się jak cholera. Ubowcy nie każdego złamali od razu. Byli tacy, którzy do końca im się nie dali, i ci na ogół wzbudzali największą furię u tych kremlowskich sługusów. Ja jednak załamałem się już po pierwszej nocy spędzonej bez ubrania w lodowatej celi. Czy możesz sobie wyobrazić, co czuje człowiek, gdy zedrą z niego ubranie, a potem trzymają nago w obmierzłej piwnicy bez odrobiny ciepła i światła? Wyobrażałem sobie, jakie męki przeżywała nasza matka, gdy nie wróciłem na noc do domu. W dodatku nie miałem zielonego pojęcia, czego ode mnie chcą.

Gardziłem tą czerwoną hołotą od samego początku, ale nie byłem zaangażowany w żadne działania przeciwko nim. Chciałem wreszcie skończyć studia medyczne, w miarę normalnie żyć. Nie należałem ani do WIN-u, ani do Narodowych Sił Zbrojnych, w czasie wojny nie wstąpiłem do AK. Nie byłem żołnierzem, w przeciwieństwie do mojego brata i ojca. Nie bez powodu ojciec mnie nie szanował, ale nie nadawałem się na męczennika i bohatera. Byłem przeciętnym facetem, miałem dwadzieścia parę lat i... nic na to nie poradzę, że kochałem życie. A wtedy, gdy siedziałem w tej lodowatej piwnicy, dotarło do mnie, że to wszystko na nic. Bo moje marzenia o spokojnej egzystencji właśnie trafił szlag.

Posadzili mnie potem przy stole i kazali opowiadać swój życiorys, co jakiś czas przerywając i wykazując mi nieścisłości. W pewnej chwili chciałem zapytać, czego ode mnie chcą, do czego mam się przyznać. Przecież byłem nikim. Nie spytałem, dzięki Bogu, powstrzymałem się przed tym pytaniem. Ci, co zadawali podobne pytania i za bardzo się stawiali, na ogół fatalnie na tym wychodzili. A fakt, że tak niewiele znaczyłem, nie musiał działać na moją korzyść. Wręcz

przeciwnie – takiego jak ja czasem łatwiej było zgnoić niż znanego opozycjonistę i bohatera.

Oczywiście nie byłem całkiem nieświadomy rzeczy i domyślałem się, że chcą wydobyć ze mnie zeznania obciążające Janusza. W dodatku mój życiorys działał przeciwko mnie. To znaczy może nie tyle mój życiorys – nie było w nim bowiem żadnych szczególnych dokonań – ile informacje o moim ojcu: legioniście i piłsudczyku, a także informacje o twoim ojcu, który dopiero wrócił z Zachodu. W pewnym momencie myślałem, że już po mnie. Moje zeznania nie mogły zaszkodzić Januszowi – przynajmniej wciąż mam taką nadzieję – choćby z tego powodu, że wolałem nigdy nie pytać o jego działalność. On zaś mi o niej nie opowiadał. Miałem pewne przypuszczenia i domysły, ale to było za mało. Być może zresztą wyciągnęliby ze mnie nawet te przypuszczenia, gdyby nie pewna okoliczność, która zadziałała na moją korzyść. To znaczy mój brat, który dzięki swoim osobistym kontaktom z jakimiś prominentnymi wtedy ludźmi stanął na głowie, by mnie wyciągnąć z tego piekła. Nie wierzyłem własnym uszom, gdy oznajmili, że mnie wypuszczają.

– Spierdalaj stąd – powiedział mi na odchodnym ubek. – I na przyszłość uważaj, z kim się zadajesz. Pamiętaj, odtąd mamy na ciebie oko.

Gdy znalazłem się za bramą mokotowskiego aresztu, mój brat już na mnie czekał.

– Cholera, chyba marnie cię karmili – próbował żartować, ale mnie nie oszukał.

Widziałem, z jakim napięciem się we mnie wpatrywał. Było dla mnie jasne, o czym myślał.

– Nic mi nie jest – uspokoiłem go. – Nie bili mnie. Do tego etapu śledztwa nie zdążyliśmy dojść.

Powiedziałem prawdę, nie dodałem jednak, że wielogodzinne przesłuchania i trzymanie w lodowatej piwnicy wystarczyły, by mnie złamać. Moje zeznania raczej nie zaszkodziły koledze, ale tylko dlatego, że nie miałem żadnych informacji, które mogłyby okazać się przydatne dla dochodzenia. Jednak kto wie, czy w pewnym momencie nie zgodziłbym się powtarzać sugerowanych przez bezpiekę odpowiedzi. Maciek wyciągnął mnie stamtąd w samą porę. Inaczej miałbym na sumieniu także Janusza, a tak wiem, że przeżył i po latach także wyszedł na wolność.

– Dziękuję – powiedziałem, gdy poczęstował mnie papierosem.

Możesz mi wierzyć, siostrzo, że żaden papieros wypalony wcześniej ani potem nie smakował mi tak jak tamten, wypalony w drodze z aresztu. Pomyślałem wtedy, że tak smakuje wolność. Szedłem ulicą i cieszyło mnie wszystko. Tłumy potracających się na chodnikach ludzi, kolejki pod sklepami, tramwaje obwieszone pasażerami, pijaczkowie w zakamarkach brudnych bram. Świat wydał mi się tak

piękny jak jeszcze nigdy dotąd. „Tak smakuje wolność” – powtórzyłem w myślach i zaraz sobie obiecałem, że zrobię wszystko, by jej nie stracić. By po raz drugi nie znaleźć się tam, skąd właśnie mnie wyrwano. W przypiływie szczerości powiedziałem to na głos.

– Dobrze – pokiwał z aprobatą Maciek. Po czym pół żartem, pół serio dodał: – Pamiętaj, że drugi raz już cię nie wyciągnę. A poza tym... – W tym momencie wyraźnie spoważniał. – Poza tym ten kraj nie potrzebuje już krwi męczenników. Ta, która popłynęła, w zupełności wystarczy. Teraz czas na odbudowę.

– I ty to mówisz? – Nie mogłem się nie roześmiać. – Ty, taki romantyk? Zwolennik powstań?

Chciałem mu nawet przypomnieć naszą ostatnią rozmowę przed moim zatrzymaniem, ale złapał mnie kaszel – efekt leżenia na betonie w zimnej piwnicy.

Maciek poklepał mnie po plecach i zawtórował mi śmiechem.

– Nie przekraczaj moich słów – zastrzegł już poważnie. – Jest czas powstań i pora spokojnej odbudowy. Teraz mamy czas odbudowy. A ty pamiętaj, masz się uczyć. Skończ wreszcie tę medycynę. Ten kraj potrzebuje takich jak ty.

Aresztowali go trzy lata później, gdy miałem zacząć pracę w jednym ze szpitali. Od razu, gdy tylko się o tym dowiedziałem, zrozumiałem, że sprawa może być poważna. Podobnie jak reszta rodziny nie miałem pojęcia, dlaczego go zamknęli. Wystarczyło mi jednak to, co Solange opowiedziała o okolicznościach jego zatrzymania. Wtedy, gdy przybiegła do nas z tą wiadomością, uważała, że jej męża można uratować, tak jak kiedyś on uratował mnie.

Dygocąc na całym ciele, opowiadała, że widziała na własne oczy, jak podeszło do niego dwóch ludzi i zaprowadzili go do stojącego na rogu samochodu.

– To było blisko naszej kamienicy – mówiła z płaczem. – Czekałam na niego w bramie, bo mieliśmy razem pójść, aby spróbować kupić buty dla małego. To wyglądało jak porwanie, ale żaden ze świadków nie miał wątpliwości, kim byli tamci dwaj. Ale dlaczego? Dlaczego? Przecież on ze wszystkimi dobrze żył. Nic złego nie zrobił. Popierał nowy ustrój. Chciałam biec, szukać, pytać, ale słabo znam język. I nie wiem, dokąd iść. Nie wiem, gdzie go zabrali. Wreszcie pan Szeptycki powiedział mi, żebym nie wykonywała żadnych pochopnych ruchów, bo w ten sposób mogę mu jeszcze dodatkowo zaszkodzić. Ale w czym mogłabym zaszkodzić, skoro on jest niewinny? To pewnie jakaś pomyłka. Pomóżcie mu.

Sytuacja naszej rodziny była wtedy bardzo delikatna i trudna. Twój ojciec, który po powrocie do Polski został początkowo przyjęty do pracy w wojsku, później, w ramach czystek rozpętanych przez Rokossowskiego, został zwolniony i z trudem znalazł jakąś posadę w sklepie. Zresztą czasami zachowywał się tak, jakby duchem był nieobecny. Jakby rzeczywistość, którą zastał w Polsce, kompletnie go oszołomiła i wyssała zeń wszelką inicjatywę. Sama to zresztą pamiętasz. O tym, by podejmował jakiegokolwiek kroki w sprawie Maćka, nie mogło

być w tych warunkach mowy. Mogło to zaszkodzić i jemu, i mojemu bratu. Nawet Solange to rozumiała. Od samego zresztą początku wskazywała na mnie jako na tego, który powinien przyjść z pomocą jej mężowi.

– On poruszył niebo i ziemię, aby trzy lata temu ratować ciebie. – Taki był jej koronny argument. I nie dawała się przekonać, że Maciek miał wtedy, przed laty, możliwości, by tę ziemię i niebo poruszyć. Miał odpowiednich przyjaciół czy też znajomych – mniejsza z tym, jak bliskie łączyły ich relacje. Grunt, że byli to w swoim czasie wpływowi ludzie. O tym, że właśnie takie koleżeństwo potem sprowadziło na niego nieszczęście, jeszcze nikt z nas nie wiedział. Gdy słuchałem płaczu Solange, czułem się wyjątkowo parszywie, ale musiałem jej przecież powiedzieć, aby nie miała złudzeń co do moich możliwości w sprawie uratowania jej męża.

– Jestem nikim, Solange – tłumaczyłem. – W dodatku sam siedziałem, co czerwoni z pewnością dobrze pamiętają. Jestem ugotowany, uwierz mi.

Wciąż pamiętałem ostrzeżenie, jakiego udzielił mi ubowiec, gdy opuszczałem areszt. Takich „dobrych rad” się nie zapomina, ja w każdym razie nie zamierzałem zapomnieć.

Moja bratowa chyba w ogóle mnie nie słuchała. Nie słuchała zresztą nikogo.

– Zrób coś, musisz coś zrobić – powtarzała w kółko. – On dla ciebie stawał wtedy na głowie. On cię uratował.

Nie musiała mi tego przypominać. Czułem się jednak bezradny, a sposób, w jaki Maciek został zatrzymany, nasuwał najgorsze przypuszczenia.

Nie potrafiłem przy tym wszystkim nie myśleć o tym, jak wałą się moje marzenia o spokojnym życiu. Przecież wkrótce miałem objąć pierwszą w życiu posadę w zawodzie, który od dawna sobie wymarzyłem. W dodatku miałem się żenić i – jakby tego wszystkiego było mało – Mirka była w ciąży, choć jeszcze nikomu o tym nie powiedzieliśmy.

„Nie” – powtarzałem sobie w duchu. „W tych okolicznościach nie mogę podejmować żadnych ryzykownych kroków. Nikt nie ma prawa tego ode mnie wymagać”.

Pamiętam, że byłem nawet wściekły na Maćka. Za tę jego ideowość nieliczącą się z realiami życia. Za to, że za dużo gadał w czasach, gdy milczenie było złotem. To przez te lata, które spędził we Francji, stracił czujność. Naiwnie myślał, że skoro zasadniczo popierał nowe porządki w Polsce – odbudowę, walkę z analfabetyzmem, reformę rolną i nacjonalizację przemysłu – to wolno mu publicznie wypowiadać się krytycznie o tych metodach sprawowania władzy przez komunistów, które budziły w nim sprzeciw. W ogóle nie docierało do niego, że na temat terroru powinien co najwyżej rozmawiać w gronie najbardziej zaufanych osób. Nic więc dziwnego, że w końcu wpadł. Cholerny romantyk, który spadł z księżycy. Sam sobie wykopał dół, w który przy okazji mogli wpaść także inni. Na

przykład ja.

Tak właśnie myślałem i dopiero potem dowiedziałem się, że „niefrasobliwość” mojego brata istotnie zaszkodziła mu podczas śledztwa, ale nie z jej powodu został aresztowany. Przyczyną jego zatrzymania było to samo, co w przeszłości miało miejsce w moim przypadku, czyli znajomość z niewłaściwymi ludźmi. W przypadku Maćka chodziło o tych dwóch, którzy w swoim czasie przycisnęli odpowiednie guziki i zadzwonili tam, gdzie należało, aby mnie uwolnić. W pięćdziesiątym pierwszym, wskutek czystek w samej partii, obaj towarzysze znaleźli się nie po tej stronie, co należało. Byli kojarzeni z Gomułką, więc funkcjonariusze Bieruta zajęli się nimi pieczołowicie, a przy okazji wszystkimi, którzy znajdowali się w ich orbicie. Maciek był tu idealną ofiarą, w tych warunkach całkowicie bezbronną, zdaną na ich łaskę i niełaskę.

Nie było żadnej możliwości, by go stamtąd wyciągnąć, chyba że on sam zgodziłby się zeznawać przeciwko kolegom, tak jak chcieli tego funkcjonariusze bezpieki. Kłopot w tym, że, jak się domyślasz, on nie zamierzał tego zrobić. I był jeszcze jeden problem, czyli ja. Bo skoro on nie chciał robić tego, co mu kazali, odpowiednie służby przypomniały sobie o mnie. Sam zresztą wszedłem im w łapy, choć pewnie gdybym tego nie zrobił, zabraliby mnie z ulicy, jak jego. Ale poszedłem sam, nie mogłem już dłużej znieść hysterii i oskarżeń ze strony Solange. Wystąpiłem o widzenie z bratem, skoro jego żonie tego odmawiano. Ku memu zdumieniu dostałem zgodę, co już powinno było mnie zaalarmować.

– Nie idź, to może być podstęp – błagała matka.

Ojczym jednak stwierdził, że jest za późno, aby się wycofać. Nawet na ucieczkę – jego zdaniem – nie było już szans.

– Myślisz, że za mną chodzą? – Próbowałem nadrabiać miną.

– Chodzą za nami wszystkimi – odpowiedział z rezygnacją ojczym.

Matka na to, że w ogóle nie należało ulegać Solange i podejmować jakichkolwiek kroków, ale twój ojciec tylko stwierdził, że to i tak bez znaczenia. I tak by po mnie przyszli. Tak jak – nie miał co do tego żadnej wątpliwości – pewnego dnia przyjdą po niego.

Poszedłem.

Nie było żadnego widzenia. Już na wstępie naczelnik mi oznajmił, że „więzień na to nie zasłużył”.

Spytałem, kiedy mam przyjść ponownie. A on na to, że kto inny chciałby teraz ze mną porozmawiać. I wtedy już wiedziałem, że właśnie stało się to najgorsze, czego obawiałem się od trzech lat. Wróciłem do piekła.

Wprowadzili mnie do małego pokoju, spytali, czy mam ochotę czegoś się napić. Odmówiłem.

– Opowiedz, jak to się stało, że trzy lata temu wyszedłeś z aresztu? – spytał w pewnym momencie jeden z nich.

Pamiętam, że nawet poczułem ulgę, ponieważ tak od razu przeszli do rzeczy, bez tego domyślania się, jak wtedy, trzy lata temu, o co im chodzi. Teraz przynajmniej to wiedziałem. No i byłem bogatszy o tamto doświadczenie sprzed lat. Sądziłem, że już wiem, czego się po nich spodziewać. Byłem głupcem, jak zwykle.

– Wyszedłem, bo byłem niewinny – odpowiedziałem, ale to wyjaśnienie zdecydowanie nie przypadło im do gustu.

– Wyszedłeś, bo twój braciszek cię wyciągnął – usłyszałem i w tym momencie całkowicie straciłem nadzieję. Było gorzej niż źle.

Nie będę cię teraz zanudzał, sam zresztą nie mam już siły do tego wracać. Dość, że dopiero wtedy dowiedziałem się, jakie były rzeczywiste przyczyny aresztowania Maćka. Chodziło o tamtych dwóch. A nie byli jedynymi, których zeznania miały posłużyć Bierutowi do wyeliminowania rywala, czyli Gomułki. Śledztwem objęto mnóstwo ludzi. Tego nie można było w żaden sposób porównać z tym, co spotkało mnie trzy lata wcześniej. Sprawa mojego kumpla ze studiów była niczym w porównaniu z dochodzeniem, w którego trybach znalazł się mój brat. A przy okazji także ja.

Spytałem, czy również jestem zatrzymany.

– Ależ skąd – roześmiali się obaj niemal po przyjacielsku i dodali nadspodziewanie uprzejmie: – Do pana nic już nie mamy. Tyle że mógłby pan spróbować pomóc bratu. On niepotrzebnie się upiera. Oczywiście, w pewnym sensie go rozumiemy. Chodził na wódkę nie z tymi, co trzeba, a teraz poczuwa się do lojalności wobec kumpli – zwłaszcza że oddali mu cenną przysługę w sprawie uwolnienia brata. Niemniej tamci są już skończeni, a on miałby jakieś szanse.

– To uczciwy człowiek – zapewniłem, choć zapewne nie brzmiało to przekonująco. Pewnie dlatego, że głos mi się załamywał. Widzieli, że się boję. Jestem pewien, że na twarzy miałem wypisany strach.

Nie odpowiedzieli na moje słowa. Jeden z nich odwrócił się do okna, drugi usiadł za biurkiem i dosłownie prześwietlał mnie wzrokiem. Pamiętałem aż nadto takie spojrzenia.

– Mój brat nie miał zasadniczych zastrzeżeń co do nowego kierunku zmian polityczno-społecznych w kraju – dodałem wobec tego, ale wypadło to dość żałośnie.

– Nie miał zasadniczych zastrzeżeń... – powtórzył jak echo ten, co patrzył w okno. – Co pan przez to rozumie?

Przełknąłem ślinę. Przeżywałem swoiste *déjà vu*. Wtedy, przed laty, czułem się tak samo paskudnie. Do czego zmierzali? Wierz mi, to wyjątkowo okropne uczucie, gdy musisz się domyślać, o co chodzi tym, którzy cię przesłuchują. Bo sami tego nie powiedzą. Ty masz na to wpaść, a w konsekwencji przyznać się do winy, choćby tej niepopołnionej. Lub obciążyć kogoś innego.

– Odkąd pamiętam, jeszcze przed wojną brat popierał nacjonalizację przemysłu i upaństwowienie ziemi – mamrotałem. – Toczył na ten temat niejedną dyskusję z naszym ojcem.

Chyba powiedziałem za dużo, wspomnianie ojca nie było konieczne. Z drugiej strony – przecież oni wiedzieli o nas wszystko. Wiedzieli, w jakim domu wychowaliśmy się obaj z bratem. Dokonania ojca także były im znane. Co do tego nie mogłem mieć żadnych wątpliwości. A jednak... to ich zainteresowało.

– Jak wyglądały te rozmowy z ojcem? – spytał ten, który siedział przy biurku.

Zrobiło mi się gorąco. Czułem kropelki potu na czole.

– Dyskutowali. Czasem się kłócili...

– Na jaki temat, konkretnie?

– Ojciec był sanacyjnym oficerem – brnąłem rozpaczliwie dalej. Przecież staremu nie mogłem już zaszkodzić. Teraz chodziło tylko o to, aby pomóc Maćkowi i... nie pogrzyść siebie. – Kiedyś zarzucił mojemu bratu, że jego poglądy to czysty komunizm.

– A nie przypadkiem: prawie komunizm? – uściślił ten stojący przy oknie.

„Cholera – pomyślałem – muszę się skupić. Muszę uważać. Konfrontują mnie ze słowami Maćka”.

Oddałbym wtedy ostatni grosz, aby wiedzieć cokolwiek o jego zeznaniach.

– Być może. – Skinąłem głową w odpowiedzi na pytanie ubeka. – Mogło mi się coś pomylić. Nie pamiętam dobrze tych rozmów. Miałem piętnaście lat, gdy ojciec zmarł... A poza tym te ich dyskusje niewiele mnie interesowały. Chyba byłem za młody, by je rozumieć.

– Dopiero po latach zaczął pan zawierać niewłaściwe przyjaźnie, co zaowocowało przykrymi konsekwencjami?

Przed oczami latały mi mroczki. Pomyślałem o Mirce, o naszym dziecku, które jak dotąd było tylko naszą tajemnicą. Serce we mnie wyło na samą myśl o tym, że zostawię ją samą. Chyba że...

– Czego ode mnie chcecie? – wyszeptalem. – Ani wtedy nie miałem, ani teraz nie mam nic wspólnego z...

– Ależ wiemy, wiemy... W przeciwnym wypadku najlepsze znajomości by wtedy panu nie pomogły. – Siedzący przy biurku ubek pokiwał dobrotliwie głową. – A teraz próbuje pan pomóc bratu. Tak czy nie?

Nie miałem już pojęcia, dokąd zmierzają. Uznałem jednak, że skoro zaczęli mnie pytać o Maćka, o jego wyjazd do Francji, o powrót, o nasze spotkania i rozmowy, to nie pozostaje mi nic innego, jak o tym mówić. Ostatecznie nie były to sprawy, które mogłyby mu zaszkodzić. Tak przynajmniej uważałem, a może jedynie chciałem w to wierzyć. Po kilka razy powtarzałem im wszystko, co Maciek opowiadał mi o swojej przynależności do Résistance, o jego wrażeniach z Francji,

o ludziach, których tam poznał. Dopiero potem przyszło mi do głowy, że jego kontakty z polską emigracją na Zachodzie nie mogły mu się przysłużyć podczas tego dochodzenia. Lecz z drugiej strony – czy UB nie prześwietliło tych spraw wcześniej? Interesowała ich jednak głównie kwestia dotycząca przyczyny jego przyjazdu. Dlaczego wrócił do kraju?

Sam zadawałem sobie to pytanie. Przecież we Francji miał pracę, która wprawdzie nie zapewniała mu życia w luksusach, niemniej w nieporównywalnie lepszych warunkach niż egzystowanie w Polsce. Przez tyle lat zawarł tam znajomości, kontakty i przyjaźnie. Oprócz tego wszystkiego żyła tam jego siostra, do której autentycznie był przywiązany. Zawsze to wiedziałem. Ja i Joanna toczyliśmy w dzieciństwie nieustanne wojny, ale oni oboje dobrze się rozumieli. Dlaczego zostawił to wszystko i wrócił na niepewny los do kraju? W dodatku ciągnąc ze sobą francuską żonę i dziecko?

Wytłumaczenie mogło być jedno i jego się uchwyciłem.

– Jak już mówiłem, brat tęsknił za krajem i odpowiadały mu zmiany ustrojowe w Polsce.

Żaden z ubeków nie skomentował tych słów. Pytali dalej. Owszem, potwierdziłem niechętnie, metody utrwalania władzy ludowej w Polsce niekoniecznie mu się podobały. I może niepotrzebnie głośno o tym mówił, bywało, że w publicznych miejscach.

– Dlaczego niepotrzebnie? – Jeden z oficerów spojrzał na mnie z naganą w oczach, a potem wymienił spojrzenia z tym drugim. – To akurat świadczy o jego uczciwości. Poza tym w naszej ludowej ojczyźnie można swobodnie mówić o tym, co boli ludzi pracy. A może jest pan innego zdania?

Szczerze ci powiem, nie miałem już żadnego zdania na jakikolwiek temat. Nie miałem też pojęcia, która jest godzina, ile czasu tam siedziałem i ile będę jeszcze siedział. Czy kiedykolwiek wyjdę. Głowę rozsadzał mi ból nie do wytrzymania. Żałowałem, że odmówiłem szklanki wody lub herbaty, gdy mi to na początku „rozmowy” zaproponowali. A oni nie zamierzali kończyć. Wydawać by się mogło, że mieli niewyczerpane siły. Bardzo też ich zainteresowała moja i Maćka wymiana poglądów dotycząca romantyzmu i sensu powstań narodowowyzwoleńczych.

– I uważa pan swojego brata za romantyka? – spytali.

Na moment ponownie odzyskałem czujność, choć byłem nieludzko zmęczony.

– Tak mu powiedziałem – zastrzegłem ostrożnie. – Choć z drugiej strony on uważał, że teraz minął już nieodwołalnie czas powstań, a nastał czas odbudowy.

Wreszcie koszmar się skończył. Dali mi protokół do podpisania. Ledwo widziałem na oczy, jak na złość nie miałem przy sobie okularów.

– To tylko pana własne słowa. Jedynie to, co pan nam powiedział –

usłyszałem.

Nie wahałem się więc długo. Przecież nie powiedziałem nic, co mogłoby zaszkodzić Maćkowi. Zresztą większą część tego, co zeznałem, musieli już wcześniej wiedzieć. Pewnie chcieli to skonfrontować z jego zeznaniami. Gdybym tylko, cholera, wiedział, co on im powiedział... To gnębiło mnie od samego początku... do dzisiaj.

Wyszedłem.

W domu czekali na mnie przerażeni matka i ojczym.

– Nie widziałem go – wydusiłem z siebie. – „Więzień nie zasłużył” – zacytowałem z goryczą.

Chcieli oczywiście wiedzieć więcej. Co się stało? Dlaczego to wszystko zajęło mi tyle czasu?

– Dajcie mi, do cholery, spokój! – wrzasnąłem.

Przynajmniej miałem okazję bezkarnie się wykrzyczeć. Na samą myśl, że po tylu godzinach miałbym jeszcze raz opowiadać o tym wszystkim, chciało mi się wyc i tłuc głową o ścianę.

Trzy tygodnie później ja i Mirka wzięliśmy ślub cywilny. Jedynymi świadkami ceremonii było dwoje naszych kolegów. Ze względu na okoliczności rodzinę zawiadomiliśmy dopiero po fakcie. I jeśli pamiętasz, ślub kościelny wzięliśmy dopiero po kilku latach, też bez żadnej fety i też ze względu na okoliczności. W międzyczasie bowiem aresztowany został z kolei twój ojciec, choć szczęśliwie doczekał odwilży i amnestii. Maciek nie doczekał ani jednego, ani drugiego. Trzy miesiące po mojej „rozmowie” z dwoma oficerami UB zmarł podczas śledztwa.

Zanim Solange przyniosła nam tę wiadomość, myślałem, że poczekam, aż mój brat wyjdzie na wolność i będzie moim drużbą przynajmniej na ślubie kościelnym. Cholera, chyba naprawdę w to wierzyłem.

Zamiast tego straciłem go na zawsze, a jego żona nie chciała mnie już potem widzieć ani wysłuchać. Powiedziałbym jej to, co teraz tobie. Że naprawdę chciałem mu pomóc. Choć może w pewnym momencie bardziej chciałem pomóc sobie – tego oczywiście już bym jej nie wyznał.

Ale ona odcięła się od nas, tak jakby nas oskarżała, że nie próbowaliśmy pomóc ani jemu, ani jej. Jakby mnie oskarżała... o jego śmierć. I pewnie wciąż tak myśli, zresztą – być może nie tylko ona. Być może... być może ma rację.

[1] Konstytucja mała z 19 II 1947 r.

ROZDZIAŁ 30

Zosia jednak nie pojechała z nimi w góry.

– Następnym razem tak zrobię – oświadczyła, patrząc znacząco na bratową.
– Wtedy, gdy wszystko już się w twoim życiu uspokoi. Zabierz maluchy i jedź tylko z matką. Musicie pobyć w swoim towarzystwie i szczerze ze sobą pogadać. Rozumiesz?

Anna zdecydowała się na taką rozmowę z matką dopiero w przeddzień wyjazdu z Zakopanego. Wcześniej nie potrafiła się na to zdobyć, między innymi w obawie, że zepsułaby im wszystkim pobyt w górach. Kasia i Krzyś byli w tym czasie tak szczęśliwi i roześmiani jak nigdy dotąd.

– Nigdy ich takimi nie widziałam – stwierdziła nawet pewnego dnia Hortensja, a Anna, choć w duchu przyznała matce rację, nie skomentowała jej spostrzeżenia ani jednym słowem.

Przecież obie wiedziały, co było przyczyną radosnego zachowania dzieci. To zaś niechybnie doprowadzić by musiało do rozmowy o nieudanym małżeństwie Anny, do atmosfery panującej w jej domu, do rozmowy o Marcinie, o ewentualnym trudnym rozwodzie.

„Nie, jeszcze nie dzisiaj” – pomyślała wtedy Anna. „I nie jutro. Powiem jej o tym ostatniego lub przedostatniego dnia pobytu. Wtedy będę musiała to zrobić”.

Wtedy nie będzie już miała wyjścia. Będzie potrzebowała pomocy matki i brata.

Łukasz... Codziennie, gdy tylko choć przez chwilę mogła pobyć sama, wracała do tego, co jej powiedział. O tym, co latami dręczyło jego sumienie. Na ile jego zeznania i to, co podpisał w protokole, mogło zaszkodzić Maćkowi? Bo przecież z pewnością mu nie pomogło.

Anna uparła się, aby Łukasz został potem na noc w jej mieszkaniu. Nie wyobrażała sobie, aby w takim stanie miał wracać do siebie, tym bardziej że byłby tam zupełnie sam. Próbowwała go też pocieszać.

– Jestem pewna, że to, co zeznałeś, nie mogło już mieć znaczenia – mówiła.

Ale go nie przekonała. Siebie zresztą także nie. Powiedziała zatem co innego, co bez wątpienia było prawdą. Że wielu ludzi było i jest nadal poddawanych takim próbom. Że nigdy nie było łatwo – i wciąż nie jest – poradzić sobie z naciskami tych, którzy sprawują totalitarną władzę. Ktokolwiek dostał się w tryby maszyny bezpieki, dobrze wie, jak trudno dokonać właściwego wyboru i wyjść z tego cało. Zwłaszcza gdy na ogół rzadko kiedy można było się rozeznać, na jakim gruncie się stoi.

– Solange im nie uległa – przypomniał wtedy ponuro Łukasz. – Niczego nie podpisała, nie zgodziła się na rozwód. A przecież nie mogła mieć wówczas żadnej nadziei na to, że wypuszczą ją i Piotrka do Francji.

– Przecież i ty im nie uległeś – tłumaczyła mu z rozpaczą Anna. – Pamiętam, że jeszcze przez kilka kolejnych lat nie dawali ci spokoju.

– Potem dwa, a właściwie trzy razy próbowali mnie nakłonić do współpracy w innych sprawach – przyznał cicho, nie odrywając wzroku od stojącej przed nim, w połowie opróżnionej butelki żubrówki. – Chodziło wtedy o donoszenie na dwóch kolegów ze szpitala. Ale już nie chciałem z nimi gadać, nie zgodziłem się na podpisanie czegokolwiek.

– Sam widzisz...

– To żadne bohaterstwo z mojej strony. Nie naciskali mnie już tak bardzo. – Wzruszył ramionami. – W pięćdziesiątym piątym i pięćdziesiątym szóstym para im się trochę przeredziła. A potem zupełnie mi odpuścili. Dlatego gdy zaczęła się przy tobie kręcić Iza Seigner, nabrałem paskudnych podejrzeń, że znowu coś się zaczyna dziać wokół naszej rodziny.

„Bo zaczęło się dziać, ale coś zupełnie innego” – pomyślała Anna, choć zaraz przyszło jej do głowy, że być może to wcale nie było coś innego. Losy Joanny i Maćka niekiedy się ze sobą splatały, wzajemnie uzupełniały. Chciała to nawet wyrazić na głos, ale nie zdążyła. Łukasz bowiem ponownie wpadł w przygnębienie i dodał:

– Skoro jednak odpowiednie służby kręciły się koło mnie jeszcze przez jakiś czas po śmierci Maćka, to najwidoczniej dlatego, że zdążyły wystawić mi odpowiednią ocenę. Widać uznali, że może nie będę miał skrupułów w donoszeniu na kolegów z pracy, skoro wymiękłem w sprawie mojego brata. Mieli mnie za tchórza i mięczaka, za faceta bez żadnego kręgosłupa. Oceniali mnie tak samo jak kiedyś mój ojciec. Może tak ich potem znienawidziłem, bo... mieli rację?

– Nie, nie pozwalam, abys tak o sobie mówił i myślał – odparła kategorycznie Anna. – Jesteś znakomitym lekarzem. Pacjenci robią, co tylko w ich mocy, aby się do ciebie dostać. A poza tym zawsze byłeś dobrym mężem i ojcem, dobrym synem i... – Na moment zawahała się, zanim dokończyła: – I bratem.

Przynajmniej z jej punktu widzenia tak to wyglądało. Nie mogła jednak mówić w imieniu Joanny.

W każdym razie następnego dnia, przy śniadaniu, choć nadal marnie wyglądał, był spokojniejszy. A gdy wychodził, uścisnął jej dłonie i zapewnił, że czuje się już lepiej. Tak jakby zrzucił z pleców stukilowy ciężar.

– Już dawno powinienes być mi o tym opowiedzieć – stwierdziła Anna i w tym samym momencie już wiedziała, jaką otrzyma ripostę.

– Ty także powinnaś była powiedzieć o swoich problemach wcześniej... Boże, Anka, ile czasu straciliśmy na jałowych rozmowach o niczym, byle tylko nie wyznać tego, co nam obojgu leżało na sercu.

„To nie dotyczy tylko mnie i Łukasza” – myślała Anna, gdy podczas pobytu w Zakopanem patrzyła na matkę.

Czy kiedykolwiek porozmawiały ze sobą tak naprawdę, od serca? Co im w tym przeszkodziło? Czy był to jedynie brak czasu, mijanie się w codziennym, trudnym życiu, gdy zabrakło ojca? I potem, gdy Anna związała się z Marcinem?

„Nasze rozmowy? Zawsze wyłącznie na trzeciorzędne tematy, aby tylko nie poruszyć tego, co mogło zaburzyć marną, ale jako tako przyklepaną rzeczywistość. By jako tako zaleczona rana nie zaczęła na nowo krwawić i boleć? A może ta rana nigdy nie została zaleczona?”

Pomyślała o liście Joanny do Maćka. O liście, który niemal cudem przetrwał i został odnaleziony w mieszkaniu Szeptyckich.

Jeszcze przed wyjazdem napisała o tym do Izy i choć sam list zachowała dla siebie, przekazała kuzynce szczegółowo jego treść. Teraz – w Zakopanem – uznała, że jednak opowie o nim matce. W każdym razie spróbuje to zrobić. Może tym samym nakłoni ją do mówienia?

Przedostatniego dnia wybrały się do Doliny Chochołowskiej. Pobyt w towarzystwie małych dzieci wykluczał wspinaczki wysokogórskie, zresztą żadna z nich nie miała w tym doświadczenia. Żadna nie miała też niezbędnej ku temu kondycji i wystarczających sił. Pozostawał spacer dolinami, wyprawa do Morskiego Oka, względnie spacer po mieście. Dzieciom to najwyraźniej odpowiadało, tym bardziej że zaprzyjaźniły się z trojgiem poznanych tam rówieśników.

Właśnie przedostatniego dnia rodzice tamtych urwisów zaproponowali, aby Kasia i Krzys spędzili kilka godzin w towarzystwie ich dzieci.

– Razem tak dobrze się bawią – przekonywała młoda mama całej trójki, a jej mąż skwapliwie to potwierdzał. – Przynajmniej możemy wtedy trochę odsapnąć. Nasze dzieciaki potrafią zająć się sobą tylko wtedy, gdy spotykają się z pani dziećmi, pani Aniu. Inaczej bez przerwy siedzą nam na głowie i marudzą: to im kup, tamto daj, poczytaj, pobaw się. To czasami jest trudne do wytrzymania, sama pani rozumie. Człowiek czasem też chce zająć się sobą.

Anna, której dzieci nigdy nie miały problemu z zorganizowaniem sobie zabawy, kiwała głową bez przekonania.

– Chodzi o to, że będziemy mieć oko na całą gromadę. Nie ruszymy się z podwórka. Posiedzimy, poczytamy, a dzieci będą się spokojnie bawić – dodał ojciec rodziny, patrząc na Annę z nadzieją w oczach. – Pani dzieciaki mają niewyczerpany zasób pomysłów do zabawy, w dodatku sensownych pomysłów. Niech się pani nie obawia. Nie spuścimy ich z oka. A w tym czasie może pani ze swoją mamą pójść na jakiś spacer. Też się pani należy trochę relaksu.

– No nie wiem. – Anna nadal nie była przekonana do tego pomysłu. Kasia i Krzys byli przecież jeszcze małymi dziećmi, a ona nauczyła się mieć je przy sobie zawsze, jeśli akurat nie pracowała albo nie załatwiała jakichś pilnych spraw. – Nie chciałabym sprawiać państwu kłopotu... – dodała uprzejmie.

– Mamo, zgódź się! – Pocięchy przypadły do niej jak na zawołanie. Ich twarzyczki pały z podniecenia.

Anna znowu pomyślała, jak niewiele radości miały jej dzieci w życiu, jak często odczuwały strach i dopiero podczas tego pobytu w górach mogły sobie pozwolić na to, by zażywać niczym niezmaconej swobody, by dokazywać niemal tak jak ich rówieśnicy, choć w dalszym ciągu ich ożywienie szło w parze z dużo lepszym wychowaniem niż w przypadku tamtych. Przy okazji jednak obserwowały rodzinę, która choć nie ze wszystkim sobie radziła wzorowo, niemniej zdawała się być szczęśliwa i kochająca. W każdym razie nikt tam nie obrzucał nikogo wyzwiskami. Wreszcie ustąpiła, co spotkało się z aprobatą matki.

– Nareszcie i ty trochę odpoczniesz – zauważyła Hortensja Zawilska, gdy obie niespiesznym krokiem przemierzały Dolinę Chochołowską.

Wybrały to miejsce, bo znajdowało się stosunkowo niedaleko ich kwatery, wcale też nie zamierzały wędrować aż do samego schroniska. Hortensja zapowiedziała, że jedynie utną sobie niewielką i niemęczącą przechadzkę, a potem zawrócą.

– Moje dzieci mnie nie męczą – odpowiedziała Anna. W jej głosie znów pojawiło się zniecierpliwienie, jak niemal za każdym razem, gdy matka zamierzała wyrazić swoje ubolewanie wobec jej losu. Anna zawsze wiedziała, że Hortensja w ten sposób chciała nakłonić ją do zwierzeń. Tym razem jednak postanowiła wyjść temu naprzeciw. Nie miała innego wyjścia. Oznaczało to, że znowu nie porozmawiają o Joannie, ale trudno. Na razie musiała jak najszybciej rozwiązać własne problemy.

– Moje dzieci nigdy mnie nie męczyły – powtórzyła znacząco. Na razie nie miała pewności, co mogłaby jeszcze dodać. Czekwała na odpowiedź matki.

– Wiem – odparła po dłuższej chwili Hortensja. – Ze mną nie zawsze tak było. To znaczy kochałam moje dzieci, w tym Maćka – dodała, podchwyciwszy nieco zdumione spojrzenie córki. – Często jednak wołałam więcej czasu poświęcać ich ojcom, marząc w duchu o tym, aby i obu moim mężom na tym zależało.

Zapadła cisza. Minęła ich grupa roześmianej i rozbawionej młodzieży. Wokół nie brakowało turystów, szlak tętnił życiem, jak to w pełni sezonu. Wszyscy szli szybciej od nich, toteż przesunęły się na bok i wędrowały skrajem drogi. Zewsząd dochodziły ich ożywione głosy. Anna jednak miała wrażenie, że na moment zapanowała całkowita cisza. Słowa matki zupełnie ją zaskoczyły. Przestała nawet myśleć o tym, co sama miała jej zakomunikować.

– Wiem, że nie byłaś szczęśliwa z kapitanem Boguszkowskim – podjęła wreszcie – ale przecież z moim ojcem wyglądało to zupełnie inaczej. To prawda, że wojna was rozdzieliła, a kilka lat po tym, jak wrócił, został aresztowany, ale przecież... Pamiętam, że byliście sobie bliscy, że się kochaliście.

Ledwo to powiedziała, uświadomiła sobie, że nie do końca tak było. Całe

lata starała się zachować w pamięci to, w co wierzyła. Teraz jednak odniosła wrażenie, że kurtyna zaczyna opadać z jej oczu. Dotarło to do niej, zanim usłyszała odpowiedź matki:

– To ja go kochałam. A on od pewnego momentu jedynie pozwalał się kochać... choć i to nie zawsze.

– Przecież wiesz, przez co on przeszedł. – Anna poczuła, że robi jej się zimno pomimo pięknej, słonecznej pogody. – Nie było mu łatwo okazywać uczucia, tak jak to robił wcześniej.

Jednak i tym razem, podobnie jak przed sekundą, pamięć przywołała jej inne obrazy. Ojciec, nawet wtedy, gdy był zmęczony, schorowany i coraz bardziej wycofywał się w głąb własnego, niewidzialnego dla innych świata, nie przestawał patrzeć z miłością na nią, na Annę. Wobec żony nie odnosił się wrogo, nie powiedział jej nic przykrego, odpowiadał na jej pytania, niemniej nawet nie silił się na to, by ukryć, jak bardzo była mu obojętna. Dlaczego? Chyba raczej nie chodziło o to, że znudził się kobietą starszą od siebie o osiem lat. W świetle tego, przez co przeszedł, kwestia różnicy wieku między nimi nie mogła mieć już dla niego znaczenia.

– Mnie również nie było łatwo przez te lata – odparła Hortensja, odnosząc się do słów córki. – Jednak moje uczucia wobec niego pozostały takie same jak wtedy, gdy postanowiłam się z nim związać.

– Wiem – rzekła cicho Anna. Wzruszyła bezradnie ramionami i dodała: – Co ci mogę powiedzieć? Tak czasem bywa.

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie Hortensja. – Inne kobiety miały pod tym względem więcej szczęścia ode mnie. A wiesz, dlaczego tak było? Bo za bardzo kochałam! Bo dawałam z siebie wszystko! A tak nie można! Trzeba coś sobie zostawić! Aby nie przestać być interesującą, rozumiesz?!

Zszokowana Anna przede wszystkim rozumiała, że matka zwróciła na siebie uwagę przechodzących obok ludzi. Że też tylu turystów musiało akurat dzisiaj tędy wędrować. Oczywiście, nie było w tym nic dziwnego, niemniej fakt ten nie ułatwiał sprawy. A poza tym...

„Co jej się stało, że postanowiła to z siebie wyrzucić, w dodatku w taki sposób? Akurat dziś! W tym miejscu. Teraz!”

– Zawracajmy – zaproponowała cicho, a Hortensja zgodziła się bez protestów.

W połowie drogi powrotnej tłum wycieczkowiczów znacznie się przerzedził. Hortensja także najwyraźniej odzyskała równowagę i wyglądało na to, że żałowała już swojego wybuchu szczerości. Tak jakby wstydziła się, że odsłoniła przed córką skrywane latami ból i rozczarowanie.

Anna także pozbierała własne myśli i postanowiła wyłożyć karty na stół. Nie będzie już drugiej tak dobrej ku temu okazji. Może zresztą skłoni tym matkę do

dalszych wyznań, tak ja to miało miejsce w przypadku Łukasza.

– Muszę odejść od Marcina, to już koniec – oświadczyła bez żadnych wstępów.

Hortensja przystanęła i patrzyła na córkę, jakby nie zrozumiała.

„Nie, tylko bez hysterii. Boże, oszczędź mi tego” – jęknęła w duchu Anna.

– Chcesz się z nim rozwieść? – spytała matka.

– Ja z nim, on ze mną, co za różnica. Muszę to zakończyć. Wiem, masz pewnie ochotę powiedzieć mi, że próbowałaś mnie przed laty przed nim ostrzec, ale cię nie słuchałam i moja reakcja na twoje słowa była, najogólniej rzecz ujmując, mało elegancka. Jeśli chcesz, możesz mi teraz to przypomnieć, ale jak widzisz, nie ma to sensu, skoro sama pamiętam. Mieliście rację – i ty, i Łukasz, i Mirka, i moja przyjaciółka Wanda, a także wszyscy inni. Przyznaję to, ale nie cofnę już czasu. Muszę myśleć o przyszłości.

– Bardzo słusznie – odpowiedziała łagodnie Hortensja. – A poza tym każdy ma prawo popełnić w życiu błąd, nawet w najbardziej fundamentalnej sprawie.

Annie łzy napłynęły do oczu, a zarazem nogi się pod nią ugięły. Dzięki Bogu, że najbliższa wiata dla turystów była pusta. Ostatkiem sił dowlokła się do drewnianej ławki i opadła na nią ciężko. Chwilę potem usiadła obok jej matka i objęła ją ramieniem.

– Pomożesz mi? – szepnęła córka.

– Czy musisz zadawać takie bezsensowne pytania?

– Nie możemy zostać w jego mieszkaniu. Muszę coś znaleźć dla siebie i dzieci.

– Oczywiście, już o tym myślałam – odparła zbyt szybko Hortensja i zaraz przygryzła wargi.

Anna spojrzała na nią uważnie.

– Ty już o tym wiedziałaś? Łukasz ci powiedział – stwierdziła, ale nie czuła gniewu ani irytacji.

– Tak. Nie miej o to do niego żalu. Przyszedł do mnie w przeddzień naszego wyjazdu i powiedział mi o twojej sytuacji. Razem zastanawialiśmy się, jak ci pomóc.

Jeszcze nie tak dawno temu Anna nie omieszkałaby wyrazić swojego oburzenia na podobne „spiskowanie” za jej plecami. Nie mówiąc o tym, jak bardzo czułaby się przy tej okazji upokorzona. Dziś jednak jedynie zdobyła się na ponowne, pełne rezygnacji wzruszenie ramion. Nie mogła się oburzać. Potrzebowała pomocy, a ludzie, których reakcji początkowo się obawiała, stanęli za nią murem. Bez żadnego gadania ani irytujących, choć pełnych współczucia lamentów. Matka i brat oszczędzili jej tego. Właściwie była nawet wdzięczna Łukaszowi, że przygotował ich matkę na taką wiadomość. Dzięki temu ta rozmowa była choć trochę łatwiejsza.

- Będzie ciężko – powiedziała z wahaniem Anna. – Marcin rozpęta piekło.
- Czy ty przypadkiem już na zapas nie demonizujesz jego możliwości?
- Ma znajomości. Dużo może.
- Może dokładnie tyle samo, co ty i ja – odparła pogardliwie Hortensja.

Miała teraz dokładnie taki sam wyraz twarzy jak wówczas, przed laty, gdy do Bolesławic przyszli przedstawiciele nowej władzy i kazali im się wynieść z dworu. Nie okazała im strachu, o nic nie prosiła. Patrzyła na nich z pogardą – jak na ludzi, z którymi nawet nie warto dyskutować.

– Nie namawiaj mnie, abym walczyła w sądzie o to jego mieszkanie po ciotce – zastrzegła jeszcze na wszelki wypadek Anna. W jej serce zaczęła jednak wstępować otucha.

– Naprawdę myślałaś, że namawiałabym cię do walki o tę norę? – prychnęła z pogardą Hortensja, tak że Anna o mały włos nie wybuchnęła śmiechem. Opanowała się jednak, bo sytuacja była poważna.

– Po powrocie do Warszawy zamierzam pójść do działu socjalnego i zapytać o mieszkanie służbowe po dozorczy szkoły, który zmarł przed wakacjami – rzekła.

– Możecie, przynajmniej na pewien czas, zamieszkać u mnie. Zmieścimy się, moje mieszkanie jest przecież większe od tej dziupli, w której do tej pory musiały się gnieździć razem z dziećmi. Wiem, że wolałabyś mieszkać osobno, ale na razie, dopóki nie znajdziemy czego innego, zapraszam was do siebie. Jakoś się dogadamy, obiecuję, że nie będę się wtrącać w twoje sprawy.

– Dziękuję, chętnie się do ciebie przeprowadzę. – Anna ledwo to powiedziała, a uzmysłowiła sobie, że naprawdę tak jest.

Z radością myślała o powrocie do starej kamienicy, gdzie po wojnie zamieszkała razem z rodzicami i bratem. Potem Łukasz wyprowadził się do teściów, a gdy zabrakło ojca, przez jakiś czas mieszkały tam z matką tylko we dwie. Dwa przestronne pokoje w starym budownictwie, ocienione wielkimi drzewami rosnącymi niedaleko domu. Niby żaden luksus, z pewnością jednak oaza spokoju i dobrego gustu w porównaniu z głośnym, maleńkim, dusznym i zagraconym mieszkaniem Marcina. Dość szybko po ślubie się o tym przekonała. Tyle że wtedy było już za późno na to, by cokolwiek zmieniać. Tak przynajmniej myślała – do niedawna, do dzisiaj.

– No to jedną rzecz mamy z głowy. – Hortensja postarała się, aby zabrzmiało to wesoło. – Zaraz po powrocie zajmiemy się twoją przeprowadzką.

- Marcin będzie to utrudniał.
- Odniosłam wrażenie, że i on chce się ciebie pozbyć.
- Mnie owszem. Ale będzie jazgotał w sprawie dzieci. I nie dlatego, że je kocha i pragnie się nimi zająć. Raczej nie przepuści okazji, aby mi dokuczyć.
- Dlaczego miałby to robić?
- Bo lubi mnie dręczyć, nawet jeśli nie ma to żadnego sensu, żadnego

logicznego wytłumaczenia. Bo nudzi się w życiu, bo jest rozczarowany sobą i wszystkimi dookoła, a ja od lat byłam kimś, na kim mógł bezkarnie wyładowywać swoje frustracje. Kobiety, z którymi próbował kręcić, dość szybko pokazywały mu drzwi, gdy go lepiej poznawały. Nawet ta z Wrocławia. Ja nie mogłam mu tych drzwi pokazać, więc byłam wygodnym chłopcem do bicia. Nie w sensie dosłownym – dodała, podchwyciwszy przerażone spojrzenie matki. – Nigdy mnie nie uderzył. Znał jednak inne sposoby, by pozbawić mnie szacunku do samej siebie.

– Chyba wiem, o czym mówisz – westchnęła Hortensja, ale zaraz dodała: – Cieszę się, że wreszcie to zrozumiałaś.

– Niezupełnie sama do tego doszłam. – Uśmiechnęła się z przymusem Anna. – Uświadamiała mi to od czasu do czasu Zosia, a kiedyś jeszcze Wanda. To, co przed chwilą ci powiedziałam, to także słowa mojej szwagierki. Młodsza ode mnie, a taka inteligentna spryciara.

– A ty w końcu postanowiłaś się przed nim bronić. Powiedziałaś dość.

– Tak. – I znowu poczuła tę samą satysfakcję co wtedy, gdy po raz pierwszy odważyła się stanąć w obronie swojej godności. Wtedy, gdy wcześniej, niż się spodziewała, wrócił rozwścieczony z Wrocławia i zaczął obrażać ją, a przy okazji jej rodzinę z powodu... niepozmywanych talerzy w kuchni.

Samo wspomnienie sprawiło, że ponownie, tak jak wówczas, zadygotała z oburzenia. Zosia jej potem wyjaśniła, że pewnie ta jego „flama” z Wrocławia kazała mu się wynosić. Musiał się na kimś odegrać, a kto nadawał się do tego lepiej niż ślubna?

„Niedoczekanie” – pomyślała, wracając teraz wspomnieniami do kolejnych dni swojej małżeńskiej gehenny. „Chcesz mi urządzać piekło w sali sądowej? Obiecuję, że się w nim usmażysz”. I – jakby na potwierdzenie swoich refleksji – usłyszała spokojny głos matki:

– Ojciec Mirki obiecał, że jakby co, chętnie ci pomoże w sprawie rozwodu. Łukasz już z nim rozmawiał. A wiesz, że jego teść jest prawnikiem specjalizującym się w prawie rodzinnym. I jak bardzo nie lubi takich jak Marcin, odkąd jego siostra o mały włos przez podobnego osobnika przeniosłaby się na tamten świat.

– Dziękuję.

Tylko tyle mogła powiedzieć. Gdyby spróbowała coś dodać, z pewnością głos by ją zawiódł, a nie chciała się rozpląkać w obecności matki.

Patrzyły w milczeniu na przechodzących ludzi. Czasem była to gromadka młodzieży, czasem rodzice usiłujący zapanować nad rozbrykanym potomstwem. Trafiły się też dwie zakochane pary: zupełnie młodzi ludzie, a niedługo potem dwoje starszych, wpatrzonych w siebie jak w tęczę.

„Boże, przecież życie jest takie piękne” – pomyślała Anna, odprowadzając

wzrokiem tę drugą szczęśliwą parę.

– Ja także nie chciałam słuchać, gdy moja macocha ostrzegła mnie przed Władysławem – odezwała się Hortensja. – I wierz mi, pyskowałam jej nie mniej zajadle niż ty mnie przed laty. Zapłaciłam za to całym moim życiem. Wszystko, w co wierzyłam jako młoda dziewczyna, okazało się jednym wielkim złudzeniem. W tych warunkach zawiodłam także jako matka. Ty pod tym względem jesteś dla mnie niedościgłym wzorem. Powinnam była więcej wymagać od Łukasza, wpoić mu zasady, które uczyniłyby go silniejszym i bardziej pewnym swoich zasad człowiekiem. Jak jednak mogłam to zrobić, skoro sama nie potrafiłam być taka? Powinnam była cię słuchać, gdy jeszcze jako dziecko i podrastająca dziewczyna chciałaś ze mną rozmawiać, ale właśnie wtedy musiałam walczyć o nasze przetrwanie i harować od rana do nocy. A potem już było za późno, potem mnie nie potrzebowałaś.

– Zawsze cię potrzebowałam, tylko nie chciałam ci tego okazać. Nie chciałam się przyznać, że się pomyliłam, a ty miałaś rację.

– Dlatego teraz chcę zrobić coś dla ciebie tak, jak trzeba.

Przez chwilę Anna miała nadzieję, że matka jeszcze coś powie. Niewiele brakowało, a sprowokowałyby ją do tego.

„A jak było z Joanną, mamó? Przecież miałaś jeszcze jedno dziecko. Na czym w tym przypadku polegał twój błąd?”

Nie ośmieliła się jednak zadać tych pytań na głos. A Hortensja Zawilska milczała.

ROZDZIAŁ 31

List od Anny leżał w stercie kilku innych, które wypadły ze skrzynki. Iza przerzuciła je niedbale. Rachunki, informacja od jednej z redakcji o przyjęciu jej artykułu, list od drugiej z propozycją przetłumaczenia tekstu. Na razie, mając głowę pełną uroków Prowansji i wspomnień z wycieczki do Carcassonne, nie miała jeszcze ochoty na zajmowanie się realiami codzienności. Dopiero list od Anny ją zainteresował. Przed otwarciem koperty Iza pomyślała nawet, że chętnie spotkałaby się z kuzynką twarzą w twarz. Nie widziały się już od kilku miesięcy i choć pisywały do siebie tak często, jak to było możliwe, to jednak żadne słowa na papierze nie mogły zastąpić prawdziwej rozmowy.

Nie miały na to szans w najbliższej przyszłości. Może kiedyś... Jednak nawet to nie było pewne.

Siedząc na balkonie, kończyła lekturę listu. Serce nie zabiło jej jak szalone, nie czuła też żadnych innych emocji. Jedynie spokój i wzruszenie. Chyba również ulgę.

Zadzwoił telefon. To z pewnością Maurice chciał się dowiedzieć, czy dotarła już do Paryża. Zawahała się, bo nie miała pewności, czy ma ochotę akurat w tej chwili na jakąkolwiek rozmowę, także z ojcem. Przede wszystkim z nim. Nie, bynajmniej nie czuła do niego pretensji ani żalu. Nie była tylko pewna, czy powiedzieć mu o wiadomości od Anny, czy dać już sobie z tym spokój. Przede wszystkim jednak chciała teraz побыć wyłącznie w towarzystwie własnych myśli i wspomnień. Odkurzyć te nieliczne, które pozostały w jej głowie, a dotyczyły kilkunastu miesięcy spędzonych z Joanną.

Telefon wreszcie zamilkł, ale Iza nie miała cienia wątpliwości, że wkrótce odezwie się ponownie. Nie mogła trzymać Maurice'a w niepewności. Znając go, wiedziała, że lada moment będzie snuł najgorsze wizje tego, co mogło jej się przytrafić w drodze z Marsylii do Paryża. Gdy zadzwoni po raz drugi, trzeba będzie podnieść słuchawkę. Ojciec nie spocznie, póki nie usłyszy jej głosu i zapewnienia, że już wróciła do domu i wszystko u niej w porządku.

Rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami po piętnastu minutach ponownie dobiegł ją z sypialni głośny sygnał aparatu. Podnosząc słuchawkę, wciąż jeszcze nie wiedziała, czy powiedzieć mu o liście od Anny, czy zachować tę informację dla siebie.

– No nareszcie. – W głosie ojca usłyszała ulgę tak ogromną, jakby co najmniej zakończyła szczęśliwie podróż z dżungli w Amazonii. – Dzwoniłem jakiś czas temu, ale nikt nie odbierał.

– Nic na to nie poradzę. Ja też musiałam mieć czas, by przyjechać z Prowansji – odparła z lekkim zniecierpliwieniem.

Czy Maurice zawsze będzie się o nią zamartwiał, jakby wciąż była małą

dziewczynką? Natychmiast zrozumiał przytyk.

– No, no, bez tych dąsów. Musiałem się upewnić. Podróżowanie pociągiem nie zawsze bywa bezpieczne.

„No jasne” – pomyślała kąśliwie. „Nawet nie chcę myśleć o tym, jak ojciec przeżywałby, gdybym podróżowała samochodem. Sama. Co innego, gdyby towarzyszył mi Michel”.

– Wszystko w porządku. Dojechałam. Nikt mnie nie zjadł po drodze, nie okradł i nie zgubiłam walizki – poinformowała z przekąsem.

– Dobrze, już dobrze. Dość tego sarkazmu jak na jeden wieczór. Wystarczy, że Beatrice także wygłosiła mi przed chwilą kazanie.

Iza nie była ciekawa, w jakiej sprawie ojciec ściał się z siostrą, wypadało jednak jakoś to skomentować.

– A co się stało? – spytała uprzejmie.

– Nic takiego. Różnica poglądów w pewnej kwestii. – Ton głosu Maurice’a także sugerował, że nie miał on ochoty wchodzić w szczegóły dyskusji z Beatrice. Tak jakby żałował, że w ogóle o niej wspomniał.

„No tak” – pomyślała Iza, z trudem powstrzymując głośnie ziewnięcie. „Pewnie znowu poszło o Rogera. Sto razy mówiłam ojcu, aby nie wtrącał się w te sprawy. To, jak ciotka wychowywała jedynaka, nie powinno go już obchodzić, tym bardziej że Roger gwizdże koncertowo na opinię rodziny na swój temat”.

Przyszywany cioteczny brat Izy był od lat jedyną zadrą w stosunkach między Maurice’em a jego siostrą. Seigner uważał, że Beatrice najpierw rozpuściła syna jak dziadowski bicz, a teraz zbiera tego owoce. Za każdym razem, gdy siostra użalała się na nieobecność syna i jego nikłe zainteresowanie losami rodziców, nie omieszkwał jej tego wypomnieć.

– Dobrze się czujesz? – spytał niespodziewanie Maurice, wybudzając córkę z zamyślenia. – Masz taki dziwny głos.

– Ja mam dziwny głos? – zdumiała się Iza.

A zresztą, może i tak było. Cały czas przecież ścisnęła w dłoni list od Anny.

– Czy coś się stało? – usłyszała i w tym momencie podjęła już decyzję.

Powie mu.

– Dostałam list z Polski.

– Tak? Jakieś złe wieści?

Dlaczego wydało jej się, że w głosie ojca usłyszała niepokój? Przecież Maurice nigdy nie poznał rodziny swojej żony. Z jego punktu widzenia ci ludzie byli zupełnie obcy, o ile wręcz nie podzielał niechęci Joanny do nich. Zatem – co go tak zaniepokoiło?

Pozbywając się resztek wątpliwości co do zasadności tego kroku, zapoznała ojca z informacją od kuzynki.

Potem w słuchawce zaległa głucha cisza, pełna jednak jakiegoś

niewytłumaczalnego, niemal wibrującego napięcia.

– Hej, jesteś tam jeszcze? – spytała wreszcie Iza.

– Co ci mam odpowiedzieć? – Usłyszała ciężkie westchnienie. – Widzę, że nie rezygnujesz. A już miałem nadzieję...

– Mylisz się. Powoli rezygnuję. Mam już prawie pewność, że nie jestem owocem kazirodczego związku.

– To dobrze, że wreszcie przekonał cię o tym list od kuzynki. Gorzej, że nie uwierzyłaś mnie.

– Gniewasz się?

– Nie – powiedział po chwili. – No, może trochę. Ale to już bez znaczenia. Najważniejsze, że przestałaś się wstydić i zadręczać durnymi podejrzeniami Solange i jej syna co do Maćka i twojej matki.

– Nie wstydziłam się tego ani się tym nie zadręczałam – odparła natychmiast i zabrzmiało to wyzywająco. – Chciałam tylko poznać prawdę.

Odpowiedziało jej milczenie. Doskonale potrafiła sobie wyobrazić, jak Maurice musiał być zszokowany jej słowami. Było jednak dokładnie tak, jak mu w przyływie szczerości wyznała, choć może lepiej było darować sobie właśnie tę szczerość i te słowa. Nie oburzała się ewentualnością, że jej matka zgrzeszyła z własnym bratem. Czy dlatego, że w głębi serca w to nie wierzyła? A może dlatego, że jako znawczyni literatury i biografii wielu ludzi na świecie wiedziała, że takie przypadki nie były czymś niespotykanym? Nie, żarty na bok. To ostatnie spostrzeżenie było nie na miejscu. Słusznie ktoś powiedział – życie to nie teatr. Tym bardziej że jednocześnie poczuła autentyczną ulgę, że podejrzenia, którymi zainfekowali ją Solange i Pierre, były nieprawdziwe.

Prawdy o swoim biologicznym ojcu nadal jednak nie znała.

– Nie martw się, nie będę cię już więcej tym zadręczać – powiedziała wobec tego. Zdawała sobie sprawę, że Maurice nie mógł jeszcze wydobyć głosu po jej skandalicznym z jego punktu widzenia oświadczeniu. – Rozumiem, że Joanna zobowiązała cię do tajemnicy. Ja przyjąłam do wiadomości to, co mi powiedziałaś w czasie wakacji – że ten człowiek już nie żyje. A teraz dowiedziałam się, że moja matka zdążyła się z nim przed laty spotkać. To nawet miłe, można rzec, romantyczne. Powiedz mi tylko, za co mu dziękowała? Co to znaczy, że dziękowała mu za mnie? Aż tak doceniała fakt, że urodziła nieślubne dziecko, skoro potem musiała jej oddać innym ludziom?

W słuchawce nadal panowała głucha cisza. Zrezygnowana Iza postanowiła zakończyć tę dziwną, może nawet coraz bardziej niesmaczną rozmowę. Szczerze pożałowała, że wspomniała ojcu o liście od Anny. W dodatku poczuła ogromne znużenie i przygnębienie.

– No dobrze – westchnęła. – Tego też mi nie powiesz. Trudno. W każdym razie dziękuję za telefon i pobyt w Prowansji. I za wycieczkę do Langwedocji.

Carcassonne było i jest wspaniałe. Cześć i do usłyszenia.

– To on cię odnalazł w sierocińcu w Bordeaux – usłyszała dosłownie w tym momencie, gdy już miała odłożyć słuchawkę.

W pierwszej chwili nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. Z trudem też rozpoznała jego głos. Swoją własną zresztą także, gdy spytała jednym tchem:

– Co takiego? Przecież to wuj Maciek trafił na mój ślad.

– Nie – wyszeptał Maurice. Pomimo szeptu tym razem pojęła każde jego słowo. I natychmiast mu uwierzyła. – To on zawiadomił Maćka, gdzie przebywa dziecko. A Maciek powiadomił o tym nas.

– Ale w jaki sposób... – Iza uświadomiła sobie, że także zaczęła szeptać.

Może dlatego Maurice nie dał jej dokończyć. Bo jej nie usłyszał. Dobiegł do niej jedynie dźwięk odkładanej słuchawki.

ROZDZIAŁ 32

Rok 1946

Była bardzo szczupła, miała drobną twarzyczkę, długie, ciemne, lekko falujące włosy i duże brązowe oczy. Od razu bym ją rozpoznała w gromadzie innych dzieci, nawet gdyby nikt mi jej nie wskazał. Od pierwszej chwili nie miałam najmniejszych wątpliwości, że to ona. Wcześniej na różne sposoby wyobrażałam sobie tę chwilę. Że podbiegnę do niej i porwę ją w ramiona. Obsypię pocałunkami, przytulę do serca, a potem będę jej opowiadać o mojej tęsknocie i o tych latach, gdy nadzieja przeplatała się z rozpaczą i zwątpieniem.

Jednak gdy wreszcie sen się ziścił i słowo stało się ciałem, stałam jak skamieniała. Nie mogłam się poruszyć i tylko w myślach zadawałam sobie pytanie, dlaczego wcześniej nie przewidziałam właśnie takiej mojej reakcji. Czemu wcześniej naiwnie sądziłam, że wszystko pójdzie jak z płatka? Z jakiego powodu nie brałam pod uwagę również takiej możliwości, że nie będę w stanie wykonać jakiegokolwiek gestu i – co najważniejsze – dlaczego nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że dla tego dziecka jestem kimś obcym, a wobec tego nie wolno mi porwać tej małej dziewczynki w ramiona i tulić jej do siebie? Ona z pewnością wcale sobie tego nie życzyła, niewykluczone, że nie pozwoliłaby mi na żadne czułości. Miałyby prawo potraktować je jak naruszenie swojej nietykalności.

Wobec tego jedynie stałam i nie odrywałam od niej wzroku. Reszta dziewczynek, z którymi wcześniej bawiła się w ogrodzie, obserwowała nas w milczeniu, ale i z zainteresowaniem. Nogi miałam jak z waty i musiałabym chyba usiąść na murawie, gdyby Maurice mnie nie podtrzymał.

– Isabelle, przywitaj się z rodzicami i wujem – zakomenderowała ubrana w szary uniform opiekunka i dziewczynka, bez słowa protestu, ale i bez szczególnego entuzjazmu, podeszła do nas, po czym grzecznie dygnęła.

– Jest trochę speszona sytuacją. – Opiekunka zwróciła się teraz bezpośrednio do nas. – Powiedzieliśmy jej o wszystkim. Wie, że odnaleźli się jej prawdziwi rodzice, ale to dla niej trudna sytuacja.

„Powiedzieliśmy jej o wszystkim”. „Jest trochę speszona”. „To dla niej trudna sytuacja”.

„Boże – pomyślałam – co ta kobieta mówi?” Trudna sytuacja? Dla tego dziecka to trzęsienie ziemi albo i koniec świata. W każdym razie jej świata. Wszystko, co do tej pory było jej znane, w co do tej pory wierzyła, runęło w gruzach. Okazało się uludą. Ludzie, którzy ją wychowywali od urodzenia, których uważała za rodziców i których stratę od roku oplakiwała, okazali się kimś zupełnie innym, niż zawsze sądziła. Nagle okazało się, że jej matką jest zupełnie

inna kobieta, która właśnie przyjechała w towarzystwie swojego męża, aby ją zabrać z sierocińca do swojego domu.

„Boże, przecież to dziecko przeżywa w tym momencie koszmar” – myślałam spanikowana. I pomyśleć, że całymi latami marzyłam o tym, że gdy ją odnajdę, po prostu zabiorę ze sobą. I tylko czasami przychodziło mi do głowy, że przecież gdyby żyli jeszcze tamci ludzie, jej przybrani rodzice, którzy w jej oczach i sercu byli matką i ojcem, nie zdobyłabym się na to. Maurice także, choć zawsze twierdził co innego. Nie miałabym prawa wtargnąć do świata tej dziewczynki, wszystkiego burzyć i na siłę budować coś, czego ona by z pewnością nie chciała. Mnie na pewno nie chciałaby znać.

Odnalezienie jej w sierocińcu w Bordeaux było cudem – co do tego nie miałam wątpliwości. Jednak realizacja marzeń nie byłaby możliwa, gdyby tamci ludzie nie zginęli w wypadku i nie osierocili córeczki. Przecież zawsze musiałam zdawać sobie z tego sprawę, a w dodatku nawet teraz wcale nie mogłam mieć pewności, czy to dziecko mnie zaakceptuje. Czy bez protestów pojedzie z nami do Lyonu? A nawet jeśli pojedzie, to być może jedynie dlatego, że nie dano jej wyboru. Że nikt jej nie zapytał o zdanie.

„Jestem dla niej obca” – myślałam ze smutkiem, a wszystkie te nie najweselsze refleksje miałam wypisane na twarzy. Z punktu widzenia dziecka nie mogło to wyglądać zachęcająco. Nawet ta „myszowata” opiekunka patrzyła na mnie sceptycznie.

Pierwszy odezwał się Maurice.

– Mam nadzieję, że zechcesz pojechać z nami do domu. – Przyklęknął przy dziewczynce i spojrzał ciepło w jej oczy. – Wiem, że trudno ci to wszystko pojąć, ale szukaliśmy cię od dawna i niczego innego teraz nie pragniemy, jak zabrać cię do Lyonu. Wszystko tam już czeka na twoje powitanie.

W jej oczach pojawił się wreszcie cień uśmiechu, a we mnie serce zamarło. Te jej oczy, ten uśmiech... Jak mogłam się łudzić, że to kiedykolwiek zapomnę – tamte oczy i tamten uśmiech. Były tak ludzaco podobne, wręcz identyczne. Na moment moje myśli poszybowały w przeszłość, co tak mnie rozproszyło, że kiedy przyszła kolej na mnie, by się odezwać, jedyne, co mogłam zrobić, to przejechać delikatnie palcami po włosach mojego dziecka. Zrobiłam to jednak tak delikatnie i niepewnie, że prawdopodobnie nie poczuło tej pieśczoły.

– Isabelle – szepnęłam z trudem.

Dziewczynka przyjrzała mi się uważnie, przenikliwie, a ja na moment wróciłam wspomnieniami do tamtej chwili, gdy położna zapewniła mnie, że moja córeczka z pewnością wie, że przy niej jestem. Choć jeszcze nie była w stanie mnie zobaczyć.

– Zmienisz mi moje imię? – usłyszałam.

W jednej sekundzie zniknęło wspomnienie noworodka, którego przez kilka

minut trzymałam w ramionach. Pytanie, które przed chwilą padło, zadała mi ośmioletnia już dziewczynka, patrząca na mnie z niepokojem.

– Nie mam takiego zamiaru – zapewniłam ją drżącym z emocji i zdenerwowania głosem. Uświadomiłam sobie, że nie wiem, jak z nią rozmawiać, jak okazać jej swoją miłość, ciepło. – Jeśli twoje imię ci się podoba...

– Podoba mi się – odparła i zmrużyła oczy w taki sposób, że momentalnie zakręciło mi się w głowie. – Moja mama wymyśliła mi takie imię.

– Isabelle, bądź grzeczna – upomniła ją opiekunka. – Przecież ja i siostra Bernadette mówiłyśmy ci, że teraz pani Seigner będzie twoją matką.

„Teraz będzie? Zawsze nią byłam” – oburzyłam się, ale nie powiedziałam tego na głos. Wciąż nie mogłam oderwać spojrzenia od dużych brązowych oczu, które w momencie, gdy się mrużyły i ciskały iskierki buntu, przypominały mi...

– A ja jestem twoim wujem – odezwał się wesolo Maciek i ten jego wesoly ton rozluźnił nieco atmosferę. Zrobił to w samą porę. Nie wątpiłam wtedy i nadal nie wątpię, że wtrącił się do rozmowy, aby mi pomóc. Mrugnął porozumiewawczo do małej i dodał: – Jestem tu już po raz drugi. Widziałem cię poprzednim razem, ale nie przedstawiono nas sobie. Rozmawiałem wtedy z siostrą Bernadette i z wychowawczynią twojej grupy, a ty bawiłaś się z koleżankami.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki buntownicze iskierki zniknęły z oczu małej, a zamiast nich pojawił się ciepły uśmiech. We mnie ponownie zamarło serce. Jednak to prawda, że przeszłość i związani z nią ludzie nie pozwalają o sobie zapomnieć.

– Widziałam cię wtedy – odezwała się z triumfem Iza, wprawiając nas, dorosłych, w najwyższe zdumienie. – Paulette i Yvonne też cię zobaczyły. Był z tobą jeszcze jeden pan.

Żadne z nas już tego nie skomentowało. Ponieważ niezbędne, wstępne formalności były już załatwione, a większość spraw wcześniej omówiona, wieczorem wróciliśmy do Lyonu w towarzystwie Isabelle. W ciągu kilku godzin pozbyła się skrępowania w stosunku do Maurice'a i Maćka. Oczywiście nie zachowywała się jeszcze zupełnie swobodnie i nikt z nas tego od niej nie wymagał, niemniej nie unikała rozmowy z obu mężczyznami i widać było, że ich polubiła. Mnie wyraźnie ignorowała.

– Ty jesteś dla niej największym wyzwaniem i zagadką – pocieszał mnie Maurice, a w każdym razie miał taki zamiar. – Chyba nie przypuszczałaś, że wszystko pójdzie jak z płatka.

– Miałam taką nadzieję – odcięłam się.

– Spójrz na to z innej strony – próbował żartować Maciek. – Mała ma twój charakter, wypisz wymaluj. W jej wieku zachowywałaś się podobnie, zwłaszcza wobec matki.

Ostatnie zdanie zabrzmiało już całkiem serio.

Zastanowiły mnie jego słowa, choć ich nie skomentowałam. Jednak po raz pierwszy od lat pomyślałam o matce, a bodaj po raz pierwszy w życiu przyszło mi do głowy, że w niektórych sprawach mogłabym postarać się ją zrozumieć. Może na swój nieporadny sposób próbowała do mnie dotrzeć, a ja, nie umiejąc się odnaleźć w trudnych relacjach między moimi rodzicami, instynktownie Ignęłam do ojca, bo był wyraźnie dominującą stroną w ich małżeństwie i to on decydował o różnych sprawach w majątku? A do tego był bohaterem wojennym, podziwianym przez wszystkich (no, może prawie wszystkich) wokół.

Przypomniałam sobie, jak często moja matka patrzyła na mnie bezradnie, prawdopodobnie nie wiedząc, jakich słów użyć, abym wreszcie zaczęła jej słuchać. A czy ja sama nie sprawiłam na mojej córce równie żalostnego wrażenia jak moja matka na mnie, gdy nie byłam w stanie wydusić do niej nawet kilku sensownych słów powitania? Przecież podobno pierwsze wrażenie jest decydujące, a Isabelle zobaczyła mnie wtedy w zasadzie po raz pierwszy.

Moja matka zawiodła na całej linii, jeśli chodziło o nasze wzajemne relacje. Obym ja nie powtórzyła teraz jej losu.

Byłam wprawdzie w innej sytuacji niż ona. Ja odzyskałam moje dziecko dopiero po ośmiu latach, podczas gdy ona miała mnie przy sobie przez cały okres mojego dzieciństwa i wczesnego okresu dorastania.

Czy jednak naprawdę żyłam blisko niej? Czy w gruncie rzeczy nie znajdowałam się równie daleko od niej jak moja córka ode mnie, choć pozornie wyglądało to inaczej?

Postanowiłam, że będę walczyć o miłość mojej małej Isabelle, ale zrobię to inaczej, niż próbowała to robić Hortensja Zawilska primo voto Boguszezowska. Cierpliwie i konsekwentnie. Nie będę się narzucać, chociaż postaram się, aby moje dziecko wiedziało, że jestem na tyle blisko, by je usłyszeć, gdy będzie potrzebowało mojego wsparcia. Gdy zapragnie mi wreszcie coś ważnego powiedzieć.

Może – o ile moja taktyka przyniesie owoce – w pewnym momencie będzie już gotowa, aby mnie wysłuchać. Może mnie zrozumie. A może będę musiała uzbroić się w cierpliwość i poczekać na to jeszcze kilka lat. Na wszelki wypadek zapisuję sobie to, aby w przyszłości było mi łatwiej zebrać myśli i opowiedzieć jej o wszystkim. Naprawdę tak zrobię. Te zapiski to tylko zarys prawdziwego wyznania, niczym notatki Maurice'a przed ważnym wykładem na uczelni. Może to nie najlepsze porównanie, ale właśnie takie przychodzi mi do głowy.

Pewnego dnia moja Iza skończy osiemnaście lat, tyle, ile ja miałam wtedy, gdy moje życie stanęło na głowie i dowiedziałam się o jej istnieniu. Zapytam ją wówczas, czy potrafi sobie wyobrazić siebie na moim miejscu wtedy, w latach trzydziestych. A jeśli tak, to czy byłaby w stanie mi wybaczyć, że dopuściłam do naszego rozstania na tyle lat. Czasem jednak dochodzę do wniosku, że nie postawię jej takich pytań, bo są głupie i w pewnym sensie prowokujące. A poza tym nie

chciałabym, aby porównywała się ze mną, aby stawiała się w mojej sytuacji.

Tak czy owak, na razie jest jeszcze dzieckiem. Mieszka z nami od trzech miesięcy i wygląda na to, że dobrze się czuje w Lyonie. Dzięki niej ja również przyzwyczajam się do tego miasta, do którego zgodziłam się przeprowadzić tylko ze względu na mojego męża. Wciąż tęsknię za Paryżem, ale dziecko wypełnia mi czas, więc nie mam go zbyt wiele na wspomnianie ukochanych miejsc. Isabelle polubiła także swoją szkołę – znajdującą się blisko domu, jak sugerował kiedyś żartobliwie Maciek – i zaprzyjaźniła się z kilkoma dziewczynkami. Uwielbia też Maurice'a, a fakt, że nigdy nie próbowaliśmy jej wmawiać, że jest on jej prawdziwym ojcem, nie ma chyba dla niej znaczenia. Wręcz przeciwnie – czasem mam wrażenie, że paradoksalnie to wszystko ułatwia. Nie było sensu oszukiwać ją w tej sprawie – prędzej czy później by się zorientowała – ponieważ i tak nazywa go tatą. Czasem zwróci się do niego po imieniu, ale nie ulega wątpliwości, że akceptuje go w roli ojca, choćby przybranego.

Ze mną sprawa wygląda poważniej. Maurice miał rację. Ja stanowię dla niej wyzwanie. Nikt nie pozostawia jej złudzeń. Isabelle wie, że jestem jej biologiczną matką, do której wróciła po ośmiu latach. Patrząc na relacje, jakie ją łączą z Maurice'em, nie mam cienia wątpliwości, że i mnie byłoby łatwiej, gdybym jedynie zastępowała jej kobietę, która zginęła w wypadku pod Bordeaux. To ją Isabelle wspomina jako matkę. Do mnie przez pierwszy miesiąc starała się zwracać jak najrzadziej, od kilku tygodni jest już chyba pogodzona z moją obecnością w jej życiu, ale mówi mi po imieniu.

Maurice zapewnia, że to się zmieni, tylko muszę być cierpliwa i nie tracić wiary. Nie mam powodu, aby mu nie wierzyć. Przecież nie kto inny, jak on zapewniał mnie niegdyś, i to wbrew wszelkiemu rozsądkowi, że odzyskam moje dziecko. Na zdrowy rozum nie mogło się to udać, niemniej – stał się cud. Od tej pory wierzę, że cokolwiek on powie – musi się tak stać.

– Najważniejsze, że ona już jest z nami – powiedział mi niedawno. – Wszystkie inne przeszkody są niczym wobec tego faktu.

Ma rację.

Maciek nie odwiedza nas tak często jak kiedyś. Podejrzewam, że z powodu Solange, ale to są ich sprawy. Mnie nic do tego. W pewnym sensie, jak już kiedyś pisałam, rozumiem ją. Chciałabym go częściej widywać, ale to ona ma do niego większe prawa. Ostatnio wspomniał mi w liście, że zastanawia się nad ewentualnością powrotu do Polski. Zawsze był fantastą i romantykiem, ale mam nadzieję, że zejdzie na ziemię i zrozumie absurdalność tego pomysłu. Nie powinien wracać do kraju opanowanego przez komunistów rządzących tam z nadania Kremla. Słowa Churchilla o żelaznej kurtynie należy potraktować poważnie, choć z drugiej strony trochę szkoda, że były brytyjski premier zaczął pozwalać sobie na takie sformułowania wobec Stalina dopiero teraz, gdy klamka już zapadła. Liczę też

na to, że w ostateczności Solange storpeduje szalone pomysły męża. Maciek mimo wszystko nie ignoruje jej zdania.

Ostatnio nie najlepiej się też czuję, i to w znaczeniu jak najbardziej dosłownym. Zawsze byłam szczupła, ale wygląda na to, że schudłam jeszcze bardziej, i nie przypuszczam, aby powodem tego stanu była opieka nad Isabelle i jej stosunek do mnie. W przeszłości przecież przeżywałam bez porównania większe rozterki i stres, a nie wyglądałam tak mizernie jak w ostatnich tygodniach. W dodatku mam mniej sił, wszystko mnie męczy, choć zawsze lubiłam prace domowe. Już kilka razy zakręciło mi się w głowie, że dwa razy miało to miejsce na ulicy. Z trudem dotarłam do najbliższej ławki. Jakby tego było mało, czasem brakuje mi tchu, nie mogę wtedy nabrać powietrza.

Maurice powtarza, że powinnam wreszcie pójść do lekarza, ale coś mnie przed tym powstrzymuje. Zaraz staje mi w pamięci diagnoza lekarska, którą otrzymał przed laty mój ojciec. Może to głupie, ale gdy tylko myślę o lekarzu, zaraz przypomina się tamto. Na razie wolę myśleć o nadchodzących wakacjach. Pojedziemy oczywiście do Prowansji. Kocham to miejsce i już cieszę się na myśl, że Isabelle będzie tam przebywać na świeżym powietrzu od rana do nocy. Może zaprzyjaźni się też z Rogerem – synem Motinów. Maurice wprawdzie twierdzi, że siostrzeniec działa mu na nerwy, a metody wychowawcze jego siostry doprowadzają go do białej gorączki, ale moim zdaniem przesadza. Beatrice ma co prawda tendencje do zagłaskiwania kota na śmierć i zapewne trochę rozpieszcza małego, ale należy pamiętać, że straciła już jedno dziecko. Ja w każdym razie ją rozumiem, a poza tym ten mały Roger ma w sobie coś ujmującego. Jest na swój sposób uroczy i zabawny.

Jedziemy zatem do Aix-en-Provence. Beatrice zapewne będzie próbowała wejść mi na głowę, ale poradzę sobie z tym. Poza tym jest naprawdę kochana i bezinteresowna, a w dodatku szczerze uszczęśliwiona faktem, że odzyskałam moją dziewczynkę.

Jednym słowem – wierzę, że najgorsze już za nami, a wszystko inne się ułoży.

„Jak to się stało, że nigdy dotąd nie przeczytałam uważnie tego właśnie fragmentu, a zaledwie rzuciłam nań okiem?” – myślała Iza, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Ile istotnych wskazówek zawartych w zapiskach matki potraktowała nieuważnie lub obojętnie? Dlaczego tak późno zaczęła szukać jakiegokolwiek informacji o biologicznym ojcu? Czy dlatego, że wystarczała jej pamięć o człowieku, którego przez pierwszych osiem lat życia uważała za ojca, a który zginął w wypadku pod Bordeaux? Owszem, nadal dobrze go wspominała, ale przecież w końcu przyjęła do wiadomości prawdę, a poza tym zaakceptowała potem Maurice'a w tej roli. I pokochała go na tyle, że nie potrzebowała innego ojca ani żadnej wiedzy na temat człowieka, który faktycznie dał jej życie.

Dlaczego zatem w pewnym momencie, a właściwie stosunkowo niedawno zaczął jej o sobie przypominać? Domagać się jej uwagi i zainteresowania? Przecież jeśli wierzyć słowom Maurice'a – a nie miała powodu, by w nie wątpić – było to wołanie z za grobu.

Właściwie od kwietnia, to znaczy odkąd podjęła decyzję o odwiedzeniu Polski, ta sprawa nie dawała jej spokoju. A fakt, że tamtego nie było już wśród żywych, nie miał tu żadnego znaczenia.

Anna, wskutek niezwykłego zbiegu okoliczności, zdobyła list Joanny. Siostra donosiła Maćkowi o spotkaniu z mężczyzną, któremu „chciała podziękować za dziecko” i któremu chciała pokazać Izę, lecz on jej odpowiedział, że widział już dziewczynkę, więc nie chce wywoływać dodatkowego zamętu w jej głowie. Potem Maurice zdecydował się wyznać, że to właśnie tamten tajemniczy człowiek, a nie wuj Maciek – jak Iza wierzyła przez całe dotychczasowe życie – dowiedział się o wypadku jej przybranych rodziców i jej pobycie w sierocińcu. On ją odnalazł. Mało tego – jak wskazywał dopiero co przeczytany fragment – ten mężczyzna widział ją w sierocińcu i, co najistotniejsze, ona także go tam zobaczyła, choć zapewne trwało to krótko, przelotnie, dlatego po latach, w zmienionych warunkach, zapomniała o tym epizodzie. Teraz wyęczała pamięć, by przypomnieć sobie człowieka, który w towarzystwie Maćka Boguszewskiego rozmawiał z przełożoną sierocińca, ale patrzył na nią – na małą dziewczynkę, którą odnalazł, aby zapewnić jej opiekę matki. I spełnić wielkie pragnienie Joanny. A przy okazji spróbować je obie uszczęśliwić.

Nie był zatem człowiekiem pozbawionym sumienia, uczuć, honoru. Kimkolwiek natomiast był – pragnął wynagrodzić Joannie to, przez co kiedyś przeszła. I zależało mu na dziecku, któremu dał przed laty życie.

– Kim byłeś? – szepnęła Iza, patrząc w niebo, tak jakby stamtąd oczekiwała odpowiedzi. – Skoro nie pozwalasz mi już, abym wyrzuciła cię z moich myśli, to mi pomóż. Pozwól, abym trafiła na twój ślad... tak jak ty przed laty trafiłeś na mój.

ROZDZIAŁ 33

Anna wróciła ze spotkania z mecenasem Waligórskim, ojcem jej bratowej, który, zgodnie z tym, co zapowiedział Łukasz, potwierdził, że jest gotów służyć pomocą prawną, gdyby zdecydowała się na rozwód. Zaraz po powrocie z Zakopanego zaczęła pakować rzeczy swoje i dzieci. Nie było sensu zwlekać, należało wykorzystać fakt, że Marcin w dalszym ciągu przebywał poza domem. W jego obecności przeprowadzka byłaby znacznie utrudniona, choć Anna, tak czy inaczej, była zdeterminowana uczynić ten krok. Podtrzymywali ją w tym zamiarze wszyscy – od jej matki, brata i bratowej poczynając, na Zosi kończąc. Miała wsparcie przyjaciółki Wandy, a nawet sąsiadek z klatki schodowej, które, jak się domyślała, były nie najgorzej zorientowane w domowej rzeczywistości Brzeskich. Teść jak zwykle nie skomentował jej decyzji ani słowem i nie dał po sobie poznać, co naprawdę o tym wszystkim myśli. Teściowa, zgodnie z przewidywaniami, wpadła w bezdenną rozpacz, ale jej łzy i lamentsy nie robiły już na Annie takiego wrażenia jak dawniej.

– Ale jak to tak? Rozbijasz rodzinę, w dodatku pod nieobecność Marcina? – desperowała starsza pani Brzeska. – Przecież to zwykła ucieczka.

– Trafność twojego rozumowania, mamó, zawsze mnie zdumiewała – odpowiedziała zamiast Anny Zosia. – Tak jest, zgadłaś.

Anna ucieka przed tym psychopatą, którego ty urodziłaś i wychowałaś. Nawet twoja siostra i reszta rodziny uważa, że Ania robi to, co należy. A należało się przeprowadzić już dawno temu. Natomiast ty, zamiast jęczeć i złorzeczyć, powinnaś jej w tym pomóc, choćby ten jeden raz.

– Jak to?! – oburzyła się Brzeska. – Nie pomagałam? Ile razy pomagałam przy dzieciach!

– Chyba żartujesz. Ania łaskawie, od czasu do czasu jedynie na to pozwalała, aby ci sprawić przyjemność.

– To nie powinno się odbywać za plecami Marcina.

– Z pewnością ty byś go chętnie o tym powiadomiła, gdyby nie prosty fakt, że, podobnie jak my wszyscy, nie masz zielonego pojęcia, gdzie obecnie przebywa twój kochany synuś. Ale mniejsza z tym, to już tylko twój problem.

Anna starała się trochę mitygować szwagierkę, ale Zosia była nieprzejednana i nawet się uparła, że dopóki bratowa nie zakończy przeprowadzki, zamieszka u niej i pomoże jej we wszystkim, a w razie czego będzie pod ręką, gdyby Marcin niespodziewanie pojawił się w domu. Anna była jej za to wdzięczna, czasami bowiem opuszczała ją odwaga na samą myśl o reakcji męża, gdyby ją zastał podczas pakowania rzeczy.

„Bądź wobec niego twarda” – powtarzała w myślach jak mantrę słowa Zosi. „Niech ten drań wie, z kim zadarł. Nie daj mu się zastraszyć. To on ma zacząć się

bać ciebie. Zresztą to nie będzie trudne, bo gruncie rzeczy jest zwykłym tchórzem”.

Zakłęcie to przypomniała sobie pospiesznie, gdy po zakończeniu sierpniowej rady pedagogicznej wychodziła ze szkoły w towarzystwie kilku koleżanek i zobaczyła za bramą czekającego na nią męża. Wiedziała oczywiście, że nadejdzie taka chwila, gdy stanie z nim oko w oko. Starła się do tego wcześniej przygotować. A jednak na jego widok zareagowała tak jak zawsze. Kolana się pod nią ugięły i oblał ją pot.

– Zostać z tobą? – spytała szeptem Irka.

Pozostałe koleżanki zawahały się, ale także przystały. Anna o niczym innym nie marzyła, jak tylko o tym, aby z nią zostały, ale się opanowała.

„Nie mogę bez końca zachowywać się w jego obecności jak przerażona mała dziewczynka. Jeśli teraz nie stawię mu czoła, to w przyszłości z pewnością sobie z nim nie poradzę”.

Grzecznie podziękowała koleżankom za ich gotowość do pomocy, zarazem jednak dała im do zrozumienia, że chce zostać z Marcinem sam na sam.

– Co ty, do cholery, wyrabiasz, ty skończona kretynko! – Marcin swoim zwyczajem nie ściszył głosu, choć pozostałe kobiety nie odeszły daleko i z pewnością go usłyszały.

Obejrzały się niepewnie, co Anna natychmiast wykorzystwała.

– Mów jeszcze głośniej. Z pewnością sobie tym pomożesz – oświadczyła z ironią w głosie.

Już nie czuła strachu. Zresztą tu, na ulicy, gdy mijali ich ludzie, czuła się stosunkowo bezpiecznie.

Natychmiast to zrozumiał, bo ściszył głos.

– A więc uciekłaś do mamusi?

– Zostawiłam ci wiadomość. Po co te pytania?

– Mam w dupie, gdzie się podziewasz, ale dzieci mają jeszcze dziś wrócić do mojego domu. Daję ci na to czas do siedemnastej. Potem...

– Potem z pewnością zrobisz ze mną porządek. – W głosie Anny znów pojawiła się niewielka ironia, co wywołało u Marcina furję.

– Uważaj – warknął – bo cię zniszczę, ty szmato.

Ty krowo, ty szmato, idiotko, kretynko. Nic się zmienił, nie zmieni się już nigdy. Najwyraźniej uznał wcześniej, że gdy po stosunkowo długiej nieobecności wróci do domu, nagnie swoją żonę do dawnej dyscypliny.

Nie było sensu z nim rozmawiać. Mijało się to z celem. Anna ruszyła przed siebie energicznym krokiem. Oczywiście dogonił ją i szarpnął za ramię, choć zaraz cofnął rękę, napotkawszy wzrok przechodzącego obok mężczyzny.

– Nie dasz sobie rady w sądzie, jak już się za ciebie wezmę – oświadczył.

– Zobaczymy.

– Grozisz mi?

– A po co tu przyszedłeś? – Zatrzymała się. – Jeśli jesteś w stanie sensownie rozmawiać, to ustalmy warunki i wszystko odbędzie się w miarę szybko i bezboleśnie. Jeśli zamierzasz napadać na mnie na ulicy, wrzeszczeć jakieś bezsensowne bzdury, obrażać mnie, w dodatku przy świadkach, to od tej pory będziesz rozmawiać nie ze mną, ale z milicją i moim adwokatem.

– O ho, ho! Pani na włościach się odezwała – zakpił. – A z czego ty niby wynajmiesz tego adwokata?

– To akurat nie twoja sprawa. I lepiej by było dla ciebie, gdybyś mnie nie sprowokował do bardziej stanowczych działań. I jeszcze jedno: dzieci nie mają zamiaru do ciebie wracać. Za dobrze pamiętają piekło, jakie urządzałeś w naszym – tak, w naszym – domu. Może, jeśli wyciszysz się choć trochę i dasz im teraz spokój, to za jakiś czas ci wybaczą i zechcą się z tobą zobaczyć. Ale nie nastąpi to prędko, tego możesz być pewien. A ja nie zamierzam ci w tej sprawie pomagać. I jeszcze jedno. – Patrzyła z triumfem, ale i goryczą na jego pobladałą, skamieniałą ze zdumienia twarz. – Nie strasz, że mnie zniszczysz. Prawie ci się to udało, więc nie musisz mi przypominać, na co cię stać. Inni też to wiedzą.

Zostawiła go zupełnie osłupiałego na środku ulicy Wawelskiej i siłą woli powstrzymywała się, by nie zacząć biec, nie ze strachu jednak. „A więc tak smakuje zwycięstwo” – myślała, choć zarazem musiała się upominać, że do ostatecznego triumfu droga może być jeszcze daleka i wyboista. Była jednak pewna, że sobie poradzi.

Zaczęła od tego, że jeszcze tego samego dnia umówiła się z adwokatem Waligórskim, a dwa dni potem wysłuchała jego porady prawnej. Rozkład pożycia, rozdzielność majątkowa, podział mienia, opieka nad małoletnimi dziećmi, obowiązek alimentacyjny... Niby to już kiedyś słyszała przy jakiejś okazji, ktoś jej o tym mówił, ale... wtedy nie dotyczyło to jej życia. Słowa mecenasa, terminologia, jaką się posługiwał, ponownie odebrały jej odwagę. Do mieszkania matki wracała przybita i zniechęcona wizją tego, co ją czeka w następnych miesiącach, a może i latach. Znowu też pojawiło się zwątpienie.

„Czy sobie poradzę? Tak, wiem, że nie jestem sama. Mam zagwarantowaną pomoc we wszelkich obszarach życia, ale... Czy mimo wszystko dam radę przez to przejść?”

Hortensji nie było w domu. Razem z Kasią i Krzysiem poszła na spacer do pobliskich Łazienek. Anna na moment się przeraziła, czy aby na pewno jej matka i dzieci są teraz bezpieczne. Czy nie grozi im nic ze strony Marcina.

„Nie ośmieli się. To w gruncie rzeczy zwykły tchórz” – powtórzyła sobie w myślach. Niewiele to pomogło w zwalczeniu przygnębienia i niepokoju, ale przynajmniej zaczęła układać sobie w głowie plan działania na najbliższe dni.

Napisze i złoży pozew o rozwód. Nie ma sensu z tym zwlekać. Mało prawdopodobne, by Marcin zdążył już wystąpić z podobnym wnioskiem,

w każdym razie nie miała możliwości spytać go o to. Jakakolwiek rozmowa, choćby w celu ustalenia warunków rozvodu za porozumieniem stron, była niemożliwa. Miała przecież okazję się o tym przekonać dwa dni temu, gdy czekał na nią obok szkoły. Potrzebne będą zeznania świadków, ale w sensie formalnym nie powinno być z tym kłopotów. Potencjalni świadkowie byli gotowi jej pomóc. W sensie emocjonalnym czeka ich wszystkich jednak wojna nerwów.

„Gdyby już było po wszystkim...” – rozmarzyła się i rozejrzała po mieszkaniu.

Przez ostatni tydzień, to jest odkąd tu zamieszkała, nadspodziewanie dobrze dogadywała się z matką. Obie bardzo uważały na to, co mówiły i robiły. Anna z dziećmi zajęła większy pokój, a zarówno Kasia, jak i Krzyś zdawali się akceptować zmienione warunki życia. Zmienione warunki? Co za trywialne określenie! Dla nich to była prawdziwa rewolucja, ale oboje znosili to z zadziwiającym spokojem. Nie tryskali może humorem, ale to akurat rzadko im się zdarzało w ich dotychczasowym życiu. Z drugiej strony zachowywali się tak, jakby się umówili, że nie będą przysparzać matce dodatkowych kłopotów.

Anna jednak nie potrafiła pozbyć się uczucia pewnej nierealności. Znała mieszkanie matki, spędziła tu przecież ponad dziesięć lat życia, a mimo to teraz, gdy znów tutaj zamieszkała, nie do końca miała poczucie, że jest u siebie. W dalszym ciągu nie była panią swojego losu. Wróciła pod skrzydła matki, bo jej małżeństwo legło w gruzach. Bo przegrała.

„Dość tego, bo zaraz znowu zacznę się mazać”. Czym prędzej zebrała rozbiegane myśli i poderwała się z tapczanu. Trzeba wykorzystać fakt, że była sama w mieszkaniu. To nie zdarzało się często, a zamierzała odszukać swój akt ślubu. Będzie potrzebny do złożenia pozwu, a pakując rzeczy do przeprowadzki, nie zdołała go nigdzie znaleźć. Jeden z odpisów dokumentu mógł być u matki. Świadkiem podczas ceremonii była przyjaciółka Anny, Wanda, która zostawiła go w mieszkaniu Zawilskiej. Nawet żartowała, że nikt nigdy nie powinien powierzać jej żadnego urzędowego papierka. Co jakiś czas gubiła swoje legitymacje, książeczkę ubezpieczeniową i dwa razy wyrabiała nowy dowód osobisty.

– Jeden z odpisów powinien zostać u pani, pani Hortensjo – śmiała się Wanda. – U matki zawsze najbezpieczniej. Ja, gdy tylko potrzebuję jakiegoś swojego urzędowego świstka, natychmiast maszeruję do mojej mamy. Inaczej bym zginęła albo dawno by mnie zamknęli. A przecież nigdy nie wiadomo, kiedy taki papier się przyda.

„No i wykrakała” – stwierdziła ponuro Anna, wybudzając się z tamtych wspomnień. Gdzie matka chowała ważne papiery?

Przetrasnęła po kolei wszystkie półki regału, następnie biblioteczkę w mniejszym pokoju, przejrzała nawet szafki kuchenne i znalazła całe mnóstwo urzędowych papierów, tudzież rachunków za czynsz, światło i gaz, lecz

świadectwa swojego ślubu nie znalazła nigdzie.

„Trudno – pomyślała z rezygnacją – trzeba będzie udać się do urzędu dzielnicowego i wystać w kolejce kopię dokumentu”.

I właśnie w tym momencie jej wzrok zatrzymał się na starej szafie w przedpokoju. Mało prawdopodobne, by właśnie tam znalazła to, czego szukała, ale ostatecznie – co miała do stracenia? W dolnej części szafy znajdowały się jedynie płaszcze i kilka sukienek na wieszakach. Tam z pewnością matka nie przechowywałaby żadnych ważnych dokumentów. Ewentualność, że cokolwiek takiego może znajdować się na górnych półkach, także była niewielka, niemniej Anna postanowiła tam zajrzeć.

Przystawiła taboret i nauczona smutnym doświadczeniem tego, co spotkało ją podczas przeszukiwania pawlacza w swoim poprzednim miejscu zamieszkania, ostrożnie uchyliła drzwiczki. Ostrożność jednak była nie na miejscu, bowiem we wszystkich szafach i szufladach matki panował wzorowy porządek. Żadnych niepotrzebnych śmieci i rupieci. Dzięki temu zaraz rzuciło jej się w oczy znajdujące się na górnej półce tekturowe pudełko po butach. Nigdy później nie umiała sobie odpowiedzieć na pytanie, czemu akurat ono tak ją zaintrygowało. Czemu niemal od razu wiedziała, że znajdzie tam to, czego szukała. Czy już wtedy, gdy wyjmowała karton z szafy i razem z nim zeskakiwała z taboretu, miała przecucie, że oprócz poszukiwanego dokumentu znajdzie tam coś jeszcze – coś, czego na zdrowy rozum zupełnie nie powinna się spodziewać?

W środku znajdowała się stara i zniszczona już tekturowa teczka, niedbale przewiązana tasiemką. Zupełnie niepasująca do Hortensji, która zawsze dbała, by najmniej znaczący drobiazg w jej domu wyglądał przyzwoicie.

Anna rozwiązała tasiemkę i oto jej oczom ukazały się dokumenty ojca: jego szkolne świadectwa z maturalnym na czele, stara książeczka wojskowa, jakieś zaświadczenia, rachunki, wreszcie fotografie.

„Dlaczego ja ich nigdy nie wiedziałam?” – zastanawiała się Anna, patrząc na niestarannie wciśnięte na dno teczki zdjęcia. Dwoje starszych ludzi na jednym z nich to być może dziadkowie ojca. Dwoje trochę młodszych – to zapewne jego rodzice. Poza tym fotografia dwojga roześmianych dziewcząt – podpis z dedykacją umieszczony na odwrocie nic Annie nie mówił. Czyżby to były koleżanki ojca ze szkoły? A może kuzynki, których nigdy nie poznała?

„Czemu tak mało wiedziałam o jego rodzinie? Nie zdążyłam nawet poznać moich dziadków”.

A potem pojawiła się nowa, zastanawiająca refleksja: „Z jakiego powodu matka wcisnęła te cenne przecież pamiątki na spód górnej półki starej szafy w przedpokoju? Jakby chciała je ukryć. Jeśli tak – to przed kim?”

„Przede mną?” – przemknęło Annie przez myśl, zanim zdążyła nie dopuścić do tak niepokojącego spostrzeżenia.

Jeśli Hortensja Zawilska chciała te rzeczy ukryć przed córką, to czemu po prostu ich nie wyrzuciła?

A może nie odważyła się pozbyć z domu tego typu pamiątek? Lecz właściwie dlaczego miałyby w ogóle je ukrywać?

„Zapytam ją. Dość tych niedomówień” – postanowiła Anna. Miała teraz wprawdzie poważniejsze sprawy na głowie, ale nie zaszkodzi zapytać o stare dokumenty ojca i te zdjęcia.

I wtedy jej wzrok padł na fotografię, której początkowo nie zauważyła. Zapewne dlatego, że była pierwotnie wsadzona w szarą kopertę, z której wysunęła się do połowy dopiero wówczas, gdy Anna układała resztę zdjęć. Fotografia przedstawiała małą dziewczynkę, w wieku co najwyżej dziesięciu lat, prawdopodobnie jednak młodszą.

„Przecież to ja” – pomyślała w pierwszej chwili zdumiona Anna. „Na litość boską, co tu robi moje zdjęcie? Najwidoczniej trafiło tu przez pomyłkę”.

Ale już po chwili, gdy uważniej przyjrzała się dziecku, wiedziała, że pierwsze wrażenie okazało się błędnym. W twarzy, spojrzeniu, nawet półuśmiechu dziewczynki było coś, co przypominało małą Anię Zawilską, z pewnością jednak nie było to łudzące podobieństwo. Ta mała miała długie, gęste, wijące się ciemne włosy. Anna o tak pięknych włosach mogła jedynie pomarzyć. Gdy była dzieckiem, jej cienkie i proste jak druty kosmyki były związane w mizerny mysi ogonek. Jeden z fryzjerów odważył się wprawdzie ściąć jej włosy na tak zwanego pazia, ale efekt tego eksperymentu także pozostawiał wiele do życzenia. Nie tylko zresztą fryzura wykluczała, by dzieckiem z fotografii była córka Hortensji Zawilskiej. Patrząca trochę niepewnie w obiektyw dziewczynka miała zdecydowanie delikatniej zarysowany owal twarzy i prosty nos. Zmorą Anny w tamtych czasach była pociągła, chuda buzia z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Przy tych wszystkich różnicach postać ze zdjęcia wyglądała dość swojsko i znajomo, a dopiero po chwili Anna spojrzała na odwrotną stronę.

Paris 1947

I nagle wszystko stało się jasne. To była mała Iza Seigner. Co do tego Anna nie miała wątpliwości.

Poza tym nic już nie było jasne. Co zdjęcie małej Izy robiło w tym miejscu i w ogóle w tym mieszkaniu? W mieszkaniu jej babki? Wśród starych dokumentów Michała Zawilskiego. Chyba że...

W tym momencie serce Anny załomotało z radości i wzruszenia. Nie dane jej było jednak dłużej kontemplować tej myśli, bo usłyszała chrobot klucza, po czym drzwi się otworzyły i do mieszkania weszła Hortensja z wnukami.

– Już wróciłaś? – spytała, przypatrując się uważnie twarzy córki. Najwyraźniej coś ją zastanowiło i zaniepokoiło. – Nie spotkałaś się z mecenasem?

– Spotkałam się z nim – odparła Anna z roztargnieniem.

– Coś nie w porządku?

Anna wskazała jej wzrokiem dzieci, które w tej samej chwili podbiegły do matki i zarzuciły jej ręce na szyję.

– Widzieliśmy bardzo dużo wiewiórek – oznajmił Krzyś, któremu aż śmiały się oczy. – Wcale się nas nie bały. Chyba szykują już zapasy na zimę.

– Cały czas ci tłumaczę, że na to jeszcze za wcześnie – upomniała go Kasia.

– Powiedz mu, mamó, ciebie na pewno posłucha.

Anna roześmiała się. Widok pogodnych twarzątek dzieci, ich beztroska wymiana zdań po raz kolejny utwierdziły ją w przekonaniu, że decyzja o odejściu od Marcina była słuszna. W poprzednim mieszkaniu zarówno Kasia, jak i Krzyś często w ogóle bali się głośniej odezwać.

– Nie znam się na zwyczajach wiewiórek – odparła wesoło.

– W Bolesławicach nie było wiewiórek w parku? – zainteresowała się Kasia.

– Pewnie były, ale ja nie zwracałam na nie uwagi. A potem, jako mała dziewczynka, musiałam opuścić tamten dom i park, przecież wiecie. No dobrze, teraz idźcie pobawić się w drugim pokoju, a ja przygotuję kolację i porozmawiam z babcią.

Jak zwykle bez dyskusji spełniły jej życzenie. Hortensja, która przez cały czas nie spuszczała oczu z twarzy córki, natychmiast wykorzystała okazję, że zostały same, by powtórzyć pytanie:

– Czy coś się stało?

– Stało się. Wyprowadziłam się z dziećmi od Marcina. Czy to mało? – odpowiedziała cierpko Anna.

Nic nie mogła poradzić na to, że w dalszym ciągu niektóre pytania matki wywoływały w niej chęć do ciętej riposty.

Zawilska nie dała jednak za wygraną.

– Nie kręć. Widzę, że coś jest nie w porządku. Co ci powiedział Waligórski?

– Zapowiada się wojna, do której muszę się dobrze przygotować. Ale tego już się sama domyślałam.

– Czy...

– Szukałam odpisu aktu małżeństwa – przerwała Anna. – I wyobraź sobie, że przy okazji znalazłam to.

Bez żadnych zbędnych ceregieli pokazała matce trzymaną w dłoni fotografię.

Hortensja nie zdołała zapanować nad wzburzeniem i widocznym zaskoczeniem. Poczerwieniała na twarzy, zacisnęła wargi i dłonie. Potem wyciągnęła rękę.

– Gdzie to znalazłaś? – spytała zduszonym głosem.

– Tam, gdzie to włożyłaś, mamó. W dodatku w towarzystwie różnych drobiazgów taty. W starej szafie, w pudełku po butach. Trochę dziwne miejsce na takie pamiątki, ale widocznie ty jesteś innego zdania.

– Przeszukujesz mieszkanie?

– Powtarzam, że szukałam odpisu aktu mojego małżeństwa. Wiem, że jeden został w tym mieszkaniu – odparła oschle Anna. Słowa matki o przeszukiwaniu mieszkania zabrzmiały w jej uszach nieprzyjemnie – jak poważne oskarżenie.

– I w tym celu przeszukiwałaś szafę w przedpokoju?

– Naprawdę sugerujesz, że niczym smarkula albo jakaś szachrajka myszkowałam po twoim domu? – To także zabrzmiało nieprzyjemnie.

Hortensja opuściła ramiona i z rezygnacją opadła na fotel. Ukryła twarz w dłoniach.

Anna natychmiast poczuła coś na kształt wyrzutów sumienia, podeszła do matki i przy niej przyklęła.

– Przepraszam – powiedziała znacznie już łagodniejszym tonem. – Nie chciałam być dla ciebie niemila. Poza tym naprawdę nie przypuszczałam, że szukając urzędowego dokumentu, niechcący znajdę to zdjęcie.

Hortensja nie odpowiedziała. Nawet się nie poruszyła.

– W dodatku w takim miejscu – kontynuowała wobec tego Anna. – Dlaczego nie trzymałaś go w swoim albumie? – Delikatnie dotknęła ramienia matki. – Nie chciałaś, abym zobaczyła fotografię Izy? Abym przed laty dowiedziała się o jej istnieniu? Dlaczego, mamó?

Ponownie odpowiedziało jej milczenie.

– Ty jednak o niej wiedziałaś. Wiedziałaś, że masz jeszcze jedną wnuczkę, zanim ona tu przyjechała. Skąd miałaś jej zdjęcie? Joanna ci przysłała? Próbowала się z tobą porozumieć jeszcze przed śmiercią? Przecież niedługo potem zmarła. Chciała, abyś poznała jej córkę, choćby na fotografii. Tak było?

Przez dwie, trzy minuty w pokoju słychać było jedynie tykanie starego zegara w kącie i głosy dzieci z pomieszczenia w drugim końcu korytarza.

Anna z westchnieniem podźwignęła się z kolan i z rezygnacją patrzyła na milczącą, nieruchomą postać matki.

– Jeśli nie chcesz mi nic na ten temat powiedzieć, to trudno. Nie mogę cię zmusić do mówienia. Ale wiesz co? Napiszę o tym Izie. Napiszę, że od lat masz w domu jej fotografię, którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przysłała ci Joanna. Oszczędzę jej tylko rewelacji, gdzie trzymałaś to zdjęcie. Mogłaby nie zrozumieć, podobnie zresztą jak ja. Poza tym na pewno się ucieszy, że babka wiedziała o jej istnieniu. Może pomyśli, tak jak ja, że obie z Joanną byłyście na dobrej drodze do pojednania, ale najprawdopodobniej jej śmierć stanęła temu na przeszkodzie. Bez wątplenia będzie to dla niej pewną pociechą. Nawet jeśli,

podobnie jak ja, będzie się zastanawiała, czemu później nie nawiązałaś kontaktu z Maurice'em. I dlaczego byłaś dla niej taka chłodna, gdy wreszcie zapragnęła osobiście cię poznać.

Wychodziła już prawie z pokoju, gdy usłyszała cichy, stłumiony głos Hortensji:

– Proszę cię, nie rób tego. Nie pisz jej o tym zdjęciu.

W oczach matki Anna zobaczyła strach i prośbę.

– Ale dlaczego, mamó? Dlaczego nie chcesz, aby Iza się o tym dowiedziała? Skoro Joanna przysłała ci jej fotografię...

– Joanna niczego mi nie przysyłała. Nie miałam z nią żadnego kontaktu.

– Więc skąd to masz? Od Maurice'a? – Anna usłyszała zwątpienie we własnym głosie. Sama nie wierzyła w taką ewentualność, zresztą Hortensja zaraz potrząsnęła przecząco głową.

– Nie pytaj o to. Tak będzie lepiej... dla ciebie... i dla niej. Dla wszystkich. Wierz mi.

– Co najwyżej tak będzie lepiej dla ciebie. Nie prosź mnie o to. – Anna ponownie skierowała się w stronę kuchni, ale słowa matki znowu zatrzymały ją w miejscu.

– Fotografia nie była przeznaczona dla mnie.

– Nie dla ciebie? A zatem dla kogo? I dlaczego znalazła się w twojej szafie?

– Od powrotu z Francji stale nosił to zdjęcie przy sobie.

– Kto? Twój pasierb, Maciek? – zdumiała się Anna, lecz zanim przeanalizowała taką możliwość, dotarła do niej cicha, lękliwa odpowiedź Hortensji:

– Nie. Twój ojciec.

ROZDZIAŁ 34

Zaparkowała niedaleko cmentarza i wolnym krokiem przestąpiła bramę. Nie zapowiadała przyjazdu, mimo to wiedziała, że nie może opuścić Aix-en-Provence, nie zajrzawszy nawet do wujostwa Motin. Na razie jednak chciała побыć wyłącznie w towarzystwie swych wspomnień i pytań, na które zapewne już nigdy nie otrzyma odpowiedzi.

Stała nad grobem Joanny, a potem położyła na nim bukiet polnych różyczek. Matka lubiła takie kwiaty, wspomniała o tym w swoich zapiskach. Przypominały jej kraj, rodzinny dom, majątek, który już nie istniał.

„Jeśli jeszcze kiedykolwiek pojedę do Polski, odwiedzę Bolesławice” – postanowiła sobie w myślach Iza. Nieraz żałowała, że jednak postąpiła wbrew radom Łukasza Boguszeńskiego i jego matki, że wybrała się do dawnego majątku.

Usiadła na kamiennej ławeczce i zapatrzyła się w pomnik.

„Chciałaś, aby pochowano cię tutaj, bo wśród tych lawendowych pól przenosiłaś się myślami... tam. Tęskniłaś za swoim krajem, choć nie chciałaś się do tego jednoznacznie przyznać. Pamiętałaś tamte łąki i tamte polne kwiaty. Może chciałaś mi o tym opowiedzieć, ale nie zdążyłaś. A wcześniej zamykałam ci drogę do bardziej osobistych rozmów – nawet takich, które można odbyć z ośmioletnim dzieckiem, jakim wówczas byłam. O tylu sprawach sobie nie powiedziałyśmy! Nie chciałam ci sprawić przykrości. Chciałam... Sama już nie wiem, nie pamiętam... Żałuję, że tak wyszło. Chyba próbowałam sprawdzić, ile potrafisz znieść. Jak bardzo potrafisz być cierpliwa... Jak bardzo mnie kochasz. Wiesz, powiem ci teraz coś. Jeśli tam gdzieś jesteś, to może mnie usłyszysz. Tamta kobieta, ta, którą czasami, aby cię zdenerwować, wspominałam jako matkę, nie zawsze miała do mnie cierpliwość. Była dobra, ale łatwo wpadała w złość. Ty nie zrobiłaś tego nigdy, ani razu. Może dlatego, że tak krótko byliśmy razem i nie zdążyłaś dojść do etapu, gdy rodzicom niekiedy opadają ręce wobec ich dzieci. Ty się jedynie mną cieszyłaś – do samego końca. I wiesz co? Wiedziałam, że mnie kochasz. Choć nie do końca pojmowałam dlaczego”.

*

Niedobre samopoczucie, o którym wspominała Joanna w swoich zapiskach, okazało się zapowiedzią końca jej życia. Po powrocie z Prowansji, gdy wreszcie zdecydowała się pójść do lekarza, zrobić badania i prześwietlenia, otrzymała diagnozę, którą przyjęła ze spokojem.

– Z moim ojcem też tak było – powiedziała do Maurice’a i zaraz potem dodała, że postara się przeżyć resztę swoich dni najlepiej i najpiękniej, jak się da. Jak jej ojciec.

Dotrzymała słowa.

Ostatnie tygodnie spędziła w Aix-en-Provence. Tu odeszła w pierwszych dniach września. Iza wróciła do szkoły dopiero po jej pogrzebie, w drugiej połowie miesiąca. Oboje – ona i Maurice – wrócili wtedy do Lyonu i do swoich zajęć. Dali sobie ze wszystkim radę, choć Maurice musiał zatrudnić gosposię. Mimile była miła i zaradna, toteż gospodarstwo domowe funkcjonowało bez zarzutu. Mimile pomogła też Izie, która wprawdzie nie rozpaczała po śmierci matki, niemniej czuła się zagubiona. Przecież dopiero co poznała kobietę, która – jak wszyscy dookoła utrzymywali – była jej matką. Wreszcie ją zaakceptowała, chyba zaczynała lubić, choć – jeśli dobrze rozumieć zapiski Joanny – nie potrafiła jeszcze okazać tej sympatii. Zrobiłaby to jednak z całą pewnością w bliżej nieokreślonej przyszłości, gdyby nie fakt, że Joanna zachorowała i odeszła. Tak jak tamta kobieta, którą niegdyś nazywała matką. Iza czuła wtedy żal i pustkę. Dom bez Joanny był taki pusty, smutny, bezbarwny. Maurice wprawdzie starał się, jak mógł, ale sam z trudem radził sobie z przeżywaniem żałoby. Dopiero energiczna i rozgadana Mimile przywróciła życie i ciepło w ich domu.

Dziesiątego września minęła rocznica śmierci Joanny. Iza rzadko kiedy przyjeżdżała na jej grób w tym akurat dniu, a jeśli już, to tylko ze względu na Maurice'a, któremu na tym zależało. Tym razem jednak przybyła tu z własnej woli. Pragnęła pobycć sam na sam z matką, a także... ze swoimi myślami i wspomnieniami.

„Gdybyś mogła teraz coś do mnie powiedzieć... Gdybym mogła cię usłyszeć... Wtedy, gdy byliśmy jeszcze razem, zawsze cię słuchałam, choć nie pokazywałam tego po sobie. Myślałaś, że twoje słowa do mnie nie docierały, ale się myliłaś. Nawet teraz umiałabym powtórzyć każde z nich. Czy wiesz, że mój ojciec, ten biologiczny, także postanowił przypomnieć mi o sobie? Tak jak ty swoimi zapiskami. Tyle że on nie pozostawił po sobie żadnych śladów. A przynajmniej ja ich nie znalazłam”.

Zatopiona w myślach drgnęła dopiero wtedy, gdy zorientowała się, że ktoś obok niej usiadł. Z trudem powstrzymała odruch niechęci. Oczywiście – Beatrice. To było do przewidzenia, że ciotka nie omieszka przyjsć na cmentarz w rocznicę śmierci Joanny, niemniej Iza zakładała, że zrobiła to już rano. Tak czy owak, skończyło się ciche, bardzo jej potrzebne, przebywanie sam na sam z matką. Ciotka była kochanym człowiekiem, jednak skupienie się w jej towarzystwie nie wchodziło w rachubę.

– Dzień dobry – przywitała ją uprzejmie, ale bez specjalnej wylewności Iza.
– Zamierzałam do was zajrzeć za jakiś czas.

Spodziewała się usłyszeć w odpowiedzi długi monolog ciotki na temat smutnej rocznicy, a następnie komentarz odnoszący się do faktu, że Iza przyjechała z dalekiego Paryża specjalnie w tym dniu. Do tej pory przecież tego nie robiła, toteż Beatrice miała prawo być zdumiona i zadowolona zarazem. Iza nie miała

ochoty tego wszystkiego słuchać. Nawet – a może zwłaszcza – pochwał pod swoim adresem. Nie miała jednak żadnego wpływu na ciotkę, która zawsze mówiła i robiła to, co w danym momencie uważała za słuszne.

Tym razem Beatrice zbyła milczeniem powitanie ze strony Izy, co było zdumiewające, absolutnie sprzeczne z jej dotychczasowymi zwyczajami.

„Może się na mnie gniewa?” – pomyślała zdumiona i mimo woli zaniepokojona Iza. „Ale... z jakiej przyczyny? Może coś się stało? Coś z wujem Frederickiem albo z kuzynem Rogerem?”

Już miała o to zapytać, gdy ciotka niespodziewanie ją uprzedziła.

– Jest tak jak wtedy – odezwała się wreszcie Beatrice.

– Jak kiedy?

„Ciotka pewnie ma na myśli tamten dzień sprzed osiemnastu lat, gdy zmarła Joanna. Ale o co jej dokładnie chodzi? Była wtedy taka sama pogoda?” Po chwili Iza uznała, że właściwie nie jest tego ciekawa. Nie tak chciała spędzić czas na cmentarzu, nie na takich wspomnieniach. Nie na słuchaniu wspomnień ciotki.

– Przyszłam tu tydzień po pogrzebie twojej matki – podjęła po dłuższej chwili Beatrice. – Ty i Maurice odjechaliście już do Lyonu, a ja nie mogłam znaleźć sobie miejsca w domu. Czułam, że muszę tu przyjść. Tak jakby ktoś mnie wzywał. Byłam taka niespokojna. Wybrałam się więc, choć byłam już tu kilka godzin wcześniej. I wtedy go zobaczyłam. Tak jak ciebie – dzisiaj.

Nadal panowała cisza. Nawet najmniejszy podmuch wiatru nie poruszył gałązek pobliskich krzewów. Iza natychmiast wybudziła się z zamyślenia. Patrzyła teraz na ciotkę szeroko otwartymi oczami.

Beatrice w dalszym ciągu nie odrywała wzroku od kwiatów położonych na grobie bratowej.

– On także przyniósł polne kwiaty – mówiła teraz cicho, jakby w obawie, że Iza mogłaby usłyszeć łzy w jej głosie. – Tak jak ty.

Jeśli rzeczywiście ciotka starała się ukryć wzruszenie, to trud ten okazał się daremny. Łzy jednak popłynęły, choć prawie natychmiast otarła je niecierpliwie wierzchem dłoni.

Iza słuchała, nie przerywając. Miała wrażenie, że gdyby zadała bodaj jedno, nawet najkrótsze pytanie, Beatrice natychmiast by zamilkła. Tak jak wszyscy pozostali. Niewykluczone, że potrzebowała tej całkowitej, idealnej ciszy, by mówić dalej.

– Jeszcze wtedy nie było tej ławki – kontynuowała. – W tym miejscu leżał taki płaski kamień. On na nim siedział i patrzył na grób. Wszędzie kwiaty, wiadomo, jak to zaraz po pogrzebie. Nie spodziewałam się tu wtedy spotkać nikogo, zwłaszcza kompletnie mi nieznanego człowieka, dlatego zawahałam się, zanim podeszłam. On początkowo mnie nie zauważył, siedział zamyślony i wyglądał tak, jakby zapomniał o bożym świecie. I nagle tknęło mnie przecucie.

Tak jakbym doznała olśnienia. Pewnie myślisz, że takiej przyziemnej babie jak ja nie zdarzają się podobne rzeczy, ale naprawdę tak było. W jednej chwili zrozumiałam, kim on był. Już miałam się cofnąć i zostawić go samego, ale było na to za późno. Zbyt blisko zdążyłam już podejść, a on podniósł głowę i mnie zauważył. Nie wyglądał na zdumionego. „Dzień dobry – powiedział – pani ma na imię Beatrice, prawda?” Za to ja byłam tak zdziwiona, że tylko bąknęłam: „My się znamy?”. A on na to, że wie, kim jestem. Joanna mu powiedziała. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, byłam zbyt zdumiona i poruszona. Zastanawiałam się, czy on już tu kiedyś był. Czy oboje z Joanną mogli spotkać się w Aix-en-Provence. Jednak wiedziałam, że nie mogę go o to zapytać. Dziwne, prawda?

Iza w pierwszym odruchu skinęła głową. Skrupuły ciotki w kwestii pytań, których nie ośmieliła się zadać nieznanemu sobie człowiekowi, który okazał się kimś ważnym w życiu jej zmarłej bratowej – faktycznie były czymś niezwykłym. Beatrice bowiem słynęła ze swojej bezpośredniości i kiedy naprawdę chciała coś powiedzieć lub uczynić, robiła to bez zastanawiania się, czy wypada. Tym razem jednak, w głębi duszy, Iza zapragnęła, aby ciotka przed laty zachowała się tak, jak to miała w zwyczaju. Sama bowiem zadawała sobie w tym momencie mnóstwo pytań, a wśród nich właśnie to: Czy Joanna widziała się z tym człowiekiem w ostatnich tygodniach przed śmiercią? Ostatnie dni bowiem z pewnością nie mogły wchodzić w rachubę – nie opuszczała już wtedy łóżka.

– Nie zadałam mu więc tego pytania – kontynuowała po chwili Beatrice. – On jednak chyba je odgadł, bo tak zupełnie sam z siebie powiedział, że przyjechał tu na kilka dni przed jej odejściem, ale oczywiście już jej nie widział. Nie miał najmniejszego zamiaru przychodzić do naszego domu. „Przecież był przy niej Maurice i jej dziecko” – dosłownie tak powiedział. „A pani i doktor Motin opiekowaliście się nią najlepiej, jak tylko można. Nie potrzebowała już nikogo innego. Ja tam byłem zupełnie zbędny. Wtedy, gdy naprawdę potrzebowała mojego wsparcia, zawiodłem”. Nadal milczałam, tak jak ty teraz. Zgadłam, że to on potrzebował się wygadać. Co nie znaczy, że był jakoś szczególnie wylewny. Na pewno wiele wspomnień zachował dla siebie, a ja mu na to pozwoliłam. Na nic nie nalegałam. Okazało się, że od dwóch tygodni mieszkał w hotelu w miasteczku. I... czekał. Wiedział, że kiedy nadejdzie jej koniec, ludzie będą o tym mówić. Przyszedł także na jej pogrzeb, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi w tłumie innych żałobników. Od tamtego dnia przychodził na grób codziennie, ale tylko wtedy, gdy nikogo innego tu nie było. „Tylko wczoraj mi się to nie udało” – powiedział. „Byłem przy końcu alejki, gdy zobaczyłem jej męża i córkę. W samą porę zdążyłem się wycofać”. Zrobiło mi się go żal. „Dlaczego pan nie podszedł?” – nie zapanowałam nad ciekawością. „Czy Maurice kiedykolwiek pana już widział i nie chciał pan zostać przez niego rozpoznany?” Moje pytanie wcale go nie zdziwiło. W dodatku miałam wrażenie, że czekał, kiedy wreszcie się odezwę. Pewnie

zakładał, że mogę czuć się oburzona jego najściem, i dlatego milczałam. Zaprzeczył, by Maurice go kiedykolwiek widział. Nigdy dotąd się nie spotkali. „I niech tak zostanie” – dodał, a zaraz potem wyjaśnił, że ty mogłabyś go rozpoznać. To zaś nie byłoby wskazane ani dla ciebie, ani dla Maurice’a. W pierwszej chwili osłupiałam. „Iza już pana widziała?” – spytałam nieswoim głosem. Z jednej strony w głowie mi się nie mieściło, aby Joanna chciała doprowadzić do waszego spotkania, z drugiej jednak... chyba to rozumiałam. Być może sama postąpiłabym podobnie. Być może. Zaraz mnie jednak uspokoił, ale przy okazji ponownie wprawił w zdumienie. „Nie jestem pewien” – powiedział. „Widziałem ją dwa razy w sierocińcu w Bordeaux. Za drugim razem bawiła się z koleżankami w ogrodzie, gdy rozmawiałem z przełożoną i wychowawczynią. Dziewczynki czasem zerkały w naszą stronę, ale chyba bez szczególnego zainteresowania. Mimo to na wszelki wypadek wolałbym nie kusić losu i nie przypominać jej o sobie. Dzieci są bardzo bystre, szybko kojarzą ludzi z faktami”. „Co pan robił w sierocińcu w Bordeaux?” – spytałam i zanim zdążył mi odpowiedzieć, po raz kolejny doznałam olśnienia: „To pan ją tam znalazł”. Nie pytałam – wiedziałam. „Tak” – odpowiedział mi bez cienia wahania, tak jakby zależało mu, abym i ja się o tym dowiedziała. Domyślał się, że powtórzę jego słowa Frederickowi. Chyba chciał, aby wszyscy zainteresowani o tym wiedzieli. Dwa lata temu spotkał w Paryżu Maćka Boguszewskiego. Powiedział, że dosłownie wpadli na siebie na ulicy. Poszli na jednego, a skończyło się na wielu wypitych kieliszkach. Jak to po wojnie, gdy spotykali się ludzie, dawni znajomi, którzy potem stracili ze sobą kontakt, by po latach wpaść na siebie tak ni z tego, ni z owego. Maciek zapytał go, czy zamierza wracać do kraju. Odpowiedział, że tak. W kraju zostawił rodzinę, gdy we wrześniu trzydziestego dziewiątego przekraczał z wojskiem granicę z Rumunią. Wtedy, w trzydziestym dziewiątym, miał jeszcze nadzieję, że uda mu się ściągnąć tam rodzinę. Niektórym się to udawało, nawet wtedy, gdy znaleźli się już we Francji. Jemu jednak zabrakło szczęścia, sprytu, a także znajomości i pieniędzy. Rodzina została w Polsce, on potem znalazł się w Afryce, a następnie razem z dywizją Maczka brał udział w walkach w Normandii i pod Falaise. I tak koło się zamknęło. Z powrotem znalazł się we Francji, gdzie zastał go koniec wojny. Musiał wracać do domu, do Polski, do rodziny. Maciek powiedział mu, że w Paryżu jest Joanna, że ją spotkał. A tamten przez wszystkie te lata wmawiał sobie, że ułożyła sobie jakoś życie. Że postarała się o nim zapomnieć. Że tamto nie miało dla niej znaczenia. Że jest szczęśliwa. Nie miał pojęcia, czy nadal przebywa we Francji. Uważał, że mogła wyjść za jakiegoś Amerykanina i wyjechać za ocean. Nie utrzymywał z nią kontaktu od lat, od tamtego dnia, gdy wyjechała z kraju. A tymczasem okazało się, że ona przez cały ten czas była w Paryżu. Mógł się na nią natknąć w każdej chwili, tak jak na jej brata. Był zdziwiony, kiedy się dowiedział, że rodzeństwo nie miało ze sobą kontaktu od

trzydziestego ósmego roku, a spotkało się zupełnie przypadkiem. Że Maciek nie był pewien, czy Joanna w ogóle żyje. A potem powiedział mu, że właśnie w tym roku ona urodziła dziecko i za namową sublokatorek oddała je jakimś obcym ludziom. Załatwili to pokątnie, potem tego żałowała, ale nic się już nie dało zrobić. Maciek zwierzył mu się ze swoich wyrzutów sumienia, ponieważ uważał, że nie wspierał jej dostatecznie, że nie było go przy niej w ostatnich tygodniach ciąży. Tamten myślał nawet, że łączyło ich coś więcej, ale Boguszewski odparł, że Joanna opuszczała Bolesławice, będąc już w ciąży.

Beatrice przerwała i spojrzała wreszcie Izie prosto w oczy. Po raz pierwszy, odkąd usiadła obok niej na ławce. Dziewczyna patrzyła na nią jak zaczarowana.

– Jak widzisz, nie ty jedna podejrzewałaś swoją matkę o kazirodczy stosunek z bratem. Ach nie, nie zaprzeczaj. – Gestem powstrzymała Izę od protestu i dalszych pytań. – Chcesz wiedzieć, skąd wiem o twoich podejrzaniach?

– Zapewne Maurice ci powiedział – odparła sztywno dziewczyna.

– O tak, lecz nie bezpośrednio. Po prostu usłyszałam waszą kłótnię, gdy przyjechaliście do Aix-en-Provence ostatnim razem. Pamiętasz? Wtedy, gdy przyszedłam, aby zaprosić was na kolację. Pod drzwiami usłyszałam każde wasze słowo, choć nie zamierzałam podsłuchiwać. Nie staraliście się jednak mówić cicho. Potem, gdy po powrocie z wycieczki do Carcassonne wyjechałaś, pokłóciłam się z Maurice'em. Nie chciałam, ale w końcu straciłam do niego cierpliwość. Próbowałam go tylko przekonać, by wreszcie powiedział prawdę, skoro tak ci na tym zależało. Bałam się, że w przeciwnym wypadku nigdy nie pozbędziesz się podejrzeń i niepewności w sprawie Maćka i Joanny. Tym bardziej że dotarłaś już do Solange, a ona zawsze snuła najgorsze podejrzania wobec twojej matki i swojego męża. Słabo ją znałam, ale już wtedy, gdy przyjechała z Maćkiem z wizytą do Aix-en-Provence, zauważyłam, że była wręcz chora z zazdrości o niego. Jakoś nie potrafiłam jej współczuć. Oburzyłam się, że w ogóle coś takiego mogło jej przyjść do głowy. Choć z drugiej strony była do tego stopnia nijaka, że faktycznie znikła przy takiej kobiecie jak Joanna. Jednak istnieją pewne granice absurdu, czego ona zdawała się nie pojmować. Gdy mi powiedziałaś, że wróciła, byłam pewna, że prędzej czy później się spotkacie, a ona zarazi cię swoimi podejrzaniami. Frederick też się tego obawiał. Wobec tego błagałam Maurice'a, aby wszystko ci powiedział. Same zapewnienia, w dodatku wyrażane krzykiem, że twoja matka nie sypiała z własnym bratem, nie wystarczą. Nie takie rzeczy świat widział. Ale Maurice odpowiedział, że to wykluczone. Że prawda jest równie koszmarna jak tamto podejrzanie, a może i gorsza. „Aleś ty głupi i uparty! Jak osioł!” – wrzasnęłam. Tak czasami darłam się na niego w dzieciństwie. Oczywiście się obraził i następnego dnia wyjechał.

„A ja myślałam, że ojciec i Beatrice pokłócili się o Rogera” – przypomniała sobie Iza. Przyglądała się teraz ciotce, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Najwyraźniej Beatrice była gotowa z jakiegoś, jedynie sobie znanego, powodu uchylić przynajmniej rąbka tajemnicy. Przez moment Iza zastanawiała się, czy od razu nie zapytać o nazwisko człowieka, z którym przed laty rozmawiała nad grobem Joanny. Nie była jednak pewna, czy ciotka je znała, a jeśli nawet – to czy zamierzała aż tak sprzeniewierzyć się woli brata. A jeżeli pytanie przybranej bratanicy ostudzi jej zapał do opowiadania o tamtym niezwykłym spotkaniu sprzed lat i nie powie już ani słowa więcej?

– Czy tamten człowiek opowiedział ci, co było później? – spytała wobec tego ostrożnie.

– Później? – powtórzyła bezwiednie Beatrice.

– No później. Gdy dowiedział się, że Joanna, wyjeżdżając z Polski, była już w ciąży.

– Aż tak dokładnie mi się nie zwierzał, choć opowiedział mi niemało. Z tego, co mówił, wynikało jednak, że był w szoku. Nie wiedział o dziecku, Joanna nic mu nie powiedziała.

– Pewnie dlatego, że opuszczając Polskę, sama jeszcze niczego nie podejrzewała – odparła Iza, przypominając sobie zapiski matki.

– W każdym razie nawet gdy już się upewniła co do swego stanu, nie zawiadomiła go o tym. Nie napisała. Nie chciała – dokończyła ciszej ciotka. – Nie mogła.

„Ciekawe dlaczego? Dlaczego o niczym mu nie powiedziała?” – zastanowiła się Iza. Nie była pewna, czy powinna podzielić się tym pytaniem z Beatrice. Nie mogła teraz popełnić żadnego błędu. Musiała ostrożnie dobrać słowa.

– Wuj Maciek zapewne mu opowiedział, że matka chciała mnie odzyskać.

– Tak. Powiedział mu także o tym, że wyszła za Maurice’a. Chyba ucieszył się z informacji, że była szczęśliwa w małżeństwie. Postanowił włączyć się w poszukiwania dziecka. Dysponował większą ilością czasu niż Boguszewski, a dzięki kontaktom nabytym w wojsku miał też więcej możliwości dotarcia do różnych ludzi i informacji. Tak zdobył wiedzę o wypadku małżeństwa polskich emigrantów pod Bordeaux i o ich dziecku, które znalazło się w sierocińcu. Zainteresowały go miejscowe plotki, jakoby dziewczynka nie była tak naprawdę biologicznym dzieckiem tamtych. Skąd okoliczni mieszkańcy nabrali tych podejrzeń, pozostanie już chyba tajemnicą. Ludziom nie tak łatwo zamydląć oczy.

– Zabrało mu to na pewno dużo czasu.

– Prawie rok.

– A przecież zamierzał wrócić do Polski.

– Odłożył powrót. Chciał najpierw znaleźć dziecko. Po wojnie wielu ludzi szukało swoich bliskich. Niejedno dziecko znalazło się w sierocińcu. Takie poszukiwania nikogo wtedy nie dziwiły.

„To nie było zwykłe powojenne poszukiwanie bliskiej osoby” – pomyślała

Iza, na głos jednak tego nie powiedziała.

Czas było ostrożnie przejść do następnych konkretów.

– Z tego, co mówisz, to był Polak. W dodatku ktoś, kogo mój wuj dobrze znał z Polski.

– Tak – odparła po dłuższej chwili Beatrice.

– To, że się znali, akurat mnie nie dziwi. – Iza uśmiechnęła się, widząc, że ciotka wyraźnie się zawahała. – Ostatecznie mogli się kiedyś poznać właśnie dzięki Joannie. Nawet fakt, że tak niespodziewanie się spotkali po zakończeniu wojny, i to w dodatku daleko od Polski, też nie był niczym aż tak niezwykłym. Wojna rzucała przecież ludźmi po całym świecie.

– Tak – potwierdziła ponownie Beatrice.

– Czy opowiedział ci, jak to było... no wiesz, z nim i z moją matką? Opowiedział ci o ich związku?

– Nie. – Beatrice spojrzała na nią zakłopotana.

– A ty o nic go nie zapytałaś? – Iza nie potrafiła powstrzymać się przed tym pytaniem, choć zaraz zdała sobie sprawę, że zabrzmiało raczej niefortunnie.

Ciotka – czego należało się spodziewać – poczerwieniała z oburzenia.

– Myślisz, że mogłabym pozwolić sobie na taką niestosowność?

„Myślę, że tak” – chciała jej się odgryźć Iza, ale pohamowała się w ostatniej chwili. Mimo wszystko powściągliwość ciotki podczas rozmowy z tamtym zasługiwała na pochwałę, choć Iza życzyła sobie, aby w tym akurat konkretnym przypadku było inaczej. Aby ciotka zachowała się tak jak zwykle, czyli dręczyła rozmówcę aż do skutku. Beatrice na ogół nie miewała problemów z wyciąganiem od ludzi informacji, którymi przynajmniej początkowo nie zamierzali się z nikim dzielić. Słysnęła z tego w całym Aix-en-Provence.

– Jestem z pokolenia, które odebrało odpowiednie wychowanie – perorowała gniewnie Beatrice. – Zwłaszcza zaś dziewczęta i kobiety nauczone były nie omawiać głośno kwestii tak intymnych. Szczególnie z nieznanym mężczyzną. Wiem, że teraz pod tym względem czasy się zmieniły, ale ja, dzięki Bogu, pozostałam taka sama.

– Przepraszam, ciociu – odpowiedziała przymilnie pozornie skruszona Iza. Wiedziała, że jeśli chce jeszcze wyciągnąć z Beatrice jakiegokolwiek informację, powinna pokornie przyznać jej rację. Poza tym – uwierzyła jej. Ciotka z pewnością nie zagadywała tamtego człowieka o sprawy intymne. I raczej zrozumiałym jest, że on także nie kwapił się o tym opowiadać. Właściwie dlaczego w ogóle wdał się z nią w rozmowę, dlaczego nie odszedł, kiedy ona pojawiła się na cmentarzu? Mógł to przecież zrobić. Odejść bez słowa lub udzielić jedynie krótkiego, niezobowiązującego wyjaśnienia. A tymczasem został i rozmawiał z nią. Czy tylko dlatego, że – jak początkowo zakładała Iza – potrzebował się przed kimś otworzyć i wygadać? I wtedy przy grobie Joanny pojawiła się Beatrice? Może właśnie na nią

czekał. Przecież gdyby chciał, mógł uniknąć tego spotkania, tak jak unikał spotkania z Maurice'em i córeczką Joanny.

Beatrice nieznacznym skinieniem przyjęła te przeprosiny i wtedy Iza ujęła jej dłonie. Ponownie spojrzały sobie prosto w oczy.

– Nie pytałaś go o nazwisko? – zaryzykowała Iza, ale nie żywiła w tej kwestii wielkiej nadziei. Toteż wcale się nie zdziwiła, gdy ciotka przecząco pokręciła głową.

„Trudno” – pomyślała z rezygnacją. „Właściwie co mi po jego nazwisku, skoro, jak zapewnił mnie Maurice, ten człowiek od dawna już nie żyje”.

I w tym samym momencie usłyszała cicho i powoli wypowiedane słowa:

– Nie pytałam go o nic, ale sam mi się przedstawił. – Beatrice nabrała powietrza, jakby pozbywała się właśnie resztek wątpliwości przed ujawnieniem prawdy. – Całymi latami uważałam to za przejaw jego dobrego wychowania i dopiero niedawno, gdy spostrzegłam, że zaczęłaś interesować się przeszłością matki i jej polską rodziną, przyszło mi do głowy, że być może chodziło mu wtedy o coś jeszcze. Chciał, abym wiedziała, kim był. Może zakładał, że pewnego dnia opowiem ci o naszej rozmowie. Może zgadywał, że Maurice nigdy by się na to nie zdobył, bo bałby się, że nie zrozumiesz i na zawsze odwrócisz się od własnej matki. A ja... – Ścisnęła mocniej dłoń dziewczyny. – A ja czuję, że tak się nie stanie. Nie odwrócisz się od niej, nie rzucisz kamieniem.

Iza patrzyła na nią osłupiała szeroko otwartymi oczami. Ciotka lekko się uśmiechnęła.

– Masz jego oczy. Duże, brązowe, wyraziste... i niekiedy bardzo podobne spojrzenie. Od lat to widziałam. – Głos jej drgnął. – Nazywał się Michał Zawilski.

ROZDZIAŁ 35

Nie poderwała się z miejsca. Nie zasypała ciotki gradem pytań. Nie wybiegła z cmentarza i nie odjechała z piskiem opon do Paryża. Zamiast tego siedziała nieruchomo, dopiero po dłuższej chwili oderwała wzrok od twarzy Beatrice i uwolniła jej dłonie ze swojego uścisku. Gdzieś w oddali słyszała śpiew ptaków i odgłosy przechodzących obok cmentarza ludzi. Mimo to wrażenie pewnej nierealności pozostało. Nie czuła nic: ani wściekłości, ani radości, ani ulgi, że wreszcie się dowiedziała. Nic. Tylko zdumienie. Nie miała pojęcia, ile czasu tak siedziały obie obok siebie, gdy wreszcie ciotka zagadnęła ją nieśmiało, czy mogłyby już iść.

– Zostaniesz u nas do jutra. Nie zmieniłaś zdania? – spytała z obawą.

– Nie – odparła machinalnie Iza. – Zostanę u was do jutra. Jutro wracam do Paryża.

– Pójdiesz teraz ze mną do domu czy wolałabyś tu jeszcze побыć sama?

Iza otrząsnęła się z letargu, w jaki popadła, i popatrzyła uważnie na ciotkę.

– Przecież on był jej ojczymem – szepnęła.

Beatrice westchnęła i bezradnie wzruszyła ramionami.

– Ja naprawdę nie wiem, jak do tego doszło. Nie mówił mi o tym. Powtórzyłam ci każde jego słowo.

– Wierzę ci – odparła cicho Iza – ale nic z tego nie rozumiem.

– Tego właśnie obawiał się Maurice. – W głosie Beatrice pojawił się niepokój. – Pewnie miał rację, aby nic ci nie mówić.

– A ona? Myślisz, że powiedziałyby mi, gdyby nie umarła?

– Nie wiem – odparła głucho Beatrice.

Może to jednak Joanna zobowiązała męża do milczenia, a nie przyszło jej do głowy, że Beatrice o wszystkim się dowie. Iza wiedziała jednak, że takie pytanie, zadane w tym momencie na głos, wpędziłoby ciotkę w rozpacz.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś...

– Od pewnego momentu uważałam, że masz prawo o tym wiedzieć.

– Bez wątpienia mam. – Iza podźwignęła się z ławki z takim trudem, jakby była zniedołężniałą staruszką. – Chodźmy do domu – oświadczyła. – Chyba nie ma sensu siedzieć tu dłużej.

Beatrice patrzyła na nią z niesłabnącym niepokojem.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Czy to nie dziwne, że Maurice dzisiaj nie przyjechał? – zagadnęła Iza, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

Twarz Beatrice ściągnęła się i poszarzała jeszcze bardziej.

– Niewykluczone, że był tu wcześniej, ale nie chciał spotkać się ze mną ani odwiedzić naszego domu – odparła ze smutkiem, gdy wsiadły już do samochodu

Izy. – Po tamtej scysji ani razu się jeszcze do mnie nie odezwał.

„Do mnie także nie” – uświadomiła sobie nagle Iza. Od ostatniej rozmowy telefonicznej w ogóle się z nią nie kontaktował. To już miesiąc, odkąd nie słyszała jego głosu. Na ogół dzwoniли do siebie często, przeważnie raz na tydzień; dwa tygodnie przerwy rzadko miały miejsce. Lecz cały miesiąc wzajemnego milczenia nie zdarzył się jeszcze ani razu. Czemu wcześniej nie zwróciła uwagi na tę zastanawiającą ciszę? Czy dlatego, że przez ten czas dużo pracowała? A może przywykła do tego, że to Maurice zawsze odzywał się pierwszy?

Przez cały wieczór starała się nie pokazywać po sobie niepokoju ani żadnych rozterek. Była bardzo miła dla obojga wujostwa i prowadziła z nimi niezobowiązującą rozmowę o wszystkim i o niczym. Tak jakby wiadomość przekazana jej przez ciotkę nie miała już dla niej większego znaczenia.

Nikogo tym nie oszukała i rzecz jasna zdawała sobie z tego sprawę, niemniej Beatrice i Frederick podjęli grę i tym sposobem wszyscy mężnie dotrwali do końca kolacji.

Potem, już w swojej dawnej sypialni, Iza zastanawiała się, czy da radę zasnąć. A jeśli nawet jej się uda, to czy nie będą jej męczyć złe, pełne niepokoju sny. Tak się jednak nie stało. Zasnęła niemal od razu po przyłożeniu głowy do poduszki, a potem spała mocno i dobrze. Gdy otworzyła oczy, zza muślinowych firanek zaglądał do jej pokoiku słoneczny prowansalski poranek. Czowała się rześka i wypoczęta i nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, czy w ogóle cokolwiek jej się śniło.

Zszedłszy na dół, poczuła zapach wspaniałej, aromatycznej kawy, jak również świeżutkich rogalików. Ciotka zdążyła już zastawić stół. Iza na jej widok zatrzymała się na chwilę w progu małej jadalni i korzystając z okazji, że tamta akurat w tym momencie stała do niej tyłem, obserwowała ją z czułością i rozrzewnieniem.

„Kochana jesteś” – myślała, przypominając sobie ten dzień przed laty, gdy Beatrice, widząc ją po raz pierwszy, natychmiast nazwała swoją bratanicą i serdecznie ucałowała. Nie stała tak nieruchomo jak Joanna, która patrzyła z onieśmieniem i obawą na dopiero co odzyskane dziecko. Teraz, po latach, zwłaszcza zapoznawszy się z zapiskami matki, Iza starała się ją zrozumieć. Lecz wtedy, gdy w jednej chwili jej życie stanęło na głowie, bo nagle okazało się, że nie jest tym, za kogo zawsze się uważała – była przerażona. A obawa i onieśmienie kobiety, o której wszyscy mówili, że jest jej „prawdziwą” matką, dodatkowo ją przerażały. Beatrice zachowała się inaczej. Od razu powiedziała Izie, że ogromnie się cieszy, że wreszcie ją poznała, bo nie mogła się tego doczekać. I natychmiast porwała ją w ramiona, nie zwracając sobie głowy psychologicznymi rozważaniami, czy małej dziewczynce będzie to odpowiadać, czy nie. A Iza od razu ją za to pokochała.

Dziś, patrząc na krzątającą się ciotkę, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Beatrice zjawiała się zawsze, gdy ktokolwiek w jej orbicie potrzebował pomocy. Była wtedy skuteczna i niezawodna. I bezsporny fakt, że uwielbiała prawić długie, niekiedy męczące dla słuchaczy monologi, że korzystała z każdej okazji, by wcisnąć te swoje trzy grosze i udzielać porad, że lubiła poplotkować – nie miał większego znaczenia, skoro zawsze można było na nią liczyć. Przecież dopiero ona wyszła naprzeciw oczekiwaniom Izy i wyjawiała prawdę, kim był jej ojciec. Być może takie właśnie były jego oczekiwania, gdy opowiedział jej o sobie.

Iza, nie zwlekając dłużej, podeszła do ciotki i ją objęła.

– Wyspałaś się? – spytała Beatrice, dotykając policzka dziewczyny.

– Czemu mnie wcześniej nie obudziłaś? Pomogłabym ci.

– Musiałaś odpocząć po podróży. Zwłaszcza że zamierzasz dzisiaj wracać do Paryża. A poza tym przygotowanie śniadania to żaden wysiłek. Wszystko już gotowe, siadaj.

– Wuj Frederick już pracuje? Nie będzie nam towarzyszył?

– Wiesz, jaki on jest. Jak zwykle w porze posiłku zabrał się do przygotowywania gabinetu na przyjęcie pacjentów. Ale ze względu na ciebie zaraz się tu zjawi. Możesz być tego pewna.

*

Jadąc autostradą w kierunku Paryża, Iza nawet nie próbowała porządkować swoich myśli. Nie starała się też zrozumieć kwestii, które wymykały się – przynajmniej według niej – wszelkiej logice. Podczas śniadania, podobnie jak podczas wczorajszej kolacji, rozmawiała z wujostwem o sprawach mało istotnych i dotyczących raczej lokalnych wiadomości z Aix-en-Provence, choć nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zarówno ciotka Beatrice, jak jej mąż cały czas myśleli o czym innym. Iza była bowiem pewna, że ciotka zdążyła już do tej pory zdać Frederickowi relację z wczorajszej rozmowy na cmentarzu. Zapewne zastanawiali się teraz, jakie będą tego następstwa, lecz nie naciskali już na nią, niczego jej nie sugerowali, nie wracali do tematu.

Gdy była już przygotowana do odjazdu, wuj swoim zwyczajem sprawdził, czy poziom oleju w jej samochodzie jest taki, jak trzeba, a opony mają prawidłowe ciśnienie, ciotka zaś wręczyła jej torbę z zaopatrzeniem żywnościowym na kilka dni – tak jakby w Paryżu nie było sklepów. Iza podziękowała im raz jeszcze za gościnę, a wtedy Frederick na pożegnanie powiedział:

– Tylko pamiętaj, że my tu cały czas jesteśmy i czekamy.

Takie słowa zwykle wypowiadała ciotka, stały się obowiązkowym kanonem pożegnalnego rytuału, skoro więc tym razem wypowiedział jej Frederick, Iza od razu pojęła, że musiał żywić obawę, czy aby wczorajsza szczerłość jego żony nie będzie miała negatywnego wpływu na następne wizyty przybranej bratanicy.

– Oczywiście, że o was pamiętam – odparła miękko, całując starego doktora w policzek.

Jednak już pędząc autostradą, wiedziała, że następna wizyta w Aix-en-Provence nie nastąpi szybko. Straciła ochotę na odwiedzanie grobu matki.

„Dlaczego to zrobiła? Przecież go nie cierpiała. Wprawdzie takie słowa nie padły w jej zapiskach, ale było oczywiste, że mając pretensje do swojej matki o to, że tak szybko po śmierci pierwszego męża związała się z dużo młodszym od siebie Zawilskim, także do niego musiała żywić jedynie negatywne uczucia. Nie mówiąc już o tym, że Hortensja i Zawilski zostali kochankami jeszcze za życia Boguszeńskiego. A zatem o co w tym wszystkim chodzi? W którym momencie Joanna zmieniła zdanie i nawiązała romans z własnym ojczymem? A może dała się uwieść? Może o całym jej dalszym życiu zadecydowała jedna chwila zapomnienia? Albo...”

Iza mocniej ścisnęła kierownicę.

„A może Joanna chciała dokuczyć matce i to ona uwiodła Zawilskiego? Jak to ostatnio ujął stary Podhorecki?”

Wtedy, gdy widziała go po raz ostatni, wspomniał, że mniej więcej po wyjeździe Joanny z kraju, a może i trochę wcześniej, stosunki między małżonkami Zawilskimi zmieniły się, zdecydowanie ochłodziły. Tak, spostrzeżenie Podhoreckiego mogło mieć coś wspólnego z romansem między Joanną a jej ojczymem. Choć z drugiej strony wierny stary ordynans z pewnością nie podejrzewał swojej ukochanej panienki o podobne wybryki. W przeciwnym wypadku raczej nie wypowiadałby się o niej z takim podziwem, a z całą pewnością nie byłby tak wspaniałomyślny wobec Zawilskiego. „Nic do niego nie miałem” – jakoś tak wypowiedział się na temat drugiego męża swojej pani. To do niej miał żal, że sprzeniewierzyła się pamięci kapitana Boguszeńskiego. Zawilski przecież nie był do niczego zobowiązany wobec zmarłego. Podhorecki nawet go odwiedzał, gdy tamten po wyjściu z więzienia nie mógł dojść do siebie. Przecież gdyby wiedział, że ten człowiek utrzymywał intymne kontakty z córką kapitana, z pewnością by mu tego nie darował. Ani jej. Bo to akurat nie mieściło się w żadnych społecznie dopuszczalnych granicach postępowania. To było zdecydowanie odrażające.

Teraz Iza rozumiała, dlaczego Hortensja nie chciała rozmawiać o starszej córce, dlaczego chłodno przyjęła wnuczkę będącą owocem związku, którego odkrycie musiało być dla niej, jako matki i żony, szokujące i podwójnie bolesne.

„Gdybym wiedziała o tym wcześniej, z pewnością nie jeździłabym do Polski. Mój przyjazd musiał być dla mojej babki traumatycznym przeżyciem i wcale się jej nie dziwię. Musiała to odczuć tak, jakby ktoś na nowo otwierał w niej nie do końca zablźnioną ranę. Czy jej syn, Łukasz, mógł mieć na ten temat

jakąś wiedzę lub choćby podejrzenia? Raczej nie, bo choć zmarła siostra bez wątpienia nie budziła w nim pozytywnych wspomnień, to przecież na temat ojczyma wypowiadał się jak najlepiej. Natomiast Anna z pewnością o niczym nie wiedziała... Tak samo jak ja...”

Anna... Na samą myśl o niej Iza poczuła ucisk w gardle. Na wszelki wypadek zjechała na prawy pas i zwolniła. Najchętniej w ogóle by się zatrzymała, wysiadła z samochodu i przeszła się dokądkolwiek. Na autostradzie nie było to jednak możliwe.

„Może to i lepiej. Pomyślę o niej później, gdy dojadę do domu. Usiądę na moim balkonie i wtedy... A może zrobię to jeszcze później, kiedyś, gdy nabiorę dystansu. Bo przecież kiedyś nabiorę do tego dystansu. Nawet najgorsza rozterka ma wreszcie swój koniec. Zresztą o czym tu rozmyślać? Nie warto. Jaki ma to teraz sens? Jedno jest pewne – nie napiszę Annie, czego dowiedziałam się od ciotki. Nie mogę jej tego zrobić”.

Jak mogłaby donieść Annie, że jej ojciec, którego z taką czułością i dumą wspominała, oraz jej siostra, którą wreszcie zaczynała odkrywać i poznawać... Że tych dwoje...

„Starsza siostra boleśnie ją zawiodła, ale przynajmniej młodsza tego nie zrobi. Nigdy”. Iza wierzchem dłoni otarła łzę z policzka, z trudem koncentrując się na jeździe.

Przypomniały jej się dawne marzenia o rodzeństwie, o siostrze.

„Wystarczy mi sama świadomość, że ktoś taki naprawdę istnieje, ponieważ właśnie ze względu na nią muszę milczeć. Jeśli dla mnie prawda jest taka trudna, dla niej okazałaby się ciężarem nie do udźwignięcia. I bez tego ma wystarczająco ciężkie życie. A mnie będzie cieszyć sama świadomość, że mam siostrę, że do niej piszę, że czytam listy od niej. A jeśli ją jeszcze kiedyś zobaczę...”

Sama nie umiała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego niemal w ostatniej chwili skręciła w zjazd prowadzący do Lyonu. Zrobiła to instynktownie. Wcześniej w ogóle nie brała tego pod uwagę.

*

Nie była pewna, czy zastanie ojca w domu, ale Maurice otworzył drzwi od razu, jak tylko zapukała. Przez chwilę mierzyli się uważnymi spojrzeniami. Iza przyznawała w duchu, że miał prawo czuć się zaskoczony.

– Mogę wejść? – spytała, uśmiechając się przekornie.

W milczeniu odsunął się od drzwi, przepuszczając ją do środka mieszkania. Z oddalonego salonu dobiegały dźwięki koncertu Czajkowskiego.

– Byłem właśnie w kuchni. Przygotowuję wołowinę na kolację – wyjaśnił.

– Spodziewasz się gości? Może przeszkadzam?

– Nigdy mi nie przeszkadzasz. Tyle że się ciebie nie spodziewałem. Ale

miło, że jesteś.

Chyba naprawdę się cieszył, choć wyglądało na to, że radość walczyła w nim o pierwsze miejsce z obawą i zaskoczeniem.

Iza podążyła za nim do kuchni, gdzie istotnie wszystko wskazywało na to, jakoby ojciec przygotowywał duszoną wołowinę z warzywami. Odkąd pamiętała, to było jego popisowe danie. Zawsze lubił gotować, a po śmierci żony starał się to robić za każdym razem, gdy gosposia miała wolne dni. Odkąd Iza wyprowadziła się z domu, obywatel się bez pomocy domowej, a jedynie raz na miesiąc przychodziła kobieta, która przeprowadzała generalne porządki.

– To cud, że w ogóle usłyszałeś pukanie do drzwi – zauważyła Iza. Kuchnia była znacznie oddalona od wejścia do mieszkania, a w dodatku dźwięki muzyki były tu zdecydowanie głośniejsze niż w holu. – Kiedy wreszcie naprawisz dzwonek?

– Nie chce mi się zajmować podobnymi sprawami. – Wzruszył ramionami, wyciągając z szuflady patelnię. – Zresztą, dobrze wiesz, że odgłos dzwonka u drzwi zawsze działał mi na nerwy.

– Nie wiem tylko dlaczego. – Próbowała się roześmiać. – Ciągłe tęsknisz za kołatką u drzwi? Jesteś bardzo staroświecki.

– Chyba tak.

„Pewnie dlatego postanowiłeś nie wymieniać tych starych szafek na nowe i bardziej funkcjonalne” – chciała dodać wesoło, ale tego nie zrobiła. Wiedziała, dlaczego ojciec nie chciał żadnych zmian w tym domu. Wszystko, co się tu znajdowało, miało związek z Joanną. Przed laty razem urządzali to mieszkanie, wspólnie decydowali o każdym zakupionym sprzęcie. Pozbycie się którejkolwiek z tych rzeczy nie wchodziło w grę, nad tym nawet nie warto było dyskutować ani tego komentować.

„Wciąż ją kochasz, wciąż tak samo, niezmiennie, od wielu lat” – myślała, obserwując ze wzruszeniem kręcącego się po kuchni ojca. „Żywa czy martwa, jest ci jednakowo droga. Dla ciebie zresztą nigdy nie umarła. Nigdy nawet nie brałaś pod uwagę, by związać się z kim innym, ułożyć sobie jakoś życie. A chętnych kobiet nie brakowało. Tylko ty ich nie zauważałaś”.

– Przecież nie jestem sam. Mam moją córeczkę – odpowiedział jej przed laty, gdy próbowała zagadnąć go w tej sprawie. A potem, gdy Iza wyprowadziła się do Paryża, mawiał, że samotność mu nie przeszkadza. Ma wystarczająco dużo pracy na uczelni, gdzie otaczają go tłumy ludzi. Dom jest dla niego niczym spokojna przystań po pobycie na wzburzonym morzu. I najlepiej czuje się w towarzystwie swoich wspomnień.

„Miała szczęście, że pojawiłeś się w jej życiu” – wróciła myślami do matki. „Nigdy jej nie zawiodłeś, zawsze mogła na ciebie liczyć. Kochałaś ją w sposób tak oddany i bezinteresowny. Nie tylko ty. W ogóle miała szczęście do mężczyzn,

którzy byli gotowi poświęcić wiele dla jej dobra... Nawet dobro własnych rodzin. Czy była tego warta?"

Myślała teraz o Maćku Boguszewskim, który zaniedbał w pewnym momencie żonę i dziecko, a niewiele brakowało i straciłby pracę, bo tyle czasu poświęcał na odszukanie dziecka własnej siostry. Myślała o Michale Zawilskim, który po jej wyjeździe do Francji nie potrafił być już szczęśliwy z własną żoną, i nawet jeśli rzeczywiście pragnął wydobyć ją z Polski po klęsce wojennej w trzydziestym dziewiątym roku, to zapewne tylko ze względu na Anię i może jeszcze Łukasza. Przecież potem, po zakończeniu wojny, wbrew wcześniejszym postanowieniom, zamiast natychmiast wracać do Polski, pozostał jeszcze przez dwa lata we Francji, aby spełnić pragnienie Joanny i znaleźć jej córkę, ich córkę. I nawet gdy dokonał tego cudu, nie spieszył się z powrotem do rodziny. Do Polski wrócił dopiero po śmierci Joanny, a wedle słów Podhoreckiego, co zresztą potwierdzały wspomnienia Anny, nie było w nim już dawnej radości. Także dawna miłość do żony już nie wróciła. Jego oczy świeciły się już tylko na widok Ani – tak to jakoś ujął Podhorecki. Może patrząc na nią, miał przy okazji przed oczami swoją drugą córkę, pozostawioną na Zachodzie?

Czy Joanna była tego warta?

Czy była warta udręki Solange, która w końcu wymogła na mężu, by porzucili bezpieczne życie we Francji i podjęli się ryzyka powrotu do komunistycznej Polski, co zresztą zakończyło się dla nich tragicznie? Czy była warta łez i niewątpliwego poczucia życiowej klęski własnej matki? Jak to dobrze, że Anna o tym nie wiedziała.

Czy Joanna zasłużyła na przywiązanie takiego człowieka jak Maurice? Czemu los bywa tak niesprawiedliwy, że najczulej kochani są ci, którzy na to nie zasługują?

Jak to w ogóle możliwe, by Maurice, znając przeszłość swojej żony, nadal tak ją chronił, kochał i rozumiał? Chyba że nie o wszystkim wiedział.

– Nie zapytasz mnie, dlaczego cię odwiedziłam, tak bez żadnej zapowiedzi?
– zagadnęła w końcu ojca.

– Niech pomyślę. – Zrobił taką minę, jakby się naprawdę zastanawiał. – Pewnie przechodziłaś obok.

– Nie dawałaś znaku życia od ponad miesiąca.

– Ty też nie.

Fakt. Mogła się spodziewać takiej riposty.

– Nie odwiedziłaś grobu Joanny w rocznicę jej śmierci.

– Skąd to wiesz?

– Bo właśnie wracam z Aix-en-Provence, a ciebie tam nie widziałam.

– Pojechałaś tam ze względu na tę rocznicę? – Wreszcie oderwał się od patelni i garnków i przyjrzał się jej uważnie.

– Tak, wiem, że do tej pory z własnej woli tego nie robiłam. – Zaczerwieniła się mimo woli. – Jednak tym razem...

– Ja też tam byłem – przerwał. – Tyle że z samego rana. Zaraz potem musiałem wracać. Po południu miałem wykłady.

„A więc Beatrice miała rację” – przemknęło jej przez myśl.

– Ciotka uważa, że się na nią gniewasz – poinformowała.

– Jeśli tak uważa, to znak, że wreszcie zaczyna coś rozumieć.

– Czy nie jesteś dla niej zbyt surowy? Uważasz, że zrobiła zbyt mało dla ciebie, dla mnie i dla Joanny?

– Dla twojej matki... – przerwał jej z dawnym rozdrażnieniem.

– Dla Joanny... – podkreśliła bezlitośnie Iza i dodała: – A może, twoim zdaniem, ciotka zrobiła dla nas zbyt wiele? Może za bardzo się starała? Może należysz do tych mężczyzn, którzy doceniają jedynie takie kobiety, które niewiele z siebie dają, o które trzeba ostro zabiegać, niż takie, które mają serce na dłoni?

– Mów, o co ci chodzi! – przerwał jej ostro, a ponieważ nigdy nie używał wobec niej takiego tonu, umilkła i zawstydzila się.

„Co mnie napadło, że go tak zaatakowałam? Przecież to zupełnie bez sensu”.

– Nieważne – westchnęła. – Martwiłam się o ciebie, to wszystko. Ale ponieważ widzę, że jesteś w dobrej formie, to mogę z czystym sumieniem ruszać dalej. Pojadę już.

– Poczekaj. – Głos ojca dobiegł ją, gdy stała przy drzwiach. – Jak by to wyglądało, gdybym wypuścił cię bez obiadu.

– Nie chcę ci przeszkadzać. Domyślam się, że zaprosiłeś kogoś na kolację.

– Przyjdzie mój stary przyjaciel, Bertrand, ale dopiero o dziewiątej wieczorem. Zresztą znasz go, możesz poczekać.

– Myślę, że wolelibyście porozmawiać sami. Wystarczy, że niespodziewanie spadłam ci na głowę.

– Obyś częściej robiła mi takie niespodzianki. No, ale nie zmuszam cię, żebyś nam towarzyszyła. Dwaj konserwatywni starcy, jak ja i Bertrand, to istotnie niezbyt atrakcyjne towarzystwo dla młodej kobiety. Niemniej zostań jeszcze trochę, przynajmniej ze dwie godziny. Dawno się nie widzieliśmy, pogadajmy.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się. – Przyznam, że narobiłeś mi apetytu tą wołowiną.

– Cóż, jak to mówią, przez żołądek do serca.

Usiedli naprzeciw siebie w salonie. Drzwi balkonowe pozostawały otwarte, dlatego w pewnym momencie usłyszeli głosy i śmiechy dzieci, wychodzących z budynku pobliskiej szkoły.

„Szkoła, do której chodziłam” – pomyślała Iza i poczuła ciepło w sercu. Nie tylko na wspomnienie dawnych koleżanek i nauczycieli. Także z powodu matki, która przez kilka pierwszych miesięcy odprowadzała ją na lekcje, a po

zakończonych zajęciach przychodziła odebrać ją ze szkoły, potem zaś – gdy Iza usamodzielniała się na tyle, by wracać do domu sama lub w towarzystwie innych dziewczynek – wyglądała za nią, stojąc w otwartych drzwiach balkonowych.

Gdy jej zabrakło, Iza, wracając do domu, nie od razu odzwyczaiła się od nawyku patrzenia na pusty balkon. Od lat nie wracała już do tamtych wspomnień – dopiero dziś, gdy usłyszała głosy przechodzących koło kamienicy dzieci. Tak się jakoś składało, że jej rzadkie wizyty w Lyonie wypadały na ogół w terminach wolnych od zajęć szkolnych.

Maurice jednak często słyszał wracających ze szkoły uczniów. I także nosił w sercu swoje wspomnienia. Czy hałasy z dołu mu nie przeszkadzały? Iza nie miała odwagi zadać mu tego pytania. Zamiast tego usłyszała jego pytanie, i to w dodatku takie, jakiego się zupełnie nie spodziewała:

– Powiedziała ci, prawda? – Jego spojrzenie było smutne, pełne rezygnacji, a ponieważ odpowiedziała mu pełnym zaskoczenia wzrokiem, dodał: – Beatrice powiedziała ci o wszystkim?

– Nie wiem, czy o wszystkim – odparła po chwili. – Nie jestem pewna, co rozumiesz pod pojęciem „wszystko”. Ale chyba tak. To, co było dla mnie najważniejsze... powiedziała.

Zapadło milczenie, a ponieważ hałasy pod balkonem także ucichły, na chwilę zapanowała kompletna cisza. Oboje uciekli od siebie wzrokiem i dopiero po pewnym czasie, który Izie wydał się wiekiem, znowu poczuła na sobie spojrzenie ojca.

– I...? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, choć jednocześnie oczy jej się zaszkliły.

– I nic – powiedziała, ale pozornie nonszalancki ton, jaki przybrała, zabrzmiał tak fałszywie, że znowu się zaczerwieniła. Mimo to kontynuowała: – Świat się nie zawalił. Życie przecież toczy się dalej. – Nie wytrzymała jednak pełnego przejmującego smutku spojrzenia ojca. – Jak odgadłeś, że już wiem? Że wiem o tym od ciotki?

– To akurat nie było trudne – mruknął.

– Wiem, że... przemówiliście się w tej sprawie, ale...

– Przemówiliśmy się?! – prychnął. – To była awantura, jakiej nie mieliśmy od kilkadziesiąt lat, odkąd pobiliśmy się o foremki w piaskownicy. Biedny Frederick nie miał pojęcia, co z nami zrobić. Zapowiedziała, że powie ci o wszystkim, jak tylko trafi się okazja. Że skoro zaczęłaś drążyć sprawę, to jako dorosła osoba masz prawo wiedzieć wszystko. Co innego, gdyby kompletnie cię to nie obchodziło, jak przed laty. Zdaniem Beatrice wciąż traktuję cię jak małą dziewczynkę. I takie tam dyrdymały w jej stylu. No to odgryzłem się jej, wypominając jej Rogera. No i... sama się już domyślasz...

Iza z trudem stłumiła uśmiech i ujęła ojca za dłonie.

– A nie miała trochę racji? – spytała z lekką przekorą w głosie. – Nie traktujesz mnie przypadkiem jak małej dziewczynki?

Opuścił ramiona i odwrócił od niej wzrok.

– Ciotka wspomniała, że obawiałeś się mojej reakcji... jeśli się dowiem.

Maurice skinął niechętnie głową.

– Zapewne chciałeś, abym koniecznie zachowała jak najlepsze wspomnienie o własnej matce, która była w dodatku kimś tak ważnym dla ciebie – kontynuowała Iza. – A tymczasem to, co zrobiła przed laty, nie stawia jej w najlepszym świetle, oględnie rzecz ujmując. Skoro jednak zdecydowałeś, że mogę przeczytać jej wspomnienia, i pragnąłeś, abym chociaż w ten sposób się do niej zbliżyła, to nie powinienes odmawiać mi prawa do poznania jej także od tej niezbyt chwalebnej strony.

– Ja tylko chciałem...

– Wiem, czego chciałeś. Ale uczciwiej by było, abym sama wyrobiła sobie pogląd na moją matkę. Może wtedy, paradoksalnie, stałaby się dla mnie kimś bliższym niż jako Joanna Seigner.

Maurice podniósł się powoli z kanapy, łagodnie oswabadzając dłonie z uścisku przybranej córki.

– Tak jak myślałem, Beatrice nie dała mi wyboru. Dobrze, niech jej będzie. Niech wam będzie. Właściwie od początku powinienem był wiedzieć, że w sporze z kobietami jestem bez szans. I tak zawsze w końcu im ustępowałem. – Podszedł ciężkim krokiem do komody w rogu pokoju i wyjął z niej cienki zeszyt.

– Zapiski Joanny. – Natychmiast się domyśliła. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. – Zawsze miałam wrażenie, że te, które mi dałeś poprzednio, były starannie wyselekcjonowane i niekompletne.

– Te, które widzisz teraz, pokazała mi następnego dnia po tym, gdy zaproponowałem jej małżeństwo – odezwał się po chwili nieco zmieszany Maurice.

„Następnego dnia po waszej pierwszej wspólnej nocy” – skojarzyła Iza, sięgając pamięcią do znanego jej fragmentu wspomnień matki. Nie była tylko pewna, czy Maurice pamiętał, że w zeszycie, który jej przed laty przekazał, znajdowała się wzmianka na ten temat. W dodatku nie byle jaka wzmianka. Jego zmieszanie mogło sugerować, że nie miał co do tego pewności, a była to kwestia, o której niekoniecznie chciał i potrafił rozmawiać z córką.

– To na pewno dla ciebie cenna pamiątka – zasugerowała miękko, przejmując od niego notatki.

Obojgu drżały przy tym dłonie.

Na moment się zachnął i aby zyskać na czasie, zdjął i przetarł okulary.

– Zaproponowała, abym to przeczytał. „Powinienes wiedzieć, z kim chcesz się związać” – tak to ujęła. Nie jest tego dużo, sama widzisz. Potem jeszcze dopowiedziała mi to i owo, rozmawialiśmy przez wiele godzin. Gdy umarła,

schowałem ten zeszyt w moim biurku i zamknąłem szufladę na klucz.

– Dlaczego po prostu go nie spaliłeś? – próbowała żartować, nadaremno walcząc z ogarniającym ją coraz silniejszym wzruszeniem.

– Myślisz, że nie przyszło mi to do głowy? – Na moment podchwycił jej ton, ale zaraz na jego twarz powrócił nostalgiczny uśmiech, w którym kryły się smutne wspomnienia. – Nie potrafiłem tego zniszczyć. Jej pismo... – Potrząsnął głową. – Teraz to należy do ciebie. Przeczytaj. Wysłuchaj jej. To nie będzie łatwe, ale postaraj się nie oceniać jej zbyt pochopnie. Była wtedy taka młoda... A teraz, wybacz, zostawię cię na chwilę. Muszę zajrzeć do garnków i sprawdzić, jak się miewa nasz obiad.

Ostatnie zdanie starał się wypowiedzieć innym, weselszym tonem. Izie przyszło nawet do głowy, że może faktycznie poczuł ulgę na myśl, że nie będzie miał już przed nią tajemnic. Skoncentrowana na trzymanym w dłoniach zeszycie, nie spostrzegła, że Maurice nie opuścił jeszcze salonu, lecz uważnie się jej przyglądał. Toteż drgnęła zaskoczona, gdy niespodziewanie usłyszała jego głos nad swoją głową.

– Opowiesz o tym swojej siostrze? – spytał.

W jednej chwili zrobiło jej się gorąco.

– Nie. Annie byłoby trudno... – Nie potrafiła dokończyć. Twarz jej spurpurowiała.

– Byłoby jej trudno zrozumieć? – podchwycił Maurice, a w jego dobrotliwym tonie kryło się coś bardzo poważnego i niepokojącego. – I ty masz pretensje do mnie, że miałem podobne obawy co do twojej reakcji? Robisz dokładnie to samo, co ja do tej pory. – Wzruszył ramionami i odchodząc do kuchni, rzucił jeszcze przez ramię: – Czy to znaczy, że ty masz prawo do pełnej wiedzy, a twoja siostra... nie?

ROZDZIAŁ 36

Rok 1935

Przerażała mnie sama myśl o tych świętach, ale przewidziałam to, zanim jeszcze Podhorecki przyjechał po mnie do Warszawy i wyjawiał mi „wielką nowinę”. I bez tego nie miałam ochoty tam jechać, ale nie było żadnej możliwości, aby tego uniknąć. Na samą myśl o pierwszych świętach Bożego Narodzenia bez ojca serce pękało mi z żalu. Wciąż za nim płakałam, a tymczasem w moim rodzinnym domu miejsce ojca zajął zupełnie obcy mi człowiek. Zajął jego miejsce przy stole w jadalni, wydawał polecenia jego służbie i dzierżawcom folwarków, dosiadał jego koni, prawdopodobnie zajął jego dawny gabinet. Zajął też jego miejsce w łóżku... u boku mojej matki.

Nie wyobrażałam sobie, jak zdołam to znieść i na to patrzeć. Tysiąc razy bardziej wolałabym zostać na święta w szkolnym internacie, tak jak to miało miejsce w przypadku bodaj dwóch czy trzech moich koleżanek. Z pewnością byłoby mi w tym towarzystwie o niebo lepiej. Nie miałam jednak wyjścia, musiałam się podporządkować woli matki. Pocieszała mnie jedynie myśl, że kiedy skończę szkołę i stanę się zupełnie dorosła, matka nie będzie mogła niczego mi już zabronić ani nakazać. Nie byłam wprawdzie zupełnie pewna, jak to wygląda od tak zwanej strony prawnej, ale postanowiłam, że tak czy owak, dopnę swego. W razie czego wymuszę na matce zgodę na mój wyjazd na zagraniczne studia. Przypomnę jej, że taki był plan ojca i że przeznaczył on na ten cel specjalny fundusz. A jeśli i to nie pomoże – musiałam się przecież liczyć z tym, że wola pierwszego męża niewiele dla niej znaczyła, skoro przestała się go już obawiać – urządzę jej takie piekło, że sama zapragnie pozbyć się mnie z domu.

Ta myśl podniosła mnie trochę na duchu i pozwoliła raźniej spojrzeć w przyszłość. Także tę najbliższą. Postanowiłam, że skoro nie mogę uniknąć Bożego Narodzenia w „rodzinnym gronie”, postaram się to znieść z podniesionym czołem. Przypomniałam sobie słowa ojca, który mówił, że jeśli nie można ominąć jakiejś przeszkody czy innej niedogodności życiowej, to trzeba jej wyjść naprzeciw i śmiało spojrzeć w twarz. Nie pokazywać po sobie strachu czy niepewności, choćby wszystko w człowieku kurczyło się z przerażenia, a serce pękało z żalu. Nie jest bohaterem ten, kto się nie boi, lecz ten, kto umie opanować obawę i zwątpienie. Liczyć się także trzeba z ewentualnością przegranej i koniecznością zawarcia przymusowego kompromisu. Lecz przecież nic nie trwa wiecznie – ani dobro, ani zło. Rozterki są cechą ludzką, ale największą cnotą jest cierpliwość i umiejętność wyczekania na ten właściwy czas, gdy można działać. Gdy można odnieść zwycięstwo. To była cecha największych wodzów i mężów stanu. Na tym polega

dobrze prowadzona polityka.

„Pojadę do Bolesławic” – pomyślałam podniesiona tą refleksją na duchu. „Będę ich tam wszystkich ignorować na tyle, na ile się tylko da: moją matkę, dla której zwykła przyzwoitość jest pojęciem nieznanym lub czymś, z czym nie trzeba się w życiu liczyć, a także mojego brata, który zawsze był słaby i bez charakteru. Ojciec miał rację, gdy uważał ich oboje za najbardziej niezdarne i nieporadne istoty, z jakimi przyszło mu się zetknąć w życiu”.

Zawilskiego zaś traktowałam jak powietrze od dnia, kiedy został mężem mojej matki, a fakt, że od tamtego czasu nie bywałam w domu, bardzo mi to ułatwiał. To, że ponownie musiałam wziąć go pod uwagę w mojej strategii, wynikało jedynie z ponurej perspektywy wspólnego spędzania świąt. Będę wobec niego wyniosła i lodowata, do matki i do brata będę się odzywać tylko wtedy, gdy już nie da się tego uniknąć, i zrobię to w najbardziej niemiły sposób, na jaki mnie stać. Być może moje zachowanie sprawi, że matka odeśle mnie do szkolnego internatu jeszcze przed Nowym Rokiem. Niczego innego sobie nie życzyłam.

Czekałam więc spokojnie na Podhoreckiego i naprawdę szczerze ucieszyłam się, gdy go zobaczyłam. Lubiałam go ogromnie, oboje szczerze oplakiwaliśmy mojego ojca. Zawsze chętnie jeździł ze mną na cmentarz, aby odwiedzić jego grób.

– Jestem gotowa, możemy jechać – oświadczyłam, gdy tylko stanął przede mną w kozuchu i futrzanej czapie.

– Musi panienka coś wiedzieć – oświadczył nieoczekiwanie. – Oni tam we dworze gadali wprawdzie, że to ma być dla panienki niespodzianka, ale pewnie tak naprawdę nie o niespodziankę chodzi, a o zaskoczenie. Myślą, że zaskoczony człowiek spokojniej przyjmie do wiadomości pewne sprawy, ale co oni tam wiedzą! Niby wielkie państwo, a wcale się na ludziach nie znają. Ja tam wolę panienkę Joasię na to przygotować.

– Przygotować... na co? – spytałam, czując, jak mróz przechodzi mi wzdłuż kręgosłupa.

I wtedy mi powiedział, że moja matka dwa dni temu urodziła córkę. Dwa dni temu! Jezus Maria! Niespełna cztery miesiące po ślubie z tym...

Usiadłam na skrzyni w holu szkolnego internatu i w tym momencie byłam absolutnie pewna, że nie zdołam już wstać i utrzymać się na nogach. Wszystkie moje wcześniejsze postanowienia, aby dumnie i hardo potraktować rodzinę, tym samym zmuszając ją, aby dała mi spokój, runęły jak domek z kart. Byłam wtedy absolutnie pewna, że nie zdołam tego zrobić. Pozostawało mi więc jedno – nie jechać.

– Nigdzie nie jadę – oświadczyłam chmurnie.

Podhorecki, pocziwiec, pokiwał głową ze zrozumieniem, ale zaraz odrzekł, że mój opór na nic się nie zda.

– Zmyją mi głowę, zem panienki Joasi nie przywiózł, a pewnie jeszcze

z posady wyrzucą. Powiedzą, że zbuntowałem Joasię przeciwko rodzinie.

– Niby kto? Zawilski nie ma prawa was zwolnić – zaperzyłam się i zaraz pożałowałam, że tak się zapomniałam i wymieniłam nazwisko tego człowieka. Sama nie wiem czemu, ale gdy usłyszałam obawy Podhoreckiego, od razu przyszedł mi do głowy drugi mąż mojej matki. Pewnie z góry założyłam, że moja matka zachowuje się przy nim jak przy moim ojcu – czyli jak bezwolna, niemająca własnego zdania lalka. Toteż zdziwiłam się, gdy Podhorecki odparł, że nie miał na myśli Zawilskiego.

– On jest miły dla ludzi – zamruczał trochę zmieszany. – On się do nas, służby, nie miesza. To raczej matka Joasi i jej syn, Łukasz... Oni by mi nie darowali, jakbym panienki na święta nie przywiózł. A potem moja kobieta żyć by mi nie dała, jakbym bez pracy i zajęcia został. – I, najwyraźniej korzystając z mojego niewątpliwego zaskoczenia opinią, jaką wyraził na temat ojczyma, dodał tonem perswazji: – Ja tylko chciałem Joasię przygotować na to, co tam zastanie, ale broń Boże, abym buntował przeciw rodzinie. Przecież ja wiem, że Joasia i bez tego jest wierna pamięci ojca. Świeć, Panie, nad jego duszą. No to jak będzie? Jedziemy?

Cóż miałam zrobić! Nie chciałam narobić kłopotów człowiekowi, którego mój ojciec w pewnym momencie traktował bardziej jak oddanego druha niż pracownika. Tym bardziej jednak zawzięłam się przeciw matce i temu wymoczkowi, Łukaszowi. Jakże żałowałam, że Maciek nie wybierał się na święta do Bolesławic. Został w Paryżu, po śmierci ojca coraz mniej go wiązało z rodzinnym domem. Kiedyś przyjeżdżał, choćby po to, by zażarcie podyskutować z ojcem, o co długo miałam do niego pretensje, zanim po latach pojęłam, że oni obaj potrzebowali tej szczerzej wymiany zdań i choć skakali sobie do oczu, to w pewnym sensie szanowali się nawzajem – do tego jednak żaden z nich nawet na torturach by się nie przyznał. I tacy byli do siebie podobni. Ojciec go potrzebował, bo z Łukaszem nie miał o czym rozmawiać, a nawet najbardziej ukochana córka nie mogła mu wypełnić tych przestrzeni w sercu, które miał zarezerwowane dla syna.

Bałam się, że na wiadomość o ślubie macochy Maciek odmówi jakichkolwiek odwiedzin w Bolesławicach, na szczęście zapowiedział swój przyjazd na kilka letnich tygodni. Święta jednak spędzał we Francji.

Na podjeździe pałacu czekała na mnie moja dawna niania Gabriela i żona Podhoreckiego – Jadwiga.

Nieco zakłopotane wyjaśniły, że matka nie mogła zejść na dół, ale czeka na mnie w swoim pokoju „z niespodzianką”. Przyjęłam to bez słowa, w domu przywitałam się z resztą służby. Nikt z tych ludzi nie patrzył mi w oczy, zrobił to dopiero mój brat, który jako jedyny przedstawiciel rodziny oczekiwał mnie w salonie.

– Mama nie mogła zejść. Prosi, abys poszła do jej sypialni – oświadczył, szczęśliwie oszczędzając sobie i mnie hipokryzji kurtuazyjnego powitania.

– Dobrze – odparłam, siląc się na obojętność, i chyba dobrze to odegrałam, bo poczerwieniał z lekka, gdy usłyszał ton mojego głosu. Tym bardziej że zamiast pobiec na górę do matki, poprosiłam Gabrielę o filiżankę gorącej herbaty.

– Idź natychmiast do mamy – syknął przez zaciśnięte szczęki.

Biedaczysko, przy swoim niewysokim wzroście i chudej, wręcz patykowatej sylwetce nie wyglądał nawet na te swoje piętnaście lat. Może gdyby nie był takim żalonym maminsynkiem i potrafił choć od czasu do czasu wydusić z siebie coś interesującego, nie sprawiałby wrażenia takiego smarkacza.

– Co się odwlecze, to nie uciecze. – Wzruszyłam ramionami, chichocząc z niego w duchu. Odeszła mi jednak chęć do śmiechu, gdy sobie przypomniałam, co zastanę na górze w pokoju matki. – Muszę się napić herbaty, zmarzłam po drodze – dodałam tonem urzędowego wyjaśnienia.

– Masz być dla niej miła.

– Kiedy przyjechałeś do domu? Myślałam, że Podhorecki zabierze nas oboje – spytałam, całkowicie ignorując jego słowa.

– Jestem tu od tygodnia. Nie wyobrażałem sobie, że mogłoby mnie nie być...

– Zawiesił teatralnie głos. Prawdopodobnie myślał, że tym sposobem rozbudzi moją ciekawość.

Udałam, że nie zwróciłam na to uwagi, a zamiast tego podziękowałam pokojówce za herbatę. Wiedziałam, że mój biedny brat dłużej tego nie znieśie i zaraz wszystko wypaple. I oczywiście instynkt mnie nie zawiódł.

– Mamy siostrę – oświadczył takim tonem, jakby odczytywał co najmniej akt ustanowienia Konstytucji. – Powinnaś natychmiast pójść do mamy i zobaczyć dziecko.

Udało mi się ukryć przed nim fakt, że w tym momencie oparzyłam sobie przetyk wyjątkowo gorącą herbatą. Tak naprawdę od początku nie miałam na nią ochoty. Teraz z trudem powstrzymałam chęć, by nie chlusnąć tym wrzątkiem w twarz tego żalnego cherlaka, co do którego nasz ojciec od dawna nie miał już żadnych złudzeń, i wobec tego chłopakowi pozostało jedno – ucześcić się spódnicy mamusi.

– Nic cię to nie obchodzi? – Patrzył na mnie wybałuszonymi ze zdumienia i oburzenia oczami.

– Brawo. Zgadłeś – odparłam ze zjadliwą ironią.

Nie było to jednak prawdą.

Poszłam oczywiście do matki. Nie miałam innego wyjścia. Leżała w łóżku, była bardzo blada, źle wyglądała. Poród musiał być dla niej nie lada wyzwaniem. Nie była już pierwszej młodości. Jak by na to nie patrzeć, dwoje jej starszych dzieci miało już odpowiednio szesnaście i piętnaście lat. Może w innych okolicznościach postarałabym się być dla niej miłsza, ale wtedy mogłam zdobyć się jedynie na pełną rezerwy grzeczność.

Dlaczego to zrobiłaś? – chciałam jej krzyknąć w twarz. Dlaczego tak ośmieszylaś siebie i nas? Nie odmówiłabym ci prawa do miłości i szczęścia, skoro tak tego potrzebowałaś, ale mogłaś choć trochę z tym poczekać. Tak trudno było dotrzymać, zgodnie ze zwyczajami, przyjętego okresu żałoby? Pewnie tak, skoro już w tym samym miesiącu, gdy umarł ojciec, zaszłaś w ciążę z innym mężczyzną. Zresztą już wcześniej zostałaś jego kochanką. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co czułam, gdy podczas twojego pospiesznie zawartego ślubu słyszałam za moimi plecami kpiny na ten temat? Jeden rok, mamó, choć jeden rok mogłaś z tym poczekać, a może teraz wszystko wyglądałoby inaczej. Może w ciągu tego roku nauczyłybyśmy się ze sobą rozmawiać. Teraz już na to za późno. Zmarnowałaś szansę.

To właśnie chciałam jej wtedy powiedzieć, ale już nie widziałam w tym sensu. Pokojówka pokazała mi noworodka. Od niechcenia jedynie rzuciłam nań okiem. Nie czułam nic. Dziecko nie wzbudzało we mnie żadnych emocji – ani pozytywnych, ani negatywnych. Podjęłam przecież decyzję. Przy pierwszej nadarzającej się okazji odejdę z tego domu i nawet się nie obejrzę.

Wychodząc z pokoju matki, prawie wpadłam na niego. Zgadłam, że pewnie dopiero co wrócił do domu.

– Dzień dobry – zagadnął i uśmiechnął się przyjaźnie. – Cieszę się, że już dojechałaś. Wyjątkowo paskudny dziś wieczór. Zawieja i ostry mróz. To niedobra pogoda na podróżowanie.

Tyle razy wcześniej planowałam, że gdy już przyjdzie mi stanąć oko w oko z porucznikiem Zawilskim, nie odezwę się do niego słowem. Ewentualnie odburknę coś na odczepnego, ale w taki sposób, by skutecznie go zniechęcić do kolejnych prób nawiązywania ze mną rozmowy. A jednak wszystko odbyło się nie tak, jak to sobie wyobrażałam. Sama już nie wiem, czy to dlatego, że uśmiechał się tak miło, niezobowiązująco, czy może dlatego, że zagadał do mnie w taki niewymuszony, naturalny sposób – w każdym razie ja też się do niego uśmiechnęłam i uprzejmie podziękowałam za troskę. Swoje też zrobiła – i to ponad wszelką wątpliwość – pozytywna opinia, jaką wystawił o Michale Zawilskim Podhorecki. A ordynans mojego ojca z całą pewnością nie chwaliłby drugiego męża mojej matki, gdyby ten naprawdę nie zyskał uznania w jego oczach. Dość, że porucznik z miejsca mnie ujął, choć przecież to nie było nasze pierwsze spotkanie.

Wcześniej jednak, gdy jeszcze przed ich ślubem odwiedzał moją matkę, ostentacyjnie wyruszałam na cmentarz lub szukałam jakiegokolwiek okazji, by nie przebywać wtedy w domu. Natomiast podczas ceremonii ślubnej bardziej koncentrowałam się na obserwowaniu reakcji zaproszonych gości i wysłuchiwaniu ich pikantnych, „dowcipnych” komentarzy niż na parze nowożeńców. A potem przez całe miesiące nie zaglądałam do domu. Nikt także nie ciągnął mnie tu na siłę – przynajmniej już wiedziałam dlaczego. Dopiero tego grudniowego wieczoru tak

naprawdę miałam po raz pierwszy okazję, by lepiej poznać człowieka, dla którego moja matka straciła głowę i zlekceważyła zasady, według których ją wychowano. Siedząc obok niego przy stole podczas kolacji, już tak bardzo się jej nie dziwiłam. Był młody, przystojny, miał w sobie wiele – rzekłabym – chłopięcego jeszcze uroku. To raczej jego zainteresowanie osobą mojej matki mogło nieco zdumiewać. Była od niego osiem lat starsza i tę różnicę wieku dało się zauważyć. Zwłaszcza wtedy, gdy matka, niedługo po porodzie, nie wyglądała korzystnie.

Owego pierwszego wieczoru po moim przyjeździe obserwowałam, jak rozmawiał – wesoło i bez żadnego przymusu – z moim bratem, i przestawałam się dziwić Łukaszowi, że tak go polubił. W obecności naszego ojca Łukasz nigdy tak swobodnie nie perorował, nie śmiał się i nie opowiadał – wprawdzie wątpliwej jakości, niemniej zabawnych – żarcików, które usłyszał od szkolnych kolegów. Ojczym go nie onieśmiał, wręcz przeciwnie, zdawał się akceptować i przyklaskiwać różnym jego pomysłom. Na tyle zrozumienia ze strony rodzzonego ojca mój brat faktycznie nie mógł nigdy liczyć.

Sama niewiele się odzywałam przy stole, ale nie dlatego, że chciałam za wszelką cenę dochować wierności wcześniejszym, wrogim wobec rodziny, postanowieniom. Przyszło mi tylko do głowy, że w obecności obu kompanów, tak dobrze się czujących w swoim towarzystwie, niewiele mam do powiedzenia, choć także nieźle się bawię. Spostrzegłam przy tej okazji, że usługująca nam służba zachowywała się tak swobodnie jak nigdy wcześniej. „Rzeczywiście – pomyślałam – inaczej bywało w tej jadalni, gdy naprzeciwko siebie siedzieli moi rodzice, a przy stole na ogół panowało złowrogie milczenie. Słyszać było jedynie brzęk szklanek i sztuczków, a i to nie za głośno. W tamtych warunkach usługująca przy stole służba niemal bała się oddychać. Aż tyle zmieniło się w atmosferze tego domu przez zaledwie kilka miesięcy. I sprawiła to obecność mojego ojczyma – człowieka, który przybył z zupełnie innego świata”.

Kładąc się potem do łóżka, byłam już pewna, że świąteczne ferie nie będą wcale tak przykrym przeżyciem, jak pierwotnie zakładałam, i że być może wcale nie będę nakłaniać mojej matki, aby odesłała mnie do szkolnego internatu jeszcze przed Nowym Rokiem.

Tak też się stało, a w zmianie mojego nastawienia bardzo pomógł fakt, że w zasadzie zostawiono mi całkowitą swobodę. Mogłam spędzać czas tak, jak chciałam. Nikt mnie nie zmuszał, abym godzinami siedziała przy matce. Nikt też nie nakłaniał, abym poświęcała więcej uwagi noworodkowi. Całe szczęście, bo moje podejście do tego dziecka nie zmieniało się w miarę upływających dni. Najwidoczniej jednak rodzina uznała, że potrzebuję czasu, a zmuszanie mnie do czegokolwiek może przynieść skutki odwrotne do oczekiwanych.

Wędrowałam po zaśnieżonym lesie, spacerowałam nad pokrytym lodową taflą stawem, rozglądałam się z zachwytem po pokrytych białym puchem łąkach.

Bolesławice były tak samo piękne i zadbane jak za życia po mojego ojca. Jego śmierć nie oznaczała końca majątku. To, co przed laty stworzyli jego dziadkowie, a on rozbudował i uświetnił, w dalszym ciągu funkcjonowało w pełnym rozkwicie. Wszędzie widać było rękę dobrego gospodarza, a ja nie miałam cienia wątpliwości, że to nie o moją matkę chodziło. To musiał być ktoś energiczny, z głową pełną pomysłów, przedsiębiorczy i pracowity. To musiał być ktoś, kto kochał Bolesławice, a ona ich nie znosiła. Wiedziałam o tym od lat, choć niczego takiego mi nie powiedziała. Nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, kto z takim oddaniem kontynuował dzieło mojego ojca. Nawet gdyby Podhorecki mi tego nie wyjawiał, też bym odgadła. Możliwość była tylko jedna. Był to mój ojczym.

Potem jednak wróciłam do szkoły, do Warszawy, i zajęłam się nauką oraz przygotowaniem do egzaminów maturalnych. Tym także wytłumaczyłam się przed matką z mojej nieobecności w domu podczas Świąt Wielkanocnych. Muszę się uczyć, oznajmiłam, nie mogę sobie pozwolić na kilkudniowe wyjazdy. Święta spędziłam w Warszawie u kuzynki ojca, która tym razem także nie opuszczała miasta.

– Nie jesteś ciekawa twojej małej siostrzyczki? – spytała ciotka.

– Już ją widziałam – odparłam krótko.

– Ejże! Zaraz „widziałam” – zaśmiała się ciotka. – Widziałas raptem kilkudniowego oseska. Teraz to już kilkumiesięczna dziewczuszka.

Nie miałam zamiaru wdawać się w żadne dywagacje na ten temat, więc milczałam.

– Nadal boczysz się na matkę za jej drugie małżeństwo? Przyznam, że wtedy wszyscy byliśmy szokowani. Ale skandal już dawno jest passé, zapewniam cię, że ludzie zajęli się szukaniem innych sensacji. Mało kto zajmuje się jeszcze romansami Hortensji i jej powtórnym małżeństwem. Ty także powinnaś to sobie darować. Powiem więcej – myślę, że sam Władysław jest pewnie rad, gdy z obłoków Pańskich wygląda i widzi, że jego ojcowizna ma tak zapobiegliwego nowego właściciela.

Słyszając to – przyznaję – poczułam się tak, jakby ktoś ugodził mnie sztyletem.

– Zawilski nie jest właścicielem Bolesławic – warknęłam. – Majątek odziedziczą moi bracia, a ja mam zabezpieczony posag i fundusz.

– Twoi bracia? – roześmiała się ciotka, bynajmniej niezrażona moją odpowiedzią. – Starszy z nich nie jest tym zainteresowany, a jeśli już, to jedynie w celu rozparcelowania wszystkiego między małych chłopów. Młodszy, Łukasz, to jeszcze wyrostek, który – nie oszukujmy się – nie ma żadnych zdolności do tego, by zarządzać majątkiem. Wątpię, czy kiedykolwiek się tego nauczy. Ty może byś się nadawała, ale masz muchy w nosie i z własną matką nie umiesz się dogadać. A ona pewnie niewiele tam robi, ale jednak coś znaczy. Dlatego powtarzam ci: jeśli już, wyrokiem Opatrzności, Władysław przeniósł się na tamten

świat, to jednak za prawdziwe zrzędzenie losu należy uznać fakt, że Bolesławicami zajął się ktoś taki jak Michał Zawilski. Gdybyś była mądrzejsza, doceniłabyś go i polubiła, zamiast grać rolę obrażonej księżniczki. A już z pewnością zdecydowanie lepiej byś na tym wyszła.

Nie wyjawiałam jej wtedy, że doceniłam już ojczyma i byłam na dobrej drodze do polubienia go. To był zresztą drugi – obok przygotowań do matury – powód, dla którego postanowiłam bywać w Bolesławicach jak najrzadziej, i to pomimo dojmującej tęsknoty. Nie mogłam bowiem pozbyć się poczucia... zdrady wobec pamięci ojca, tym razem mojej zdrady. Czym innym było docenianie pracy ojczyma dla majątku, a czym innym pamięć o tamtym niepokojącym szczeniackim uczuciu, którego zaczynałam doświadczać w ciągu kilkunastu dni ferii Bożego Narodzenia.

Gdy w styczniu wróciłam do Warszawy, natychmiast postanowiłam sobie wybić z głowy to zauroczenie. I udało mi się. Wolalam jednak nie kusić losu i nie pojawiać się w Bolesławicach częściej, niż to naprawdę było konieczne.

– Po maturze, tak czy owak, będziesz musiała tam wrócić i zamieszkać na stałe – przypomniała ironicznie ciotka.

– Na jesieni wyjadę do Paryża na studia – oznajmiłam zuchwale.

– Akurat. Nie licz na to, że Hortensja ci pozwoli. Jesteś zdecydowanie za młoda, a w dodatku zbyt niedoświadczona, aby matka wypuściła cię samą na taką eskapadę.

– Nie będę tam sama. W Paryżu na stałe przebywa Maciek. – Uznałam za wskazane przypomnieć ciotce pewne fakty. – A poza tym takie było życzenie ojca.

– Nawet on nie pozwoliłby ci jechać na studia, zanim nie skończysz osiemnastu lat. A teraz, gdy go zabrakło, Hortensja wreszcie weźmie cię w karby.

– Jeszcze zobaczymy! – krzyknęłam zapalczywie, oburzona i bardzo boleśnie dotknięta.

A jednak, w głębi serca, po raz pierwszy poczułam obawę, że ponure przepowiednie ciotki mogą się spełnić.

ROZDZIAŁ 37

– Matka nie pozwoliła jej wtedy na wyjazd do Paryża na studia – powiedział Maurice. – Jak należało przypuszczać, uznała, że siedemnastoletnia dziewczyna nie jest jeszcze gotowa na podobne doświadczenia. Wcale się nie dziwię. Na jej miejscu też bym na to nie pozwolił.

– W to akurat nie wątpię – odparła z przekąsem Iza. – Pamiętam, jak desperowałeś, gdy postanowiłam, że będę studiować w Paryżu, a nie w Lyonie. Tak jakbym już pierwszego dnia w stolicy miała paść ofiarą psychopaty.

– Zrozumiesz to, gdy dłużej pożyjesz i sama będziesz miała dzieci. Ale w przypadku Joanny los dopomógł Hortensji Zawilskiej, jakkolwiek to nie brzmi. Niedługo po maturze, ale już latem, podczas wakacji, Joanna miała wypadek podczas jazdy konnej. Na ogół nieźle sobie radziła jako jeździec, tym razem jednak chodziło o nowego, narowistego konia, a ona oczywiście nie słuchała niczyich rad i postanowiła udowodnić wszystkim dookoła, jak wielkie ma umiejętności. Cud, że nie skręciła karku. Skończyło się na złamaniu nogi.

– No proszę. Ona złamała nogę, a ty, kilka lat później, podczas wypadku na ulicy złamałeś rękę. I oboje dzięki temu wkręciliście się w romanse, które zaważyły na twoim i jej życiu. Dobrze się dobraliście także pod tym względem.

– Tak – westchnął Maurice. – Chyba masz rację. W pewnym sensie oboje byliśmy takimi życiowymi połamańcami.

– Było, minęło. – Trąciła go żartobliwie łokciem, widząc, że ponownie posmutniał.

– Było. – Pokiwał głową. – Ale czy minęło?

– Opowiadaj. – Tym razem pogładziła go łagodnie po ramieniu. – Niedługo muszę się zbierać do domu. Nie zapomniłeś jeszcze o wizycie Bertranda?

– Naprawdę nie miałabyś ochoty z nami posiedzieć? On z pewnością by się ucieszył.

– Innym razem, obiecuję. Teraz chcę posłuchać tylko ciebie, potem doczytać do końca jej zapiski, a następnie pobyć sama i poukładać sobie wszystko w głowie.

– Dobrze. – Z czułością dotknął jej policzka. – Niech tak będzie. Posłuchaj...

*

Jadąc już prosto do Paryża, Iza raz jeszcze odtwarzała to, co przekazał jej Maurice. To, co wyznała mu Joanna...

Po wypadku, jakiego doznała latem trzydziestego szóstego roku, nie mogło być już mowy o wyjeździe do Paryża. Owo „zrządzenie losu” zakończyło wszelkie spory w tej materii między nią a matką.

– Znowu stało się tak, jak ona chce. Zawarła jakiś pakt z siłami nieczystymi czy co? – zżymała się Joanna, leżąc na łóżku i mierząc ponurym spojrzeniem

zagipsowaną nogę.

– Ejże, nie przesadzaj – roześmiał się Maciek. – Sugerujesz, że dosiadłś półdzikiego, nieujeżdżonego rumaka za sprawą podszeptów czarnej magii? A może to w twojej mózgowicy zabrakło wtedy oleju? Niedługo zaczniesz oskarżać Hortensję o każdy deszcz, burzę, a nawet o dojście Hitlera do władzy w Niemczech.

– Wypraszam sobie takie porównania – oburzyła się. – Łatwo ci mówić. Niedługo wrócisz do Francji, a ja zostanę tutaj, bez żadnej możliwości uwolnienia się od nich wszystkich. Oszaleję w takim towarzystwie.

– I znowu przesadzasz. Szanse na to, aby matka pozwoliła ci w tym roku ze mną jechać, były i tak bliskie zeru. Wyjedziesz za rok, a przez ten czas popracuj jeszcze nad francuskim i na własną rękę postaraj się przerobić wstępny kurs. Będzie jak znalazł, gdy już się znajdziesz na pierwszym roku studiów.

– Wątpię, czy nawet za rok będzie to możliwe. Moja matka jest uparta i złośliwa. A teraz przynajmniej ma okazję, aby się zemścić.

– Zemścić? Na kim? Na tobie? – Maciek przestał się śmiać. W jego oczach dojrzała powagę i wyrzut. – Za co miałyby się na tobie mścić?

Zaczerwieniła się po uszy. Nie wytrzymała też jego spojrzenia.

– Jeśli chcesz być traktowana jak osoba dorosła, musisz zacząć tak się zachowywać – usłyszała. – Postaraj się ją zrozumieć. Niestety ojciec pozwalał ci na zbyt wiele. Pogódź się w końcu z tym, że jego już nie ma, i dostosuj się do nowej sytuacji. Dopiero wtedy wygrasz. Bezsensowne robienie jej na złość, narażanie zdrowia i życia przez ujeżdżanie narowistych koni, a potem gadanie o zemście nic ci nie pomoże. A przeszłości już nie przywrócisz.

– To co ja mam robić? – spytała zboliałym głosem, jakby wciąż jeszcze była małą dziewczynką.

– Najpierw poczekasz, aż ci się zrośnie złamana kość – zażartował, a po chwili dodał, już całkiem poważnie: – Potem poczekasz na mnie. Przyjadę za rok. Jeśli nadal będziesz chciała ze mną wyjechać, zrobisz to.

Uwierzyła. W każdym razie nabrała otuchy i postanowiła zacząć pracować nad konsekwentnym wprowadzaniem w życie swojego planu. Przez najbliższe trzy miesiące cierpliwie i posłusznie wypełniała polecenia doktora. Potulnie znosiła uwagi swojej poczciwej starej niani. Grzecznie, aczkolwiek bez specjalnej czułości odnosiła się do matki. Tolerowała odwiedziny Łukasza, który, zapewne wykorzystując fakt, że siostra nie może się sprawnie poruszać i na przykład demonstracyjnie wyjść z pokoju, przychodził do niej od czasu do czasu z malutką Anią w ramionach. Joanna znosiła także i to, choć dziecko nadal nie wzbudzało w niej cieplejszych uczuć. Wcielała przecież w życie swój plan, by spokojliwą (oczywiście do pewnych granic) postawą wyjednać u matki zgodę na wyjazd do Paryża. Wzięła też sobie do serca radę Maćka, by nie marnować czasu i nie

odkładać książek na półki. Czytała w oryginale francuską literaturę, szczęśliwie nie brakowało takowej w bolesławickich zbiorach bibliotecznych, poszerzała zakres słownictwa, rozwiązując przy tej okazji łamigłówni skomplikowanej francuskiej gramatyki, następstwa czasów, frazeologii i przyprawiających ją niekiedy o rozpacz konstrukcji zdań wielokrotnie złożonych. Że też francuscy pisarze wszystkich niemal epok literackich uwielbiali tak komplikować życie czytelnikom! Przy okazji schyliła też karku nad dawno już porzuconym podręcznikiem do łaciny.

Czas więc płynął szybko, aż wreszcie stanęła na nogi i mogła wrócić do ulubionych spacerów, choć rzecz jasna nie tak intensywnych jak przed wypadkiem. Mogła też po raz pierwszy po kilkumiesięcznej przerwie wybrać się na cmentarz, by odwiedzić grób ojca.

– Następnej jesieni wyjadę na studia, tato – powiedziała wtedy, patrząc na nagrobek z wyrytym tam imieniem i nazwiskiem ojca. – Spełnię marzenie swoje i twoje, tylko musisz mi pomóc. Maciek nie miał przecież racji, gdy mówił, że ciebie już nie ma. Zresztą, nawet on w głębi duszy tak nie myśli. Ja wiem, że jesteś... tam... gdzieś... Czuję to, więc mi pomóż. W razie gdybym sama nie dawała sobie z tym rady. Ty zawsze potrafiłeś przekonać matkę.

„Raczej nagiąć jej wolę do twojej” – przyszło jej w tym momencie do głowy, ale zaraz porzuciła tę myśl. Jak zawsze, gdy – niezbyt często wprowadzie, niemniej od czasu do czasu – nachodziły ją podobne spostrzeżenia.

Czy już wtedy, stojąc nad grobem ojca, miała niejasne przeczucie, że to wcale nie matka może zachwiać jej niezłomną dotąd decyzją o wyjeździe do Paryża? W każdym razie nie odważyła mu się przyznać do czegoś, czego w tym czasie doświadczała, choć tego akurat wcześniej nie zaplanowała, a do niedawna nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

Podczas długich tygodni rekonwalescencji zaprzyjaźniła się ze swoim ojczymem.

ROZDZIAŁ 38

Rok 1942

Jak mogło do tego dojść? Z perspektywy czasu myślę, że nie było to znowu coś aż tak niezwykłego. Moja historia, nasza historia, była taka, jakich wiele na tym świecie, i to zapewne pod niemal każdą szerokością geograficzną. A że moralnie wątpliwa? Tak, z całą pewnością, i nie zamierzam usprawiedliwiać ani siebie, ani jego. Nie będę dorabiać żadnej ideologii. Było. Stało się. Nie planowałam tego, ale w pewnym momencie wszystko wymknęło się spod kontroli. Pozwoliłam na to, aby uczucie, któremu wreszcie uległam, wydostało się spod władzy sumienia, rozsądku i wszystkich tych hamulców w głowie, które każą się w porę zatrzymać, wycofać, zawrócić. Wylączyłam je, pozwoliłam się unieść żywiołowi.

Czy żałuję, że tak się stało?

Nigdy nie pozwoliłabym, aby to tylko on był obarczony odpowiedzialnością za to, co zrobiliśmy oboje. To, że miałam wtedy osiemnaście lat, w żaden sposób nie umniejsza mojej winy. Michał był ode mnie o dziesięć lat starszy, pozostawał mężem mojej matki, ojcem... mojej siostry – te fakty nie były dla mnie tajemnicą. Byłam bardzo młoda, ale nie na tyle, by podejrzewać mnie o to, że postępowałam w sposób kompletnie nieświadomy. Wiedziałam jednak, że gdyby to się wydało, to na nim skupiłaby się cała niechęć rodziny i społeczeństwa, bo był ode mnie starszy, żonaty i miał dziecko. Toteż bardzo pilnowałam, abyśmy zachowywali się dyskretnie. I udawało się, prawie przez rok. Może właśnie fakt, że tak długo zdołaliśmy zachować w tajemnicy to, co nas łączyło, spowodował, że staliśmy się w pewnym momencie zbyt pewni siebie i za mało ostrożni? Bo tak naprawdę bałam się tylko na początku, potem chyba coraz mniej. Poza tym byłam coraz bardziej zaangażowana uczuciowo, a wtedy, jak wiadomo, łatwo popełnić błąd – zwłaszcza jeśli jest to uczucie pod względem społecznym nie do zaakceptowania.

Wszystko przecież w końcu się wydało, i to w sposób tak trywialnie zwykły, jak zapewne ogromna większość tego typu spraw. I wtedy oczywiście stało się dla mnie jasne, że mogę zrobić już tylko jedno – wyjechać z Bolesławic, by nigdy do nich nie wrócić. Zerwać na zawsze wszelkie więzy z matką, bratem i resztą rodziny. Nie było już odwrotu, skoro nie zawróciłam wcześniej z drogi, która miała zaważyć na życiu nas wszystkich. Przynajmniej teraz mogłam być pewna, że matka nie będzie próbowała mnie zatrzymać. Wręcz przeciwnie – niedwuznacznie dała mi do zrozumienia, że mam się jak najszybciej wynosić.

Ten jeden jedyny raz jej nie winiłam. Pragnęłam jednak coś jej wytłumaczyć. Nie, nie zamierzałam się przed nią korzyć ani przepraszać. Wbrew temu, co mi

powiedziała, nie byłam na tyle głupia, by ją przekonywać, że żałuję tego, co zrobiłam. Chciałam ją jedynie zapewnić, że nie zrobiłam tego po to, aby ją ukarać za jej drugie małżeństwo, czy wręcz za to, że była kochanką Michała, gdy jeszcze żył mój ojciec. Nie zależało mi, aby tak myślała. Wolałam, aby знаła prawdę. Że nawiązałam romans z jej mężem nie wbrew niej, ale dlatego, że w pewnym momencie bardzo tego zapragnęłam. Spodobał mi się, ujął mnie swoim niewymuszonym sposobem bycia, uśmiechem, życzliwością, niezaprzeczalnym urokiem. Nie powinnam była tego robić, ale tak się stało, gdyż dałam porwać się temu uczuciu. Bo w rozgrywce między sercem, zmysłami i rozumem wybrałam tak jak wielu ludzi na tym świecie. W każdym razie tak jak ona sama. Lecz nie zamierzałam jej skrzywdzić, zabierać jej męża i rozbijać małżeństwa. Nie, ja tylko chciałam...

Teraz myślę, że może dobrze się stało, że nie dopuściła mnie wtedy do głosu i nie pozwoliła mi tego wszystkiego powiedzieć. Prawdopodobnie nie wiedziałabym, jak uzasadnić, dlaczego to zrobiłam, skoro nie chciałam niszczyć jej rodziny, a zatem nie wiązałam z jej mężem żadnych dalekosiężnych planów. Może mimo wszystko lepiej, że myślała o mnie jak o podstępnej małej żmijce, która chciała się na niej odegrać, udowadniając, że nie powinna była angażować się w związek ze znacznie młodszym mężczyzną, bo, tak czy inaczej, pojawi się młoda kobieta lub dziewczyna, która okaże się skuteczniejsza od niej w przywiązaniu go do siebie. Może lepiej, aby myślała, że kierowała mną wyłącznie perfidia, a on po prostu mi się nie oparł, jak to nieraz bywało i będzie bywać na tym świecie w podobnych przypadkach.

Sądzę, że znacznie trudniej przyjęłaby fakt, że mnie i jej męża połączyła naprawdę silna więź, i to w bardzo szerokim tego słowa rozumieniu. Czy to była miłość, której podporządkowane są wszystkie decyzje w życiu, taka na dobre i na złe, na zawsze? Tego nie wiem. Zresztą tego typu przywiązanie potrzebuje czasu, by w pełni rozkwitnąć i dojrzeć, a my tego czasu nie mieliśmy. My żyliśmy chwilą, czekaniem na następną okazję, aby pobyć razem, tylko we dwoje, i nacieszyć się swoją obecnością. Nasycić się sobą, by potem niecierpliwie czekać następnej ku temu okazji. Zakazana miłość, ukradkowe spotkania mają w sobie wiele romantyzmu, ognia i namiętności, niemniej są raczej niepewnym podłożem do zbudowania czegoś trwałego, czegoś, co oprze się upływającemu czasowi. Można oczywiście zaryzykować i rzucając wyzwanie całemu światu, spróbować zniszczyć swoje dotychczasowe życie, by zbudować nowe... z kim innym u boku, ale to chyba rzadko się udaje. Znacznie częściej skazane jest na sromotną klęskę. Kradzione, pełne uniesień chwile ustępują miejsca szarej, bywa, że coraz bardziej monotonnej codzienności. Dotychczasowi romantyczni kochankowie niekoniecznie dobrze sobie z tym radzą. A poza tym chyba nie sposób odciąć się definitywnie od przeszłości. Nie sposób sobie wmówić, że wszystko jest w porządku, że ci, którym zniszczyliśmy

życie, jakoś sobie z tym poradzą. W każdym razie ja i Michał nie mieliśmy żadnych szans na wspólną trwałą przyszłość, ale nie robiąc sobie co do tego żadnych złudzeń, cieszyliśmy się każdą wykradzioną chwilą. Nie umieliśmy z tego zrezygnować, dopóki sprzyjało nam szczęście i nikt się niczego nie domyślał.

Erotyczna strona naszego związku była bowiem tym, co dawało nam obojgu ogromną satysfakcję. On wprowadził mnie w te obszary życia, które do tej pory były mi kompletnie nieznane. Jeśli wcześniej czasem o nich myślałam, to jedynie z niechęcią, by nie rzec – z obrzydzeniem. Nie wiedziałam wprawdzie, jak to wyglądało w przypadku moich rodziców, dość, że patrząc czasem na ich wzajemny chłód i wrogość, wyobrażałam sobie pod tym względem najgorsze rzeczy. A kiedy matka związała się z młodszym mężczyzną, do niechęci doszło jeszcze obrzydzenie... zarówno wobec niej, jak i wobec tej sfery życia, której ona nie potrafiła się oprzeć. Czas pokazał, że przynajmniej w tej ostatniej kwestii byłam do niej podobna. Uległam nawet temu samemu mężczyźnie, zapewne więc nasze doznania także musiały być podobne.

Jednak nie mogłabym jej tego wszystkiego powiedzieć. Dlatego po pewnym czasie uznałam, że dobrze się stało, że nie dopuściła mnie do głosu.

Czy w takiej sytuacji mogłam żałować tego, co jej zrobiłam? Przecież nie chciałam, aby się dowiedziała. Zakładałam, że w pewnym momencie wszystko i tak by się zakończyło. Pytanie tylko, w którym momencie i w jaki sposób?

A jak się to wszystko zaczęło? Bardzo zwyczajnie, chyba zresztą na ogół tak bywa. W naszym przypadku już w Boże Narodzenie trzydziestego piątego roku, choć wtedy jeszcze do niczego między nami nie doszło i, jak wiadomo, zapanowałam nad niepokojem, który zaczynał mnie ogarniać. Niewiele wówczas rozmawiałam z moim ojczymem. Raczej ukradkiem go obserwowałam. On – jak mi później wyznał – z trudem odrywał ode mnie wzrok, choć zainteresowała go już wcześniej – gdy oświadczył mi i Łukaszowi, że zamierza ożenić się z naszą matką.

– Spojrzałaś wtedy na mnie jak na najgorszego złoczyńcę, który włamał się do waszego domu – oznajmił mi później. – I zaraz wyszłaś z pokoju, trzasnąwszy drzwiami tak mocno, że niemal wypadły z framugi. „Nie przejmuj się nią, to wariatka” – powiedział mi twój brat. „Oczywiście, że wariatka – pomyślałam – ale jaka przy tym interesująca”. A to twoje chmurne spojrzenie miałem potem przed oczami jeszcze przez wiele miesięcy, zanim przyjechałaś na święta. Bo wtedy twoje nastawienie wobec mnie zaczęło się zmieniać, widziałem to.

Inni chyba także widzieli, jak w czasie tamtych pierwszych po ślubie matki feriach odtajałam. Jak powietrze po zimie, gdy zaczyna się robić cieplej. Nikt chyba jednak wtedy nie przypuszczał, że to dopiero preludium do prawdziwie gorącego lata. W dosłownym i przenośnym tego słowa rozumieniu.

Ja także wtedy nie brałam takiej możliwości pod uwagę. No, może trochę – przecież pod pretekstem przygotowań do egzaminów nie przyjechałam do domu na

Wielkanoc. Na lato jednak wróciłam.

Czasem zastanawiałam się, najpierw sama, a potem razem z nim, jak niewiele brakowało, by wszystko w naszym życiu ułożyło się inaczej. Wystarczyło, by matka zgodziła się na mój wyjazd do Paryża w towarzystwie Maćka. Nie wściekałabym się na nią i nie uległabym głupiej pokusie, by za plecami wszystkich wdrapywać się na świeżo zakupionego, nieujeżdżonego młodego konia. Nie złamałabym nogi i nie siedziałabym w domu unieruchomiona całymi tygodniami. Michał nie zacząłby mnie wtedy odwiedzać, początkowo pod pretekstem kurtuazyjnego dotrzymania mi towarzystwa, by potem bywać codziennie po dwie, a nawet trzy godziny. Znalazł ku temu dobry powód, nie do obalenia i w dodatku niewzbudzający niczyich podejrzeń. Świetnie znał francuski i dzięki temu mogłam doskonalić nie tylko podręcznikową, czy nawet literacką, znajomość tego języka, ale także ćwiczyć konwersację. Miałam styczność z żywym językiem. Przyznam, że dało mi to więcej pożytku niż nie najciekawsze pod tym względem lekcje w szkole.

A potem, gdy zaczęłam już – zgodnie ze wskazówkami doktora – wychodzić na niedalekie spacer, Michał chętnie mi towarzyszył. Nikt niczego nie podejrzewał, co najwyżej wszyscy wyglądali na zadowolonych, że wreszcie zaakceptowałam ojczyma. Matka czasem nam się przyglądała, ale nie wyglądała na zaniepokojoną. Czasem patrzyłam z okna, gdy z kolei oni oboje szli na przechadzkę i towarzyszyło im dziecko. Mała w tym czasie zaczynała chodzić i była przy tym bardzo absorbująca, dlatego matka dość szybko wołała nianię i oddawała jej dziewczynkę. Nie ulegało wątpliwości, że chciała jak najwięcej czasu spędzać tylko ze swoim młodym mężem, tak jak w pewnym momencie, zarówno dla mnie, jak i dla innych we dworze, nie ulegało wątpliwości, że on aż tak bardzo tego pragnienia nie podzielał. Kilka razy uparł się, by Ania została w ich towarzystwie, i nie pozwolił niani na zabranie małej. Kochał to dziecko, nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że kochał je chyba bardziej niż matka. Od samego początku to widziałam i pamiętałam o tym przez cały czas. Między innymi dlatego nigdy nie brałam pod uwagę, bym mogła zniszczyć tę rodzinę. Długo potem nie przyjmowałam do wiadomości, że przecież, tak czy inaczej, ją niszczyłam. I to niezależnie od moich planów na przyszłość.

Po urodzeniu dziecka matka się zmieniła, zwłaszcza fizycznie. Przedtem zawsze sprawiała wrażenie dużo młodszej niż w rzeczywistości. Gdy dorastałam, ona wciąż miała w sobie wiele dziewczęcego uroku. Potem niekiedy przychodziła mi do głowy bzdurna, ale i uporczywa myśl, że mój ojciec, umierając, zabrał ze sobą młodość swojej żony. Bardziej jednak racjonalnym powodem tego, że jej wygląd zmieniał się na niekorzyść, była ciąża, a potem urodzenie dziecka. Mówi się, że późne macierzyństwo czyni dojrzałą kobietę młodszą. Podobno jest to nawet naukowo potwierdzone. Jednak w przypadku mojej matki stało się odwrotnie. Straciła figurę, a jej miękkie, łagodne rysy twarzy nabrały jakiejś matronowatej

powagi.

Jak na złość Michał wyglądał niczym młody chłopak, nie miał jeszcze trzydziestu lat, a ci, którzy nie znali roku jego urodzenia, dawali mu znacznie mniej. Patrząc na nich, nie sposób było oprzeć się złudzeniu, że to matka i syn, względnie brat i dużo odeń starsza siostra. Nie tylko ja tak uważałam – mnie ostatecznie można by uznać za mało obiektywną w tej kwestii – ale sama ze dwa, trzy razy usłyszałam zupełnie przez przypadek komentarze służby na ten temat. „No cóż – pomyślałam – taki jest los kobiety, która wiąże się z dużo młodszym mężczyzną. Nic na to nie poradzę, że natura nie jest ani miłosierna, ani sprawiedliwa. Dlaczego się z tym nie liczyłaś, mamó?”

Jednak wtedy jeszcze nie brałam pod uwagę, że mogłabym wyjść poza granice przyjaźni, jaka dopiero zaczęła się nawiązywać między mną i moim ojczymem. W każdym razie lubiłam spędzać czas w jego towarzystwie, choć już wtedy on ten czas musiał dla mnie wykradać. Nie ze względu na żonę – ona zdawała się pochwalać naszą niespodziewaną wzajemną sympatię – raczej ze względu na inne obowiązki. Dużo pracował, majątku także nie powierzał wyłącznie ekonomom, zarządcom i doradcom.

– Chcę, aby twój brat przejął wszystkie sprawy w należyтым porządku, gdy już będzie gotów do samodzielnego zarządzania Bolesławicami – oświadczył mi pewnego razu.

– Wątpię, czy to kiedykolwiek nastąpi – odparłam z przekąsem.

– Nie mów tak – upomniął mnie łagodnie. – Łukasz jest jeszcze bardzo młody i musi się sporo nauczyć, ale będą z niego ludzie.

Z trudem się pohamowałam, by mu nie powiedzieć, że mój ojciec miał inne zdanie w tej kwestii. Jednak coś mnie powstrzymało przed podobną szczerością. To chyba nie zabrzmiałoby dobrze, gdyby wyszło na jaw, że ojciec nie miał złudzeń co do „zdolności” swojego młodszego syna, podczas gdy ojczym wciąż w niego wierzył.

– To będzie dziwna sytuacja, gdy Łukasz przejmie tu władzę – zażartowałam wobec tego, aby jakoś skomentować jego słowa. – Ty i matka będziecie mieszkać w jego domu.

Ledwo to powiedziałam, miałam ochotę odgryźć sobie język ze wstydu i złości na samą siebie. Jak mogłam być tak bezmyślna i niedelikatna!

– Przepraszam, nie tak chciałam to ująć – wyjąkałam, ale tylko się roześmiała.

– Nic nie szkodzi. Nie powiedziałaś niczego, czego sam bym nie wiedział – odparł wesoło. – Hortensja już dawno znalazła na to sposób. Chciałaby się wprowadzić do majątku po swoich rodzicach.

– Do Jazgarzewa? Przecież to dziura zabita dechami. Mnie by tam siłą nie zawlekli.

Ponownie się roześmiał.

– I ja wolalbym zostać tutaj.

Zapadło milczenie. Staliśmy wtedy na skraju łąki upstrzonej kaczeńcami i makami, a w oddali, wzdłuż drogi szumiały wierzby. Z drugiej strony rozciągały się pola, z których zebrano już zboże. Druga połowa sierpnia raczyła nas wciąż piękną pogodą, jednak wieczory zaczynały już przypominać o nadciągającej jesieni.

– Jak tu pięknie – przerwał milczenie Michał. – Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem Bolesławice, zakochałem się w nich bez pamięci.

– A nie zakochałeś się wtedy bez pamięci w mojej matce? – spytałam, bo nie potrafiłam i nie chciałam się przed tym powstrzymać.

Poczułam na sobie jego palące spojrzenie, ale nie odważyłam się odpowiedzieć tym samym.

– To twój ojciec przywiózł mnie tu za pierwszym razem – odparł, w ogóle nie odnosząc się do tego, co przed chwilą powiedziałam.

– Wiem – odparłam zduszonym głosem.

– A ja od razu pomyślałem, że gdyby tak miał wyglądać biblijny raj, z pewnością nie szukałbym innego.

– Nie wyprowadzajcie się stąd. Przekonaj ją...

– Jak sobie życzysz – odpowiedział miękko. – To akurat jest do zrobienia.

„Nie wątpię” – pomyślałam wtedy. „Wystarczy tylko, że spojrzysz na nią tak jak teraz na mnie, a ona zrobi dla ciebie wszystko”.

Wtedy pocałował mnie po raz pierwszy. Po prostu ujął w dłonie moją twarz i... W pierwszej chwili cofnęłam się, kompletnie zaskoczona. Michał wcale się nie zmieszał ani nie przeprosił. Nie, nic z tych rzeczy. Dotknął pieszczotliwie mojego policzka i powiedział, żebym się nie bała.

– Nie boję się – zapewniłam go lekko urażonym głosem, choć nie do końca było to prawdą. Nie chciałam jednak, by uważał mnie za tchórzliwą pensjonarkę.

Słyszając to, objął mnie ramionami, ale spostrzegłszy moją niepewność i zakłopotanie, zapytał, czy wszystko w porządku.

„Nie – chciałam odpowiedzieć – jak może być w porządku? Jak możesz o to w ogóle pytać?”

Zamiast tego skinęłam potakująco głową.

– Mam przestać? Powiedz – indagował, nie wypuszczając mnie z ramion i w zasadzie nawet nie dając szansy na odpowiedź.

Czułam jego usta na czole, szyi, oczach, wreszcie na wargach. Czułam jego język na swoim i już wiedziałam, że wszystkie moje wyobrażenia o tym, jak wygląda podobna bliskość między dwojgiem ludzi, były z gruntu fałszywe. Jak mogłam kiedykolwiek uważać, że nie jest to przyjemne! Przyłgnęłam więc do niego całym ciałem, co słusznie wziął za moje przyzwolenie.

Do niczego więcej wtedy między nami nie doszło. Znajdowaliśmy się wprawdzie w miejscu ustronnym, niemniej nie dość odizolowanym od innych. Nawet te pieszczoty i pocałunki, na które sobie wówczas pozwoliliśmy, były obarczone ryzykiem. Od tego dnia zresztą wiedzieliśmy, że za każdym razem będziemy tak ryzykować. Że poprzeczka tego ryzyka będzie tylko szła w górę. Tamten pierwszy pocałunek był zaledwie preludium do tego, co zrobiliśmy kilka tygodni później, bo dopiero wtedy mieliśmy ku temu okazję.

Pod koniec października matka udała się w od dawna zaplanowaną podróż do Warszawy, gdzie zamierzała odwiedzić Łukasza w szkole, a także kilka swoich przyjaciółek. Została tam na noc. Po raz pierwszy od urodzenia dziecka zdecydowała się na zafundowanie sobie takiej rozrywki z dala od Bolesławic.

– To niemal jak kawalerska wyprawa – żartowała na odjeźdźnym, a ja, żegnając się z nią i życząc miłego odpoczynku oraz rozrywek, nie śmiałam jej spojrzeć w oczy. Wiedziałam przecież, jak wykorzystamy z Michałem jej nieobecność.

– Tylko Ani mi przypilnujcie – dodała jeszcze żartem, bo ta uwaga bardziej odnosiła się do obowiązków piastunek niż ojca dziecka, o mnie nawet nie wspominając.

Wyjechała, a ja zostałam z jej mężem. Jednego się tylko bałam, i to na samym początku – że cały czas będę myśleć o matce. Że ta myśl wszystko zepsuje. Że będę się do niej porównywać. Przecież zrobiłam dokładnie to samo, co kiedyś ona zrobiła mojemu ojcu, choć nie kierowała mną chęć zemsty za tamto. Bałam się też, czy Michał nie będzie porównywał nas obu.

Ale obawy te okazały się całkowicie bezpodstawne. Kiedy byliśmy sami, tylko we dwoje, ona na ten czas po prostu znikala z naszej świadomości. Potem wracała, razem z wyrzutami sumienia, po czym znowu odchodziła, gdy tylko pojawiała się ta rzadka okazja, że mogliśmy się sycić sobą nawzajem, wiedząc, że musimy dany nam czas wykorzystać najlepiej, jak się tylko da, bo nie wiadomo, kiedy znowu będzie można to powtórzyć. Szczegóły pozostawię tylko we wspomnieniach, tych na dnię mojego serca.

Staraliśmy się być ostrożni, jak niemal wszyscy znajdujący się w takiej sytuacji, ale – w czym również nie odbiegaliśmy od większości – musieliśmy w pewnym momencie popełnić błąd. Ponoć nie istnieje zbrodnia doskonała i tak samo za zakazane uczucie trzeba na ogół zapłacić. Na tym zapewne polega sprawiedliwość wymierzana przez los. Wiedziałam, że kiedyś to szaleństwo się skończy, ale nie przypuszczałam, że stanie się to w taki sposób. Zbyt długo byliśmy bezkarni, pewni siebie. Dwa razy zdarzyło się nawet tak, że kochaliśmy się w biały dzień w moim pokoju, a moja matka ani nikt inny niczego się nie domyślił.

– Tym razem przeszarżowaliśmy – powiedziałam za tym drugim razem. – Więcej mnie na to nie namówisz. Nie dla mnie takie ryzyko. Musimy z tym skończyć.

I choć mówiłam to całkiem poważnie, zdawałam sobie sprawę, że na słowach się skończy. Wiedziałam, że zrobię wszystko, czego on sobie tylko zażyczy, a poza tym w pełni podzielałam jego pragnienia. On także o tym wiedział, dlatego jedynie się roześmiał, słysząc moją mężną deklarację.

– Pojutrze Hortensja jedzie na noc do Jazgarzewa – oznajmił, na nowo biorąc mnie w ramiona. – A zatem pojutrze zobaczysz mnie tu z powrotem.

Tak też się stało, z tą tylko różnicą, że matka wróciła do domu skoro świt, a więc wcześniej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Potem powiedziała, że w Jazgarzewie nie mogła zasnąć, miała złe przeczucia, ale jej niepokój dotyczył Ani. Złe przeczucia skojarzyła z najmłodszym dzieckiem, nie najstarszym. Dalej już wszystko potoczyło się jak w średnio zabawnej komedii albo bardzo kiepskim melodramacie, takim z oklepaną fabułą. Lecz to przecież często tak właśnie wygląda. Tak wpadają kochankowie, którzy przecenili swój spryt lub nie docenili „przeciwnika”.

Po przyjeździe moja matka od razu pobiegła do pokoju dziecka, ale z małą wszystko było w porządku, więc śmiejąc się w duchu z siebie samej, poszła do sypialni. I tu czekała ją niespodzianka – nie zastała w niej bowiem męża.

Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedziała mi, że nogi same zniosły ją do mojego pokoju. Tak jakby wiedziała, kogo tam zastanie i w jakiej sytuacji. Tak jakby wiedziała o tym od dawna, a jedynie oszukiwała samą siebie... całymi miesiącami.

Taki był koniec mojej pierwszej miłości. Mojego pięknego-brzydkiego romansu.

Czy miałam wyrzuty sumienia? Każdego dnia.

Czy wtedy żałowałam, że nie wycofałam się w porę, zanim nasza przyjaźń pożegłowała w kierunku innego rodzaju więzi? Czy żałowałam, że w chwili, gdy całując mnie po raz pierwszy, zapytał, czy ma przestać to robić, nie odpowiedziałam stanowczo, aby zostawił mnie w spokoju?

Tak, był taki moment, że zaczęłam żałować. Gdy matka patrzyła na mnie jak na dziwkę i mówiła do mnie jak do dziwki. Gdy odmówiła wysłuchania mnie, choć – jak już wspominałam – może dobrze się stało, że w ostatecznym rachunku moje szczere wyznanie zostało jej oszczędzone. Gdy mój brat Łukasz powiedział na odchodnym, że nigdy mi nie wybaczy tego, jak skrzywdziłam matkę i malutką siostrę, chociaż – o ile się zorientowałam – nie znał całej prawdy. Więcej się domyślał, aniżeli wiedział. I winił tylko mnie – nie Michała. Prawdopodobnie sądził, że to ja próbowałam uwieść ojczyma. Nie wyprowadzałam go z tego błędu. I zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by aż do wyjazdu nie spotkać Michała. Prawdę mówiąc, nie musiałam się jakoś specjalnie w tej kwestii wysilać. On chyba także się nie kwapił, by mnie szukać. Rozumiałam go, musiał zostać w Bolesławicach, przecież nigdy nie planowaliśmy wspólnej przyszłości. To ja

musiałam odejść. Przynajmniej nikt mnie już nie zatrzymywał.

Największy jednak żal poczułam wtedy, gdy wychodząc z domu w towarzystwie Maćka, obejrzałam się jeszcze ostatni raz i zobaczyłam moją małą siostrzyczkę, która stała na ganku i machała do mnie rączką. Dopiero ten widok poruszył mnie do głębi. Ani razu nie poświęciłam jej nawet znikomej części uwagi. Ignorowałam ją na każdym kroku, a fascynacja osobą jej ojca niczego nie ułatwiała. Niemal zniszczyłam temu dziecku bezpieczny dom – patrząc na postarzałą, zastygłą w grymasie bólu twarz mojej matki, naszej matki, nie mogłam już mieć co do tego żadnych złudzeń. A tymczasem moja malutka siostra machała do mnie rączką na pożegnanie. Byłam wtedy pewna, że ten właśnie widok będę mieć przed oczami w momencie śmierci. Wtedy żalowałam tego, co zrobiłam. Z całego serca.

A dziś?

Wciąż pamiętam tamto dziecko żegnające mnie na bolesławickim ganku, ale moje myśli i tęsknota są przy innej małej dziewczynce, której by w ogóle nie było na świecie, gdyby nie tamto szaleństwo. Która jest jego rezultatem, ale także – w pewnym sensie – ofiarą. Nie mam jej przy sobie, mimo że powinna być właśnie ze mną. Widzę ją każdego dnia, choć tak naprawdę nie wiem, gdzie przebywa. We śnie próbuję jej dotknąć, ale ona wtedy staje się przezroczysta i w końcu znika. Gdy tylko o niej myślę, gdy mam ją przed oczami, gdy wszystko dosłownie wyje we mnie z tęsknoty, wiem jedno – nie chcę żałować tamtych dni.

I nie żałuję.

ROZDZIAŁ 39

– I naprawdę niczego wcześniej nie zauważyłaś? Nie domyśliłaś się? Przecież zawsze można dostrzec jakieś sygnały.

Zadając te pytania, Anna miała świadomość, że jest to pozbawione sensu, i to z wszelakich możliwych powodów, ale nie potrafiła się powstrzymać. Rozmawiały już od wielu godzin. Dzieci od dawna spały, noc powoli dobiegała końca, a one, siedząc nad kolejnymi filiżankami herbaty i kawy, nie przejmowały się już upływającym czasem. Niedługo wstanie nowy dzień, a wraz z nim przypomną o sobie codzienne obowiązki, po nieprzespanej nocy nie będzie łatwo im sprostać. Mimo to żadna z nich nie myślała o odpoczynku, o tym, by wykraść dla siebie jeszcze choćby trzy godziny snu. Słowa niewypowiedziane latami, wspomnienia spychane na dno pamięci – upomniały się wreszcie o swoje prawa.

Mówiła głównie Hortensja. Jej córka słuchała cały czas, bezwiednie trzymając w dłoni fotografię małej Izy. Szok, którego Anna doznała kilka godzin temu, powoli mijał, poczucie pewnej nierealności tego, co przed nią odkrywała matka – pozostało. Nadal wszystko, czego się wreszcie dowiadywała, nie mogło pomieścić się w jej głowie. Dlatego zadała te pytania. Czy matka naprawdę niczego wcześniej nie spostrzegła? Nic jej nie zastanowiło, nie zaalarmowało? Przecież to wszystko działo się przez kilka miesięcy, prawie rok, pod jej dachem, w jej majątku. I nie dotyczyło ludzi obcych czy nawet znajomych, lecz w gruncie rzeczy obojętnych. Nie, nic podobnego – dotyczyło to osób najbliższych: córki oraz męża.

Anna pomyślała, że przecież ona także nie od razu zorientowała się w przyczynach tak częstych „delegacji” Marcina. Miała całe mnóstwo innych problemów, rozpaczliwie próbowała unikać zaczepek z jego strony, borykała się z jego agresją. Lecz przecież w końcu prawda do niej dotarła. Inna sprawa, że Marcin niespecjalnie się wysiłał, by cokolwiek przed nią ukryć. Żona znaczyła dla niego mniej niż stare graty, które odziedziczył po ciotce wraz z jej małym mieszkaniem. Nie zawracał sobie głowy stwarzaniem pozorów, a tym bardziej tłumaczeniem się z tego, co robił.

Mimo to nie potrafiła sobie wyobrazić, by w przypadku jej ojca i siostry nikt niczego nie zauważył. A może jednak... Ostatecznie Łukasz także nigdy nie zająknął się na ten temat słowem, a ojczyma wspominał zawsze z wielką estymą.

Hortensja przez chwilę milczała i zapatrzyła się w mrok za oknem. Mówienie o tamtej sprawie sprzed lat tylko z początku sprawiało jej trudność, potem jednak radziła sobie z tym całkiem nieźle – zważywszy na okoliczności.

– Nie wiem – odpowiedziała wreszcie. – Tego ostatniego dnia wykrzyczałam jej, a potem jemu, że już od jakiegoś czasu miałam podejrzenia, ale powiedziałam tak pod wpływem emocji, wściekłości, żalu. Nigdy nie potrafiłam zapomnieć, choć się starałam. Nie było to możliwe. Nawet wtedy, gdy wybuchła wojna, a potem

pojawiły się inne problemy, ja wciąż pamiętałam... tamto. Ale nie jestem już pewna, czy wcześniej coś zauważyłam. Wiem, że zdumiała mnie zmiana Joanny w jej nastawieniu do ojczyma. Wcześniej z całego serca go nie znosiła, nie chciała go widzieć ani o nim słyszeć. Dlatego zdziwiłam się, spostrzegłszy, że z nim rozmawia i wychodzą razem na spacer. Zaczęło się od tego, że Michał pomagał jej we francuskim. Joanna chyba średnio przykładała się do tego języka w szkole, w każdym razie na jej świadectwie maturalnym ocena z francuskiego była słabsza od innych. A twój ojciec znakomicie mówił po francusku, przez trzy lata studiował w Lyonie i konwersował naprawdę płynnie. Wkrótce się okazało, że mają całe mnóstwo innych tematów. Pamiętam, że pomyślałam nawet: „Chwała Bogu. Najgorsze mamy już za sobą”. Łukasz czuł się bardzo swobodnie w towarzystwie ojczyma i wyglądało na to, że Joanna także go polubiła. Naprawdę szczerze się z tego ucieszyłam. A potem? Nie, chyba nadal nie dostrzegałam żadnego niebezpieczeństwa. Przecież gdyby tak było, z pewnością bym zareagowała. Nie pozwoliłabym na coś podobnego! – ściszyła głos i nie patrząc na córkę, dodała: – Raz jeden, pamiętam, gdy byłam sama z twoim ojcem... w naszej sypialni, zażartowałam, że chyba robię się na starość zazdrosna. „Pewnie nie zgadniesz o kogo?” – roześmiałam się. „O Joannę. Spędzasz w jej towarzystwie bez mała tyle czasu, ile kiedyś ze mną. Bo teraz zbyt często się mijamy”. Odniosłam wtedy wrażenie, że jakby się trochę zmienił na twarzy, spoważniał. „Masz coś przeciwko temu?” – zapytał. Wydawał mi się przy tym tak uroczo zakłopotany i zatroskany, że nie mogłam się opanować, by go nie pocałować. „Mam – odpowiedziałam ze śmiechem – ale tylko jeśli chodzi o czas, jaki możemy poświęcić sobie. Nic jednak na to nie poradzimy, codzienność rządzi się swoimi prawami. Ja mam swoje obowiązki, a ty swoje. Natomiast cieszę się, że tak dobrze dogadujesz się z Joasią”.

Anna poczuła, że zalała ją fala gorąca, i po raz kolejny błogosławiła ciemność panującą w pokoju. Obie z matką umówiły się, że nie będą zapalać światła. Ta propozycja wyszła od Hortensji, ale Anna była jej teraz z całego serca wdzięczna. Mocniej zacisnęła dłoń na trzymanej fotografii i dopiero po chwili dotarło do niej, że niezależnie od tego, co usłyszała od matki, nie chce jednak zniszczyć zdjęcia Izabelli.

– A jednak gdy tamtego poranka, właściwie bladym świtem, po moim niespodziewanie wczesnym powrocie z Jazgarzewa nie zastałam go w sypialni, od razu coś mnie tknęło, gdzie mam iść – szepnęła Hortensja, zwracając twarz w kierunku córki. – Więc może jednak coś wcześniej podejrzewałam, tylko wołałam się oszukiwać. Bo podświadomie czułam, że nie mam przy niej szans. Była bardzo młoda i bardzo ładna. Wszyscy się za nią oglądali. W dodatku dużo wiedziała, dużo czytała i zawsze miała coś interesującego do powiedzenia. Żadna kobieta nie mogłaby z nią wygrać. Ja także. Jej ojciec patrzył w nią jak w obraz. Zabrała mi także jego miłość, choć oczywiście chodziło o inny rodzaj uczucia niż

w przypadku Michała. Ale tamtego poranka pamiętam, że nogi same zaniósły mnie do jej pokoju. I zobaczyłam... – przerwała, bo Anna z całej siły ścisnęła jej ramię.

Zapanowała cisza; słyszały tylko własne oddechy.

– Przepraszam – wyszeptała Anna, powstrzymując łkanie. – Sama chciałam, abyś mi o tym powiedziała. Mów dalej...

Hortensja drgnęła i wzruszyła ramionami.

– Nie będę ci przecież opisywać tego, co zobaczyłam. Pamiętam, że w pierwszej chwili byłam bardzo zdumiona faktem, że nawet nie zamknęli drzwi na haczyk. Ale to tylko znaczyło, jak bardzo pewnie się czuli. Za jaką idiotkę mnie uważali. I mieli rację. Kiedy to do mnie dotarło, podeszłam bliżej, oparłam się o stolik stojący obok łóżka i... patrzyłam... Patrzyłam. Dosłownie nie mogłam oderwać wzroku. Przyszło mi do głowy, że to tylko sen, bo przecież prawda nie mogłaby być tak okrutna, tak bezwzględna. A sny potrafią być absurdalne. Zaczęłam więc modlić się o przebudzenie i wtedy... on się odezwał...

Hortensja objęła rękoma głowę, ale już było za późno, by temu zapobiec... Znowu znalazła się w Bolesławicach, tak jak wtedy – dwadzieścia osiem lat temu.

*

– Hortensjo... – usłyszała, a kiedy podniosła głowę, spostrzegła, że mąż stoi już przy niej.

Odwróciła od niego wzrok, z powrotem kierując go na siedzącą w łóżku córkę.

– Hortensjo, chodźmy stąd – odezwał się ponownie tym swoim cichym, miękkim głosem, który przed laty tak ją oczarował. Czy w podobny sposób uwiódł także jej córkę?

Niemal podskoczyła, gdy ujął ją pod ramię, i nie zostawiając sobie nawet sekundy na refleksję, wyrwała się gwałtownie i z całej siły wycięła mu policzek. Nigdy dotąd nikogo nie uderzyła, nie miała więc pojęcia, że potrafi to zrobić z taką siłą i taką precyzją. Joanna wydała krótki okrzyk i zaraz zamilkła, przerażona. Michał zachwiał się na nogach, z trudem utrzymując równowagę. Cofnął się jednak kilka kroków, ale ponownie wyciągnął rękę do żony.

– Nie! – wrzasnęła. – Nie waż się mnie dotykać! Nienawidzę was! Nienawidzę ciebie!

– Hortensjo... – W jego głosie usłyszała łagodną prośbę. – Ciszej... Posłuchaj...

Roześmiała się wtedy histerycznie, doskoczyła do drzwi i wybiegając z pokoju, zatrzasnęła je za sobą z hukiem.

W końcu korytarza pojawiło się troje służących, którzy zbliżali się do niej z zaniepokojeniem.

– Stało się coś, proszę pani? – zapytał trwożliwie kamerdyner Jeremi.

To ją nieco otrzeźwiło, choć nadal dygotała na całym ciele.

– Wróciłam wcześniej, niż zamierzałam, i niechcący zbudziłam te dwa wielkie dogi pana Zawilskiego, co lubią spać na schodach przy oficynie. Zanim mnie poznały, napędziły mi śmiertelnego stracha.

Jeremi wymienił zdumione spojrzenie z drugim kamerdynerem, ale pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Już dawno chciałem zwrócić uwagę, że te psy nie powinny się kręcić po nocy przy schodach, ale nie śmiałem zawracać tym państwu głowy. Jak by nie patrzeć, to ulubione zwierzaki pana Zawilskiego.

Hortensja nabrała powierza i wykrzywiła twarz w sztucznym uśmiechu.

– Wkrótce, obiecuję, zrobimy z tym porządek – powiedziała stanowczym głosem.

Przez cały dzień nie opuszczała swojej sypialni, odsyłając próbujących się do niej dostać członków rodziny i służbę do wszystkich diabłów. Kilka razy słyszała z korytarza głos męża, potem służącej Gabrieli i kamerdynera Jeremiego. Raz, już późnym wieczorem, także Joannę.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła do córki.

– Chcę ci tylko coś wytłumaczyć – zza drzwi dobiegł cichy, ale wyraźny głos tamtej.

Zalała ją fala gorzkości. W jednej chwili wróciło wspomnienie nie tylko tego świtu sprzed kilkunastu godzin, ale także ostatnich kilkunastu lat, gdy była stale odrzucana przez córkę. Gdy Joanna całe swoje przywiązanie oddała ojcu – z wzajemnością zresztą – i od niego nauczyła się, jak skutecznie lekceważyć matkę. Teraz zrobiła to przy współudziale ojczyma.

– Co mi chcesz wytłumaczyć!?! – warknęła Hortensja, otwierając gwałtownie drzwi. Joanna cofnęła się wystraszona i chyba zaskoczona. Tak jakby nie spodziewała się, że matka jednak wyjrzy z pokoju. Miała zapuchniętą od płaczu twarz. W ogóle wydawała się jakaś mniejsza, mizerniejsza, skurczona. Hortensja obrzuciła ją jednak pełnym wzgardy i nienawiści spojrzeniem. Nie próbowała nawet panować nad kolejnymi słowami. – Nie masz mi nic do powiedzenia. Nie chcę cię słuchać. Takich jak ty się nie słucha, zapamiętaj to sobie. Może nie wyrosłaś na dziwkę, gdyby twój ojciec pozwolił mi odpowiednio cię wychować. Ale trudno. Od tej pory mam już tylko jedną córkę – twoją małą siostrę. Którą skrzywdziłaś. Nie chcę cię już więcej widzieć. Precz stąd, suko.

Obie drżały na całym ciele. Wreszcie Joanna nie wytrzymała pełnego żalu i nienawiści spojrzenia matki i opuściła głowę. Otuliła się mocniej szalem, po czym wolno odeszła. Hortensja cofnęła się do swojego pokoju i opadła na łóżko, czując, że ten wybuch nienawiści i od lat tłumionego żalu do córki całkowicie ją osłabił. Tak jakby była balonem, z którego uszło powietrze. Równocześnie jednak uleciała z niej cała wściekłość i wreszcie zaczęła racjonalnie myśleć.

Przede wszystkim nie wolno nagłośnić skandalu. Wprawdzie w całym domu zapewne huczy jak w ulu, ale najprawdopodobniej oprócz niej, Joanny i Michała nikt nie wie, co jest przyczyną zachowania pani domu. Służba zapewne myśli, że między nią a starszą córką ponownie doszło do awantury. Co najwyżej ludzie we dworze się dziwią, że stało się to dopiero po kilkunastu miesiącach względnego spokoju. Nikt nie podejrzewa, co było powodem kolejnej scysji. Wszyscy przywykli już do tego, że jej i Joannie rzadko kiedy było ze sobą po drodze. Awantury z mężem nikt zapewne nie podejrzewa. Wprawdzie nie chciała go wpuścić do pokoju i zapewne ten czy ów zauważył, że pan domu odszedł jak niepyszny spod drzwi małżeńskiej sypialni, niemniej służba co najwyżej złożyła to na karb jej złego nastroju spowodowanego kłótnią z córką. I dobrze, właśnie w tym mniemaniu trzeba utrzymywać cały pracujący w Bolesławicach personel.

A rodzina?

Poprawiając przed lustrem potarganą fryzurę, doprowadzając do ładu zapłakaną twarz, Hortensja podejmowała kolejne postanowienia. Nie wyrzuci Michała z domu, nie zażąda rozwodu. Jej najmłodsza córeczka nie straci ojca i poczucia bezpieczeństwa, jakie każdemu dziecku daje pełna rodzina. Nie dowie się nawet, co takiego się stało tego pogodnego letniego ranka trzydziestego siódmego roku. Ona, Hortensja, nie straci męża. I to nie tylko dlatego, że nie chce skandalu, o którym mówiłby cały powiat, a przy okazji połowa Warszawy. Wprawdzie właśnie od skandalu zaczęło się to małżeństwo, ale na pewno tak się nie skończy. Hortensja Zawilska nigdy na to nie pozwoli, także z tego powodu, że nie wyobraża sobie reszty życia bez Michała. Był jej wielką miłością, sensem egzystencji, punktem odniesienia wobec wszystkich innych spraw. Dla niego zdecydowała się przed laty porzucić zasady, według których ją wychowano.

Nie pozwoli mu teraz odejść. Nie pozwoli, aby ją porzucił. Znajdzie sposób, jak go zatrzymać. I nie będzie o to zebrała. Sprawি, że Michał będzie chciał z nią zostać. Z nią i... z Anią. Mała była bowiem jego oczkiem w głowie. Kochał ją tak jak... Władysław Joannę. Hortensja jednak nie zamierzała dopuścić do tego, aby powtórzyła się sytuacja z czasów jej pierwszego małżeństwa. Była przy tym bogatsza o tanto życiowe doświadczenie i chyba wiedziała, jak zaradzić ewentualnemu niebezpieczeństwu.

Wprawdzie uderzyła Michała w twarz – na samo wspomnienie zrobiło jej się gorąco, a zaraz potem zimno – ale postara się, aby o tym zapomniał. Może niedobrze się stało, że go dzisiaj kilkakrotnie odprawiła spod drzwi, choć z drugiej strony – może nie było to takie złe posunięcie. Chyba się przestraszył, zrozumiał, że nie warto z nią zadzierać, że miarka się przebrała.

„Jutro z nim porozmawiam” – postanowiła i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. To, co zobaczyła, nie wprawiło jej w zachwyt. Aż tak się ostatnio zaniedbała? Postarzała?

„Wezmę się za siebie. Jestem dziedziczką, nie biedną wyrobnicą. Stać mnie na dobry wygląd. I postaram się mieć więcej czasu tylko dla mojego męża” – myślała. Córeczce nie stanie się od tego krzywda. Może wyjadą gdzieś tylko we dwoje, na przykład do Włoch. Już ona uczyni ten wyjazd jednym wielkim peanem na cześć miłości i namiętności. Będzie tak jak kiedyś.

A co z Joanną?

Wprawdzie przegnała córkę spod drzwi, przy okazji obrzuciwszy słowami, których zaczynała się już wstydzić, ale to nie znaczyło, że problem zniknął. Poczowała, że na nowo zaczyna ją boleć głowa, i w tym momencie usłyszała pukanie do drzwi.

„Jeśli to znowu Michał, wpuszczę go do środka, porozmawiamy i dam mu do zrozumienia, że dzisiejszej nocy może tu zostać. Jeśli to z kolei Joanna, jeżeli znowu przyszła skomleć mi pod drzwiami, to...”

Nie zdążyła pomyśleć, co dalej, bo zza drzwi rozległ się głos Łukasza:

– Mamo, wpuść mnie, proszę. Bardzo się o ciebie boję.

Podbiegła do drzwi, otworzyła je i natychmiast porwała w ramiona swoje ukochane dziecko, tego chłopca, który, podobnie jak ona, zaznał ze strony jej pierwszego męża wyłącznie lekceważenia. Władysław nigdy nie starał się go zrozumieć, a jedynie pogardzał nim za to, że odbiegał od jego wojskowych wyobrażeń o synu. Tak jak ona nigdy nie mogła sprostać porównaniom z jego wspomnieniami o pierwszej żonie. Nic dziwnego zatem, że naturalną koleją rzeczy Hortensja i Łukasz stali się sobie tak bliscy jak, nie przymierzając, przyjaciele na froncie. I nic dziwnego, że potem każde z nich na swój sposób przyłgnęło do Michała Zawilskiego.

Tym sposobem Łukasz stawał się jej naturalnym sojusznikiem w walce o zatrzymanie ojczyzny w domu.

– Mamo, pozwól jej wyjechać – szepnął. – Nie zatrzymuj jej dłużej w domu.

Słyszając to, Hortensja odsunęła go lekko od siebie i przyjrzała mu się uważniej. Czy jej siedemnastoletni syn wiedział, co się stało, czy się czegoś domyślał? Nie miała pojęcia. W jego oczach nie znalazła odpowiedzi.

– Synku... Twoja siostra... Ona... – Nie była w stanie wyartykułować nawet jednego zdania.

Na szczęście jednak Łukasz wcale tego od niej nie oczekiwał. Ucałował jej dłoń, którą dotykała jego twarzy, i powiedział:

– Wyrzuć ją stąd, zanim stanie się coś naprawdę złego.

„Już się stało” – chciała w pierwszej chwili odpowiedzieć, ale w porę przypomniała sobie, że nie chce tego rozgłaszać, nie zamierza o tym mówić. Nie zrobi niczego, co może doprowadzić do rozpętania piekła skandalu.

Łukasz zresztą i tak by jej nie dopuścił do słowa. To on przyszedł o czymś powiedzieć. Miał – jak się okazało – własną wersję wydarzeń.

– Od kilku tygodni widzę, że ta mała wydra zagięła parol na Michała, choć on zaledwie stara się być dla niej miły. Wprawdzie daleko jej do ciebie, ale jest sprytna i przebiegła. W dodatku od lat nie przepuściła żadnej okazji, aby ci dokuczyć. Moim zdaniem nigdy nie pogodziła się z tym, że masz drugiego męża i wreszcie jesteś szczęśliwa.

Słuchała go, modląc się w duchu, aby wreszcie zostawił ją w spokoju. Przypomniała sobie uwagę Władysława, który stwierdził, że Łukasz należy do tych, którzy nie tylko „nigdy prochu nie wymyślą”, ale nie potrafią właściwie zinterpretować nawet tego, co udało im się dostrzec. Teraz dziękowała Bogu, że jej syn był taki niedomyślny w kojarzeniu faktów.

– Niech jedzie do Paryża na te studia – kontynuował z rozpaczą w głosie chłopak. – Pozwól jej na to, gdy Maciek będzie chciał ją ze sobą zabrać.

Uspokoila go wtedy, odpowiedziała coś niezobowiązującego. Przez całą samotnie spędzoną noc nie zmrużyła oka.

Rano przyszła do niej Joanna. Jeszcze mniejsza, mizerniejsza, bardziej skurczona niż poprzedniego dnia. Bardzo blada, z sinymi obwódkami wokół oczu. Hortensja postanowiła nie dopuścić do tego, by córka odezwała się jako pierwsza.

– Podejrzewałam was od jakiegoś czasu, ale wolałam się oszukiwać – oświadczyła tonem tak oschłym i nieprzyjemnym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. – Niemniej gdy wróciłam i nie zastałam go w naszej sypialni, od razu wiedziałam, gdzie go szukać. Nogi same mnie tam zaniósł. – A ponieważ Joanna stała w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w podłodze, dodała z rozdrażnieniem: – Nie chcę już więcej mówić z tobą na ten temat. Nie mam zamiaru słuchać, co ty masz w tej sprawie do powiedzenia. Dla mnie wszystko jest jasne, jeśli więc zamierzasz mnie przeproszać, coś wyjaśniać, to od razu cię uprzedzam: daruj sobie.

– Nie zamierzam – odparła spokojnie Joanna i dopiero wtedy podniosła wzrok na matkę.

Hortensja na dźwięk jej głosu przez moment zaniemówiła z przerażenia. Był tak zmieniony, niski, schrypnięty, jakby należał do kogoś innego, zupełnie obcego.

– Chciałam ci tylko zakomunikować, że wyjeżdżam jutro do Paryża. Maciek zdołał kupić bilety. Nareszcie będziesz mnie miała z głowy. Takie zresztą było twoje życzenie, myślę, że dobrze je zrozumiałam. Nie martw się, mam. Nie zobaczysz mnie już więcej.

– Rób, jak uważasz.

I Joanna wyszła.

A Hortensja długo jeszcze siedziała jak skamieniała. Potem wzięła się w karby i rozejrzała po domu. Zapytała o męża.

– Pan wyjechał wczoraj wieczorem do Warszawy. Kazał powiedzieć, że wróci za kilka dni – odparł Jeremi, unikając jej wzroku.

Następnego dnia obserwowała w milczeniu, jak równie milcząca służba

wynosiła bagaże do czekającego na podjeździe samochodu. Sama nie wyszła na zewnątrz, stała jedynie w oknie oficyny.

Tam właśnie znalazł ją Maciek.

– Przyszedłem się pożegnać – oznajmił spokojnie. Jego głos brzmiał całkiem neutralnie. Ani zimno, ani przyjaźnie. Od pewnego czasu takie właśnie panowały między nimi stosunki – nijakie, neutralne, poprawne.

„A dawno temu pragnęłam być dla ciebie matką” – pomyślała z bólem. „Jak to się stało, że się ode mnie oddaliłeś? Dlaczego do tego dopuściłam? A może po prostu dorosłeś i nie byłam ci już potrzebna? Może w pewnym momencie uznałeś, że nie masz o czym ze mną rozmawiać, że nie mam nic szczególnie interesującego do powiedzenia, że nie posiadam własnego zdania w żadnej kwestii... Może miałeś rację”. Jedno nie ulegało wątpliwości – historia z Joanną nie wpływała pozytywnie na ich wzajemne stosunki. Mimo to przyszedł, aby się pożegnać z macochą.

Hortensja uściśnęła jego wyciągniętą dłoń i niepewnym głosem życzyła dobrej podróży.

– Nie pożegnasz się z Joanną? – spytał łagodnie.

– Zrobiliśmy to już wczoraj – odparła, czując, że się czerwieni pod jego spojrzeniem.

– Uważasz, że to słuszne? – indagował. – Że tak należało to załatwić? W ten sposób żadna z was nie zazna nigdy spokoju.

Wiedział? Joanna mu powiedziała? A może sam się domyślił? W przeciwieństwie do młodszego brata był doskonałym obserwatorem świata i ludzi. Jakkolwiek było, Hortensja nie miała zamiaru z niczego mu się tłumaczyć ani niczego przed nim rozstrząsać. Nie nalegał na dalszą rozmowę, uklonił się i wyszedł. Zobaczyła go dopiero po dziesięciu latach, gdy życie ich wszystkich od dawna stało na głowie.

Joanny nie zobaczyła już nigdy.

Dwa dni później rozmówiła się z mężem, który wreszcie wrócił do Bolesławic. Początkowo nie była pewna, jaki przybrać ton. Nie chciała mówić zimnym, urażonym głosem. Z drugiej jednak strony musiała dać mu do zrozumienia, że nadal czuje się zraniona, nieszczęśliwa. Mimo to wciąż go kocha i pragnie utrzymania małżeństwa. Jakim jednak tonem mu to wszystko oznajmić?

– Wyjechała, prawda? – Pytaniem tym w pewnym sensie wybawił ją z kłopotu.

Zaraz jednak zrobiła się czujna.

– Widziałeś się z nią w Warszawie? – spytała podejrzliwie. – Zanim odjechali? Zanim wsiedli do pociągu?

Doskonale zdawała sobie sprawę, jak to zabrzmiało – natarczywie, żałośnie, rozpaczliwie – ale nie mogła się powstrzymać. Nie, to jednak niemożliwe, aby takie sprawy rozegrać z godnością.

– Nie widziałem się już ani z nią, ani z jej bratem – odparł niecierpliwie, nie przestając wyjmować jakichś papierów z aktówki.

– To skąd wiedziałeś, że wyjechała razem z Maćkiem? – Nie wierzyła mu. Czowała, że ogarnia ją histeria, i nawet nie starała się temu zaradzić.

– To chyba oczywiste. Zawsze o tym marzyła.

– Masz mnie aż za taką idiotkę! – Wreszcie straciła cierpliwość i porzucając wszelkie pozory pełnego godności spokoju, podniosła głos. – Od pewnego czasu marzenia mojej córki dotyczyły już czegoś zupełnie innego! Kogoś zupełnie innego! Odłóż te cholerne papiery, gdy do ciebie mówię!

Cisnął aktówkę na biurko, aż jej zawartość rozsypała się po całym blacie, i spojrzał na nią.

– Powiedz, czego ode mnie chcesz?! Jak postanowiłaś, tak będzie.

Patrzyła na niego oniemiała z przerażenia. Był taki obcy, taki daleki. Jak nigdy.

– Porozmawiaj ze mną – poprosiła lękliwie. Dokładnie takim samym tonem mówiła do Władysława. A tamten patrzył na nią w identyczny sposób jak Michał. Przypomnienie sobie tego faktu dodatkowo ją przygnębiło. Już w tym momencie wiedziała, że to ona znajduje się na przegranej pozycji. To nie ona, lecz Michał podyktuje warunki.

– Nie. – Pokręcił głową, słysząc jej odpowiedź. – Chciałem to zrobić wcześniej. A teraz uznałem, że... – Machnął niechętnie ręką. – Że to przecież nie ma sensu.

– Co nie ma sensu? – Przeraziła się jeszcze bardziej. – Wiesz przecież, dlaczego nie chciałam wtedy rozmawiać, w jakim byłam stanie. Ale teraz możemy to już zrobić. – Podeszła bliżej. – Niczego mi nie wyjaśnisz?

– A co tu można wyjaśnić...

Prawda. Przecież widziała na własne oczy. Samo wspomnienie tego, co zobaczyła w pokoju córki, podziałało na nią mobilizująco. Nie rozklei się przy nim. To nie ona zawiniła. Zawinił Michał i... Joanna, ale tamtej już z nimi nie ma. Odeszła.

Hortensja wzięła się w garść i bez ogródek oznajmiła, że nie zamierza występować o rozwód, a gdyby on postanowił to zrobić, nie będzie mógł liczyć na jej zgodę.

W milczeniu skinął głową, co uznała za akceptację swojego postanowienia. Wobec tego dalej mówiła już odważniej:

– Nigdy nie będziemy do tego wracać. Dziecko będzie miało dwoje rodziców żyjących pod jednym dachem. Nigdy żadne z nas nie będzie już mówił o... tamtej sprawie ani o... Joannie. Wtedy nam się uda. I będzie jak dawniej.

Nie tak to chciała powiedzieć, nie takim tonem, ale nie potrafiła się zdobyć na inny. Także na to, by mu wyznać, że nadal pozostał najważniejszym

człowiekiem w jej życiu. Bo ona nie potrafi i nie chce, aby stało się inaczej. Że pragnie, aby do końca życia byli razem.

Spojrzenie Michała było dalekie, obojętne i nie zachęcało do podobnych wyznań.

– Będzie tak, jak sobie życzysz – odparł po chwili. – Z jednym tylko wyjątkiem. Nic już nie będzie tak jak dawniej. Lepiej, abyś o tym wiedziała.

*

– Dotrzymał słowa – mówiła Hortensja, gdy Anna postawiła przed nimi dwie parujące filiżanki z kawą. Zegar wybił godzinę szóstą. Za oknem mrok ustąpił miejsca ponurej szarości. – Został ze mną częściowo dla świętego spokoju, ale głównie ze względu na ciebie. Od tej pory już tylko ty dla niego istniałaś, nadal też przyjaźnie traktował Łukasza. Wobec mnie był uprzedzająco grzeczny – jak kulturalny dobry znajomy. Spoważniał, stracił ten swój charakterystyczny chłopięcy urok, który do tej pory sprawiał, że wyglądał dużo młodziej, niż wskazywała metryka. Gdy wrócił do kraju, pod koniec czterdziestego siódmego roku, i odnalazł nas w Warszawie, początkowo miałam nadzieję, że może jednak wróci także tamto uczucie, które kiedyś nas łączyło. Przecież moja miłość była wciąż taka sama. Ale dość szybko musiałam porzucić złudzenia. Wrócił do ciebie, mnie zaledwie dostrzegał. Oczywiście wiedziałam, że upływający czas i ciężkie warunki życia nie pozostały bez wpływu na mój wygląd. Nie miałam ani głowy, ani możliwości, ani też pieniędzy, by o siebie zadbać. Ale przecież nie byłam wtedy wyjątkiem. Ludzie mieli inne kłopoty na głowie niż stanie przed lustrem i desperowanie nad swoim wyglądem. Twój ojciec także nie był już młodzieńcem. Widać po nim było, że nosił w sobie jakieś zmartwienie, trudny do opisanego smutek. Nie przyszło mi jednak do głowy, czego dotyczył. Dopiero potem...

– Nie przyszło ci do głowy, że skoro walczył w czasie wojny na froncie zachodnim, a zatem we Francji, to mógł się jakimś sposobem... na nią natknąć?

– No cóż, widocznie jestem tak samo niedomyślna jak twój brat. – Hortensja uśmiechnęła się bezradnie i smutno. – Ostatecznie Łukasz musiał po kimś odziedziczyć tę cechę.

– Jak się dowiedziałaś? Czekaj... Maciek ci powiedział.

– Też się nie domyśliłaś. – W oczach matki na moment pojawił się osobliwy błysk. Pojawił się i znikł. Ponownie wrócił smutek. – Maciek w ogóle o tym ze mną nie rozmawiał. To Solange powiedziała mi o wszystkim. Także o córce Joanny. Początkowo nie zareagowałam. Nie powiązałam tego z faktem, że mój mąż, pasierb i córka przypadkowo natknęli się na siebie w Paryżu. Chyba po tylu latach nie miało to aż takiego znaczenia jak kiedyś. Za wiele się zdarzyło. A Joanna miała prawo w ciągu tych lat wyjść za mąż i urodzić dzieci. „Ona była w ciąży, zanim jeszcze znalazła się we Francji” – tak mi wtedy oznajmiła Solange i tak przy

tym wwiercała we mnie te swoje zielone, żmijowate oczy, że aż mi ciarki po plecach przechodziły. Nie wytrzymałam i powiedziałam coś, czego do tej pory żałuję. „Nic mi na ten temat nie wiadomo. Ale Maciek był z nią wtedy bardzo blisko. Spędzili w swoim towarzystwie sporą część ostatnich wakacji w Polsce. Raz czy dwa razy zabrał ją na żagle albo kajaki w towarzystwie przyjaciół. On z pewnością zna dobrze sekrety Joanny. Ja już dawno przestałam zajmować się sprawami mojej córki”. Tak powiedziałam i widziałam, że jej twarz zrobiła się biała jak ściana. Bo... wiem, jak to zabrzmi, ale... ona chyba była zazdrosna o Joannę. Jak kiedyś ja. Czy to nie zakrawa na jakąś żalostną tragifarsę? Zwłaszcza że niedługo potem mąż Joanny zawiadomił Maćka o jej śmierci. Potem już nigdy – ani ja, ani Solange – nie potrafiłyśmy się do siebie przekonać.

Upiła łyk kawy, ale napój był jeszcze za gorący. A może uznała, że dosyć już obie z Anną wypily herbaty przez całą noc i nie da rady wchłonąć nic więcej? Dość, że Hortensja odstawiła na bok filiżankę, a potem pogłaskała dłoń córki.

– Nigdy go nie zapytałam, czy spotkał we Francji Joannę. Oboje pozostaliśmy wierni naszemu dawnemu postanowieniu – żadnych rozmów o tamtej zdradzie. Potem martwiliśmy się aresztowaniem Maćka i płakaliśmy nad jego śmiercią. A tymczasem Łukasz również miał kłopoty z bezpieczeństwem. Też go zatrzymali. Wiem, że ci o tym opowiadał. I – jakby tego było mało – na koniec aresztowali twojego ojca. Gdy wyszedł, był już tylko wrakiem człowieka, ale najgorsze okazało się jego przygnębienie. Nie opuszczało go od powrotu do kraju, a potem było tylko coraz gorzej. Ożywiało się jedynie na twój widok, a także wtedy, gdy odwiedzał go Podhorecki. Zawsze się dziwiłam, że obaj tak się polubili. Podhorecki wprawdzie narzekał, że twój ojciec niewiele się do niego odzywa, ale ja wiedziałam swoje. Przy nim był sto razy bardziej ożywiony niż przy mnie. Do mnie prawie wcale się już nie odzywał. – Nagle wskazała na trzymaną przez córkę fotografię Izy. – To zdjęcie znalazłam dopiero po jego śmierci, w kieszeni jego ulubionej, szarej marynarki. Nawet o tym mi nie powiedział. No, ale przecież to ja tak postanowiłam, że już nigdy nie będziemy rozmawiać o jego zdradzie. On tylko dotrzymał słowa.

Podniosła się ciężko z fotela i wyjrzała przez okno. Anna odłożyła fotografię, którą tyle czasu zupełnie bezwiednie ścisnęła w dłoni, i także wstała. Podeszła do matki i przytuliła się do jej pleców.

– Dobrze, że mi o tym powiedziałaś – szepnęła. – Będzie ci lżej.

– Czy ja wiem...

– Tak czy owak, wreszcie ze sobą rozmawiamy, ty, ja i Łukasz. Źle, że tyle czasu z tym zwlekaliśmy.

– Jej przyjazd to sprawił – odezwała się pół żartem, pół serio Hortensja, wskazując na odłożone zdjęcie.

– Chyba tak – potwierdziła cicho Anna i drżącymi palcami pogłaskała

delikatnie fotografię. Chciała jeszcze coś dodać, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

Hortensja przez chwilę obserwowała ją w milczeniu, a potem westchnęła i najwyraźniej pokonując niemałe wzruszenie, oznajmiła:

– Jest jeszcze coś, o czym nigdy ci nie powiedziałam. A niemożliwe, abyś to pamiętała. Tego ranka, gdy Joanna i Maciek odjeżdżali, wymknęłaś się na ganek. Początkowo nikt tego nie zauważył. Uwaga całej służby koncentrowała się na wyjeżdżających. Ja także obserwowałam ich z okna oficyny. W pewnym momencie wychyliłam głowę na zewnątrz i wtedy cię zobaczyłam. Stałaś na ganku i machałaś rączką, a Joanna, zanim wsiadła do samochodu, odwróciła się i spojrzała na ciebie. Nie jestem pewna, czy dobrze wszystko widziałam, bo łzy stanęły mi w tym momencie w oczach, ale chyba... Nie, na pewno... Podniosła rękę i też cię pozdrowiła.

– Pamiętam to... – szepnęła Anna, czując, jak dwie wielkie łzy spływają także po jej policzkach.

– Niemożliwe – upomniała ją matka. – Miałaś niespełna dwa latka.

– Ale pamiętam – powtórzyła uparcie Anna. – Tylko do tej pory uważałam to za sen. A ja naprawdę ją wtedy pożegnałam... i ona mnie. Naprawdę to pamiętam.

ROZDZIAŁ 40

1966 rok

Zapadał zmierzch, choć nie wybiła jeszcze czwarta po południu. Zaczął prószyć śnieg, a ponieważ równocześnie chwycił lekki mróz, można było założyć, że zimowa aura prawdopodobnie utrzyma się dłużej. Cmentarz o tej porze i w takiej scenerii miał w sobie coś nierealnego, tym bardziej że był niemal pusty. Tylko nagrobki, rzeźby na pomnikach, zastygłe w bezruchu drzewa... i one. A wokół nich ani żywej duszy. Niewiarygodnym mogło się wydawać, że za murami tego miejsca tętniło życie wielkiego miasta, którego mieszkańcy kończyli właśnie pracę, biegli do sklepowych kolejek, a potem ze zdobytymi zakupami do domów.

Na Powązkach, wśród starych pomników, w tej krainie ciszy i wiecznego spoczynku, cała panująca po drugiej stronie cmentarnych murów rzeczywistość wydawała się czymś bardzo odległym i obcym.

– To ten śnieg i zima sprawiają takie wrażenie – szepnęła Anna. – Śnieg wycisza wszystko jeszcze bardziej. Wiosną i latem jest tu zdecydowanie więcej życia. Późno zapada zmrok, przychodzą ludzie, wszędzie słychać ptaki. No i początek listopada... Wtedy wszystkie cmentarze w Polsce są rozświetlone przez znicze...

– Wiem, widziałam – odparła Iza, a napotkawszy spojrzenie Anny, wyjaśniła: – Byłam tu właśnie o tej porze, gdy po raz pierwszy przyjechałam do Polski. Przyprowadził mnie stary Podhorecki. Myślałam, że ci o tym mówiłam.

– Może... Tyle się potem wydarzyło.

– Biedny stary Podhorecki... Co by powiedział, gdyby jeszcze żył i zobaczył nas tu teraz razem... przy tym grobie...

– Wiem, że on z pewnością by się z tego ucieszył – odparła stłumionym głosem Anna i było jasne, że to nie starego ordynansa miała teraz na myśli.

Iza natychmiast ją zrozumiała.

– Może w tym momencie na nas patrzy – szepnęła.

I pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu śmiała się, gdy ktoś w jej obecności w ten sposób mówił o zmarłych. Dziś nie było jej do śmiechu, teraz naprawdę w to wierzyła. Tym bardziej że Anna pokiwała głową z aprobatą.

– Zawsze na mnie patrzył. Nawet kiedy nie było go z nami, czułam na sobie jego spojrzenie. Także wtedy, gdy odszedł na zawsze.

– To dlatego, że tak cię kochał – odparła Iza i poczuła, jak ściska się jej serce.

– To dlatego, że kochał nas obie – uzupełniła Anna i wyciągnęła rękę do

siostry. – Odkąd poznałam prawdę, nie mam już cienia wątpliwości, że patrząc na mnie... widział także ciebie.

– Nie przeszkadza ci to? – Iza niepewnie ujęła jej wyciągniętą dłoń. Nadal miała poczucie nierealności tego, co się wokół niej działo. Tego, że wreszcie zdecydowała się odpowiedzieć na list Anny, na jej zaproszenie i ponownie tu przyjechać. Że od dwóch dni jest znowu w Polsce. Że stanęła twarzą twarz ze swoją siostrą. Wreszcie tego, że stanęły razem nad grobem ich wspólnego ojca. To się działo naprawdę, a ona wciąż od czasu do czasu zadawała sobie pytanie, czy doznaje złudzenia. Może grudniowy mrok potęgował to wrażenie? I te wirujące płatki śniegu, i niczym niezmacona cisza wokół nich? Ale uścisk dłoni Anny był już bardzo realny. W dodatku był to pierwszy taki uścisk, odkąd ponownie się spotkały.

– Dlaczego miałyby mi to przeszkadzać? – odpowiedziała po chwili milczenia Anna.

Iza jednak odniosła wrażenie, że się zawahała. Jakby potrzebowała czasu, by zastanowić się nad odpowiedzią.

– Bo ja nie potrafię nie myśleć o tym, jaki wpływ miała ta historia na życie całej rodziny. Tak naprawdę wszyscy wtedy coś lub kogoś stracili.

– Ja zyskałam siostrę – powiedziała z uśmiechem Anna, ale jej oczy się zaszklily.

– Naprawdę tak to widzisz? – szepnęła Iza.

– Tak. – Anna wykonała taki gest, jakby chciała ją objąć, jednak Iza odsunęła się od niej łagodnie.

Musiała zebrać myśli.

– A co z tą, którą wtedy nieodwołalnie straciłaś? – spytała, gdy wreszcie zdołała wydobyć głos z krtani.

Anna cofnęła się o kilka kroków i przysiadła na ośnieżonym kamieniu przy sąsiednim grobie.

– Joanna kochała jego, a on ją – odparła. – To nie mogło się udać, ale kto powiedział, że każda miłość ma przyszłość? Że każda musi się skończyć dobrze? Fakty zaś są takie, że ojciec nigdy nie doszedł do siebie po jej śmierci. I zawsze miał przy sobie twoją fotografię. Można się z tego powodu oburzać, ale co to zmieni? Nawet jeśli się uzna, że ta miłość nie była dobra, to z pewnością była czymś bardziej autentycznym niż związek moich rodziców. Do matki w pełni to dotarło, gdy znalazła w kieszeni jego starej marynarki twoje zdjęcie. Pojęła, że jej małżeństwo od początku było błędem, a założenie, że kiedykolwiek potem miała szansę odzyskać jego miłość – iluzją. Po odejściu Joanny, a potem po jej śmierci jakiegokolwiek działania i zabiegi mojej matki nie miały już sensu. Zdecydował się z nią zostać, ale nigdy mentalnie do niej nie wrócił. Kiedy umarł, nie mogła się już oszukiwać. Nigdy nie powinna była za niego wychodzić. To, co ich kiedykolwiek

wcześniej łączyło, miało zbyt kruche podstawy, aby przetrwać jakikolwiek poważniejszy kryzys.

– Nie rozgrzeszaj Joanny.

– Nie rozgrzeszam, ale zapłaciła za to, co zrobiła. Oboje zapłacili.

– A przy okazji także wszyscy pozostali. Również ty i ja.

– Nie zmienimy przeszłości. Nie możemy jednak pozwolić, by decydowała o naszej przyszłości.

– Piękna myśl. – Uśmiechnęła się wreszcie, choć z niemałym trudem, Iza. – W każdym razie chyba brzmi sensownie.

Wymieniły się spojrzeniami, a potem jednocześnie skupiły wzrok na tablicy z imieniem i nazwiskiem zmarłego.

– Jesteś do niego podobna? – spytała nieśmiało Iza.

– Wszyscy tak twierdzili. Jutro pokażę ci jego zdjęcie.

– Miał... brązowe oczy?

Anna odpowiedziała jej promiennym uśmiechem.

– Jak ty i ja.

Zrobiło się zupełnie ciemno, tak jakby zapadła noc, choć w istocie nie było jeszcze późno. Jednak pobliska latarnia rzucała już coraz mniej światła. Anna podniosła się z kamienia.

– Wracajmy – zakomenderowała. – Lada moment mogą zamknąć bramy, o ile już tego nie zrobili. Mimo wszystko wolałabym nie zostawać tu do rana, nawet w twoim towarzystwie.

– Wyglądasz lepiej niż półtora roku temu – zagadnęła Iza, gdy zmierzały już w stronę ulicy Okopowej.

Zauważyła to od razu, jak tylko się zobaczyły po tak długim czasie, ale dotąd nie miała okazji jej tego powiedzieć. Miały do omówienia inne sprawy.

– No cóż, należę do tych ludzi, którym rozwód uratował nie tylko zdrowie i być może życie, ale także poprawił wygląd – odparła obojętnie Anna. – Od miesięcy nie słyszę inwektyw pod swoim adresem i nie boję się odgłosu klucza w zamku. Wcześniej nie przypuszczałam, że tak niewiele trzeba, aby odzyskać radość życia.

– Cieszę się, że to słyszę. Już wtedy, gdy byłam tu poprzednim razem, chciałam zasugerować ci takie rozwiązanie, ale nie śmiałam tego uczynić.

– Zapewniam cię, że choć inni nie omieszkali tego robić, to właśnie twoja wizyta miała wtedy największy wpływ na moją decyzję. Gdybyś nie przyjechała, nie zaczęłabym się zastanawiać nad moją rodziną, w tym także nad własnym życiem. Nie odwiedziłabym Szeptyckich, a właśnie wizyta u nich otworzyła mi oczy na wiele spraw, również na to, że nie muszę odbywać dożywocia w więzieniu o tak zastrzyżonym rygorze, jakim było to tak zwane małżeństwo.

– Dobrze ci u matki?

– Nieżle się teraz dogadujemy. Spowiedź przyniosła jej ulgę. Mnie zresztą także. Odwiedzisz ją?

Iza z jednej strony czekała na tę propozycję, z drugiej jednak wcale nie była pewna, czy ją przyjąć.

– Nie wiem – odparła wreszcie, zmieszana. – Lepiej dam jej spokój.

– Przyjdź. Matka wczoraj sama to zaproponowała. Powiedziała, że w przeciwnym wypadku nigdy nie zamkniemy za sobą tamtych drzwi. To jej własne słowa – powiedziała Anna, a widząc, że siostra nadal się waha, dodała na wpół żartobliwie, na wpół jednak poważnie: – Pamiętaj, że przechowała twoją fotografię. Nie zniszczyła jej po śmierci ojca, i to nie tylko ze względu na pamięć po nim. A fakt, że schowała ją w pudełku po butach w starej szafie w przedpokoju, chyba jakoś jej wybaczysz. I może zostaniesz z nami na święta? To już za dziesięć dni. Zobaczysz polskie Boże Narodzenie... Tego akurat nawet nasza siermiężna rzeczywistość nie zdołała zniszczyć. W dodatku zanoszą się, że będą śnieżne i mroźne. Będzie pięknie.

– Nie, na święta muszę wrócić do Francji, do ojca. – Iza zająknęła się w tym momencie i zaczerwieniła. – To znaczy... Przecież Maurice...

– Nie musisz mi niczego tłumaczyć. Przecież rozumiem. – Anna położyła jej dłoń na ramieniu. – Wiem, ile on dla ciebie znaczy. Co zrobił dla ciebie i... dla niej.

– Tak. – Iza skinęła głową, gdy wreszcie zapanowała nad wzruszeniem. – Dlatego wrócę do niego, do Beatrice i Fredericka. Potrzebuję ich, a oni mnie.

Zatrzymały się przed przejściem dla pieszych, a potem Anna zaproponowała, aby zamiast wciskać się do zatłoczonego tramwaju, przeszły się jeszcze kilka przystanków. Było mroźno, ale bezwietrznie, a padający coraz mocniej śnieg łagodził powietrze.

Szły spokojnym krokiem, pozwalając, by wszyscy przechodnie mijali je. Chciały przedłużyć tę chwilę, gdy mogły znowu być razem. Rozstały się dopiero przy rondzie Daszyńskiego.

– Nadjeżdża twój tramwaj – stwierdziła Anna. – Pamiętaj, wysiądź na czwartym przystanku. Stamtąd już bez trudu trafisz do hotelu. No, to do jutra.

– Dziękuję – odparła Iza, ale za chwilę obejrzała się jeszcze na siostrę. – Obiecuję, że za rok albo dwa spędzimy razem święta. Albo Boże Narodzenie, albo Wielkanoc. Tak czy owak, w końcu nam się to uda.

– Bez wątplenia – roześmiała się Anna, ponownie czując wzbierające w oczach łzy. – Skoro tyle nam się już udało, to i z całą resztą sobie poradzimy.

„Najważniejsze, że w ogóle jesteś. Że wiem o twoim istnieniu. A fakt, że na stałe mieszkasz we Francji, to już sprawa drugorzędna. Przecież mogło się zdarzyć tak, że nigdy byśmy się nie odnalazły. Nigdy niczego byśmy się o sobie nie dowiedziały” – pomyślała i wtedy zobaczyła, że Iza odwróciła się do niej

w otwartych drzwiach tramwaju i pomachała. To była chwila, zaledwie kilka sekund, ale Anna była pewna, że w tym krótkim momencie zamiast swojej młodszej siostry zobaczyła tę starszą. Tak jak wtedy, przed laty, gdy widziała ją po raz ostatni – a także jej pożegnalny gest.

Stała jak zaczarowana nawet wówczas, gdy tramwaj dawno już odjechał. I dopiero napotkawszy zdumione spojrzenia przechodniów, zorientowała się, że wciąż trzyma uniesioną do góry dłoń.



